

Anna Maxted

**HELEN
DOCHODZI
DO SIEBIE**

PODZIĘKOWANIA

Jest tak wiele osób, którym pragnę podziękować: Philowi Robinsonowi za miłość i dowcip, Mary Maxted za odwagę i przenikliwość, Leonie Maxted za Rosjan i otuchę, Caren Gestetner za życzliwość, Jonny'emu Gellerowi za to, że jest najwspanialszym agentem pod słońcem, Lynne Drew za piękne wydanie, Andy'emu McKillopowi za to, że wybaczył mi te brakujące rozdziały, Wendy Bristow za przyjaźń, Emmie Daily za to, że mnie do tego popchnęła. Jo Kessel za to, że zna wszystkich, np. doktora Michaela Kessela, doktorowi Maurice'owi Cohenowi za to, że zauważył, że cewnik jest pełen, Markowi Curtisowi za wyjaśnienie testamentu, Jeanette King za mądrość, Andy'emu Robinsonowi za cenne informacje, Evelyn Smith za to, że oczekiwała mojej powieści, odkąd skończyłam osiem lat. Danielowi Silverowi, który nie lubi Joop!, Jasonowi P. Worsnipowi za to, że jest wspaniałą. Wielkie dzięki należą się także: wszystkim z Random House, Laurze Dubiner, Mandi Norwood, Margaret Carruthers, Sarah Yassel, Heather Blackmore, Sybil Sipkin, Paulowi Bemowi, Paulowi „TCB” Burke'owi, Hudsonowi i Ginie Brittonom, Sashy Slaterowi, Annie Moore, Lisie Sussman, Grubowi Smithowi, Alicii Drake-Reece, Martinowi Raymondowi, doktorowi Rajowi Persaudowi, Christabel Hilliard, Lynne Randell, Women In Need, Samowi Leekowi oraz Jamesowi Buchananowi.

ROZDZIAŁ I

Kiedy to się zdarzyło, byłam zupełnie nieprzygotowana. Nie spodziewałam się znaleźć w takiej sytuacji, podobnie jak nie biorę pod uwagę, że wygram wybory Miss World, będę latać po całej planecie i każą mi się zajmować rozwrzeszczanymi dziećciakami. Innymi słowy, to było zupełnie niedorzeczne i nigdy nawet przez myśl mi to nie przeszło. A będąc tak zastraszająco nieprzygotowaną, zareagowałam jak Scooby Doo, gdy wpadnie na ducha. Postąpiłam tak, jak podpowiadał mi instynkt, który mnie zgubił z kretesem i okazał się zupełnie niezdolny do odnalezienia właściwej drogi.

Być może byłam zbyt zdezorientowana, żeby postąpić, jak należy. W końcu robienie tego, co należy, rzadko bywa zabawne, a z reguły oznacza wybranie najmniej atrakcyjnej możliwości, na przykład, że trzeba czekać, aż odgrzana pizza, którą właśnie wyciągnęłaś z piekarnika, ostygnie choć trochę, zanim się na nią rzucisz. Albo że nie kupisz tych seksownych butów na obcasach jak wieże, żeby jednak nie pokiereszować sobie nóg, nie ścisnąć palców do białości, nie garbić się jak pracźłowiek i żeby niezły kawał twojej pensji nie zaległ na dnie szafy. Gdybyśmy zawsze wybierały najrozsądniejsze wyjście, nigdy byśmy też z nikim nie łądowały w łóżku.

Tak więc tamtego dnia, gdy wszystko się zaczęło, byłam już bardzo bliska podjęcia rozsądnej decyzji. Oto ona, dzielnie nabażgrana czarnym atramentem w moim niebieskim kalendarzu:

„Jutro rzucam Jaspera”.

Te słowa przenoszą mnie w czasie. To ledwie rok temu, ale wydaje się, że minęły wieki. Jednak szesnastego lipca pamiętam tak dokładnie, jakby to było dziś. Może to jest dzisiaj? A wszystko zaczęło się tak:

Jutro rzucam Jaspera.

Należy mu się już choćby za to, że ma na imię Jasper. Kamień półszlachetny. A poza tym za to, że jest o kilka tysięcy stóp poniżej dopuszczalnych norm bycia chłopakiem.

Zabawne, że jako pięciolatka znałam je dokładnie. Spotykałam się z chłopcem, który mieszkał w domu naprzeciwko, i regularnie zjadałam jego podwieczorek, zanim rzuciłam się na swój własny. Robiłam mu awantury tak długo, aż mi oddał swojego pieska na kółkach. I stanowczo odmawiałam bawienia się w jego pokoju, bo śmierdziało tam siuškami. Potem dorosłam i pozwoliłam, by zaczęło wciskać mi kit.

Niestety Jasper jest piękny. Wysoki, co lubię. Tylko raz miałam do czynienia z niewysokim facetem — moja despotyczna kumpela Michelle zorganizowała mi randkę w ciemno. Zadzwo nił do drzwi, otworzyłam i spojrzałam w dół. A mam zaledwie metr pięćdziesiąt pięć wzrostu. Królowna Śnieżka i pieprzony krasnoludek. Michelle tłumaczyła się później, że siedział, kiedy go spotkała. Tak więc Jasper ze wzrostem metr osiemdziesiąt to czysta rozkosz. Wkładałam buty na piętnastocentymetrowym obcasie, żeby nie zauważył, jaka jestem niska. Ma brązowe, opadające włosy, oczy tak niebiańsko błękitne, że aż dziw, że używa ich do patrzenia, i moje ulubione, wyraźnie zarysowane kości policzkowe. I Jasper jest najbardziej samolubnym facetem, jakiego w życiu spotkałam — niezły wyczyn — i to prawdziwa bestia.

Jadę do niego. Z silnym postanowieniem. To już ostatni raz. Tyle że utknęłam w korku na Park Road. Zdaje się, że są jakieś roboty drogowe, tylko czemu nikt nie pracuje. Tkwię w swojej starej toyocie corolli (dostałam od mamy, która była szczęśliwa, że może się jej pozbyć, nie myślcie, proszę, że kupiłabym coś takiego, nawet gdybym miała na to pieniądze) i próbuję się nie denerwować. W ciągu ostatnich dwudziestu minut posunęłam się

naprzód może piętnaście centymetrów. Pewnie powinnam zadzwonić do Jaspera i powiedzieć, że się spóźnię. Po drodze muszę minąć około pięćdziesięciu świateł i wszyscy się przepychają — o tyle, o ile się da, kiedy jesteś prawie unieruchomiona. 14.54. U Jaspera mam być o wpół do czwartej. Świetnie. Padła mi komórka. Skubię skórę na wardze. Dobra. Dzwonię do niego.

Oceniam korek — tak, to jest korek — wyskakuję z samochodu, lecę przez całą ulicę do budki i wykręcam numer Jaspera. Drrr drrr. Drrr drrr. Gdzie on się podziewa? Nie mógł przecież zapomnieć. Cholera, samochody ruszyły. Dzwonię na komórkę i — co za radość! — odbiera: „Jasper Sanderson”. Nigdy nie mówi „halo”, jak normalni ludzie. Jest taki wyniosły. Nie cierpię tego, ale jednocześnie uwielbiam. Jest podejrzanie zasapany.

— Dlaczego jesteś zasapany? — pytam ostro.

— Kto mówi? — odpowiada. Jezu!

— Twoja dziewczyna. Helen. Pamiętasz mnie? Słuchaj, spóźnię się, utknęłam w korku. Dlaczego jesteś zasapany?

— Gram w tenisa. Szlag by trafił, zapomniałem, że przyjdiesz. Trochę mi to zajmie, zanim wrócę do domu. Zapasowy klucz jest pod wycieraczką.

Rozłączył się.

— Bardzo oryginalnie — mówię skwaszona i spoglądam na ulicę, żeby zobaczyć, że już nie ma korka, a nieprzerwany ciąg rozwścieczonych kierowców trąbi jadownicie, mijając stojącą sobie spokojnie toyotę.

Czterdzieści minut później jestem w Fulham pod domem Jaspera. Dzwonię do drzwi na wypadek, gdyby już wrócił. Cisza. Kopię wycieraczkę, żeby wystraszyć pająki, potem dwoma palcami ostrożnie unoszę róg i wyciągam klucz. Wspaniale, Jasper! Mieszkanie jest repliką domu jego rodziców. Na stoliku w przedpokoju stoi nawet zdjęcie jego matki, gdy była małą dziewczynką, oprawione w srebrną ramkę — wygląda na nieźle nadętą panienczkę. Szczęśliwie nie zostałam jej nigdy przedstawiona. Jednak jego najbardziej haniebnym grzechem przeciw zasadom dekoracji wnętrz są te okropne, marynistyczne obrazki królujące

na białej ścianie. Jasper mnie zaskakuje, bo kiedy już sobie myślę, że dłużej tego nie zniosę, robi coś, czemu zupełnie nie można się oprzeć, na przykład potrafi wyprasować sobie tylko kołnierzyk i mankiety, a resztę wymiętej koszuli ukryć pod marynarką. Przeglądam porozrzucane listy, żeby sprawdzić, czy nie ma czegoś od jakichś kobiet, kiedy zauważam, że automatyczna sekretarka mruga ostrzegawczo zielonym światłem. Pewnie Jasper dzwoni, żeby mi oświadczyć, że spóźni się jeszcze bardziej. Naciskam guzik.

Telefon zaczyna przewijać kasetę, gdy w drzwiach przekręca się klucz. Jasper otwiera drzwi na oścież, a ja odwracam się, cała uśmiechnięta, żeby go przywitać. Kurczę, on jest boski. Rzucę go w przyszłym tygodniu. W tym tygodniu jeszcze jest mój, jeszcze mogę się przytulić, czuć jego dotyk i czuć się z tym źle. To jak jedzenie czekolady na śniadanie — czujesz się jak ostatnia krowa, wiesz, że nie powinnaś, bo trzeba zjeść coś zdrowego, ale miśli jest takie przygnębiające, nawet jeśli zawiera rodzyнки. Jasper jest mało pożywny i przepyszny. Już otwiera swoje nadzwyczaj ponętne usta, żeby powiedzieć: „Cześć, złotko!”, ale wypredza go wysoki, srebrny głosik, który rozbrzmiewa beztrzesko, odbija się echem od kafelków na podłodze i skacze radośnie z jednej jasnożółtej ściany na drugą.

— Cześć, złotko — cieszy się głos. — To ja! Zadzwoń! Buziaczki!

Uśmiech zamiera mi na ustach. Oboje wpatrujemy się w telefon, który przekazał nam swoją zdradziecką informację i zamilkł skromnie. Choć i tak znam odpowiedź, wydaję z siebie chrapliwy głos w stylu Quentina Tarantino:

— Co to, kurwa, za kurwa?

Jasper nie jest bynajmniej rozbawiony. Gdyby to było Hollywood, w okolicy jego szczęki drgnąłby mięsień, a twarz o rzeźbionych rysach zbladłaby pod karmelową opalenizną. Ale jest, jak jest, i Jasper starannie odkłada swoją sportową torbę na podłogę, a raketę kładzie ładnie na torbie. Czuję, że zaraz mnie szlag trafi, i mam ochotę chwycić tego Prince'a i trzepnąć nim

Jaspera. Przynajmniej rzeczywiście był na tenisie, choć jest tak cholernie przebiegły, że nie zdziwiłabym się, gdyby to był tylko taki misterny kamuflaż. Patrzy na moją czerwoną, naburmuszoną twarz i mówi gładko:

— Moja była. Lubi podtrzymywać kontakty.

Ja myślę, że lubi.

— Kiedy się ostatnio widzieliście? — warczę.

— Tydzień temu — odpowiada. — Tylko rozmawialiśmy.

— Ta, jasne.

Jestem jak Fox Mulder. Chcę uwierzyć. I Jasper też chce, że-
bym uwierzyła. Pochylił głowę jak skruszony anioł. Urocze, ale
to, co wiem o Jasperze, oraz „To ja!”, od którego aż się skręcają
bebechy, każe mi być sceptyczną. „To ja!” jest tak zaborcze jak
doberman pilnujący ciasteczka. Żadna kobieta nie dzwoni do
swojego ekschłopaka i nie mówi: „To ja!”, bo wie — choć ta naj-
wyraźniej nie wie — że jest już inne ja. J a!

— Spaliście ze sobą? — ryczę.

Jasper wygląda na urażonego.

— Jasne, że nie, Helen — mruczy jak kotek. — Louisa do
wszystkich mówi „złotko”.

Imiona kończące się na ach! Wrrr! Mrużę oczy i rzucam mu
najbardziej mordercze spojrzenie, na jakie mnie stać. Te wspa-
niałe, odważne słowa: „Rzucam cię” już są ciepłutkie, gotowe do
wypłynięcia z moich ust, ale utykają mi w gardle, słabe i ociaga-
jące się. To nie jest odpowiednia chwila, przychodzi mi do głó-
wy. Jeszcze sobie pomyśli, że jestem w nim zakochana! Pozosta-
je mi tylko wyjść.

— Jadę do domu — mówię z obrazą w głosie. Świnia odsu-
wa się łaskawie, żeby mnie przepuścić. Zamierzam wyjść w wiel-
kim stylu *Przeminęło z wiatrem* i byłoby OK, gdybym się nie po-
tknęła na progu. Tracę na chwilę równowagę i nie jestem pewna,
czy prychnięcie-westchnienie, które słyszę, nie oznacza przypad-
kiem, że Jasper nawet nie próbuje ukryć wesołości, ale ignoruję
go i wychodzę. Zaciskam zęby, tupię obcasami po jego cemento-
wej ścieżce, wciskam się do toyoty, trzy potężne szarpnięcia, ro-

bię wgniecenie w drzwiach zaparkowanego obok rovera i opuszczam parking, a potem toczę się w stronę zachodzącego słońca.

Dupek. Dupek. Dupek. Wyrzebuję z torebki komórkę, na wypadek gdyby zadzwonił się pokajając, ale przypominam sobie, że mi padła bateria. Dziadostwo. Prowadzę mniej więcej tak, jak krowa szybuje. Dupek. Nie mam zamiaru z wdziękiem usunąć się ze sceny, żeby oddać jej pole. Louis-ach! Nie mogę się zdecydować, czy jej uległ czy nie. Jasper uwielbia, kiedy kobiety go pożądata. Ale jednocześnie lubi wieść żywot nieskazitelny. Kiedy zobaczył po raz pierwszy mój pokój, mruknął: „Chyba było włamanie”. Z dumą opowiada mi o dniu, w którym usiadł w metrze obok faceta z brodą i próbował mu czytać przez ramię „Telegraph”. Brodac z wściekłością zwinął swoją własność i rzucił: „Gazeta! Czterdzieści pięć pensów w kiosku!”, a Jasper odparł: „Maszynka do golenia! Czterdzieści pięć pensów w drogerii!”. Jasper — pomijając nieuprasowane koszule — chce, żeby jego życie i cała reszta były w porządku. Pieprzenie się ze swoją byłą sprzed miesiący wywołałoby za dużo zamieszania, zburzyłoby jego harmonogram dnia. A jednak. Dupek.

Już raz podniosła swoją zadowoloną z siebie główkę. Nasz związek, jak lubię to nazywać, trwał wtedy ledwie miesiąc. Jasper zadzwonił i powiedział, że nie możemy się spotkać, bo zostaje w Notting Hill, u swojego kumpla. Daniela. Choć nieco się zdziwiłam, że Jasper ma kumpla, niczego nie kwestionowałam. Byliśmy na etapie maślanych oczu, kiedy to całujesz się przy ludziach i wkurzasz wszystkich tych, którymi akurat nie targa żadna namiętność, więc mu ufałam. Następnego popołudnia nagle powiedział: „Wczoraj wieczorem wcisnąłem ci totalny kit”. Co? „Ja... nocowałem u mojej byłej”. Okazało się, że spóźnił się na ostatnie metro — nie prowadzi, jego najmniej seksowna cecha — więc poszedł piechotą do Kensington i zadzwonił do drzwi swojej eks. „Była naprawdę miła”. Była miła! Jestem pewna, że była nawet przemiła! Dalsze dochodzenie wykazało, że na śnia-

danie dała mu com-fleksy z brązowym cukrem. Szczwana wiedźma — chciała się nim zaopiekować! Na szczęście za bardzo się starała, żeby mu się podobać, toteż zmarnowała się cała miska płatków. Ale być może w ciągu tych miesięcy jej akcje poszły w górę. A moje spadły. Cholera, wychodzi na jaw moja natura.

Pierwsze tygodnie i tak były zbyt promienne. Poznałam Jaspersa na spotkaniu promocyjnym pewnej książki — podręcznika do seksu w miękkiej okładce. Byłyśmy tam służbowo z Lizzy i Tiną. Po części dlatego, że Laetitii, naszej szefowej o całkowicie mylnym imieniu (ostatnie, co mi przychodzi na myśl, kiedy na nią patrzę, to radość), nie chciało się iść, a moim zadaniem jako jej etatowej służącej w magazynie „Girlltime” jest odwalanie za nią czarnej roboty. Ale też po części dlatego, że Tina, specjalistka od spraw mody, i ja jesteśmy ostro napalone na szampagna — wszystko za darmowy łyk Kruga (albo i nawet, bądźmy szczerzy, Asti). I mimo że Lizzy jest specjalistką od zdrowia i urody zarówno w naszej firmie, jak i w życiu, a jej ulubionym napojem jest mleczko sojowe — jest taka urocza, naprawdę robi to wszystko, co zaleca w swoich poradach — udaje nam się ją czasem przekonać. Tym razem przyparłyśmy jej śliczne zadbane ciało do muru.

Spotkanie odbyło się w jakimś zatechłym zaułku Soho. Nieźle się odwaliłam na tę okazję — czarne spodnie, czarne buty, obcas na trzysta centymetrów — niżej nie schodzę i to nie tylko w przypadku butów — czarna bluzka. Styl: jak na pogrzeb gwiazdy. Maznęłam też kości policzkowe srebrnym, metalicznym brokatem. Wyglądałam przerażająco podobnie do członkiń zespołu Abba, ale tamtego wieczoru byłam po prostu pewna, że bez tego ani rusz. Czułabym się dziwnie i czegoś by mi brakowało. Im jestem starsza, im bardziej wymaga się ode mnie, że bym była do znudzenia odpowiedzialna, z tym większym uporem łapię się symboli dzieciństwa. Aktualnie w moim posiadaniu znajdują się: malutka, różowa portmonetka na zameczek z kolorowymi paciorkami, które aż się chce oderwać. Plastikowy helikopter, który zawiesza się pod sufitem na sznurku, a który lata

w kółko i mruga czerwonymi światełkami. Kalejdoskop. Reprodukacja *Elmera* Davida McKee. Tarcza do gry w rzutki — cóż, może nie jest to najbardziej wyszukane hobby. Oraz kociak o imieniu Fatboy.

Zwykle na przyjęciach z nikim nie rozmawiam. Wystarczy, że rzucę okiem na hordy boskich, serdecznych przyjaciół, którzy nawijają bez ustanku, chichoczą oraz tworzą zwarte kółeczka, i od razu mam ochotę uciekać do domu. Czuję, że mój makijaż zaczyna błyszczeć w ciemnościach, moja twarz trzeszczy, zmieniając jedną nerwową minę na drugą, i znów jestem grubą nastolatką sprzed dwunastu lat w tych idiotycznych okularach, z brązową torbą i w niebieskiej, drapiącej budrysówce z guzikami w ząbki i wielkim kapturem. Jasne, że byłam ofiarą mody. Ale przyjęcie, na którym poznałam Jaspera, okazało się inne. Byłam jedną z grona trzech słodkich dziewcząt, w ciągu pierwszych dwudziestu minut pochłonęłam dwa kieliszki słodkiego wina i nagle znalazłam się w nastroju słodszy niż pierniczek z lukrem. Oj, byłam słodka! Więc było to dość naturalne, że Jasper pojawił się nagle i zaproponował mi fajkę.

— Nie palę — rzekłam skromnie i w nagłym przypływie geniuszu dodałam: — Jestem grzeczną dziewczynką.

Nawet nie mrugnął i rzucił:

— A wyglądasz na bardzo niegrzeczną.

W życiu nie usłyszałam lepszego komplementu. Co miałam robić? Z wdzięczności po prostu musiałam go zerznąć.

Jasper siedział w „literaturze”, czyli — jak się później okazało — spisywał materiały prasowe dla jakiegoś gównianego wydawnictwa gdzieś na przedmieściach Londynu. Tak więc ja, popychadło w magazynie „Girltime”, który jednak ma swoją siedzibę przy Covent Garden, byłam dla niego świetnym kontaktem. Nie drukujemy znowu tak dużo recenzji książek o warunkach sanitarnych czasów elżbietańskich albo o autochtonicznych gatunkach owadów w Gwatemali, ale w tamtej chwili spoglądałam na jego uroczą twarz, a on spoglądał na moją słodką buzię i z miejsca postanowiliśmy wspólnie robić interesy. Przez kilka następ-

nych tygodni podtrzymywałam swój odlotowy image. Podkreślałam, jak ważną mam pracę. Tina doradzała mi, w co się ubierać, że na przykład w szarościach wyglądam elegancko. Migałam się od przyprowadzenia go do mieszkania. Usunęłam ze swojego zasobu słów wszelkie wyrazy mogące sprowokować głupawe uwagi i wprowadziłam nasze rozmowy na wysokie poziomy szurniętych wolnych duchów. Coś jakby Bjórk, tylko w lepszych ciuchach. Wstyd powiedzieć, ale to zadziało. Oczywiście już po trzech dniach wiedziałam, że ni cholery nic nas nie łączy — Jasper mówił na sok pomarańczowy „oranżada” i odkładał pieniądze na Eton dla syna, z czym się nieco pośpieszył, bo nie miał jeszcze żadnego potomka — ale nie lubię monotonii, więc według mnie wszystko było w porządku.

On lubił być rozśmieszany, więc według niego też było w porządku. Ale ostatnio coraz częściej miałam wrażenie, że ta bańka musi wreszcie prysnąć. Sobotnie popołudnie spędziliśmy w parku i — przysięgam — nie mieliśmy już sobie dosłownie n i c do powiedzenia. Jasper odprowadził mnie do samochodu i byłam pewna, że zakończy to wszystko. Na pewno już się szykował, żeby walnąć prosto z mostu, jak to tylko on potrafi — skutecznie, bez emocji, ale wykwintnie: „Helen, to nie ma sensu”. Jednak wcale tego nie zrobił. Pocałował mnie radośnie na dobranoc, jakby wszystko było najzupełniej OK.

Dumałam nad tym całą drogę powrotną. Nie cierpię ciszy. Boję się ukrytych w niej możliwości. Już wolę zapełnić ją własnym głosem, co oczywiście kończy się tym, że znowu nawijam o jakichś bzdurach. W zeszłym tygodniu, kiedy ekspedientka spytała, w czym może pomóc, rzuciłam: „Nie, dzięki, tak się tylko szwendam”. W fitness chbie Lizzy powiedziałam do recepcjonistki, która spytała, jak się mam: „Jestem gotowa na następną walkę na sali”. Do Jaspiera, napalonego już w godzinę po lunchu w Pizza Express, rzekłam: „Oj, chyba jeszcze trawię”. Sam seks!

'Taki więc im większa cisza, tym szybciej zapominam o dobrych manierach. Wprawdzie mam wrażenie, że Jasper jakoś się

jeszcze w tym nie połapał, ale ja nie czuję się z tym wszystkim najlepiej. Nie chwytam moich dowcipów i z tym też nie czuję się najlepiej. Jestem wobec niego zupełnie nie w porządku i on wobec mnie też nie jest w porządku, choć wciąż wydaje się mną oczarowany i ma penisa o przyzwoitych wymiarach. Nie jest łatwo się rozstać. A Louis-ach! wcale tego nie ułatwi-ach!

Wjeżdżam wreszcie do Swiss Cottage i zaczynam swoje trzygodzinne poszukiwania miejsca do zaparkowania. Można by pomyśleć, że nikt tu się nigdy nie rusza z domu. W końcu udaje mi się wepchnąć toyotę między saabą i mini, godzinę drogi piechotą od mojego mieszkania, i zaczynam dreptać do domu. Grzebię właśnie w poszukiwaniu kluczy, kiedy drzwi się przede mną otwierają. Mój współlokator Luke wygląda, o ile to w ogóle możliwe, jeszcze obskurniej niż zazwyczaj i ma jeszcze większe szaleństwo w oczach.

— Co?! — krzyczę, żeby zagłuszyć panującą ciszę. Patrzy na mnie dziwnie. — Dzwonił Jasper? — podpowiadam mu. — Wygrałam na loterii? Nie jakieś pieprzone trzysta funtów, ale całe osiem milionów? Chcesz rower i domek? I wycieczkę na Bali, wyczarterujemy concorde'a?

I Bóg jeden wie, skąd nagle to Bali, ja nawet nie lubię ciepłych krajów — dostaję wysypki od upału, gdy tylko stanę za blisko tosterka — ale Luke ma taką minę, że po prostu nie mogę przestać nawijać.

Kręci głową. Potem wyciąga rękę i łapie mnie za ramię.

— Nie, Helen — mówi. — Dzwoniła twoja mama. Twój tata. Twój tata nie żyje.

ROZDZIAŁ II

Kiedy miałam piętnaście lat i nigdy jeszcze się nie całowałam — to, co mówiłam o budrysówce, to była najprawdziwsza prawda — zaspokajałam swój głód dietą opartą na harlequinach sprzed lat siedemdziesiątych. Smukłe i naiwne bohaterki z papierowych okładek były tak odległe od mojej tłustej niewinności jak diament od kawałka węgla, ale mimo to dawały mi nadzieję, że pewnego dnia to ja omdleję na widok — och, no powiedzmy strzelaniny, a potężny i władczy biznesmen o orlim nosie wyskoczy ze swojego nieskazitelnie białego samochodu, chwyci w ramiona me zwiotczałe ciało i uniesie mnie w świat miłości, szczęścia i niekończącej się namiętności.

To przykre, ale ten scenariusz omdlewania spełnił się tylko częściowo i tylko raz, gdy pewnej niedzieli wstałam jakaś nieswoja, podreptałam na dół jeszcze w pidżamie i zemdlałam w przedpokoju. Głośny huk ściągnął uwagę moich rodziców, mama chwyciła mnie za ramiona, tata za kostki i tak wspólnymi siłami, sapiąc niemiłosiernie, zaciągnęli swoją zbyt potężną córkę na sofę w salonie. Najbardziej nieromantycznym elementem całego zajścia był fakt, że w czasie tego targania guziki od pidżamy rozpięły mi się aż do samego końca i, choć półprzytomna, byłam w pełni świadoma tego, że moje włosy łonowe ukazały się całemu światu, a co gorsza, mojemu tacie.

Teraz, kiedy Luke informuje mnie o zgonie ojca, jestem przynajmniej — jak porządna bohaterka harlequina — dobrze ubrana. Poza tym Luke wciąż trzyma mnie za ramię, więc kiedy

słowa wwiercają się w moją czaszkę i latają po moim mózgu jak szalone, aż zaczyna mi się kręcić w głowie, słaniam się nieznacznie, ale nie tracę równowagi.

„Twój tata nie żyje”. Wszystko, co zdarzyło się przed tą chwilą, zaczyna się rozmywać. Mój tata nie żyje. Mój ojciec nie żyje. Tatuś umarł. Ależ on żyje! Nie umarł. Jeszcze wczoraj był żywy i przedwczoraj też. Był żywy zawsze, odkąd go znam. Minutę temu — był żywy. A teraz nie żyje? Oboje moi rodzice żyją. Tak to już jest. Niby jak mój ojciec miałyby umrzeć? Umierają starzy ludzie, taki na przykład Frank Sinatra. Ale nie ja. Nie moi rodzice. Ś m i e r ć . Bez żartów.

— Co? Co? Kiedy? — Moje usta zmieniają się w kawał galarety, drżąc, rozbiegają się dookoła mnie. Biedny, stary Luke wygląda okropnie. Nie lubi dramatów. Co innego Michelle — ta od randki w ciemno z krasnoludkiem — która pewnie ma erotyczne sny o przekazywaniu wieści tej rangi. Dla Luke'a informowanie kogokolwiek o czymkolwiek to męka. Kiedyś musiał mi powiedzieć, że wszedł przed chwilą do pokoju właściciela naszego mieszkania, żeby pożyczyć maszynkę do golenia, i zobaczył, że Fatboy zrobił olbrzymią kupę na środku kołdry Marcusa, i — zanim małośmy oboje nie umarli ze śmiechu — był cały purpurowy na twarzy i aż się jąkał, tak go przygniótł ciężar tej wiedzy.

Teraz jest inaczej. Słowa wypływają z niego strumieniem.

— Miał zawał serca dzwoniła twoja mama wciąż dzwoni od godziny twoja komórka jest wyłączona nie wiedziałem gdzie jesteś myślałem że może u Jaspere'a ale nie mogłem znaleźć jego numeru szukałem w twoim pokoju ale tam taki chlew i nie wiedziałem jak się do tego zabrać myślałem może rachunek telefoniczny ale nie wiem gdzie Marcus wszystko trzyma pojęcia nie mam gdzie on jest żeby go zapytać ona wciąż dzwoni jest w szpitalu jest naprawdę zmartwiona no naprawdę zmartwiona musisz do niej zadzwonić ale oni wciąż jej każą wyłączać komórkę więc jeśli... — Luke jest ogromnie zdenerwowany i duża kropla jego śliny ląduje na moim policzku. Próbuję ją dyskretnie ztrzeć, tak

żeby nie zauważył. Ręce mi się trzęsą. Za późno. Za późno, żeby wymyślić, że nie, nie wracam jeszcze do domu, wpadnę do Tiny, żeby jej pojęczeć o Jasperze w błogosławionej niewiedzy. Za późno, żeby pojechać do Hampstead i kupić sobie jakieś buty, których na pewno nie potrzebuję. Za późno. Luke już to powiedział. Nie można tego odwołać. Powiedział, więc to już jest. Luke upiera się, że odwiezie mnie do szpitala.

Oboje moi rodzice żyją. Nie, naprawdę. Mój tata jest umierający. Luke (palant!) źle zrozumiał. Choć biorąc pod uwagę, że rozmawiał z moją mamą, mogę się domyślić, jak powstała ta pomyłka. Luke wjeżdża na parking z piskiem opon, a ja wypadam z samochodu i pomykam na oddział nagłych wypadków. Zalewam pytaniami pierwszą osobę w fartuchu, jaka mi się napotoczyła. Kieruje mnie do poczekalni dla krewnych obok OIOM-u. (Oddziału Intensywnej Opieki Medycznej). Kurwa mać! Biegnę przez korytarz, mijam faceta, który zdejmuje z materaców poplamione prześcieradła. Nagle słyszę głos mojej matki i rzucam się w tym kierunku. O nie. Babcia Flo.

— Helen — wykrztusza mama i wybucha płaczem. Babcia Flo, która uważa, że uczucia są rzeczą nieprzyzwoitą, i uwielbiałaby Jaspera, spogląda na nią z potępieniem. Mama chwytą się mnie, jakby złamanie mnie wpół mogło naprawić to wszystko.

Ledwo łapię oddech, ale udaje mi się wysapać:

— Kie... kiedy umarł?

W tej chwili mama odpycha mnie od siebie gestem tancerza flamenco.

— Jeszcze nie umarł! — piszczy, gdy ja próbuję odzyskać równowagę. — Och, Maurice! Mój biedny Maurice!

Mój błąd. Gdy my rozmawiamy, mój ojciec jest właśnie w rękach specjalistów po potężnym zawale serca, jaki miał w czasie lunchu. Jako że jego lunch składa się zwykle z jajecznicy z czterech jaj — a wiem od Lizzy, że zalecana dawka to tylko dwa na tydzień — nie jestem szczególnie zdziwiona. Poza tym pali jak

uprzemysłowiony Manchester. Matka, która w tym czasie była na gorze i poprawiała sobie makijaż, znalazła go z głową w talerzu, pojękującego, z twarzą całą w jajkach. Zaczęła od wytarcia tacie twarzy oraz — mówię całkiem poważnie — umycia mu zębów, a dopiero potem zadzwoniła po karetkę. Cała mama. Nie jestem pewna, czy mycie zębów nie poprzedziło panicznej próby zastosowania metody usta-usta. Mówię „panicznej”, bo wtedy jeszcze był przytomny. Dzięki Bogu, że tego ranka tata się ogolił, miał na sobie czystą bieliznę i ładną koszulę, bo inaczej do jutra nikt by nie zadzwonił po pogotowie.

Nie możemy nic zrobić — wedle słów jakiejś wścibskiej baby, która twierdzi, że jest pielęgniarzką ratunkową — dopóki lekarze nie skończą zajmować się ojcem. Mówi o kroplówkach, monitorach, tlenie, badaniach krwi i odkrywa Amerykę: tata nie czuje się najlepiej. Więc siedzimy w szaroburej, obdrapanej kafeterii. Przynajmniej kawa jest bez fusów. Mama co chwila wybucha płaczem i wybiega, żeby zadzwonić do wszystkich znajomych. Potem stwierdza nagle, że nie znieśie tu nikogo, więc muszę dzwonić jeszcze raz i zniechęcać wszystkich do odwiedzenia szpitala.

Patrzę na babcię Flo. Szok sprawił, że jej zwykle zaciśnięte usta stają się jeszcze węższe, prawie znikają. Jej skóra jest tak wyblakła jak jej beżowa, nylonowa suknia, a oczy zapadnięte jak u salamandry. Czuję skurcz litości, ale dobrze wiem, że lepiej siedzieć cicho. Babcia jak zawsze cały ból zmienia w agresję i dzisiaj to Luke staje się jej ofiarą. Uznała widocznie, że to mój chłopak, i postanowiła mu dopiec.

— Pana włosy są za długie, wygląda pan jak dziewczyna. — To jedna z jej miłszych uwag. Jej opuchnięte ręce ściskają kolana, ale nie dość mocno, żeby się nie trzęsły. Nawet na mnie nie spojrzy, choćby raz, i wiem, że to dlatego, bym nie dostrzegła jej bólu. I rzeczywiście, gdyby nie te małe znaki, nikt by nie pomyślał, że właśnie umiera jej jedyne dziecko.

Pozwalam Luke'owi brnąć dalej w rozmowę z babcią i ignoruję jego rozpaczliwe spojrzenia błagające o pomoc. Gapię się tę-

po w obskrobaną ścianę, a chropawy głos babci, zwykle tak świ-
drujący na wylot, opływa mnie bezcieleśnie jak mgliste, zgrzy-
tające, dalekie echo. Wszystko wydaje się takie nierzeczywiste.
Właściwie wszystko się rozplywa w nicość. Czuję tylko pustkę.
Co ja tu w ogóle robię na tym twardym, pomarańczowym krze-
śle. Powinnam się pieprzyć z Jasperem. Mój ojciec powinien sie-
dzieć w swoim gabinecie, palić cygaro i czytać „Sunday Time-
sa”. Rodzice po prostu są, stała, w tle. Tapeta. Obdrapane ściany.

Bliska śmierć — to, co ostateczne, w zawieszeniu. Wystar-
czająca wymówka, żeby zadzwonić do Jaspera i wywołać u nie-
go wyrzuty sumienia. Z obydwu powodów moje serce przyspie-
sza do 140 uderzeń na minutę. Przynajmniej w ogóle b i j e. Naj-
pierw jednak pytam Luke'a, czy byłby tak miły i pojechał do
domu, żeby nakarmić Fatboya.

Podsakuje i krzyczy radośnie:

— Z przyjemnością! — Ale potem rzuca przerażone spojrze-
nie na babcię Flo i dodaje posępnie: — Zrobię wszystko, co
w mojej mocy.

Daję mu dokładną instrukcję: „Whiskas dla kociaków, jeśli
nie będzie chciał tego jeść, wtedy spróbuj Hill's Science Plan.
Jeśli nawet na to będzie kręcił nosem, otwórz puszkę tuńczyka
i wlej mu sos do miseczki, ale nie ten z oleju, nie cierpi tego,
musi być na wodzie źródlanej. Ale nie pozwól mu zjeść samego
tuńczyka, bo będzie wymiotował”. Fatboy jest strasznie żarłocz-
ny, ale ma bardzo wrażliwy żołądek. Rzyga ordynarnie drogim
żarciem dla kotów. Tylko te naprawdę drogie puszki, których nie
ma w supermarketach i trzeba się po nie wyprawić aż do Świata
Zwierząt, są dla niego odpowiednie.

— Koty — prycha babcia Flo. — Szkodniki.

Żal mi jej. To znaczy w ogóle mi jej żal. Ona nie widzi w ży-
ciu nic śmiesznego. Nie ma w niej nic z prawdziwej babci. Ani
strasznie grubaśnych nóg, ani koczka, ani pięciofuntowych bank-
notów na urodziny, ani gotowania papki z groszku i ryby z wo-
dy na obiad, ani brzdąkania na jej pianinie, ani opowieści nad
pożółkłymi, szeleszczącymi zdjęciami, ani kupowania słodyczy

za plecami rodziców. Uważam, że jest antybabcia, i podejrzewam, że ona ma o mnie równie „wysokie mniemanie”. Mój ojciec — gdy już zdarzy mu się o niej wspomnieć — przewraca oczami i mówi, że miała ciężkie życie. No, ja bardzo przepraszam, ale większość starszych osób, jakie znam, ma za sobą ciężkie życie, co nie znaczy, że są ponurymi kwokami. Babcia Michele jest przeurocza, a ona pracowała bite dwadzieścia sześć lat w fabryce kiełbasy. Coś jak Barbara Cartland, tylko więcej makiażu. Moja babcia jedynie gapi się w telewizor. Pozostawiam ją jej ponurym światom i lecę do telefonu.

Rozmowa z Jasperem to totalna porażka. Zaczyna od cierpkiego: „O, to ty, cześć”, a ja odczuwam krótką satysfakcję z przekazania mu wieści i wytrącenia go z jego obojętności. Tak naprawdę sama w to nie wierzę, sama nie wierzę, że wypowiadam te obco brzmiące słowa na głos. Więc może nic w tym dziwnego, że Jasper też mi nie wierzy! Powtarza jak jakiś elegancki android: „Jestem pewien, że wszystko będzie OK”.

Mówię mu stanowczo:

— Nie, Jasper, on naprawdę jest ciężko chory. — Ale bez rezultatu.

Jego ostatnia propozycja brzmi:

— Zadzwoń do mnie jutro i powiedz mi, co z nim. — Rozczarowana reakcją Jaspera nie mam ochoty z nikim więcej rozmawiać.

Jeszcze jedna godzina gapienia się w ścianę i wracamy do pokoju dla krewnych na OIOM-ie. To ponura klitka śmierdząca dymem, która podejrzanie przypomina moją szóstą klasę. W końcu pojawia się jakiś niechlujny wyrostek o przekrwionych oczach, w czarnych dżinsach i okropnej koszuli w kratę i oświadcza nam, że ojciec został przeniesiony na oddział kardiologiczny i że mamy iść za nim. Na szyi nastolatka dynda stetoskop, ale mimo to babcia Flo wygląda, jakby miała ochotę przetrzepać mu skórę. Winda pełźnie na jedenaste piętro w tempie upośledzonego ślimaka, zatrzymuje się na każdym piętrze. Zaczynam chichotać. Nie mogę się powstrzymać. Aż się trzęsę ze śmiechu. Nie prze-

stają, mimo że mama krzyczy: „Uspokój się!”. Wreszcie wpadam na genialny pomysł, żeby przygryźć sobie wargę tak mocno, aż poczuje krew. Podziałało. Kilka minut później asystent, jak mówi o sobie młodzieniec, zatrzymuje się przed pomarszczonym staruszką leżącym plackiem na łożku i mija dobra chwila, zanim go poznaję.

Mój ojciec, starszy wspólnik, przy którym Blake Carrington wygląda jak mięczak. Mój ojciec, nieoficjalny, ale jednogłośnie uznany król każdego przyjęcia w klubie golfowym. Mój ojciec, który nosi tylko garnitury szyte na miarę. Mój ojciec, który nagość stawia na równi z satanizmem. Mój ojciec, który ledwo co w zeszłym tygodniu powiedział mi — za pośrednictwem mamy oczywiście — że uważa, iż już czas, żebym znalazła samodzielne mieszkanie, i czy chciałabym, żeby mi pomógł w wyborze lokalizacji. Ta przykurczona, bezbronna istotka, która leży tu bez ruchu, z nagą piersią, zaplątana w sieć kabelków, wydzielająca z siebie słaby, słodki zapach choroby, blada i z zapadniętymi policzkami, chrypiąca, nieobecna i przykuta do tego pasudnego, metalowego łożka. To mój ojciec. I wygląda cholernie źle.

Kiedy ja stoję niema z przerażenia — choć nie mogę się powstrzymać od myśli, że to oznacza co najmniej tydzień zwolnienia z pracy — moja mama rozpacza w głos. Babcia Flo nic nie mówi, ale kiedy patrzy na swojego syna, z którego zostało niewiele więcej niż skóra i kości, jej oczy pod opadającymi powiekami błyszczą dziwnie. Niepewnie kładę dłoń na jej kościstym ramieniu. Ku mojemu zdziwieniu poklepuję ją. Potem przytulam mamę, szepczę jej jakieś beużyteczne słowa i patrzę, jak łapie nieruchomą rękę ojca i zawodzi w jego prześcieradło. Babci Flo udało się dzięki mruganiu powstrzymać łzy i siedzi teraz cicho koło mamy jak zrzedliwy anioł śmierci. Wyrostek ściszoneg głosem proponuje, żebyśmy wyszli do poczekalni dla krewnych, to wytłumaczy nam, co się dzieje, ale jak ciągle powtarza mi moja szefowa Laetitia — żądając ode mnie słów samej Królowej, a nie jakiegoś jej klona w postaci przedstawiciela prasowe-

go Buckingham Palace — trzeba rozmawiać z kataryniarzem, a nie z jego małpą. Biegnę za oddalającym się asystentem.

— Przepraszam pana bardzo! — Odwraca się. — Nie chciałam pana urazić — mówię — ale czy jest możliwość porozmawiania ze specjalistą? Chciałabym wiedzieć, co się stanie? To znaczy, jak długo...?

Młodzieniec wzdycha i mówi, że zaraz przyprowadzi stażystę. Pięć minut później wraca z typem, który — jestem tego pewna — ma najwyżej dwadzieścia dwa lata, najwyżej. Mówi, że nazywa się Simon i że tata jest bardzo chory. Co za niespodzianka! Potem wyjaśnia nam w języku przedszkolaków, co to jest zawał. Mówi też, że robią wszystko, co w ich mocy. Bardzo silne leki. Ale duża część mięśnia sercowego uległa martwicy. Brak ciśnienia krwi. Nerki zawodzą. Zbierają się płyny w płucach. Trudno precyzyjnie określić. Nie ma kryształowej kuli. To by zajęło całą godzinę. Parafrazując, ten zawał to nie żarty. Po zgnębionej minie Simona widać jasno, że ojciec już długo nie pożyje.

Babcia, mama i ja siedzimy bezradne przy łóżku ojca, aż niebo staje się czarne i zostajemy wypędzone do kolejnej paskudnej poczekalni. W oknach nie ma zasłon i kiedy przyciskam twarz do szyby, widzę cały Londyn migający słicznie na tle ciemnego nieba. Spędzamy tę noc, siedząc, chodząc, patrząc i wzdychając. Hilary zajmuje się ojcem i zagląda do nas, żeby cichym głosem powiedzieć nam, co u niego. Choć Hilary jest specjalistą w dziedzinie kardiologii, ma nieszczęście być mężczyzną, co staje się źródłem zdegustowania babci Flo, która raz po raz cmoka z niezadowolaniem i powtarza: „I to ma być pielęgniarzka?”. Dwukrotnie, dzięki temu, że głównym zajęciem mamy jest płacz i zgrzytanie zębami, zostajemy wpuszczone na oddział na krótkie czuwanie. Za każdym razem, gdy mój tata chrząknie, muszę powstrzymać ją przed naciśnięciem czerwonego guziczka alarmowego. Podczas drugiego czuwania Hilary prosi mamę, żeby mówiła ciszej, bo pozostałe osoby na oddziale próbują spać. Matka wydaje z siebie okrzyk gniewu i oburzona jego bezczelnością wybiega na korytarz. Krzywię twarz w przepraszającym grymasie i ru-

szam za nią. To jest długa noc. Przed piątą zaczynam zupełnie nieprzyzwoicie umierać z głodu, więc wymykam się ze szpitala i w sklepie na rogu kupuję serowe chipsy. Mogłabym kupić moje ulubione, solone, ale czuję, że takie zachowanie byłoby niewłaściwe. Mama nie jest w stanie nic przełknąć. Babcia Flo pożera mi co najmniej połowę tuby. Za każdym razem robi takie pchnięcie z wypadem po chipsa, że aż się dziwię, że jej nie wyskakuje ręka z zawiasów.

Zaraz po wschodzie słońca mama idzie rozprostować kości, a babcia Flo udaje się do toalety, co szczęśliwie zajmuje jej dwadzieścia minut. Hilary wyłania się zza drzwi i pyta, czy nie chciałabym zajrzeć do ojca. Kiwam głową. Serce mi wali. Sekundę później jestem z nim sam na sam. Jego brodę pokrywa wysypka szarobrudnego zarostu i szok uderza mnie jak policzek. Delikatnie kładę dłoń na jego dłoni. Powinnam coś powiedzieć. Ale to żenujące. Najbardziej żenująca rzecz — rzecz, która najbardziej zawstydziłaby mojego ojca — to wielka, kwadratowa, przezroczysta torba na siuski zwisająca na rurze, której drugi koniec szczęśliwie ginie pod kołdrą. Torby innych pacjentów są wypełnione moczem. Ale mojego ojca — co zauważam z ulgą — jest pusta.

Nie cierpię, kiedy gadam jak osoba, która pracuje w magazynie dla kobiet, ale wydawałoby się, że ktoś mógłby pomyśleć o bardziej stylowej, bardziej nieprzejrzystej torbie. Bezmyślnie zastanawiam się, czy Prada zgodziłaby się zrobić projekt cewnika dla publicznej służby zdrowia oraz czy w tym wypadku lepszym wykonawcą nie byłby przypadkiem Louis Vuitton, kiedy nagle mój ojciec wydaje z siebie głośnie chrypięcie. Cholera! Powiedz to, powiedz, teraz, teraz, powiedz to! Ale jestem niema. Ściskam rękę mojego ojca i myślę, z trudem, w swojej głowie: „Kocham cię. Tatusiu, kocham cię. Tato, czy mówiłam ci, tato, mam nadzieję, że wiesz, tato, wiem, że nie byliśmy, że nie...”. Po prostu powiedz to. Nie mogę. Słowa są jak klej. Jakby „rzucam cię”, tylko milion razy bardziej lepkie.

Mijają godziny i wciąż tego nie mówię. Zamiast tego ściskam

dłoń ojca i kładę na niej głowę. Ta ręka, która machała na taksówki, wołała o rachunki, z wdziękiem podpisywała czek, pieściła twarz mojej matki, trzepała mnie po plecach, ta ciepła, solidna, duża łapa niedługo będzie zimna i martwa, będzie gnijącym ciałem, rozkładającym się głęboko pod ziemią. Boże święty. Wpada moja mama z „Daily Mailem” i maszeruje przeszkadzać Hilary'emu. Więc zamiast powiedzieć: „Kocham cię, tato” i zapłakać nad jego kruchym, umierającym ciałem jak prawdziwa córka, czytam mu wiadomości gospodarcze z „Daily Maila”.

Wraca babcia Flo i przygląda mi się podejrzliwie.

— On cię nie słyszy — warczy i znów wychodzi. Wstaję, wychodzę na korytarz i kopię w mur, aż mały nie łamię sobie palca. Opiaram się o ścianę i oddycham głęboko. Potem, kuśtykając, wracam na swoje stanowisko i — ignorując zaciekawione spojrzenia chorych nieszczęśników — kontynuuję lekturę. I nie wiem, jak to się dzieje, że mój cichy szepc zmienia się nagle w chaos, ktoś krzyczy: „jego serce!” i „wezwołajcie lekarza!”, i zalewa mnie potok ludzi w białych i niebieskich ubraniach, którzy wrzeszczą, przepychają się, pobrzękuje łóżko, jeżdżą wózki, zasuwają się zasłony, a gdy ktoś mnie odciąga, jak przez mgłę widzę, że pomarańczowa linia na czarnym monitorze zwiariowała zupełnie, a mój ojciec zapadł się w poduszkę. I tak, jestem przy ojcu, kiedy umiera, ale każde z nas jest samo.

Dwadzieścia minut później stażysta wspierany przez znanego nam już młodzieńca tłumaczy coś mojej rozpłakanej, trzęsącej się matce i mojej babce, spokojnej i opanowanej. Następuje krótkie nieporozumienie, kiedy facet stwierdza, że ojciec miał zawał serca i przeniósł się gdzie indziej, ale szybkie sprostowanie, „to znaczy, zmarł”, wyjaśnia sprawę. Mój ojciec nie żyje. Zmarł o 7.48. Zmarł w złotej godzinie — gdy wschodzące słońce okrywa świat ciepłym, żółtym kocykiem zaczarowanego światła. Nigdy więcej Maurice nie zobaczy złotej godziny. Jest piękny dzień i mój ojciec nie żyje.

ROZDZIAŁ III

Tak naprawdę szklane pantofelki Kopciuszka były zrobione ze skóry. Ale kiedy Francuzi tłumaczyli tekst, *furlined* — „obszyte futerkiem” przełożyli jako *verre* — „ze szkła”. Głos mojej mamy staje się cieplejszy, gdy opowiada mi o tym, i wiem, że taki Kopciuszek wydaje jej się bardziej domowy i miłszy do przytulenia niż arogancka madame, która tupocze po królewskiej sali balowej w twardych butach ze szkła. Mama uwielbia takie historie, i właśnie dlatego, jako nauczycielka klas początkowych, jest nie do przebiccia.

No i dlatego, że umie krzyczeć głośniej niż ktokolwiek, kogo znam. Dzieciaki ją uwielbiają, o wiele bardziej niż ona je. Jej motto to: „Nie angażować się”. Nawet wtedy, gdy mamusia pięcioletniego Ahmeda dzwoni i pyta, czy Ahmed nie mógłby zostać na noc w szkole, bo biali ludzie w ich dzielnicy rzucają kamieniami w ich okna, biją ojca Ahmeda i wciskają psie gówno przez ich skrzynkę na listy nieprzerwanie od trzech lat, a Ahmed musi się przecież kiedyś wyspać. Moja matka nie bierze sobie pracy do domu.

W domu moja mama wraca do swojej bajki. Jest księżniczką z północno-zachodniego Londynu i opiekuje się nią przystojny książę o imieniu Maurice. Nikt by się nigdy nie domyślił, że jest inteligentną, wykształconą kobietą. Panikuje, jeśli ma sama nastawić wideo. Jest znana z tego, że nie odpowiada na telefony babci Flo ani żadnych innych emocjonalnych wampirów. Wyznaje twarde zasady strusia — jeśli będziesz ignorować swoich

zaborczych przyjaciół i krewnych, pójdą sobie i wcale nie będą ani wściekli, ani urażeni. Chce, żeby wszystko było miłe, a jeśli takie nie jest, tupie nóżką tak długo, aż się takie staje.

I poniekąd dlatego właśnie śmierć mojego ojca — śmierć mojego ojca! — to poważny problem. Matka nie chce się angażować. Nie chciała widzieć jego ciała, choć, prawdę powiedziawszy, ja też nie chciałam, nie chciała przyjąć aktu zgonu — „Nie wymawiaj przy mnie tego słowa!” — i nie chciała mieć nic wspólnego z organizowaniem pogrzebu. Wszystko to spadło więc na mnie i babcię Flo, która, co ciekawe, okazała się diabło skuteczna.

Koledzy w pracy zachowali się świetnie. W poniedziałek rano zadzwoniłam do Laetitii. Bardzo mi współczuła, ale zasugerowała z naciskiem, żebym jednak przyszła do pracy — „to ci pomoże zająć czymś myśli”. Powiedziałam: „Ee... myślę, że są już i tak dość zajęte”. Obiecała też, że wyśle mi kilka magazynów, żebym nie wypadła z rytmu. Ucieszyłam się, bo nie miałam innego wyjścia. W każdym razie dostałam tydzień wolnego, urlop okolicznościowy. Jeśli nie przyjdę do pracy w przyszłym tygodniu, dostanę tylko połowę pensji. Szalona i beztroska dzwonię we wtorek rano, żeby jeszcze raz upewnić wszystkich co do losu mojego taty. Wymawiam słowa, ale nie jestem do nich przekonana. Natychmiast sekretarka naczelnego wysłała olbrzymi bukiet pomarańczowych kwiatów do domu moich rodziców. Luke zgodził się popilnować Fatboya, a mama jest zupełnie rozbita, więc pomieszkuję teraz u niej. Jedno trzeba przyznać tym z „Girl-time'a” — robią niezłe bukiety.

Dzwoni Lizzy, mówi, że bardzo jej przykro, i pyta ściszym głosem, czy jakoś sobie radzę.

— Nic mi nie jest — odpowiadam szybko, zanim zdążę to przemyśleć.

— Jesteś pewna?

Absolutnie pewna, mówię jej łamiącym się głosem jak z farsy, nic mi nie jest, jestem bardzo zajęta, mama szaleje, bo nie mieści jej się w głowie, że Urząd Paszportowy dopuścił się takiego okrucieństwa, żeby żądać zwrotu paszportu taty.

Lizzy chce znać szczegóły, a kiedy opowiadam jej o wkładaniu ubrań taty i jego zegarka do plastikowej torebki oraz o tym, że mama nie chciała wyjść ze szpitala, Lizzy zaczyna płakać. Wkurza mnie to, choć czuję, że niesłusznie. Jak ona śmie płakać? Potem raczy mnie zabawnymi historyjkami z biura. Dzisiaj, mówi mi, redaktor naczelny oprowadzał po firmie byłego zakładnika Terry'ego Waite'a — dokładnie tak mówi! — byłego zakładnika — ale wszyscy ich zignorowali, bo była wyprzedaż w dziale urody. Wyprzedaż w urodzie następuje wtedy, kiedy redakcja zdrowia i urody odsprzedaje wszystkie kosmetyki, które im się nazbierały, 50 pensów za sztukę, a zysk idzie na cele dobroczynne. Wszyscy biją się i żrą, żeby wyrwać coś dla siebie. Gównu mnie to wszystko obchodzi, ale zmuszam się do krótkiego prychnięcia pełnego zachwytu.

I wtedy Lizzy mówi coś, czego nikt inny nawet by nie spróbował powiedzieć:

— Helen — zaczyna z powagą. — Jestem pewna, że byłaś wspaniałą córką. Tata na pewno był z ciebie bardzo dumny.

Jezu! To o k r o p n e . Jak można powiedzieć coś tak potwornego?

— Lizzy, proszę, nie mów do mnie w ten sposób — szepczę i szybko odkładam słuchawkę. Trzęsę się. Czuję, że moja głowa robi się ciężka i jakby niestabilna, jak głąz, który zaraz stoczy się z urwiska. Zaciskam zęby tak mocno, że cała twarz zastyga mi w jakimś grymasie potwornego uśmiechu. Robię kilka szybkich, krótkich wdechów, aż powraca wygodny stan otępienia. Dopiero wtedy mam odwagę coś powiedzieć.

— W tym domu jest ciemno i zimno — mówię ze złością do babci Flo. I dodaję złośliwie; — Jak w jakiejś cholernej kostnicy.

Zaczynam się miotać po domu, włączając ogrzewanie i światło. Dalej jest mi zimno, ale to mnie trochę uspokaja.

Mama siedzi w ich... w swojej sypialni na podłodze i wacha pulower ojca. Zanoszę jej filiżankę bezkofeinowej kawy, bo boję się, że prawdziwa mogłaby wywołać u niej jakiś narkotykowy szał. Chowam też nurofen. Dzielimy się z babcią Flo śmiertelny-

mi zadaniami, których jest, tak na oko, z milion. Prawnicy, zawiadomienia, zaświadczenia, wnioski, testament, urzędowe zawiadomienie testamentu, polisy, ubezpieczenia, podatek. Jezu! Na samą myśl o tym, ile rzeczy muszę załatwić, chce mi się wyć i czuję, że zaraz zwariuję, więc staram się o tym wszystkim nie myśleć. Chcę tylko zauważyć, że nie cierpię zajmować się innymi i nienawidzę organizować, zatem to nie jest najlepszy dzień mojego życia. Najchętniej rzuciłabym się na łóżko i pogapiła w sufit, ale moje serce wciąż bije, więc odpoczynek jest niemożliwością. Za to mam cudowną przemianę materii i teraz już rozumiem, dlaczego ludzie w żałobie są tacy szczupli. Michelle szlag trafi. Poza tym, choć w życiu nie myślałam, że to kiedykolwiek powiem, dzięki ci. Boże, za babcię Flo. Jakimś cudem zdołała wyrwać mamę na chwilę z otępienia i zmusić ją, żeby nam pokazała, gdzie tata trzyma wszystkie papiery. Obdzwoiła wszystkich naszych koszmarnych krewnych i powiedziała im, żeby na razie się do nas nie zbliżali, oraz uparła się, że należy zarejestrować tatę — co oznaczało wyprawę aż do ratusza w Camden.

Każę jej wziąć taksówkę. Protestuje, twierdząc, że pojedzie autobusem, więc mówię, żeby jechała na mój koszt. Potem mówię kierowcy, żeby na nią poczekał i odwiózł ją tu, a ja zapłacę. W końcu to tylko pieniądze, a właśnie umarł mi ojciec, raz się żyje. Nie wiem, czy to objawy hysterii, ale zaczynam mówić komunałami. Dzwonię do domu pogrzebowego, którego numer znalazłam w książce telefonicznej — d o m u! — czy oni powariowali? — i mówię: „Dzwonię w imieniu mojego ojca”. Jakbym mu rezerwowała miejsce w hotelu!

Za cholerę nie wiem, co mam robić, więc robię dokładnie to, co każą na niebieskiej ulotce, którą dostałam jeszcze w szpitalu, zatytułowanej *Co należy zrobić po śmierci w Anglii i Walii*, jakby to była książka kucharska. Ulotka jest o wiele bardziej pomocna niż moi niewydarzeni przyjaciele. Znowu dzwoni Lizzy i mówi mi, że rozmawiała z redaktorką zdrowia i urody i ona twierdzi, że jest taka organizacja, która się nazywa Ośrodek Śmierci Naturalnej i zajmuje się ekologicznymi pogrzebami oraz produ-

kuje trumny ulegające biodegradacji. Kiedy zaczyna mi opowiadać o „wiklinowej kapsule”, nie wytrzymuję i proszę ją, żeby się zamknęła. Sześć godzin później wraca zwycięska babcia Flo z aktem zgonu w dłoni — nabzdyczona, bo kosztował ją 6,50. Wrzucam jej pieniądze do portmonetki, gdy idzie do toalety. Udało jej się też zdobyć niesławny zielony formularz, o którym wszyscy ciągle gładzą. Bez niego nie można pogrzebać ciała, a zmarły nie będzie uznany za zmarłego. Ha, ha, ha!

Mimo śmiechu wartej upiomości całej tej sytuacji facet z domu pogrzebowego jest kochany. Zgodnie z moimi oczekiwaniami wygląda jak Uriah Heep — albo raczej tak, jak sobie wyobrażam Uriaha Heepa, bo nie przebrnęłam przez żadną powieść Dickensa oprócz *Wielkich nadziei*, do której zmuszono mnie w szkole. Jest wysoki, kościsty, ma niebieskie oczy i siwe resztki włosów zaczesane zgrabnie na łysince. Jego uścisk dłoni jest odrażająco bezwładny. Zbieram się w sobie, żeby stawić czoło temu podłemu pasożytowi, ale okazuje się bardzo miły. Prowadzi mnie do pomieszczenia, gdzie na centralnym miejscu wisi małe wyszukany obrazek jelenia w ciemnym lesie, jasny promień słoneczny pada dokładnie na głowę zwierzęcia. Częstuje mnie kawą i przedstawia wszystkie możliwości. Przeglądamy broszurkę z trumnami. W każdej chwili może wejść Nicky Clarke. Uriah mówi, że jeśli klient wybiera kremację, „polecamy trumnę prostą, acz dostojną, że tak powiem”. I dodaje z wdziękiem:

— Nie jest może z drewna najwyższej jakości, ale wie pani, co się dzieje w czasie kremacji. — Przytakuję i uśmiecham się, jakby dyskusowanie o kremowaniu mojego ojca było moją codzienną rozrywką. — Wygląda pięknie i nie poczuje się pani rozczarowana, gdy zobaczy ją pani w trakcie uroczystości — ciągnie Uriah. Niech Bóg mu wynagrodzi.

Pokazuje mi także broszurę z wieńcami, pełną olbrzymich, rozmamłanych aniołów, poduszek, trąbek i krzesulek. Dziwne — przecież śmierć to raczej leżenie niż siedzenie. Koszt grobu jest niewyobrażalny i Uriah wyraża się z potępieniem o londyńskich cenach.

— Działka, na której zmieszczą się co najwyżej trzy osoby — słucham? — może kosztować nawet tysiąc funtów. — A na widok mojej przerażonej miny, choć przeraża mnie nie tyle zdzierstwo, co wizja trzyosobowego grobu, dodaje: — Tak, tak. Ziemia w Londynie jest bardzo droga. Działka na cmentarzu w Londynie może kosztować nawet pięć tysięcy! Tymczasem nie tak dawno musiałem zająć się pogrzebem mojej matki, w Conwall, i tam działka kosztuje pięć funtów!

W miejsce puenty unoszę brew i stwierdzam, że mimo tych kosztów moja rodzina decyduje się na pogrzeb.

Po grzeb, nagrobek, śmierć, ciało mojego ojca — nowy zasób okropnych, obcych, odrażających słów. To wszystko jest groteskowe i sama nie wierzę, że tu jestem. Siedzę na krześle jak posąg, nogi razem, plecy prosto, ale w głowie mi huczy, jakbym nurkowała bardzo głęboko, i mój umysł wrzeszczy: „To naprawdę śmieszne”, i mam ochotę biec i biec, aż przestanie takie być. Tymczasem Uriah chciałby podkreślić, że będzie współpracował ze szpitalem i pastorem, zorganizuje karawan i samochód i tym samym zdejmie cały ten kłopot z mojej ślicznej główki, a do pogrzebu „tata zostanie z nami”. Uśmiecham się i kiwam głową, choć naprawdę wiem, że to ostatnia rzecz, o jakiej ojciec marzył.

— Może pani — dodaje Uriah — wpaść do nas i zobaczyć się z nim, kiedy tylko pani zechce.

Radzi mi, żebym teraz poszła do domu, raz jeszcze przemyślała wszystko z mamą i zadzwoniła do niego jutro. Żegna mnie kolejnym wåtłym uściskiem dłoni i słowami:

— Co za potworny dzień, nieprawdaż?

Ma rację. Leje jak z cebra i niebo jest szare jak garnitur Uriaha.

— Dziękuję za wszystko — mówię i biegnę do toyoty.

Wchodzę do domu i kogóż widzą moje oczy?! Uwielbiam to sformułowanie — tak mówi czarnoksiężnik z Oz — wolę je nawet od mojego ulubionego: „Kto by uwierzył?”. Kogóż widzę siedzącego przy kuchennym stole, obsypującego babcię Flo kwiatami — choć w jej wieku to już wszystko jedno — oraz moją

mamę — która w czarodziejski sposób zmieniła się nagle w piękną wdowę z pełnym makijażem i w długiej, czarnej sukni — kogóż, jak nie Jaspera.

— Jasper? — skrzeczę przeraźliwie.

— Heeelen! — beczy moja mama, zsuwając się z krzesła i rzucając mi się w objęcia. — Tak długo cię nie było! Byłam przerażona! Bałam się, że miałas wypadek!

Ta, jasne! I niby zawsze mnie tak tuli.

— Mamuś, nie wygłupiaj się. Załatwiałam sprawy ta... pogrzeb. Opowiem ci później. — Wydobywam się z jej stalowego uścisku i całuję Jaspera skromnie w policzek. Choć to durne i beznadziejne, jestem bardzo szczęśliwa, że się pojawił. Babcia Flo i mama nie przejawiają najmniejszych chęci podarowania nam odrobiny prywatności, więc proponuję, żebyśmy poszli na górę. Docieramy do gabinetu taty, który jest właściwie moim dawnym pokojem. Rodzice przerobili go na gabinet jeszcze tego samego dnia, gdy się wyprowadziłam.

Jasper ma mi coś do powiedzenia. Ma bardzo poważny wyraz twarzy.

— Helen — zaczyna. — Bardzo mi przykro. Biedactwo. Przy najmniej nie cierpiał. I dobrze przeżył swoje życie. I, wierz mi, czas leczy rany — przerywa na chwilę. Jestem wściekła. Pałant chlapiący ozorem. I co jeszcze? Staraj się zająć czym innym? Może chcesz porozmawiać? A może wziąć kąpiel z pianą?

— To niezmiernie pocieszające — mówię mu, nie ukrywając sarkazmu — ale szczerze mówiąc, wolałabym, żeby jeszcze żył.

Zatyka go. W wiktoriańskim świecie Jaspera etykieta zabrania kobietom odburkiwać.

Zacina się, a potem dodaje:

— No, tak. Musi ci być ciężko. A jeszcze ciężiej musi być twojej matce, znała go przecież dłużej niż ty.

Jezu Chryste! Wszystkim nam jest ciężko, ty skończony pa-lancie!

— Słuchaj, Jasper — przerywam mu. Jestem tak wściekła, że aż trudno mi mówić. Trzęsę się i jeśli już chcecie znać szczegóły,

mój zwieracz zaciska się w trzech mocnych spazmach. Pewnie dlatego, że jestem tak cholernie zachwycona tym, że wreszcie mówię to, co myślę. — Słuchaj, Jasper. Właśnie zmarł mój ojciec i mam dużo roboty. A ty mówisz te rzeczy... takie bzdury... to, co mówisz, po prostu nie pomaga. — I pierwszy raz, odkąd zaczął się ten kryzys, jestem bliska łez. — Więc, Jasper, jeśli masz mi coś konkretnego do powiedzenia, to mów.

Wbija wzrok w podłogę. Potem, ku mojemu szczeremu zdziwieniu, rumieni się.

— W niedzielę — oświadczam — skłamałem. Widziałem się z Louisa w zeszłym tygodniu. I tak, spaliśmy ze sobą. Ja... nie miałem takiego zamiaru. Nie wiem, jak to się stało. — Patrzy mi prosto w oczy. Wytrzymuję jego spojrzenie. — Źle się z tym czułem — tłumaczy. — I ponieważ twój ojciec zszedł właśnie z tego świata, pomyślałem, że jestem ci winien prawdę.

To się nazywa odwaga cywilna.

— No — mówię. — Jak miło z twojej strony. Przynajmniej coś dobrego wyniknęło ze śmierci mojego ojca.

Ale Jasper tego nie chwytą. Wygląda na zadowolonego i przytakuje:

— No.

— Jasper — cedzę i zaciskam pięści. — Ale z ciebie dupek. Proszę cię, idź sobie. To koniec.

Głowa aż mu podskakuje ze zdziwienia.

— Ależ — duka. — Ależ, kwiatuszku. To była pomyłka. Błędna ocena sytuacji.

Gapię się na niego.

— Z całą pewnością — stwierdzam i nawet nie wiem, czy mi jeszcze zależy, czy może mówię to tylko dlatego, że tak wypada.

Jasper przeciąga dłonią po włosach i protekcyjnym tonem zaczyna:

— Helen...

Przerywam mu i ostrym tonem stwierdzam:

— Jasper, właśnie cię rzuciłam.

Niebiańsko błękitne oczy mrużą się i Jasper się wzdryga.

Potem wychodzi. Cicho zamyka za sobą drzwi.

Boże. Co ja narobiłam. Wracają zawroty głowy. Zaczynam płakać ze złości, nie umiem powstrzymać potoku łez. Wściekła pociągam nosem z agresją i wycieram twarz. Ogłuszona tym wszystkim schodzę do kuchni. Czuję się chora i wykończona, głowa zaczyna mnie boleć.

Mama spogląda na mnie uważnie:

— Helen! Cóż to był za miły chłopiec! Nie pojmuję, czemu nigdy nam go nie przedstawiłaś. Przyniósł mi lilie. — Cisza. Widząc moją wściekłą twarz, dodaje niepewnie: — Córeczko, czy wiesz, że podczas wojny uprawiano warzywa w fosie Tower of London?

ROZDZIAŁ IV

Z okazji moich czwartych urodzin ojciec zabrał mnie na *Dziadka do orzechów* i narobiłam mu wstydu, bo zaczęłam wyć: „Ja też chcę być wróżką!”. Od tego czasu skorygowałam swoje ambicje z tej przykrej, choć prostej przyczyny, że wróżki noszą spódniczki. Ja nie noszę spódniczek. Nie będę nosić spódniczek. Od około pięciu lat nie miałam na sobie żadnej spódniczki, bo mam zbyt krótkie i zbyt masywne nogi i jak włożę spódnicę, to wyglądam jak przebrany buldog. Tak więc niedawno upolowałam w Miss Selfridge obcisłą, zwężaną kreację w stylu *Śniadania u Tiffany'ego* i w chwili jakiegoś szaleństwa złamałam swoje zasady. Poszłam w niej do pracy, mówiąc sobie: „W końcu moje nogi nie są aż takie złe”. Potem zobaczyłam czyjeś kończyny i stwierdziłam: „Mój Boże, co ja sobie myślałam?”. Następnego dnia oddałam spódnicę Michelle, która bardzo się ucieszyła i powiedziała, że poprosi krawcową, żeby ją zwęziła.

Niestety moja mama nie chce uszanować mojej zasady co do spódnic.

- Nie możesz iść w spodniach na pogrzeb! — wrzeszczy.
- Czemu nie? — mrużę. — Tata nie miałby nic przeciwko. Na te słowa mama tupie nogą. Ma pięćdziesiąt pięć lat!
- Tak, ale ja mam! — krzyczy.
- Ale...

Głos zaczyna jej się łamać:

— Helen, po prostu zrób, o co cię proszę! Nie kłóć się ze mną, ostrzegam cię, nie zniosę tego! — Moja mama mogłaby

udzielić Eltonowi Johnowi kilku lekcji pt. *Jak dramatyzować skutecznie*. Tymczasem moja cierpliwość znika w oczach jak anorektyczka na diecie. Mojego ojca nie wzruszyłoby, nawet gdybym przyszła na ten pogrzeb ubrana w mundur strażacki.

Czy wspominałam już o tym, że nagość traktował na równi z satanizmem? No i religię także traktował na równi z satanizmem. W związku z tym jego pogrzeb ma być — jak poleciłam Uriahowi — minimalnie uduchowiony. Żadnych pieśni, żadnych domów Pana Naszego. I żadnych żółci, bo mój ojciec nie cierpiał tego koloru. Tylko najprostsza ceremonia pogrzebowa.

— Prowadzona przez kogo? — spytał Uriah.

— Przez pastora oczywiście — odpowiedziałam. To nieco zaniepokoiło Uriaha, ale wytłumaczyłam mu, że naprawdę nie zdołam wymyślić nikogo, kto mógłby ją poprowadzić, choć kuzyn Stephen zgłosił swoją kandydaturę, więc musi nam wystarczyć pastor. Ale ma mówić zwięźle i, o ile to tylko możliwe, unikać żółtego i odwołań do Boga.

Mama doskonale o tym wszystkim wie, a jednak rozdmuchuje problem spódnicy do wymiarów międzygalaktycznych. Krzyczy i wymachuje rękoma. Nagle sama myśl o tym, że mam spędzić choć minutę dłużej w jej towarzystwie, jest nie do zniesienia.

— Dobra — rzucam. Wypluwam słowa jak pestki od winogron. — Niech ci będzie. Włożę spódnicę. Włożę spódnicę, ale postanowiłam — i kiedy to mówię, podejmuję właśnie tę decyzję — pojadę na pogrzeb sama. Nie będę uczestniczyła w tej szopce z konduktem. To zbyt ponure. Nie zrobię tego.

Czyli jak rozpętałam trzecią wojnę światową.

Nie ma mowy! Czy o s z a l a ł a m? Chcę ją wpędzić do grobu. To nie do pomyślenia. Co ludzie powiedzą. Bła, bła, bła. Na szczęście do moich zadań w pracy należy dzwonienie do ekspertów po dodatkowe wypowiedzi, żeby poprawić nudne teksty pisane przez leniwych, przepłacanych dziennikarzy. Stosuję więc sztuczkę, o której opowiedział mi jeden z wielu psychologów, z jakimi przeprowadzałam wywiady dla „Girltime'a”. Technika zaciętej płyty. Cokolwiek rzuca mama — oskarżenia, pogroźki,

błagania, kulki z gazet dla pedagogów — ja tylko spokojnie powtarzam to samo coraz bardziej irytujące zdanie:

— Tak, zdaję sobie z tego sprawę, ale postanowiłam, że na pogrzeb pojedę sama.

Za piątym razem mama wydaje z siebie głośny skowyt i wrzeszczy:

— Zamknij się zamknij się zamknij się nie zniosę tego! — I biegnie na górę. Uznaję to za oznakę wygranej i triumfująca wracam do swojego mieszkania. I nie mam żadnych wyrzutów sumienia. Czemu miałabym mieć?

Wstaje nowy, wspaniały dzień — dzień pogrzebu. Budzę się raptownie i od razu, nie wiadomo dlaczego, czuję w żołądku skurcz strachu. I wtedy przypominam sobie. Niebo jest błękitne, ale jest zimny, wietrzny, paskudny dzień. Jeden z tych dni, które i tak zrujniają twoją fryzurę, choćbyś za pomocą pianki i sprayu całkowicie ją usztywniła. Co gorsza, Tina dopiero wczoraj wróciła z sesji zdjęciowej w Nowym Jorku, więc była niedostępna, gdy potrzebowałam porady, a jedyna tania spódnica, jaką znalazłam podczas mojej samotnej wyprawy na zakupy, jest długa, czarna, rozciągliwa i w talii ma kokardę z materiału, której nie da się odzepić. Wkładam ją i od razu wyglądam jak Alison Moyet.

W mieszkaniu jest cicho, więc biegam w kółko i trzaskam drzwiami, żeby było trochę głośniejsze, i jestem wściekła na mamę, że nie dzwoni. Włączam radio i słyszę, że balon z dwoma palantami runął w morze i tym samym nie udało się próba pobicia światowego rekordu nudziarzy Balonem Dookoła Świata. To mnie trochę pociesza. Jezu! To jest ich hobby! Szukam kolczyków i zastanawiam się, jaka igła jest potrzebna do przekłucia balonu wypełnionego ciepłym powietrzem, kiedy nagle spoglądam na zegarek i widzę, że jest 10.25. Pogrzeb zaczyna się o jedenastej.

Sześć okropnych, drogowych minut później wlokę się po Golders Green i próbuję nałożyć szminkę, zerkając we wsteczne lustro. Co najmniej dwadzieścia pięć volvo zaparkowało sobie

na środku ulicy. Żałuję właśnie, że nie pojechałam inną drogą, kiedy dostrzegam znajomy ruch w dość dużej odległości. Mrużę oczy i widzę mojego ojca, jak idzie sobie spokojnie po chodniku. Ściska mi się żołądek, gdy patrzę, jak maszeruje tym pewnym siebie krokiem, i te jego szerokie ramiona, i nagle spogląda na mnie, szybko, raz, przez ramię, i to nie jest wcale mój ojciec, i słyszę okropnie głośny, blaszany huk, i lecę do przodu, i zatrzymuję się gwałtownie, bo właśnie wjechałam — wolno, chociaż z wielkim przekonaniem — w zaparkowanego pomarańczowego volkswagena beetle.

— Ooooo nie! — krzyczę.

Moja pierwsza myśl jest taka, że trzeba zadzwonić do taty. Mogłabym się oczywiście rozpłakać, ale nie mam wodoodpornego tuszu. Więc zamiast tego wyskakuję i lecę zobaczyć, jak duże są szkody. Natychmiast inne samochody zaczynają na mnie trąbić. Dobrze zakonserwowana kobieta w jeepie cherokee otwiera okno i zauważa usłużnie:

— Jechała pani za szybko.

I wtedy słyszę wrzask.

— Moja Nancy! Boże, moja Nancy! — wyje mała blondynka o wymownej konturówce na ustach i w białym fartuchu. Jest sina z wściekłości. Biegnie w moją stronę, aż stoimy nos w nos i czuję z jej ust leciutko nieświeży zapach.

— N-n-n-ancy? — dukam przerażona. O Boże! Zabiłam kogoś.

— Nancy, mój samochód, ty głupia krowo!

Westchnienie ulgi na myśl, że jednak nie pójde do więzienia, oraz powolne przetworzenie przedziwnego faktu, że ta pretensjonalna baba, która nadała imię samochodowi, nazywa mnie głupią krową, powodują taki skok adrenaliny, że ryczę:

— Przystań się pani drzeć, do kurwy nędzy, to tylko gówniana mała puszka coli, nie samochód!

Wygląda na zszokowaną. Pewnie nie myślała, że ktoś ubrany w taką spódnicę używa słowa „kurwa”. Otwiera swoje zapaćkane szminką usta, żeby mi odpowiedzieć, ale ja naprawdę nie jestem w nastroju. Wrzeszczę:

— Bardzo mi przykro, ale właśnie jadę na pogrzeb ojca...

I zatyka mnie w połowie. Zatyka mnie, bo wysoki brunet, także w białym fartuchu, podbiega do nas i ewidentnie oczekuje, że pozwolimy mu się włączyć do rozmowy:

— Tak? — pytam chłodno.

Blondynka natychmiast oblewa się rumieńcem wstydu.

— Tom! — mizdrzy się. Dosłownie ryje nosem w jego fartuch. Widocznie musiał mi się wymknąć szyderczy uśmiech, bo blondynka rzuca mi mordercze spojrzenie. — Tom, zobacz, co ona zrobiła mojej Nancy!

Obie przyglądamy się strzaskanemu zadkowi Nancy. Potem spoglądamy na Toma. Ona z uwielbieniem. Ja z wyższością, spóźniony refleks, próbuję szybko zatrzeć ślady pierwszego spojrzenia. Wychodzi z tego jakiś koszmarny grymas. Tom jest boski. A raczej ma — wiem, że to nie zabrmi zbyt pozytywnie, ale potraktujcie to jak osobistą obsesję — oczy jak pies husky. Zimne, blade, olśniewająco błękitne. Wrrr. I te zęby. Wilcze kły. Wiem, bo posyła mi zdziwiony uśmiech. Moja słabość to ostre kły. Co mam rzec? To dziwne. Bo ja nawet nie lubię psów.

— Celine, to głównie zderzak. Przystań wrzeszczeć — mówi Tom. Potem odwraca się do mnie i pyta: — Nic ci nie jest? Chcesz może usiąść?

Kręcę głową.

— Jestem spóźniona — rzucam ostro. — Jestem spóźniona na pogrzeb ojca i jeszcze to!

Krztuszę się. Celine milczy buntowniczo.

— O kurczę — mówi Tom.

— Co z Nancy? — pyta nabzdyczona Celine.

— Zajmę się samochodem — uspokaja ją Tom. — Idź do środka. — Celine odbiega wzburzona. Tom puszcza do mnie oczko. — Przepraszam za nią. Wyglądasz, jakbyś była w szoku. Jesteś w stanie prowadzić?

Wzruszam ramionami. Chcę mu powiedzieć, że nic mi nie jest, ale wyrzucam słowa:

— Kręci mi się w głowie. — Bawię się zegarkiem i nagle

uświadamiam sobie, że pogrzeb ojca zacznie się za niecały kwadrans. — Jestem już strasznie spóźniona! I ten garbus!

Tom macha ręką na garbusa.

— Ten garbus jest wart z dziesięć pensów. Zapomnij o nim. Możesz się tym zająć potem. — Milknie. — Nie wiem, czy powinnaś w tym stanie prowadzić. Może zawołam ci taksówkę?

Kręcę głową.

— Zacznie się za dziesięć minut — jęczę. Czuję się słabo i nie najlepiej, a poza tym jak wielka baba ubrana zupełnie bez gustu. Dla dopełnienia tego kuszącego obrazu zaczyna mi ciec z nosa. Wycieram go w rękaw.

— Podwożę cię — oświadcza Tom. — Mam furgonetkę.

— Furgonetkę? — pytam tępawo.

— Tak, weterynaryjną.

— Jesteś weterynarzem!

— Tak. — Uśmiecha się.

— To dlatego jesteś w białym fartuchu — stwierdzam odkrywczym i postanawiam się zamknąć. Stoję z boku jak przygłup, a Tom parkuje moją toyotę. Z przerażeniem widzę, że prowadzi mniej więcej tak jak ja. Trzy sekundy później pojawia się za kółkiem białej furgonetki ozdobionej napisem MEGAWETERYNARZ. Sam szyk. Trąbi i pakuję się do środka. Z powodu mojej obcisłej spódniczki uczennicy, tyle że z grubszą zawartością, jest to niezdarny, koślawy manewr.

— Nie czekają na ciebie tłumy zwierzątek? — pytam, potwierdzając tym samym moją już i tak olśniewającą reputację bystrej rozmówczyni o zabójczej inteligencji.

— Eee, nie. — Kręci głową. — Środy są zawsze spokojne. Koszmar jest w poniedziałek i w piątek. Dobra. To gdzie my jedziemy?

Oczywiście nie pamiętam, więc Tom grzebie pod siedzeniem, aż znajduje resztki mapy. Udaje nam się uciec z Golders Green i Tom dodaje gazu. Bez skrupułów wyprzedza policyjne samochody. Wiem, że się śpieszymy, ale mam wrażenie, że on próbuje unieść się w powietrzu.

— W porządku, panie podpułkowniku lotnictwa? — mrużę nerwowo.

Spogląda na mnie.

— To wcale nie jest szybko. A ty nie chcesz się spóźnić.

— Nie chcę. Ale chcę też jeszcze trochę pożyć.

Zwalnia.

— Przykro mi z powodu twojego taty — mówi.

— W porządku — odpowiadam.

Po tej uroczej wymianie zdań zapada cisza. Potem Tom pyta:

— Jak umarł?

Szczypię wargę.

— Zawał — szepczę, a furgonetka piszczy na zakręcie. Tom, w dość słodki sposób, cmoka głośno. Chcę zmienić temat. Muszę zmienić temat. Przetrzęsam cały otumaniony mózg w poszukiwaniu czegokolwiek, co mogłoby zainteresować przystojnego weterynarza, którego znam zaledwie od kilku chwil, i produkuję kapitalną myśl:

— Mam kotka. Nazywa się Fatboy.

Jezu! Co się ze mną dzieje. Odnoszę wrażenie, że moje zdolności do posługiwania się językiem ojczystym są w zaniku. Kiedy nagle odzyskuję mowę, wydaję z siebie uwagę godną trzylatka i muszę ugryźć się w język, żeby nie dodać: „A jaki jest twój ulubiony kolor?”.

Na szczęście Tom odpowiada bardzo grzecznie:

— Tak? Jakiego?

Oto moja ostatnia szansa, by wykazać, że mimo wszelkich pozorów w ogóle mam jakieś IQ. I co mówię?

— Rudego.

Zastanawiam się właśnie nad wycięciem sobie krtani, kiedy Tom odpowiada uprzejmie:

— Rudy. Rude koty są fajne.

W ramach komentarza milknę. Gapię się na własne kolana i myślę o ojcu, który leży w trumnie i zaczyna gnić.

Po następnych siedmiu koszmarnych minutach z piskiem opon zajeżdżamy pod bramę cmentarną.

— Dziękuję, to takie miłe z twojej strony, dzięki wielkie — dukam niezadarnie, próbując wepchnąć jakąś wdzięczność w swój monotony głos. — Co mam zrobić z toyotą?

Tom macha ręką, żebym szła.

— Lepiej się pospiesz. Po prostu wpadnij, jak będziesz miała chwilę. Sprawy ubezpieczeniowe z Celine możesz załatwić kiedy indziej. Nie będzie miała nic przeciwko.

To jest najokropniejsze kłamstwo, jakie usłyszałam, odkąd moja mama zaprzeczyła, jakoby podobał jej się Steve McQueen. Ale udaję, że tego nie dostrzegam.

— Dziękuję — powtarzam jeszcze raz.

— Nie ma za co — mówi. Wskazuje głową w stronę samochodów blokujących wjazd na cmentarz. — Poradzisz sobie?

Kiwam sztywno głową, macham mu pa-pa-pa jak idiotka i odwracam się. Mam łzy w oczach. To śmieszne. Jestem w stanie znieść, jak ktoś się na mnie drze. Ale żeby był uprzejmy? Jezu. Kulę się z przerażenia na samo słowo. Jest prawie tak okropne jak „delikatny”. Mimo błękitnych oczu i ostrych zębów natychmiast wymazuję Toma z pamięci. Widzę Luke'a w przyciasnym granatowym garniturze, jak czeka przy żelaznej bramie z nienaganną Tiną i elegancką Lizzy, i biegnę do nich z wdzięcznością. Nawet się nie oglądam, gdy Tom odjeżdża swoją brudną, białą furgonetką.

ROZDZIAŁ V

Luke jest nałogowym palaczem. Nie wystarcza mu papieros przed stosunkiem i papieros tuż po — musi jeszcze zapalić w trakcie. I dlatego, jak mi powiedział, rzuciła go jego ostatnia dziewczyna. Przypalił ją w czułym miejscu. Luke mówi, że jest w stanie rzucić palenie w każdej chwili, ale nie będzie żuł gumy, bo można od tego dostać wrzodów żołądka. Pali na przystankach metra — „znak zakazu palenia dotyczy torów”, pali w wannie — „dla mnie, jako faceta, jest to odpowiednik tych waszych kadzidełek”, pali, zającając swoją pizzę pepperoni na grubym cieście i gapiąc się na *A Question of Sport* — „to bardzo stresujący program, ale co ja ci będę tłumaczył”. Czy wspominałam już o tym, że nie tylko kopci jak rura wydechowa, ale zawsze plecie, co mu ślina na język przyniesie? Nie jestem więc specjalnie zdziwiona, kiedy mijając bramę cmentarną, widzę, jak przejęty Luke przydepuje jeden z pięciu leżących na ziemi petów, i słyszę:

— Helen, chłopie, już nie żyjesz.

— Co, proszę? — pytam.

Ma choć tyle przyzwoitości, żeby strzelić buraka.

— To znaczy — zaczyna się jąkać. — Twoja mama szaleje. Ona cię zabije. Wszyscy czekają w samochodach.

Odwracam się w stronę Tiny i Lizzy. Tina pstryka palcami, patrzy w dół na swoje buty od Jimmy'ego Choosa i mamrocze;

— Jasna cholera!

Lizzy ma zgnębiony wyraz twarzy i jęczy:

— Och, nasza biedna Helen!

Ich zakłopotanie uznaję za potwierdzenie słów Luke'a.

— No, dobra — mruczę i zaczynam się przepychać przez coś, co wygląda jak karambol na autostradzie, starannie unikając kontaktu wzrokowego z którąkolwiek z wybałuszonych par oczu w zgromadzonych samochodach, w stronę wielkiego, lśniącego, czarnego jaguara zaparkowanego zaraz za wielkim, lśniącym i czarnym karawanem.

Gdy jestem już blisko, okno otwiera się raptownie.

— Gdzieś. Ty. Się. Podziwiała? — cedzi moja matka spod olbrzymiego czarnego spodka, który udaje kapelusz.

Dziwi mnie niezmiernie ta jej uprzejma powściągliwość, ale po chwili zauważam przysłuchującego się ze zniecierpliwieniem szofera. Pochyliłam się, macham w poczuciu winy w stronę babci Flo, która tak kurczowo ściska koronkową chusteczkę, że jej palce stały się białe, i mówię, że utknęłam w korku.

— Co się dzieje? — pytam, żeby odwrócić uwagę mamy.

— Oni są teraz w biurze cementarnym — skarży się mama wysokim, histerycznym tonem. — Załatwiają całą papierkową robotę i — pociągnięcie nosem — nie wolno nam wyjść z samochodów, dopóki nie skończą. Boże, mam już dość! Chcę wyjść! Nie mogę tak tu siedzieć! Odsuń się!

Odskakuję na bok, żeby mama mogła wyjść z samochodu. W jednej chwili tabuny drzwiczek samochodowych otwierają się i tłumy beznadziejnie ubranych ludzi ze skwaszonymi minami zaczynają nadciągać w naszą stronę. Zamieram z przerażenia. Nie mam nic przeciwko krewnym i znajomym naszej rodziny, ale to jest jak *Noc żywych trupów*.

Następne dziesięć minut duszę się w nadmiarze pudru, lawendy, szminkowych buziaków, dziwacznych uścisków zagrażających nosom, ciepłych oddechów szepczących: „Tak mi przykro!” i „Tak nagle, kto by się spodziewał!”, ostrych stwierdzeń: „To musiała być ulga, że odszedł tak szybko!” — jasne, tylko na to czekałam — przenikliwych okrzyków: „Helen! Ledwie cię poznałam! Już nie jesteś taka urocza i tłuściutka!” oraz „Dbasz o swoją biedną matkę, prawda? To dla niej taki szok!”. Rzucam

okiem na mamę, która chłepcze to wszystko jak Fatboy kra-
dzioną śmietankę.

— Tak — mówię ponuro. — Muszę o nią bardzo dbać.

Znajduję Uriaha — odstawił się jak stróż w Boże Ciało —
kiedy właśnie wyłania się z biura pogrzebowego wraz z pasto-
rem, który z kolei, o czym przypominam sobie w panice, nagrał
na moją automatyczną sekretarkę dwie rozwlekłe wiadomości,
które wpierw zignorowałam, a potem jakoś o nich zapomniałam.
Tymczasem Uriah spogląda z wyraźnym niezadowoleniem na
beźładnie kłębiący się tłum, ale kiedy do niego podchodzę, usta
układa w ostrożny uśmiech.

— Dzień dobry, panno Bradshaw — wita mnie. — Jak się
pani miewa?

Mówię mu, że w porządku. Kiwa głową pospiesznie i melduje:

— Wszystko gotowe. Pani ojciec może wyruszyć w swą ostat-
nią podróż. Czy życzy sobie pani, by kompozycja kwiatowa po-
została na trumnie, czy powinniśmy ją zdjąć?

Zbił mnie z pantałyku.

— Eeee, a co się zwykle z tym robi? — pytam.

— Większość osób prosi o zdjęcie kwiatów — wyjaśnia mi.
— Często wysyłają je potem na odpowiedni oddział w szpitalu,
w tym wypadku na oddział kardiologiczny - dodaje usłużnie.
Pacjenci muszą być zachwyceni.

— Dobra, to proszę tak zrobić — rzucam.

Nagle uświadamiam sobie, że gwar przycichł trochę, więc
mogę usłyszeć, jak jakiś kobiecy głos krzyczy:

— Mam nadzieję, że nie chcą go pochować po drugiej stro-
nie cmentarza. Nie cierpię chodzić.

Odwracam się i robi mi się słabo na widok ciemnej trum-
ny w stylu Drakuli wyciąganej właśnie z karawanu. Sześciu po-
ważnych mężczyzn w garniturach niespiesznie unosi ją na ra-
mionach. Gapię się przerażona. Ten potężny, poważny symbol
śmierci. Jezu! W środku jest mój ojciec. Martwy. Zimny.
Sztwywny. Zaczynający gnić. Jak szybko się zmieni pod wpływem

rozkładu i... Od moich zepsutych myśli odrywa mnie mama, która atakuje Uriaha, krzycząc mu prosto w twarz:

— Kuzyn Morriego, Stephen, chce nieść trumnę!

Chyba nie sam, myślę sobie po cichu. Kuzyn Stephen ma z dziewięćdziesiąt trzy lata i wzrost pięcioletka.

— Mamuś — zaczynam, rzucając nerwowe spojrzenia na Uriaha. — Powinniśmy były uprzedzić o tym...

Uriah powstrzymuje mnie delikatnie, dotykając mojego ramienia.

— To żaden problem — mówi wytwornie. Po krótkim zamieszaniu — i kiedy mówię „krótkim”, to nie przesadzam — kuzyn Stephen zostaje awansowany na żałobnika niosącego trumnę. Uriah jakimś cudem ustawia wszystkich w bezładny pochód, spojrzeniem zmusza Luke'a do zgaszenia papierosa i wraz z pastorem zajmuje miejsce przed trumną.

Mama, babcia Flo i ja idziemy za trumną. Rzucam kontrolne spojrzenie na babcię, żeby sprawdzić, czy aby nie zemdleje, ale ma ten silny, naburmuszony wyraz twarzy, jakby szykowała się do walki. Mama się trzęsie i zalewa łzami. Przytulam ją i mało nie ładuję na ziemi, bo natychmiast opiera się na mnie całym ciężarem ciała. Jedną ręką wczepia się we mnie, drugą przytrzymuje kapelusz, żeby nie sfrunął jej z głowy i nie popłynął na białe morza nagrobków. Mam wrażenie, że gram w jakimś filmie. To po prostu śmieszne. Jest środa i w ten chłodny, wietrzny poranek powinnam siedzieć przy swoim biurku w zbyt mocno ogrzanej redakcji, siorbać podwójne espresso i kartkować „Sun” pod pretekstem przeglądania prasy. A zamiast tego, jestem tutaj, w tłumie ludzi, na jakiejś cholernej wsi, brnę przez błoto za wielką, arogancką trumną, w której leży mój tata, w stronę świeżo wykopanego, głębokiego grobu, w którym pochowają mojego ojca, ojca, który ledwie tydzień temu radośnie świętował obniżenie swojego handicapu grubymi cygarami i kolejką brandy dla kumpi w barze klubu golfowego w Brookhill. Zastanawiam się, jak buty Tyny za 195 funtów znoszą błoto.

Pierwsze pięć kroków marszu pogrzebowego wypada trochę chwiejnie i niepewnie, ponieważ trumnę niesie także kuzyn Stephen. Na szczęście ludzie Uriaha podnoszą ją do góry, ponad niskim ramieniem kuzyna Stephena, tak że właściwie stoi on teraz pod nią. Musi się więc zadowolić symbolicznym oparciem dłoni o wypolerowaną powierzchnię i nasz przedziwny orszak rusza dalej. Sunę naprzód jak zombi. Wszyscy umilkli i słyszą tylko przelatujący nad nami samolot oraz wiatr szumiący wśród delikatnych, cieniutkich gałązek starych cisów.

Niedobrze mi. Na pewno śnię i zaraz ktoś mnie obudzi, powie, że to tylko szalony, pokręcony koszmar, otworzę oczy i okaże się, że jestem w swoim ciepłym, mięciutkim łóżeczku, a cała ta surrealistyczna scena zniknie. Zniknie. Skończy się. Koniec. Stop.

— STOP! — wrzeszczy moja matka głosem, którego z powodzeniem mógłby użyć Bóg, żeby rozstały się wody Morza Martwego. Wszyscy, nie wyłączając, niestety, niosących trumnę, podskakują z przerażenia w górę, chwieją się trochę i zatrzymują pospiesznie. Babcia wygląda na oniemiałą.

— Dobry Boże! — Mimo własnych wskazówek odwołuję się jednak do Niego. — Co się dzieje?

Mama płacze i trzęsie się tak strasznie, że prawie nie może mówić. Podbiega Uriah pełen urzędowego niepokoju.

— Mamuś — próbuję ją uspokoić, głaszczę po plecach. — Spokojnie, spokojnie. Co się stało?

Mama krztusi się, z trudem łapie powietrze, aż w końcu wydusza z siebie coś jakby „rączka”. Rączka?

— Jezu — mówię. — Czyja rączka?

W ten sposób wywołuję nowy jęk rozpaczy.

— Oooooo! — wyje mama. — Oo-ooobączka! Ślubna obrączka. Została na jego pa-a-alcu-u-u!

Szczęka mi opada i gapię się na Uriaha w rozpaczy. On odpowiada tym samym. Przyciska swoje kościste palce do skroni, jakby miał migrenę. Bo też pewnie już ma.

Najpierw Uriah próbuje pochlebstwem załagodzić sytuację:

— Ależ, droga pani — recytuje monotonnym głosem. — Jak pani zapewne pamięta, już to omawialiśmy, wypełniliśmy formularz...

Zwisająca bezwładnie głowa mojej mamy unosi się nagle energicznie jak u rozżłoszczonej marionetki. Oko jej błyska. Jest królową całej klasy, a Uriah to tylko głupi, mały matolek, który znowu nie odrobił pracy domowej.

— Nic mnie to nie obchodzi — syczy mama. — Nie chcę nawet słyszeć żadnych usprawiedliwień! Ja panu płacę! Chcę odzyskać ślubną obrączkę mojego męża! I to zaraz!

Jestem zupełnie oniemiała ze strachu i wstydu. Rzucam nerwowe spojrzenie na babcię, która milczy z godnością i spogląda na mamę tylko raz, na ułamek sekundy, wzrokiem pełnym nieskrywanej nienawiści.

— Ale, mamó... nie można przecież —jęczę i gapię się na Uriaha bezradnie.

Ten mężczyzna wie, kiedy walka skończona. Unosi swoją chudą, zmęczoną dłoń.

— Można. — Wzdycha.

I w ten oto sposób wieść się niesie po całym tłumie zziębniętych i zdumionych żałobników, aż wszyscy obecni wiedzą, że wtoczono mego zmarłego ojca za kilka odpowiednio wysokich kamieni nagrobnych, mahoniowa pokrywa została podważona, a złota obrączka ściągnięta z jego różowego palca, wytarta w czarny frak Uriaha i oddana mojej matce o chmurnym i wyzywającym spojrzeniu. Luke'owi udało się wślizgnąć za nagrobki i zajrzeć, więc później donosi mi: „Helen, on naprawdę wyglądał bardzo dobrze! Wcale nie jak zwłoki!”.

Po tej nadprogramowej przerwie — w czasie której widzę, że pastor spogląda na zegarek — dochodzimy do grobu.

Próbuję zwrócić uwagę mamy na krzykliwe wieńce kwiatowe porozkładane dookoła dziury, żeby nie skupiła się za bardzo na kopcu świeżej ziemi i dwóch niechlujnych facetach, którzy nie stoją wystarczająco daleko, każdy z nich beztriosko oparty o wielką, pieprzoną, brudną łopatę.

Mężczyźni oraz kuzyn Stephen kładą trumnę na ziemi. Nikt nie wie za bardzo, gdzie kto powinien stać. Jakaś starsza pani ze skórą jak krepa i włosami niczym wata cukrowa zauważa teatralnym szeptem:

— Spodziewałam się, że będzie więcej kwiatów, ale pewnie pojawią się później.

Podchodzi do nas pastor i pyta, czy jest coś, o czym powinien powiedzieć. Moja mama zaczyna się denerwować. Ktoś dał jej czerwoną różę, żeby rzuciła na trumnę ojca, ale już ją porwała na drobne kawałeczki.

— Co na przykład? — pyta pastora.

— No... eee... może jakiś wyraz uznania dla zmarłego — odpowiada duchowny.

— Nikt mi nic nie powiedział o wyrazie uznania — mówi mama niegrzecznie. — Helen, czemu mi nie powiedziałaś?! Napisałabym coś!

I kto tu jest niewdzięcznikiem!

— Ja?! — krzyczę. Mam już dość jej zachowania. — Niby skąd miałam wiedzieć?! Niby czemu to znowu moja wina?

Ale w mojej świadomości przyczają się mały robaczek poczucia winy — może jednak, to wcale nie jest wykluczone, że przypominam sobie, że jest możliwe, że w wiadomościach zostawionych przez pastora była mowa o tym, że rozsądnie byłoby napisać mu króciutki tekst, który mógłby zawrzeć w swoim przemówieniu, ale — no bardzo przepraszam, przecież nie mogę brać odpowiedzialności za każdą, najdrobniejszą bzdurę!

— Był opiekuńczym i kochającym ojcem — kłamię, ściągając z najbliższego nagrobka. — I wspaniałym, czułym, kochającym mężem — dodaję w pośpiechu, żeby ugłaskać mamę. Pociąga nosem z aprobatą.

— I dobrze grał w golfa — uzupełnia mama. — To też proszę powiedzieć.

Pastor kiwa głową, cofa się, chrząka, przelatuje pędem przez nabożeństwo i wygłasza najkrótsze, najbardziej sztamkowe i płytkie przemówienie, jakie w życiu słyszałam, nie licząc tego, które

strzeliła nam dyrektorka podczas uroczystego zakończenia mojej edukacji.

Potem trumna zostaje opuszczona do grobu. Kątem oka widzę, jak Uriah dyskretnie kiwa na swojego pracownika, który łapie za linę, nim kuzyn Stephen zdoła się wtrącić i zrobić miązgę z trumny. Zdaje mi się, czy faceci z łopatami są jeszcze bliżej? Sępy. Rzucamy grudki ziemi na trumnę — Luke'owi udaje się cisnąć olbrzymią grudę z kamieniem w środku, która spada z prędkością 110 kilometrów na godzinę, uderza w wieko z głośnym łup! i robi małe wgniecenie. Mocno przytulam mamę pod pretekstem okazania jej wsparcia i miłości, ale tak naprawdę robię to dlatego, by uniemożliwić jej próbę rzucenia się w tę dziurę. Wątpię jednak, żeby była do tego zdolna, bo jej czarna suknia od Jaegera — według fachowych szacunków Tiny — kosztowała około 250 funtów. Ale po aferze z obrączką wolę nie ryzykować.

Babcia Flo spogląda na trumnę w milczeniu i potrząsa głową. Dobrze, że chociaż przyjechała jej siostra z Kanady, choć ma pewne trudności z dotarciem do niej, bo za każdym razem, gdy zrobi krok w stronę babci Flo, na jej drodze staje kolejny smoczy, ogniem ziejący krewny i krzyczy: „Cioteczna babciu Molly! Jak dawno cię nie widzieliśmy!”.

Zostawiam mamę na jedną minutkę, żeby pocieszyć babcię Flo, i to wystarczy, żeby mama rzuciła się na pastora i oświadczyła:

— Nigdy więcej nie skorzystamy z pana usług! I proszę sobie nie wyobrażać, że dostanie pan napiwek!

Nawet Luke wygląda na szokowanego i na jedną potworną sekundę natręci ciotecznej babki Molly przestają nawijać.

Na ratunek przybiega błogosławiony Uriah:

— Pani Bradshaw — woła śpiewnym głosem. — Przecież pani musi być przemarznięta do szpiku"kości. Czy mogę przynieść pani coś do okrycia?

Jej spragniona uwagi głowa odwraca się i przypomina mi się bohater z kreskówki, który odważnie ratuje dziecko przed Godzillą, machając własnym smakowitym ciążkiem na przynętę.

— Może pan — zgadza się mama łaskawie. Pastor wymyka

się chyłkiem. Uriah wysyła swojego człowieka po pleśń. Luke i miliony innych rozkręcają się i nawijają bez skrępowania. Mogłabym przysiąc, że właśnie pochowaliśmy jakąś zupełnie obcą nam osobę, a mój ojciec został w domu, bo wymigał się od pójścia do kościoła jak Homer Simpson.

I wtedy widzę babcię Flo. Stoi nad grobem i patrzy tępo na zarzuconą błotem trumnę. Uriah odczekuje chwilę dla przyzwoitości, po czym podchodzi do mnie i mówi:

— Proszę powiedzieć, kiedy będzie pani gotowa, to oderwiemy bileciki od kwiatów.

— Sekunda — rzucam. Biegnę do babci Flo, delikatnie dotykam jej ramienia i mówię: — Pan z domu pogrzebowego pyta, czy chcesz, żeby już odczepił bileciki od kwiatów.

Moja babcia wygląda, jakby wracała z bardzo daleka. Głowę odwraca powoli jak żółw. A potem jasnym, zdecydowanym tonem odpowiada:

— Tak, dziękuję ci, to bardzo miłe z jego strony.

Przytakuję, robię odwrót i mówię Uriahowi, że może zaczynać.

Ludzie Uriaha biorą się do roboty, a ja patrzę, nie widząc. Stoję nieruchoma jak słup, a wokół mnie wirują zamazane twarze, tańczą i szemrzą. W końcu czuję, jak ktoś delikatnie kładzie mi dłoń na ramieniu i udaje mi się skupić uwagę.

— Helen — mówi Lizzy. — Wszyscy jadą do domu twojej mamy. Chcesz, żebym została tu z tobą?

Mrugam i widzę, że większość gości pakuje się właśnie do swoich samochodów, z kwiatów znikły bileciki, a faceci z łopatomami są coraz bliżej grobu. W oddali Uriah pomaga babci Flo wsiąść do limuzyny. Nad naszymi głowami przelatuje z hałasem kolejny samolot i wkurza mnie ten beztroski intruz.

— Chodźmy — mówię do Lizzy. Bierze mnie pod ramię i idziemy w ciszy, mijając kolejne zmarłe istoty aż do bramy cementarnej, gdzie czekają Luke i Tina. Moja mama chowa się w swoim luksusowym samochodzie i przystaje na moją propozycję, że zobaczymy się dopiero w domu. Ja wciskam się na tylne

siedzenie żółtego forda escorta Tiny — jej tajemniczy obsesyjnie skrywanej przed znajomymi ze świata mody — i odjeżdżamy. I taki jest koniec mojego ojca.

— I tyle kilometrów dla krokietów z mięsem — to mało uprzejme, choć trafne podsumowanie późniejszej imprezy. Nasi krewni z Kanady dostali od mojej mamy trzy łóżka, śniadanie, lunch, obiad, rozrywkę, prąd, puszyste ręczniki i ciepłą wodę — a odpłacili się zaciągnięciem swoich leniwych cielsk do hipermarketu i wydaniem aż trzech funciaków na: kilka bochnów chleba pszennego (wychodzi taniej), obrzydliwą margarynę (taniej), pastę z krewetek (zanim spróbowałam, myślałam, że to taki mityczny twór, wymyślony przez Enid Blyton, żeby wybić dzieciom z głowy pikniki), cztery paczki chrupek (marki hipermarketowej) i trzy paczki ciasteczek Jammie Dodgers, których nie jadłam nawet jako dwulatka, ponieważ zawierają skąpą rację dżemu i takie połączenie ciasta, że wysychają usta.

Moja mama w cudowny sposób ratuje sytuację, włamując się do barku ojca. Wszyscy rzucają się na alkohol jak prawdziwi alkoholicy. Matka — która narobiła kiedyś ojcu wstydu, bo na koktajl party poprosiła o herbatę — połyka cztery podwójne Baileye w dziesięć sekund, a potem podchodzi do mnie chwiejnym krokiem i szepcze, chichocząc:

— Ta kutwa, Stephen, jest tak kuty na cztery nogi, że aż stuk, jak chodzi.

Ta olśniewająca transformacja robi na mnie wrażenie. Jeszcze przed chwilą była pogrążona w żalu, a tu już obrabia dupę krewnemu, ale nie okazuję jej uznania, bo wiem, że jeśli poczuje się doceniona, zacznie latać dookoła i dzielić się tą trafną uwagą z kim popadnie, nie wyłączając kuzyna Stephena. Wyrwam piąty kieliszeczek z jej żelaznego uścisku, w zamian podaję jej szklankę zimnej wody i przemawiam jak sztywniak:

— W obecnej chwili jesteś tak skuta, mamó, że na twoim miejscu nie czepiałabym się niczyjego stylu chodzenia.

Wylewam resztę Bailey'a do zlewu i modłę się, żeby wszyscy już sobie poszli. Nie chce mi się z nikim gadać. Nawet z moimi przyjaciółmi. To wymaga wysiłku. Nie chcę wysłuchiwać opowieści ciotecznej babki Molly o tym, jak bardzo lubiła porozmawiać z tatą o kanadyjskim rynku nieruchomości, ani o tym, jak tata i kuzyn Stephen jeździli razem pod namiot, kiedy byli mali. Gównu mnie to wszystko obchodzi. Udają, że mają prawo do żalu, i chcą w ten sposób sami znaleźć się w blasku jupiterów — też mi krewni! Piąta woda po kisielu. Wcale nie chcę być towarzyską. Chcę, żeby mój tata wszedł natychmiast do kuchni i powiedział: „Helen, zrobiłabyś mi kawy, co?”.

Ktoś dzwoni do drzwi. Wzdycham dramatycznie jak ponura nastolatka i jak zrzęda sunę powoli, żeby otworzyć. Już z daleka poznaję znajomą sylwetkę przez matowe szkło. Niemożliwe. Prostuję się natychmiast i przeklinam w duchu swoją szkolną spódniczkę. Powinnam się była przebrać, jak tylko wróciłam do domu. Marcus. Z salonu jak na sygnał wyłania się Luke.

— Marcus powiedział, że może wpadnie — informuje mnie radośnie.

— Dzięki za ostrzeżenie — mówię, poprawiając fryzurę i pędząc do drzwi.

— Hellie — zaczyna Marcus uspokajającym tonem. — Moje biedactwo. Tak mi przykro, że nie byłem na pogrzebie twojego starego. Tak chciałem tam być, ale jakaś lala, jedna z tych nowych, musiała się popisywać na sali. Próbowałem się wymigać, ale nic z tego nie wyszło.

Mrużę oczy z niedowierzaniem i robię kapryśną minkę:

— Jestem przekonana, że zrobiłeś wszystko, żeby uniknąć popisu boskiej gwiazdy pop.

— Oj, Hellie, nie bądź taka. — Marcus się uśmiecha. — Wolałbym spędzić ten czas z tobą. Szczerze mówiąc, była beznaziejna. Nogi jak pnie dębowe.

Cmokam na znak feministycznej dezaprobaty, żeby ukryć uśmiech. Tak się jakoś składa, że Marcus jest jedyną osobą, której w ogóle pozwalałam mówić do siebie Hellie.

Do Marcusa mam słabość (zupełnie nie odwzajemnioną) od około dziewięciu lat, czyli od chwili, gdy zobaczyłam go w kolejce po obiad w szkolnej stołówce. Łączyła nas przyjaźń z Lukiem, ale Marcus spędzał każdą wolną chwilę na sali gimnastycznej, więc bliżej poznałam go dopiero trzy lata temu, kiedy to kupił mieszkanie w Swiss Cottage i potrzebny był mu ktoś, najlepiej bardziej odpowiedzialny niż Luke, do wynajęcia pokoju. Szczęśliwie jakoś nie było chętnych, więc Luke zaproponował mu mnie.

Marcus jest niesamowicie próżnym, zatwardziałym kobieciarzem. I jest uroczy. Pracuje jako zastępca dyrektora i osobisty trener w ekskluzywnym londyńskim fitness chbie — o, przepraszam, w spa — i jest mu to bardzo na rękę i nie tylko. Wie, że mi się podoba, wie, że pogodziłam się już pokornie z jego romantyczną obojętnością, i wie, że żądza ma leży odłogiem. Wnioskuje z tego — i ma rację — że jestem zachwycona, że mogę być jego kumpelą i współlokatorką, nawet jeśli ściąga ode mnie troszkę wyższy czynsz, na jaki mogę sobie pozwolić (jest też dopłata za Fatboya). Świetnie się z nim bawię. Jest potworną świnią bezlitośnie krytykującą każdą napotkaną istotę, ale jednocześnie bardzo przekonująco odgrywa rolę słodkiego, opiekuńczego przyjaciela. Ma szczególne zdolności do zdobywania smakowitych plotecek od swoich znakomitych klientów i jeszcze większe zdolności do opowiadania ich mnie i Luke'owi. Gdybym się nad tym zastanowiła — ale oczywiście wcale o tym nie myślę — powiedziałabym, że się mu nawet podobam. I tak prowadzimy tę kokieteryjną grę, która sięga szczytów, gdy się z kimś spotykam. Bo kiedy on się z kimś spotyka, zanika zupełnie. Kiedy żadne z nas z nikim się nie spotyka, następuje swobodne spadanie.

Ale dziś Marcus jest tulasiński. Całuje mnie w oba policzki z głębokim przekonaniem i przez chwilę jego ciepła ręka zatrzymuje się na moim karku. Cyk! I przesywa mnie dreszcz pożądania, znika całe moje skwaszenie i nagle mam szampański nastrój.

— Napijesz się czegoś? — mruczę przymilnie.

— Gin z tonikiem byłby świetny. Tylko tonik niskokalorycz-

ny, jeśli można — odpowiada natychmiast. Kiwam głową i prowadzę go do Lizzy, Luke'a i Tiny, a sama posłusznie truchtam do kuchni.

— Ładna sukienka, Alison — krzyczy.

— Spieprzaj — wrzeszczę i wpadam na cioteczną babkę Molly. Spogląda mi prosto w oczy i wybucha płaczem. Zaciskam zęby.

— Nie mówiłam do ciebie, ciociu Molly — mówię głosem słodszy niż sacharyna.

— Tak, wiem, kochanie. Ale to wszystko mnie tak przygnębiło — łkanie — ta rozmowa z Florence. Takie nieszczęście, stracić dziecko, synka. I co za pogrzeb! Wy, młodzi, wam się zdaje, że wiecie, jak to wszystko ma wyglądać. Za moich czasów szanowaliśmy religię! Wiem, kochanie, że tobie też nie jest łatwo, ale stracić dziecko, dziecko... Boże, matka nie powinna chować własnego dziecka...

I moja cioteczna babka Molly rozkręca się coraz bardziej, łzawo i biuściaście, w błogiej nieświadomości tego, że właśnie cholernie mnie obraziła, i aż mnie korci, żeby jej strzelić.

— Mój ojciec miał pięćdziesiąt dziewięć lat — stwierdzam chłodno. — Trudno go nazwać dzieckiem.

Wiem, że to, co mówię, jest naprawdę podłe, ale w moim sercu nie ma miejsca na cudze biadolenie i żale. Wystarczy mi własna matka. Mijam babkę, wrywam półprzytomnemu kuzynowi Stephenowi butelkę z ginem, nalewam Marcusowi drinka — obawiam się, że jest tylko zwykły, tłusty tonik — i lecę z powrotem do niego i reszty.

Luke i Tina są zupełnie pochłonięci rozmową o Bóg jeden wie czym, a Marcus nęka kochaną, uprzejmą i dobrze wychowaną Lizzy pytaniami o to, dlaczego właściwie rzuciła swojego ostatniego faceta.

— Był beznadziejny w łóżku? — dopytuje się.

— Nie! Nie... to znaczy... wołałabym nie...

Marcus przewraca oczami i kiwa głową ze zrozumieniem;

— Miał kutasa jak zapałka!

Lizy mało nie wylewa całej swojej wody mineralnej.

— Ależ, naprawdę, naprawdę, nie wydaje mi się...

Ale Marcus nie ustępuje:

— No to jakiego miał? Dużego? Takiego wielkości kęsa? Średniego?

Lizy spuszcza głowę i cichutko, niechętnie przyznaje:

— Średniego.

Wciskam Marcusowi drinka i staram się nie patrzeć mu w oczy, przechodzę przez salon, biegnę po schodach, aż do łazienki. Siadam na krawędzi wanny koloru awokado i pękam ze śmiechu. Śmieję się, śmieję i śmieję. Nie będę płakać.

ROZDZIAŁ VI

Niemal każdej nocy, odkąd tylko pamiętam, aż do trzynastego roku życia, śnił mi się jeden z trzech snów. Jak większość młodej, żeńskiej populacji szłam do szkoły bez majtek i to drobne przeoczenie zauważałam dopiero na szkolnym korytarzu. Albo latałam po naszym domu z Piotrusiem Panem, skakałam bez troski po poręczach i podfruwałam w górę, lekka i zwinna jak Dzwoneczek. Najczęściej jednak szłam zupełnie sama do pobliskiego lasu, mając świadomość, że w krzakach kryje się całe stado wilków. Zaczynałam biec, a one mnie goniły. Ten sen zawsze był taki sam, oprócz jednego, pamiętnego razu, gdy udało mi się wybiec z lasu, minąć niekończący się ciąg zaparkowanych samochodów i uciec wilkom. Ostatnio jednak moje sny stały się bardziej natarcywe. Śniło mi się, że ukrywam się przed grupą jakichś nieznanymi mi ludzi w wielkim, pustym domu. Wiem, że będą na mnie polować, a sen zawsze kończy się, gdy wyciągają mnie z kredensu na strychu. Próbuję opowiedzieć o tym Marcusiowi, ale on ziewa głośno, włącza telewizor i mówi:

— Nie ma nic nudniejszego niż cudze sny.

Drań ma rację, więc dzwonię do Lizzy i opowiadam jej, co mi się przyśniło. Lizzy natychmiast sięga po książkę zatytułowaną *Zupełnie pewne znaczenia snów śnionych przez ludzi, których nigdy nie poznaliśmy, ale o których podświadomości wiemy wszystko*. Czy coś w tym stylu.

— To twoja ambicja cię ściga i zmusza do odniesienia sukcesu — orzeka Lizzy.

— Jesteś pewna? — pytam pełna wątpliwości. Lizzy doradza mi, żebym dziś wieczorem przed snem wyobraziła sobie, że stoję tym ludziom naprzeciw i rozkazuję, by powiedzieli mi, czego tak naprawdę ode mnie chcą.

— Hm, dobra — przytakuję, wiedząc dobrze, że niczego takiego nie zrobię. Zresztą i tak wiem, co oznacza ten sen. Mam dość moich krewnych i nie wiem, jak się ich pozbyć.

Wczoraj wieczorem, gdy wreszcie poszedł cały plebs, a spadkobiercy wytrzeźwieli, prawnik naszej rodziny, pan Alex Simpkinson, odczytał ostatnią wolę mojego ojca. Może jednak wypiłam trochę za dużo, bo nic nie pamiętam — tylko że mama płakała, kuzyn Stephen lamentował, a babcia Flo wrzeszczała: „Cisza, cisza!”. Mam ich wszystkich serdecznie dość. Zostały mi już tylko dwa dni okolicznościowego urlopu i mama wierci mi dziurę w brzuchu, żebym wpadła. Innymi słowy, żebym i ja niosła ten krzyż rodzinnych zobowiązań. Szczęśliwie mam solidną wymówkę: mój samochód jest u weterynarza.

— Masz na myśli mechanika — mówi mama.

— No — przytakuję, bo nie chce mi się tłumaczyć.

— Więc weź taksówkę.

Tłumaczę jej, że jestem spłukana, a co gorsza, że za ten tydzień dostanę tylko połowę pensji.

— Dam ci pieniądze — rzuca. Dziękuję jej, ale jestem niezmiernie zajęta. Co zabawne, to też nie jest kłamstwo. Muszę się połapać w sprawach ubezpieczeniowych, a nie mam zielonego pojęcia, gdzie leżą papiery, gdzie jestem ubezpieczona i, tak naprawdę, czy w ogóle jestem ubezpieczona. Ojciec zawsze powtarzał, żeby wypełniać takie ważne papierzyska, ale to jest po prostu nudna robota, prawda? O wiele łatwiej jest upchnąć je w najbliższej szufladzie. Tylko że teraz jakby rozpląły się w powietrzu. Prawdę powiedziawszy, jeśli chodzi o wszelkie papiery, moja waleczność jest raczej mierna. Ale dzisiaj jestem już na granicy z szympansem. Zalewa mnie czerwona fala frustracji i nim o tym pomyślę, talerz z moim śniadaniem — tost z marmoladą — łąduje na ścianie. Talerz, jeden z tych jaskrawych, które

Marcus kupił na wyprzedaży garażowej, rozbija się w drobny mak. Na ścianie zostaje wgniecenie. Tost z marmoladą oczywiście przylepia się do tapety. Świetnie.

Trzydzieści minut później Luke odnajduje mnie na łóżku. Płacząc w głos, opowiadam mu całą historię o okropnych, złośliwych papierach ubezpieczeniowych, a Luke rzuca okiem na pobojowisko w moim pokoju, palcem u nogi odsuwa te złośliwe, zszarzałe majtki, wyciąga spod nich kilka kartek i pyta:

— To to?

Czuję taką ulgę, że zapominam o wstydzie. Zresztą w końcu to tylko Luke.

— Dzięki — mówię chłodno.

— Nie ma za co — odpowiada on. — Co masz teraz w planach?

Nie dam głowy, ale wydaje mi się, że nie pyta z czystej ciekawości, ale raczej dlatego, by się upewnić, że nie zamierzam cisnąć więcej cennymi talerzami Marcusa.

— Nałożę tonę tuszu na rzęsy, zawołam taksówkę i pojedę po samochód.

Luke kiwa głową z aprobatą.

— Pozdrów Toma — mówi.

Tom, jak się okazało, grał w przeciwnej drużynie, gdy Luke — w świetnej formie, bo palił wtedy tylko paczkę dziennie — stał na bramce w niedzielnej lidze. Wiem, bo gdy jechaliśmy do domu po pogrzebie. Luke spytał: „Skąd znasz Toma?”. A nie, zauważcie: „Dlaczego przyjechałaś na pogrzeb ojca weterynaryjną furgonetką?”. No tak, ale to cały Luke. Przypuszczam, że Tina nawet nie zauważyła, a Lizzy jest zbyt uprzejma, żeby pytać.

Godzinę później stoję w śmierdzącej klinicej recepcji Mega-weterynarza z silnym postanowieniem, że będę uprzejma dla Celine, która, co miłe, kłęczy właśnie na podłodze i wyciera żółtą kałużę siuszków labradora. Ale okazuje się to niewykonalne. Przepraszam ją raz jeszcze za uszkodzenie jej samochodu

— nie umiem mówić o nim „Nancy”. Jej nieuprzejma odpowiedź brzmi:

— Pani zaniedbanie przysporzyło mi wielu niedogodności.

Moja nieuprzejma odpowiedź na jej nieuprzejmą odpowiedź:

— Jakie długie słowa! Zna pani chociaż ich znaczenie?

Dalej ciągniemy rozmowę, jaką — jak sobie wyobrażam — mogliby prowadzić Batman z Jokerem po kraksie z Batmobilem. Wykorzystałam już wszystkie najbardziej szydercze, przemądrzałe, pańciowate wyrażenia, gdy nagle uświadamiam sobie, że muszę ją poprosić o przysługę. Postanawiam być po prostu bezczelna.

— Jest Tom? — pytam znudzonym tonem.

Zadzierą nosa jak skocznia narciarska i przeciągając samogłoski, równie znudzonym tonem, odpowiada:

— Jest zajęty.

Już mam przeskoczyć blat recepcji i udusić ją gołymi rękami, kiedy otwierają się drzwi gabinetu i pojawia się olbrzymia kobieta z twarzą jak paczuszek i malutkim yorkshire terierem. Zza nich wyłania się Tom — złoty środek. Pospiesznie zmieniam wyraz twarzy na anielski.

— Cześć — woła na mój widok. Kiwa głową w stronę gabinetu. — Wchodź, zaraz do ciebie przyjdę.

Potem koncentruje się na wypisaniu rachunku, więc spoglądam na Celine ze złośliwym uśmieszkiem i kołyszac biodrami, wchodzę do gabinetu. Siadam i nagle opada mnie strach, że mam na zębach szpinak, co jest mało prawdopodobne, jako że nie jadłam szpinaku. Przekopuję torebkę, wyciągam lusterko, szczerzę zęby i przeglądam się. Kiedy więc wchodzi Tom, mam minę jak agresywny pawian. Zamykam usta i lusterko z prędkością światła. Chyba nie zauważył.

— I jak było? — pyta Tom. — Jeśli mogę spytać.

Gapię się na niego tępo.

— Jak było co?

— No... pogrzeb.

— Aaaaaa... prawdę powiedziawszy, okropnie.

Pyta, to mu opowiadam dość obszernie. Potem zaczynam się zastanawiać, czy naprawdę chciał wiedzieć, czy może pytał tylko z uprzejmości. Kiedyś dostałam reprimendę od Jaspera za to, że wciągnęłam jego szefową w długą dyskusję na temat moich nawracających migren i tego, czy nie są one przypadkiem objawem guza mózgu, bo akurat odebrała telefon i spytała, jak się mam. „Nawet jeśli akurat jesteś na intensywnej terapii albo właśnie podłączono ci respirator, nie mówisz tego ludziom! — krzyczał. — Mówisz: dziękuję, u mnie wszystko w porządku, a u pani?”.

Przypominam sobie tę cenną poradę dopiero po ośmiu minutach raczenia Toma opowieściami z krypty.

— Tak czy siak, już po wszystkim — kończę szybkoitko. — Wpadłam tylko zabrać samochód i jeszcze raz ci podziękować za to, że mnie wtedy podrzuciłeś.

Tom uśmiecha się szeroko i mówi: „Cała przyjemność po mojej stronie” tak, jakby naprawdę tak myślał. Bawi się piórem. Zapada cisza, a potem oboje odzywamy się równocześnie.

— Podobno znasz mojego współło... — zaczynam.

— Tak myślałem, czy może być... — zaczyna on. I urywa natychmiast. — Mówiłaś coś.

Chichoczę nerwowo i powtarzam:

— Chciałam tylko powiedzieć, że podobno znasz mojego współlokatora Luke'a Randalla. W każdym razie on cię zna, Tom kręci nosem.

— Nietaktownego Luke'a?

— Taaak. — Kiwam głową z zupełnie nieodpowiednim zachwytem.

Tom śmieje się i opowiada mi, jak poszli kiedyś z kumplami do obskurnego night-chbu w East Endzie i Luke'owi poluzowała się śrubka w okularach, więc podchodzi do barmana i pyta: „Nie ma pan jakiegoś noża?”.

Śmiejemy się wesoło, gdy nagle słysząc raptowne pukanie i drzwi się otwierają. Celine oświadcza głosem wieszczki:

— Pani Jackson i Natascha Tiddlums Trzecia czekają na cie-

bie już od dwudziestu minut i jeśli każesz im czekać jeszcze dłużej, ona się spóźni na lunch dobroczynny.

Tom mruczy pod nosem:

— Kto, pani Jackson czy Natascha Tiddlums? — Potem uśmiecha się do mnie i mówi: — Muszę wracać do pracy.

Wygląda, jakby chciał coś dodać, więc się waham. Ale milczy, więc odzywam się dziwacznie:

— Dobra, to do zobaczenia. Cześć.

Kiedy idę w stronę drzwi, czuję na sobie świdrujące spojrzenie Celine, wierzące mi dziurę w plecach jak jakiś laser, więc odwracam się i śpiewnym, gejowskim głosem wołam sarkastycznie:

— Cześć!

Wracam do domu obitą toyotą i uśmiecham się do siebie.

ROZDZIAŁ VII

Lizzy nigdy tego nie zrobiła, bo nie przyszło jej to do głowy. Tina nigdy tego nie zrobiła, bo nie poznała jeszcze faceta, który by na to zasługiwał. A ja zrobiłam to tylko raz, dla Jaspера — tego niewdzięcznego sukinsyna — który tego w ogóle nie docenił.

Chodzi mi oczywiście o wysyłanie kwiatów mężczyźnie. Laetitia poleciła mi kwiaciarnię, z której usług korzysta, żeby pacyfikować najważniejszych dziennikarzy po tym, jak drze ich teksty na drobne kawałeczki.

— Jaką sumę chciałaby pani przeznaczyć na wiązanekę? — spytała kwiaciarka.

— Eee, jakieś czternaście, piętnaście funciaków? — strześliłam.

Zamilkła wyniośle, a potem upewniła się chłodnym tonem:

— Czternaście czy czterdzieści?

Nie chcąc, by Jasper i kwiaciarka uznali mnie za kutwę albo biedaka, rzuciłam:

— Czterdzieści, oczywiście.

Czterdzieści funtów. To prawie wakacje za granicą! Szybko jednak pocieszyła mnie myśl o tym, jakże wzruszony — i rozpalony namiętnością — będzie Jasper, gdy tylko dostanie bukiet. W końcu, znając się zaledwie dwa miesiące, byliśmy na etapie, kiedy libido wygrywa z wszelką oszczędnością. O 17.56 nie wytrzymałam i zadzwoniłam do niego.

— Dostałeś? — spytałam bez tchu.

— Tak — odpowiedział beznamiętnie. — Cóż za niespo-

dzianka. Nigdy wcześniej nie dostałem kwiatów. A już na pewno nie różowych.

I powiedział to w taki sposób, że natychmiast zdałam sobie sprawę z tego, że różowe kwiaty w oczach jego kolegów z pracy oznaczały bez wątpienia, że Jasper jest gejem.

Ty, pomyślałam wściekła, z tymi swoimi marynistycznymi obrazeczkami i zielonymi, sztruksowymi spodniami, to byłoby zbyt piękne! Ale powiedziałam tylko:

— Dobra, to zabieram je z powrotem.

A propos — wczoraj wysłałam kwiaty Tomowi. Tylko że tym razem nie ryzykowałam i powiedziałam kwiaciarce jasno:

— To ma być bukiet dla mężczyzny. Mogłaby pani napakować tam masę gałązek i takich tam?

Przedtem przedyskutowałam swoje zamiary z Tiną i Lizzy, na wypadek gdyby jednak to była beznadziejna gafa. Ale Lizzy powiedziała, że z moich opowiadań wynika, że to istny anioł i że zasłużył na kwiaty, bo odwiózł mnie na pogrzeb. Tina uważała, że brzmi podejrzanie miło, pewnie żonaty, ale zgodziła się, że zasłużył na kwiaty, ponieważ pomógł mi wkurzyć Celine. Jednak nie zadzwonił, żeby podziękować. No i co. Wcale mi nie zależy. Nie mam czasu na myślenie o facetach, bo leżę na łóżku i gapię się w sufit. Wzięłam jeszcze jeden tydzień wolnego. Z niezrozumiałych dla mnie powodów zaczęłam się budzić koło piątej nad ranem. W głowie huczy, krew pulsuje. I to j a, która zwykle z wielkim wysiłkiem zwlekam się z łóżka o 8.15.

Lizzy twierdzi, że to na pewno z powodu ojca — uparła się, żeby wszystko tłumaczyć jego śmiercią, ma jakąś obsesję. W końcu powiedziałam jej bez ogródek:

— Wcale o nim nie myślę. Myślałam w dniu pogrzebu, ale już nie myślę. To nie ma sensu.

I to właściwie nie jest kłamstwo. Jestem zbyt otepiała, żeby w ogóle myśleć, i nie muszę myśleć. Śmierć mojego ojca nie jest chwilowa. Jak szum w uszach — po prostu jest. Moje pode-nerwowanie wynika pewnie ze strachu przed powrotem do pracy. Jestem wykończona i nie mam ani siły, ani ochoty na spędza-

nie dziewięciu godzin przez pięć dni w tygodniu w znoju i pocie pod pięknym pantofelkiem Laetitii. A może po prostu jestem leniwa. Dobrze wiedziałam, że to mama wymówka: „Mój ojciec nie żyje, więc mam wszystkiego dość”, do nikogo nie trafia.

Potem zadzwoniła Tina, żeby mi powiedzieć, że według redaktorki do spraw mody Laetitia przespała się z Księciem, pierwszy raz od trzynastu miesięcy, i jest w wyjątkowo entuzjastycznym nastroju. Jeśli więc chcę jeszcze tydzień wolnego, to nie znajduję lepszej okazji, żeby o to prosić. Księciu należy się piwo. Szczególnie że — zgodnie z tym, co Tina słyszała od redaktor do spraw mody — tak naprawdę jest to hydraulik, który w Gordonstoun pełnił tylko funkcję dozorczy.

Dzięki Tinie i Księciu piątek, sobotę, niedzielę, poniedziałek i wtorek mogłam spędzić w swoim pokoju. Starannie się do tego przygotowałam. W piątek rano pojechałam do Świata Zwierząt i robiłam zapasy puszek dla Fatboya. Zapomniałam o zapasach puszek dla siebie, i pewnie dlatego, gdy wczoraj zadzwoniłam piąty wieczór z rzędu po indyjskie jedzenie na telefon, pan przyjmujący moje zamówienie zaprosił mnie na drinka, bo mam taki smutny głos.

Zdałam się na automatyczną sekretarkę. Matka dzwoniła około pięćdziesięciu razy i wiem, że powinnam być przy niej w tych ciężkich chwilach, wiem, że źle robię, unikając jej, ale przez ten marudny głos mam wrażenie, że się duszę, czuję się osaczona, jakby wciskała mnie do jakiegoś małego, ciemnego pudełeczka bez powietrza, i mam ochotę krzyknąć: „Idź sobie, zostaw mnie w spokoju, przestań wciąż czegoś ode mnie chcieć, nie zniósę tego, nie mogę ci już nic dać”.

Jednak ani Jasper, ani Tom nie zadzwonili ani razu. Marcus zaś — jak mi powiedział Luke — udziela jakiejś lali intensywnych lekcji jako osobisty trener, co, jak się okazuje, wymaga od niego pozostania u niej na noc przez pięć kolejnych dni. Mogę się jedynie domyślać, że wewnętrzne mięśnie jej ud były widocznie wyjątkowo źle wymodelowane. Dzwoniła też Lizzy, ale nie mam już siły stawiać czoła potędze jej dobrych intencji.

W końcu we wtorek wieczorem Tina wyrwała mnie z letargu. Przyszła do mnie — otworzyłam jej tylko dlatego, że myślałam, że to pizza — wparowała do mieszkania i ryknęła:

— Ty stara krowo! Jak ty wyglądasz?! Masz dzień, jeden dzień, żeby się doprowadzić do jakiegoś przyzwoitego stanu! Jutro wieczorem idziemy na miasto, i to na imprezę! A ty, kochanie, będziesz szaleć!

Krzyknęła to wszystko z taką siłą, że Fatboy nastroszył ogon z przerażenia i na łeb na szyję wyleciał na korytarz.

— Skoro tak mówisz — zgodziłam się potulnie. Impreza jest w nowej knajpie na mieście i Tina przyjeżdża po mnie o ósmej, wychodząc z założenia, że jeśli przyjedziemy tak niesłychanie wcześnie, załapiemy się na najlepszy stolik i najlepszych face-tów. Podejrzewam, że chodzi jej tylko o to, żeby mnie wyciągnąć z domu. Przed wyjściem ciska we mnie srebrną reklamówką. Otwieram torbę, a tam różowy topik na ramiączkach z działu mody, ten, który pożerałam wzrokiem w zeszłym miesiącu, gdy takie rzeczy miały jeszcze jakiegokolwiek znaczenie.

Środa, czas na lunch, a ja wałęsam się po domu, walczę z moimi rozdławiającymi się końcówkami i resztkami moich obgryzionych paznokci, gdy dzwoni telefon. Przygotowuję się na najgorsze, ale to nie jest moja matka, to mężczyzna, to Tom.

— Cześć, mówi Tom, dzwonię do Helen, żeby podziękować za te wspaniałe kwiaty, dzwoniłem w piątek i rozmawiałem z właścicielem mieszkania, powiedział, że ci przekaże podziękowania, ale...

Łapię za słuchawkę.

— Halo? Tom?

— Helen?

— Czekaj, tylko wyłączę tę sekretarkę, cholera, no, udało się, cześć! — Skręcam się z radości i oburzenia. — Marcus nic mi nie mówił, że dzwoniłeś!

— Noo — mówi Tom. — Odniosłem wrażenie, że się bardzo

śpieszył, więc pomyślałem, że zadzwonię i się upewnię. Te kwiaty były szalone! Jesteś kochana, nie trzeba było! A tak w ogóle, to dlaczego właściwie jesteś w domu?

Nie jestem w stanie wymyślić żadnej dobrej wymówki, więc, żeby wydać się atrakcyjnym buntownikiem, mówię:

— E, no wiesz, nie chce mi się dupy zwracać tą pracą. — I uświadamiam sobie, że pewnie zabrzałam jak nieatrakcyjny nieudacznik, więc dodaję, niech mi Bóg wybaczy: — Opiekowałam się też matką. — Hm, jak stara panna. — I spotykałam ze znajomymi. Dziś wieczorem idziemy z moją przyjaciółką Tiną do tej nowej knajpy.

Moją przyjaciółką! Przeklinam się w duchu, ale Tom odpowiada ciepło:

— Brzmi niezłe. Gdzie to jest?

Rozsada mnie wręcz lekkomyślna radość.

— Zaraz za Piccadilly Circus. Jest podobno tak ekstra, że nikt nic nie mówi, tylko wszyscy sobie stoją. Przyjdiesz? — Po czym natychmiast, żeby nie zabrznieć zbyt entuzjastycznie, dodaję: — Przyrowadź kogoś, jeśli chcesz.

Cisza, a po chwili:

— Świetnie. Piszę się na to. Tylko że raczej przyjdę sam. Jestem dzisiaj na dyżurze, ale to nie powinno stanowić problemu.

Więc ustalamy, że spotykamy się we trójkę w barze o dwudziestej pierwszej. Kończę rozmowę i natychmiast w panice dzwonię do Tyny.

— On ci się podoba, tak? — żąda konkretów Tina.

— Nie wiem.

— Czyli tak — stwierdza i mówi mi, co mam na siebie włożyć.

Dziewiąta dziesiąta. Mięciutkie sofy obite czerwoną skórą. Przyciemnione światła. Muzyka w stylu retro. Piękne kobiety z włosami upiętymi w te seksowne, niechlujne fryzury w stylu „właśnie wyszłam z łóżka, może wrócimy tam razem” i eleganc-

cy mężczyźni w obcisłych koszulkach i ciemnych spodniach. Nastrój zadowolenia z siebie. Jak dla mnie, całkiem nieźle. Po-
nętny topik. Czarne spodnie. Zabójcze buty. Subtelny makijaż. Nakładany całymi warstwami, ale ledwie widoczny. Radosna, rozchichotana, dziewczyniska gadka z Tiną. Kilka łyków szampa-
na. Wpół do dziesiątej. Więcej szampana. Większe łyki. Gul, gul, gul. Złota tequila. Gęsta złota tequila. Ale ty nawet nie lubisz tequili. Dziesiąta dziesiąć. Nic mnie to nie obchodzi. Daaaj mi macha. Chcę zapalić. Daaaj fajkę. Ale ty nie palisz. Nic mnie to nie obchodzi chcęęę fajkę. Chlup — kolejne porcje tequili Cue-
rvo Gold. Piszcząca, zamazana, rozlazła gadka z Tiną. Za dwa-
dzieścia jedenasta. Potykając się, chichocząc, pokładając — do ubikacji. Oszołomienie, tusz rozmazany, nerwowa kontrola w lu-
sterku, na głowie nieforemne, potargane, nastroszone, przywied-
łe siano. Kołysząc się, zawrót głowy, chlipiąc, z powrotem do Tiny. Wpół do dwunastej. Niedobrze mi. Łkanie. Gdzie on jest pieprzony cham prostak i bydlę kurwa więcej tequili smakuje po-
twornie fajki kręci mi się w głowie nic mnie nie obchodzi chcę więcej więcej chyba się schlałam Tina muszę więcej tequili moja portmonetka weź ją co kto zoostawcie mnie w spokoju zmęczyłam się chcę się położyć tom tom Tom T o m! Nieco się chłopie spóź-
niłeś ty świńska świntuszająca zaświerzbiona świnko...

Budzę się. Jestem aż za bardzo obudzona. Leżę w łóżku. Nade mną całkiem wyraźnie — sufit. Ale coś tu nie gra.

— Helen? — mówi męski głos. Wrywa mi się mimowolny jęk i w panice gapię się na Toma, który siedzi, niedbale, w ubra-
niu, na krzesełku w samym środku pobojuwiska w moim pokoju. Wygląda, jakby próbował zdusić śmiech. — Jak się czujesz? — pyta, przeciągając samogłoski.

W jednej chwili uświadamiam sobie kilka faktów. Mam na sobie tylko T-shirt i nic więcej. Nie pamiętam, co się stało tej nocy. Jakoś dziwnie nie boli mnie głowa. Ale chyba było źle. Chyba musiało być bardzo źle.

— Ccco? Jak? — wydaję z siebie chrapliwy odgłos. Gdy wymawiam te pierwsze dziś słowa, uświadamiam sobie, że moje gardło jest zrobione z papieru ściernego, a moja klatka piersiowa jest za mała o co najmniej jeden rozmiar.

Tom kaszle. chyba gra na zwłokę.

— Tina cię rozebrała, bo... bo miałaś trochę ubrudzoną bluzkę. Tina śpi w salonie.

I milknie.

— Co się stało? — szepczę.

Wygląda na zmieszanego.

— Właśnie do was jechałem, ale był nagły wypadek. — Jego głos unosi się, jakby zadawał pytania. — Konieczna operacja. Było późno. Dzwoniłem do ciebie do domu, ale już wyszłaś. Tak mi przykro. To właściwie moja wina.

Co jest jego winą? Mówi jakimś szyfrem. Widzi moje przerażone spojrzenie i uśmiecha się.

— Nie widziałem cię nago, jeśli tym się martwisz. Zostaliśmy z Lukiem na korytarzu, a wszystkim zajęła się Tina. Byłaś niezłe nawalona.

Udaje mi się kiwnąć głową, ale nie mam odwagi nic mówić. Tom wstaje.

— Muszę iść do pracy. Zadzwoń później. — Podchodzi i całuje mnie raz, w czoło, a potem wychodzi, cicho zamykając za sobą drzwi. Czekam, aż usłyszę, jak zamyka też drzwi wejściowe, wyskakuję z łóżka, wybiegam na korytarz, przypominam sobie, że nie mam majtek, wpadam z powrotem do pokoju, wygrzebuję z tego śmietnika dół od dresu, wciągam na siebie i wbiegam do salonu, trzęsę Tiną tak długo, aż ją budzę, i niskim głosem — bolesnym, choć miłym dla ucha — dyszę:

— Kurwa, kurwa, kurwa, co się stało, mów, mów, mów!

Tina próbuje usiąść, wydaje głuchy jęk, ścisza grzbiet nosa i krzywi się okropnie, wreszcie warczy:

— Dawaj nurofen, jest w torbie. — I połyka dwie tabletki na sucho. Dopiero wtedy mówi: — Helen, ty idiotko. Ale się zbłąźniłaś. Trochę się facet spóźnił, lecz to nie jego wina. Chciał za-

dzwonić, ale nie miał twojej komórki. Zdaje mi się, że nawet próbował dzwonić do baru, ale te dupki oczywiście nie przekazują wiadomości. Przyszedł prosto po tej operacji. To był chyba wilczur. Ten wilczur uciekł właścicielowi i wybiegł na ulicę, i ten samochód, to chyba było bmw, zielone, trzecia seria, wtrysk paliwowy i... co? No, dobra, dobra. Więc przyjechał dopiero tuż przed dwunastą, a myśmy obie były już mocno wstawione, ale ty, ty to naprawdę przesadziłaś. Bo też jechałaś na tequili, czyste tequili przez cały wieczór. Byłaś strasznie zalana. Jeszcze cię nigdy nie widziałam w takim stanie. Ja byłam nieźle podcięta, ale gdzie mi do ciebie! Przecież ty nawet nie lubisz tequili! Ale nie, musiałaś pić akurat tequilę. Co za zrzędlawa krowa. I zakosiłaś mi całą paczkę fajek. Nieważne. W każdym razie pojawia się Tom i, wybaczone, ale ten facet jest boski. A ty jesteś zalana w trzy. Właściwie to nie zachowałaś się z klasą. Wyzwałaś go od najgorszych świń, choć powiedziałaś „świnka”, więc może nie poczuł się aż tak urażony. Nawijałaś bez końca o tym, jak już masz dość takich dupków jak on, że już tego nie będziesz znosić, że zawsze, zawsze ci się tacy trafiają, a ty tylko chcesz faceta, na którego można by liczyć, i że, no wiesz, takie naprawdę łzawe pierdoły. Próbowałam cię jakoś uciszyć, ale nie miałam szans. Potem usiłowałaś wstać, chyba chciałaś go spoliczkować, ale się przewróciłaś. Złapał cię, lecz obsługa była już nieźle wkurzona, więc wyciągnęliśmy cię na zewnątrz i było z tobą ŻŁE, i zastanawialiśmy się, czy zawieźć cię do szpitala na płukanie żołądka, ale żaden taksówkarz nie chciał cię wpuścić do swojego samochodu. Więc zadzwoniłam na rachunek „Girltime”. Wtedy zaczęłaś płakać, że ci niedobrze, a potem zaczęłaś wymiotować, a potem przyjechała taksówka i musiała się zatrzymywać, żebyś mogła znowu wymiotować, i pewnie dlatego nie czujesz się dzisiaj tak źle, ale jeszcze się poczujesz, złotko, bo kiedy wreszcie dotarliśmy do twojego mieszkania i próbowaliśmy znaleźć klucze, i ty... my... to znaczy, wtedy zadzwoniliśmy i obudziliśmy Luke'a, i... co? Nie, nic. Helen, no wierz mi, że nie chcesz wiedzieć. Dobra. Sama chciałaś. Zsikałaś się. Ciszej, złotko, bo mi

łeb pęka. Słuchaj, przecież chciałaś, to ci powiedziałam, nie? Bardzo przepraszam, ale się uparłaś. Nic bym nie mówiła. No jasne, że widział. Co? Zaniósł cię do łóżka. Skąd mam wiedzieć, czy go też obsiusiałaś? Byłam totalnie zalana! Jezu, kobieto, troszkę ciszej, dobra? Ja tu cierpię. Spójrz na to z tej strony: chłop pracuje ze zwierzętami, więc jest przyzwyczajony do tego, że się na niego sika. Co? Ooo! Uspokój się, chciałam jak najlepiej. Więc zaniósł cię do łóżka, a ja powiedziałam, że cię rozbiore, co też uczyniłam, więc to docień, ty zasikana zdziro, i włożyłam ci T-shirt, ale byłam zalana w trupa i zupełnie wykończona i na nic już nie miałam siły, a potem on o czymś tam nawijał z Lukiem, a ja powiedziałam, że myślę, że nic ci nie jest, ale on powiedział, że posiedzi przy tobie na wszelki wypadek, więc padłam na kanapę, a Luke poszedł spać i tak, to by było na tyle.

Czy powinnam się zabić od razu czy zaraz potem?

ROZDZIAŁ VIII

W tym pałacu z czerwonej cegły mieszkam od trzech lat i każdego roku na wiosnę, gdy tylko drzewa wybuchają różem kwiatów, a powietrze staje się zamglone od ciepła, pojawiają się oni. Siedzą sobie razem, ona i on, na trawniku. Mają swoje ulubione miejsce, kilka metrów przed strumykiem, który płynie za naszymi działkami. W zimie zapominam o nich, a potem któregoś pięknego dnia wyglądam przez okno, żeby spojrzeć na żółte żonkile, a oni już tam są, szczęśliwi ze sobą. On jest boski, ekstrawagancki, powalający. Ona ma pulchną pierś, jest mniej pstrokata, ale urocza. Czasami uśmiecham się na widok tej ich wiecznej miłości. Kiedy indziej rzucam na trawę kilka kawałków czerstwego chleba i myślę sobie: „Helen, masz dwadzieścia sześć lat i twoje związki są zdecydowanie mniej udane niż związek pary najzwyczajniejszych kaczek”.

Zresztą aktualnie nie ma żadnego związku. Właściwie to sama próba porównania naszego życia erotycznego musi być dla tych ptaków upokarzająca. Popełniam ten błąd i dzielę się swoją refleksją z Tiną, która odpowiada:

— Skończ, bo mnie wkurzasz.

Tina też ma depresję, i to nie tylko dlatego, że w środę musiała mi zmieniać pieluszkę. Tina odstawiła wielki pokaz cynicznego podejścia do mężczyzn, żeby ukryć tę wstydliwą prawdę, że nigdy nie przegrała żadnej godowej gry. Pierwszy raz przeżyła ze swoją szesnastoletnią miłością lat dziecięcych i było to — rozumiecie — bardzo miłe. Byli ze sobą osiem lat, po czym

rozstali się w przyjaźni. Od tego czasu Tina miała dwa epizody na jedną noc, za każdym razem zostawiała kochanka ze złamanym sercem i w ciężkim szoku, oraz jeden dłuższy flirt, który trwał siedem miesięcy — zerwała z facetem, ale nadal są przyjaciółmi — poza tym spędza czas, odrzucając kolejnych szałowych facetów.

Jakimś cudownym sposobem nigdy nie zetknęła się z żadnym Jasperem tego świata i może spokojnie postrzegać świat problemów męsko-damskich w przedwojennych czarno-białych barwach. Jej podejście można streścić — choć próbuje to ukryć — następująco: lubisz go, to się z nim spotykasz. Są z nim jakiekolwiek kłopoty, to się z nim nie spotykasz. Tak więc nie może pojąć, dlaczego nie chce rozmawiać z Tomem, i robi się agresywna, kiedy próbuje jej to wszystko wytłumaczyć. Nawet kiedy jej mówię, że ten typ wkradł się podstępnie do mojego życia, zakpił z moich uczuć (wilczur nie ma tu nic do rzeczy!), a poza tym ja naprawdę nie lubię robić z siebie totalnej idiotki przy ludziach, których prawie nie znam.

— Chcesz powiedzieć: sikać w majtki przy przeuroczych facetach — poprawia mnie Tina.

— Czy mogłybyśmy już skończyć ten temat?! — krzyczę. W myślach odtworzyłam całą tę scenę z siusianiem z milion strasznych, potwornych razy i naprawdę nie potrzebuję, żeby mi o tym przypominano. — Zresztą— dodaję chmurnie — nie o to mi chodzi.

Ale Tina nie kupuje mojego kitu.

— No to o co właściwie? — pyta mało uprzejmie.

Wzruszam ramionami.

— No... wiesz, o to, o czym ci mówiłam, kiedy byłam lekko wstawiona.

— Lekko wstawiona! — Tina prycha. — A to ciekawe! Miałaś tak ze cztery promile! Choć — przyznaje — rzeczywiście wygadywałaś różne ponure i żenujące bzdety. Jak to było? Aha: „Mężczyźni! Wszyscy są tacy sami! Wszyscy spieprzają, gdzie pieprz rośnie, i zostają sama! Będę starą panną z tuzinem ko-

tów!". Ty idiotko, co za bzdury! Nikt cię nie zmuszał do kupienia tego kota.

Już chcę się z nią spierać, kiedy uświadamiam sobie, że Wielka Samowystarczalna sama mi się podłożyła.

— No właśnie — krzyczę. — Ponure i żenujące! I dlatego: a) nigdy już nie wezmę tequila do ust, b) nie chcę widzieć ani słyszeć tego faceta nigdy więcej, a przynajmniej przez dłuższą chwilę.

Co dziwne, udaje mi się ją tym jakoś ułagodzić.

— Ach! — mówi tym irytującym tonem w stylu „już ja wiem coś, czego ty nie wiesz”. — Dobrze, złotko, skoro chcesz to rozegrać w ten sposób. — Czekam na jakiś cios, ale Tina dodaje tylko: — Zadzwoń do nas, gdybyś chciała wyjść w przyszłym tygodniu. Nara! — I odkłada słuchawkę.

Pikosekundę później znów dzwoni telefon. Łapię za słuchawkę i warczę:

— Co znowu?

Na chwilę zapada cisza, potem niepewnym głosem ktoś pyta:

— Helen? — I to nie jest Tina.

— Tak — odpowiadam krótko. — Kto mówi? — Tak naprawdę aż za dobrze wiem, kto to, ale żywię do tego kogoś uraze wielkości arbuza.

— To ja, kochanie, Michelle!

O, mówię sobie w duchu. Czyżby ta sama Michelle, która zawsze twierdziła, że jest moją bliską przyjaciółką, ale nie pojawiła się na pogrzebie mojego ojca, a swojej nieobecności nie wytłumaczyła nawet jednym słówkiem, ani nawet nie zwracała sobie głowy wysłaniem kondolencji? Niestety tylko w teorii jestem Terminatorem, bo w praktyce zmieniam się w Stana Laurela i stawiać czoło znajomym umiem mniej więcej tak, jak stawiam czoło pająkom. Jedyne więc, na co mnie stać, to mało entuzjastyczne:

— Cześć.

Nieświadoma niczego Michelle nawija:

— Będę się streszczać. Dzwonię, bo pewnie nie pamiętasz,

ale jutro są moje urodziny i idziemy coś wypić i potańczyć w U-Barze w Soho.

Jeżu, ona to ma tupet. Odpowiadam najchłodniej, jak potrafię:

— Niestety dwa tygodnie temu zmarł mój ojciec, może sobie przypominasz, więc aktualnie nie interesują mnie takie rozrywki.

Znam Michelle od dwudziestu lat i nigdy nie słyszałam, żeby powiedziała słowo „przepraszam”. Nie zmienia tego zwyczaju. Słyszę w telefonie przesadne westchnienie.

— Ależ wiem przecież! Dlatego nie dzwoniłam. Domyśliłam się, że nie życzysz sobie, by ci przeszkadzano. Myślałam, że chcesz zostać sama na jakiś czas! I dlatego nie wspominam o tym! Nie chciałam ci o tym przypominać!

Przekonująca historyjka.

— Mam raczej małe szanse, żeby zapomnieć, nie uważasz?
— mówię ostro.

— Wiem — odpowiada równie ostro. — Ale poza tym w mojej rodzinie to tradycja. Kobiety nie chodzą na pogrzeby.

Doprawdy, myślę. To powstanie pewien problem, gdy któraś z nich wykituje. Postępuję wbrew swojej własnej tradycji i milczę ostentacyjnie. Michelle, mistrzyni takich pojedynków, niweczy moje próby zawstydzenia jej, dodając:

— Helen, dużo o tobie myślałam. Dobrze ci zrobi, jak wyjdiesz z domu, zamiast tkwić w czterech ścianach. Życie toczy się dalej. A poza tym — tu jakby łkanie — mam prawdziwy kryzys z Sammym. Potrzebuję twojego wsparcia. Proszę, przyjdź.

To śmieszne. Ona potrzebuje mojego wsparcia, bo jej tępawy sztywniak, który nie wypije nawet szprycera, nie zje nawet czekoladki z likierem bez pozwolenia swojej mamusi, troszkę się nabzdyczył, jak każdy maminsynek od czasu do czasu. Widocznie Michelle poprosiła go o zmianienie żarówki albo zagranie wody w czajniku. Spotyka się z nim już pięć lat i dwa miesiące i przez te 1886 dni Sammy był, niezmiennie, cikliwym, nudnym fajtłapą. Ulubionym zajęciem Michelle w tym czasie było zaś gderanie na niego każdej znajomej zbyt tchórzliwej, by uciąć jej wojownicze, dwugodzinne diatryby, ale Michelle za-

wsze obraża się śmiertelnie, gdy serwuję jej darmową terapię i próbuję przeprowadzić jakąś konstruktywną krytykę zaistniałej sytuacji: „Michelle, dlaczego ty go po prostu nie rzucisz?”.

— To przyjdiesz? — nalega Michelle. Poddaję się. Nie ma co się jej stawiać dla zasady, bo nie dość, że Michelle jest tak gruboskórna jak nosorożec, to jeszcze jest absolutnie uzależniona od dbania o urodę i naprawdę mi uwierzy, jeśli jej powiem, że nie mogę, bo cały jutrzejszy wieczór przeznaczam na mycie włosów.

— Dobra, będę. — Wzdycham.

— Kochanie, jesteś po prostu wspaniała. — Cieszy się Michelle, która przeczytała *Żony z Hollywood* Jackie Collins ze cztery razy i na tym wzoruje styl swoich wypowiedzi. Odkładam słuchawkę, rzucam się na kanapę, ze złością robię głęboki wdech przez nos. Z Michelle los zetknął mnie, gdy miałyśmy pięć lat, bo nasze matki postanowiły, że razem przebrniemy przez szkołę. Jako że wtedy jeszcze nikogo nie dyskryminowałam, jej imponująca kolekcja naklejek Walta Disneya przypieczetowała naszą przyjaźń. Dwadzieścia jeden lat później przeklinam Bambiego i Króliczka, i wszystkich ich świergotliwych przyjaciół.

Dzwonię do Tyny po wsparcie. Tylko szuka pretekstu, żeby się wymknąć wieczorem z domu, bo próbuje właśnie zerwać z nałogiem oglądania *Coronation Street*, i z radością przystaje na moją propozycję.

Podjeżdżałam, że U-Bar będzie knajpą w złym guście, ale przerósł moje najśmielsze oczekiwania. Zaczniemy od tego, że ze ściany wystaje purpurowy zderzak cadillaca naturalnej wielkości. Stanowczo protestuję przeciw siadaniu pod nim, bo boję się, że mi spadnie na głowę. Michelle wygląda olśniewająco w krótkiej, obcisłej bluzeczce ze sztucznej lamparciej skóry i białych, równie obcisłych dżinsach. Fryzurę ma a la Monica Lewinsky.

Tymczasem Tina jest niczym zahipnotyzowana przez to wysokie stężenie dumnie obnoszonych przez Michelle wykroczeń

przeciw modzie i nieustannie powtarza jak w transie: „Co ona ma na sobie?”. Ja włożyłam zupełnie przeciętne czarne spodnie i pomarszczoną srebrną bluzkę, którą wyciągnęłam z otchłani kosza na brudy. Tkwiła tam już od trzech miesięcy, ponieważ zamierzam zanieść ją do pralni chemicznej, kiedy będę miała wolną chwilkę, ale skoro jeszcze jej nie zniosłam i skoro wiem, że nigdy tego nie zrobię, po co zawracać sobie głowę zachowywaniem pozorów? Zresztą jest srebrna — pomarszczona i srebrna — kto się zorientuje? Kiedy więc Tina ją zobaczyła, bardzo opanowanym głosem zapytała:

— Skąd masz coś takiego?

Odpowiedziałam równie opanowanym tonem:

— Z kosza na brudy.

Spojrzała na mnie z naganą i wymamrotała:

— Nie skomentuję tego.

Odwzajemniłam spojrzenie i rzekłam:

— I dobrze.

I nie jest mi wcale lepiej, kiedy — po godzinie pogaduszek z dobrze zbudowanym, rzyym facetem o plecach w kształcie trójkąta równoramiennego — Michélie raczy mnie wreszcie zauważyć i kołysząc biodrami, zbliża się na chwilkę do naszego stolika. Tina natychmiast musi koniecznie iść do toalety. Pobrzękuje lodem w coli. Michélie rzuca uważne spojrzenie na moją szklankę.

— Jack Daniels i cola light?

— Nie — odpowiadam ze spokojem. — Zwykła cola. — I już wiem, na co się zanosi.

— Nie jesteś na diecie?

Uderzam szklanką o stół i piszczę:

— Nie, nie jestem na diecie, a ty się odchudzasz?

Michélie śmieje się i poklepuje po brzuchu płaskim jak naleśnik.

— Żartujesz, kochanie! Ja to chyba mam już takie szczęście od urodzenia!

Raczej szczęście do fitness chbu siedem dni w tygodniu i je-

dzenia jednego posiłku dziennie jak jakiś wyżeł weimarski czy coś. Ale to w końcu jej urodziny. Bądźmy wyrozumiali.

— Co tam u twojej siostry? — pytam.

Michelle aż rozdyma nozdrza,

— Koszmar! Nic, tylko nawija o tym bachorze! Można by pomyśleć, że jest pierwszą osobą na świecie, która będzie rodzic! Mój Boże! Muszę jednak przyznać, że ma fantastyczne cycki! Zawsze była płaska jak decha! Zupełnie jak ty! I teraz ni z tego, ni z owego wygląda niczym DoUy Parton!

Z oburzenia zatyka mnie na dobrą chwilę i to wystarczy, żeby Micheli zdażyła przywołać do naszego stolika faceta o tłustej cerze i zapadniętej klatce piersiowej, wepchnąć go obok mnie i powiedzieć:

— Helen, kochanie, to mój kuzyn Alan, jestem pewna, że macie wiele wspólnego. — Po czym odpłynęła, jak gdyby nigdy nic.

W panice szukam wzrokiem Tiny i ku mojej rozpaczy widzę, jak siedzi przy barze i dosłownie pociera nosem o nos jakiegoś przystojnego blondyna w ciemnej marynarce. Odrzuca do tyłu włosy i podtrzymuje jego dłoń, gdy on z galanterią podaje jej ogień. Bezwstydnica! Zabiję ją za to. O ile Alan mnie do tego czasu nie wykończy. Jeszcze kilka tych potężnych, śmiertelnych podmuchów z jego ust i może być po mnie.

Jestem w potrzasku. Zadaje mi jakieś pytanie dotyczące mnie — pewnie takie, jak każą wszystkie poradniki dla totalnych towarzyskich wyrzutków — ale gdy tylko udaje mi się rzucić jakieś zdanie, natychmiast — a wątpię, żeby to było zgodne z jakimikolwiek poradnikami — rykoszetuje i rozpoczyna wspaniały temat: „Ja i moje życie”. Na przykład, gdzie byłam na wakacjach? W Hiszpanii. Co za zbieg okoliczności! Był w Hiszpanii, jak miał trzy latka, tak, był w Madrycie i widział korridę, i nawet chciał zostać matadorem, ale ha, ha, ha, zdecydował, że jednak będzie specjalistą od własności intelektualnej, więc podróżuje po całej Europie i właśnie w zeszłym tygodniu starszy wspólnik wspomniał nawet o jego wyjątkowym oddaniu firmie i o tym, że bla, bla, bla.

Zapadam w jakiś trans, z którego wyrывa mnie ręka Alana odziana w wełniany sweter i opadająca właśnie na moje ramie. Strząsam ją natychmiast i prychnam:

— Mam chłopka.

I choć jest to wierutne kłamstwo, wygląda na obrażonego do szpiku swoich wątych kości.

— A ja mam dziewczynę — mówi dumnie — ale nadal możemy być przyjaciółmi.

Rzucam mu mordercze spojrzenie i mam nadzieję, że padnie na miejscu... albo przynajmniej pójdzie sobie wreszcie, ale nie. Tacy jak Alan nigdy sobie nie idą. Dalej nawija o sobie przez mniej więcej wieczność. Potem, dzięki Ci, Panie, łyk piwa spływa mu nagle nie w tę dziurkę, co trzeba, i przestaje paplać, bo się krztusi przez chwilę. Wykorzystuję tę wspaniałą okazję, żeby wstać i powiedzieć:

— To cześć, ja już pójdę.

Ale, ale! Łapie mnie swoją spoconą łapą i charczy:

— Dasz mi swój numer telefonu? — Przemądrzały, zarzuca mi prostack.

— Przecież mówiłeś, zdaje się, że masz dziewczynę — odpowiadam.

— Mam, ale, no wiesz, gdyby coś się zaczęło psuć w twoim lub moim związku...

Przerywam mu:

— Ja jestem szczęśliwa ze swoim chłopakiem.

Pociera swój tłusty nos.

— No, tak, ja też, ale, wiesz, za kilka miesięcy mógłbym zadzwonić i moglibyśmy się spotkać. — Jasne.

— W jakim celu? — pytam lodowatym tonem.

Alan powoli, nosowym głosem, jakim, jak sobie wyobrażam, mógłby mówić do swojej sekretarki, pyta:

— Helen, ile ty masz lat?

Jak skończona idiotka odpowiadam posłusznie:

— Dwadzieścia sześć.

Uśmiecha się wyniośle, po czym — zanim zdołam się zorien-

tować, co się dzieje — kładzie swoją obślizgłą łapę na moim lewym pośladku i ściska.

— Kiedy spotykają się ludzie w naszym wieku, jestem pewien, że wiesz, w jakim celu. — Chytrze łypie okiem, gdy ja z wściekłością strząsam jego rękę. Zarośnięty zboczeniec i jeszcze mnie tu poucza.

— Przykro mi — mówię słodko, śpiewnie i bezwzględnie — ale nie dam ci mojego numeru. Jednak — dodaję pocieszająco — dzięki, że próbowałeś.

Potem z furją przedzieram się przez tłum barwnie odzianej klienteli U-Baru — diabli wiedzą, gdzie się podziała Tina — i drałuję do metra.

Nawet sama podróż doprowadza mnie do pasji. Mniejsza o hordy wrzaskliwych, chuligańskich, krzykliwych, pijanych żuli — w końcu w każdy inny piątek wyglądałybyśmy z Tiną dokładnie tak samo. Ale ta para beznadziejnie migdałących się do siebie staruszków, którzy siedzą naprzeciw mnie, trzymają się za ręce i uśmiechają ckliwie, działa na mnie jak płachta na byka i chcę wrzeszczeć, wrzeszczeć, zadusić ich i młotem dwuręcznym rozbić cały wagon w drobny mak.

Nienawidzę ich. W ich wieku to obrzydliwe. Czemu jeszcze żyjecie, myślę sobie. Powinniście już nie żyć. Mój ojciec nie żyje, więc czemu wy żyjecie? Zanim wtoczmy się na mój przystanek, targa mną tak mocna nienawiść, że czuję się fizycznie chora. W ciemnościach pełnę do domu, wyzywając wszelkich złoczyńców, gwałcicieli i morderców do walki — tylko spróbuj, chłopie, a sam pożałujesz, bo mi jest już wszystko jedno, i gdy z tobą skończę, będziesz marzył o tym, żeby się nigdy nie urodzić.

Dziesięć minut później docieram do domu, bez szwanku. Jest dopiero 22.50. Cichutko zamykam drzwi, biorę głęboki oddech, wślizguję się do kuchni i siadam przy stole jak robot. Potem opieram głowę na dłoniach i myślę w kółko: „Pomocy, niech mi ktoś pomoże, błagam”. Nie wiem, co robić. Moje życie się rozkołysało, popędziło, wymknęło się spod kontroli. Oszałało. „O Bo-

że, pomocy". chyba wypowiedam to na głos, bo nagle Marcus jest przy mnie i głaszcze mnie po głowie i mówi delikatnie:

— Hej, Hellie, moja ulubiona dziewczynko, co się dzieje?

A ja znów powtarzam:

— O Boże, niech mi ktoś pomoże — i wybucham płaczem.

Dziesięć minut później całujemy się z Marcusem.

ROZDZIAŁ IX

Ostatni raz zdecydowałam się na depilację woskiem po tym, jak przeczytałam w „Vogue” artykuł o Francuzkach. Kobietom we Francji obca jest koncepcja noszenia starych gaci w czasie miesiączki, co tydzień chodzą do manikiurzystki oraz pedikiurzystki, a także, wręcz z zasady, zostawiają jedzenie na talerzu. Z wrażenia aż zadzwoniłam do Tiny, żeby się dowiedzieć, co ona o tym sądzi.

— Ten artykuł jest pięknie napisany — powiedziała. — I bardzo przekonujący, ale wydaje mi się, że to żart. Jest zabawny i, to fakt, one takie są, ale autorka tylko żartuje.

Dopiero wtedy dotarło do mnie, że Tina ubiera się, zachowuje i je jak lekko stuknięta Francuzka, choć jest z Tooting, więc nie mogła powiedzieć nic innego. Umówiłam się na wizytę u fryzjerki i kosmetyczki („nagły wypadek”), poszłam biegać, wpadłam do Waitrose i kupiłam: sałatę, pięć marchewek, skrzynkę pomidorów, dwa opakowania serka wiejskiego, bochenek chleba razowego, trzy puszki tuńczyka w zalewie, cztery ziemniaki i opakowanie herbatki miętowej. Oczywiście wszystko to zgniło na dnie lodówki, ale przynajmniej przez tydzień moje nogi były zupełnie łyse, włosy nie wyłaziły mi spod majtek, końcówki mi się nie rozdawały, a moje paznokcie były śliczne jak Brad Pitt w *Thelmie i Louise*.

Niestety od tego czasu minęło już dziewięć miesięcy, przeszła mi ta paryska obsesja i wróciłam do swoich niechlujnych, angielskich nawyków i sprzątanania wszystkiego, co tylko leży na

talerzu. Kiedy więc Marcus szepcze miłe słówka, sapie i liże moje lewe ucho, ogarnia mnie nie tyle pożądanie i omdlenie, co paniczny strach i trema. A tak w ogóle, to kiedy ja ostatnio myłam uszy?

Beztrósko obracam głowę tak, żeby moje ucho znalazło się poza zasięgiem jego warg, i nasze usta spotykają się z dość niezgrabnym stuknięciem zębów.

— Przepraszam — chichoczę. Nie mam pojęcia, jak to się stało. Siedzę sobie i ryczę jak bachor o czerwonej twarzy, i nagle Marcus unosi mnie, i już jestem w jego silnych (tak!), mocnych (o kurczę!), umięśnionych (dodatkowe punkty!) ramionach. Płakałam i smarowałam w jego lnianą koszulę, pozostawiając na niej mokre, zielonkawe ślady, których na szczęście nie zauważył. Zaczął mnie głaskać po głowie i szeptać: „Moje biedactwo, Hellie, już cicho, już nie płacz”. I pocałował mnie w głowę. Marcus J. Bogush! Pocałował mnie. Po tych wszystkich latach! Gdy już straciłam nadzieję!

Zapominam o staruszkach i przyciskam usta do jego ust. Odchyła moją głowę do tyłu, ciągnąc mnie za włosy, co jest może bolesne, lecz nie zamierzam przecież zepsuć tej chwili głupim „ała”. Całujemy się długo i mocno, ale — o zgrozo! — jego styl całowania nie jest bynajmniej tak wspaniały, jakby to sugerowała jego reputacja. Jeśli mam być szczerą do bólu, to czuję się trochę rozczarowana. Jego język lata w mojej jamie gębowej jak wielki, martwy łosoś wirujący w pralce. Potem Marcus przerywa i pyta beczelnie:

— A teraz czujesz się lepiej? — I znów go pożądam.

Rzuca mnie na sofę, a ja w chwili uniesienia (choć umyślnie) też łapię za jego włosy. Przestaje mnie na chwilę obmacywać i mówi:

— Hellie, złotko, uwielbiam cię, ale ciagniesz mnie za włosy.

— Sorki — mamroczę i znowu się ślinimy. To niesamowite, ile ten facet produkuje śliny, myślę niewdzięcznie, gdy nagle dzwoni telefon. Włącza się automatyczna sekretarka.

— Cześć, Helen! Mówi Tom. Dzwonię spytać, czy nie masz ochoty na tequilę...

Zastygam. Tom ma bardzo słaby refleks, to fakt. Marcus wy-

puszcza mnie z objąć, jakbym była radioaktywna, rumieńce porządania znikają z jego pięknej twarzy, jakby zdjął maskę.

— Mam zatem rywala — zauważa nonszalancko.

— Nie, nie... — jąkam się.

— Tak, tak — mówi Marcus uprzejmie. — Może powinienem cię zostawić samą.

Wstaje z sofy i delikatnie zdrapuje dziwną, zielonkawą plamę ze swojej koszuli.

— On tylko był... — Urywam, gdy widzę stalowe spojrzenie Marcusa.

— Twój wybór, Helen — rzuca.

Podnoszę słuchawkę.

— Halo? Tom?

— O! — Tom się cieszy. — Udajesz, że cię nie ma? Ale dla mnie jesteś?

To — mimo wszystkich moich deklaracji składanych ostatnio Tinie — nie będzie takie łatwe. Rzucam niespokojne spojrzenie w stronę Marcusa, który krzyżuje ręce na piersiach jak gladiator i ziewa.

— Tom — zacynam smutno i z wahaniem.

Ale on mi przerywa. Jego głos jest jakby chłodniejszy.

— Nie jest dobrze, tak?

Przygryzam wargę.

— Tom. — Wzdycham. — Lubię cię i w ogóle, ale jestem teraz naprawdę bardzo zajęta, w pracy i takie tam, więc może, może potem do ciebie zadzwonię, co? — Spoglądam na Marcusa. Wygląda na niewzruszonego, więc dodaję: — Ej, ale to nie koniec świata, nie?

Na chwilę zapada cisza. Potem tonem chłodnym i pełnym wzgardy Tom mówi:

— Wiadomość otrzymano i zrozumiano. — I rozłącza się.

— Łubudu — krzyczy Marcus głośno, delikatnie wyjmując słuchawkę z mojej dłoni i obraca mnie tak, żeby widzieć moją twarz. — Ale mu powiedziałaś. — Uśmiecha się i mruczy: — Ty to jesteś numer, Hellie, i wiesz o tym, nie?

Uśmiecham się i kiwam głową, choć nie miałam pojęcia.

— Więc — ciągnie Marcus, całuje mnie w kark — co — całuje mnie w szyję — mamy — gryzie mnie — teraz — całuje — w — siorbie — planach?

Przywieram do jego szerokich ramion i zamykam oczy, parodiując pożądanie, ale w duchu czuję się podle i mniej więcej tak napalona jak martwy króliczek. Poniżyłam Toma, lecz sama czuję się poniżona. Te cztery słowa — „wiadomość otrzymano i zrozumiano” — tkwią w mojej głowie i zawstydzają mnie coraz bardziej.

Z tego mało lubieżnego zamyślenia wyrывa mnie przykre odkrycie — Marcus robi mi malinkę. Próbuje chyba wyssać ze mnie całą krew. Bardzo przepraszam, ale z takich szkolnych sposobów na znakowanie terenu wyrosłam co najmniej ze trzy miesiące temu. Mój brak entuzjazmu jest chyba aż nadto widoczny, bo Marcus nagle przerywa pracę swojej pompy ssącej i przemawia do mnie uroczystym tonem:

— Hellie, możemy przerwać zaraz w tej chwili lub posunąć się jeszcze dalej.

Otrząsam się z zamyślenia. U licha, przecież to Marcus, mroczny obiekt mojego pożądania od dziewięciu lat!

— Zabawmy się! — mruczę i mam nadzieję, że zabrzmiałam jak seksowny kociak.

Uśmiecha się zwycięsko.

— Moja dziewczynka! — Podnosi mnie i lekko posapując z wysiłku, zanosí do swojej sypialni.

— Jestem trochę ciężkawa — mamrocę kokieteryjnie, z góry ciesząc się na obowiązkowe zaprzeczenia.

Ku mojemu zdziwieniu Marcus nie chwyta zupełnie i zamiast tego rzuca mnie z hukiem na łóżko i mruczy:

— Ty to powiedziałaś, złotko.

Mija ledwie sześć i pół mało erotycznych minut i leżymy z Marcusem pod jego białą kołdrą. Staram się powiedzieć coś odpowiedniego.

— To było miłe — kłamie.

To niesamowite, ale mimo tego numeru z przeceny on mi wie-
rzy! Opiera się na łokciu i leniwie bawi się, głaszcząc palcem —
jakoś nigdy wcześniej nie zauważyłam, że ma takie małe dłonie
— moją prawą pierś. Spoglądam na niego i z przerażeniem uświa-
damiam sobie, że na jego twarzy pojawił się wyraz rozbawienia.

— Co? — pytam podejrzliwie.

Marcus marszczy nos.

— Nic. — Śmieje się. — Są urocze.

Bezczelny! Ustalmy coś. Może i moje piersi są rozmiaru
36A, ale — skoro już tak bez żadnych ograniczeń oceniamy cu-
dze części ciała — fiut Marcusa jest rozmiaru AA, jak baterie do
najmniejszych aparatów fotograficznych. Tyle że nie można go
używać tak długo. Aż się jeżę ze złości, gdy nagle Marcus odrzu-
ca kołdrę na bok, wyskakuje z łóżka i oświadcza:

— Idę pod prysznic.

— Dobra — mruczę, moszczę się wygodnie i naciągam kołd-
rę aż po brodę.

— A ty — ciągnie Marcus nieco opryskliwie — nie idziesz
pod prysznic?

Podnoszę się na ramieniu i miękkim głosem pytam:

— Czy to jakaś propozycja?

Marcus wygląda na zawstydzonego. Drapie się prawą stopą
po lewej łydce i mówi;

— Hellie, wiesz, ja się nie nadaję pod prysznic. To taki mój
mały świr: wolę się kąpać sam. Ale możesz przecież pójść **pod**
swój prysznic. Nie mam nic przeciwko.

Nie od razu rozumiem, o co mu chodzi.

— I co, mam tu wrócić po kąpieli? — wrywa mi się.

Marcus waha się i odpowiada:

— Jeśli chcesz, choć to będzie trochę głupio wyglądało, jeśli
Luke cię tu zobaczy, bo poza tym to OK.

Chciałabym, żeby nie odczytał z mojej twarzy, jak mnie uraził.

— Masz stuprocentową rację — mówię powoli. — Czy mógł-
byś podać mi bluzkę?

Podaje mi bluzkę. Staram się wyglądać, jakby mnie to nic nie

obchodziło. Marcus kręci moimi starymi gaciami wokół swojego małego palca i rzuca je w moją stronę. Ładują na mojej twarzy i Marcus wybuchają śmiechem.

— Rozchnurz się, Hellie. — Ciesz się. — Nadejdą lepsze czasy.

Przedrzeźnia mój posępny wyraz twarzy. Próbowałam zachować twarz pokerzysty, ale nie umiem. Pokazuję mu język.

Najwyraźniej jest to reakcja prawidłowa, bo Marcus puszcza do mnie oczko i mówi poważnie:

— Wiesz, Hellie, że bardzo bym chciał spędzić z tobą całą noc, ale bezsenność urodzie szkodzi! Następnym razem, co? — A ten komunał wygląda tak, jakby to był dowcip miesiąca.

— Aha — przytakuję. Ma rację. W końcu to Marcus. Marcus to Marcus. Zupełnie bezsensownie napompowane ciało oprócz tej jednej najważniejszej części. Moja uraza znika.

— Idź już pod ten swój prysznic — mówię miłym głosem. — I zobaczymy się jutro.

To wywołuje pokazowy uśmiech.

— Dobrej nocy — rzuca mi.

Odwraca się (fuuj, ale włochaty!) i na golasa idzie do łazienki, a ja nagle mam jakieś zaćmienie.

— Marcus — odzywam się.

— Tak? — pyta dość zwięźle.

Mówię to i jednocześnie wciskam się w swoje najbardziej obskurne gacie:

— Zrobię ci jutro wieczorem obiad, jeśli chcesz.

Nie mogę do końca rozszyfrować jego wyrazu twarzy.

— Pewnie, no, to świetnie, to do zobaczenia — odpowiada i znika w łazience, zamykając za sobą drzwi.

Zwlekam się z łóżka, zbieram spodnie, skarpetki i buty, maszeruję do swojego pokoju, zdejmuję bluzkę, wyciągam z szuflady nożyczki, tnę moje babcine gacie z piekła rodem na drobne kawałeczki, które następnie wrzucam do kosza, i padam na łóżko. Nie zmyłam makijażu, nie umyłam twarzy, nie umyłam zębów, nie wyczyściłam ich nicią dentystyczną.

— Nic mnie nie obchodzi ten włochacz — informuję sufit z sarkazmem. Potem leżę nago i nie mogę zasnąć aż do czwartej nad ranem.

Otwieram oczy o — zgodnie z tym, co pokazuje mój mały używany budzik — 14.18 i po raz drugi w tym tygodniu myślę —jeszcze nie wiedząc właściwie dlaczego — „O nie!”. Moja pamięć pozwala mi na pół sekundy spokoju, a potem wszystko przelatuje mi przed oczami. O nie! Widzę wszystkie wczorajsze wydarzenia. U-Bar. Alan. Staruszkowie. Marcus. Kiełbaska koktajlowa. Prysznic. Propozycja obiadu. P r z y j ę c i e propozycji obiadu.

Może nie aż takie „o nie”. Potem przebiegam myślami wszystkie potrawy, jakie umiem ugotować, i znów wracam do punktu wyjścia — o nie! Wyściubiam nos z pokoju, ale w mieszkaniu jest cicho, a drzwi do pokoju Marcusa są uchylone. Pewnie jest w fitness chbie. Luke pewnie w pubie. Dzwonię do Tiny, ale nikt nie odpowiada, więc zostawiam jej zwięzłą informację: „Hej, zdiro jedna, gdzie ty się podziewasz? Zadzwoń natychmiast, jak dostaniesz tę wiadomość!”. Potem maszeruję do kuchni i z niekniętej kolekcji książek kucharskich Marcusa, które stoją na najwyższej półce, ściagam kilka na dół.

Najpierw odpada włoska, bo nie wiem, co to jest Radicchio di Treviso. Angielska poświęca 100 stron na ciężkostrawne, główne dania i 425 stron na desery. Jako że Marcus raczej by się sam ugotował w oleju, niż zjadł cokolwiek, co było w nim zanurzone, pozostaje mi tylko książka amerykańska, w której są przepisy na różne rodzaje puree z ziemniaków (to akurat umiem!) i mięso z kurczaka zapiekane z jarzynami w cieście. Prościzna! O, cholera. Im się wydaje, że sama zrobię ciasto. Bądźmy poważni. Porzucam książkę i postanawiam improwizować.

Zrobię puree z ziemniaków (obrać ziemniaki, ugotować ziemniaki, ugnieść ziemniaki, wrzucić tam kostkę margaryny) i zapiekankę z ryby (posiekać pory, podsmażyć, wrzucić do żaroodpor-

nego naczynia, na to kawał zamrożonej ryby, na to jogurt grecki, na to starty cheddar, zamknąć i wepchnąć do piekarnika na tak długo, żeby udało się zwieść gościa). To Lizzy powiedziała mi, jak się robi tę zapiekankę, i jest pyszna. A co najważniejsze, potrzeba do niej czterech składników, a nie dziewięćdziesięciu. Przykre jest tylko to, że najpierw trzeba iść do supermarketu. Zaglądam do lodówki. Moja część (Marcus wydzielił części w lodówce, żeby skończyło się podkradanie) jest pusta, nie licząc kartonika wyschniętego mleka, zeschniętego zielonego kawałka cheddara i resztki masła upstrzonej okruszkami. Mogłabym nawet obczyścić masło, ale serowi już i tak nic nie pomoże.

Co mi przypomina o tym, że naprawdę powinnam zadzwonić do mamy. Nie dzwoni od środy, co jest świetne, ale nieco zastanawiające. Zadzwonię do niej jutro. Jeszcze raz próbuję dodzwonić się do Tiny, zanim powlokę się do Waitrose.

Tym razem odbiera.

— A czemu nie dzwonisz? — napadam ją.

Puszcza moje pytanie mimo uszu i wzdycha.

— Och! Helen! Cholera jasna! — Jej głos emanuje poorganizmowym zaćmieniem.

— To ten blondyn, co? — rzucam oskarżycielskim tonem.

Tina wzdycha błogo.

— Oj, Helen, żebyś wiedziała!

W tym miejscu pozwolę sobie przerwać, by zauważyć, że to jest bardzo dziwne. Wręcz nienormalne. Zwykle gdy Tina spotyka faceta — który, załóżmy, wygląda jak Matt Dillon, jest bogaty jak Bill Gates i dowcipny jak Jerry Seinfeld — można od niej usłyszeć najwyżej niechętne: „No, właściwie jest w porządku”. Jestem w szoku.

— Opowiadaj. Natychmiast.

Tina wzdycha w słuchawkę.

— Więc ma na imię Adrian...

— Adrian! — piszczę.

— Tak, Adrian — mówi ostro. — Czy to złe imię?

Przełykam ślinę.

— Nie, nie, to śliczne imię. Więc mówiłaś...?

Najwyraźniej Adrian to ideał. Jest tak idealny, że niech się schowają przy nim wszyscy mężczyźni tego świata. Jest idealny od swoich idealnych stóp po czubek swej idealnej głowy, a wybitnie idealny jest w okolicach krocza. Ma idealnie zachrypnięty głos, idealnie opowiada dowcipne anegdotki, ma idealną pracę, bo jest architektem, oraz idealnie boskie mieszkanie na obrzeżach Maida Yale, a najidealniej sze jest to, że uważa Tinę za idealną.

— Co? Tak szybko? Ale przecież znacie się jakieś osiem minut!

Tina chichocze w słuchawkę.

— Mówię ci, kobieto, to jest wielka sprawa. Czuję to... w majtkach.

Nie powiem, żebym była tym zachwycona. Polegam na jej wiecznym rozczarowaniu względem facetów — mimo że to lipa — jako na podtrzymującym mnie na duchu barometrze miłosnym. Ten nagły wstrząs jej cynicznego status quo przeraża mnie. Nagle gramy w krzesółka do wynajęcia i to ja nie mam gdzie usiąść. Jej reakcja na moje wiadomości o Marcusie wcale nie polepsza sytuacji.

— Ale przecież on nosi figi tanga! — krzyczy Tina.

Na chwilę zbija mnie z tropu, więc pytam tylko:

— A skąd wiesz?

— Przecież to widać przez te jego spodnie khaki! — wrzeszczy.

Pospiesznie odzyskuję panowanie nad sobą.

— No i co z tego. Nie wszyscy możemy być członkami tajnej policji mody.

Tina udaje, że nie słyszy tej kpiny.

— Helen — mówi bardziej poważnym tonem. — Nie chcę być okrutna, wiem, że podoba ci się od lat, ale obie się przecież zgodziłyśmy, że on jest jeszcze gorszy niż Jasper. To tylko jeden wielki, tępy kutas. — Gdyby choć tyle. — I ten jego myk z aspiryną!

Obawiam się, że Tina nawiązuje tu do jego zwyczaju noszenia przy sobie, w srebrnym pudełeczku, rozpuszczalnej aspiryny na wypadek, gdyby miał zawał.

— Przyznasz, że to nie jest zbyt spontaniczny gość. Trudno też powiedzieć, że żyje na krawędzi...

Co za perora. I mimo że jest w tym ziarnko prawdy — no dobra, jest w tym cała sekwoja prawdy — to jej kazanie wygłaszane ze świętego ołtarza właśnie odnalezionej miłości wkurwia mnie na maksa.

— Trudno też powiedzieć, że w mieszkaniu na obrzeżach Maida Yale żyje się na krawędzi, nie? — rzucam.

Zapada głucha cisza, którą w końcu przełamuje Tina grzecznym zapytaniem:

— Więc dużego miał?

Przyznaję, że to było raczej bonsai, więc śmiejemy się do rozpuku i nasza przyjaźń zostaje uratowana.

— To po co sobie w ogóle zawracać nim głowę? — pyta, gdy już dochodzimy do siebie.

Wzruszam ramionami do telefonu.

— Bo ja wiem... Nie wiem, jak to wytłumaczyć. Lubię go. On, tylko się nie śmieje, mnie pociąga. I był taki kochany, gdy było mi smutno. I to był pierwszy raz. Może się denerwował. Może było zimno w pokoju...

— Może ma futra jak igiełka.

Rechoczymy jeszcze trochę, ale jej rechet jest jakby bardziej przekonujący niż mój, potem przepraszam ją i lecę do Waitrose.

Pięć pracowitych godzin później legowisko jest skrupulatnie przygotowane. Niedowierzającego mi Luke'a wyznałam do pubu (nie trzeba go było bardzo przekonywać) i posprzątałam w kuchni. Puree gotowe, ryba w piekarniku, stół nakryty, świece zapalone, wino schłodzone, masło obskrobane, kupiłam do niego długąsiłą bagietkę, choć musiałam ją złamać na pół, żeby się

zmieściła w reklamówce, a ja — w roli deseru — jestem umyta, uczesana, ubrana i maksymalnie odpicowana. Jedynym brakującym składnikiem jest Marcus,

Czekam do za dziesięć dziesiąta, potem sama zjadam całą zapiekankę, a Fatboyowi robię ucztę z puree.

ROZDZIAŁ X

W takie dni jak ten żałuję, że nie wynalazłam Tetra Pak. Bilony funciaków za minutkę najprostszego origami. To nie tylko zazdrość, ale i uraza osobista — wczoraj próbowałam otworzyć kartonik Tetra Paku z zupą grzybową i nie działała! Musiałam go rozedrzeć paznokciami i zamiast przemienić się w kontrolowany dzióbek do nalewania zupy, zmienił się w jakiś koszmar, a cała zupa wylądowała na podłodze.

Luke zasugerował, że atakowałam kartonik nie z tej strony, ale warknęłam:

— Od kiedy to niby jesteś ekspertem w tych sprawach? Ty zawsze jesz z pudełek i puszek!

Wyglądał na urażonego i chyba zamierzał się spierać, lecz przekonało go moje zaciekle spojrzenie i się zamknął. W ogóle od czasu, gdy Marcus zdezerterował. Luke chodzi wokół mnie na paluszkach. Wprawdzie w sobotę rano wytłumaczył mi, jakby objawiał jakąś tajemnicę: „Pewnie zamieszkał u jakiejś gwiazdeczki pop z klubu!”. Ale poza tym jest wcieleniem delikatności i taktu. Ja tymczasem jestem wcieleniem rozgoryczenia i złości. Po części z powodu Marcusa, po części z powodu Toma, a głównie z powodu tego, że — dzięki mojemu mało kreatywnemu umysłowi — muszę wrócić do pracy już dzisiaj.

Wślizguję się do biura chyłkiem, starając się nie zwrócić niczyjej uwagi. Gdy wchodzę, zapada milczenie, jakbym co najmniej miała na nogach zeszlóroczne adidasy. Właściwie to mam. Tina przerywa tę ciszę, krzycząc:

— Bradshaw! Witaj!

Lizzy wybiega, ściska mnie mocno i całuje mnie trzy razy (lewy policzek, prawy policzek, a gdy już się wycofuje, napada jeszcze raz na lewy. Myślę, że to jakiś wymysł z kontynentu).

— Helen — mówi apodyktycznym tonem. — Dzisiaj jeszcze się oszczędzaj. Jak tylko będziesz miała dość, idź na spacer. A tu masz, to dla ciebie. Żebyś lepiej spała.

Wciska mi w dłonie jakiś mały przedmiot, a potem pędem wraca za biurko. Jest to buteleczka olejku zapachowego. Na etykiecie jest napisane: „wyciąg z lawendy”, a pod spodem dla bardziej inteligentnych użytkowników: *Lavandula officinalis*. Jestem wzruszona, choć gdy ostatnim razem miałam problemy z bezsennością (bałam się, że nie zdam egzaminów końcowych, jak się okazało, nie bez powodu), ziółka, korzonki i płatki wpływały na mnie doprawdy cholernie usypiająco. Mój lekarz — który z sobie tylko wiadomych powodów nie cierpi przepisywać żadnych lekarstw — był na tyle bezczelny, że doradził mi, bym wyłączyła telewizję na trzy godziny przed pójściem spać i wypięła filiżaneczkę uspokajającej herbatki rumiankowej! W ciągu ostatnich dwóch tygodni spałam może w sumie ze trzy godziny, więc zaczynałam już wariować z wyczerpania i żadne gładzenie o hokus-pokus nie mogło mi już pomóc.

Ale teraz jestem wdzięczna Lizzy za prezent, bo — wbrew wszelkim mitom — gdy jest się asystentką w „Girltime”, dostaje się najwyżej jeden gratis rocznie i jest to zwykle jakaś tandeta, której absolutnie nikt nie chce, na przykład pomarańczowe, odblaskowe etui na komórkę.

Niektórzy — po ostrożnej obserwacji mojej wyraźnie spokojnej wymiany zdań z Lizzy — podbiegają do mnie, żeby powiedzieć, że bardzo im przykro z powodu mojego taty. Inni wysyłają do mnie miłe maile, a jeszcze inni przyglądają się podejrzliwie i traktują mnie tak, jakbym była zarażona wirusem ebola. Laetitia nie wie, co robić. Nasza wspaniale oschła redaktorka rubryki porad osobistych wysłała mi słodki liścik (nie dla niej jakież tam figlarne, liliowe karteczki kondolencyjne), w którym radzi mi.

żebym nie martwiła się w tym trudnym dla mnie czasie, nie gnębiła wspomnieniami, a mój ojciec będzie przy mnie na zawsze. Tak mnie tym zirytowała, że zrobiłam się różowa na twarzy — ludzie po prostu się uparli, żeby mnie przybić swoim sentymentalizmem.

Laetitia bierze moje niezadowolenie za zapowiedź płaczu i szepcze: „Trzymaj się, trzymaj się”. Potem wysyła mnie po śniadanie (kromeczek razowego chleba z masłem orzechowym bez masła i cappuccino z cynamonem bez czekolady). Kupuję podwójne espresso i drożdżówkę z jagodami, którą jem z poczuciem winy, kiedy Lizzy nie widzi: „Drożdżówka to tylko podstępna nazwa na zwykłe ciastko!”.

Ten dzień nie jest taki zły. Spędzam go, wklepując do komputera listy od czytelników i jakieś przenudne teksty (nasz ponadosiemdziesięcioletni krytyk filmowy uparł się i pisze wszystko ręcznie). Obdzwaniam naszych dziennikarzy, żeby im przypomnieć o nieuchronnie zbliżającym się spotkaniu redakcyjnym (te nieroby w życiu by same niczego nie przysłały). Dzwonię do lekarza, którego cytarami zwykle zapychamy dziury w numerze, i pytam, jakie dokładnie są symptomy chłamydii (odpowiedź: właściwie nie ma żadnych, więc jeśli nie masz właśnie zupełnie nieprawdopodobnego szczęścia, że właśnie to rozpoznasz, to w jednej chwili stajesz się bezpłodna). I odbieram spodnium Laetiti z pralni chemicznej. Niewątpliwą zaletą powrotu do pracy jest to, że nie mam czasu zamartwiać się Marcusem. Ani Jasperem, który — jak sobie uświadomiłam — nie dzwonił już od ponad dwóch tygodni. Wadą powrotu do pracy jest natomiast to, że gdy wychodzimy z Lizzą i Tiną na lunch, przez sześćdziesiąt minut muszę wysłuchiwać różnych cudów o Adrianie. Nawet Lizzy ziewa ukradkiem. Znosi się na jeden z tych tygodni, w których zupełnie nic się nie dzieje.

Środa wieczór. Wlokę się do domu i zatrząskuję za sobą drzwi. Tak jak myślałam, mieszkanie jest puste. Luke jest pew-

nie w pubie — spędza czas na pracy w barze i zabawie w barze, i jeszcze sprzedaje miejsce na ogłoszenia w magazynie samochodowym. Pracę w barze mogę jeszcze zrozumieć, ale sprzedawanie miejsc na ogłoszenia zawsze mnie dziwiło. Luke próbował mi to wytłumaczyć. Nie spotyka swoich klientów. Siedzi w dusznym pokoiku w niszczącym budynku pełnym zaniedbanych mężczyzn, zmęczonych kobiet i starych telefonów. Nikt nie traci czasu na witanie się z innymi. Wchodzą, siadają i przekopują się przez inne magazyny samochodowe zawierające ogłoszenia o samochodach sprzedawanych z drugiej ręki. Potem dzwonią pod podane tam numery kontaktowe i przekonują sprzedających, żeby spróbowali jednak sprzedawać przez ogłoszenie w tym magazynie. Luke nie jest zatrudniony na etacie, więc dostaje tylko prowizję.

Kilka miesięcy temu próbowałam ustalić, jakim cudem Luke'owi udaje się coś zarobić, biorąc pod uwagę jego niesławny antytalent dyplomatyczny.

— Dzwonię tylko do ludzi z Walii — odpowiedział.

— Co?

Według Luke'a Walijczycy są najmiłszymi i najmniej krzykliwymi ludźmi w całym Zjednoczonym Królestwie. Często litują się nad nim i wpłacają pieniądze. Uśmiecham się do siebie na wspomnienie tamtej rozmowy, ale nagle słyszę hałas i uśmiech zamiera mi na ustach.

Ten hałas to kuszące śmieszki, a dobiegają one z dużego pokoju. Przeklinam się w duchu za to, że trzasnęłam drzwiami, i na palcach staram się uciec do swojego pokoju. Za późno. Marcus — ostatnio widziany, jak wycofywał się ze swoim gołym tyłkiem w stronę łazienki — wystawia łeb zza rogu i wita się wesołym głosem:

— Hellie, poznaj Catalinę!

Piękna kobieta z jasnorudymi warkoczycami i ogromnymi, zielonymi oczyma wyskakuje na korytarz. Co ciekawe, ma na sobie chłopską koszulinę i wełnianą czapkę z uszami.

— Hej, hej, Helen — mówi.

— Cześć, Catalina — odpowiadam. Pewnie, mimo że wyglą-

da jak uchodźca z Bośni, jest tak naprawdę wschodzącą gwiazdą popu. Jest aż nienaturalnie miła, co wcale nie polepsza sytuacji. To musi być ten charakterystyczny dla Marcusa sposób, by dać mi do zrozumienia, że nie chce się wiązać. Co za tchórz. Piorunuję go spojrzeniem pełnym pogardy.

— Hellie — krzyczy on. — Czemu jesteś taka poważna? — Zwraca się do Cataliny: — Kiedy poznałem Hellie, można było przy niej umrzeć ze śmiechu! A teraz jest taka poważna!

Catalina wybuchła śmiechem jak z karabinu maszynowego i piszczy:

— Och, naapraaaaawdęę? — Jakby powiedziano jej właśnie, że jakiś potworny rejestr wykazał niesamowity wzrost.

— Właśnie zmarł mój ojciec — mówię, by uzyskać efekt dramatyczny i żeby Marcus wyszedł na jeszcze większego głupca. — Nie tak dawno nie śmieszyło cię to tak bardzo.

Rzucam w jego stronę rozgoryczone spojrzenie i zamykam się w swoim pokoju. Jest mi żal samej siebie i, co dziwne, jest mi żal Cataliny.

W czwartek rano zauważam, że Fatboy — pierwszy raz w swoim życiu klasycznego obżartucha — nie chce jeść. Otwiera swój różowy pyszczek i miauczy głośno, ociera się o moje nogi — zostawiając rudy ślad z futra na moich czarnych spodniach — wskakuje na blat w kuchni (Marcus dostałby szału, ale jeszcze są z Cataliną w łóżku) i z uczuciem trąca mnie główką w ramię. Ale kiedy otwieram puszkę i wykładam maż do jego niebieskiej, porcelanowej miseczki, napręża ogonek jak maszt i odchodzi dumnym krokiem. Potem zaczyna wyć. To naprawdę okropny dźwięk. Zaczyna od głębokiego pomruku i kończy wysokim jękiem rozpacz. Czuję, że zawiodłam jako matka.

— Co? — pytam ze złością.

— Miaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaau!

— Przykro mi — mówię coraz bardziej rozżłoszczona. — Ale nie rozumiem.

Wtedy on — a to jest najgorsze — idzie sobie i siada jak sfinks na parapecie. I siedzi tak, i siedzi, nosem do ogrodu, tyłkiem do mnie. Kiedy całuję go w główkę, wstaje z irytacją i przesuwa się na parapecie dalej ode mnie. Prawdę powiedziawszy, już od tygodnia je niewiele, ale myślałam, że to dlatego, że przyszło wreszcie prawdziwe lato i że mu za gorąco. Może się daśa, bo poszłam do pracy i go opuściłam.

— Pracuję, żebyś miał whisky, ty leniwa świni — tłumaczę mu, ale potem uświadamiam sobie, że już jestem spóźniona i pędzę do drzwi.

Cały dzień zamartwiam się z powodu Marcusa i Fatboya, aż po południu dzwonię do mamy. Nie odbiera. Więc zaczynam się zamartwiać mamą. Od pogrzebu nie poświęcałam jej za wiele uwagi. To znaczy, nie widziałam się z nią ani z nią nie rozmawiałam. Powinnam była. Ale nie chciało mi się. Czułam się tak troskliwa i pełna współczucia jak góra lodowa, że nic bym jej nie pomogła. I nie będę miała z tego powodu wyrzutów sumienia, nie ma mowy. Czemu nie mogę zniknąć na dwa, trzy tygodnie i nie robić z tego wielkiej sprawy? Cholerny świat. Dzwonię do niej na komórkę. Wyłączona. Proszę zadzwonić później. Gdzie ona jest? Znowu dzwonię do domu i wsłuchuję się w sygnał tak długo, aż włącza się automatyczna sekretarka. Niemal wypuszczam słuchawkę z rąk, gdy słyszę: „Dom Cecelii i Maurice'a Bradshawów. Nie możemy w tej chwili podejść do telefonu. Uprzejmie prosimy o pozostawienie wiadomości po usłyszeniu sygnału”.

Serce bije mi w takim tempie, że zaczynam się bać, czy nie wybuchnie — głos mojego ojca. Odkładam słuchawkę i dzwonię jeszcze raz. Pochylam się nad biurkiem, zamykam oczy i wsłuchuję się w głęboki, silny głos mojego ojca. „Nie możemy w tej chwili podejść...”. Jak zahipnotyzowana wyobrażam sobie go, jak siedzi w ulubionym fotelu w swoim biurze i beztrzesko ignoruje dzwonek, bo nie cierpi odbierać telefonu. Może wcale nie umarł. Wysłuchuję tego powitania jeszcze raz.

W końcu zostawiam wiadomość: „Cześć, mam, to ja. Mam

nadzieję, że wszystko w porządku. Przepraszam, że nie dzwoniłam. Miałam urwanie głowy w pracy. Zadzwoń. Dobra. To cześć". Może wyszła na zakupy ze swoją przyjaciółką, Vivienne. Albo popływać. Tak sobie mówię. Ale wcale w to nie wierzę. Siedzę przy biurku i Laetitia każe mi zadzwonić do krytyka literackiego, żeby przypomnieć, że spóźnia się ze swoim tekstem już z tydzień, ale ja jedynie mogę myśleć o tym, że moja matka nie żyje i to prawdopodobnie z mojej winy. Dostała udaru i leży gdzieś pod schodami. Miała wypadek samochodowy i jest śmiertelnie ranna (geny odpowiedzialne za zdolność prowadzenia pojazdów mam po niej).

Z przerażenia odjęło mi mowę i po prostu wiem. Przypomina mi się historia z „Daily Telegraph”, którą kiedyś przebiegłam wzrokiem, o facecie, którego zadźgano na śmierć w czasie delegacji do Szwajcarii. Jego dziewczyna w Sussex dzwoniła do niego na komórkę i nie odbierał. „Wiedziałam, że nie żyje”, powiedziała dziennikarzom. „Wiedziałam to już od pierwszej chwili, nie miałam cienia wątpliwości”. Czytałam to, kiedy oboje moi rodzice byli jeszcze żywi, w dobrym stanie i mocno irytujący, więc moją jedyną reakcją było: „Ta, jasne, że wiedziała! I co jeszcze!”. Teraz to ja jestem tą kobietą. Moja matka nie żyje. Duszno mi.

— Przepraszam — rzucam w stronę Laetitii i wypadam z biura na ulicę. Rozglądam się w panice, nie mam pojęcia, co ja w ogóle robię i gdzie biegnę, lecę na drugą stronę ulicy, padam na drewnianą ławkę — „Pamięci Anthony’ego Bayera, który kochał Londyn” — o Boże, i staram się oddychać. Jest mi gorąco, jest mi zimno, jest mi słabo. Pięć sekund później pojawia się Laetitia.

— Helen — zaczyna podenerwowana. — Co się z tobą dzieje? Posprzeczaście się z tym, jak mu tam, Jasonem?

Zauważam, że Laetitia zachowuje bezpieczną odległość.

— Moja matka nie żyje! — mówię szeptem.

— Znaczą twój ojciec — poprawia mnie.

— Moja matka. Po prostu wiem.

Laetitia chrząka.

— Helen — mówi. — Twoja matka dzwoniła dosłownie przed chwilą. Prosiła, żeby ci przekazać wiadomość.

Cholera. Laetitia nigdy nie przekazuje wiadomości. Nigdy. Jaki potworny wstyd. Powoli biorę głęboki oddech i prostuję się.

— Dziękuję ci, Laetitia, dziękuję bardzo — mówię pośpiesznie.

Laetitia dodaje jeszcze:

— Powiedziała, żebyś wpadła do niej jutro po południu, jeśli masz czas.

Jeśli mam czas? Moja matka myśli o kimś innym niż ona sama? Zdziwiająca. Kiwam głową i — zapominając o panice — potulnie wracam za Laetitią do biura.

W drodze do domu przygotowuję się na znoszenie Marcusa i jego zabawy w doktora z Cataliną. Jestem więc mocno zdziwiona, gdy Marcus otwiera drzwi na oścież, gdy tylko moje klucze zadzwonią o zamek. Jest wściekły. Może wciąż nie może przeżyć tamtego tekstu o śmierci taty.

— Twój! Paskudny! Zwierz! — warczy. — Zasrał! Mi! Całe! ŁÓŻKO! ZNOWU! — Wygląda, jakby chciał mnie uderzyć.

— Och, nie! — mówię, dumna i zachwycona tym niesamowitym, towarzyskim wyczuciem Fatboya. Marcus prowadzi mnie do pokoju, żebym zobaczyła dowody. Wygląda na to, że Fatboy cierpi na coś, co moja mama nazywa „rozstrojonym brzuszkiem”. Cmokam z potępieniem.

— Nie martw się — pocieszam Marcusa i uśmiecham się do niego szeroko. — Zaraz posprzątam.

Lecę do kuchni po gumowe rękawice i papierowe ręczniki, a w duchu zastanawiam się, jak wynagrodzić Fatboya. Sosik z tuńczyka? Zabawa w płaszczy? Zabawa w płaszczy to najbardziej nużąca zabawa świata, a polega na tym, że wciskam parasolkę albo jakiś patyk pod płaszczy, a Fatboy skacze na to *ad infinitum*, ja zaś w końcu umieram z nudów. Powstrzymuję odruchy wymiotne i ścieram ślady biegunki, pozostawiając na białej ba-

wełnie brązowe plamy. Widzę mojego bohatera, jak liże łąpki bezpiecznie skryty w moim pokoju. Właśnie przenoszę pełne odchodów ręczniki do kosza na śmieci, gdy dzwoni telefon. Marcus odbiera, a potem bez słowa wyciąga słuchawkę w moją stronę.

Zrywam rękawiczki.

— Halo?

Marcus powoli wychodzi z kuchni.

— Helen — mizdrzy się głos, a kogóż to? — tłustego Alana.

— Skąd masz mój numer? — pytam lodowato.

— Od Michelle. — Ciesz się. Zabiję ją.

— Domyślam się, że to nie jest telefon platoniczny — stwierdzam znudzonym głosem.

W tej chwili do kuchni wkracza Marcus. W rękach, wyciągniętych na całą długość ramienia, trzyma zwiniętą, śmierdzącą kołdrę i z furią wciska ją do pralki. Słyszy każde moje słowo. Kiedy więc Alan pyta, czy nie poszłabym z nim na małą kolację i dyskotekę — *dyskotekę!* — choć tak naprawdę wołałabym zgolić sobie brwi i zjeść kanapkę ze szczura — głośnym i entuzjastycznym głosem, który musi upewnić Alana co do tego, że jestem schizofreniczką, krzyczę:

— Z wielką przyjemnością spędzę z tobą sobotni wieczór.

Gdy tylko Marcus wychodzi z kuchni, oddzwaniam do Alana i informuję go, że zmieniłam zdanie i nasze spotkanie musimy ograniczyć do krótkiej kawy. Potem dzwonię do Michelle, żeby dać jej największą, najstraszniejszą, najbardziej dającą w kość burę, jaką kiedykolwiek dostała w swoim dobrze sytuowanym, północno-zachodnim londyńskim żywocie. Zaczynam od: „Michelle, byłoby naprawdę bardzo miło z twojej strony, gdybyś nie dawała mojego telefonu mężczyznom, którymi nie jestem zainteresowana”, a kończę uroczo: „Nie, no jasne, że masz rację, dziękuję ci. Tak, wieczór spędzony z Alanem sprawi, że zapomnę o Marcusie. I o Jasperze, tak, tak”.

Mówię wam. Są takie chwile, że naprawdę nienawidzę samej siebie.

ROZDZIAŁ XI

Moim zdaniem, gdy jesteś dwudziestoletnim mężczyzną, sensem życia twoich przyjaciół jest utrudnianie ci życia. Mówią ci, że jesteś brzydki. Że twoja praca jest beznadziejna. Twój samochód to gówno. Twoja dziewczyna cię rzuci. W ten sposób cię wspierają. Ale. J a jestem kobietą. A cały sens bycia kobietą i posiadania przyjaciółek polega na tym, że bez względu na to, jak szkaradnie, głupio i nierozsądnie wyglądasz czy postępujesz, one są biologicznie zaprogramowane, by wmawiać ci, że jesteś wspaniała, masz świetną fryzurę i postąpiłaś słusznie. To jest ich święty obowiązek!

Więc kiedy mówię Tinie o „randce” z Alanem, jestem naprawdę zdumiona, gdy ma czelność mi nie współczuć.

— Skoro nie chciałaś iść, to trzeba było się nie zgadzać — oświadcza beznamyślnie.

Tłumaczę jej, że to była taka sztuczka, żeby wzbudzić zazdrość w Marcusie.

— Helen, przecież Marcusa guzik to obchodzi.

Jestem oburzona. To nie może mnie pocieszyć choćby z czystej uprzejmości?

— Tino, jest naukowo dowiedzione, że mężczyźni zawsze chcą tego, czego nie mogą mieć.

— Kobiety też, jak widać — odpowiada bez zająknięcia.

Marszczę brwi.

— A tak konkretnie, to co masz na myśli?

Tina prycha.

— Wiesz, co mam na myśli. Marcus to przedszkole, to śmiechu warte nic. Jest nawet dość zgrabny, o ile gustujesz w Zwalach Mięsa. Ale poza tym to palant z futem wielkości chrząszcza ryjkowca. Lecisz na niego tylko dlatego, że guzik go obchodzisz. I przez niego zamierzasz zmarnować cały wieczór twojego cennego życia z jakimś dupkiem. To szaleństwo.

Szaleństwo? To nieprawdopodobne. To nieprawdopodobne, że jedna z moich najbliższych przyjaciółek — która zawsze pocieszała mnie, że podjęłam słuszną decyzję, ścinając grzywkę nożycami w napadzie nudy/ wydając pensję z całego tygodnia na buty tak wysokie, że włożyłam je raz, a potem przez pięć dni bolał mnie krzyż/ idąc do łóżka z Jasperem już pierwszego wieczoru, nawet jeśli potem spytał; „Czy zawsze idziesz do łóżka z facetami już na pierwszej randce?"/, depcząc z impetem facetowi po stopie, bo uderzył mnie w metrze swoją walizką, a dopiero potem się zorientowałam, że jest ślepy — że ona się ze mną nie zgadza!

Ignoruję jej uwagi i nie zwracam sobie już głowy opowiadaniem o wszystkim Lizzy, bo mam niejasne przecucie, że mogłaby zareagować równie po męsku, co Tina. W niemym proteście o pierwszej jem kanapkę z tuńczykiem i batonika Dime przy biurku, przeglądając jednocześnie „Daily Mirror”. Dopiero potem uświadamiam sobie, że Tina jest na sesji zdjęciowej, Lizzy na promocji perfum, a ja pozbawiłam się przerwy na lunch. Reszta popołudnia schodzi mi na próbach nadażania za niepowstrzymanym zalewem „małych zadań” zleczanych przez Laetitię i roztrząsaniu tego nieprzyjemnego faktu, że z ust cuchnie mi tuńczykiem. Wychodzę z pracy punkt szósta i jadę prosto do mamy.

Dzwonię do drzwi. Cisza. Dzwonię drugi raz. Dziwne. Dzwonię trzeci raz. No, wreszcie! Po schodach spływa postać i podchodzi do szklanych drzwi. Pstryk, pstryk i drzwi otwierają się powoli.

— Kiedy zdążyłaś założyć tę zasu... — zaczynam, wchodząc do środka. Potem spoglądam na nią, widzę moją matkę. I zamieram z przerażenia. Wygląda jak trzy ćwierci do śmierci.

Zawsze była szczupła — posturę odziedziczyłam po ojcu — ale w ciągu tych trzech tygodni musiała zrzucić kilka kilogramów. Na głowie ma strąki brudnych i prostych włosów, na wymizerowanej twarzy nie ma makijażu, a jej skóra jest sucha jak papier. Jezu! I to ona, która studiuje co miesiąc wszystkie artykuły dotyczące urody w „Cosmopolitanie”, „Marie Claire” i „Vogue” (nie zwraca sobie głowy „Girltime'em”) i tylko rzuci okiem na czyjeś usta, a już wie, czy to Berry Kiss, czy Crimson Shimmer! Która z nabożeństwem używa tony toników, mleczek i balsamów, czyści zęby nitką dentystyczną po każdym posiłku, nie wyłączając lunchu (szczoteczkę i resztę sprzętu trzyma w pokoju nauczycielskim), a przysznic bierze rano i przed pójściem spać. A co ma teraz na sobie? Brązowy sweter robiony na drutach, o pięć numerów za duży, i obwisłe, czarne getry. Wygląda jak studentka.

— O Boże! — mówię, kiedy jestem wreszcie w stanie cokolwiek powiedzieć. — O Boże! Mamo, spójrz na siebie! Mamuś, ty wyglądasz strasznie, strasznie! Skóra i kości! A ten paskudny sweter! Jest lato! Wyglądasz jak nędzarka!

Gapi się na mnie tępo. Jej oczy są zupełnie bez wyrazu. Potem szepcze:

— To sweter twojego ojca. — I zaczyna płakać. Łka głośno, krztusząc się, rozdzierająco. Łapię ją i w dziwnym półprzytuleniu zanoszę na krzesło. Jezu! Jest lżejsza niż Fatboy! Co, prawdę powiedziawszy, niewiele wam mówi, ale rozumiecie, co mam na myśli. Wygląda tak słabo i mizernie, że sama z trudem powstrzymuję się od płaczu.

— Mamuś — pytam cicho — coś ty najlepszego zrobiła? Kiedy ty w ogóle coś jadłaś ostatnio? Jak ty wyglądasz? Cholera! Czemu do mnie nie zadzwoniłaś?

Płacze tak głośno, że niemal połyka słowa, gdy usiłuje coś powiedzieć. Ale mimo że mówi tak niewyraźnie, słyszę ją i mam wrażenie, że ktoś mi rozkrawa serce.

— Dzwoniłam. — Znowu zaczyna płakać. Przytulam ją i kołyszę, i głaszczę po jej tłustych włosach, a jej łkanie staje się niż-

sze, bardziej dzikie, aż w końcu wyje jak zranione zwierzę:
— Aaaa... Nie paamiętaaam...

— O czym nie pamiętasz? Mamuś? — Jestem przerażona.
Nie chcę wiedzieć.

— Nie pamiętam go, tylko w szpitalu. chcę pamiętać go żywego, ale — teraz krzyczy — nie pamiętam! Czemu nie pamiętam? Pamiętam tylko, jak umierał. O Boże!, Boże!, to takie straszne, jak ludzie to wytrzymują?

Zamykam oczy. Mam gęsią skórkę i coś mnie chwyta za gardło.

— Mamusiu — szepczę. Zaczynają mi łzawić oczy, ale nie z rozpacy, tylko z poczucia winy. Staje mi przed oczami Helen chlejąca tequilę, Helen rozbijająca się po barach, Helen tarzająca się nago z Facetem-Małpą, Helen, która w tym czasie powinna była dzwonić do własnej matki, i ból jest tak ostry, że wzdrygam się i uchylam przed własnymi myślami, jakby to były jakieś ciosy.

A jednak. Czuję się jak oszust. Odległa. Niewzruszona. Mam wrażenie, że jestem poza moim ciałem — że patrzę na siebie i matkę, niewzruszona, z jakiegoś odległego miejsca. Wycie trwa jeszcze chwilę, aż mama się męczy i już tylko kwili. Wciąż głaszczę ją po głowie i mam już tłustą i lepką dłoń. Zauważam też, że mama śmierdzi. Nieumyta. Nieświeża. Moja mama cuchnie. Łapię ją za ramiona — dosłownie czuję ostre kości pod jej skórą — i potrząsam nią.

— Mamo — mówię do niej ostro, jakby była małym dzieckiem. — Słuchaj, co do ciebie mówię! Zaraz zrobię ci kąpiel i jeśli chcesz, pomogę ci umyć włosy. Pomogę ci się nawet umyć między nogami, jeśli sama nie jesteś w stanie. Co ty na to?

Mama zamiera z przerażenia — zupełnie jakby jej własna córka zaproponowała jej masaż erotyczny.

— Nie ma mowy! — piszczy tak głośno i tak wysoko, że nie-toperz by ogłuchł. — Jak w ogóle możesz mi proponować coś takiego? Ohyda! Oczywiście, że sama się umyję!

Tak myślałam, że to pomoże jej się otrząsnąć. Jednak odpro-

wadzam ją do łazienki, odkręcam kurki, wlewam litr płynu do kąpieli i uczulam na potrzebę użycia szamponu.

— Masz tu siedzieć co najmniej pół godziny, włosy mają być czyściuteńkie — pouczam ją. — Przygotuję ci jakieś czyste ciuchy i położę na łóżku.

Mama stoi niepewnie na dywaniku przy wannie. Przytulam ją delikatnie.

— Po prostu odpocznij sobie w tej miłej, ciepłej kąpieli — mówię z nieprzyjemną świadomością, że gadam jak Lizzy w swoich najgorszych kazaniach o zdrowiu i urodzie. — Przyniosę ci zaraz czysty ręcznik z szafy. Nie spiesz się. Jakby coś, to jestem na dole.

Zostawiam ją samą, żeby się rozebrała, w szafie znajduję ręcznik i maszeruję do jej pokoju. Wyciągam z szafki białe majtki i stanik do kompletu, jasnoniebieską bawełnianą bluzkę, beżowy pasek i granatowe spodnie, które starsze osoby nazywają chyba pantalonami. Pogodnie, ze smakiem, ale niezbyt krzykliwe w obliczu śmierci. Kładę jej to wszystko na łóżku i dopiero teraz czuję zapach pościeli.

Nie chcę się tu wymądrzać. Nie jestem znowu taka schludna. Pod moim łóżkiem wała się tyle samo, co u każdej innej kobiety, zielonkawych, śmierdzących jakby serem, puszystych od pleśni kubków ze starą kawą. Ale jeśli czyjeś prześcieradło capi stęchłym potem i dojrzałym brie, nawet ja domyślam się, że już najwyższy czas (naprawdę najwyższy), żeby wpakować całość do pralki. Ściągam poszewki, zabieram prześcieradło — wylatuje przy okazji stara koszula nocna, więc tę też chwytam — pakuję to wszystko do pralki, nasypuję hojnie persilu i nastawiam na pranie z gotowaniem. Potem schodzę na dół do kuchni.

Najważniejsze, żeby zmusić mamę do zjedzenia czegoś. Otwieram lodówkę — tę samą, do której zawsze pędziłam, gdy tylko przekroczyłam próg tego domu, z absolutną pewnością, że zawsze znajdę w niej: a) mus czekoladowy, b) wędzonego łososia, c) egzotyczne owoce, d) drogi ser, e) domową lazanię z warzywami, f) sok ananasowy. Innymi słowy — wszystko, czego nigdy

nie ma w mojej lodówce rodem z Trzeciego Świata. Dziś jednak lodówka moich rodziców — gruba ryba i spółka z o.o. — nie ma w sobie nic ze swojej zwykłej obfitości. Znajduje się tu natomiast: a) jeden kubeczek jogurtu brzoskwiniowego (przeterminowanego o tydzień), b) jeden pomarszczony pomidor, c) miniporcjka sera edamskiego, d) maleńka tabliczka czekolady, e) paczka płatków kukurydzianych, f) *Firma* Johna Grishama. Jezus. To znaczy, Jezusa tam nie ma, tylko... Jezu drogi!

Odkładam płatki do spiżarni, a *Firmę* na półkę z książkami. Nie wiem, co dalej robić. Czy powinnam pobiec do Tesco czynnego dwadzieścia cztery godziny na dobę po zapasy? Czy raczej odkurzyć salon? Zakładam, że skoro mama głodziła się tak długo, kolejne kilka godzin bez jedzenia już bardziej jej nie zaszkodzi. Posprzątam przedpokój i odgruzuję trochę dom. Szczerze mówiąc, boję się, co tu mogę znaleźć. I moje obawy nie są bezpodstawne.

Zaglądam do plastikowej torby, która stoi sobie skromnie przy stojaku na parasole, i odkrywam, że jest pełna kopert. Brązowych, białych — nieotwartych. Robi mi się słabo, ale wyciągam jedną. Zaadresowana do Szanownej Pani C. Bradshaw. Z tyłu, małymi, zielonymi literkami jest napisane: „W przypadku nie dostarczenia przesyłki do adresata, proszę o odesłanie do nadawcy: John Lewis SA...”. Rozdzieram ją. Wyciąg bankowy sprzed dwóch tygodni. Ma zapłacić 43 funty za czajnik Philipsa.

Gorączkowo odwracam torbę do góry nogami i wysypuję zawartość na podłogę. Rachunki za gaz, za telefon, za kartę kredytową, za prąd. Jest też list od naszego prawnika Aleksa Simpkinsona — datowany piętnaście dni temu — stwierdzający, że należy ustalić długi, aktywa i pasywa mojego ojca, ażeby można było skompletować dokumenty spadkowe, że moja matka może przekazać mu wszystkie sprawy, którymi nie ma ochoty sama się zajmować, że on skontaktuje się, gdy tylko będzie w posiadaniu wszystkich potrzebnych szczegółów, ale jeśli tymczasem będzie potrzebowała jakiegokolwiek rady, niech się nawet nie zastanawia i od razu do niego dzwoni. Trzęsę się — nie wiem od czego — ze

stresu? z szoku? ze smutku? Ale z determinacją, metodycznie otwieram każdą kolejną kopertę i każdą wiadomość sortuję według statusu na jedną z trzech kupek. Nie mam siły zawracać teraz mamie głowy. Zresztą w tej chwili, jak sądzę, ona też nie ma siły, żeby jej zawracano głowę.

Reszta parteru jest, dzięki Bogu, dość czysta. Ale w salonie robię kolejne szokujące odkrycie: różowa, starannie ułożona sarta „Financial Times”. Dokładniej mówiąc, dwadzieścia cztery numery, w tym także dzisiejszy, elegancko złożone za fotelem mojego ojca. Na stoliku obok okulary do czytania i ciężki, drewniany humidor z cygarami Cohiba, pod stolikiem czerwone, aksamitne kapcie ojca. Czuję się jak Hercule Poirot. A mama zmienia się w Miss Havisham. To ponure przypuszczenie potwierdza przeraźliwy krzyk dobiegający z piętra.

Lecę do głównej sypialni, po dwa schodki naraz. Co znowu? Moja matka, otulona ręcznikiem, z kapiącymi włosami, wrzeszczy.

— Ty głupia dziewczyno, coś ty zrobiła?

Gryzę się w język, żeby zdusić instynktowną odpowiedź w stylu: „Ty niewdzięczna, stara, wiedźmowata wariatko” i starając się zabrzmieć spokojnie, pytam mężnie:

— Co się stało?

Stało się to, że popełniłam najbardziej haniebną, bezmyślną zbrodnię wandalizmu w historii świata. Wyprałam pościel mamy i koszulę nocną taty w pralce marki Zanussi, z masą persilu i w wyjątkowo wysokiej temperaturze dziewięćdziesięciu pięciu stopni i w ten sposób zniszczyłam bezcenny skarb w postaci zapachu Maurice'a Bradshawa.

Reszta wieczoru schodzi mi na przeprosaniu, sprzątaniu, przytulaniu się, pocieszaniu i karmieniu na siłę. Robię szybki wypad do Tesco i kupuję zupę ze szpinaku, truskawki, awokado, serek wiejski, banany, chleb razowy, masło, świeży makaron, gotowy, ale świeży sos pomidorowy, sałatkę, świeżego łososia oraz paczkę orzeszków brazylijskich. Większość z tego za radą Lizzy — dzwonię do niej z komórki, gdy wyprzedzam jakąś ciężarówkę

na Al. Najwyraźniej mojej matce potrzeba całych ton witaminy B6, która, jak twierdzi Lizzy, ją rozchmurzy — w co wątpię — a znajduje się w „mięsie, rybach, orzechach, bananach, awokado i pełnych ziarnach”.

Wstydzę się przyznać, że zupełnie nie wiem, co to jest pełne ziarno, więc kupuję wszystko inne. Z własnej inicjatywy kupuję jeszcze płatki Sugar Puffs i papier toaletowy. Nie jestem zachwycona, gdy mama zjada ledwie pół pudełeczka zupy ze szpinaku i jednego tosta z masłem, po czym oświadcza, że ma dość.

— Przynajmniej coś zjadłaś — mruczę i przyrzekam sobie popracować nad nią jutro. Każę jej wziąć witaminy, wysyłam do łóżka ze świeżą pościelą i mówię, że wrócę rano, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Gdy w końcu docieram do swojego mieszkania, jest prawie północ. Obsypuję obrażonego Fatboya niechcianymi pieszczotami, a potem maszeruję prosto do telefonu i dzwonię do tłustego Alana.

— Halo? — Ma nieprzytomny głos, jakbym go obudziła.

— Tu koleżanka Michelle — mówię ostrym, asertywnym tonem.

— O której ty dzwo... — biadoli.

Przerywam mu.

— Dzwonię, żeby powiedzieć, że nie spotkam się z tobą jutro wieczorem ani w ogóle nigdy. Nie mamy ze sobą nic wspólnego, to nie ma sensu.

Już mam odłożyć słuchawkę, kiedy on wcina się głosem zupełnie przytomnym i aż się pluje ze złości:

— Dzwonisz do mnie o tej nieludzkiej porze! Żeby mi oświadczyć, że w swej bezbrzeżnej mądrości stawiasz na mnie krzyżyk! I, jak przypuszczam, poinformujesz mnie także, że to nie ja, że to ty...

Ale te jego piskliwe humory zduszam głośną pogardą.

— Dzwonię z czystej uprzejmości, żeby poprosić cię, abys więcej nie dzwonił. Prosiłam cię już o to w U-Barze, ale ty.

w swojej bezbrzeżnej bezczelności, zadzwoniłeś. I nie, Alan, to nie ja, to t y.

Potem wyciągam wtyczkę telefonu z gniazdka i rzucam się na łożko. Z niepokoju o mamę jestem tak oszołomiona, że aż szumi mi w głowie. Ale mimo wszystko po telefonie do Alana czuję się ociupinkę, odrobinę, małą okruszynkę lepiej.

ROZDZIAŁ XII

W szkole najgorszym przedmiotem była dla mnie muzyka. Nienawidziłam jej nawet bardziej niż matematyki. Zawsze byłam muzyczną analfaberką, choćby nie wiem jak długo i jak głośno na mnie wrzeszczano, żebym piszczała „doremi fasola sido!”, nuty i tak pozostawały dla mnie tajemniczymi, czarnymi znaczkami wijącymi się na papierze. Ósemka była dla mnie liczbą tajemną. A jednak, jeszcze gdy miałam siedem lat, wciąż zmuszano mnie do uczenia się gry na flecie. I to w czasie przerwy na lunch! Bałam się tych lekcji bardziej niż Łowcy Dzieci z *Chitty Chitty Bang Bang*. Jedyne, co pamiętam, to krycie się po sali od muzyki z grupką takich jak ja nieszczęśliwców, którzy grali *Panie Janie*, podczas gdy ja udawałam, że gram.

Aż nadszedł dzień, w którym kazano mi zagrać solo i nastąpiła katastrofa. Zostałam wyśmiana przed całą klasą jako oszustka, która nie ma za grosz słuchu. Ze wstydu pragnęłam zniknąć z tego świata. Jednak następnego dnia obudziłam się z dziwnym uczuciem — lekka, radosna, cudowna wolność. Nigdy więcej lekcji gry na flecie. Nigdy. I kiedy tak myślę o moich największych życiowych traumach — lekcje gry na flecie, zakaz przekłucia uszu — widzę, że wszystkie mają tę jedną wspólną cechę. Bez względu na to, jak druzgocące wydawały się w danej chwili, po jakimś czasie się kończyły. I na tym polega problem ze śmiercią — nie ma końca.

Ciągnie się i ciągnie, i ciągnie. Czasami o niej zapominam. Albo nie umiem w nią uwierzyć. Ale zaraz sobie przypominam.

I mogę sobie w nią nie wierzyć, ile mi się podoba, ale to nie sprawi, że ona zniknie. Mama obsesyjnie ślęczy nad albumem ze zdjęciami. Jakby — ponieważ obraz mojego ojca jest tak wyraźny we wspaniałym technikolorze Fuji — on nie mógł nie żyć. Ja zaś nic nie rozumiem. Nie wiem nawet, czy mama jest w takim strasznym stanie, bo tak bardzo kochała mojego ojca, czy dlatego, że została teraz sama.

Wzdrygnęła się, gdy jej powiedziałam, że nie jesteśmy już razem z Jasperem. Dopóki nie ujawniłam, że jestem sama — co za głupie słowo!, każdy człowiek jest s a m, nawet Tina, która w niesamowity sposób zmieniła się ostatnio w kobitę typu mój-mążonek-i-ja — mama była na mnie obrażona. Jakby „odejście” mojego ojca, jak to ona nazywa, było moją winą! No, bardzo przepraszam, ale nie ja podałam mu ostatnią kroplę cholesterolu. Nadal z uporem wygłasza zjadliwe uwagi w stylu: „On był moją jedyną bratnią duszą. Ty tego nie zrozumiesz, ty masz swoją grupę wsparcia”. Niby jaką grupę wsparcia? Luke’a mówiącego mi „uszy do góry”? Michelle krzyczącą, że wobec Alana zachowałam się jak zdzira, i pytającą, co mi odbiło? Laetitię, która stwierdziła, gdy wytłumaczyłam jej, że spóźniłam się, bo musiałam walczyć z matką o to, żeby odwołała wreszcie prenumeratę „Financial Timesa”: „Jaka szkoda. Ale to musi być dla ciebie ulga, że oszedł tak szybko. Nie chciałybyś, żeby cierpiał”.

Jednak gdy mama mi dogryza, nie mówię na przykład: „Był moim jedynym ojcem. Ty tego nie zrozumiesz, ty możesz wyjść za mąż powtórnie”. Zamiast tego spędzam cały tydzień, skacząc wokół niej i próbując wcisnąć w nią jakieś jedzenie. Kupuję *Książkę kucharską dobrej pani domu* — całe przytłaczające 576 stron — i postanawiam, że odtąd poświęcę każdy sobotni oraz poniedziałkowy i środowy wieczór na tuczenie mojej matki i odwracanie jej uwagi od wdowieństwa. Niestety powyższy plan zmusza mnie do porzucenia życia towarzyskiego oraz nauki gotowania.

Zadzwoniłam także do pośrednika handlu nieruchomościami, który telefonował do mamy w tę środę (we wtorek udało mi się

ją przekonać, by jednak odbierała telefony), i oświadczył, że słyszał, że „myśli pani o przeprowadzce”. Innymi słowy, słyszał, że jej mąż kopnął w kalendarz, założył, że wdowa postanowi się wyprowadzić na wieś, i obiecał sobie, że ten piękny procent nie przejdzie mu koło nosa, bo zmusi ją do sprzedaży za jego pośrednictwem.

Tradycyjnie cieszyłam się na ten telefon jak na wizytę świadków Jehowy przy swoim stole. Ale, co dziwne, rozmowa sprawia mi dużą przyjemność. Widocznie uzależniłam się po tym, jak odprawiłam napuszonego Alana. Dzwonię do firmy Rodney&Carter, po uprzednim zanotowaniu sobie kilku kąśliwych uwag — na wszelki wypadek. Stoję (Lizy przysięga zawsze, że to wzmacnia asertywność) i żądam, by do telefonu podszedł pan Rodney. Potem głosem Lindy Blair z *Egzorcysty* warczę:

— Mój ojciec zmarł trzydzieści sześć dni temu, moja matka szaleje z rozpacz, a p a n . . . pan goni za karetką, dzwoni do mojej matki i próbuje pan na niej zarobić! Jest pan z siebie zadowolony? To po prostu obrzydliwe... hiena cmentarna!

Po jego służalczych, płaszczących się przeprosinach wnioskuję, że nawet pośrednicy nieruchomości boją się złych mocy.

Dzwonię też do kilku znajomych mamy. Mama twierdzi, że ją opuścili. Z tego, co widzę, nie jest to tak do końca prawdą. Odsłuchuję cały łańcuszek zignorowanych przez nią wiadomości telefonicznych i odkrywam, że jej stara kumpela Vivienne dzwoniła dziewięć razy. Babcia Flo dzwoniła czternaście razy. Aż się kulę, gdy słyszę jej łamiący się głos. Brzmi jak zagubiona. „Cecelio, jesteś tam? Halo? Halo? Czy ta sekretarka działa? Halo?”

Zapomniałam o babci Flo. No, dobra, zapomniałam o niej tak, jak się zapomina o wizycie u dentysty. Najpierw zadzwonię do Vivienne. Pierwsze wiadomości Vivienne są w tym stylu: „Cessy, to ja, Viv. Mam nadzieję, że jakoś sobie radzisz. Dryndnij do mnie, jak będziesz miała chwilę. Wiesz, że jestem tu. Jeśli tylko potrzebujesz jakiegoś ramienia, żeby się wypłakać. Dzwoni, kiedy chcesz, w dzień czy w nocy”. Potem jej wiadomości są już w innym stylu: „Cecelio! Tu Vivienne. Jestem bardzo zaniepo-

kojona. Czemu nie dzwonisz? Czy czymś cię uraziłam? Zadzwoń, proszę. Umieram z ochoty... to znaczy mam ogromną ochotę się z tobą spotkać. Powinniśmy zjeść razem lunch".

Po krótkim dochodzeniu okazuje się, że owszem, Vivienne odwiedziła moją mamę dwa razy trzy tygodnie temu. Za pierwszym razem wpadła, żeby zaprosić mamę na najzwyczajszą przekąskę, lunch w poniedziałek i odwołać zaproszenie na przyjęcie w sobotę wieczorem, które zostało zaplanowane pięć dni przed tym, jak mój ojciec egoistycznie kopnął w kalendarz swoimi stopami obutymi w brązowe, kościelne obuwie, czym zepsuł towarzyskie plany Vivienne.

Za drugim razem Vivienne przyniosła mamie ciasto biszkopowe, błyszczący magazyn „OK” oraz darmowy bilet na przedstawienie teatru alternatywnego *Hamleta*, gdzie jej syn Jeremy vel „chcę być taki jak Rupert Everett” ma małą rolę (gra Rosenkrantza). Powiedziała dokładnie: „Potrzebny ci tylko jeden bilet, prawda?”. Tłumaczę mamie, że choć Vivienne postąpiła podle, miała dobre intencje, więc niech mama da jej drugą szansę. Potem mówię Vivienne — łapię ją na komórkę między Harley Street a salonem fryzjerskim — że moja matka na razie nie zamierza podrywać niczyjego męża, a poza tym supermarket Sainsbury sprzedaje także pojedyncze piersi z kurczaka. Tak więc „latawice bez pary odpadają” już nie obowiązuje i w związku z tym wierzę, że jej zaproszenie na obiad zostanie natychmiast wznowione.

Vivienne płoszy się i stroszy jednocześnie:

— Helen, wiesz przecież, że mój dom jest dla niej zawsze otwarty — zaczyna śpiewnie. — Ale zrozum, że przede wszystkim myślałam o tym, co będzie dla niej najlepsze. Będzie u nas pięć par! My, Elworthy'owie, Williamsowie, Schneckowie i Strutherowie! Nie chciałam jąrzyć ran.

Pomijam tę oczywistość, że przynajmniej troje z tych gości ma romans na boku, i tłumaczę, że, choć bez wątpienia spędzanie czasu wśród tych boskich prototypów błogosławionego stanu małżeńskiego będzie dla mojej matki bardzo bolesne, to jednak na pewno będzie wołała to niż siedzenie w domu i raczenie się

kawałkiem sera edamskiego przy kolejnym odcinku *Na sygnale*.
Rezultat? Moja matka — odziana w czerń i upór od stóp do głów — idzie na bal.

W tym czasie ja siedzę w domu, racząc się kawałkiem sera edamskiego przy kolejnym odcinku *Na sygnale*. Sama rozkosz i przyjemność. Jedyne, co psuje mi tę krwawą rozrywkę, to Fatboy, który skubie jedzenie jak nastolatka na diecie, a potem zadziera nosa i maszeruje na korytarz, gdzie wyje, miauczy i drapie z pasją, maniacko, bezsensownie, w stronę beżowego dywanika Marcusa.

— Mordka w kubeeeeeeeee! — wrzeszcze z sofy. Skończyła mi się cierpliwość potrzebna do pacyfikacji dzieci z problemami.

Pięć minut później włokę się do pokoju po sweter i widzę, że Fatboy mości się w mojej szufladzie na bieliznę. Przez ułamek sekundy stoję zdezorientowana. Dlaczego? Świszczący, siusiący dźwięk rozwiązuje tę tajemnicę szybko i brutalnie.

— Ty mała cholero! — mruczę, bo uświadamiam sobie, że o ile nie chcę mieć na całej podłodze histerycznie abstrakcyjnych esów-floresów z jego sików, jedyne, co mogę zrobić, to czekać, aż skończy. Kucam przy szufladzie i chyłkiem wyciągam moją najbardziej koronkową, falbaniastą i seksowną bieliznę spoza zasięgu jego siusiącego tyłka.

Jako świadoma właścicielka zwierzątka domowego zdaję sobie sprawę z tego, że doradcy do spraw wychowywania zwierząt zdecydowanie odradzają wszelkich zachowań mieszczących się w szeroko pojętych „technikach karzących”. Co za pech. Gdy Fatboy triumfalnie wyskakuje z ociekającej urną szuflady, odprowadzam go kopnięciem średniego kalibru. Ucieka w najdalszy kąt korytarza, przyczają się tam jak futrzana Nemezis i pozostaje na strajku głodowym przez całą niedzielę. W poniedziałek rano dzwonię do pracy, tłumaczę lodowej Laetitii, że muszę iść do dentysty, i zabieram kota do weterynarza. Megaweterynarza. Ze strachu i niecierpliwości jestem zupełnie roztrzęsiona. Słabo mi się robi, gdy sobie przypomnę ostatnią rozmowę z Tomem. Może na dyżurze będzie akurat inny weterynarz. A jednak...

Tom zaprasza mnie do gabinetu chłodno i uprzejmie.

— W czym problem? — pyta, gdy opróżniłam przenośny pojemnik na koty z Fatboya, który w panice przyłgnał do jednej ze ścianek pojemnika jak pasażer tonącego „Titanica”, i kładę go na stół chirurgiczny.

— Stracił zupełnie apetyt — mówię zdenerwowana. — Ignoruje mnie. Miał rozwolnienie.

Twarz Toma wyraża coraz większe potępienie.

— Jak długo to trwa? — pyta chłodno. Czy to nie jest cytat z jakiejś piosenki, myślę sobie, ale nie mam odwagi spytać. Dałabym wszystko, żeby Tom mi wybaczył, ale wiem, że wszelkie moje błagania zostaną odrzucone.

— Hm, nie jestem tak zupełnie pewna — mówię, wijąc się z poczucia winy — ale — przeżyłam ślinę — może tydzień, może dwa.

Tom unosi brew.

— I nie można go było przynieść wcześniej? — pyta z niedowierzaniem.

— Nie, tak — zaczynam. — Nie myślałam...

Tom mi przerywa. Jakby zmienił się w bardziej zrzędliwą wersję mojej dyrektorki ze szkoły.

— Nie, nie myślałaś — rzuca. — Czy coś jeszcze? Wymioty? Czy biegunka utrzymuje się stale?

Kręcę głową ponuro:

— Nie, miał ją tylko raz, tak myślę... jestem prawie pewna.

Tom patrzy na mnie i mówi:

— Opisz ją. — Jakie to romantyczne.

— No — stwierdzam lekko protekcyjnym tonem. — Była brązowa i rzadka. Jak to biegunka.

Jezu, czego on ode mnie oczekuje? Tom wygląda na zdeglustowanego, a ja nie wiem, czy jego wyraz twarzy odnosi się do mojego poetyckiego ujęcia tematu, czy do płynnej kupy Fatboya.

— U tak młodego kota te symptomy mogą być pierwszym sygnałem białaczki, kociego AIDS lub FIP-u, strasznej choroby, która zaczyna się biegunką i brakiem apetytu, a kończy problemami z oddychaniem. Nie ma na to szczepionki — warczy.

Jestem w szoku.

— Białaczka, AIDS, FIP? — szepczę, bo choć jeszcze sekundę temu nie wiedziałam, że w ogóle istnieje coś takiego jak FIP, teraz jestem pewna, że właśnie na to zapadł Fatboy, jak również na AIDS i białaczkę... a wszystko to wina mojego egoizmu i skłonności do zaniedbywania obowiązków.

Tom kiwa głową ponuro.

— Tak więc — mówi. — Jeśli jesteś w stanie, powiedz mi, proszę, czy jego kał nie zawierał przypadkiem śladów krwi? Czy był włóknisty? Czy był podobny do żółci? Czy twój kot ostatnio pił lub sisiał więcej niż zwykle?

Kręcę głową przecząco na pytanie o kupę Fatboy a i dodaję szeptem:

— Nie jestem pewna z tym siusianiem.

Tom ciągnie dalej:

— Zrobię kilka badań krwi. Tak młody kot nie powinien mieć takich problemów. Powinien normalnie jeść, pić, sisiać i robić kupę. Nie można lekceważyć biegunki u kotów. Dwanaście czy piętnaście procent odwodnienia i jest martwy.

— O, nie! — krzyczę i cichym, żalonym głosikiem pytam: — Fatboy nie... nie umrze, prawda?

Chce mi się płakać i jestem gotowa donieść sama na siebie do Królewskiego Towarzystwa Przeciwdziałania Okrucieństwu wobec Zwierząt.

Kąciki ust Toma drżą, ale mówi:

— Jutro będą wyniki badań.

Z wyrzutów sumienia, wstydu i przerażenia jest mi słabo. Patrząc bezradnie, jak Tom obmacuje tłusty brzuch Fatboya, otwiera jego paszczkę i ogląda gardło, rozciąga mu usta w szeroki uśmiech (znaczy usta Fatboya, bo usta Toma już są rozciągnięte w uśmiechu). Potem delikatnie przyciska Fatboya, żeby kucnął, przytrzymuje go w sposób zdecydowany i — ku jego głośnemu i syczącemu oburzeniu — wtyka mu termometr w pupę.

— Spokojnie, chłopie — mruczy niskim, miłym głosem.

Serce mi zamiera. W końcu wyciąga termometr i mówi ostrym tonem:

— Ma małą temperaturę.

Przytakuję ze smutkiem.

Potem wzywa nickszemną i nadaśaną Celine, wycina małe kwadraciki w futerku Fatboya na obu jego przednich łapkach, przemywa obie wygolone plamki wacikiem i — podczas gdy Celine przytrzymuje Fatboya, a ja marzę o tym, żeby ją ugryzł i, jeśli ma AIDS, zaraził — pobiera litry krwi z jego żył.

Mimo tych męczarni rodem z wesołego miasteczka Fatboy nie jest tak wkurzony, jak mógłby być. Wydaje z siebie tylko głęboki, niski, wściekły jęk, ale nie próbuje uciekać. Zdrajca pozwala się nawet zważyć Tomowi, gdy tymczasem ja, podły zwyrodnialec, połykam moje spóźnione łyzy skruchy. Tom pochyla się, głaszcze Fatboya po główce i wtyka go z powrotem do pojemnika.

Potem spogląda na mnie, waha się chwilę i mówi tonem zdecydowanym, ale nie p e ł n y m nienawiści:

— Ten kot zaczyna nabierać rubensowskich kształtów. Ale jestem pewien, że nic mu nie jest. Pewnie zjadł tylko coś nieswieżego. Albo reaguje w ten sposób na jakiś smutek czy stres. Każda, najmniejsza zmiana stylu życia, nawet przesunięcie sofy może doprowadzić najspokojniejszego kota do szału, który z kolei objawia się często brązowymi literami zażaleń. Najlepiej przegłodzić go dzisiaj, a przez trzy dni karm go specjalnym, obojętnym dla żołądka jedzeniem, które ci zaraz dam. Potem, o ile wszystko będzie w porządku, Fatboy przechodzi na dietę odchudzającą. Dam ci znać, jak będę miał wyniki z laboratorium. Ale gdyby znów wymiotował lub miał rozwolnienie, przywieź go do mnie natychmiast.

Kiwam głową potulnie i szepczę:

— Więc jest jakiś promyk nadziei dla Fatboya?

Tom odwraca się na chwilę — chyba żeby odkasznąć — i mówi ostro:

— Nawet więcej' niż promyk. Wiesz, jaki jest jego prawdziwy problem? To maminsynek! — po czym podlicza (niebotycznie) rachunek, podaje mi „zestaw uzdrawiający” i kiwa na następnego klienta. Mówi mi „cześć”, ale patrzy przy tym gdzieś w okolice mojego ucha. Jadę do domu, oporządam Fatboya i umieram ze wstydu.

Żeby sobie to jakoś wynagrodzić, nie idę już do pracy tego dnia, a całą noc z poniedziałku na wtorek modłę się żarliwie. We wtorek Tom dzwoni do mnie do pracy o 11.39, żeby mi powiedzieć — dziarskim tonem — że Fatboyowi nic nie jest poza tym, że zawartość czerwonych krwinek w jego krwi nieco przekracza normę, co może oznaczać, że ma robaki. Natychmiast po pracy pędzę do Megaweterynarza. Tom dziarsko podaje mi tabletkę na robaki i jeszcze ćwiartkę tejże tabletki (to dlatego, że Fatboy jest taki gruby) w biało-niebieskiej kopercie.

— Jeśli zwymiotuje w ciągu pół godziny, nie została strawiona — oświadcza głosem tak ciepłym, jak u głęboko zamrożonego niedźwiedzia polarnego. — Jeśli zwymiotuje później, zadziałała i tyłko podrażniła mu żołądek.

Spędzam dobre czterdzieści minut, próbując wepchnąć Fatboyowi pigułkę do pyszczka. Potem następne dwadzieścia minut opatruję swoje rany. Jestem zła i zmartwiona. Dzwonię do Tiny. Wyszła. Dzwonię do Lizzy. Wyszła. Więc dzwonię do Michelle, która przekroczyła już wszelkie możliwe limity biadolonia na Sammy'ego i jest mi w końcu coś winna.

Najpierw muszę wysłuchać, jak to wciąż jest oburzona w imieniu tłustego Alana.

— Michelle, szczerze mówiąc, jestem teraz tak rozchwiana, że myślę, iż byłoby nawet nieuczciwe, no wiesz, obarczać go moją osobą.

Gówno prawda, ale mniejsza z tym. Przechodzę do właściwego tematu, czyli do skargi na Toma. Nie jestem pewna, jak Michelle powinna zareagować, ale ona robi z tego niezłą szopkę.

Kurczę, to brzmi jak niezły numer! Nic mu nie jesteś winna! Co za nierób! Żeby ci tak mieszać w głowie! To on powinien się wy-luzować! W ogóle nie zawracaj sobie tym głowy! Co on tak prze-żywa? I temu podobne!

Od razu zapalam się, by poradzić się jej w jeszcze innej sprawie, która od jakiegoś czasu nie daje mi spokoju. Tęsknię za Jasperem. Wciąż o nim myślę. Chciałabym do niego zadzwonić. I znowu Micheile wyświadcza mi tę przysługę i mówi to, co powinna. To jest równy gość i nie mam się co dwa razy zastanawiać. Zachęta i przyzwolenie! Więc tak robię.

Ku mojemu zdziwieniu i radości Jasper jest „niezmiernie uradowany”, że mnie słyszy. Byłoby „klawo” spotkać się.

— Co powiesz na jutrzejszy wieczór? — pytam (godzina pogaduszek z Micheile i nawet Luke gadałby jak Żony Hollywood).

— Jestem w domu — mówi Jasper, przeciągając samogłoski.
— Może wpadniesz?

Aż się zwijam z kokieteryjnej przyjemności i mruczę do słuchawki:

— Mogłabym, czemu nie?

Odkładam słuchawkę, kręci mi się w głowie. Jasper Sanderson i Helen Bradshaw. Wielki powrót! By użyć ulubionego sformułowania Jaspera: „Micheile, strzał w dziesiątkę!”. Rzucam się do mojej już oczyszczonej szuflady z bielizną i zaczynam szukać odpowiednich majtek.

ROZDZIAŁ XIII

Gdy chcemy z Tiną wkurzyć Lizzy, a chcemy dość często, przezywamy ją Dziewczyną Mogadonu. To dlatego, że Czysta Nieskażona Elizabeth panicznie boi się latać i nim postawi choćby swój najmniejszy paluszek na pokładzie boeinga, musi połączyć końską dawkę nitrazepamu. Oczywiście wprawdzie próbowała hipnoterapii, akupunktury i herbatki z mięty, ale — ku naszej cichej satysfakcji — nie dało to najmniejszego efektu i Wielka Samowystarczalna musiała się odwołać do najzwyczajniejszych leków. Nie byliśmy jednak znowu aż tak podłe. Przedtem poświęciliśmy w biurze męczące dwadzieścia minut na próbę przekonania jej, że Bóg naprawdę chciał, żeby ludzie latali.

— Lizzy — powiedziała Tina protekcyjnym tonem. — Latam tak często, że już nawet o tym nie myślę. Samolot to dla mnie taki rodzaj autobusu.

Ja zaś, żeby nie zostać w tyle, dodałam uspokajająco:

— Wszystkie statystyki podają, że prędzej można się zabić w wypadku samochodowym.

Potem nawet zademonstrowaliśmy jej — przy użyciu samolocika zrobionego z druczku reklamowego na temat nielegalnego użycia firmowych taksówek do celów prywatnych — że ciśnienie powietrza sprawia, że samolot musi pozostać na wysokości 33 000 stóp nad ziemią i nie jest wręcz w stanie spaść z nieba jak kamień o wadze 360 000 kilo.

— Chyba że odpadną skrzydła — wtrąciła się Laetitia, która

nie cierpi, gdy cokolwiek odrywa mnie od mojego znoju. — Wtedy wali w ziemię jak olbrzymia kiełbasa.

Niestety Lizzy zawsze wymyśli jakieś nowe zagrożenie.

— A co, jeśli będą nagłe turbulencje? A co, jeśli nastąpi niekontrolowane otwarcie slotów? A jeśli wróbel wpadnie do silnika?

Kiedy udaje nam się rozwiać jej wątpliwości, Lizzy jak zawsze wyciąga z rękawa swojego asa.

— Ale wszystkiego nie wiecie. Zdarzają się wypadki samolotowe. I zawsze może się to zdarzyć właśnie mnie. Nie ma żadnej gwarancji.

Jeszcze przed czterema miesiącami, zanim zmarł mój ojciec, nie mogłam pojąć tych jej obaw. Przed jego śmiercią byłam niezniszczalna. Czytałam o młodej parze, która w czasie swojego miodowego miesiąca spłonęła, gdy ich samolot wybuchł nad błękitnym morzem, o kobiecie zadżganej, gdy wracała z pracy do domu, o przyjaciółach wystrzelonych w powietrze, gdy pili w pubie w jakąś ciepłą letnią noc, o młodym mężczyźnie zastrzelonym na przystanku — bardzo im współczułam i odwracałam stronę. Wiedziałam, że tego typu rzeczy zdarzają się innym, nie mnie.

Teraz czytam o innych ludziach i oni są mną. Jestem zapłakana, zła i mam na tym punkcie obsesję. Stają mi przed oczyma ich ostatnie, beztroskie chwile. Zastanawiam się, czy pojęli sam moment śmierci. Cierpię jak ich biedne, przerażone rodziny, jak zszokowane matki skarżące się: „Czemu akurat on? Dlaczego zawsze giną ci najlepsi?“. Błady narzeczony, z zaczerwienionymi oczyma szepczący: „Była dla mnie wszystkim. Nie mogę uwierzyć, że to się stało“. Chcę ich jakoś pocieszyć, ale ta moja czułość jest czułością wampira. Ze smutkiem uczuję na ich rachunek, pożywiam się ich bólem z maniackim uporem, nienawidząc samej siebie jak bulimiczka rzucająca się na czekoladowe ciasto.

W takie dni paraliżuje mnie strach. Wstaję rano z łóżka i myślę: „To może być dzień mojej śmierci“. Czuję bicie serca i myślę: „To się może skończyć w każdej chwili“. Oczywiście zaraz

próbuję myśleć rozsądniej: „Weź się w garść, ty głupia krowo”. Ale, przypominam sobie od razu, księżna Diana wstała rano 31 sierpnia 1997 roku i nie wiedziała, że to dzień jej śmierci. A ludzie n a p r a w d ę umierają — także tacy, trzeba dodać, którzy jedzą znacznie mniej czekoladek Dime niż ja i gimnastykują się częściej niż raz w miesiącu. Nie ma żadnej gwarancji. Jestem podenerwowana. Opryskliwa. Spięta. Chyba że zajmuję się czymś wyjątkowo wciągającym — na przykład oglądam *Xeną*. *Wojowniczą księżniczkę*, czytam książki o morderstwach albo śpię, bo inaczej czuję w sobie pustkę i nie lubię tego świata, a ponieważ jakoś nic innego nie przychodzi mi do głowy, moim domyślnym uczuciem jest paniczny strach.

Na przykład w zeszły weekend Tina pojechała do Lake District na Festiwal Pieprzenia z tym symbolem wszelkiej męskości, Adrianem — którego jak dotąd udało mi się unikać, bo naprawdę czuję się niezdolna do zniesienia tej obowiązkowej trwogi towarzyszącej naszemu pierwszemu spotkaniu — i jej escort zaczął nawalać na autostradzie przy prędkości dwustu mil na godzinę. Opowiadała o tym zetknięciu się ze śmiercią, jakby to była jakaś zabawna bajka! Coś w stylu: „Jechaliśmy jakieś sto trzydzieści środkowym pasem i nagle coś pod nami huknęło. Jakby coś odpadło. A my pędzimy dalej w tej cholernej puszcze! Pedał gazu nie działa, silnik nie działa, biegi nie działają. Adrian zaczął krzyczeć, ale udało mi się na luzie zjechać na pobocze. Bez paniki. Tylko: łup, cholera, już po samochodzie. Ale hamulce działały. Strzelił pasek rozrządu. Trzeba było wymienić za jakieś grosze”.

I to było jej ostatnie beztróskie słowo na ten temat! Mówię jej:

— Tina, obiecaj mi, że będziecie uważać.

A ona patrzy na mnie dziwnie i odpowiada:

— Jestem na pigułkach.

Tymczasem ja jeszcze sześć dni później leżę w łóżku, strach mnie ściska za gardło, trzęsę się jak staruszka i w głowie wciąż na nowo odgrywam tę scenę, która się mnie czepia jak jakaś pio-

senka z festiwalu Eurowizji. Puls szaleje i myślę sobie: „Tina, ty mogłaś już nie żyć”. Równie dobrze mogłaś już nie żyć. Poszłam w poniedziałek do biura, a Laetitia powiedziałaaby: „Słyszaliście o Tinie? Nie żyje. W ten weekend zginęła w wypadku samochodowym”. Śmierć jest rzeczą tak przypadkową. Trzęsę się, pocę, rżęzę... co by było, gdyby?

Gdy ja walczę z moimi napadami psychozy i neurozy, moja matka powoli wychodzi ze swojego „co by było, gdyby”. Być może gdybanie to taka choroba zakaźna i po prostu się od niej zaraziłam. Bo po kilku tygodniach od moich odkryć gór różowego papieru i pustej lodówki mamę ogarnęła obsesja. Co by było, gdyby zmusiła ojca do zredukowania liczby pochłanianych jajek? Co by było, gdyby częściej namawiała go na krótki spacer po obiedzie? Co by było, gdyby kupiła mu *Prostą metodą, jak skutecznie rzucić palenie* Allena Carra?

Na co mogłam odpowiedzieć jedynie w mojej głowie: „Co by było, gdyby mój ojciec był zupełnie inną osobą — a przede wszystkim: gdyby nie pochodził z rodziny dziesiątkowanej przez choroby serca?”.

Ale mamie powiedziałam tylko:

— Mamuś, nie zamęczaj się. Zrobiłaś wszystko, co mogłaś. Jeśli to się miało stać, to i tak by się stało. A zresztą wiesz przecież, że tata by ciebie nie posłuchał.

Jako że te nie najwyższej klasy frazesy były tak odkrywczе i olśniewające jak modelka flirtująca z gwiazdą pop — ale co innego mi pozostało, jeśli nie banały? — moja matka zareagowała tylko nasileniem swojego słownego samobiczowania.

Co by było, gdyby trochę później poszła sobie skubać brwi i posiedziała jeszcze z ojcem przy lunchu? Co by było, gdyby przygotowała mu sałatkę, bez majonezu, oczywiście? A co, jeśli ta niestrawność po czwartkowym obiedzie u Harrisów nie była wcale spowodowana zbyt gęstym puddingiem Leili? Co, jeśli to już było ostrzeżenie o nieuchronnie zbliżającym się zawale?

— Mamo! — zaczęłam krzyczeć. — Natychmiast przestań! Gdybyś mu zrobiła sałatkę, wrzuciłby ją do kosza i zarezerwo-

wał sobie stolik w restauracji „Dorchester”. Na Boga, a co by było, gdybyś była wyspecjalizowaną w dziedzinie kardiologii pielęgniarką?

To miało być pytanie retoryczne i ironiczne, ale mama — i powinna była to przewidzieć — potraktowała je poważnie i uderzyła w nowy, superobfity ryk i biadanie. Co by było, gdyby poszła na medycynę, zamiast zostawać nauczycielką? Uczciwa odpowiedź na tak zadane pytanie brzmiałaby: na świecie byłoby jak nic z dziesięć martwych osób więcej. Więc jedyne, co mogę jej powiedzieć, to:

— Mamuś. Byłaś wspaniałą żoną. Dzięki tobie ojciec był szczęśliwy. Nie masz żadnych powodów, żeby się czuć winna. — Na to ona wybucha płaczem, a ja uświadamiam sobie z irytacją, że właśnie wygłosiłam niemal ten sam wyświechtany tekst, jaki nie tak dawno temu wygłosiła Lizzy.

Mimo wszystko, gdy mijają trzy miesiące ochronne (nie chcielibyście być na moim miejscu), mama powoli porzuca swój kokon i zaczyna powracać do życia. Choć boję się, że jej lodówka już nigdy nie będzie taka jak dawniej, wydaje mi się, że moja matka — jak ujmuje to Leila Harris — „lepiej sobie radzi”. A Vivienne zauważa:

— Twoja mama to ma szczęście. Jest młoda. Może sobie kogoś znaleźć. Gdyby byli małżeństwem pięćdziesiąt lat, byłoby inaczej.

Szczęśliwie dla mamy, która właśnie drzemie w sypialni, Vivienne czyni tę subtelną uwagę w mojej obecności. Pechowo dla Vivienne czyni tę uwagę, gdy ja akurat mam nastrój dość — hm, wybierzmy jakiś nastrój z mojej prywatnej huštawki nastrojów — opryskliwy.

— Co?! — pryham, uderzając filizanką o blat stołu i mrużąc oczy. — Co za cholernie szokująca uwaga! Ma szczęście! Nie rozpacza się według jakichś... jakichś matematycznych wykresików! Nawet nie myśl sobie, że umiesz zmierzyć jej stratę! Jej życie już nigdy nie będzie takie samo! I coś ci powiem. Jeśli nawet kiedyś... — W tej chwili moja twarz zenująco i dziwnie gnę się jak różowa chusteczka do nosa. — Jeśli nawet kiedyś.

jak to ujęłaś, znajdzie sobie kogoś, to będzie to zawsze tylko radzenie sobie. Bo dla niej mój ojciec był Tym Jedynym. I gdyby tylko wiedziała, że wróci choćby za trzydzieści lat — teraz już chlipię jak rasowy piłkarz — to i tak by na niego czekała.

Jestem roztrzęsiona i zmieszana siłą mojego własnego wybuchu. Czuję się jak koktajl Mołotowa. Vivienne — która jest równie roztrzęsiona i zmieszana — odskakuje w tył jak przestraszona kotka i szepcze;

— Helen, Helen. Spokojnie, przepraszam, ja nie chciałam. O Boże, jaka jestem podła, tak cię zasmucić, czuję się naprawdę pod...

Tu przerywam jej, a moje bulgotanie przechodzi w krzyk:

— Wcale mnie nie zasmuciłaś. Nie chodzi o mnie, chodzi o nią!

Vivienne milknie i kiwa głową potakująco — i bardzo dobrze robi. Mam leciutkie wyrzuty sumienia, bo mimo swoich ograniczeń intelektualnych Vivienne jest bardzo kochana dla mojej mamy. Gdy już opadł napływ współczucia — gdzieś tak w połowie trzeciego miesiąca, o ile dobrze pamiętam — to właśnie Vivienne nie zaprzestała regularnych wizyt, przynoszenia zaproszeń na herbatkę, przydzielania należnych porcji plotek i ciasta. Powiedziałabym nawet, że Vivvy rywalizowała ze mną o to, kto jest lepszy w utrzymywaniu mamy na powierzchni.

Jednak to ja wygrywam. Stałam się tak świetnym pracownikiem socjalnym i nieustannie zadziwia mnie fakt, że jeszcze nie noszę białego fartucha.

Zaczęłam od gotowania. Zrobiłam mamie risotto z warzywami z przepisu na opakowaniu od ryżu (za piątym podejściem udało mi się nie spisać kolejnego garnka na straty i nie przypalić ryżu), zrobiłam kurczaka z kolendra według przepisu Tiny (posiekać i usmażyć cebulę i czosnek w oliwie z oliwek, dodać kawałki kurczaka, kolendrę, białe wino i świeżą śmietankę — przez wzgląd na mojego ojca — półtłustą) oraz — bo to akurat umiem — pieczone ziemniaki. Po czwartej kolacji opierającej się głównie na pieczonych ziemniakach moja mama wrzasnęła:

— Mam już po dziurki w nosie pieczonych ziemniaków! Nie mają żadnych wartości odżywczych! — I cisnęła talerzem przez cały pokój. W tej chwili najchętniej zostawiłabym ją tam, żeby sobie spokojnie umarła z głodu.

Zamiast tego syknęłam tylko:

— Dobra, mądralo. Jak jesteś taka zdolna, to mi sama pokaż, jak to się robi!

I tak rzucona przeze mnie rękawica rozpoczęła drugą fazę — mało radosny okres, w czasie którego każdy poniedziałek i każdą środę wieczór spędzałam w kuchni mojej mamy, gdzie nie udawały mi się kolejne rosoly i gdzie na mnie krzyczano bez litości. Ale za to ona świetnie się bawiła. Myślę, że tęskni za tym swoim przekarmianiem ojca. Nasze poniedziałkowe i środowe spotkania trwają nadal — przerwanie tego zwyczaju nie jest warte pogorszenia jej stanu — ale stopniowo udaje mi się namówić ją czasem na coś na wynos. No i Lizzy była naprawdę kochana.

Podczas przedłużonej sesji poświęconej sufletom — próbowałam ją od tego odwieść — mama zwierzyła mi się, że jedną z najgorszych rzeczy we wdowieństwie jest brak ludzkiego dotyku. Miałam ochotę rzucić: „To co ja mam powiedzieć”, ale się powstrzymałam i powiedziałam: „Och!”. A kiedy opowiedziałam o tym Lizzy, mało się nie zakrztusiła swoją potrawką z fasolki aduki.

— Ależ ja dopiero co miałam inicjację! — krzyknęła uradowana. — Mam genialny plan!

Trzy dni później Lizzy zaczęła odstawiać nad moją mamą reiki.

— Co to są ryjki? — zażądała konkretów mama, gdy nadjechała Lizzy, emanując pozytywnym chi.

— To starożytna sztuka, która pozwala wysyłać miłość wszechświata i energię, by uzdrawiać innych — odpowiedziała Lizzy.

— Czy do tego trzeba się rozbierać? — spytała mama podejrzliwie.

— Nie, skąd! — zaświergotała Lizzy. — Tylko leży pani i sta-

je się kanałem, przez który płynie energia życiowa, która odblokuje pani czakry i aurę, zrównoważy prawą i lewą półkulę pani umysłu oraz umożliwi pani uwolnienie się od emocji.

Moja mama wyglądała na nieco zagubioną, więc jej wytłumaczyłam:

— Ty leżysz, zupełnie ubrana, a Lizzy już się tobą zajmie.

Po pierwszej sesji mama zerwała się na równe nogi i krzyknęła:

— Czy już jestem odblokowana?

Lizzy wyglądała na lekko załamana, więc wtrąciłam się pośpiesznie:

— Mamuś, to nie jest tak, jakby hydraulik przeczyścił rurę kanalizacyjną.

Lizzy uśmiechnęła się z wysiłkiem i spytała:

— Czy nie czuła pani mrowienia w plecach, jakby coś przez panią przepływało?

Moja mama pokręciła głową i stwierdziła:

— W ogóle nic nie czułam!

Lizzy dodała:

— Hm, może pani dostać biegunki lub wysypki...

W tym momencie przerwałam jej stanowczo:

— Lizzy, mama jest zachwycona, tylko jest tym bardzo pomyszona, nie, nie, jasne, że nie dostaniesz, mamuś, Lizzy tylko żartowała, tak, tak, podziękuj Lizzy, mamo, świetnie, Liz, dzięki wielkie, zobaczymy się jutro...

Te cztery miesiące nie były łatwe. Może nie powinnam była krzyczeć na Vivienne. Wracam do mieszkania i padam na łóżko.

Z perspektywy czasu, dzięki dwóm tabletkom valium i zimnemu prysznicowi, stwierdzam, że mój napad złości należy przypisać temu, że wczoraj — gdy minęły trzy miesiące od wznowienia naszego biblijnego związku — Jasper zasugerował, żebyśmy trochę „odpuścili”.

Byłam w szoku.

— Ale dlaczego? — spytałam, przygryzając wargę. — Myślałam, że całkiem nieźle nam się układa.

Co dziwne, nie kłamałam. Spotykaliśmy się tylko od czasu do czasu. I kiedy już się spotykaliśmy, prowadziliśmy poprawne rozmowy. Jasper opowiedział mi o tym, jak był w szkole z internatem, i o tym, że zawsze go porównywano z jego genialnym, starszym bratem. Ja opowiedziałam Jasperowi o tym, jak zawsze chciałam pojechać do szkoły z internatem. Jasper opowiedział mi o swoich rodzicach, którzy przeprowadzili się do Singapuru i z którymi widuje się raz na rok. Ja opowiedziałam Jasperowi o moich rodzicach, którzy mieszkali w Muswell Hill i z którymi widywałam się raz na kwartał. Byłam pewna, że świetnie się z Jasperem bawimy. To prawda — seks nie był już taki wspaniały jak dawniej, ale to głównie dlatego, że wciąż zdawało mi się, że widzi nas mój tata.

— Świetnie nam się układało — odparł Jasper. — Układa nam się. Złotko, ja ciebie naprawdę lubię. Jesteś wspaniałą dziewczyną. I pewnego dnia będziesz czyjaś wspaniałą żoną. Ale, nie zrozum mnie źle, myślę, że musisz trochę odpocząć.

Aha, no to świetnie — frazes o żonie plus sygnał alarmowy w postaci „ja ciebie naprawdę lubię” — rzuca mnie, nie dlatego że chce się mnie pozbyć, tylko dla mojego dobra.

— Jass — zdenerwowałam się. — Nie wciskaj mi tu kitów! Nie muszę od niczego odpoczywać! Jeśli ty musisz, to powiedz wprost. — Wojowniczo uniosłam brew. — Czy to ma jakiś związek z moją matką? — warknęłam. Jasper się zawahał, więc dodałam chłodno: — Wiesz dobrze, że ona nie ma nikogo poza mną. I zawsze możesz nam towarzyszyć w naszych niedzielnych wypadach do zoo, Kew Gardens i cholernego Leed Castle. Czuj się zaproszony. — Cisza. — Więc? — spytałam.

— Więc — rzekł on. — Po części to twoje spędzanie czasu z matką, ale, hm, pamiętasz moją byłą dziewczynę Louise... — I to nie jest pytanie.

— Taaak — powiedziałam. — O ile to ta sama Louisa, na której wieszasz psy od jakichś dwunastu tygodni. I co z nią? — To zdanie pada między nas jak samolot bez skrzydeł. — O Boże! — Krzyknęłam. — Znowu?!

Jasper zaczął kiwać na mnie palcem, żebym się uspokoiła.

— Helen, ciszej, to nie to, co myślisz.

Pokręciłam głową w ten zupełnie niestylowy sposób oznaczający niedowierzanie.

— A co w takim razie?

Jasper zakaszłał.

— Jestem splukany, czynsz poszedł w górę, a Louisa właśnie kupiła dwupokojowe mieszkanie i potrzebuje jakiegoś lokatora.

Na co odpowiedziałam bystrze:

— Co za pierdoły.

Ale Jasper rozwarł swe niebiańsko błękitne oczęta i brnął dalej;

— Ona ma kogoś, między nami nic nie ma, złotko, z ręką na sercu ci mówię.

„Nie masz serca”, pomyślałam sobie. Ale coś innego przyszło mi do głowy:

— Więc jeżeli nie pieprzycie się z Louisą — spytałam jak lissek chytrusek — to dlaczego mamy wyluzować?

Jego żałosna riposta?

— To pokój jednoosobowy.

I zaczął coś tam nawijać o „czasie do zastanowienia”, ale podniosłam dłoń w niemym proteście i się zamknął.

Moja pożegnalna wypowiedź brzmiała zdecydowanie:

— Tak się składa, Jasper, gdybyś przypadkiem pytał, że ja też kupuję mieszkanie. A m o j a sypialnia będzie dwuosobowa.

Dobra, może i to nie był zabójczy strzał, ale też nie całkowita porażka. Przynajmniej do czasu, gdy wypadłam z dumnie uniesioną głową i potknęłam się na schodkach.

Dziś rano przed pracą kwieciście zrelacjonowałam to oburzające wydarzenie Luke'owi ze wszystkimi szczegółami. Moje rozczarowanie jego reakcją przypomniało mi uczucie, gdy — a miałam wtedy pięć latek — lody wypadły mi z wafelka, runęły na chodnik i zostały natychmiast pochłonięte przez olbrzymiego psa. Pierwsza trywialna uwaga Luke'a:

— Ale wy nie jesteście dla siebie stworzeni.

Druga trywialna uwaga Luke'a:

— I co? Naprawdę kupujesz mieszkanie?

Przewróciłam oczami w rozpaczy. Niektórzy faceci naprawdę nie mają pojęcia o tym, jak się rozmawia z kobietami.

— Luke — wytłumaczyłam mu. — Nie masz teraz wypożyczać mało pomocnych komentarzy i zadawać głupich pytań. Masz mówić „o, nie!” oraz „co za łądak” i dużo cmokać. — Wyglądał na urażonego, więc dodałam szybciotko: — Przepraszam. Nie chciałam być niemiła. Ale nie. Nie kupuję mieszkania. Ja i Fatboy zostajemy tutaj.

Czego nie mówię Luke'owi, to tego, że od dwóch dni mogłabym kupić mieszkanie. To znaczy, że mogę zapłacić zaliczkę za jakieś skromne mieszkanko w rozsądnej dzielnicy o niskim wskaźniku przestępczości. A wszystko to dlatego, że — mówiąc okrutnie — zarobiłam na śmierci taty. Żeby nie wdawać się w nudne szczegóły, powiem tylko, że miesiąc temu nasz prawnik Alex Simpkinson poinformował moją matkę, czyli wykonawczynię i główną spadkobierczynię mojego ojca, że dokumenty dotyczące testamentu są już gotowe do przejrzania i podpisania.

Moja mama sprostała sytuacji. Robi postępy. W miesiąc po śmierci ojca było tak źle, że pan Simpkinson — w akcie desperacji — zaproponował jej, żeby swoimi prawnymi obowiązkami obarczyła kogoś innego spośród spadkobierców, to jest mnie lub babcię Flo. Moja mama rozważyła to. Potem, jak mi oświadczyła przy naszym telewizyjnym obiedzie — wymachując z emfazą swoim już pustym widelcem — podjęła decyzję: „CeceliO; jeśli tego chciał Morrie, zrób to”. Podejrzewam, że tylko potrzebowała wymówki, żeby znów zamówić prenumeratę „Financial Timesa”. No i trudno nie skorzystać z czułej opieki wysokich mężczyzn w eleganckich garniturach. Poza tym cierpi na finansową panikę po tym, jak jej aktywa zostały zamrożone (moja matka mogła sobie pozwolić na swój styl życia tylko dzięki pieniądзом przelewany na jej konto przez ojca).

Ale przede wszystkim moja mama uświadomiła sobie, że Maurice Bradshaw powierzył dorobek całego swojego życia jej, czyli swojej księżniczce, więc jak dobra królowa traktuje swoje

obowiązki bardzo poważnie. Codziennie rano, bez wyjątku, analizuje ceny akcji. Stała się także oddaną fanką finansowych stron w „Sunday Timesie” i w każdy poniedziałek dręczy brokera swojego ojca, żeby się upewnić, czy inwestuje w odpowiednie akcje. Nie twierdzę, że Cecelia Bradshaw zmieniła się w Gordona Gekko. Myślę jednak, że wychodzi na prostą. Dobrze jej zrobił też powrót do szkoły w zeszłym tygodniu — połowę jesiennego semestru spędziła w domu na pełnopłatnym zwolnieniu chorobowym.

Chyba nawet ona była pod wrażeniem radosnego powitania, jakie jej urządziła dyrektorka, pani Armstrong. Nawet jeśli ten zachwyt szefowej był związany z aspektem finansowym tej sprawy. W rezultacie, gdy dwa tygodnie temu testament został zatwierdzony, moja-matka wsiadła do taksówki z babcią Flo, pojechała do liofilizowanego biura panów Pompa, Simpkinsona i Circumstance'a i — jak oświadczyła mi z dumą — „Alex przeczytał wszystko raz jeszcze i zrozumiałam każde słówko”.

Zaproponowała mi, żebyśmy się potem spotkały na herbatce, ale jej zaproszenie zbiegło się ze spotkaniem redakcji. Jakoś nie miałam już odwagi znowu pytać Laetitii, czy mogę wyjść wcześniej z pracy, bo wyczuwam, że już jest znudzona na śmierć moją żalobną sagą i to tak mniej więcej z milimetr od wyrzucenia mnie w ogóle z pracy.

— Ależ to jest sprawa życia i śmierci! — krzyknęła Lizzy.

Wzdrygnęłam się i sparafrazowałam jednego z tych zmarłych, na których lubi się pieklić Luke:

— Redakcja jest ważniejsza niż śmierć.

Zresztą, to nie miało znaczenia. Dostałam ten czek pocztą. Gdy otworzyłam kopertę, szczegóły testamentu odczytanego na głos w dniu pogrzebu mojego ojca znów stały się wyraźne po miesiącach zamazania w pamięci. Szczególnie krótki fragment, wypowiedany przez pana Simpkinsona tubalnym głosem: „Mojej córce Helen Gayle (tata wie, że nie cierpię mojego drugiego imienia!) zapisuję 20 000 funtów i mam nadzieję, że zainwestuje je w coś rozsądnego, na przykład w nieruchomości...”.

Trzymam czek w dłoni i krzywię się; „Pośmiertne, ojcowskie

wskazówki!". W każdej innej chwili poleciałabym natychmiast na zakupy, ale teraz nie mam nawet siły, żeby wydawać, wydawać, wydawać. Ani siły, żeby się użerać z pośrednikami nieruchomości. Więc mimo moich brawurowych przechwałek przed Jasperem, gdy mówię Luke'owi, że tu zostaję, mówię prawdę. Paraliżuje mnie też zwięzłe podsumowanie, które padło z ust babci Flo: „Mój syn zredukowany do kilku świstków papieru”. Wolałabym, żeby nie mówiła przy mnie takich rzeczy. Postępuję zupełnie nierozsądnie i opowiadam o tym Luke'owi.

— Ojej! — I cmoka. Potem dodaje: — To pewnie tylko kolejny gwóźdź do trumny.

ROZDZIAŁ XIV

Kluczem do podtrzymywania udanego związku z osobą, którą kochasz, jest to — według redaktorki porad osobistych z „Girl-time” — żeby każdego dnia uczyć się o sobie czegoś nowego. Więc wyobraźcie sobie moją radość, gdy odkryłam, że mam pewną zdolność, o której zupełnie nie wiedziałam. Uświadomiłam to sobie dopiero dzisiaj rano, zaraz po śniadaniu.

Właśnie ucałowałam Fatboya na do widzenia i otwierałam drzwi, kiedy powstrzymał mnie Marcus głośnym, zrzędlwym:

— Hola!

Odczekałam sekundę, potem odwróciłam się na pięcie i z wymuszoną radością w głosie powiedziałam:

— Dzień dobry, Marcusie. — I uśmiechałam się cierpliwie, gdy tymczasem on próbował, ale mu się nie udało, zapanować nad sobą.

— Mam tego dość... — zaczął.

— Tego? — zawołałam. — Ach tak, zauważyłam, że masz tego aż nadto.

Gdy Marcus chwycił już moją obraźliwą uwagę, zrobił się purpurowy. Przynął się do mnie i syknął:

— Nie przeciągaj struny, Helen.

Udałam niewiniątko.

— Ale co ja takiego zrobiłam?

— Czego nie zrobiłaś. Nie zapłaciłaś czynszu, nie posprzątałaś, twój pieprzony garnek po kluchach od dwóch tygodni moczy się w zlewie, nie... — Rzucił mi spojrzenie.

— Luzuj, Marcus, nie rwij sobie tych cennych włosów z głowy — przerwałam mu. Marcus ma obsesję na punkcie łysienia. — Zapłacę ci i posprzątam dziś wieczorem. Tylko się uspokój. Nie do twarzy ci z tą purpurą. — Uśmiecham się bezczelnie i wyskakuję z mieszkania, żeby mu zejść z oczu.

Potem pozwalam już sobie wrócić do mojej zwykłej miny pozbawionej wyrazu. Ale całą drogę myślę o Marcusie i to myślę o nim z nienawiścią. Nie mogę pojąć, jak on mógł mi się podobać. I trudno uwierzyć, że on mi się wydawał z a b a w n y! Jest tak zabawny jak śmiertelny wypadek samochodowy. Jest płytki jak kałuża i równie lotny. Zna tyle inteligentnych tekścików, a jednak nie umie nawet rzucić mnie z klasą. A ja żyję z nim pod jednym dachem! I rzeczywiście łysieje, teraz wiem, bo byłam dość blisko, żeby to sprawdzić. Powinien sobie przeszczepić jakieś włosy z pleców. Gdy tak wije się z nienawiści, nagle coś sobie uświadamiam. Mam dar. Jestem geniuszem! Jestem genialna w dokuczaniu Marcusowi. Reszta mojej drogi do pracy jest znacznie weselsza.

Lizzy, która awansowała właśnie na redaktorkę działu zdrowia i urody, nie jest wcale pod wrażeniem, kiedy jej to mówię.

— Nie jest to najbardziej pozytywny sposób na życie — uważa.

— Ale czuję się przez niego oszukana — biadolę.

— W jaki sposób? — pyta Lizzy.

— Choćby wszystkie te jego uszczypliwości. Myślałam, że to odzwierciedla jego męskość, a tymczasem to odzwierciedla tylko jej brak — wzdycham.

Lizzy chichocze i mityguje mnie.

— No, ale tego nie mogłaś wiedzieć.

— I jest takim okropnym plotkarzem. Jego plotki są bardzo zabawne, kiedy najeżdża na kogoś, ale o wiele mniej zabawne, kiedy nadaje na ciebie. Moje małe piersi będą na językach całej Swiss Cottage. Jeśli już nie są, że tak się wyrażę. — Spoglądam na Lizzy tak, że nie ma odwagi się roześmiać.

Robi współczującą minę, więc gderam dalej:

— Były też inne rzeczy.

— O? — mówi Lizzy uprzejmie.

— Jego czystość na przykład — wybucham. — Myślałam, że to słodkie. Taki dowód, że nie oczekuje, że kobieta będzie za niego sprzątała. Teraz myślę, że to groteskowe.

Lizzy milczy. Potem mówi:

— Ale, Helen, właściwie, jakie to ma znaczenie?

— Och! Lizzy! — krzyczę przytłoczona tą jej wyrozumiałą naturą i próbuję zabrzmieć wesoło, a nie złośliwie. — Jesteś taką — chcę powiedzieć „Pollyanną”, ale wiem, że to może zabrzmieć gorzko — jesteś taka rozsądna. — Kończę bez przekonania.

Rzuca mi spojrzenie. Wie.

— Mam nadzieję, że nie martwi cię moje nowe stanowisko? — pyta łagodnie. — Ciężko na to zapracowałam.

Czuję się podle.

— I zasłużyłaś na awans — mówię naprawdę ciepło. — Bardzo się z niego cieszę. Przepraszam, że tak gderam. Prawda pewnie jest taka, że ci zazdrościsz. Ale oczywiście nie mam prawa.

Lizzy poklepuje mnie po ramieniu.

— Miałaś ciężki okres, Helen. Masz tyle na głowie, chwilo-wo po prostu nie masz czasu na karierę zawodową. Jesteś właściwie pielęgniarką na pełnym etacie! A poza tym, jestem od ciebie starsza o rok. Już czas najwyższy, żebym była zastępcą!

To oczywiście, o czym obie wiemy, nie ma nic do rzeczy. Lizzy dostała awans, bo pod tą delikatną, pełną połysku powierzchnią warstewką kryje się ambitna kobieta, która wie, czego chce, i która jest świetna w tym, co robi. Postanawiam pamiętać, żeby wysłać jej karteczkę z gratulacjami. Kiedy przyszła do „Girltime'a” czternaście miesięcy temu, na pierwszy rzut oka wydała mi się słaba i głupiutka. Myliłam się, choć dalej uważam ją za naiwną, bo nie chce przyjąć do wiadomości, że istnieją ludzie, którzy są źli tylko dla zabawy, tacy jak Marcus. Nie oczekuje, że ktoś jest taki, bo sama nigdy nie postąpiłaby okrutnie. Właśnie z tego powodu na początku znajomości patrzyłam na nią z góry.

A potem, któregoś dnia wpadła do mnie, by pomóc mi ufar-

bować włosy na rudo, i siedzieliśmy sobie z Lukiem, rozmawialiśmy o tym i o owym. Następnego dnia Luke powiedział:

— Jest fajna. Lubię ją.

Rzuciłam się na niego jak Fatboy na sznurówki.

— Ho! Ho! — triumfowałam. — Luke się zakochał w Lizzy!

Następny do kolekcji!

Zaprzeciżył ruchem głowy

— Nie — powiedział i powiedział to tak, że mu uwierzyłam.

— Jest wspaniała, ale dla mnie zbyt pewna siebie. — Uśmiechnął się i dodał: — Lubię kobiety omdlewające.

— Chcesz powiedzieć — nabijałam się — że lubisz czuć się potrzebny. Ty świnko! — I nagle doszło do mnie to, co powiedział o Lizzy. — Uważasz, że ona jest taka pewna siebie? — Aż pisnęłam ze zdziwienia. — Przecież jest taka cichutka.

Wzruszył ramionami.

— Jeśli jesteś wewnętrznie szczęśliwa, nie musisz nikogo do niczego przekonywać.

Od tego dnia Lizzy i Luke urosli w moich oczach. Pomijam to, że gdy chciałam wycisnąć z niego jakiś komplement na temat moich nowych kasztanowych włosów, przez pikosekundę próbowałam uniknąć odpowiedzi, a potem wybuchnąć:

— Wyglądasz jak stary, wyliniały kot!

Tak więc, choć z reguły bardzo sobie cenię opinię Lizzy, tym razem poprzysięgam sobie w duchu kontynuować swoją krucjatę przeciw Marcusowi. Ostatecznie skoro już nie ma Jaspera, na czymś muszę się skupić. Nie licząc zaspokajania każdego kaprysu mojej matki — zaczynam naprawdę podziwiać ojca — nie mam życia. Od czasu do czasu uczestniczę w polowaniu na mieszkanie dla Lizzy, która uparła się, że kupi je jeszcze przed świętami. I tyle.

A zresztą to sama przyjemność działać na nerwy komuś, kto jest tak koci, jak tylko to możliwe, o ile się nie jest kotem. Co mi przypomina o tym, że Fatboy powinien się wybrać do Megaweterynarza na kolejną sesję odrobaczania. Prawdę mówiąc, wcale mi nie przypomina. Myślę o tym już cały dzień i próbuję — bez

żadnych skutków — wyobrazić sobie twarz Toma. (Oczywiście tłustą gębę Alana potrafię odtworzyć w każdym najmniejszym i najbardziej wyrazistym szczególe).

Nieuprzejmość Toma podczas poprzedniej wizyty bardzo mnie uraziła, choć z perspektywy czasu muszę z niechęcią przyznać, że trochę na to zasłużyłam. Ale częściowo winę ponosi Marcus! Nie da się jednak wszystkiego zrzucić na Marcusa, choć chciałabym; na przykład tego, że Fatboy ani myśli zrzucić choćby funta na tej diecie Toma. Kiedy poszłam odebrać pigułki na odrobaczanie, Tom spytał, ile razy dziennie karmię Fatboya. „Ee, pięć”, powiedziałam, wijąc się w oczekiwaniu na kolejną reprimendę. Odesłał mnie z kazaniem pełnym drwin i jakimś purytańskim, niskokalorycznym jedzeniem dla kotów.

Teraz Fatboy jada dwa i pół raza dziennie, no może trzy razy, ale większe porcje. Podejrzewam jednak, że wślizguje się przez drzwiczki dla kotów do cudzych mieszkań i podkrađa jedzenie.

— Moje biedactwo! — biadolę później, ugniatając widelcem zbyt duże kawałki pasztetu z jagnięciny i królika w jego błękitnej miseczce. — To nie twoja wina, że masz takie potężne kości.

Połyka całość w ciągu dwudziestu sekund i przeciąga się, staje się dwa razy dłuższy, pręży tors. Wygląda jak odbicie z komnaty luster w wesołym miasteczku. Pękam z dumy. Fatboy, choćby miało to brzmieć jak tekst osoby zupełnie przegranej, to najbardziej radosny element mojej egzystencji. A kiedy twój najbardziej radosny element egzystencji wyrzuje wielkie, brązowe jezioro na twój dywan, gdy dopiero przed chwilą padłaś na łóżko, twoja egzystencja nie należy do wybitnie radosnych.

Do lekarza Fatboy jest umówiony na nieludzką godzinę 9.45 w sobotę rano. Ponieważ nie zamierzam wstać nawet minutę wcześniej niż 8.45 — a to i tak jest szalona pora — wcześniej planuję, w co się ubiorę. Strzeliste, czarne buty, czarne spodnie, gładka, biała bluzeczka z okrągłym dekoltem i czarny sweter. Minimalizm, klasyka, elegancja. Tym bardziej, że zamierzam nałożyć grubą warstwę subtelnego makijażu. Tina byłaby ze mnie dumna. To znaczy, gdyby w ogóle choć na chwilę przestała ska-

kać nad tym Adrianem. Jest bezwstydną! To lekcja dla nas wszystkich. A w każdym razie dla mnie. Modłę się, by nigdy nie być w takim stanie. Nawet nie z Jasperem. Rzadko widzujemy się poza pracą, a gdy tylko Lizzy proponuje babski wieczór, Tina zachowuje się dziwnie i produkuje jakieś beznadziejne wymówki typu: „Obiecałam Adrianowi, że zrobię mu obiad”.

Pomyśleć tylko, że byłam pełna podziwu dla jej wolnego, nieokiełzanego ducha. Że zazdrościłam jej chłodnego podejścia do miłości. Że dałabym wiele za choć odrobinę jej odporności na zauroczenia. Uznawałam to za efekt dzieciństwa spędzonego z trzema braćmi. Ona też uznawała to za efekt dzieciństwa z trzema braćmi. Nigdy oczywiście tego nie powiedziała, bo była zbyt zajęta udawaniem Mae West. Ale od czasu do czasu — zwykle w stanie alkoholowego upojenia — wyslizgiwały jej się pewne uwagi. Na przykład: „Na Boga, to nie jest jakiś inny gatunek ludzi”. I inne równie imponujące mi w tamtych chwilach teksty.

Jednak patrząc na to wszystko z dalszej perspektywy, jestem zmuszona oświadczyć, że jej bracia niewiele mają wspólnego z jej niesamowitą odpornością. Nie mówię, że nie pomogli jej zrozumieć mężczyzn, dogadywać się z nimi i radzić sobie samej. Niewątpliwie pomogli. A jednak myślę, że najzwyczajniej w świecie Tina, zanim poznała Adriana, nigdy nie była zakochana. Nigdy, nawet na jedną szaloną minutę, na błogosławioną godzinę, na zwariowany dzień. Tak więc odwołuję wszelkie moje podziwy.

Budzę się w sobotę o 8.45 mocno przymulona. Czy nie ma sprawiedliwości na tym świecie? Poszłam spać o dziesiątej! Rzucają się do lustra i potwierdzają się moje najgorsze przypuszczenia. Mam oczka jak świnka. Moje patrzyki są tak pulchne i wzdęte, jakby wszystkie te pięć batoników Dime, które zjadłam w tym tygodniu — takie maleństwa, które po prostu nie mogą być tuczące — poszły mi prosto w powieki. Już łapię za telefon.

żeby zadzwonić do Lizzy, ale przypominam sobie, że jest prawie środek nocy. Dam głowę, że jest już na nogach i ze swoimi lśniącymi włosami i zarumienioną twarzą biegnie po jakiejś łące czy czymś. Ale jeśli przypadkiem poszła na całego i śpi do wpuł do dziewiątej, wołałabym jej nie zawracać głowy.

Więc zamiast tego pełzną do lodówki, kradnę dwa plasterki Marcusowego ogórka i odkładam go pionowo, żeby dostał kompleksu niższości. Na jego miejscu trzymałabym się raczej miniaturowych kolb kukurydzy z puszki. Potem przez pięć nużących minut leżę na łożku z ogórkiem na oczach. Kiedy już nie mogę dłużej wytrzymać, wyskakuję z łożka i lecę do lustra. Jestem zapuchnięta jak magiczny smok nadpalony po urodzinowej imprezie. I łuszczy mi się skóra. Choleja. Pakuję na twarz tony mleczka nawilżającego, podkreślam rzęsy, żeby jakoś ukryć opuchliznę, potem spędzam całe piętnaście minut na szarpaniu i stroczeniu włosów, na próżno starając się, żeby nie leżały już tak płasko na mojej głowie. Koniec końców wyglądam jak David Bowie, gdzieś koło roku 1972. Miejmy nadzieję, że Tom jest fanem *Space Oddity*.

Zajeżdżam pod Megaweterynarza w nie najlepszym humorze — Fatboy wyje i drapie w swoim pojemniku. Widok Celine nie poprawia mi nastroju. Ignoruje mnie. Rewanżuję się, przyjmując taki wyraz twarzy, jakbym właśnie wyczuła rozkładającego się trupa. Udaję, że pochłoneły mnie strony magazynu „Twoje Pieskie Życie”, brnę właśnie przez trzystronicowy artykuł o psim świerzbie, gdy otwierają się drzwi gabinetu i głęboki, donośny głos woła:

— Następny, proszę!

Mało nie mdleję z przerażenia i z niepewnością spoglądam w te błękitne oczy.

— Cześć — mówi Tom, nie za bardzo uśmiechnięty. — Prosimy na pokoje.

— Z przyjemnością — szepczę i toczę się do gabinetu. Przez całą minutę namawiam Fatboya, żeby wyszedł ze swojego pojemnika, a w tym czasie próbuję się pozbierać. Potem kładę mojego

wyrywającego się kota na stół i mruczę, wyprzedzając wszelkie zarzuty:

— Nie zrzucił za wiele, ale wygląda na zadowolonego. To pewnie coś z metabolizmem. Nie chcę go wpędzać w kompleksy.

Tom nie wygląda na przekonanego i oświadcza:

— Będę zmuszony zatrzymać panią za to przewinienie, madame! Proszę dmuchnąć w balonik. — Ale mówi to dość przyjaznym głosem.

— Tom — wybucham, zanim zdołam się opanować. — Chciałam tylko powiedzieć... znaczy... chciałam to powiedzieć już od całych wieków... ja... — Fatboy wybiera ten delikatny moment, żeby puścić zdradzieckiego baka — ja... to nie ja, tak na marginesie, przysięgam, on zawsze tak robi, jak się denerwuje, ale chodzi o to, że, no, chciałam tylko powiedzieć... chciałam cię przeprosić. Wiesz? Przepraszam, że byłam taka niegrzeczna przez telefon, wciąż mi się robi słabo, gdy o tym pomyślę. — Po tych słowach, które wyrzucam z moich ust, uświadamiam sobie nagle, że są bezczelne. Jakbym zakładała, że Tom nic nie robił przez ostatnie trzy miesiące, tylko usychał z powodu mojego dziecinnego, telefonicznego afrontu. Więc brnę dalej: — Nie, żebyś sądziła, że ci zależy, albo że dużo o tym myślałeś, że w ogóle o tym myślałeś... na pewno nie, ale... — Chcę mu wytłumaczyć, że Marcus, że matka, że ojciec, że tłusty Alan, że toyota, ale uświadamiam sobie, że to tylko beznadziejne wymówki, więc kończę: — Ale ja myślałam o tym... — Jezu, ale robię z tego cyrk! — Nie chciałabym, żebyś źle o mnie myślał. — Milknę. O Boże! To zabrzmiało tak egocentrycznie! Więc pośpiesznie dodaję: — Nie chciałam cię zranić. — To z kolei arogancja! — Znaczy, nie, żebyś czuł się zraniony, ale zachowałam się okropnie i naprawdę tego żałuję. Czuję się po prostu podle. — Z furją zaciskam paznokcie na dłoniach, żeby powstrzymać dalsze bredzenie mojego chorego umysłu. Czemu Tom nic nie mówi, tylko na mnie patrzy?

W końcu się uśmiecha.

— Przeprosiny przyjęte. I wcale nie myślę o tobie źle. Nie

bardzo źle. — Uśmiecha się znowu, żeby zaznaczyć, że to był dowcip. Fatboy puszcza jeszcze jednego potwornego bąka. Zabiję go, złośliwy, rudy dupek.

Tom znowu jest wprost wybitnie gadatliwy, przegląda swoje lekarskie notatki i w końcu mówi:

— I przepraszam, jeśli cię przestraszyłem stanem zdrowia Fatboya. Trochę mnie poniosło.

Kręcę głową przecząco i rzucając się na tę okazję, by okazać wspaniałomyślność:

— Zasłużyłam sobie — mówię. Jeśli Fatboy będzie tak miły i weźmie to sobie do serca, i do jelit, i przestanie wreszcie smrodzić, będę grała w „płaszcz” siedem dni w tygodniu, przyrzekam sobie w duchu.

— Kolor jest zupełnie prawidłowy. — Mija dobra sekunda, nim sobie uświadamiam, że mówi o dziąsłach i oczach Fatboya, a nie o futrze. — A sierść ma ładną i lśniąca. Wciąż jest tłusty, ale poza tym zdrowy. Dam mu tylko te pigułki na odrobaczenie. Gdybyś go pottrzymała w ten sposób, gdy otworzę mu pyszczek. Świetnie. Dobra, chłopie. — Miaaaaaauu. — Już! Przecież nie było znowu tak źle, nie?

Gdy Tom głaszcze rozgniewanego Fatboya, myślę sobie: „Nie. Wcale nie było źle. Staliśmy tak blisko, że mogłam oddychać zapachem twoich świeżo umytych włosów, a to ma zupełnie szalony wpływ na moje kolana. I przykro mi, jeśli jestem ordynarna, ale także trochę wyżej”. Zmuszam się do przybrania nieodgadnionego wyrazu twarzy.

— Dzięki — mówię, wsadzając Fatboya do pojemnika. Nie mam ochoty wychodzić, ale nie chcę się ociągać jak jakaś zadurzona pensjonarka. Moje myśli śmigają mi po głowie i bez pozwolenia wyskakują w słowach: — Pewnie nie chciałbyś, ale... — zaczynam.

— Nie zgadzaj się, jeśli nie masz ochoty, ale... — zaczyna jednocześnie Tom.

Milknijemy oboje. Chichoczę.

— Ty pierwszy — mówię.

Tom odgarnia sobie ręką włosy z czoła.

— Nie poszłabyś ze mną napić się czegoś? Choćby soku pomarańczowego?

Uśmiecham się tak szeroko, jak to tylko możliwe bez naciągnięcia sobie mięśni twarzy, i wydaję z siebie radosny pisk;

— Z wielką przyjemnością.

Natychmiast Fatboy znowu pierdzi, ale moja radość jest tak wielka, że szczerze mówiąc, kochani, guzik mnie to obchodzi.

ROZDZIAŁ XV

Ludzie cytują innych ludzi, bo są zbyt głupi, żeby samemu wymyślić coś mądrego. Tak mi się w każdym razie zawsze zdało. Od pięciu minut mam jednak inne zdanie i z chęcią zacytuje W.C. Fieldsa, który powiedział kiedyś: „Jeśli nie uda ci się za pierwszym razem, spróbuj jeszcze raz. Ale potem sobie odpuść. Nie ma się co upierać jak jakiś cholerny osioł”. Mądry człowiek! Jestem bliska zastosowania tej złotej maksymy wobec mojej matki.

Próbuję z nią od bitych czterech miesięcy, ale teraz — choćby nie wiem jak beznadziejne to brzmiało — odpuszczam sobie. Poddaję się. Dlaczego? Bo jestem zmęczona. Nie rozumiem jej. Nie wiem, czego ona chce i jak pracuje jej umysł, a nic, co robię, nie czyni ją szczęśliwszą. Gdyby tylko tata był tu z nami, o n wiedziałby, jak z nią postępować. Może nieco przerażała go rola ojca, ale mężem był wspaniałym. Radził sobie z mamą po prostu świetnie, tak że opromieniona ciepłym światłem jego szorstkiego uwielbienia, kwitła. Uwielbiała, gdy nią rządził, czuła się wtedy w centrum zainteresowania. Bez niego jest nudna i niepełna jak książka, w której brakuje kartek. Nie mogę jej wynagrodzić tego, co straciła, nie wygram z ojcem. Nigdy nie wygrywałam. Nie żeby mi to kiedykolwiek przeszkadzało. Kocham moją mamę, ale niespecjalnie ją lubię. A jeszcze mniej lubię siebie w roli Mary Poppins.

O, nie zrozumcie mnie źle. Nadal będę jej organizować rozrywki, organizować reiki, zmuszać znajomych, żeby jedli jej je-

dzenie i wywabiać ją z domu na wycieczki do zoo (choć w czasie ostatniej wpadła w przygnębienie, bo tak wiele zwierząt było w parach). Chodzi jednak o to, że ja tak naprawdę mam wciąż osiemnaście lat i umiem zajmować się sobą i tylko sobą. Nie jestem przyzwyczajona do opiekowania się innymi, bezradnymi ludźmi. A zresztą moja mama też nie była pod tym względem najlepszym przykładem. Jest uosobieniem egotyzmu. A jednak oczekuje, że przejmę wszystkie obowiązki ojca — ot, tak po prostu! Skąd, do cholery, mam wiedzieć, co robić? Nic dziwnego, że jest sfrustrowana. A im więcej ja robię dla niej, tym mniej ona robi dla siebie.

Przejmuje się i stresuje swoją pracą, choć ja właściwie poświęciłam własną pracę, by ją ratować. Kiedy mama wyła jak potępieniec, któremu ktoś stanął na odcisk, ja dzwoniłam do dyrektorki, pani Armstrong, i informowałam ją o śmierci mojego ojca, żeby zdołała zorganizować jakieś zastępstwo na ostatnie tygodnie semestru. Kiedy mama pozwoliła sobie na ten luksus i ogłosiła strajk psychiczny, ja znów dzwoniłam do pani Armstrong — przerywając jej wakacje w Umbrii — i ostrzegałam ją, że jej najcenniejszy pracownik oszalał i mam na to zaświadczenie lekarskie.

Kiedy mama w najlepsze wierciła się na łóżku, ja tłumaczyłam, że jej lekarz pierwszego kontaktu nakazał pozostanie w domu na, cóż, tyle, ile się okaże konieczne. Tak, oczywiście rozumiałam, że pani Armstrong nie jest wcale niegrzeczna, gdy pyta, czy nie ma przypadkiem jakichś szacunków, ile to może potrwać. Naturalnie. Będę do niej dzwonić, jeśli będzie coś wiadomo. I dzwoniłam. A moja mama przepłynęła przez to wszystko bez jednego słowa wdzięczności. Brała lekarstwa, ale nie chciała iść do psychologa. Potem, w połowie października, czterdzieści minut po optymistycznym lunchu z Alekssem Simpkinsonem, nagle oświadczyła, że już wszystko w porządku i że chce wrócić do pracy. Więc, ta-da! — po półsemestralnej przerwie nauczycielka na zastępstwie kończy swoje panowanie i następuje powrót matki marnotrawnej.

A wczoraj — zaledwie cztery tygodnie później — mama dzwoni do mnie i mówi, że nie ma już sił „ciągnąć tak dalej”. Robi mi się słabo i pytam, czy wspominała o tym pani Armstrong. Mama odpowiada:

— Pani Armstrong dała mi jasno do zrozumienia, że nie przyjmuje tego do wiadomości.

Mówię jej, że postawa pani Armstrong jest zrozumiała — w końcu, zmusiłyśmy ją, żeby swój mamy budżet nagięła do twoich potrzeb, czego ty jeszcze chcesz? Ledwie czynię tę rozsądną i nieszkodliwą uwagę, a mama rzuca się na mnie z furją. Czy ja sobie wyobrażam, że ona sobie nie zdaje z tego sprawy? Czy ja sobie wyobrażam, że ona nie jest przerażona wizją przetrwania zajęć? Że nie widzi, jaką urazę czują do niej koledzy z pracy? Że nie ma poczucia odpowiedzialności? Że nie jest w rozpacz z powodu dzieci? Że zawracałaby mi głowę, gdyby nie to, że już goni resztkami sił? I co ja sobie w ogóle wyobrażam?

Hmm, no tak. Staram się jednak przetrwać jakoś tę napaść i mówię:

— Mamuś, trudno mi coś ci doradzać, bo nie rozumiem, jak funkcjonuje szkoła. Przecież musisz mieć w pracy jakąś koleżankę, której możesz się zwierzyć z tego problemu. — Wiem, że uchylam się w ten sposób od odpowiedzialności, ale ja też gonię już resztkami sił. Miałam nadzieję, że już dochodzi do siebie!

Moja matka odpowiada głuchym głosem jak zombi:

— Pewnie masz rację. — I odkłada słuchawkę. Już nie mogę! To nie należy do moich obowiązków! Tym powinien się zajmować ojciec. Jestem na niego wściekła za to, że nas zostawił. Jak śmiał sobie odejść! Jak śmiał? Mama go potrzebuje. Nie wierzę, że śmierć była naprawdę czymś, na co nie miał wpływu, i czuję, że bycie martwym nie jest żadną wymówką. Opuścił nas. Gdyby żył, sam by uznał takie zachowanie za niedopuszczalne. Jak można postąpić tak nietaktownie? Z tego niepokoju — ponieważ nie mam nikogo lepszego — dzwonię do Vivienne. Co ona o tym myśli?

Vivienne, która niechętnie dzieli się swoimi spostrzeżeniami po epizodzie z koktajlem Mołotowa, mówi z wahaniem w głosie,

że moja mama rzeczywiście wydaje się nieco przybita, ale to pewnie dlatego, że uświadomiła sobie, że „życie toczy się dalej”. Tłumię irytację (czy ja się nigdy nie nauczę?) i zapewniam Vivienne, że jestem jej bardzo wdzięczna za wszystko, co zrobiła dla mojej matki. Mówię to, żeby ją wmanewrować w o wiele większą pomoc. Bo ja z kolei zamierzam spasować. Nazwijcie to, jak chcecie — egoizmem albo instynktem samozachowawczym — ale ja jestem już zbyt wykończona. Wszystko mi jedno. Czuję się z tym źle, ale nie potrafię jej już nic dać. Wysiłek podtrzymywania mojej mamy na powierzchni powoduje, że sama tracę siły i tonę. I tak, oczywiście, znowu zawiodłam ojca. Więc szukam ucieczki w słowach tego martwego aktora. Czy może to był krykiecista? Nie jestem pewna. Mniejsza o to, próbowałam i próbowałam, przegrywałam i przegrywałam, a teraz odpuszczam. Nie warto się upierać jak jakiś cholerny osioł.

Zaczynam fantazjować — miałam wypadek samochodowy, nie śmiertelny, ale muszę spędzić tydzień w szpitalu, oglądać talk-show i wszyscy muszą się mną zajmować, kiedy nagle dzwoni telefon. Zawsze gdy Laetitia unika kogoś, każe mi odbierać telefony. Niestety w drugą stronę to nie działa. Odbieram głosem jak z BBC z lat pięćdziesiątych i mam nadzieję, że jeśli to mama, to mnie nie pozna.

— Helen? — pyta osoba po drugiej stronie. — Wszystko w porządku? Masz taki dziwny głos.

Chrząkam pośpiesznie i już krzyczę:

— Wszystko w porządku! W absolutnym porządku! Tylko, tylko trochę mam dziś szalony dzień. Co tam u ciebie?

I zgadnijcie co. Już od minuty wszystko u mnie w porządku. Tom dzwoni, żeby zaprosić mnie na randkę. Nie żadne tam niejasne, beznadziejne „to jakoś w przyszłym tygodniu wymyślimy coś”, ale prawdziwa, solidna „zapisz sobie w kalendarzu” randka. Randka jest dopiero za trzynaście dni, bo wyjeżdża jutro do Manchesteru na jakiś kongres związku weterynarzy — czy jak

on to określił — na „dziesięciodniową popijawę zakończoną balem”. Ale już się cieszy na spotkanie ze mną. Powstrzymuję się od zadania jakichkolwiek dręczących mnie pytań w stylu: „A Celine

jedzie?”. I postanawiam nie zastanawiać się, czy Tom nie spotka tam pięknej, inteligentnej pani weterynarz, która jeździ bmw z3 i specjalizuje się w ratowaniu życia króliczkom, a zamiast tego staram się skupić na faktach. Boski pan doktor Fatboya zaprosił na randkę mnie, Helen Gayle Bradshaw, kłocowate, gburowate zero zawodowe, które jeździ toyotą, a pająki zabija bez mrugnienia okiem. Oto moja szansa, by wreszcie zrobić wszystko, jak należy!

Odkładam słuchawkę z uśmiechem, który jednak znika, gdy Laetitia mówi głosem słodkim, ale nie znoszącym sprzeciwu:

— Helen, ta dziennikarka, która przeniknęła do burdelu, nie chce pozwać do zdjęcia, więc musisz jechać na sesję, mają tam kostium, wszystko już umówione. Jeśli wyjedziesz teraz, będziesz tam na drugą.

Powstrzymuję westchnienie i idę po swój płaszcz. Jak to powiedział Marcus, gdy musiałam stać przed parlamentem przebrana za olbrzymi tampon w proteście przeciw opodatkowaniu środków higieny osobistej dla kobiet? „Helen, ty to masz szczęście. Masz taką interesującą pracę”.

Druga radosna nowina w tym tygodniu jest taka, że Lizzy udało się wreszcie namówić Tinę na babski wieczór.

— Co? Tak bez Adriana? — żartuję.

— Spotyka się ze znajomymi — mówi Tina szorstko.

— Super — odpowiadam. Tak naprawdę, jest mi przykro. Jakbyśmy były z Lizzy tylko zapychaniem wolnego czasu. Ale staram się nie brać tego do siebie. Michelle uważa, że „wszystko biorę do siebie”. Nie mam Tyny na własność. To jej życie. Nie ma obowiązku się ze mną spotykać. Nawet nie jesteśmy spokrewnione. Po tej małej autorepreymendzie jestem w stanie odłożyć moje urazy na bok i powiedzieć:

— No, miło będzie się z tobą wreszcie spotkać poza pracą, ty stara zdziro.

Biorąc pod uwagę nasze ochłodzenie stosunków, moje czułe słówka brzmią jakoś sztucznie i dziwnie. Przez chwilę boję się nawet, że ją obraziłam. Ale Tinie udaje się chyba pozbierać i mówi wesoło:

— I nawzajem, ty gruba dziwko.

Mówimy o czwartkowym wieczorze. W środę Lizzy rozkazuje nam:

— Weźcie sobie jutro jakieś luźne ciuchy.

Że co proszę? Ku mojemu i Tiny przerażeniu Lizzy postanowiła, że w naszym jutrzejszym planie nie ma piwa, barów i trzepotania rzęsami. Postanowiła podjąć ten trud i wyrwać nas ze szponów nałogu alkoholowego, zapchanych barów, żarcia z fast foodów, porannego cierpienia i rutyny. Mnie mówi z naciskiem:

— Myślisz, że nie widzę, co robisz? Od tygodni nie jadłaś nic zdrowego. Masz pod oczami czarne wory. Wyglądasz jak szop prac. Musisz wreszcie zrobić coś dla siebie.

Tinie zaś tajemniczo:

— To ci się pozwoli uspokoić.

Gapimy się na nią podejrzliwie.

— Znaczy co? — pytamy zgodnym chórkim. (Przy czym ja wciąż się zastanawiam, czy szopy są istotami dość smukłymi. No bo w końcu mogła powiedzieć „panda”, a nie powiedziała).

— Pójdziemy — mówi Lizzy głosem tak słodkim, hojnym i despotycznym jak Glinda, dobra wróżka z północy — do mojego klubu na lekcję tai chi. Jest już zarezerwowana i zapłacona. Potem zjemy coś w pijalni soków. O! Nie! Jestem już spóźniona na lunch! Zobaczymy się jutro! — To tyle, jeśli chodzi o stare jak świat chwytty z serii „Jak oszukać swoje własne kumpele”.

— Czy w tej pijalni soków podają sfermentowany sok z winogron? — krzyczę za nią, gdy leci do drzwi. Tchórz.

Tina i ja patrzymy na siebie z konsternacją. Ja mówię zrzędlawie:

— Wiesz chociaż, co to jest to tai chi?

Tina krzywi się i mówi:

— Sztuka walki.

To mnie trochę pociesza:

— Więc to nie rodzaj aerobiku?

— Nieee — kręci głową Tina.

Milknę na chwilę, przypominam sobie wszystkie filmy o Jamesie Bondzie, jakie w życiu widziałam, i ten ociekający pożądaniami artykuł z magazynu dla mężczyzn o blond piękności — prezenterce z telewizji, która w wolnych chwilach trenuje kick boxing. Uznaję, że kobiety uprawiające wszelkie sztuki walki imponują facetom i że najwyższy czas, żebym stała się jedną z nich.

— Właściwie cieszę się na jutrzejszy wieczór — mówię Tinie.

— Ja też — odpowiada, ale ma nieobecny wyraz twarzy.

Jestem w szoku. Czuję się jak Czerwony Kapturek, który dał się nabrać wilkowi przebranemu za różową babcie w koronkach. Lizzy należy się zaprowadzenie siłą do McDonalda i szybkie wypchanie co najmniej pięcioma Big Macami. Powinnam była zaufać swojej intuicji i dać drapaką, gdy tylko ujrzałam Briana, naszego instruktora tai chi. Ma długie włosy, purpurowe spodnie i pierwsze, co powiedział, to: „de facto”. Tina i ja, trzymające się bezpiecznych tyłów sali, wymieniłyśmy drwiące spojrzenia. Ze względu na „nowo przybyłych” — tu, znaczący uśmiech w stronę Lizzy i wymowne spojrzenie na nas z Tiną — zaczął od krótkiego wprowadzenia do tai chi. Tai chi to starożytna sztuka Chin, układy powolnych ruchów wymyślone tysiące lat temu, by obudzić w człowieku witalność i wewnętrzną harmonię.

Kiwnęłam głową pośpiesznie, mając nadzieję, że się streści i pokaże nam wreszcie kilka ciosów karate. Jednak ku mojemu przerażeniu on ciągnął dalej przez dobre osiem minut — w ciągu których zupełnie straciłam chęć do życia — a potem oświadczył:

— Teraz nauczę was chodzić.

Jako że chodzić nauczyłam się tak z ćwierć wieku temu.

byłam pewna, że żartuje. Niestety nie. Następne osiemdziesiąt pięć minut spędziliśmy na chodzeniu bardzo poowooli. Zgiąć kolano, podnieść stopę... no wiecie, c h o d z e n i e . Ku mojej radości Tina wyglądała jak młodszy urzędnik Ministerstwa Dziwnych Kroków, ale to mi niewiele pomogło. Chciało mi się wyć z nudy. To się tak ciągnęeeeeeeeeeeło. Jakby mi ktoś kazał zostać w szkole po lekcjach.

Czterdzieści razy ziewnęłam ukradkiem i nie miałam odwagi spojrzeć na Tinę, bo wiedziałam, że umrzemy wtedy ze śmiechu. Potem w pijalni soków — historycznie szczęśliwe, że skończył się wreszcie ten koszmar — zmieniliśmy się z Tiną w parę czternastolatek, które wszystko w świecie uznają za nieprzyzwoite i/lub śmieszne. Kiedy Lizzy grzecznie zapytała bladego i wątłego nastolatka za barem, czy działa sokowirówka, zawyliśmy dosłownie z uciechy. Kiedy Tina rzuciła:

— Zaraz ci dołożę, tylko zajmie mi to kilka wieków. — Mało nie zsikałyśmy się w swoje luźne spodnie.

Kiedy ja nabijałam się ze stopy Briana;

— Jak on wskazywał stopą wszystko! Wskazywał poowooli, wskazywał tak całymi gooodzinami...! — Śmiałyśmy się do rozpuku, aż nas bolały brzuchy.

I wtedy Lizzy zrobiła coś bardzo nielizzowego. Skłęta nas. Powiedziała dokładnie:

— Mogłybyście zamknąć się, do jasnej cholery!

Nasze usta zamknęły się natychmiast w niemym zdziwieniu. „D o j a s n e j c h o l e r y” mówi kobieta, której zwykłym słownictwem w takich przypadkach jest „urwipołcie”? Przestańcie, urwipołcie!”.

— Ale czemu? — spytała zszokowana Tina.

— To tylko żarty — dodałam, powstrzymując śmiech. Lizzy wyglądała jak urodzony morderca. — To strasznie miłe, że tak to wszystko nam zorganizowałaś — ciągnęłam pośpiesznie. — Tylko to raczej było nie w naszym stylu.

Lizzy spojrzała na mnie:

— Wolałabym, żebyś odpieprzyła się... — od... co? Boże drogi! To niesłychane — od Briana.

Wkurzona, że moja różowiotka bańka śmiechu właśnie pękła i znikła, szykowałam się, by powiedzieć: „Ależ ten facet to podstarzały, dumy hippis”, ale powstrzymała mnie malutka, acz błogosławiona, komórka mózgowa odpowiedzialna za zdrowy rozsądek.

Jednakże nie powstrzymała ona Tiny, która pisnęła:

— No, dajże spokój, Lizzy! Brian to skończony dupek!

Lizzy zamarła. Odłożyła widelec starannie koło miseczki z sałatką z orzechów, awokado i jakichś liści i powiedziała ostro:

— Tak się składa, że od tygodnia jest także moim chłopakiem. Więc — i jej następne słowa były na szczęście już znacznie bardziej w stylu Jane Austen, znacznie bardziej lizzowate — byłabym wam wdzięczna, gdybyście zatrzymały swoje okropne opinie dla siebie.

Ups!

ROZDZIAŁ XVI

Dwa najbardziej znienawidzone przez mnie słowa to „wilgoć” i „klin”. Trzecie na tej liście to „powinnaś”. Na przykład: Helen, powinnaś się więcej uśmiechać. Helen, powinnaś wiedzieć, ile jest osiem razy sześć. Helen, konfiskuję tego „Cosmopolitana”, bo powinnaś się uczyć. Helen, powinnaś robić brzuszki. Helen, powinnaś poprosić o podwyżkę. Helen, powinnaś znaleźć sobie jakąś sensowną pracę. Helen, powinnaś odwiedzać swoją matkę także w te ważne dni tygodnia, na przykład w piątki. Helen powinnaś wyjść gdzieś dziś wieczorem (mimo że już prędeż wolałabyś dać się posiekać), bo może to właśnie dziś spotkasz swojego przysłego męża, a może nawet jakiegoś faceta, z którym mogłabyś się pieprzyć w tym miesiącu.

Wszystkie te dokuczliwe „powinnaś” narzucane mi przez moich rodziców, moich partnerów albo przeze mnie samą. Staram się od nich odcinać, ale one czepiają się mojej podświadomości, zawstydzają, ciągną w przepaść. I ostatnie „powinnaś”: Helen powinnaś spędzić trzy godziny na zabawianiu Lizzy i Briana w pijalni soków, aby udowodnić, jak bardzo żałujesz swoich insynuacji świadczących, że tai chi nie jest boskie, a Brian ma głupią, wskazującą coś stopę i że wskazuje tak przez całe wieki. Tymczasem Tiny najwidoczniej nie straszą po nocach żadne „powinnaś”, bo natychmiast po naszej totalnej wtopie ucieka pod pretekstem, że obiecała Adrianowi powrót do domu przed dziesiątą. I nie pociesza mnie nawet to, że takie kłamstwa mają ponoć krótkie nogi, bo przecież nikt nie ma tak długich nóg jak Tina. Gdzie

tu sprawiedliwość? I tak zostałam sama — jak wielkie, zabłoczone, piąte koło u wozu z owocowymi sokami — i postawiono mnie przed monstrualnym zadaniem wmówienia Lizzy, że musi mi przebaczyć oraz że ja tak naprawdę uważam, że Brian to wspomniały facet.

Ponieważ Lizzy nie jest w stanie chować urazy dłużej niż piętnaście sekund, pierwsza część nie była aż taka trudna. Ale jeśli chodzi o przekonanie jej, że lubię Briana. Potwornie trudne? Nie — niemożliwe. Był taki odrażająco, nowoczesnie poważny. I sposób, w jaki patrzy, gdy się do niego mówi! Jak Fatboy czający się na gołębia. Jasne, to są pewnie dość małe grzechy. Ale mimo całej jego sympatii do mnie i jego szalonego uwielbienia względem Lizzy, nie mogłam jakoś się do niego przekonać. Wciąż myślałam: „Fu, ale jesteś taki stary”. Taki stary, że mógłbyś być jej ojcem. Aż mnie przechodziły ciarki.

— Ma jak nic czterdzieści pięć! — piszczę w słuchawkę do Michelle, która właśnie rzuciła Sammy'ego i w dupie ma cudzych chłopaków.

— Niektóre kobiety lubią starszych mężczyzn — stwierdza beznamiętnie, żeby ten wątek naszej konwersacji zmarł śmiercią naturalną i żeby można było wreszcie podjąć fascynujący temat pt. „Michelle”. — Sammy i ja byliśmy prawie w tym samym wieku — dodaje smutno. (Jest od niego szesnaście miesięcy starsza).

Wydaję z siebie jakieś współczujące dźwięki i marzę o tym, żeby zadzwonił dzwonek u drzwi, to miałabym jakąś wymówkę i mogła odejść od telefonu. Jest piątek wieczór i Luke wypożyczył *Szklaną pułapkę* na wideo. Marcus i ja właściwie ze sobą nie rozmawiamy, ale żadne z nas nie chce oddać pola drugiemu i schować się do swojego pokoju, więc wygląda na to, że będziemy wspólnie oglądać Bruce'a Macho Willisa. Według informacji Luke'a Catalina zostawiła Marcusa kilka tygodni temu, bo „zakochała się” w producencie muzycznym. No, kurka, to musiało być po prostu przeznaczenie.

— To co tam dzisiaj porabiasz? — pyta nagle Michelle.

— Oglądamy z Lukiem i Marcusem film na wideo — mó-

wię, próbując zabrzmieć najmniej ciekawie, jak się da. Nie ma mowy, żebym jechała teraz do Crouch End i zabawiła Michelle. Jestem wykończona i zamierzam się upić do nieprzytomności.

— Brzmi świetnie! To będę za jakieś pół godzinki! — Łup! Zatkąło mnie. Stoję i czekam, czy telefon znów nie zadzwoni. I po dwudziestu sekundach rzeczywiście znów słyszę dzwonek:

— Ach, kochanie, podaj mi jeszcze raz swój adres, dobrze?

Jestem pod wrażeniem. Wygląda na to, że rzucenie Sammy'ego rozpoczyna nową erę. Bo do tej pory, odkąd tu mieszkam, Michelle, wstyd się przyznać, nigdy jeszcze nie zaszczyciła mnie swoją obecnością. Prawdę powiedziawszy, jeszcze osiem miesięcy temu Michelle i Sammy mieszkali w Nowym Jorku (ojciec Sammy'ego, który emigrował po rozwodzie i jest grubą rybą w bajglach, chciał, żeby syn wszedł do interesu). Michelle — uznając taką przeprowadzkę za krok w stronę Hollywood — zmusiła Sammy'ego do przyjęcia ojcowskiej propozycji, eskortowała go do Stanów i sama znalazła pracę w salonie piękności.

Wytrzymali w Lower East Side przez wspaniałe dwadzieścia sześć miesięcy, ale potem Sammy uciekł do domu, bo musiał przeprowadzić bardzo istotne badania rynku bajgli w Zjednoczonym Królestwie (czytaj: tęsknił do mamusi). Podejrzewam, że zmuszając Michelle do powrotu na staroświeckie śmiecie północnego Londynu, Sammy sam podpisał wyrok na ich związek. Hurra! Ale chodzi o to, że Michelle miała więcej niż dwie trzecie roku na wstąpienie w moje zaśmiecone progi i nie uczyniła tego. Powiedziałabym, że jej wymówka to zakładanie nowego salonu piękności i/lub że woli spotykać się na mieście, ale sama Michelle nigdy nie zdobyła się na żadną wymówkę. Gdy proponuję, żeby wpadła, nagle „pali jej się ziemia pod nogami” albo „ma tyle na głowie”. Tylko raz zdobyłam się na odwagę i zajęczałam:

— Ale ty nawet nie widziałas jeszcze, jak mieszkam!

Na co odpowiedziała śpiewnie:

— Złotko, przecież mogę sobie wyobrazić.

Też używam odrobiny wyobraźni i nie mija dwanaście se-

kund, a już wiem, że Michelle odbywa tę podróż aż do Swiss Cottage, bo od jakiegoś czasu stanowisko Chłopaka Michelle (pełny wymiar godzin, żadnych świadczeń socjalnych) jest wolne i Michelle chce to zmienić. Wlokę się do łazienki i spoglądam w lustro. Czy ofiarą padnie Luke czy Marcus? Nie spotkała jeszcze żadnego z nich i zastanawiam się, który się lepiej nada.

Luke? Nie jest w m o i m typie — zbyt miły i zbyt łatwo go zastraszyć — ale Michelle uwielbia rządzić. I, o ile nie jesteś wtajemniczona w dziwne, cuchnące łazienkowe nawyki Luke'a, on nawet jest urzekający. Roztrzepane blond włosy, zielone oczy, czarujący uśmiech i ta niezręczność. Człowiek-labrador. Jedynym problemem może być jego skłonność do mówienia prawdy. Boże broń, żeby Michelle kiedykolwiek spytała go, co sądzi o jej własnoręcznie utlenionych włosach. Odrzucam myśl, że koncentruję się na szansach Luke'a tylko dlatego, że w głębi duszy podejrzewam, iż Michelle i Marcus dobrze się dogadają — aż za dobrze.

Nie chcę, żeby tak się stało — wiem, że Marcus uzna to za swój triumf — ale jednocześnie jestem pełna złych przeczuc. Czy to nie jest wręcz nieuniknione? Mam ze strachu skurcze żołądka. Nie chcę zabrzmieć nielojalnie, ale Michelle ma ochotę mi dokopać, odkąd dwadzieścia jeden lat temu popełniłam ten nierozważny błąd i wygrałam z nią w wyścigu z jajkiem na łyżeczce. Michelle głupia nie jest. Wie, że moja kampania nienawiści przeciw Marcusowi nie narodziła się z obojętności. A co do Marcusa. Jakikolwiek byłby to facet — wybredny nie jest na pewno.

Więc kiedy Michelle pojawia się, trzepocząc rzęsami z taką ilością tuszu, że to cud, że w ogóle jest zdolna otworzyć oczy, przygotowuję się na najgorsze. Maszeruję do salonu, gdzie na sofie leżą rozwaleni Luke i Marcus.

— To Michelle — mamroczę, licząc na to, że nasze wejście pozostanie niezauważone. Ich głowy odwracają się natychmiast jak laleczki brzuchomówców. Michelle macha końcami palców uroczo i wdzięcznie i z zachwytem zatrzymuje wzrok na Luke'u. Luke wydaje z siebie głośne, mimowolne beknięcie.

— Bardzo przepraszam — mówi grzecznie, ale już przepadł. Klnę go w duchu, a Michelle przenosi swoje drapieżne spojrzenie na Marcusa. On spogląda w jej oczy mówiące „podejź bliżej” (jak blisko chcesz), skacze na równe nogi i biegnie w jej stronę.

— Bardzo mi miło — mówi, biorąc jej dłoń i lekko przyciągając Michelle do siebie, żeby pocałować ją w policzek.

— Mnie również — odpowiada ona przesłodko. Wydymam nozdrza z obrzydzenia. Nie mija milisekunda i już są jak para pawianów, obnażająca przed sobą nawzajem swe cenne tyłki. Tyłko są mniej dyskretne. Nie mogą na to patrzeć.

Oglądanie filmu okazuje się zupełnie niemożliwe, bo Michelle udaje dziewczęce zadziwienie fabułą — to tylko *Szklana pułapka*, na Boga! — i wciąż szepcze do Marcusa, żeby jej wytłumaczył. Nie muszę mówić, że ta kanalia z radością w tym uczestniczy.

— Nikomu nie będzie przeszkadzało, jeśli włączę światło, nie? — rzucam, gdy widzę, że Marcus klepie Michelle po ramieniu dla podkreślenia swoich racji. — Wpatrywanie się w ekran telewizora w ciemności przyprawia mnie o ból głowy.

Luke wygląda na zaniepokojonego.

— Mam gdzieś nurofen, jeśli chcesz — mówi.

— Nie, dzięki — mówię ponuro. — To pewnie tylko guz mózgu.

Idę do kuchni i nalewam sobie kubek czerwonego wina. Wiedziałam, że tak będzie. Ale nie wiedziałam, że to będzie tak bolało. Staram się być dumna z tego, że oto połączyłam Kena i Barbie. Michelle należy się jakaś nagroda za to, że rzuciła Samy'ego. I choć jest zupełnie bez serca, nie kradnie mi przecież chłopaka. Marcus mnie nienawidzi, więc byłoby to chamskie zagranie — i bezsensowne — gdybym próbowała go zachować dla siebie. Zresztą, między nami mówiąc, jest już dość zużytym towarem. Ta buńczuczna gadka niewiele pomaga. Mimo to chce mi się płakać.

Łzy napływają mi do oczu, gdy Michelle woła śpiewnym głosem:

— Czy ty przypadkiem nie żłopiesz sobie winka, samolubna dziewczyno? Czy zamierzasz się na całą butelkę, czy możemy spróbować odrobinę?

Natychmiast przestaję użalać się nad sobą, bo zalewa mnie wściekłość. Od niechcienia chowam jedną dłoń za plecy i zaciskam ją w pięść. W ten sposób rozładowuję trochę złość i mogę powiedzieć całkiem miłym głosem;

— Ach, Michelle, potrzeba ci więcej niż jednego faceta, żebyś zapomniała o kieliszku. Nie krępuj się, nalej sobie!

Rzuca mi spojrzenie przypominające wzrok siostry Ratched z *Lotu nad kukułczym gniazdem*. Aż się wzdrygam w duchu, jednak zachowuję na twarzy promienny uśmiech i obiecuję zapamiętać, że nie powinnam już nigdy zostać z Michelle sam na sam.

Reszta wieczoru to koszmar. Robię wszystko, by zdusić rodzający się na moich oczach romans, ale bezskutecznie. Mój pierwszy atak w tej psychologicznej wojnie to zamówienie czterech olbrzymich pizz pepperoni.

— Ja stawiam!

Luke jest wniebowzięty. Marcus i Michelle — zgodnie z planem — błędną. Michelle staje oto przed nie lada dylematem. Nie cierpi jeść przy mężczyznach — „to takie grubiańskie” — ale uwielbia utrzymywać, że obżera się codziennie czekoladą i pizzą jak każda szanująca się supermodelka. Ha! ha! ha!

Równie rozdarty jest Marcus. Pizza i inne tłuste kohorty — curry, kebaby, hamburgery — to dla niego męka. Pochodzi z rodziny o genetycznych skłonnościach do otyłości i bojąc się, że natura weźmie górę, narzuca sobie żywieniowe nawyki anorektycznego wróbelka. Jego matka i dwie starsze siostry ważą — szacując ostrożnie — ze sto kilo każda. Marcusowi jak na razie udaje się przechytryć los za pomocą maniackich ćwiczeń i zdrowego odżywiania, ale żyje w strachu przed wielkim wzdęciem. Kiedy chcę go wkurzyć, mówię: „Hej, Marcus, popuść sobie pasa”.

Jest aż do bólu świadomy, jak niemęska jest to obsesja, więc — co często miałam okazję obserwować — stałym elementem

jego systemu uwodzenia jest głodzenie się przez dwa dni, żeby przygotować sobie miejsce na męską wyżerkę na oczach ukochanej. Niestety, jako że Michelle pojawiła się jako gratisowa niespodzianka, Marcus jest żałośnie nieprzygotowany. Zje swoją pizzę, żeby nie wypaść niemęsko, ale każdy kęs będzie dla niego torturą (a trzeba potem przeliczyć go na pięć minut biegni w siłowni). Chrupię sobie spokojnie i obserwuję, jak moje gołąbki walczą.

— To było naprawdę bardzo miłe z twojej strony — mówi Luke z pełnymi ustami.

— Cała przyjemność po mojej stronie — odpowiadam zadowolona z siebie i mierzwię mu włosy.

Michelle wydaje z siebie ciche sapnięcie mające oznaczać, że ma już dość po zaledwie dwóch kawałeczkach.

— Chyba nie powinnam była tak się rzucać na tego hamburgera i frytki, jak tu do was jechałam — wzdycha. Ta, jasne. Prędzej dałaby sobie zaszyć usta.

Marcus gapi się tęsknie na jej dekolt.

— Więc już nie jesteś głodna? — mruczy z fałszywą skromnością. Mało nie wypluwam mojej pizzy z wrażenia. Wszelkie następne próby sabotażu kończą się porażką.

Michelle ma na nogach błyszczące, złote sandały, które dają mi pretekst do krzyknienia:

— Czemu nigdy nie zauważyłam?! Jakie ty masz długie, eleganckie palce u stóp!

Na szczęście Luke wykręca szyję i krzyczy:

— Zobaczmy!

Marcus też spogląda na nogi Michelle, ale — cholera cholera cholera — jego werdykt brzmi:

— Jakie piękne palce!

Michelle aż się wije z tego zwycięstwa. Im bliżej końca *Szklanej pułapki 2*, tym bliżej Marcusa siedzi Michelle, aż wreszcie właściwie siedzi mu na kolanach. Ich rozmowa staje się coraz bardziej szepcząca i tajemnicza. O północy Luke obwieszcza, że jest wykończony, i wlecze się do swojego pokoju. Dezerter.

żegnam go chłodno i tkwię na swoim miejscu z twardym uporem. Zostanę tu choćby do świtu, żeby pokrzyżować ich lubieżne plany!

Dziesięć minut po północy Marcus i Michelle zaczynają się całować na moich oczach. Przyznaję się do porażki i idę do łóżka.

ROZDZIAŁ XVU

Czy w dzieciństwie mieliście przydomki? Gdy pytałam o to przyjaciół, prawie zawsze odpowiadali: „Tak”. Marcus zaprzeczył, ale potem przyznał się, że jego zachwycona matka nazywała go: „Bałdzo Malusi Pucółek”. Zrozpaczeni rodzice Luke'a mówili na niego: „Kłopot”. Lizzy nieoficjalnie zwała się: „Maluszek”. Przebiegli rodzice Michelle zwracali się do niej per „Madame”. Matka Tyny przechrzczyła ją na „Piszczalę”. Rodzice Laetitii — bez komentarza — uparcie trzymali się „Laetitii”. A mój ojciec? Mój ojciec mówił na mnie „Grinch”.

Nigdy nie lubiłam książek, w których nikt nie umiera, więc zapomniałam o pochodzeniu tego słowa i często biegłam do przedszkola, podśpiewując sobie wyszukaną piosenkę własnego autorstwa: „Jestem Grinch, mały Grinch!”. Gdy dorosłam, tata przestał nazywać mnie Grinch i zaczął używać mego imienia — Helen. Tylko gdy trzeba było nabazgrać coś w corocznych karteczkach z życzeniami urodzinowymi, wracał do tego rodzinnego żarciku i pisał: „Kochany Grinchu!”. Ponieważ wszelkie czułości należały w naszym domu do rzadkości, przyznawałam zwrotowi „Kochany Grinchu!” taką wagę, jaką większość patriotycznych obywateli przypisuje fladze narodowej. I nagle się dowiedziałam.

Byłam z Tiną w pubie w piątek na kilka miesięcy przed śmiercią mojego ojca i oddawałam się miłym lamentom na temat Jaspiera. Nie podobał mu się *The Divine Comedy* (mój ulubiony zespół), uznał, że to „pedziowate gówno”, i zmusił mnie do słuchania — w moim, zauważcie, samochodzie — Daryla Halla

i Johna Oatesa. Po cichu podziwiałam go za tę bezczelność, jeśli już nie za gust muzyczny. Ale Tina wykrzyknęła złościwie:

— Ale z niego Grinch!

Spłoszyłam się i spytałam;

— Grinch? Co chcesz przez to powiedzieć?

Spojrzała na mnie dziwnie.

— No, wiesz. Ktoś skąpy. Małostkowy. Psujący zabawę.

Uśmiechnęłam się słabo i spytałam:

— Czy to znaczy Grinch?

Na to Tina huknęła:

— Chyba sobie żartujesz! Nie mieliście w tym swoim północnym Londynie Doktora Seussa? *Kota Prota*? *Grinch: świąt nie będzie*? Nie?

Pokręciłam głową i zamruczałam:

— Nie, nie. — I pobiegłam do baru zamówić jeszcze jedną kolejkę. Następnego dnia poleciałam do czytelnicy i spytałam panią bibliotekarkę, gdzie stoją książki dla dzieci. Uśmiechnęła się porozumiewawczo.

I tak odkryłam, że Grinch to nie — jak zawsze sobie wyobrażałam — urocze, futrzane, kochane maleństwo, tylko złośliwy, czerwonooki potwór, mieszkający w jaskini i mający serce „o dwa rozmiary za małe”. Jasne, na końcu zmienia się w niewiniątko. Ale aż do przedostatniej strony Grinch jest podłą, ohydą gnidą, która nie ma żadnych przyjaciół.

Nie chciałam, żeby Tina znowu mnie wyśmiała, więc postanowiłam podzielić się tymi druzgocącymi me życie wieściami z Lizzy. Ona rozpatrzy tę sprawę tak wnikliwie, jak należy. Po dziesiątej butelce piwa Beck's wybeczałam jej całą tę szokującą opowieść w mokry i nieco niespójny sposób. A ona mnie wyśmiała!

— Helen — zaszczebiotała. — Przecież to tylko takie pieścotliwe imię! Na pewno nie miał niczego złego na myśli! To tylko takie ładne słowo, jak... pączuszek! Mój tata wciąż mówi na moją siostrę Pączuszek, a ona ma trzydzieści jeden lat i jest chuda jak osa!

Powlokłam się dół łóżka zalana łzami i obudziłam z przekonaniem, że jestem głupia. Lizzy, głos rozsądku, przemówiła. Mój ojciec nazwał mnie Grinchem tylko dlatego, że to jest ładne słowo. Nie ma w tym nic zdrożnego. Właściwie powinnam się cieszyć — czteroletnia Michelle, po pewnym niefortunnym wypadku podczas zebrania w przedszkolu, już do końca swojego dzieciństwa występowała pod pseudonimem: „Śmierdzo-Kupo-Gatki”. I to także wśród nauczycieli!

Postanowiłam zapomnieć o tej urazie, ale kilka dni później przysłała do mnie Lizzy. Miała nadzieję, że się nie gniewam, ale rozmawiała ostatnio ze znajomym psychologiem o grinchach i pączuszkach i on powiedział, że same przezwiska nie są tak ważne, jak to, jak się z nimi czujesz. Czy myślałam, żeby porozmawiać o tym z ojcem? Oczywiście. Tak jak myślałam o tym, żeby pomalować się na zielono i latać z gołym tyłkiem po Oxford Street. Nie cierpię doktorków. To całe grzebanie się w problemach, które właściwie nie istnieją. Wyrzuciłam sobie tę głupią pogawędkę na tyły głowy i tam pozostała. Tylko że czasami wypływa na poziomy świadomości.

Jak dziś, gdy obudziłam się rano z męczącego snu i aż się wzdrygnęłam na myśl o tym, że w zeszłym tygodniu zrobiłam z siebie idiotkę, starając się powstrzymać Marcusa od zerżnięcia Michelle. W takich chwilach czuję się jak Grinch. Podła. Małostkowa. Jak pies ogrodnika. Mój ojciec miał rację. Ale już z nim o tym nie porozmawiam! Od jakiegoś czasu nie widziałam opalonej skóry i ufryzowanych włosów ani Michelle, ani Marcusa. Domyślałam się, że zamieszkała u niej. Zawsze znika po pierwszym gołu. Głowę dam, że chce przekonać swoje zdobycze, że naprawdę jest zauroczony. Jedno jest pewne co do Marcusa — nie ma w nim grama spontaniczności. Nawet Jasper miał swoje lepsze chwile, niech mu Bóg wynagrodzi. Ale każdy krok Marcusa jest przewidywalny.

Życzę im szczęścia. Mówię to nie dlatego, że nagle stałam się dobra, ale dlatego, że dziś wieczorem mam randkę z Tomem. A Michelle niech się cieszy mikrofiutem Marcusa. Uczciwie

mówiąc, są dla siebie stworzeni. Długie, niskokaloryczne dni na bieżni, pełne namiętności godziny plotkowania, sesje wzajemnego szcietkowania włosów, gorące, erotyczne noce na osobnych leżaczkach... Jest wczesne popołudnie i zastanawiam się już, czy zaproszą mnie na ślub, gdy dzwoni telefon. Michelle!

Nie mówię; „Zabawne, właśnie o tobie myślałam”, bo nic na świecie nie ucieszyłoby jej bardziej.

— Co tam u ciebie? — piszczy, jakbyśmy się nie widziały kilkadziesiąt lat.

— W porządku, a u ciebie? — odpowiadam ostrożnie.

— Świetnie, świetnie. Kochanie, chciałabym cię o coś prosić. — Taak?

— Taak?

Michelle bierze głęboki wdech:

— Mam jakby trochę dobre wieści i trochę złe. Marcus zaprosił mnie na randkę. Ale nie pójdę, jeśli nie chcesz. Nie chcę ci sprawić przykrości.

Co za kanalia. Staram się mówić lekkim tonem:

— Michelle. To wspaniała wiadomość. Tak się cieszę. Tylko nie mogę zrozumieć, czemu uważasz, że miałabym mieć coś przeciwko. Marcus to — szukam takiego sformułowania, które by zapamiętała — to malutki punkcik w mojej przeszłości. Tak, malutki to dobre określenie!

Nie mogę uwierzyć, że się odważyłam na coś takiego i Michelle też nie.

— Boże, ale jesteś zawzięta. — I rzuca słuchawką. Biorę i ja głęboki wdech, a potem mówię Laetitii, że wyskoczę sobie na podwójne espresso i że wracam za pięć minut.

— Weź mi ciastko z migdałami i niegazowaną wodę mineralną — krzyczy za mną. — Zapłacę ci, jak wrócę z banku.

Raczej jak ja wrócę z twojego banku, myślę sobie. Przewijam tę ostatnią myśl jeszcze raz i dumam nad nią.

Jestem zawzięta? No jasne, że jestem! Kto by nie miał dość niekończącej się listy poleceń Laetitii? Jestem dziennikarką, a nie jej kamerdynerem! Przynajmniej teoretycznie. I właściwie, cze-

mu ja w ogóle przyjaźnię się z Michelle? Bo siedemnaście lat temu miałyśmy jakieś wspólne zainteresowania, na przykład japońskie piórniki i *Dźwięki muzyki*? Lecę po chodniku z gniewną miną i aż tupię z wściekłości. Muszę wyglądać jak bull mastiff. Próbuję oddychać przez nos i się uspokoić. Mijający mnie przechodnie spoglądają na mnie z niepokojem i ustępują mi z drogi. Widzę siebie ich oczami i chce mi się płakać. Nie chcę być taka... taka zawzięta.

Zmuszam mój rozszalały umysł, żeby się uspokoił, pomyślał o czymś miłym, na przykład o Tomie. Jego oczy. Jego usta. Moje serce znów zaczyna bić szybciej i uśmiecham się do siebie. Żałosne! Ale skuteczne. Spotykamy się dziś przed stacją Covent Garden o ósmej. (Mama — z trudem ugłaskana obietnicą spędzenia wspólnie całego dnia na farmie zdrowia — zwolniła mnie na poniedziałkowy wieczór. Ciężko to okupiłam, bo na samą myśl o ograniczeniu mi dostępu do jedzenia wpadam w panikę i nie cierpię, jak ktokolwiek mnie maca). Mam na sobie czarne spodnie, czarne buty i szarą bluzkę z dekoltem w serek. Dla odmiany.

Nabywam ciastko z migdałami, wodę mineralną oraz — w przypływie mojego nowego nastroju zen — podwójne espresso bez kofeiny. Przytrzymuję otwarte drzwi przed eleganckim starszym panem. Panem w stylu tych, którzy przyprowadzają mnie o dotkliwy ból, bo nie zmarli na atak serca w wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat.

To nic osobistego. Nie jego wina. Nic osobistego. Połykam swoją nienawiść i wymuszam uśmiech. Staruszek mruga do mnie i mówi z wykwintnym akcentem:

— Jak miło z pani strony!

Posyłam mu uśmiech i szybko odwracam głowę, bo do oczu napływają mi jakieś głupie łzy. Jestem miła. Pławię się w blasku pochwały tego nieznanego, gdy wbiegam po schodach do biura „Girltime”. Może gdyby Tom widział mnie teraz, nie zawiodłabym go.

Wchodzę i słyszę, że dzwoni mój telefon. Laetitia oczywiście

czyta „Daily Mail” i ignoruje ten dźwięk. Błagam, niech to nie będzie Tom odwołujący randkę.

— Halo? — pytam pełna niepokoju, gdy tylko łapię za słuchawkę.

— Helen! — mówi drżący głos. — To ja, Vivienne! I obawiam się, przepraszam, że muszę ci to powiedzieć, och, to takie straszne...

Mój głos staje się zachrypnięty z przerażenia.

— Poprostu powiedz!

Vivienne udaje się wybełkotać pięć słów, potem wybucha płaczem.

— Twoja matka podcięła sobie żyły.

ROZDZIAŁ XVIII

Pewnego razu, gdy miałam sześć lat, dostałam burę i musiałam pójść do łóżka o 17.30 za to, że przy mamie Michelle spytałam: „Tatusiu, czy to prawda, że nie jesteśmy w stanie spłacić hipoteki?”. Prawdę powiedziawszy, nie wiedziałam właściwie, co to znaczy „hipoteka”, ale usłyszałam gdzieś to imponujące zdanie i bardzo chciałam go użyć. Poza tym byłam przyzwyczajona do mojej matki, która nigdy nie była najpilniejszym słuchaczem i w roztargnieniu przytakiwała wszystkiemu, co mówiłam, nawet jeśli to były niewyobrażalne kłamstwa.

Niestety! Oczy pani Arnold zaiskrzyły jak oczy Belzebuba, a mój ojciec oskarżył mnie o pewną zagładę jego finansowej reputacji, która miała przeze mnie niechybnie nastąpić. Gdy płacząc, zapadałam w sen, modliłam się, by mój ojciec i moja matka — która nie odważyła się wślizgnąć na paluszkach na górę, żeby mnie pocieszyć — umarli w tornado. W tamtej chwili Sierotka Annie wydawała mi się najszczęśliwszą osobą na świecie i żarliwie pragnęłam stać się taka jak ona. Miss Hanigan to anioł w porównaniu z moimi rodzicami! Szorowanie podłóg byłoby zaszczytem! A samą rozkoszą spanie na piętrowym łóżku! I chciałam śpiewać *Hard Knock Life!* z amerykańskim akcentem.

Ale najwyraźniej dwadzieścia lat później bycie sierotą nie uśmiecha mi się już wcale tak bardzo, bo gdy Vivienne mówi mi, że mama podcięła sobie żyły, moje nogi robią się jak z waty i upadam na podłogę z jękiem, który Lizzy szeptem pełnym

trwogi nazwie później: „dzikim, pierwotnym, przesywającym, jak zwierzę wijące się z bólu”.

Jako że najbardziej dzikie dźwięki słyszane kiedykolwiek w biurze „Girltime'u” to gderanie Laetitia na to, że jej pułtaśna asystentka nalała jej za dużo mleka do herbaty, moja wariacja na temat tygrysa z bólem ucha zostaje zauważona. Lizzy i Laetitia rzucają się w moją stronę z okrzykiem:

— Co się dzieje?

Ich twarze są nieostre, jakbyśmy były pod wodą, a ja nie mogę oddychać, próbuję nabrać powietrza i wszystko się zamazuje: „O nie, błagam tylko nie moja matka tylko nie mama błagam nie zabieraj mi mamy Panie Boże tylko nie ja”. I głowa faluje, a ja krztuszę się w kółko tymi samymi słowami „o błagam nie moją mamusię”, aż w końcu zmieniają się w jakiś całun bez końca i zasłaniają mnie przed rzeczywistością.

W tym czasie podskakuje telefon i wydaje z siebie jakieś słabe, histeryczne piski. Lizzy łapie za słuchawkę, a Laetitia wykorzystuje tę świetną okazję, żeby mnie trzasnąć po twarzy. Nim mam czas powiedzieć: „Aua!”, i spojrzeć na nią, Lizzy kuca przy mnie i łapie mnie za moją drżącą, mokrą od potu dłoń.

— Helen — mówi jasnym, pewnym siebie głosem i patrzy mi prosto w moje zasnute mgłą oczy. — Twojej mamie nic nie jest. Twoja mama żyje. Słyszysz? Czy ty mnie słyszysz, nic jej nie jest.

Gapię się na Lizzy bezradnie. Nie rozumiem. Czuję się jak jakaś pięciolatka.

— Mama podcięła sobie żyły — szepczę niepewnie.

— To tylko powierzchowne skaleczenia — mówi Lizzy tym głośnym, emfaticznym tonem, którego używał mój ojciec w rozmowie z cudzoziemcami. — To tylko zadrapania. Vivienne dzwoniła ze szpitala. Są na oddziale nagłych wypadków, ale to nic poważnego. Z twoją matką wszystko w porządku, wszystko dobrze, tak?

Kiwam głową i mówię:

— Tak.

Trzęsę się jak podstarzały pudel w zimnej kąpieli. Nie wiem, co mam robić. Na szczęście Lizzy podejmuje decyzję za mnie.

— Zaraz zamówię ci taksówkę do szpitala. Prawda, Laetitia?
— dodaje.

Laetitia, która tym trzaśnięciem mnie po twarzy niewątpliwie rozładowała właśnie jakieś długo narastające napięcia, przytakuje i mówi:

— Oczywiście.

Lizy pomaga mi usiąść na krześle. Pędzi do kuchni, wraca z torbą brązowego cukru i wsypuje co najmniej z połowę do mojego podwójnego espresso bez kofeiny.

— Wypij — rozkazuje.

— Ty byś nie wypiała — burczę, ale posłusznie wypijam łyżeczek.

Dobrze, że taksówka przyjeżdża w ciągu kilku minut i ratuje mnie od tego piekła w postaci tureckiej kawy. Lizzy, która przedtem zapakowała mi do torebki notatnik i inne rupiecie, teraz pomaga mi wsiąść do taksówki. Ale najpierw ściska mnie w ciepłym, potężnym uścisku i mówi:

— Będzie dobrze. Po prostu wiem. L.. — Odsuwa mnie troszkę od siebie, żeby mi się przyjrzeć. — Och! Helen, czemu ja cię tak zaniedbałam? Ja...

Gapię się na nią zmieszana.

— No coś ty, Lizzy! Jesteś wspaniała. Całe to zmarnowane reiki! To ja jestem okropną kumpelą.

Przypominam sobie tai chi i wskazujące stopy, ale Lizzy kręci głową.

— Nie, Helen. Powinam była bardziej o ciebie dbać. Widziałam, jak to wszystko się zaognia, i powinam była coś powiedzieć, ale nie chciałam...

Z a o g n i a? Cofnij tylko „szopa”, a wszystko zostanie wybaczone!

— Lizzy, naprawdę wszystko w porządku. Tylko przeraziłam się matką, ale, tak jak mówisz, z nią wszystko dobrze, nic jej się nie stało. Więc lepiej już tam pojadę.

Lizy wygląda, jakby niechętnie mnie puszczała.

— Może pojedę z tobą? — pyta, ale kręcąc głową. — Bądź miła dla samej siebie, dobrze? — mówi i potrząsa mną delikatnie.

Siedzę w taksówce. Miła. Znowu to słowo. Chciałabym być miła. Ale jak zobaczę moją matkę, to ją normalnie zabiję. Jak mogła mi wyciąć taki numer? Samolubna krowa! Z przerażenia serce mi wali jak młotem. Opieram się i łapię kurczowo siedzenia taksówki. Jezu, co w nią wstąpiło?

Wbiegam do szpitala i mam *deja vu*. *Dzień świstaka* i *Amityville* razem wzięte, znów wpadam w ten przyprawiający o mdłości wir nieuchronnie zbliżającej się śmierci. To, że na oddziale śmierdzi sikami, wcale mi nie pomaga. Śmierdzi! Rozglądam się w panice i — dzięki Bogu — widzę moją matkę i Vivienne przykucnięte w kąciku, a wokół nich jacyś ludzie, którzy wyglądają, jakby tu tkwili od lat. Jasnopomarańczowe, sztuczne futro Vivienne (kupiła je po tym, jak w Islington zaatakowano ją, bo miała na sobie norki) błyszczy wśród tej szarej beznadziei jak ostrzegawcze światełko złego gustu.

Rzucam się w stronę matki, a moja złość rozplywa się na widok jej zmęczonej, bladej jak ściana twarzy. Jest otulona szarym kocem. Szarości są zupełnie w porządku jako przemyślny kontrast dla twojego wychudzonego bogactwa, jako wyszukana powściągliwość, ale tu, w szpitalu i na pogrzebowych salonach szarości to gówno, gówno, gówno — obnażają całą tę nędzę i biedę, brak życia i nadziei.

— Helen! — kwili moja matka. Jej patykowate ręce są opatulone prowizorycznymi opatrunkami. Schylam się i przytulam ją mocno. Vivienne pośpiesznie zwalnia mi miejsce, żebym mogła objąć mamę, która płacze w moich ramionach. Kołyszę ją jak dziecko.

— Mamuś, obiecaj mi, że już nigdy, nigdy, straszne, tata by się wściekł, wiesz, że jestem przy tobie, co ja bym zrobiła? Już dobrze, zaopiekuję się tobą.

Może to nie jest specjalnie spójne zdanie, ale moja mama doskonale chwyta jego sens i kiwa głową, pociąga nosem i wtula się mocniej w moje ramiona. Ponad jej głową spoglądam na Vivienne, która — jak się domyślam — marzy już tylko o marlboro light. Pokazuję jej oczami wyjście. „Zaraz do ciebie przyjdę”, mówię jej bezgłośnie. Owija się swoim pomarańczowym futrem, uśmiecha nerwowo i wybiega chwiejnym krokiem.

Serce mi się kraje, gdy mama rozpacza, a palcami chwyta się kurczowo moich kolan. Czekam i czekam, tulę ją i tulę, aż wreszcie płacz ustaje i staram się nie myśleć o tym, że mogłam tego wszystkiego uniknąć, po prostu spotykając się z Tomem w czwartek. Potem mówię te wszystkie rozsądne rzeczy, typu: „Jak długo już tu jesteś?”, „Chcesz się napić czegoś ciepłego?” i „Czy bardzo cię boli?”. Mama odpowiada kolejno: „Całe wieki”, „Już piłam” i „Nie, nie bardzo”. Gdy zaczynam podejrzewać, że to koniec łoż, pytam ją, czy pozwoli mi teraz poszukać Vivienne.

— Dla niej to też musiał być szok — stwierdzam ponuro.

Mama kiwa głową w milczeniu i wpatruje się w podłogę.

— Wróć za sekundkę — mówię. — A ty zostań tutaj i nie waż się ruszyć. Obiecujesz z ręką na serduszku?

Mama rozpoznaje słowa, którymi wymuszałam na niej sma-kołyki, gdy miałam pięć lat i gdy jeszcze byliśmy rodziną. Uśmiecha się smutno i odpowiada:

— Z ręką na serduszku.

Całuję ją w czoło i biegnę po Vivienne.

Vivienne siedzi na ławce i zapala pewnie z czterdziestego dzisiaj papierosa. Powoli, z namaszczaniem wypuszcza dym nosem i mówi:

— Wiedziała, że przyjadę do niej koło wpół do piątej, po szkole i po mojej lekcji włoskiego. Miałyśmy iść na kawę. O Boże! To było straszne. Myślę, że zrobiła to chwilę wcześniej. — Szkarłatne usta Vivienne drżą. — Zadzwoiłam do drzwi, a ona nie otwierała. Zadzwoiłam jeszcze raz. Nie otwierała. Pomyślałam, że pewnie ją coś zatrzymało w szkole. Już miałam się od-

wrócić i pójść do samochodu, kiedy otworzyła drzwi. Wyglądała tak słabo i taka była blada jak... jakaś Szkotka! — Vivienne jest tak zaaferowana, że nie zauważa mojego zdumienia jej niefrasobliwymi uprzedzeniami i ciągnie: — Wyciągnęła ręce przed siebie, powiedziała: „Zobacz, co ja narobiłam”, i wybuchła płaczem. To było koszmarne. Miała dość tępą żyłkę. Cięła nią wte i wewte, ale, dzięki Bogu, niezbyt głęboko. Miała masę zadrapań i ślady krwi. Byłam przerażona, Helen, mało nie zemdlałam na miejscu. Wydawało mi się przecież, że już z nią wszystko w porządku. Była taka cichutka, ale wydawało mi się, że już w porządku. Znowu w pracy, zajęta dziećmi, zarządzająca pieniędzmi twojego ojca... nie do wiary! Cecelia! Ja, ja bym w życiu nie pomyślała, no w życiu, że ona może zrobić coś takiego. To już, ile, pięć, sześć miesięcy? Myślałam, byłam pewna, że już powinna była dojść do siebie... nie powinna była? Sama nie wiem...

Vivienne, która bardziej mówiła do siebie niż do mnie, spogląda na mnie i milknie. Nie krzyczę na nią, choć mam ochotę. Choć w tej chwili po prostu mam ochotę, pod jakimkolwiek pretekstem, nawrzeszczeć na kogokolwiek. Gdyby przechadzał się tu Johnny Depp i przypadkiem nadepnął mi na stopę, zabiłabym go — bez względu na to, czy miałby uroczy, wypiełgnowany dwudniowy zarost czy nie, zmieniłby się w bezkształtną miazgę!

Ale wobec Vivienne zachowuję spokój i opanowanym głosem mówię:

— Vivienne, ja, ja, no wiesz, dzięki Bogu, że ją znalazłaś, ty, ja, nie, tak myślę, pięć miesięcy, może to się wydaje, że całe wieki, może, tobie, ale nie jej, i, znaczy, mnie też nie; dla nas to mniej niż kilka minut. Ja, też, głupia, myślałam, że ona, no, że już dochodzi do siebie, ale to, no, nie było w porządku. Nadal nie jest sobą. Nie wiem, ile czasu musi upłynąć. Ale dużo. Może nauczy się z tym żyć. Mam nadzieję. Ale, przepraszam, plotę trzy po trzy, mów dalej.

Vivienne znów się zaciaga. Wsysa papierosa tak mocno, że prawie wpada jej do gardła.

— Zabrałam ją do kuchni i owinęłam jej ręce w mokre ściereczki do naczyń. I przywiozłam tutaj. Mówiła, że zrobiła to w łazience i że „straciła dużo krwi”, więc pobiegłam na górę, żeby sprawdzić, ale nie wyglądało tak źle... nie widziałam żadnej krwi... nie znam się na tym, a ona rozłożyła ręczniki, chyba żeby nie pobrudzić dywanu, ale nie było na nich krwi, więc pobiegłam na dół i zadzwoniłam po karetkę, a oni, to niesamowite, kazali mi ją przywieźć! Złożę skargę do parlamentu! Albo nie wiem gdzie... Więc przywiozłam ją tutaj, a oni powiedzieli, że — pociągnięcie nosem — że to była próba samobójcza, ale z tego, co ona mówiła, wywnioskowali, że to było raczej wołanie o pomoc, a nie prawdziwa próba, no wiesz, więc zawinęli ją „na razie” w te bandaże, ale, ale, co mnie uderzyło, to, że jak ją spytali, dlaczego to zrobiła, powiedziała, powiedziała...

Vivienne, którą o łzy podejrzewałabym jedynie w sytuacji, gdy na przykład firmowy sklep Gucci na Sloane Street zostałyby zmyty z powierzchni ziemi podczas jakiejś szalonej burzy, pociąga nosem i ociera kąciki oczu opuszkami palców.

— Co powiedziała? — pytam szeptem.

Vivienne przełyka z trudem i kończy:

— Twoja matka powiedziała: „Nie ma sensu. Nie bez Morriego”. Powiedziała: „Świat się kręci, a ja nie widzę sensu”. O Helen! Nie zdawałam sobie przedtem sprawy z tego, jak bardzo ona go kochała.

Poklepuję trzęsącą się dłoń Vivienne i myślę sobie w duchu (podle), że jest dlatego tak zdenerwowana tą sytuacją, bo gdyby to jej mąż odszedł z tego świata, Vivienne otworzyłaby szampana Bollingera, wychodząc z założenia, że mąż nie chciałby, by pograżała się w rozpacz, i z jeszcze większym entuzjazmem, niż robi to aktualnie, kontynuowałaby swoje polowania na łatwowiernych młodzieńców. Ale kręcę głową i wzdycham:

— Ja też nie.

Jednak po cichu zastanawiam się, do jakiego stopnia dzisiejszy dramat jest wynikiem rozpaczki mojej matki z powodu mojego ojca, a do jakiego stopnia użalaniem się nad samą sobą.

Wracamy do mamy. Usnęła na swoim twardym, pomarańczowym krzeselku. Wygląda, jakby miała dziesięć lat.

Siedzimy i czekamy, aż nas zawołają, gdy nagle sobie przypominam. Tom! Moja randka z Tomem! cholera. Wielka tabliczka zabrania używania komórek na terenie szpitala, więc łapię swoją i lecę znowu na zewnątrz. Jest 18.37. Dzwonię do Megaweterynarza i — na moją rodzinę rzucono klątwę czy co? — odbiera Celine. Już pora na kolację i dziś serwujemy czarną polewkę.

— Celine — mówię najbardziej czarującym głosem, na jaki mnie stać. — Mówi Helen Bradshaw, ta, która...

— Wiem, kim pani jest — przerywa mi ostro Celine. Krowa.

— Czy zastałam Toma? — pytam.

— Jest zajęty — rzuca Celine. Postanawiam nie dostać szału, bo ona właśnie tego chce. Decyduję się na grę w otwarte karty.

— Celine. Byłam umówiona z Tomem dziś wieczorem, ale nie mogę się z nim spotkać, bo moja mama jest w szpitalu, nagły wypadek, to dość poważne, muszę być przy niej. Byłabym bardzo wdzięczna, gdyby mogła pani przekazać tę wiadomość Tomowi. — Ty zgorzkniała suko, dodaję w myślach.

Jestem niezmiernie zdziwiona i wdzięczna, gdy Celine objawia odrobinę ludzkich uczuć i mówi poważnym tonem:

— Przykro mi bardzo. Oczywiście, że przekażę Tomowi. Proszę zająć się matką i w ogóle już się tym nie martwić.

Jestem w szoku.

— To bardzo miłe z pani strony, Celine — mówię.

— Nie ma sprawy — odpowiada ona.

Rozłączam się. O kurka! Czymże ja sobie na to zasłużyłam? Może znalazła jakiegoś kawalera dla Nancy —jakiegoś zamożnego mercedesa o imieniu Charles z metalowymi obręczami i skórzanymi wykończeniami. Raczej jest po prostu szczęśliwa, że moja rodzinna tragedia przeszkodziła mi w randce z jej ukochanym szefem. Wracam pędem na oddział. Moja matka już się obudziła i narzeka, że ją „bola ręce”. Niemożliwe! Gryzę się w język, żeby nie palnąć jakiegoś głupstwa.

Całe wieki później wywołano nazwisko mojej matki, a następnie ona, Vivienne i ja zostałyśmy wyprowadzone z zapomnianej przez Boga i ludzi poczekalni do czegoś, co wygląda jak jakiś korytarz podzielony na małe kabinki.

— Przyniosłyście swoje kostiumy kąpielowe — żartuję nie-mrawo, ale moja mama się nie śmieje. Dyżurujący psychiatra, który ma pod oczami głębokie, purpurowe cienie i wygląda jak po bitwie, spogląda poważnie i odnoszę wrażenie, że uważa mnie za idiotkę. Przybieram potulny wyraz twarzy i milknę. Nie mieścimy się wszystkie razem w kabinie wielkości kartonu po butach, więc Vivienne proponuje, że poczeka na zewnątrz.

Nie mam do niej żalu. W kartonie po lewej stronie jakiś mężczyzna wrzeszczy wniebogłosy, a w kartonie po prawej płacze jakaś kobieta. Jak miło. Rzucam nerwowe spojrzenie na mamę, oczekując jakichś oznak psychicznej niestabilności, ale mama siedzi cichutko na krześle w kabinie i pozwala pielęgniarce prze-mywać swoje rany. Może potrzebuję mocniejszych okularów, bo muszę bardzo mrużyć oczy, żeby w ogóle zobaczyć nacięcia.

— To sól fizjologiczna, więc może troszkę brzydko pachnieć, ale tylko troszkę — mówi pielęgniarka uprzejmie. Moja mama kiwa głową. Jest dziwnie jak na nią potulna, gdy pielęgniarka owija jej ręce olbrzymim lepkim plastrem i cieniutkim bandażem, i milczy, nawet gdy dostaje zastrzyk przeciwtężcowy.

— Tylko tak na wszelki wypadek — mówi pielęgniarka pogodnie. Uśmiecham się do niej z wdzięcznością. Gdy tylko wychodzi. Podły Gliniarz — zwany też doktorem Nathanem Colinsem, jeśli wierzyć jego plakietce — zaczyna przesłuchanie.

Jak ostatnio mama spała? Czy miała apetyt? Czy miała problemy z koncentracją? Czy miała myśli o tym, żeby dołączyć do ukochanego? Myśli o tym, że chce zasnąć i już się nie obudzić? Czemu to zrobiła? Czy kiedykolwiek robiła już coś takiego? Czy to był nagły impuls? Czy napisała list pożegnalny? Czy chciałyby nie żyć? Czy chciała, żeby ją znaleziono? Co zamierzała w ten sposób osiągnąć? Czego chce? Czy kiedyś już chciała popełnić samobójstwo? Czy kiedykolwiek przedawkowała cokol-

wiek? Czy kiedykolwiek próbowała się okaleczyć? Czy ma zwiady? Czy słyszy głosy? Czy ma jakąś grupę wsparcia, przyjaciół?

Mam już dość tych beczelnych, wścibskich pytań. Aż się trzęsę, gdy czekam na kolejne odpowiedzi i jestem prawie pewna, że mama w końcu się załamie i wybiegnie z tego kartonu po butach. Ale nie wybiega. Łzy płyną jej po policzkach, ale odpowiada. Ściskam jej dłoń i wpatruję się we własne stopy. A ona opowiada doktorowi, że spała dużo, ale jadła mało (m a ł o! — myślę sobie — schrupałyśmy całą biblię gotowania Prue Leith i to dwukrotnie!), że miała problemy z koncentracją, ale nie myślała, by dołączyć do ukochanego, raczej, by już się nie obudzić, i że zrobiła to, bo Morrie nie żyje, a ona tak za nim tęskni, że nie może oddychać, i nikt jej nie rozumie, i wszyscy myślą, że ona musi żyć jak dawniej, ale ona nie potrafi, nie da rady, to ją przeraża; myślała, że już jest lepiej, ale nieprawda, jest coraz gorzej i zupełnie odchodzi od zmysłów. Nie, nie robiła czegoś takiego nigdy przedtem. Tak, to był taki nagły impuls. Chciała tylko, żeby wszyscy wreszcie „otrzeźwieli”. Nie, nie napisała listu. Właściwie tak naprawdę nie chce umierać — chce tylko, żeby żył Maurice. Tak, chciała, żeby ją znaleziono. Żeby ludzie zrozumieli. Nie. Nie. Nie. Chyba nie, choć każdego wieczoru rozmawia z Maurice'em, zanim pójdzie spać, tylko tak chwilkę, naprawdę, wczoraj na przykład, bo wyszedł nowy Tom Clancy, a Maurice musiałby to przeczytać, więc obiecała, że mu poczyta. Nie, nie widziała go, ale czuła jego obecność. Tylko taka pogawędka, naprawdę nic więcej. Czasami wydaje jej się, że widzi go na ulicy, ale zawsze okazuje się, że to jakiś nieznajomy.

Nawiasem mówiąc, jest to wersja skrócona i poprawiona, bo mama bełkocze bez składu i ładu, każda jej odpowiedź jest dłuższa niż Biblia, aż wreszcie doktor Collins rzuca: „Proszę odpowiadać tylko tak albo nie!”.

Przygląda jej się uważnie i mówi:

— Pani Bradshaw. Przeżyła pani śmierć najbliższej pani osoby. Ból spowodowany taką stratą jest zawsze znacznie gorszy, niż jesteśmy w stanie to sobie wyobrazić. I ma pani rację: ludzie

nie rozumieją. Jest im ciężko, gdy widzą, jak pani cierpi. Nie rozumieją też, że to cierpienie jest po prostu etapem procesu żałoby i że bez niego pani nie wyzdrowieje. Pięć miesięcy to jest nic! Dojście do siebie po utracie ukochanej osoby może zająć nawet dwadzieścia lat. Pani reakcja nie jest wcale szalona, jest zupełnie normalna. To rozumiały, że teraz ból uderza z wielką siłą. W pierwszym okresie była pani jeszcze w szoku. To sposób, w jaki pani ciało dba o panią. Nie zdołałaby pani od razu udźwignąć całej tej rozpacz. Wciąż ma pani poczucie, że pani mąż jest przy pani i to podnosi panią na duchu. Ale teraz uświadomiła pani sobie, że on już nie wróci. A to jest, proszę pani, prawdziwy koszmar.

Moja matka wpatruje się w doktora Collinsa z trwogą, jakby był wyrocznią, potem zarzuca swoje chude ramionka na moją szyję i rozpaczliwie łąka w mój sweter. Doktor Collins kiwa głową w moją stronę, jakby mówił: „Przejdzie przez to”. Jestem oszołomiona. Nie wiem, czy powinnam go pobić czy ucałować.

ROZDZIAŁ XIX

Zawsze źle znosiłam wszelkie pouczenia. Pewnego razu po niesamowicie olbrzymim obiedzie dostałam reprimendę od Jaspera, bo poradziłam mu, żeby „poluzował pasa”. (Dowiedziałam się, że powinnam była powiedzieć „popuszczać pasa”, bo tak ponoć brzmi ten związek frazeologiczny). Przez następną godzinę dąsałam się i czułam się pokrzywdzona. Po pięciu zrzędliwych: „Co się stało?”/ „Nic, nic”, przyznałam mu się, dlaczego się gniewam. Jasper wytłumaczył mi, że chciał tylko mnie uchronić, „żebym nie wyszła przy ludziach na tępą”, więc w końcu mu wybaczyłam. Ale tak w głębi duszy uraza pozostała. Moim zdaniem nawet konstruktywna krytyka, to i tak krytyka. To kamuflaż pouczenia.

Więc trudno mi było nie poczuć się urażoną, kiedy doktor Collins wziął mnie na stronę i powiedział, że moja matka „była ostatnio trochę zaniedbywana” oraz grzecznie, acz stanowczo zasugerował, że „byłoby dobrze rzucić na nią czasem okiem, a nawet uchem, do czasu gdy nie uda nam się zorganizować jakiejś pomocy dla mamy”. Ależ rzucałam na nią okiem, i uchem, i czym się da, protestowałam w duchu. O tyle, o ile to było możliwe. Mało nie musiałam zrezygnować ze swojej pracy i domu — bo z życia towarzyskiego już dawno zrezygnowałam — i śledziłam ją jak sędzia śledczy! Mam śledzić jej każdy ruch?

Jednak próbowałam przyjąć te uwagi ze spokojem. W głębi duszy wiedziałam, że zignorowałam jej ostatnie próby podzielenia się ze mną swoją rozpaczą — nie ma dla mnie usprawiedliwienia — więc złożenie obietnicy, że będę kontrolować jej każ-

dy ruch, było moim obowiązkiem. Co do tego ucha — domyślałam się, że doktor Collins chciał przez to powiedzieć, że mam słuchać tego, co ona mówi. Brrrr. Chowanie noży i nurofenu, śledzenie matki jak jakiś szaleniec to będzie czysta rozkosz w porównaniu z wysłuchiwaniami jej. Nie powiedziałam o tym doktorowi Collinsowi, ale nie cierpię słuchać tekstów mojej matki.

To żałosne, że muszę być świadkiem, któremu ujawnia wszystkie swoje emocje, jakby była moją kumpelą albo kimś w moim wieku, albo Amerykanką. Kiedy nawija o tych wszystkich uroczych rzeczach, jakie robił dla niej ojciec, że całował ją rano albo przygotowywał jej kąpiel wieczorem, czuję się, jakbym ich podglądała. Tylko że tak zupełnie do dupy, bo nawet nie wiem, gdzie podziąć wzrok. Może jestem pruderyjna, ale to wszystko wydaje mi się jakieś niewłaściwe. Jakbym — nie, żeby mi się to kiedykolwiek, dzięki Bogu, zdarzyło — podsłuchiwała rodziców, gdy się kochają. I, skoro już musicie wiedzieć, zazdroścę jej. To prawda, co powiedział doktor Collins, że ciężko mi jej słuchać. Bo widzę wtedy, jak bardzo cierpi. Ale także dlatego, że zaczynam się wówczas zastanawiać, co jest ze mną nie tak i co ze mnie za córka, skoro moje cierpienie jest tak cholernie niewydarzone, sporadyczne i o wiele płytsze niż jej.

Tak, mówię doktorowi Collinsowi, oczywiście, że będę miała na nią i oko, i ucho, i wszystko w ogóle, jak długo tylko będzie chciała.

Vivienne podrzuca nas do domu. Dziękuję jej, mówiąc, że była wspaniała, i macham na pożegnanie. Odjeżdża z prędkością 140 km na godzinę, ale nie winię jej za to. Mama jest dość przybita, więc nie zamykają mi się usta. Doktor Collins podał jej dwie tabletki przeciwdepresyjne, przepisał receptę, umówił z kolejnym lekarzem na za dwa tygodnie, a jutro zadzwoni do niej PPS. Kiedy doktor Collins uściślił, że dał jej prozac, moja mama aż się cofnęła. Musiał ją potem przekonywać, że nie wywoła on myśli samobójczych. Nie spodobało jej się też, że musi jeszcze odbyć wizytę u innego lekarza.

— Po co? — upierała się.

— Pani Bradshaw, to jest dla pani naprawdę bardzo ciężki okres. Potrzebuje pani pomocy, a ten lekarz będzie nadzorował pani leczenie.

Mama była tak zafascynowana swoimi biało-niebieskimi tabletkami w małej fiolece, że z wrażenia zapomniała spytać, co to jest PPS. Gdy podreptała pokazać Vivienne swoje łupy, ja poprosiłam o wyjaśnienie.

— Psychiatryczna Pielęgniarka Środowiskowa — wytłumażył mi doktor Collins.

Spojrzałam na niego z trwogą i zaczęłam wrzeszczeć:

— Ale ona nie jest chora umysłowo!

Doktor potarł swoje przekrwione oczy i przerażająco miękkim głosem powiedział:

— Moim zadaniem jest nie dopuścić do katastrofy. — Raczej chyba nie dopuścić do tego, żeby cię stąd wylali.

— Doktor Collins wygląda całkiem miło — stwierdzam wesoło, krzątając się po kuchni zupełnie bez sensu. — Więc pewnie będziesz musiała pojechać do szpitala za kilka tygodni. Może bym cię podwiozła? — dodałam, równie wesoło, nie mając nawet cienia nadziei, że powie nie.

— Nie — mówi mama, ku mojemu zdziwieniu.

— Na pewno? — pytam podejrzliwie i zastanawiam się, czy nie planuje dać dyla.

— Gdybym zamierzała powiedzieć tak, to bym powiedziała tak, prawda? — odszczekuje mi własna matka.

Spoglądam na jej zmęczoną twarz i zmieniam temat. Nagle cała się trzęsę i mam przemożną ochotę chwycić moją mamę obiema rękoma i wymusić na niej przysięgę. Chcę pisemnej gwarancji na to, że pozostanie żywa i wesoła przez najbliższe sześćdziesiąt lat. Tylko tego chcę, błagam. Bo inaczej, inaczej... Nie chcę żyć jak mróweczka, drepcząca co dzień i dźwigająca swój ciężar, aż nastaje dzień, dzień jak co dzień, i zgniała mnie czarny but losu zupełnie bez sensu i na oślep. Aż mi niedobrze na samą myśl o przypadkowości natury. Panuje w niej mniej więcej taki porządek jak u mnie w szufladzie z bielizną.

— Mamuś — wybucham, łapiąc ją za rękę.

— Tak? — pyta.

Chcę powiedzieć, że się boję, że tak się cholernie boję, że umieram ze strachu, ale nie umiem. Więc mówię tylko:

— Czemu do mnie nie zadzwoniłaś?

— Byłaś zajęta — odpowiada krótko.

Jestem bezradna. Chce mi się wyć. Chcę do taty. Gdyby tu był, doprowadziłby ją do porządku. Chcę odzyskać kontrolę. Nienawidzę, gdy mi się wszystko wymyka. Może powinnam zrobić listę zadań? Zrobię sobie listę zadań do wykonania. Robię listę zadań.

Lista zadań

1. Opiekować się mamą — aż do odwołania — może także w czwartki?

2. Pojechać do domu po ubrania i szczoteczkę do zębów.

3. Zadzwonić do Laetitii.

4. Zadzwonić do pani Armstrong.

5. Poprosić Luke'a, żeby nakarmił Fatboya.

6. Zadzwonić do Toma, żeby go jeszcze raz przeprosić.

7. Zadzwonić do Lizzy po wsparcie duchowe.

8. Wysłuchiwać mamy, gdy mówi.

Boję się zostawić mamę samą, więc proszę, żeby pojechała ze mną do mieszkania po rzeczy. Jestem pełna obaw co do prowadzenia jej peugeota 206 — nigdy przecież nie prowadziłam samochodu, którego bym się nie wstydziła — ale nie mam zamiaru wydać już ani grosza więcej na taksówki.

— Na pewno z chęcią zobaczysz znów Luke'a, prawda, mamo? — mówię zachęcająco. Nie wspominam o Fatboyu, bo — jako że oboje są hałaśliwi, egoistyczni i zawsze chcą być w centrum zainteresowania — nie znoszą się nawzajem.

Nim wychodzimy z domu, sugeruję jej, żeby „się troszkę odświeżyła”, co oznacza: „przebierz się w coś z długimi rękawami, żeby ludzie nie widzieli, że właśnie próbowałam się wykończyć”.

Wybieram zielony sweterek, który matka wdziewa posłusznie i wyruszamy. Pierwsze, co słyszymy, gdy przestępujemy mój próg, to bynajmniej nie Fatboy domagający się posiłku, nie Luke śpiewający *Verve* — i bez wątpienia udający w swoim pokoju, że gra na gitarze. Pierwsze, co słyszymy, to odgłosy dochodzące z pokoju Marcusa, które brzmią mniej więcej tak: „Aaach! Aaa! Aaa!” i „Och! Ooch! Ooch! O! Boże!”. No rzeczywiście — o Boże! Zapraszam mamę do swojego mieszkania po raz pierwszy od jakiegoś roku — zawsze podejrzewałam, że to może być dla niej przygnębiające przeżycie — i oto odkrywa, że mieszkam w burdelu.

I w ten sposób aż za dobrze uświadamia sobie, po raz kolejny zresztą, że jej mąż nie żyje, a wszyscy tańczą i bzykają się na jego grobie (że tak powiem). Przekleści niech będą Marcus z Michelle, że wybrali akurat ten moment na swoje ryki w ruinie. A załóżę się, że prawie w ogóle nie uprawiają seksu! Marcus nie ma niezbędnego do tej czynności osprzętu, a Michelle nie cierpi tarcia. Nie bez powodu spotykała się z Sammym przez pięć lat.

Staram się mówić głośno i bez przerwy, żeby zagłuszyć okrzyki udawanego orgazmu Michelle.

— Mamuś, chodź, siadź tu w salonie i włącz sobie telewizor może jest akurat coś ciekawego a może chciałybyś się napić herbaty wstawię wodę tak czy siak a może wolałybyś raczej posłuchać radia w kuchni tak chodź do kuchni i włączmy radio o patrz jest i Luke; Luke pamiętasz moją mamę prawda; tak mamu pamiętasz jaki Luke był kochany w szpitalu ostatnim razem i przecież to on właśnie tak się wygłupiał wesoło z tym sernikiem w torbie Lizzy na ostatniej kolacji u ciebie; ach Luke, czy byłbyś tak okropnie miły i nakarmiłbyś Fatboya jutro rano, bo zostaję u mamy na noc a może i do końca tygodnia?

Przerywam na chwilę, żeby złapać oddech. Luke i mama patrzą na mnie jak na wariatkę.

— Wszystko w porządku? — pyta Luke.

— Jasne, jasne — mówię, kciukiem wskazuję pokój Marcusa i robię grymas odrazy.

— A, no tak — zgadza się ze mną Luke. — Marcus i ta twoja przyjaciółka się pieprzą. Już tak wariują jak te króliczki od jakichś, bo ja wiem, dziesięciu minut. Normalnie nie słyszę własnych myśli.

Hurrra! Wielki Luke Taktowny znów strzela gafę. Rzucam mu wymowne spojrzenie.

— Przepraszam, mamu. Luke tak tylko żartuje — mówię i czekam na oberwanie chmury.

Ale mama zaczyna chichotać.

— Helen! Nie bądź taki sztywniak! Przecież wiem, co to jest seks! Też się kiedyś kochałam! — poucza mnie jowialnie i protekcyjnie, po czym rzuca zakłopotane spojrzenie na Luke'a, żeby podkreślić, że tylko ona i on są tu naprawdę dorośli, a ja jestem malutkim głuptaskiem, który nie umie nawet powiedzieć słowa „tyłek”. Już zdążyłam zapomnieć, jak ona się zmienia w kokieterijnego Judasza, gdy tylko na horyzoncie pojawia się mężczyzna, który przekroczył dwunasty rok życia.

— Dobra, skoro wam to nie przeszkadza, to mi też nie — mruzcę chmurnie, gdy Luke i mama śmieją się ze mnie. Zdrajcy. — Więc co? Nakarmisz Fatboya — pytam Luke'a, żeby odzyskać resztki godności.

— Z przyjemnością— odpowiada. — Fatboy to równy gość. Uśmiecham się i dogryzam mu:

— No jasne, macie podobne nawyki, jeśli chodzi o higienę!

Fatboy, wbrew kocim obyczajom, nie przepada za myciem się. Zawsze pachnie — jak ujmuje to Tina — „dość szczególnie”. A Luke? Cóż, ma taki stosunek do kąpieli jak wampiry do czosnku.

Oczekuję, że Luke wybuchnie śmiechem, ale nie robi tego.

— Dzięki — mówi lodowatym tonem.

— Żartowałam! — bąkam.

— To nie był miły żart — zauważa moja mama, którą uduszę, jeśli podzieli się z nami jeszcze jedną swoją opinią. Poddaje się.

— Przepraszam, nie chciałam cię urazić — mówię obrażona.

— Muszę wykonać kilka telefonów — dodaję i wychodzę do salonu. Luke i mama już sobie paplają w najlepsze i ignorują mnie zupełnie. No nie do uwierzenia!

Mruga światółko automatycznej sekretarki. Może Tom? Od słuchuję. „Helen, mówi Laetitia. Dzwonię sprawdzić, czy wszystko w porządku i przypomnieć ci o jutrzejszym spotkaniu. O wpół do dziesiątej i ani minuty później. Omawiamy ten dodatek pt. *Jak się szybko wzbogacić*. Potrzebuję masy pomysłów i liczę na ciebie!“. Czyli w języku Laetitia znaczy to: „Guzik mnie obchodzi, czy wykitowała już cała rodzina, bo płacę ci (i to suto) za to, żebyś była moją służącą, więc albo jesteś jutro, albo jesteś na bezrobociu!“. Nie muszę chyba tłumaczyć, że nie mam pojęcia, co napisać w tym dodatku — jestem najbiedniejszą osobą w całym biurze. Dziewczyna, która jest u nas na stażu, zarabia więcej niż ja. Skąd ja mam wiedzieć, jak się szybko wzbogacić?

Choć właściwie mam pewien pomysł: Poczekaj, aż twój tatuś odwali kitę — sprawdzony sposób! Ojej, Michelle znów by powiedziała, że jestem zawzięta. Uspokój się, Helen. Oddycham głęboko i przypominam sobie moją listę. Zadzwoń do Toma. Nerwowo kartkuję mój notatnik, żeby znaleźć jego numer. Dzwonię i wstrzymuję oddech.

— Halo?

— Tom — piszczę. — Tu Helen! Tak bardzo cię przepraszam!

Cisza.

— I jaka wymówka tym razem? — pyta chłodno. Co? Jestem przerażona.

— Znaczy, znaczy chcesz powiedzieć... — Zatyka mnie z oburzenia, co za szchwana, nadużywająca konturówki wiedźma! — Chcesz powiedzieć, że Celine ci nie przekazała mojej wiadomości?

Cisza.

— Więc nawet pofatygowałaś się i zostawiłaś mi wiadomość.

Czy wpadam w paranoję, czy wszyscy ludzie mnie nienawidzą?

— Tak, zostawiłam. Dzwoniłam, żeby ci powiedzieć, że mo-

ja mama próbowała podciąć sobie żyły i musiałam lecieć do niej do szpitala. — Uwierz mi, Królu Śniegu! Na szczęście ta strategia daje pożądane efekty.

— Jasna cholera, Helen, to straszne! Boże, okropnie cię przepraszam! Czy ona... ee... co z nią? I jak ty się czujesz?

Odpowiadam pojednawczym tonem kogoś, kto ma druzgocącą przewagę moralną:

— Z mamą wszystko w porządku. — I mam ochotę dodać: „Ale była o włos”. (A — słyszałam, jak ktoś tak mówił w *Na sygnale*; B — mam ochotę go ukarać za to, że był dla mnie niemiły). Powstrzymuję się jednak. Bo po pierwsze, to byłoby kłamstwo, a po drugie, byłabym tylko marionetką w dłoniach o zbyt pomalowanych paznokciach pewnej Celine.

— A jak ty się czujesz? — pyta jeszcze raz Tom.

Najpierw kiwam głową, a potem zduszonym szeptem kłamię:

— W porządku.

Nie mogę mu powiedzieć prawdy — że paraliżuje mnie strach i że zaczynam się poważnie zastanawiać nad tym, czy nie powinnam zamknąć mamy w pudełku wyściełanym gąbką i trzymać tuż przy moim łóżku, żeby zapobiec ewentualnym wypadkom śmiertelnym. Więc krwawą historię streszczam do minimum, opuszczając wszelkie drastyczne momenty, za to obszernie opowiadam mu o moim telefonie do Megaweterynarza.

— Okłamała mnie w żywe oczy! — krzyczę i zanim zdołam się powstrzymać, dodaje: — Wiesz, że to wszystko dlatego, że się jej podobasz!

I od razu zaczynam tego żałować. Czemu w ogóle od razu nie krzyknąć: „Podobasz mi się, wiesz?!”. Bo w końcu wychodzi na to samo.

— Myślisz? — mówi Tom z zakłopotaniem.

Drań!

— No jasne — odpowiadam uroczym, zalotnym, śpiewnym głosem — przecież strzeże cię jak hiena padliny z antylopy.

Hm. To może nie wyszło mi najlepiej. Ale najwyraźniej Tomowi wrócił już dobry humor, bo mówi tylko szyderczo:

— Pochlebiasz mi.

Chichoczę i mówię:

— Przykro mi, że nie udało nam się spotkać.

Naprawdę jest mi przykro. Boję się też, że — jako że to już drugi raz, gdy wszystko chrzanię — trzecia propozycja może wcale nie nastąpić. Czy odważę się zaproponować mu randkę? Przecież nie proszę go o pożyczenie mi pieniędzy. Lizzy nie bałaby się zaprosić faceta. Czemu jestem kobietą z zasadami?

— Czy nie chciałbyś, czy może miałbyś chwilę w tym tygodniu, albo w następnym może? — wyrzucam z siebie, sprytnie przedstawiając sprawę tak, jakby moje życie było otchłanią pozabawioną wszelkich przyjaciół.

— Jasne — mówi Tom. — Ale spotkajmy się może lepiej w przyszłym tygodniu? Jak już się wszystko trochę uspokoi.

Umawiamy się na wtorek.

Odkładam słuchawkę i od razu zaczynam analizować całą rozmowę jak jakiś beznadziejny psychoterapeuta. Czy wybierając raczej przyszyły tydzień, a nie ten, chciał mi dać do zrozumienia, że jestem samolubna? Że nie dbam o moją biedną matkę? (Która, gdy tak rozmyślam, właśnie ryczy ze śmiechu w kuchni). Czy to znaczy, że on już mnie nie lubi? Wprawdzie tego nie powiedział, a przynajmniej nie powiedział tego ś w i a d o m i e. No i wtorek — wyśmienity dzień na wymówki w stylu: „jutro praca, trzeba wstać wcześniej”, i zmycie się o 22.00. Czy to znaczy, że Tom...?

Starczy. Starczy, ty idiotko. Gdy tylko tobie zaczniesz zależeć, jemu przestanie. Potrząsam mocno głową, żeby podkreślić, jak pozbywam się wszelkiego „zależy mi”, i dzwonię do Lizzy. Podnosi słuchawkę, a ja w tle słyszę coś, co brzmi podejrzenie jak zawrośnięcie mnichów. Więc zanim informuję moją przyjaciółkę, że jedyny rodzic, jaki mi się ostał, nie znajduje się* aktualnie w żadnym śmiertelnym niebezpieczeństwie, poruszam bardziej palącą kwestię:

— Czego ty, do cholery, słuchasz?

Puszcza moje pytanie mimo uszu.

— Co z twoją mamą? — pyta, więc jej mówię. W końcu

przyznaje się, że jej płyta CD nosi tytuł *Gregorian Moods* i że mi przegra, jeśli chcę.

— Nie, dzięki — mówię.

— Ale może twoja mama by chciała?

Milknę na chwilę. Z zasady automatycznie klasyfikuje wszelkie uduchowione, monotonne, uzdrawiające, przegryzane fasolą i przechowywane w wiklinowych koszach cuda Lizzy za bania-luki. Z zasady. Jednak ze wszystkich sił pragnę pomóc mamie, a jakoś nie widzę jej zwierającej się jakiemuś psychiatrze. Na-prawdę nie widzę. Ona wybrała m n i e na swojego psychiatrę. Spotka się raz z tą pielęgniarką, żeby zadowolić doktora Collin-sa, ale to będzie na tyle. Mama nie chce rozmów z nieznanomy-mi. Nie chce, żeby wysłuchiwał jej ktoś, komu za to płacą. Chce, żeby rozmawiał z nią ktoś, komu na niej zależy. Wszystko to jest wysoce niewygodne, a przyda mi się każda pomoc.

— Dam ci pieniądze za kasetę — mówię Lizzy, bo nie umiem się zmusić do powiedzenia na głos: „Ależ byłabym zachwycona, gdybyś przegrała mi *Gregorian Moods*”.

— Nie mogę się doczekać, jak powiem Tinie — woła u-szcześnieśliwiona Lizzy.

— Jedno słówko i już po roślince feng shui — odpowiadam jej słodko.

Ratuję Luke'a od mamy i podążamy w stronę drzwi wyjścio-wych, gdy nagle z pokoju wyłania się Marcus. Ma na sobie tylko malutki, biały ręczniczek owinięty wokół jego szczupłej talii. Na widok dorosłej osoby robi się błądy.

— Cześć — mamrocze. — Właśnie... ee... wyszedłem spod prysznicza.

Mama rzuca mu tak pożądlive spojrzenie jak, wstyd powie-dzieć, ptak obserwujący utuczonego robaczka.

— Tak, słyszeliśmy — krzyczę beztrzesko, wypychając za drzwi mamę wpatrzoną w Marcusa. — Piętnastominutowy prysz-nic! To swoisty rekord, nie?

Wspomnienie jego wściekłego milczenia sprawia, że uśmie-
cham się do siebie przez całą drogę do samochodu.

ROZDZIAŁ XX

Kiedy zaczynałam pracę w „Girltime”, cierpiałam na dolegliwość zwaną telefobią. Dobra, telepietrem, ale telefobia to brzmi bardziej jak syndrom, a nie jak zwykła wymówka. Jednakże za każdym razem, gdy miałam do kogoś zadzwonić, przekładałam to na potem i przekładałam, aż nagle była już 18.00 i osoba, z którą miałam rozmawiać, dawno wyszła z biura. Moja choroba trwała około trzech dni, bo potem wybiła mi ją z głowy Laetitia. Jednakże wirus został jedynie zastraszony, ale nie pokonany, dziś rano zadzwoniłam bowiem do szefowej mojej mamy o godzinie siódmej rano, żeby powiedzieć jej o małym pogorszeniu stanu zdrowia mamy, ułożenie odpowiedniej kwestii zajęło mi czas między 3.13 a 4.36, a przez kolejne czterdzieści pięć minut zbierałam się na odwagę, by wykręcić numer (podnosić i odkładać słuchawkę zaczęłam już o 6.17 rano).

Pani Armstrong uznała za stosowne najpierw wyrazić swój niepokój o zdrowie mojej matki:

— To straszne... odpoczynek i powrót do zdrowia... proszę życzyć szybkiego powrotu do zdrowia... żeby wreszcie doszła do siebie.

Jednak głębszy prąd kończącej się cierpliwości i nie dającego spokoju poczucia winy rychło wypłynął na powierzchnię, błagając o pokutę.

Jakoś tak w zeszłym tygodniu, jak się okazało, pani Armstrong miała z Cecelią „króciutką rozmowę” na temat „organizacji”. Bynajmniej nie była to nagana, nie, nie, tylko takie przypomnienie.

że już zbliża się nieuchronnie koncert bożonarodzeniowy i że prace nad programem, próbami, kostiumami, scenariuszem i harmonogramem powinny być w toku. Pani Armstrong ma nadzieję, że Cecelia nie odebrała tej drobnej sugestii jako zniewagi. Cecelia to wspańska nauczyciel, prawdziwa profesjonalistka. Tylko że kiedy któryś z pracowników nie pracuje na pełnych obrotach, to ciężar... nie, to złe słowo... znaczy, to odbija się na wszystkich pozostałych.

Upewniłam panią Armstrong, że to na pewno nie jej „króciutka rozmowa” pchnęła mamę do podcięcia sobie żył, choć w duchu jestem pewna, że owszem, cholera, to ona ją pchnęła. Powiedziałam pani Armstrong, że poinformuję ją o przybliżonej dacie powrotu mamy do pracy (znowu) po konsultacji ze szpitalem. Ale z mistrzowskiej odpowiedzi pani Armstrong — „Jest nam łatwiej zaplanować wszystko, gdy wiemy, że kogoś nie będzie nawet przez dłuższy okres, niż gdy oczekujemy, że będzie, a on się nie zjawia” — wywnioskowałam, że pani Armstrong wolałaby jednak współpracować z kimś innym chociaż do świąt. Dla dobra jej własnego zdrowia psychicznego, jeśli nie dla budżetu.

O 8.30 — po długim, gorącym prysznicu, pod którym najchętniej zostałabym do końca moich dni — obudziłam mamę z filiżanką herbaty w dłoni. I nie cisnęłam w nią tą filiżanką. Przeciera oczy, przygląda się dwa razy swoim obandażowanym rękom i powoli, ostrożnie siada na łóżku.

— Jak się czujesz? — pytam.

— Nie wiem — mówi mama beznamiętnie. Cholera jasna.

— Mamusiu, muszę w ciągu trzech minut wyjść do pracy, albo mnie wyleją. Ale rozmawiałam z panią Armstrong. Przesłała ci pozdrowienia i mówi, że nie musisz się bynajmniej śpieszyć z powrotem do szkoły, do czasu aż będziesz „zdrowa jak rybka”. Więc jakie masz plany na dzisiaj? Może zadzwonię do Vivienne i zaproszę ją tutaj? Może spotkamy się na lunchu? Co wolisz?

Moja mama krzywi się i stwierdza:

— We wtorki Vivienne ma lekcje batiku.

Zaczynam wpadać w panikę. Nie mogę jej jeszcze zostawić samej — żeby się tu tułała bezsensownie jak kwiat bez korzeni. Przed nią ziele przepaść dnia ciągnącego się bez końca. A jak jej znowu coś strzeli do głowy? W moim umyśle zaczyna się krystalizować bardzo niemiły pomysł. Nie chcę o nim mówić. Wolałabym go zignorować. Niechby w ogóle zniknął. Niestety jest 8.33 i mam dokładnie zero minut na wymyślanie jakiegokolwiek alternatywy.

— Mamusiu — rzucam. — Wiem, że nie widujecie się zbyt często, ale może zadzwonię po babcię Flo.

Sam uroczy dźwięk jej imienia powoduje w moim żołądku skurcz wyrzutów sumienia. Prawda jest taka, że od pogrzebu rozmawiałam z nią dwa razy. Po raz pierwszy, gdy odkryłam, że mama zmieniała się w pannę Havisham. Doszło wtedy do mnie, że z tego, co wiem, mogę wnioskować, że moja babcia musiała się zmienić w Dartha Vadera i że jest moim obowiązkiem to sprawdzić. Potok nagrywających się bez końca mętnych wiadomości wzmógł mój niepokój. Cztery dni zajęła mi walka z telefonami. Gdy wytłumaczyłam babci, że moja matka nie odpowiada na żadne telefony, bo — jak wyraził się jej lekarz pierwszego kontaktu — „tak cierpi, że zapadła na depresję”, babcia Flo nic nie powiedziała. Po chwili stwierdziła:

— No tak, ale trzeba żyć dalej!

Już miałam się kłócić. Chciałam zauważyć, że gdy się zapada na depresję, nie da się po prostu żyć dalej, ale nagle zdałam sobie sprawę, że to byłoby walenie głową w siedemdziesięcioośmioletni mur. A potem doszło do mnie, że skoro babcia Flo tak twardo obstaje za „życiem dalej”, to czemu od miesiąca dzwoni do mamy co drugi dzień i beczy jak malutka owieczka zagubiona na górskim stoku?

Więc odpowiedziałam sprytnie:

— Skoro o tym mowa, jak się tobie żyje, babciu?

— Daję sobie radę.

W tym miejscu byłam już gotowa sobie odpuścić. Jednak —

przeżona rozgrywającym się na moich oczach spektaklem, w którym wszyscy moi najbliżsi krewni albo umierają, albo zmieniają się w zombi — brnęłam dalej:

— Dużo ostatnio do mamy dzwoniłaś... eee... Nie czujesz się trochę samotna?

Babcia Flo wydała z siebie niewesoły pomruk i niemiłym głosem rzekła:

— Samotna! Samotna! — I jak skarżypyta: — Twoja matka zawsze lubiła udawać bezradną.

I co ja mogłam na to powiedzieć? Na chwilę zamilkłam oszłamiona, a potem powiedziałam:

— Dopilnuję, żeby mama zadzwoniła do ciebie, gdy tylko lekarz uzna, że jest już dość silna.

Po raz drugi rozmawiałam z babcią Flo, gdy zobaczyłam ją w dniu, w którym ogłoszono testament. Przyjechałam po pracy zobaczyć się z matką i zastałam babkę siedzącą w kuchni i czytającą gazetę telewizyjną przez szkło powiększające, które zniekształcało jej oko i czyniło ją podobną do Garbusa z Notre Dame. Rozmawialiśmy krótko i uprzejmie na temat jej ciśnienia („nie mogę narzekać”) i na tym koniec. Od tego czasu nie zamieniłam z nią ani słowa. I nie chcę tu dramatyzować, ale wolałabym skoczyć z dachu Empire State Building, niż z nią teraz rozmawiać.

Choć, o ile dobrze znam moją matkę, podejrzewam, że ma podobny stosunek do tej sprawy i że nie będę musiała. Więc jestem pełna niedowierzania, gdy mama mówi:

— Idź do pracy, zadzwonię do niej.

Z początku nie ufam jej.

— Naprawdę? — zapytuję ostro. — Przecież nigdy do niej **nie** dzwonisz!

Mama rzuca mi spojrzenie pełne drwiny.

— A co ty tam wiesz — mówi niegrzecznie.

— Wiem — oświadczam z urazą w głosie — że dzwonisz do babci Flo mniej więcej tak często jak i j a.

Mama spogląda na mnie wyniośle.

— Zatem najwyraźniej dzwonicz do niej co najmniej dwa razy w tygodniu.

Nie wierzę własnym uszom!

— Mamuś, nie żartuj sobie.

Mama robi tak zadowoloną minę, jak się tylko da, biorąc pod uwagę to, że ostatnio próbowała obciąć sobie obie ręce i mówi:

— Widujemy się w każdy czwartek. Nie jest taka zła, gdy się ją bliżej pozna. Właściwie miło się z nią spędza czas, choć to taka stara zrzęda.

Jestem tak zachwycona, że radośnie klepię moją mamę po nodze schowanej pod kołdrą. Dopiero kiedy sapie, biegnąc po Long Acre w stronę biura, uderza mnie jedno — przez ostatnie pięć miesięcy trwoniłam z moją mamą szesnaście godzin tygodniowo. Czemu, do cholery, nie powiedziała mi o tym wcześniej? Nie muszę mówić, że na spotkanie w sprawie dodatku wpadam spóźniona dziesięć minut.

Gdy chyłkiem wymykam się ze spotkania wykończona, ale z ulgą (improvizowałam — nie mylić z imprezowałam), na moim biurku znajduję nielegalną kopię *Gregorian Moods* i karteczkę od Lizzy: „Lunch?”. Jest taka kochana, ale wiem, że będzie chciała usłyszeć ode mnie naturalistyczną relację ze stanu mamy, a dziś nie jestem w nastroju na takie zwierzenia. W głowie mam mętlik. Czemu mama nie powiedziała mi o babci Flo? Jej przemilczenie jest prawie tak obraźliwe, jak nagła, pełna hipokryzji decyzja Tiny, że zatai intymne, pikantne szczegóły swojego życia erotycznego z Adrianem. A przecież jesteśmy z Lizzy jej najbliższymi przyjaciółkami!

Jakoś się wymiguję, a potem łapię za telefon i dzwonię do mamy. Odbiera, a ja wyrzucam z siebie tak około pięćdziesiąt pytań: „Czy wszystko w porządku? Jak się czujesz? Czy jest u ciebie babcia? Co porabiasz?”.

Mama, ku mojej niewyobraźalnej radości, jest spokojna. Jest „zmęczona, ale czuje się lepiej niż wczoraj”. Chryste, no ja myślę — z tymi wszystkimi rozweselającymi prochami w sobie. Mama informuje mnie również, że tak, babcia Flo przyjechała,

ale dopiero o 11.30, bo jechała autobusem. Babcia Flo pokazała jej zdjęcia Morrie'ego, jak był małym chłopcem. Na wszystkich wyglądał na bardzo poważne dziecko.

Jestem wprowadzanie pod wrażeniem, że babcia Flo — po raz pierwszy w swym życiu — robi to, co powinna robić starsza osoba, czyli przynosi stare, zszarzałe fotografie, ale mam podejrzenie, że mama nie mówi mi całej prawdy. Słyszę to w jej głosie. Zadaję więc bardzo głupie pytanie:

— Czy wszystko u ciebie w porządku?

Mama świergocze:

— W porządku! Babcia Flo wprowadzi się do mnie na jakiś czas.

Nie wierzę jej. Już prędzej bym uwierzyła, że Święty Mikołaj kręci z Sierotką Marysią.

— Żartujesz sobie — piszcze. Ale ona nie żartuje. — Ale dlaczego?

— Bo doktor Collins powiedział, że potrzebuję wsparcia.

— No, no to świetnie — mówię powoli. — To już mnie nie potrzebujesz, nie muszę u ciebie mieszkać.

— Nie — odpowiada mama wesoło.

Ta wiadomość powinna mnie zachwycić, ale nie zachwyca. Martwię się tym przez resztę popołudnia.

Nim docieram do domu, czuję się bardziej agresywna niż rekin, którego boli ząb. Trzaskam drzwiami i od razu dopada mnie gardłowa kakofonia:

— Uuuu! Uuuu! Uuuu!

oraz

— O! O! Och!

Błagam, nie chcę tego znowu wysłuchiwać! To czysta obscena. Z desperacji pokazuję im, co o nich myślę, językiem i dłońmi, ale odpowiadają mi zamknięte drzwi. Drań, drań, drań! Zalewa mnie wściekłość. Każde jęknięcie i każde mruczenie jest zniewagą osobistą. Wkraczam do kuchni, złośliwie wbijając obcasy w wykładzinę (typowa gadka Marcusa: „Czy mogłabyś zdejmować w domu buty? Ta wykładzina kosztowała 24,95 fiintów za metr”).

Wyciągam z zamrażarki bagietkę i marzę o tym, że gdybym była psychopatką z papierami, mogłabym wpaść do pokoju Marcusa, trzepnąć go tą bagietką w głowę i nie poszłoby mnie nawet do więzienia. Hej, może udałoby mi się wmanewrować w to mamę. Wrzucam bagietkę do piekarnika, lecę do swojego pokoju i padam na łóżko. Zwykle w takich sytuacjach włączam jeszcze Beastie Boys, żeby wzmocnić siłę mojego gniewu, ale mój dzisiejszy nastrój jest zbyt ponury i nieodpowiedni na melodyjki. Wymaga ciszy. Nagle chwyta mnie nienawiść tak mocna, że czuję w ustach jej smak. Zaczynam walić pięściami w poduszkę — łup! łup! łup! — i moje dłonie robią miazgę z twarzy Marcusa. Wrzeszczę wniebogłoso. Bez słów, tylko długi, głośny ryk.

Przestaję dopiero, kiedy do mojego pokoju wlatują Luke, Marcus i Michelle w przekonaniu, że napadł mnie seryjny morderca. Luke ma na twarzy wypisane przerażenie, a Marcus i Michelle są równie zasapani i zarumienieni, co ja. Michelle otuliła się czerwonym, aksamitnym szlafrokiem Marcusa, a Marcus ma na sobie czarne, jedwabne bokserki.

— Zły dzień w pracy — tłumaczę im i zmuszam się do uśmiechu.

Marcus się gapi.

Michelle udaje troskę i szczebioce:

— Pękła ci żyłka pod okiem, masz masę zabawnych, czerwonych kropeczek! Może przyniosę ci lodu?

Siedzę na dłoniach, żeby się powstrzymać od wbicia paznokci w jej twarz.

— Nie, dziękuję, wszystko w najlepszym porządku — mówię, choć charczę jak ogier. — Możecie już sobie wszyscy pójść.

Marcus obrzuca mnie jeszcze jednym spojrzeniem pełnym pogardy i wychodzi. Michelle zgina paluszki w królewskim pa, pa i idzie za nim, zamykając za sobą drzwi. Luke zostaje, dyn-dając dziwnie rękoma. Drapie się po głowie i pyta:

— Może mam cię przytulić?

Wcale o tym nie marzę, ale żeby nie wypaść na gbura mówię:

— Tak, poproszę.

Luke przyciska mnie niezdarnie. Łąduję nosem pod jego pachą, co sprawia, że oddychanie jest trudne i pewnie nie byłoby zbyt rozsądne. W końcu muszę głośno sapnąć, żeby zaczerpnąć tchu. Luke najwyraźniej uznaje, że sapnięcie to pociągnięcie nosem, bo całuje mnie we włosy, poklepuje po plecach (co mi zapiera dech w piersiach) i prosi:

— Nie płacz!

Wyplątuję się z jego objęć i skrzeczę:

— Wcale nie płaczę! — Po czym dodaję głupawo: — Ale dzięki, w każdym razie.

Luke uśmiecha się i pyta:

— No to co takiego się stało w tej pracy?

Zastanawiam się przez chwilę, czy powiedzieć mu prawdę, ale w końcu się rozmyślam. Na pewno niechcący wypaple Marcusowi.

— Dostałam naganę za spóźnienie — szepczę.

— Może powinnaś nastawiać budzik na wcześniejszą godzinę? — radzi mi Luke błyskawicznie.

— No — mówię, próbując ukryć zirytowanie. Już go raz pouczałam na temat proponowania mało atrakcyjnych rozwiązań. Zapada cisza, którą szybko przecina potężny ryk. Spoglądamy na siebie zaintrygowani.

— Może Marcus też miał zły dzień w pracy — strzela Luke. Mam taką nadzieję.

Wyskakujemy z pokoju i pędzimy do kuchni, gdzie Marcus skacze z nogi na nogę jak jakiś chochlik i desperacko macha ścierką nad piekarnikiem. W pomieszczeniu jest czarno od dymu. Wśród tych oparów widzę swoją bagietkę spaloną na amen.

— O kurczę, zapomniałam o niej — mówię, starannie unikając słowa „przepraszam”. Marcus leci przez całą kuchnię z bagietką w wyciągniętej dłoni. Czerniały zewłok z rozżarzonymi, czerwonymi wnętrzościami. Wrzuca to do zlewu, włącza zimną wodę, a zwęglone resztki mojego obiadu dymią i syczą.

Michelle pokasłuje znacząco. Luke z rozdziawioną gębą chłonie to przedstawienie pod tytułem: „Spanikowany Marcus”. Ja

ssę policzek, żeby zdusić śmiech, co nie do końca mi się udaje. Marcus rzuca ścierkę na podłogę jak rękawicę i wrzeszczy:

— Mój Poggenpohl zrujnowany! Mam serdecznie dość ciebie i tego twojego niechlujstwa, ty, ty, ty szmato!

Nikt mnie nigdy tak nie obraził, nawet Jasper.

— Przyganiał kocioł garnkowi — odpowiadam i wymaszzeruję z kuchni. Nim dobiegam do pokoju, krzyczę jeszcze z przedpokoju: — A gdybym była facetem z takim Poggenpohlem jak ty, to bym się nim za cholereę nie chwaliła!

Wiem, to dziecinne, ale nie jestem zdolna tak na poczekaniu wymyślić niczego lepszego.

ROZDZIAŁ XXI

Angielska pogoda jest słynna ze swojej podłości, ale w tym roku, w sierpniu, skompromitowała się zupełnie. Przez cały miesiąc odsłaniałam rano okno o 8.15, żeby zobaczyć jasnoniebieskie niebo działające na mnie nasennie. Na peron leciałam w T-shircie, cieniutkich spodniach i sandałach, i czułam, jak słońce uwodzi-cielsko grzeje mi skórę. Zanim zaczynałam pracować, wymachiwałam rękami i wołałam do kolegów z pracy; „Co za gorąc, nie?”. Potem o 12.45 wyglądałam przez okno, zastanawiając się, czy na lunch kupić sobie lazanieę czy pieczonego ziemniaka (odpowiedź: to, co będzie wyglądało na większe w sklepie) i oto dostrzeżałam monsun.

Niebo zaciągało się chmurami ciemnymi i groźnymi, jakby to był dzień Sądu Ostatecznego i zawsze ktoś wpadał, otrząsał krople z włosów, otrzepywał swoje bawełniane ubranie i oświadczał: „Co za ziab!”. Ta złośliwość klimatyczna utrzymywała się aż do dnia, gdy skrupulatnie owinęłam się w płaszcz przeciwdeszczowy i sweter. Napłynęła dwudziestoczworogodzinna fala ocieplenia. Pocieszam się, że wszyscy dali się zaskoczyć. Poza Lizzy.

— Czy ty się posługujesz telepatią? — wypaliłam podczas którejś przerwy na lunch, gdy chowałam się pod jej parasolką, żeby uratować moje włosy od katastrofy.

— Nie — odpowiedziała. — Przed snem zawsze oglądam prognozę pogody.

Mimo deszczu zatrzymałam się na środku ulicy.

— Na Boga, ty to jesteś genialna! — wykrzyknęłam. — Co za wspaniały, wspaniały, odkrywczy pomysł!

Ale choć podziwiam jej przebiegłość, dobrze wiem, że nigdy nie będę miała tyle cierpliwości, żeby pójść za jej przykładem.

Więc moknę. Zawsze. Pod tym względem jestem jak Fatboy — planowanie czegokolwiek komentuję ziewnięciem. Ulubioną rozrywką Fatboya jest wczołgiwanie się na świeżo wypraną kołdrę Marcusa, gdy suszy się na krześle, mimo że zawsze się w niej zgubi i nie może się wydostać. Ale i tak za każdym razem rozpoczyna od nowa tę przygodę z kołdrą, a potem miauczy żałośnie, żeby mu pomóc. Ja także rzadko przewiduję pewne rzeczy i muszę potem ponosić konsekwencje.

I tak — nigdy, przenigdy by mi nie przyszło do głowy, że mama i babcia Flo mogą się zaprzyjaźnić i że ja będę się czuła przez to odrażona, zakłopotana i zazdrosna. Natomiast Lizzy jest bardziej dalekowzroczna niż ja i stwierdziła — z perspektywy czasu — że ich przyjaźń była nieunikniona.

Opowiadam jej o całej sprawie w czasie lunchu w piątek, bo wtedy jestem już w stanie mówić o tym nonszalanckim tonem. Kiwa głową ze zrozumieniem i popija wodę mineralną.

— Myślę, że zawsze będzie je łączył twój ojciec, nawet jeśli nic poza tym — zauważa.

— Tak, ale przecież zawsze łączył je mój ojciec — mówię z ustami pełnymi tuńczyka i majonezu. — Ale to za cholerę nie pomagało.

Milknę i z fascynacją obserwuję, jak Lizzy wykwintnie wybiera spośród makaronu kapary i elegancko układa je na brzegu talerza.

— I czemu się nie dogadywały? — pyta. Marszczę brwi. — Nie marszcz brwi! Będziesz miała zmarszczki! — krzyczy Lizzy.

— Przepraszam — mówię. Staram się myśleć, nie marszcząc brwi. — Mam wrażenie, że to babcia Flo odnosiła się do mamy zawsze z dezaprobatą.

— Dlaczego? — dziwi się Lizzy. — Przecież twoja mama jest taka urocza!

Wzdrygam się.

— Hm, wprawdzie babcia sama pracuje, ale nie uważa za normalne, żeby kobieta pracowała. W każdym razie nie kobieta zamężna. — Lizzy wznosi oczy do nieba, a ja dodaję: — W ten sposób mama miała przecież mniej czasu, żeby się zajmować ojcem. A i tak nigdy nie była najlepszą gospodynią domową.

Lizzy chichocze:

— Czyli już wiem, po kim to masz — cieszy się.

— Mam inne talenty — uśmiecham się. — A skoro już mówimy o seksie, jak tam Brian?

(Wciąż uważam tego faceta za niewypał, ale muszę udawać zainteresowanie, żeby nie sprawić przykrości Lizzy. A zresztą— naprawdę mnie to interesuje. I budzi odrazę jednocześnie).

Lizy się rumieni.

— Bardzo dobrze. Tak się wspaniale dogadujemy.

Otwieram szeroko oczy i pochylam się w jej stronę.

— A tak konkretnie?

Lizy uśmiecha się szeroko.

— Na przykład rozmawialiśmy sobie ostatnio i jakoś tak wspomniałam, że uwielbiam świeże figi, ale są bardzo drogie. A wczoraj wieczorem przyszedł do mnie i przyniósł mi całą torbę fig! W listopadzie!

Nie jestem specjalną fanatyczką owoców i trochę nie mogę zrozumieć, jak wiele trudu należy sobie zadać, żeby zdobyć świeże figi w listopadzie. To nie trzeba po prostu pójść do sklepu i kupić?

Lizy źle interpretuje moją niewyraźną minę i dodaje skromnie:

— Brian nie jest romantyczny w sensie tradycyjnym, jak na przykład Adrian, z tymi wszystkimi bukietami, ale ja właściwie nie przepadam za kwiatami. To znaczy, to uroczę, że on je daje Tinie, oczywiście, że uroczę. Ale figi! Byłam taka wzruszona. To był taki miły gest z jego strony.

Rzucam się, by jej wytłumaczyć:

— Nie, nie, ja nie miałam niczego takiego na myśli, to rzeczy-

wiecie bardzo miły gest... jeśli się oczywiście chce, żeby twoja dziewczyna potem pierdziała cały wieczór jak syrena mgielna.

Lizy znów się rumieni i chichocze. Nagle przestaje się śmiać i puka w stół, jakby chciała ponownie zwrócić naszą uwagę na temat dnia.

— Więc jak to się stało, że babcia Flo teraz już próbuje twoją mamę.

Nie mam pojęcia.

— Nie mam pojęcia — mówię. Nie wiem nawet, czy rzeczywiście już ją aprobeuje.

— No jak to, przecież tak ni z tego, ni z owego zaczęły się spotykać!

Bóg jeden wie.

— Babcia Flo jest dziwna. Wydaje mi się, że ona nigdy nie lubiła mojej mamy, ale zawsze starała się być miłą.

Lizy kiwa głową.

— Dla dobra twojego ojca?

Ja też kiwam.

— Tak, chyba tak.

— To może teraz, gdy twój ojciec... odszedł, ona wciąż jest miłą dla jego dobra — zastanawia się Lizy.

Zastanawiam się.

— No, może. A może już nie ma go, więc nie ma o co walczyć. Ale myślę, że to też trochę przez moją matkę. Nigdy nie potrzebowała babci Flo. A teraz chyba potrzebuje.

Lizy wygląda na przejętą.

— I może — szepcze głosem mówiącym „uwielbiam, kiedy wszystkie elementy zaczynają do siebie pasować” — może skoro babcia Flo straciła syna, potrzebuje córki! Jak tak o tym myślę, to widzę w tym jakiś sens!

O rety, aż tak daleko bym się nie posuwała.

— Babcia Flo — mówię Lizy — jest kobietą o najbardziej ograniczonym instynkcie macierzyńskim, jaką znam. Nie licząc mojej matki. I raczej trudno ją nazwać pełną współczucia. Nie powstrzymała jakoś mamy przez podcięciem sobie żył, no nie?

Lizy zaciska wargi.

— Nie, ale nie o tym przecież mówię. Jak niby miała ją powstrzymać? Nikt nie mógł.

— Mój ojciec mógł, gdyby wyskoczył ze swojego grobu, cały, zdrowy i żywy, a nie w postaci ducha i krzyknął: „Nabrałem cię!”.

Lizy krzywi się zgorazona moim brakiem szacunku.

— Helen — mówi. — Nikt nie zastąpi twojego ojca. Ale mimo że twoja babka nie jest bardzo współczująca, jestem pewna, iż zależy jej na twojej matce.

Na tym właśnie polega problem z Lizzy. Jej się zdaje, że wszyscy są tacy dobrzy jak ona. Nawet ja.

— No, pewnie babcia Flo to zawsze lepiej niż nikt — wzdycham.

Przypominają mi się wszystkie moje wysiłki, żeby dbać o matkę, i słyszę w sobie mały, obronny głosik: „Ale ty nie byłaś nikim. Byłaś już kimś. To, co ugotowałaś, może i było ohydne, ale nie byłaś nikim”. Na głos mówię jednak co innego:

— To zabawne, że mama nic mi nie powiedziała o tym, że się spotyka z babcią, prawda?

Lizy przechyliła swoją śliczną główkę i zamyśla się. Potem mówi:

— Może po prostu zapomniała.

A może ziemia jest płaska, a księżyc to kawałek sera. Czas zmienić temat rozmowy. Zaczyna być zbyt ckliwie, a szczerze mówiąc, od poniedziałku mam ckliwości po dziurki w nosie.

— Jak robisz to całe masowanie ciała? — zaczynam podstępnie.

— Tak? — Lizy od razu się mobilizuje.

— Jakoś nie mogę tego nigdy zapamiętać: to trzeba masować w stronę rąk i nóg, tak?

Lizy jest przerażona.

— Nie, nie, na Boga! Trzeba trzeć w stronę serca! To bardzo istotne! — I zaczyna się dziesięciominutowy wykład o złuszczeniu naskórka, tarciu, masażu, a na głębszym poziomie o popra-

wianiu mikrokrążenia i usuwaniu substancji toksycznych i niepotrzebnych, i... babcia Flo odchodzi w niepamięć. Misja wykonana. Na szczęście gdy następnym razem zbieramy się na lunch, Tina przyłącza się do nas w swej łaskawości, więc wszelkie poważne tematy są zakazane. Właściwie prawie wszelkie tematy są zakazane. Zaczynam od tego, co mi się wydaje bezpiecznym obszarem: Adrian.

Ja (żartobliwie): Więc jak tam, Tina, twój kochaś?

Tina (chłodno): Co chcesz przez to powiedzieć?

Lizzy (dyplomatycznie): Ona, Helen, chciała spytać o Adriana. On tak za tobą szaleje. Co tam u niego?

Tina (podejrzanie): Dziękuję, wszystko w porządku.

Ja (urazona): Nie rozumiem, co ci się nie podobało w moim pytaniu. Przecież nie pytałam o rozmiar jego fiuta czy o coś w tym stylu. (Po namyśle): Zresztą kiedy jeszcze wasz związek nie był święty, powiedziałaś mi, więc i tak wiem.

Tina (napastliwie): To są rzeczy prywatne. Nie mamy, kurde, piętnastu lat.

Ja (prowokująco): Co ci jest, jesteś przed miesiączką czy co?

Lizzy (pośpiesznie): Jestem pewna, że Tina nie jest wcale przed miesiączką, ale mam trochę olejku Wieczorny Pierwiosnek, gdyby jednak była. Jest świetny, naprawdę działa. Przysięgam.

Tina (wściekła): Nie mam napięcia przedmiesiączkowego! Do jasnej cholery! Facetowi byś tak nie powiedziała! I nie wciskaj mi tu żadnych gównianych olejków! Jest gówno warty... też przysięgam!

Lizzy (przerażona): Tina, przepraszam, nie chciałam cię zderwować.

Ja (ponuro): Ani ja.

Zapada cisza. Lizzy z nerwów bawi się swoimi kluskami na parze, ja dłubię chmurnie w swoim ziemniaku, a Tina marszczy się do swojej grzanki z fasolą. Nuce:

— Dobrze na serce są fasolki strąki, tylko że po niej puszczasz ciągle b... — Tina wali widelcem o stół i warczy:

— Zamknij się!

Moim zdaniem, to ona się ostatnio naoglądała za dużo brutalnych filmów.

I może jestem przekorna, ale im bardziej ona warczy, tym mam większą ochotę ją wkurzać. Więc od dowcipów o wzdęciu przechodzę do osobistych przytyków. Tina ma w kąciku ust parszewą opryszczkę. Odrywam kawałeczek skórki z ziemniaka i przylepiam sobie do wargi.

— Zgadnijcie, kto to?

Lizzy dusi śmiech. Na widok urażonej miny Tiny nie wytrzymuję. Pękam ze śmiechu z własnego dowcipu, ale Tina podskakuje, szurając krzesłem i wybiega.

Zamieram.

— Myślisz, że u niej coś nie tak? — pytam Lizzy.

— Nie wiem. — Lizzy wygląda na zdenerwowaną.

Wzdycham i rzucam moją serwetkę. Mój ziemniak jest i tak twardy jak kamień i mniej więcej równie smakowity.

— Zostań tu. To moja wina. Ty skończ swoje kluchy.

Ale obie wybiegamy z baru i lecimy za Tiną.

— Tina, poczekaj! Tak mi przykro! Przepraszam! — wrzeszczę. Ale Tina nie przestaje biec. Na szczęście jej ruchy kłępują buty od Prądy i wąska, długa, prosta spódnica, więc szybko ją doganiamy. Po czterech minutach pięciogwiazdkowego płaszczania się udaje nam się zaprosić ją na kawę. Tym razem Lizzy i ja trzymamy się już tylko naszego życia erotycznego. Czy też, w moim przypadku, braku takowego.

Lizzy (nieśmiało): Tak bym chciała, żebyście spotkały się z Brianem tak normalnie. Czy któraś z was jest wolna jutro wieczorem?

Tina (cicho): Dzięki za zaproszenie, ale niestety jestem zajęta.

Ja (dumnie): Ja też.

Lizzy (po chwili na przemyślenie sprawy): Och. Co takiego porabiasz, Helen?

Ja (wstydliwie): Spotykam się z Tomem. No wiecie, tym weterynarzem. Tina, pamiętasz Toma?

Tina (nagle bardziej wyluzowana): Jasne, że pamiętam, Dziewczyno Tequila!

Ja (nagle chętna do zmiany tematu): Ale, Lizzy, może można by się umówić z Brianem jakoś kiedy indziej.

Tina (zupełnie wyluzowana): O! Więc Tom powrócił, tak? Nie myślałam, że tak polubi wodne sporty.

Ja (rozsierdzona): Spadaj. Nie bądź obrzydliwa.

Lizzy (zdezorientowana): Co? Nie rozumiem.

Ja (szybciotko): Nieważne. Więc co porabiacie z Brianem jutro wieczorem?

Tina (wtrącając się): No, no, Helen, to powiedz nam coś o Tomie. Czy to bardzo poważne?

Ja (spoglądając na Tinę): To nic w tym stylu. Zresztą „to są rzeczy prywatne”.

Tina (złośliwie): Znaczy to nie jest poważne.

Ja (obronnie): A kto powiedział, że chciałabym, żeby to było poważne?

Tina (z sarkazmem): Och! Więc to uczucie platoniczne? Ta, uważaj, bo ci uwierzę.

Ja (wściekła): Dopiero z minutę temu rozstałam się z Jasperem! Dlaczego niby zawsze muszę się z kimś pieprzyć?

Tina (podle): Ty mi to powiedz.

Ja (zraniona): Milutka jesteś.

Tina (tonem nieprzepraszającym): Przepraszam, Helen, ale ty zawsze rozstajesz się z Jasperem.

Lizzy (której wreszcie udaje się cokolwiek powiedzieć): My tylko chcemy twojego dobra, Helen. Tylko tyle. A Jasper, no wiesz, Jasper nie zawsze jest zbyt życzliwy.

Ja (zawstydzona): Bła bła bła. Zostawcie Jaspera w spokoju.

Tina (triumfująco): Zostawiamy, ale to ty poruszyłeś ten temat!

Lizzy (desperacko): Może umówimy się wszyscy razem jeszcze w tym tygodniu? Przyprowadzę Briana, a wy, kogo chcecie, albo będziemy tylko we czwórkę? Może w piątek?

Ja (przybita): Dobra. Ale raczej przyjdę sama.

Tina (znacząco): Spytam Adriana, czy nie ma innych planów.

Po rozmowie z nimi powrót do pracy to przyjemność. A to dla mnie coś nowego. Laetitia natychmiast wysyła mnie po nieperfumowany dezodorant.

— Jak sobie życzysz! — świergocę i lecę po dezodorant. Gdy wracam, Laetitia każe mi zadzwonić do eksperta po wypowiedź na temat „przemocy w rodzinie”, więc natychmiast zaczynam wydzwaniać. Zwykle zajmuję się głupotami, przez jakieś pół godziny bazgrząc na świstkach papieru, żeby się przygotować. Widzę, że Laetitia jest pod wrażeniem tego mojego niebywałego popołudniowego entuzjazmu, bo gdy po dziesięciu minutach krzyczę do niej:

— Gotowe!

Odpowiada:

— To dobrze!

Laetitia powiedziała mi „to dobrze” tylko dwa razy; po raz pierwszy, kiedy przekazałam jej wiadomość, że nasz astrolog grozi, że odejdzie z pracy, a po raz drugi, gdy powiedziałam jej, że dzwonił Oliver Braithwaite w sprawie „weekendowego polowania”.

— Cała przyjemność po mojej stronie — odpowiadam i uśmiecham się.

Potrzebny mi każdy punkt, jaki da się u niej zdobyć. Poza tym próbuję nie myśleć o tym, że w czwartek rano moja matka ma swoje pierwsze spotkanie z tą psychopielegniarką (pielęgniarka przyjdzie do niej do domu, bo mama uparła się, że nie pójdzie do kliniki).

Postanawiam sobie, że od teraz będę superwydajnym pracownikiem, aż w końcu Laetitia będzie mnie musiała awansować na młodszą felietonistkę. Oczywiście nie będzie chciała, ale nie zdoła się wykręcić. Pociesza mnie już sama myśl o dostojenstwach, prestiżu i bogactwach, jakie w ten sposób osiągnę. Może nawet zostanie mi powierzona strona „Wydarzenia” i będę przeprowadzać wywiady z pomniejszych gwiazdami oper mydlanych, a jakaś biedna, niewinna dusza, sama o tym nie wiedząc.

zastąpi mnie na moim stanowisku Znacwy Dezodorantów. Będę sobie musiała kupić spodnium.

Jeszcze przed piątą awansowałam (w swojej głowie) na Redaktora Naczelnego. Postanowiłam zabrać matkę na kolację, żeby to uczcić. Drrr Drrr!

— Rezydencja państwa Bradshaw — skrzeczy Królowa. Albo raczej babcia Flo swoim telefonicznym głosem.

Trzeźwieję na tyle szybko, by przyjaznym tonem powiedzieć:

— Cześć, babciu, to ja, Helen. Jak się masz?

— Nie mogę narzekać, Helen. Co mogę dla ciebie zrobić? — Helen? Nigdy nie zwraca się do mnie po imieniu! Czyżby to był początek demencji starczej? Albo może oglądała właśnie *Wspaniałe życie* i jeszcze jej nie przeszła euforia. Następnym razem gotowa mnie nazwać pączusiem.

Speszona proszę, żeby mama podeszła do telefonu.

— Co z nią? — pytam jeszcze szybko (lepiej wiedzieć za wczasu).

— Mogło być gorzej — mówi babcia dziarsko. — Mamy dużo roboty.

— To znaczy? — pytam zaintrygowana.

— Czyścimy szafki — odpowiada mi zgryźliwie. Ściskam nos palcami, żeby zdusić śmiech. Niech sprawiedliwości stanie się zadość!

— Właściwie to, babciu — mówię, gdy odzyskuję głos. — Właściwie nie muszę rozmawiać z mamą, mogę spytać ciebie.

Cisza.

— Tak? — warczy babcia.

Odchrząkuję i mówię:

— Chciałabym zaprosić ciebie i mamę na obiad w czwartek, jeśli miałybyście chwilkę. — Ostatnie słowa to tak przez grzeczność.

Gdy babcia Flo odpowiada, jej głos jest jeszcze ostrzejszy niż zwykle:

— Jesteś pewna, że masz tyle pieniędzy?

Co za niemiły policzek!

— Tak — odpowiadam (nie jest to właściwie kłamstwo, bo będę miała, jeśli mi je pożyczy moja karta kredytowa).

— Zatem — stwierdza moja babcia śpiewnie — nie widzę powodu, dla którego miałybyśmy nie iść.

Uśmiecham się do słuchawki i pięję triumfalnie:

— Załatwione!

— Słucham? — odpowiada babcia Flo.

ROZDZIAŁ XXII

Kłopotliwe sytuacje zdarzają mi się częściej niż innym. Jedna z pierwszych takich sytuacji nastąpiła, gdy miałam cztery latka — pewnej soboty rodzice wyciągnęli mnie na orzeźwiający spacer po Regent's Park i byli tak zajęci sobą, że nie zauważyli, że zostałam gdzieś z tyłu, bo zafascynowała mnie olbrzymia, pomarańczowa ryba w ozdobnym stawie. Kiedy się ocknęłam, moich rodziców nie było, a park pełen był strasznych, wysokich ludzi. Biegałam wśród nich, potykając się i rysując moje czarne laskierki. W końcu zobaczyłam plecy ojca i złapałam go za rękę. Spojrzał w dół, a ja spoglądałam w górę... w zakłopotaną twarz nieznanego. Dzięki Bogu, byłam wtedy uroczą czterolatką i nieznanomyznał, że to bardzo zabawne i nawet pomógł mi znaleźć tatę.

Jednakże moja ostatnia konfundująca sytuacja miała miejsce dziś rano, a ponieważ nie jestem już uroczą czterolatką, jej świadkowie nie okazali mi litości. Zjadłam śniadanie i przed lustrem w łazience udoskonalałam swoją maskę na dzisiejszy wieczór. Nie byłam pewna, jak się zaprezentować Tomowi, więc eksperymentowałam. Pełne życia: „Hej, hej”, i promienny pocałunek w policzek na dobry wieczór (cmok!)? Czy może raczej bardziej wyszukane: „Jak się miewasz?”, połączone z powściągliwym uśmiechem? A może seksowne i uwodzicielskie: „Cześć, Tom”, plus enigmatyczne drgnięcie kącika ust?

Właśnie żarliwie analizowałam wszelkie możliwości, gdy nagle poczułam to, co pisarze nazywają „drczącą obecnością”.

Odwrociłam się na pięcie i w drzwiach łazienki — których z przejścia zapomniałam zamknąć — stali Luke i Marcus, zaciskając zęby na pięściach, żeby zdusić swój złośliwy rechot.

— Odpieprzcie się! — ryknęłam, a oni aż się zwinęli ze śmiechu i zaczęły seplenić bardzo dowcipne uwagi typu: „A co powiesz na rozmazanie mojej szminki?”.

Trzasnęłam drzwiami i wrzasnęłam:

— Tego nie powiedziałam! — Potem siadłam na toalecie, schowałam głowę w dłoniach i kiwając się w przód i w tył, zaczęłam jęczeć:

— Neeeeeeee!

Umieram ze wstydu cały poranek i nie bardzo udaje mi się utrzymać mój nowy styl superwydajnego pracownika. Po prostu nie mogę skupić się na pracy, bo ciągle mi się przypominają ich urzeczonye twarze, więc mimowolnie się wzdygam i jęczę ciuchtko: „nie!”. Kiedy już nie mogę tego dłużej znieść, zwierzam się Lizzy.

— Mam syndrom stresu potraumatycznego — zrzędzę, a Lizzy próbuje się nie śmiać.

— Helen, nie przejmuj się tak tym wyjściem. Po prostu bądź sobą.

Wznoszę oczy ku niebu i wracam do swojego biurka. Dzwoni telefon. Nie chcę odebrać, bo jeśli to Tom dzwoni odwołać randkę? Ale Laetitia zacznie cmokać i sapać, jeśli pozwolę mu dzwonić dłużej niż dwa dzwonki. Łapię za słuchawkę.

— Halo? — intonuję. — Redakcja. Słucham.

To taka próba postrzegania siebie jako młodą i dynamiczną kobietę robiącą zawrotną karierę, a nie żałosne, przyciążkawe zawodowe zero. Moje smętne wysiłki idą jednak na marne, bo to moja mama. Co znowu nie tak?

— Cześć, mamó — mówię ostrożnie. — Co tam u was?

Próbuję się na to przygotować. Moja babka dorwała się do szafy mojego ojca i wysłała wszystkie jego ciuchy do Oxfamu? A może postanowiła doprowadzić mamę do szaleństwa gdybaniem? Czyżby zmuszała ją do oglądania *Targowiska antyków*?

Albo wyzywa ją od rozrzutników, bo nie zgodziła się kupić kiełbasek w puszcze?

— Jestem wykończona — marudzi mama.

Okazuje się, że w nocy mama źle się poczuła i zeszła na dół koło drugiej nad ranem, żeby znaleźć jakieś pigułki na mdłości. Przekopywała się właśnie przez apteczkę, kiedy drzwi kuchni rozwarły się, babcia wtargnęła — „Mało nie umarłam ze strachu!” — i wyrwała mamie fiolkę z lekami. Najwyraźniej babcia przyrzekła sobie: „Póki ja jestem w tym domu, nie będzie tu żadnych dziwactw!”. Podejrzewam, że mama jest jednocześnie zirytowana i wzruszona. Naszą rozmowę kończy uprzejmym pytaniem:

— Nie byłam w restauracji od naszej ostatniej rocznicy ślubu. Dokąd idziemy?

Nie mam jeszcze pojęcia, ale szybko mówię:

— Niedaleko Islington jest taka tajlandzka restauracja. Pomyślałam, że tam będzie miło. Podają tam jaśminową herbatkę.

Moja mama milczy przez chwilę i mówi:

— Brzmi interesująco. Chyba nigdy jeszcze nie byłam w tajlandzkiej restauracji.

— Podjadę pod was o ósmej — odpowiadam i odkładam słuchawkę. Gapię się na biurko i lata mi przed oczami pierwsza strona „Mirror”. Mrugam chwilę i zaczynam znów widzieć ostro. Nie dam głowy, ale wydaje mi się, że przez te wszystkie miesiące, gdy wspólnie szatkowałyśmy pory, moja mama nigdy nie wyraziła takiej — „radości” to może zbyt mocne określenie — takiego pozytywnego nastawienia wobec mojej osoby. Choć jest to także pierwszy raz, gdy ją zaprosiłam do restauracji.

Popołudnie ciągnie się w nieskończoność. Laetitia dobija mnie, każąc mi uporać się ze stosem faktur. Mimo że umieram z nudów, staram się podtrzymać aurę zapału. W końcu Laetitia wychyla się zza swojego monitora, przygląda mi się podejrzliwie i pyta:

— Helen, czy ty jesteś na jakiś lekach?

Po czym zanosি się śmiechem.

— Ha, ha, ha — mówię bez zachwytu. Żarciki Laetitii są tak częste jak zwroty z urzędu podatkowego i tak śmieszne jak rak. Zaczynam się zastanawiać, jak uda mi się podtrzymać tę komedię etyki pracy, skoro zamierzam wyjść punkt szósta. Bez tego nie uda mi się dotrzeć do domu na szóstą czterdzieści, żeby dać sobie niezbędne osiemdziesiąt minut na stanie się piękną.

Laetitia rozwiązuje moje wszystkie problemy o wół do szóstej, gdy łapie płaszcz i wychodzi. Żadne tam nonsensowne „do widzenia, do zobaczenia jutro”. Laetitia jest godna podziwu — choć osobiście jej nie znoszę — właśnie dlatego, że ma w nosie to, czy ją ktoś lubi czy nie. Nie radzę sobie z tym tak dobrze jak ona. Laetitia jest kobietą wyzwoloną. A ja wciąż walczę. Na przykład nie cierpię i nienawidzę Marcusa, ale przejmuję się tym, że on mnie również nie cierpi i nienawidzi. Albo Jasper. Zabiłabym go, ale i tak mi się podoba. Przypomina mi księcia Filipa. Jest dupkiem, to fakt, ale co on biedaczek może na to poradzić? Choć nie odezwał się (Jasper, nie księżę Filip), odkąd wprowadził się do Louis-ach, potrzebuję go, żeby mnie podziwiał. Takie właśnie infantylne konfetti wiruje wokół mojej głowy, dopóki nie otworzę drzwi do mieszkania. Bo wtedy odsuwam wszelkie myśli o Jasperze i Marcusie i skupiam całą uwagę na Herkulesowym zadaniu umycia i ułożenia moich włosów w jakiś społecznie akceptowany kształt.

Tom dzwoni do drzwi dziesięć po ósmej. Jest tak punktualny, że zaczynam się zastanawiać, czy nie przyjechał wcześniej i nie czekał w samochodzie. Nawet mnie to trochę irytuje — nie za wcześnie, nie za późno, tylko tak idealnie. Jak Złotowłosa i jej owsianka. A to była mała skromnisa. Założę się, że Tom należy do tych facetów, którzy proszą o rachunek, robiąc jedną ręką esy-floresy w powietrzu, a machając drugą. Jak Marcus. Och! Koniec z Marcusem. Jasper, jak dobrze pamiętam, podnosił tylko omdlewającą dłoń i kelnerzy sami przybiegali.

Idąc do drzwi, szczypię się w ramię, żeby wygnąć z głowy te

głupiutkie myśli psujące zabawę. Co się ze mną dzieje? Mam nadzieję, że Tom nie włożył niczego strasznego, na przykład kamizelki. Otwieram odważnie drzwi, żeby spojrzeć przeznaczaniu w twarz. Tom uśmiecha się do mnie, więc oddycham z ulgą i odwzajemniam uśmiech. Ma na sobie dżinsy, zieloną koszulę, a pod spodem biały T-shirt, i brązowe mokasyny. Za dawnych, dobrych czasów zapamiętałabym starannie każdy szczegół, żeby potem móc go przedstawić Tinie, która z kolei oceniłaby, czy Tom jest *cool*, czy też mam uciekać, gdzie pieprz rośnie. Ale ponieważ Tina ostatnio po cichutku opuściła stanowisko mojego osobistego doradcy do spraw mody, a Tom wygląda świetnie, olewam to.

— Ślicznie wyglądasz — mówi Tom i całuje mnie w policzek. Dwie myśli. A) czy też ćwiczył to powitanie w lustrze? B) mam taką nadzieję po tych dziewięćdziesięciu minutach czyszczenia się, strojenia i katowania. Za które winna jestem dzięki Lizzy. Dziś rano, po odklepaniu tego zdania o byciu sobą, Lizzy zauważyła, że nie zaszkodziłoby, gdybym wyskubała troszkę brwi. Ujęła to następująco: „Brwi są takie istotne. Na nich jak na ramiączku zawieszasz całą twarz. Jeśli nie zadbasz o swoje brwi, to nawet przy starannie nałożonym makijażu będziesz wyglądała niewyraźnie. To podstawa kobiecego piękna...”

Chwyciłam aluzję i przejrzałam całe „Glamour”, aż w końcu znalazłam takie jedne brwi godne pozazdroszczenia i spróbowałam je skopiować. Nie jestem pewna, czy do końca mi się udało, ale Tom uważa, że wyglądam ślicznie. To działa!

— Dziękuję — mówię. — Ty też.

(Lizzy zwróciła mi też uwagę na to, jak istotne jest, by odpowiednio przyjmować komplementy: „Jeśli tego nie zrobisz, możesz urazić osobę, która ci powiedziała miłe słowo”).

Nie mam jednak wątpliwości, że Tomowi nikt na to nie zwrócił uwagi, bo wygląda na onieśmiałonego, naciąga koszulę i mówi żartem:

— Ja, w tym starym łachu?

Chichoczę. Nagle język staje mi kołkiem w gębie. Jąkam się:

— Więc... e... wejdz... może... tego, kawy chcesz czy... —

Mało nie wymawiam tego nieśmiertelnego frazesu wszystkich słodkich idiotek: „czy coś mocniejszego”, ale udaje mi się powstrzymać. — Może piwo czy coś?

Tom wymachuje reklamówką, którą przyniósł.

— Klient dał mi dziś rano butelkę czerwonego wina. Moglibyśmy otworzyć, jeśli masz ochotę.

— Co? Przyszedł chomik i wręczył ci Pinotage? — strzelam.

Tom tłumaczy mi z udaną obrazą w głosie:

— Nie. To była mamusia chomika.

Uświadamiam sobie, że go trzymam w przedpokoju, i zapraszam do kuchni. Fatboy pakuje się przez kłapkę dla kotów i robi masę hałasu. Tom potulnie idzie za mną.

— Więc jak tam twoja mama? — pyta obowiązkowo.

— W porządku, dzięki — mówię, postanawiając w duchu, że moja matka nie zepsuje mi tego wieczoru.

— Tak? — pyta Tom zachęcająco.

— Babcia jej pilnuje — mówię krótko, otwieram wino i nalewam co najmniej z połowę butelki do dwóch olbrzymich, zielonych kielichów (kupiłam je specjalnie na tę okazję, bo kieliszki Marcusa są maciupeńkie. Żeby do niego pasowały, hłe, hłe). Potem, jak to ja, natychmiast łamię daną sobie obietnicę i opowiadam Tomowi całą intrygującą historię potajemnych spotkań z babcią.

— Widywałam się z mamą trzy razy w tygodniu. Czemu mi nie powiedziała? — piszczę, nienawidząc samej siebie za to, że mi zależy.

Tom wygląda na zakłopotanego.

— Dziwne — mówi. — Może się myślę, ale to mi wygląda na manipulację. Taką próbę sił.

Milczę. Biorę wielki łyk wina. Może jestem naiwna, ale wydawało mi się dotąd, że zwykle robiłam to, co chciałam, nawet wbrew matce. A jednak. Gdy Tom to sugeruje, zaczynam się zastanawiać, czy nie było tak, że zawsze robiłam to, co ona chciała — a gdy postępowałam inaczej, ostro mnie za to karała, na przykład, no nie wiem, przez podcięcie sobie żył.

— Myślisz? — pytam powoli.

Tom przygląda mi się i pośpiesznie prostuje:

— Nie znam twojej matki. Tylko tak zgaduję.

Milczę. Potem przyznaję z wahaniem:

— Rzeczywiście, uwielbia być w centrum uwagi. Ale może po prostu o tym nie pomyślała. Albo uznała, że mnie to wcale nie zainteresuje.

I wtedy uświadamiam sobie, że od dwudziestu ośmiu minut siedzimy z Tomem przy kuchennym stole i omawiamy problemy mojej egocentrycznej matki. Znowu wszystko na nic!

— A zresztą, mniejsza o to! — krzyczę wesoło. — Opowiedz mi o swoich rodzicach.

Tom prostuje się i nabija ze mnie:

— Oj, nie wiem, czy chcesz wiedzieć.

Nie chciałam, ale już mnie zaciekawił.

— Mów.

Więc mówi. Tak mniej więcej w trzy sekundy. Jego rodzice rozwiedli się, gdy miał pięć lat. Jego matka wyszła za mąż ponownie trzy lata później, a Tom traktuje swojego ojczyma jak prawdziwego ojca. Jego matka to „klejnot”, a ojczym to „naprawdę świetny facet”. Nie widuje „pierwszego męża mamy”. Po sposobie, w jaki to mówi, od razu widzę, że nie chce poruszać tego tematu.

— Czemu? — nie wytrzymuję.

Wzrusza ramionami i stwierdza, że nigdy się nie dogadywali.

— Co? Nie dogadywaliście się, jak miałeś cztery latka? Przecież to niemożliwe! — Widzę jego zmieszanie, więc dodaję pośpiesznie: — Nie mówmy, jeśli nie masz ochoty.

Śmieje się i mówi:

— Nie ma w tym żadnej posępnej tajemnicy. Po prostu nie przepadał za dziećmi. Nie tylko za mną. To samo było z moją siostrą i bratem. Mama zawsze była, że tak powiem, liberalna. No wiesz, dziewczynki mogą się bawić samochodzikami, a chłopcy płakać. A jej mąż zupełnie przeciwnie. Dziewczynki mają być ubrane na różowo i bawić się lalkami, a chłopcy na niebiesko i przebierać się za kowbojów.

Nalewam sobie jeszcze jedną szklanicę wina. Tom prawie nie tknął jeszcze swojego, ale i tak mu dolewam, żeby ukryć, jak dużo wypiałam.

— Więc — mówię, desperacko próbując wydobyć z niego odpowiedź, choć wiem, że wkraczam na teren Jerry'ego Springe-risha — czy ty — i gdy to mówię, zaczynam sobie przypominać, że powinnam się zachowywać taktownie — lubiłeś się ubierać na różowo?

Aż mrużę oczy na myśl o moim chamstwie. Tom wybucha śmiechem.

— A co, jeśli lubiłem? — pyta i podnosi brew.

— Nic, nic, skądże nie — jąkam się, myśląc, powinnam się była domyślić. Jest gejem. Tacy mili zawsze są gejami. Albo są żonaci. Albo jedno i drugie. Wiedziałam, że jest jakiś kruczek. I wiem, że go uraziłam. Jestem tak zajęta swoim strasznym, rwącym potokiem myśli, że nie dochodzi do mnie jego następne zdanie i muszę go prosić, żeby powtórzył. I okazuje się, że gdy Tom miał cztery latka, uwielbiał malować, aż pewnego dnia pierwszy mąż jego matki złamał jego pędzel na pół i walnął go po twarzy, i Tom przestał malować i już nigdy potem nie próbował.

— To straszne! — wołam, a tragizm tej sytuacji wzrasta wprost proporcjonalnie do mojego spożycia alkoholu.

— Nie tak bardzo — uśmiecha się Tom. — Dwa dni później moja mama wykopała go z domu i żyliśmy odtąd długo i szczęśliwie. Może pójdziemy po pizzę?

Przytakuję i dodaję z fałszywą skromnością:

— Możemy nawet zaszaleć i kupić dwie.

Łapiemy taksówkę do Pizza Express, bo Tom jest przekonany, że nie ma szans, żebym tam doszła w tych butach i dochodzimy do wniosku, że Scooby Doo był znacznie lepszy bez tego karierowicza Scrapy'ego oraz że nawet jeśli nie da się dokładnie naśladować Scooby'ego — ani właściwie żadnej innej postaci z kreskówek — sam fakt, że poświęciłeś temu tyle swojego cennego czasu i wysiłku, powinien budzić respekt. Tom świetnie naśladuje Scooby'ego, więc każę mu to powtórzyć tak z dziewięć

razy. I twierdzi, że ja równie świetnie odgrywam Marge Simpson. Dzięki mojemu męstwu wygrywam ostatniego pączka.

Zauważam, że Tom nie mówi z pełną buzią, a gdy trzeba płacić (bo ludzie z obsługi zaczynają już składać krzesła na stołach), nie robi w powietrzu esów-floresów. Z hałasem ładujemy się z powrotem do mieszkania i mam przeczucie, że to będzie dobra noc.

ROZDZIAŁ XXIII

Nigdy nie wierzyłam w to, że kto pod kim dołki kopie, ten sam w nie wpada. Z mojego doświadczenia wynika, że koło Fortuny ma okropnego flaka. I nie zaliczam zemsty do jakichś średniowiecznych wymysłów. Stosuję ją osobiście. Dlatego właśnie kilka dni temu wyrwałam stronę z poradami z „News Of The World” i przyczepiłam na tablicy w kuchni. Gdy tylko Marcus wyłonił się ze swojego pokoju, poleciałam do kuchni, podsunęłam sobie krzesło i pograżyłam się w lekturze „Spectatora”. Marcus rzucił okiem na to, co czytam, i od razu zaczął coś podejrzewać. Pięćdziesiąt minut później zauważył wycinek zatytułowany „Za mała męskość?”, zerwał go ze ściany i cisnął do kosza.

Liczyłam na niezłe przedstawienie, ale niestety tylko oparł się ciężko o zlewozmywak, skrzyżował na piersi swe opalone ramiona i zaczął przyglądać mi się groźnie. I choć wiedziałam, że tę pozę ściągnął z filmów z Robertem De Niro, podziałało. Tuż zaczynałam się wiercić niespokojnie, kiedy wkroczyła Michelle z opuchniętą twarzą i sianem na głowie, jęcząc o czarną kawę. Opuściłam ich, oddychając z ulgą. Ale odetchnęłam zbyt pochopnie. Bo Marcus też wyznaje filozofię: żyj i daj umrzeć innym. A zemścił się we wtorek wieczorem.

Weszliśmy z Tomem do mieszkania, kłócąc się zażarcie na temat wyższości czekolady Galaxy nad Cadbury's, gdy moje oczy ujrzały najstraszniejszą rzecz, jaką mogły widzieć od czasu ostatniego rzygania Fatboya (z półki tym razem).

Marcus siedzący przy swoim stole o dębowej okleinie, prze-

glądający ostatai numer „Musclebound” i sącący koktajl bananowy. Zatrzymałam się w niemym przerażeniu, ulotniła się moja euforia. Tom zatrzymał się za mną gwałtownie. Marcus uśmiechnął się jak rekin.

— Co ja widzę — rzekł złowieszczo. — Więc to jest Tom.

Strach sprawił, że byłam prawie pewna, że zaraz zachichocze i doda: „Witaj, przystojniaczku”.

— Tom — powiedziałam, starając się zabrzmieć spokojnie.

— To Marcus. Wynajmuje mi pokój.

Tom, ten niewinny, uśmiechnął się i zawołał:

— Cześć!

Ja — ta winna — zamachałam dłońmi i powiedziałam:

— Marcus, jeszcze nie śpisz?

Marcus wyprodukował kolejny uśmiech ryby piły.

— Jakoś nie mogłem zasnąć. Ale, ale — tu rozłożył ręce w geście bezradności — widać nic się nie dzieje bez przyczyny! Dzięki temu mogę sobie teraz uciąć z wami małą pogawędkę. — U c i a ć p o g a w ę d k ę . Że niby kim on jest, osiemdziesięcioletnią staruszką? A Marcus ciągnął: — Tyle o tobie słyszałem, Tomie.

Co? Nic nie słyszał! Spojrzałam na Marcusa w wielkim strachu.

— Nie przypominam sobie, żebyś ci wspominała o Tomie

— powiedziałam, a napięcie, które dało się usłyszeć w moim głosie, sprawiło, że Tom przyjrzał mi się uważniej.

— Udaje skromni się — zarechotał, kiwając w stronę Toma.

— Zawsze tak się wygłupia przy swoich facetach! Co tydzień!

To już było poważne. Nie wytrzymałam.

— Marcus, przestań się zgrywać. Proszę!

To „proszę” bolało i Marcus dobrze o tym wiedział. Rzucił na mnie jakby nieobecne spojrzenie i dodał:

— Właśnie dziś rano, jak była w łazience, ćwicz...

Przerwaliśmy mu z Tomem w tym samym momencie. Tom zaczął:

— Nie jestem pewien, czy muszę tego...

Ale ja byłam głośniejsza:

— Marcus, no bardzo bym chciała zostać tu z tobą i pogawryczyć o twojej gazetce z pupami i brzuchami, ale jestem naprawdę wykończona, muszę wstać za, ile?, pięć i pół godziny, więc Tom właśnie wychodził, więc, tak, pożegnaj się ładnie z Tomem.

Wytargałam Toma z kuchni. Jakie miałam inne wyjście? Wpakować go do sypialni? Dobra, przyznaję, że zanim Marcus przedstawił mnie jako zupełną zdzirę, taki był mój plan. „Moi faceci” — no rzeczywiście! Przemieściłam się z Tomem do przedpokoju i szepnęłam:

— Przepraszam za niego, pewnie przedawkował te swoje sterydy. Wcina je jak ciasteczka.

Było to — z tego, co wiem — kłamstwo, ale byłam zdesperowana.

Tom przytaknął mi z powagą.

— Pewnie tak. — I po chwili dodał: — Nadpobudliwy jest, prawda?

Kiwnęłam głową żwawo.

— O Boże, tak.

Nastąpiła chwila ciszy, w czasie której klęłam w duchu Marcusa. Musiał brać lekcje u Michelle. Choć i bez nich by sobie poradził.

Posłałam Tomowi sztywny uśmiech i powiedziałam:

— No, to dzięki. Bardzo miło było się z tobą spotkać.

— To ja dziękuję. Świetnie się bawiłem. — Znowu milczenie. — To już lepiej pójdę. Zadzwoń kiedyś.

Kiedyś? Znaczy nigdy.

— Koniecznie — zgodziłam się i upadłam na duchu.

Tom pochylił się i pocałował mnie szybko w policzek. Całe mile od ust, właściwie prawie w ucho. Oddałam pocałunek, ponuro napawając się zapachem jego płynu po goleniu i pomachałam mu na do widzenia. Potem poszłam natychmiast do łóżka i naciągnęłam kołdrę na głowę, żeby nie słyszeć, jak Marcus gwizdże sobie melodię z *Pretty Woman*.

Lizzy uważa, że nie stało się nic złego.

— Jestem pewna, że Tom wiedział, że Marcus tylko żartował — mówi, a ja mam ochotę ją udusić.

— Powiedział, że co tydzień przyprowadzam innego faceta — wyję. — To nie dowcip! To zniesławienie.

Laetitia, która podsłuchuje, rzuca;

— Oszczerstwo! No chyba że to prawda. Ha! ha! ha!

Uśmiecham się do niej słodko, a pod stołem zaciskam dłoń w pięści. Pewnego dnia, gdy będę już piękna i bogata, zaadoptuję tarantulę w londyńskim zoo i nazwę ją Laetitia Stokes. Zwierzam się z mojego zamiaru Tinie, która jest dziś w wyjątkowo dobrym nastroju, a ona mówi;

— Głowę dam, że to kosztuje z dychę, nie więcej, możesz to zrobić już dzisiaj.

To mnie rozwesela, więc kiedy Laetitia wyskakuje na papieroska, dzwonię do zoo i zostaję połączona do Towarzystwa Przyjaciół Zwierząt i działu adopcji. Ku mojej rozpaczy „cała tarantula” kosztuje 70 funtów, ale mogę mieć udziały już za 35 funtów. Zaoszczędzę sobie.

— A czy mogę nadać jej imię? — pytam podstępnie.

— Obawiam się, że nie — słyszę uprzejmą odpowiedź. — Adoptuje pani cały gatunek, a nie danego osobnika. Więc imię nie pojawi się na tabliczce. Ale prywatnie może ją pani oczywiście nazywać, jak pani chce.

Niby po co?! Dziękuję facetowi z zoo za to, że mi poświęcił tyle czasu, i odkładam słuchawkę.

Mija cała środa, a Tom nie dzwoni. W czwartek mam już ochotę do niego zadzwonić, ale nie mogę, bo przez większość dnia jestem poza biurem i nagabuję kobiety na ulicy, żeby wypełnić ósmą stronę tekstem, który mi zleciła Laetitia — „Najgorszy sposób na rzucenie faceta”. Dobrze wiem, dlaczego zadała mi coś takiego. Ponieważ brakuje książąt, Laetitia spotyka się ostatnio z bankierem. Jego rodzina skupowała meble i - choć Laetitia też swoich bynajmniej nie odziedziczyła — co nie spodobało jej się

zupełnie, więc zamierza go ukarać. Biedaczek. A ja utknęłam z tą ankietą. Wracam do biura dopiero o wpół do szóstej.

— Dzwonił ktoś? — pytam pełna nadziei.

— Twoja matka — odpowiada Laetitia krótko. — Jak poszło? Kiwam głową.

— Dobrze, dobrze, mam sporo naprawdę świetnego materiału.

Laetitia mnie ignoruje. Toczę się ociężale do swojego biurka i dzwonię do mamy:

— Widziałam się dzisiaj ze swoją męską pielęgniarką z kliniki — brzmiały jej pierwsze słowa. Panie, miej go w swojej opiece, więc spotkała się z nim.

— I jak było? — pytam nieufnie, ale zaraz dodaję: — Właściwie może mi nie mów teraz, powiesz mi potem. Zarezerwowałam nam stolik na dwadzieścia po ósmej. Mam nadzieję, że się wam z babcią przypadkiem nie odechciało?

— Dziękuję, było bardzo miło — odpowiada moja mama swoim najbardziej nauczycielskim tonem. — A jeśli przez „nie odechciało wam się” masz na myśli to, czy nadal zamierzamy z babcią zjeść z tobą ten obiad, to odpowiedź brzmi: tak.

Chichoczę i mówię:

— Mamo, nie bądź taka napuszona. Nie jestem jednym z twoich uczniów. To do zobaczenia.

Już mam odłożyć słuchawkę, gdy mama piszczy:

— Czy ona jest bardzo elegancka? Jak mam się ubrać?

Milczę chwilę i przypomina mi się, że powiedziałam jej, że restauracja jest w Islington, choć, jeśli miałabym być drobiazgową, powinnam była raczej powiedzieć, że w Holloway.

— Umiarkowanie elegancka — mówię wymijająco. — To nara!

Oddycham z ulgą i wygrzebuję mój dyktafon.

Szukam właśnie jakiegoś pretekstu, żeby odłożyć przepisywanie na kiedy indziej, gdy — alleluja! — dzwoni telefon.

— Halo! — wołam radośnie, modląc się w duchu, żeby to nie była znowu moja matka.

— Helen? — To Tom.

— Czeeeeeeeeeeść! — mówię. Gdy pyta mnie, jak się mam, słyszę po jego głosie, że się uśmiecha. Tymi wilczymi zębami. Wrrr! — W porządku — odpowiadam mu i zastanawiam się, jak zaklasyfikować faceta, który dzwoni do kobiety dwa dni po randce. — A ty? Co u ciebie?

Odpowiada, że u niego też wszystko OK i że tak się zastanawiał, czy będę miała jakąś wolną chwilę w weekend. To jest irytujące. Nie mógłby być bardziej konkretny? No bo, jeśli powiem, że mam czas w sobotę wieczorem, a on wtedy powie, że właściwie to miał na myśli niedzielę, czy nie wypadam wtedy na beznadziejnego nieudacznika towarzyskiego? Chociaż z drugiej strony jest okropnie uprzejmy. Staje się przez to mniej pociągający. Nic na to nie poradzę, ale takie rzeczy mnie odstraszaają. Wpadam na genialny pomysł.

— A może masz czas jutro wieczorem, co? — pytam. — Wybieramy się z przyjaciółmi na drinka. Będzie Tina. Pamiętasz Tinę, prawda?

I znów niemal słyszę, jak się uśmiecha, gdy odpowiada:

— Noc Tequili. Jak mógłbym zapomnieć?

Już drugi raz w ciągu ostatnich pięciu minut odkładałam słuchawkę, oddychając z ulgą. W grupie bezpieczniej. Ale jestem też trochę rozczarowana. Czemu nie miał tyle przyzwoitości, żeby poczekać kilka dni, aż będę się pocić z niepokoju? To doprawdy bardzo zastanawiające i głowię się nad tym dłuższą chwilę, aż nagle uświadamiam sobie, że jest już wpół do siódmej i czas najwyższy jechać do domu. Chowam dyktafon do szafki.

— Przepisywanie zacznę jutro z samego rana — krzyczę do Laetitii, ale mnie ignoruje.

Podjeżdżam pod dom mamy punkt ósma i widzę, jak babcia Flo wygląda zza firanki. Trąbię i macham. Wypadają z mamą z domu dobre dziesięć minut później. Babcia ma na sobie wyblakły, różowy płaszcz, który równie dobrze mógłby być zrobio-

ny z kwiatków ostu. Jej siwe włosy są bardzo wysoko ułożone i bardzo kruche, na nich cienki szal. Na twarzy mamy jest dużo pudru i dużo szminki, a w dłoniach trzyma połyskującą, czarną torebkę. Zastanawiam się, kiedy moja babcia była ostatnio w restauracji.

— Wyglądacie obie świetnie! — wołam, mając nadzieję, że wytworzę miłą atmosferę.

Babcia chrząka. Mama mówi.

— Naprawdę?

Mówię im, że restauracja, do której jedziemy, nazywa się „Nid Ting”.

— Też nazwa! — mówi babcia Flo.

— To nazwa tajlandzka — tłumaczę i od razu zaczynam się zastanawiać, czemu w ogóle się tym przejmuję. Parkują za rogiem.

— Paskudna okolica, prawda? — zauważa mama głośno.

— Ach, jakże byłoby nudno, gdyby wszędzie było jak na Muswell Hill! — wołam wesoło przez zaciśnięte zęby.

Wkraczamy do środka i ku mojej radości dostajemy stolik w przytulnym kąciaku. Babcia Flo lustruje czerwony dywan we wzorki, różowe obrusy, figurki Buddy na parapetach i zaciska usta. Gdy kelner proponuje jej, że zabierze płaszcz, babcia nie pozwala mu i rzuca:

— Nie, dziękuję.

Podejrzliwie obwąchuje postawioną przed nami miskę krewetkowych prażynek.

— To taka tajlandzka przekąska, babciu — mówię. — Smakuję jak koktajl z krewetek.

Mama chrupie krewetki wesoło i mówi:

— Wiecie co? Ja bym się chętnie napiła wina.

Babcia przygląda się innym gościom i cmoka, w szczególności na chudego faceta z kolczykiem w brodzie i bardzo luźnych dżinsach.

— Zbir! — syczy. — To oburzające! I spójrzcie tylko na te spodnie. Nie moja sprawa, ale co za marnotrawstwo materiału!

Zupełnie jak ten obdartus, co przyszedł do nas dziś rano, prawda, Cecelio?

Choćby nie wiem, jak cenne były ostre uwagi babci, chwytam się tej szansy, żeby ją uciszyć.

— Jaki obdartus? — pytam mamę.

— Moja pielęgniarka! — odpowiada.

— O! — zauważam i to wystarcza, by ją zachęcić to roztożenia przede mną opowieści dłuższej niż historia tego świata. Pielęgniarka mojej mamy okazała się kimś całkiem odmiennym od tego, kogo oczekiwała. Jak stanął w drzwiach, uznała, że to jakiś „oprych”. Dopiero po przestudiowaniu jego dowodu tożsamości i po wykonaniu telefonu do kliniki, gdzie potwierdzono, że dowód nie jest sfałszowany, mama postanowiła go wpuścić. (Miał szczęście, że przyjechał, gdy babcia Flo była w hipermarkecie). Ale trudno ją winić. Kozia bródka i bokobrody! Kolczyk w uchu! Plecak! Bojówki! Skąd miała wiedzieć, że to pielęgniarka?! Oczekiwała pani w białym fartuchu! A na imię ma chff!

Co zadziwiające, chff okazał się „uroczy”. Bardzo rozmowny, bardzo zaniepokojony i tak mu było przykro, jak usłyszał o całej tej sprawie z żyletkami, i chciał dokładnie wiedzieć, co się stało i jak to się stało, i jak się mama teraz czuje, i oglądał rany, i to specjalne pudełeczko, które kupiła sobie na lekarstwa. Z chęcią oglądał zdjęcia Morriego, i zaciekawiła go opowieść o tym, jak się poznali (chff zna też inną parę, która poznała się na tańcach, w lokalu, który się nazywa „Ministerstwo”), i w zupełności zrozumiał mamy problemy z utrzymywaniem samochodu. (chff też nie zna się na samochodach, woli jeździć na rowerze, tym wszystkim to zajmuje się jego partner, jak ludzie sobie radzą, gdy zabraknie nagle tej osoby?)

chff zdaje sobie sprawę, że innym trudno pojąć samotność mamy; prosił, żeby mu powiedziała, jak radziła sobie, zanim poznała Morriego. Jak urzeczony słuchał o małym pokoiku, który wynajmowała, gdy już wyprowadziła się z domu, i o tym jak sama ten pokoił pomalowała, w tamtych czasach to było coś, choć teraz to wszystko, wszystko dosłownie się nie liczy. chff

uważa, że ona jest zbyt skromna, wygląda na taką zaradną kobietę! I tak mu zaimponowała, gdy usłyszał o jej ostatnich osiągnięciach na polu finansów! A jednak mimo wszystko trudno nie czuć żalu do kogoś, kto umarł i nas zostawił — jak ona się z tym czuje? Poprosił, żeby oprowadziła go po domu...

Gdy mama opowiada, jak chff ją poprosił, by go oprowadziła, wtrąca się babcia Flo, która dotąd w milczeniu żuła swoją rybę na parze i ryż, zde gustowanie okazując jedynie sapnięciami, i rzuca:

— Namierzał kwadrat!

Szczęka mi opada.

— Słucham? — mówię.

— Florence oglądała dziś serial *Starsky & Hutch* — tłumaczy mi mama. — Podobał ci się, prawda, Florence?

Babcia Flo wzdyga się i stwierdza posępnie:

— To niezły film w porównaniu z tym dzisiejszym chłamem.

Który sprawia, że tkwisz całe dnie przed telewizorem, dodając w myślach. Głośno zaś mówię:

— Czy nie był troszkę wścibski, mamuś? Jesteś pewna, że on jest w porządku?

Mama natychmiast staje w jego obronie. chff to przeuroczy chłopak.

— Palił w naszym domu narkotyki! — drze się babcia Flo.

Marszczę brwi podejrzliwie, ale mama obrzuca babcię spojrzeniem pełnym pobłażliwości.

— Florence, to były skręty. To są zwykłe papierosy, tylko robione ręcznie. A poza tym zapytał, czy to nie będzie mi przeszkadzać. — Mama spogląda na babcię błagalnie, ale (że cytuję moją starą nauczycielkę) brak odpowiedzi to ostra odpowiedź.

I tak znów musimy słuchać o chffie. Jest z niego taki trochę uparciuch, twierdzi mama. Popędzała ją, gdy mu chciała wytłumaczyć, jak to dziś ciężko młodej kobiecie poznać chłopca na tańcach, teraz się już inaczej tańczy, prawda? — zmuszała ją do mówienia na temat — ale poza tym bardzo miły, młody czło-

wiek. Z chęcią słuchał też o tobie, Helen. Powiedział, że miło by było z tobą pogawędzić, więc dałam mu twój numer. Nie nada się na chłopaka, choć może, gdyby się ogolił, zdjął te kolczyki i wyprasował koszulę...

— Co?! — wrzeszczę tak głośno, że para przy sąsiednim stoliku zaczyna nas podsłuchiwać. — Niby po co miałby do mnie dzwonić ten trendy lalusz?

Moja mama wygląda na zakłopotaną. Nawija kluski na widelec i mówi:

— Chyba żeby porozmawiać o mnie.

— A, to w porządku — wzdycham, choć tak naprawdę wcale mnie to nie przekonuje.

Zapada cisza. Moja mama zjada swoją porcję, a potem rzuca:

— Uważa, że na pewno chcę żyć, bo ty na mnie polegasz.

Mało nie wypluwam krewetki z wrażenia.

— Co za bzdura! On mnie nawet nie zna! — piszczę.

— No właśnie! — odpowiada moja mama cała podekscytowana. — Dokładnie to samo mu powiedziałam! Powiedziałam mu, że jesteś osobą bardzo samodzielną!

Przytakuję zadowolona. Mama bierze łyk wody i odchrząkuje. Starannie wyciera usta różową chusteczką. Potem proponuje mi nieśmiało:

— Ale, Helen, gdybyś potrzebowała jakichś pieniędzy, to wiesz, że możesz mnie zawsze poprosić.

Dwie godziny później odwożę je do domu i oddycham z ulgą, gdy znika mi z oczu różowy płaszcz babci. Jak ujęła to babcia Flo: „Ostatecznie nie było tak źle”. W pewnym momencie zaczęłam kusić los i zauważyłam uprzejmie:

— Widzę, babciu, że zjadłaś wszystko ze smakiem.

— Nie lubię, jak się marnuje jedzenie — odpowiedziała mi cierpko i rzuciła mi spojrzenie mówiące: „nawet jeśli to jest jakieś zagraniczne paskudztwo”. Ale doceniam wysiłek, jaki włożyła, żeby się powstrzymać od tych słów. Ojca wspomnialiśmy tylko raz. Ni z tego, ni z owego mama krzyknęła:

— Czy nie byłoby wspaniale, gdyby był z nami Morrie, byli-

byśmy jak prawdziwa rodzina! — Nie chciałam jej mówić, że gdyby był z nami ojciec, wyszlibyśmy wszyscy natychmiast i powędrowali do „Savoy Grill”. A może raczej — co bardziej prawdopodobne — w ogóle byśmy nie były tu razem. Więc nic nie powiedziałam.

Babcia Flo zauważyła szorstko:

— Bóg da, że spogląda na nas z góry. — Ciekawie sentymentalna uwaga. I nikt już więcej o nim nie wspomniał. Byłam tak zdziwiona, że się dobrze bawiłam — nawet jeśli było to trochę masochistyczne — więc gdy wróciłam do domu, to trzasnęłam z wrażenia drzwiami i obudziłam Marcusa. Wiem o tym, bo gdy stałam w łazience i zmywałam warstwy makijażu, wyleciał z pokoju po szklanek wody (słyszałam wściekły szum wody). Wspaniałe zakończenie ostatecznie nie tak złego wieczoru.

ROZDZIAŁ XXIV

Są dni, kiedy myślę sobie, że równie dobrze mogłabym być już po pięćdziesiątce. Nieustannie jestem zmęczona. Nie byłam nigdzie ze dwadzieścia lat. I żyję bez seksu już tak długo, że nie wiem, czy to jeszcze w ogóle istnieje. Uznaję zatem piątkowy wieczór za szansę na wyleczenie się przynajmniej z dwóch spośród trzech przypadłości.

Wieczór zaczyna się, gdy o 18.01 wypadamy z Lizzy i Tina z biura do ubikacji, żeby się zrobić na bóstwa.

— Jeśli już mamy być takie dokładne — przekonuję Lizzy, która czuje się winna, że wychodzi tak wcześnie z pracy — pracowałyśmy i tak dodatkowo trzydzieści jeden minut, więc na twoim miejscu nie miałabym żadnych wyrzutów sumienia.

Tina spogląda na mnie i uśmiecha się złośliwie.

— Znaczą już koniec z twoją wściekłą ambicją?

— Nie chodzi o to, co robisz w ogóle, tylko o to, co robisz, gdy cię widzą. A gdy Laetitia wychodziła z biura za piętnaście szósta, ja oddawałam się niewolniczej pracy — tłumaczę.

Uśmiecham się z wyższością i wygrzebuję z bałaganu w torebce zalotkę (moje rzęsy są nienaturalnie proste i jeśli ich nie podkreję, to wyglądam, jakbym ich w ogóle nie miała). Lizzy otwiera metalową skrzyneczkę, w której można by przechowywać pistolety, z jednej z przegródek wyciąga pędzelek i pudruje twarz. Tina zaczyna od zdrapywania — starannie zmywa cały dzień wacikami i tonikiem. Zwykłe poprawki nie wystarczą dla

naszego pana i władcy Adriana, myślę z goryczą. Wiem, że to podłe z mojej strony, ale ona zupełnie przez niego zwariowała.

— Wreszcie poznam Adriana, już nie mogę się doczekać — mówię, żeby zwalczyć własne złe myśli.

— Fajnie — mówi Tina. — Tylko postaraj się nie mówić niczego obraźliwego.

Otwieram oczy ze zdumienia tak szeroko, jak tylko potrafię.

— Ty impertynencka krowo! To raczej ty próbuj nie mówić niczego obraźliwego przy Tomie. Żadnych dowcipów o siusiani, OK?

Tina uśmiecha się, mówi „zgoda” i odwraca się do lustra.

— Polubisz Toma — mówię do Lizzy. — Jestem tego pewna.

Lizzy posyła mi uśmiech w lustro i wyznaje szczerze:

— Tak się cieszę, że go poznam, tyle dobrego o nim mówiłaś.

Uśmiecham się z wdzięcznością, kończę poprawki i od razu zaczyna mi się nudzić.

— Jak tam nowe mieszkanie? — pytam Lizzy, która właśnie kupiła przestronne mieszkanie na poddaszu w Limehouse.

— Och! — woła Lizzy — jest wspaniałe! Ten widok na Tamizę! Mogłabym na nią patrzeć bez końca. Jest taka piękna.

Mnie zdawało się zawsze, że Tamiza to po prostu śmierdząca, brązowa rzeka, ale zmuszam się do uprzejmości.

— To cudownie. — Może zresztą rzeczywiście z daleka jest malownicza. Nie mnie to oceniać. Okna mojego pokoju wychodzą na ulicę i na niebieski metalik Marcusa, toyotę RAV 4. Zastanawiam się przez chwilę, czy może w jej kamienicy nie ma jeszcze jakichś mieszkań na sprzedaż. — Nie stresuje cię ten długi hipoteczny?

Lizzy przechyla głowę i mówi:

— Nie, nie za bardzo. Mama jest doradcą finansowym i pomogła mi to zaplanować.

No jasne.

— A dużo masz już mebli?

Nie, jeszcze nie. Lizzy chce to robić powoli. Planuje raczej

zbierać pojedyncze „przedmioty ze smakiem” (cokolwiek by to miało być) niż stertę śmieci. Właśnie w zeszły weekend, opowiada nam, widziała wspaniały „szezlong” (nie patrzcie na mnie) za 650 funtów.

— Sześćset pięćdziesiąt! — wybucha Tina. — Czyś ty zwa-
riowała?!

Lizzy wie, że to trochę drogo, ale „jest taki elegancki”. A na-
tle podłogi z klonowego drewna będzie wyglądał po prostu cu-
downie.

Mówię jej, że jeśli tak jej się podoba ten szezlong, to powinna
go kupić, a najwyżej zaoszczędzi na innych luksusach, na łóżku
na przykład.

— A jacy są sąsiedzi? — pytam.

Lizzy krzywi się pociesznie. Niektórzy są bardzo mili, mówi
nam. Właśnie wczoraj pogadała sobie dłużej z Numerem 28. Nu-
mer 28 powiedział jej, że Numer 26 jest „dealerem”. „Och!”,
ucieszyła się Lizzy. „Dealerem samochodowym?”. „Nie — od-
powiedział jej Numer 28 uprzejmie — dealerem narkotyków”.
Tina i ja wybuchamy takim śmiechem, że przestajemy się trząść
dopiero w pubie.

Z mężczyzn pierwszy pojawia się Brian (o ile można go do
nich zaliczyć). Obowiązkowo całuje każdą z nas w policzek,
a potem zwraca się w stronę Lizzy. Patrzy na nią jak miłośnik
sztuki na rzadki obraz, a potem całuje jej dłoń. Lizzy chichocze
i zgarnia włosy za uszy. Nie mogą się powstrzymać od uśmiechu,
choć ten wytworny dżentelmen ma na sobie sweter we wzorki
i szare buty. Tina też się im przygląda. Na pewno żałuje swojego:
„Brian to skończony dupek!”, bo podskakuje nagle i pyta go:

— Co chcesz do picia?

Ale Brian nalega, że to on kupuje. Idzie do baru nabyć niega-
zowaną wodę mineralną, Becka i sok pomarańczowy („Tina, czy
ty się na pewno dobrze czujesz?”).

Spoglądam na Lizzy, która w oczach rośnie z dumy.

— Ach! — mówi Tina i zapala piątego papierosa, a siedzimy
tu dziesięć minut. — Ci młodzi i ich miłość!

Posyłam jej ostrzegawcze spojrzenie — Brian jest tak młody jak każdy osiemdziesięciolatek — ale ani ona, ani Lizzy chyba nie zauważyły gąfy. Wraca Brian i już zamierzam go skreślić, bo nic nie pije, gdy uświadamiam sobie, że właśnie kupił sobie piwo. Rzucam okiem na Lizzy i szukam oznak oburzenia, ale nic takiego nie widzę. Za to głaszczę go po ręce roztkliwiona.

— Wy tam! — mówi Tina. — Siądźcie sobie!

Brian śmieje się. Ku mojemu zdziwieniu okazuje się, że ma sprośny, chłopięcy śmiech. Siada bliźutko Lizzy i zwraca się do całego stolika:

— I co tam w pracy?

Szczęśliwie zostajemy uratowane z tego konwersacyjnego piekła, bo oto nadchodzi mesjasz, alias Adrian. Tina aż podskakuje na jego widok i rozlewa swój sok.

— To nowość — odnotowuję złośliwie, ale mnie ignoruje.

— Moi drodzy — zaczyna oficjalnie, jakby przedstawiała go całej grupie AA. — To mój chłopak, Adrian. Jest architektem.

Adrian pokazuje w uśmiechu zęby tak białe, że aż lśnią, i ścisną rękę każdemu po kolei. Moja robi się nagle mokra, więc najpierw wycieram ją w spodnie.

— Cześć — mówię, myśląc sobie, cholera. Odszczekuję wszystko. To jest mesjasz.

Adrian jest wyjątkowo miły dla oka. Wyjątkowo! Ma na sobie granatową marynarkę na miarę, liliową koszulę i ciemnoróżowy krawat. Jego złote włosy wiją się jak u cheruba i wydawałoby się, że powinien mieć błękitne oczy, ale nie — są brązowe i mają długie, dziewczęce rzęsy. Jest lekko opalony i uśmiecha się pogodnie i szeroko.

— Tina! — mówię z podziwem. — Nie wierzyłam, póki nie zobaczyłam!

Adrian śmieje się i Tina też. Potem biegnie przynieść mu czerwone wino.

Lizzy przytula się mocniej do Briana i świergocze:

— Tyle żeśmy o tobie słyssały!

Adrian uśmiecha się do niej i mówi:

— Mam nadzieję, że same pozytywy.

— Aha! — Chichocze Lizzy.

Tina przybiega z winem dla Adriana i stawia je przed nim z oddaniem. Jezu, to jak remake filmu *Król i ja*.

— No — żartuje Adrian i klepie ją po nodze obutej w pantofelki Miu Miu, aż się cała trzęsie. — Co im o mnie naopowiadałaś?

Tina wygląda na wystraszoną i mówi:

— Nic takiego! A dlaczego?

Adrian postanawia się ponabijać:

— Najwyraźniej wygadałaś swoim przyjaciółkom jakieś nasze sekrety, więc bardzo chciałbym wiedzieć, co to takiego było. — Zabiera dłoń z jej kolan i zaczyna delikatnie masować jej kark, aż Tina drży z rozkoszy. Nie chcę tu zabrzmieć jak Matka Przełożona, ale to czysta obscena. Tak się afiszować! Nie mogą z tym poczekać? Postanawiam ukrócić tę publiczną grę wstępną.

Głośnym, pewnym siebie głosem stwierdzam:

— Mówiła, że jesteś przystojny, mądry i odnosisz same sukcesy, i takie tam, ale ku naszemu rozczarowaniu nie chciała wyjawić niczego z osobistych szczegółów. Więc jesteś zupełnie bezpieczny!

Boję się, że Tina wkurzy się na moją Grinchopodobną zagrywkę, ale ona posyła mi uśmiech. To samo Adrian. Nagradza Tinę pocałunkiem i mruczy:

— Prawda zawsze wyjdzie na jaw! — A więc jest także wyrobiony towarzysko, to okropne.

— Dobra — mówię. — Dość tego!

Zanim zjawia się wreszcie Tom — koło wpół do ósmej, tak jak obiecał — rozmowa schodzi na dziwny ciastkowy zwyczaj Lizzy. Lizzy nie jada „pustych kalorii”, choć staram się ją rozsądnie przekonać, że już lepiej jeść „puste kalorie” niż „nudne kalorie”, a wystarczy przecież zastąpić zieloną sałatę czekoladą i połknąć multiwitaminę. Och, nie, Lizzy w życiu by czegoś takiego nie zrobiła. Choć tak naprawdę to ulega czasem zachciankom. I w takich wypadkach zadaje sobie trud, żeby „połamać

ciastko Digestive bez żadnych dodatków na osiem kawałeczków i jeść po jednym co godzinę". Jesteśmy w szoku.

— I co? Z zegarkiem w rękę? — pyta zafascynowana Tina.

— Ale przecież w ten sposób przez calutki dzień myślisz o jednym mizernym ciasteczku — pisco. — Czy to nie wywołuje u ciebie obsesji? Nie lepiej byłoby je zjeść od razu?

Wybucho głośna debata na temat naszych ciasteczkowych zwyczajów. Tina może sobie położyć całą paczkę ciasteczek na nocnym stoliku i będą tam leżeć dosłownie całe tygodnie, bo ciasteczka nie robią na niej wrażenia. Jej słabością są natomiast bekonowe chipsy, ale one (z niezrozumiałych dla mnie powodów) są nawet wskazane. Ja mogę pochłoniąć piętnaście ciasteczek za jednym zamachem i jeszcze mieć trochę miejsca na dobry pudding, ale, jeśli mam być szczerą, to zależy od tego, jakie to ciasteczka. I nie, nie mam potem wyrzutów sumienia.

— Mogłabym mieć wyrzuty sumienia, gdybym kogoś zabiła — mówię ostro Lizzy, która aż się trzęsie i otwiera usteczka bezradnie jak halibut wyciągnięty z wody. Najwyraźniej niezbędna jest jej do życia groza zbrodni.

Adrian wybucho śmiechem.

— Więc rozpatrujemy sprawę ciasteczek jako kwestię moralną!

Brian — stary, poważny baran — wyskakuje nagle z mową:

— Tak mówicie, a tymczasem wiele jest młodych kobiet, a także młodych mężczyzn, którzy przyznają, że czują się „źle” po zjedzeniu ciastka, nawet „podle”. A zgodzicie się przecież, że użycie słów o takim ładunku emocjonalnym jest bardzo znaczące, gdy chodzi o samoocenę, a w konsekwencji także ich pewność siebie...

Nie mam najmniejszych wątpliwości, że nudziłby tak jeszcze całą wieczność, gdyby nie to, że właśnie w tym momencie do pubu wkracza Tom. Witam go wesoło (pomijając wszystko, wygląda bosko) i Brian jest zmuszony urwać swoje przemówienie. Także Adrian oddycha z ulgą.

Przedstawiam wszystkim Toma — „a Tinę to pamiętasz, ale

nie poruszajmy tematu?" — uśmiecha się, całuje, ściska dłonie i upiera się, że stawia następną kolejkę.

— Więc znasz Toma, jak rozumiem — zwraca się Adrian do Tiny tak szybko, że Brianowi nie udaje się wrócić do wykładu.

— Widzieliśmy się tylko raz — mówi Tina nerwowo, świadoma, że słyszę każde jej słowo i że utopię ją w tym piwie, jeśli choć wspomni o incydencie z siusianiem — wyskoczyłyśmy kiedyś z Helen na małego drinka.

Adrian jest zaintrygowany. Mruży swoje cudne oczęta i pyta:

— To czemu mamy „nie poruszać tematu”?

Nie mam najmniejszego zamiaru pozwolić, by Tina zabawiała nas teraz niekończącą się opowieścią o moim niekontrolowaniu czynności fizjologicznych spowodowanym alkoholem, więc przerywam mu:

— Bo wypiałam za dużo i zachowałam się nie najlepiej.

Rzucam Tinie spojrzenie, które innym ma się wydać zupełnie niewinne, a ją ma zastraszyć. Działa. Zamiast przedstawić mnie jako pijaną kłamczuchę, Tina mówi potulnie:

— Helen bardzo się tego wstydzi. Nie lubi o tym rozmawiać.

Posyłam jej uśmiech.

— Więc to nie mógł być znowu taki mały drink — zauważa Adrian. Ale Tina jest uparta i ma twarz pokerzysty jak strażnik Buckingham Palace.

— Helen jest taka jak ja, mało pije, więc ma słabą głowę.

Szczerze mówiąc, jestem bardzo zdziwiona, że jej nos nie rozrasta się do rozmiarów średniego samolotu i nie wylatuje, tłukąc szybę w oknie pubu. Czuję napad głupawki, więc szczerzę się do Tiny z wdzięcznością i mamroczę, że muszę do toalety.

Gdy wracam, Tina i Adrian świergoczą jak zakochane ptaszęta, a Tom rozmawia z Lizzy i Brianem. Serce mi się ściska ze strachu, błagam, niech Lizzy nie nawija właśnie o weekendach w jurcie albo psychoanalizie Junga. Błagam, niech Tom ją polubi, i niech ona polubi Toma (Brian to inna sprawa). Na szczęście okazuje się, że rozmawiają o Komwalii. Brian urodził

się w Morwenstow, zupełnie na wybrzeżu, i choć w Londynie mieszka już dwadzieścia lat, tęskni za tamtym spokojem.

— Czy tai chi jakoś ci tego nie rekompensuje? — pytam po szelmowsku.

Uśmiecha się i mówi:

— Trochę. Ale przede wszystkim wydaje mi się, że tai chi jest najskuteczniejszym sposobem na syndrom wskazującej stopy. — Wybucho śmiechem, ta gaduła i zołza Lizzy ucieka do toalety, a ja krztuszę się piwem.

— Tak cię strasznie przepraszam — mówię cichutko.

Brian macha ręką na moje przeprosiny i mówi:

— Wybaczone, zapomniane, tak się tylko nabijam.

Wiem, że Tom już chce krzyknąć: „O co chodzi?“, więc pośpiesznie rzucam:

— Czy... eee... czy uprawiasz jakiś sport, Tom? — Wiem, że to durne pytanie, ale to stan wyjątkowy.

— Trochę biegania. Trochę boksu — uprzejmie odpowiada Tom. — Ale nie jestem w tym najlepszy.

— Gadanie — krzyczę. — Założę się, że jesteś świetny! — Głównie, żeby podtrzymać ten wątek rozmowy i nie wracać do stóp Briana.

— Tak? — dziwi się Tom i spogląda na mnie z promiennym uśmiechem. — A niby czemu byś się o to założyła? — I patrzy na mnie tak, że czekolada by się stopiła.

Potrząsam stopą, żeby się przestać czerwienić. Potem odwzajemniam spojrzenie, dla zabawy ściskam jego ramię i mruczę:

— Wyglądasz na twardego faceta. O! Jesteś twardy!

Prawdę powiedziawszy, jako kobieta-wamp jestem zupełnie beznadziejna. Zawsze stają mi na przeszkodzie nierówne chodniki, psy w rui i uparcie nie otwierające się drzwi. Ale tego wieczoru jestem bezwstydną. Przygryzam wargę znacząco (przynajmniej mam nadzieję, że tak to wypada) i szepczę:

— U, bardzo twardy. — I modłę się w duchu, żeby Tom mnie nie wyśmiał.

Tom przysuwa swoje usta do mojego ucha i mówi cichutko:

— Sprawdź mnie.

Moje serce robi jakąś dziwną rzecz — albo utknął mi w klatce piersiowej tańczący zając, albo mam jakąś palpację i muszę natychmiast iść do lekarza. Wytrzymuję jakoś spojrzenie jego błękitnych oczu, płoną mi policzki i mamroczę:

— Tylko spróbuj mnie powstrzymać.

Lizzy i Brian mają na tyle przyzwoitości, żeby rozmawiać dalej już tylko we dwojkę.

Przysuwam się bliżej Toma, aż stykamy się udami i wali mi serce. Czuję pożądanie, ale nie tylko to. Jest jeszcze coś, choć nie umiem tego określić. Siedzimy w tym barze i flirtujemy bezwstydnie, aż zaczynają zamykać lokal. Więc idziemy do małego, ciasnego klubu w Soho i wydzieramy się, żeby przekrzyczeć muzykę, dotykamy się dłońmi, a ja wciąż nie umiem tego określić. Tina i Adrian idą do domu, bo są wykończeni, a Adrian jutro rano musi popracować, Lizzy oświadcza, że też zamierza jutro wstać wcześniej, by zacząć robić świąteczne zakupy (zostały już tylko trzy tygodnie!), a ja wciąż nie mogę tego określić.

Wytaczamy się z Tomem na ulicę, trzymamy się za ręce, zjadamy okropnie niedobre kebaby, a serce mi ciągle wali i wciąż nie umiem tego określić. Potem wypluwam kebab do śmietnika, a on mnie przyciąga do siebie i całuje, całuje, i tulimy się mocno, i ten zając tupie i tupie ze sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, i całujemy się, i całujemy, i całujemy, i nagle już wiem, co to jest, i odsuwam się trochę, żeby zaczerpnąć powietrza. To strach. Nie wiem przed czym, i nie wiem, czy Tom to wyczuwa, ale nic nie mówi. Całuje mnie powoli i głaszcze mnie po głowie. Potem woła taksówkę.

A potem jeszcze jedną — dla siebie.

ROZDZIAŁ XXV

Gdy byłam w college'u i miałam nikły kontakt z szarą rzeczywistością, przez chwilę cierpiałam na nadmiar pewności siebie. W dużej mierze wynikało to z tego, że uciekłam wreszcie od rodziców. Poza tym większość studentów bardzo chętnie doszkała się w zakresie wiedzy o seksie, więc jeśli tylko chciało się ją poszerzyć, łatwo było znaleźć korepetytora. Yoda Jabba by się załapał. Właściwie to nawet się z nim całowałam kilka razy.

Więc to był szok, kiedy wyruszyłam na łowy z dziewczyną o imieniu Beatrycze, która była płaska jak deska, a tymczasem facet, którego sobie upatrzyłam, wprawdzie kupił nam obu po drinku, ale to ją poprosił do tańca. Następnego dnia wpadł do mnie Luke i — zasiewając tym samym nasienie mej nieodwzajemnionej miłości — przyprowadził ze sobą Marcusa. Postanowiłam rozgryźć wraz z nimi tę zagadkę. Bez wątpienia wierzyłam, że napaleniem można się zarazić.

— Czy myślicie — spytałam, wyjadając łyżeczką masło orzechowe ze słoika — że chciał się wydać niedostępny? Użył Beatrycze, żeby wzbudzić we mnie zazdrość?

Marcus z fascynacją przyglądał się, jak opróżniam słoik, i oświadczył (były to pierwsze i ostatnie słowa, jakie powiedział do mnie przez następne pięć lat):

— Złotko, tu nie ma żadnej tajemnicy: podobała mu się Beatrycze! Gdybyś ty mu się podobała, przeleciałby ciebie!

Przypominają mi się te pełne poezji słowa o trzeciej nad ranem w sobotę, gdy płacę taksówkarzowi i idę do domu — sama. Tak,

to ja pierwsza odsunęłam się od Toma. Zresztą sama nie wiem, co o nim sądzić. Czemu musiał tak posłusznie pójść w moje ślady jak jakieś głupie psisko? Własnego rozumu nie ma? Wbiegam do mieszkania i mam już otworzyć drzwi pokoju jednym mocnym kopnięciem karate, gdy zauważam przyczepioną do nich karteczkę: „Zebranie Mieszkańców. Salon. Sobota. Godz. 10.00 rano. Obecność obowiązkowa”. Mieszkać z Marcusem to jak żyć w koszarach. Zrywam karteczkę i nastawiam budzik na drugą po południu.

Usypiam i śni mi się ten sen o pustym domu. Wciąż prześladują mnie ci sami goście, a ja ukrywam się w tym samym kredensie, ale ponieważ byłam tam już ze czterdzieści razy, to się przyzwyczaiłam. Przyczajam się w szafie, a ktoś, czy coś, biegnie po schodach, strasznie tupiąc, łup! Łup! Łup! I zaczyna walić w drzwi szafy, łup, łup, łup, głośniej i głośniej. Budzę się przerażona i zlana potem. Łup! Łup! Łup! Marcus dobija się do moich drzwi i śpiewa:

— Za piętnaście dziesiąta! Pobudka!

Ciskam kapciem w drzwi i chowam głowę pod poduszkę. Marcus nie przestaje walić. Łup! Łup!

— Już dobrze! — wrzeszczę. — Już idę na twoje pieprzone zebranie, zostaw mnie w świętym spokoju!

Zwlekam się z łóżka, klnąc pod nosem. Wkładam szlafrok, sunę do kuchni i robię sobie kawę. W mojej części lodówki nie ma mleka (właściwie nie ma nic), więc kradnę Marcusowi. W jego części są aż dwa kartoniki mleka, a przy nich wiadomość: „Do jednego z tych kartoników nalałem wybielacza i tylko ja wiem, do którego”. Już mam ochotę dopisać: „Fatboy nasikał do obydwu kartoników...”, ale nagle orientuję się, że jeden z nich jest w ogóle nie otwarty. Kretyn.

Także Luke został wywleczony z łóżka. Wygląda na zmęczonego i jest rozczochrany.

— Kawy? — pytam go.

— Tak, poproszę.

— Dobra — mówię. — Kubek na półce, kawa w słoiku, a mleko w lodówce.

Rzuca mi zawiedzione spojrzenie i mówi:

— Ach!

Więc szczypię go w policzek i wołam:

— Żartowałam! — I robię mu kawę. Fatboy też już jest na nogach, przeciąga się, ziewa i chce jeść. Jesteśmy przyzwyczajeni do Marcusowych Zebrań Mieszkańców. Zwołuje je co jakiś czas, żeby nas ochrzanić, gdy nasza flejtuchowatość osiągnie crescendo, a my wtedy mówimy, że bardzo nam przykro i że już nie będziemy, a potem robimy dokładnie to samo.

Więc jestem w szoku, kiedy Marcus mi mówi, że mam się wynieść do końca tego tygodnia.

— Ale ja nie mam dokąd pójść! — jęczę.

— To nie mój problem — stwierdza chłodno. Lodowatym spojrzeniem lustruję czarne włosy wystające z jego nosa. Nie będę płakać ani się kłócić, bo nic nie sprawi mu większej przyjemności. Luke próbuje stanąć w mojej obronie, ale uciszam go, bo nie chcę, żeby też wyleciał.

— Marcus — kłamię — robisz mi wielką przysługę. A poza tym wystają ci czarne włosy z nosa. Jak zęby chomikowi. — I wychodzę z salonu do mojego pokoju, gdzie opadam na łóżko.

Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę, ale powinnam. Oczywiście, to się musiało tak skończyć. Jakby się miało skończyć inaczej? Może i Marcus jest okropną kutwą, ale ma też swoją dumę jak, hm, jak każdy mięśniak. Wiem o tym. A w dodatku, odkąd mnie odtrącił, dźgałam go w czułe miejsce. Choć trzeba bardzo starannie celować, żeby utrafić w tak mały punkt. Rozumiecie, co mam na myśli. Wydawało mi się, że nie będzie szukał zemsty? Byłam chyba tak pochłonięta tym dręczeniem go bez końca, że w ogóle nie myślałam o konsekwencjach.

Spoglądam wstecz i wydaje mi się, że nie byłabym zdolna powstrzymać się i nie dokuczać mu więcej. Tkwię w jakimś bagienku nienawiści, które zupełnie pochłonięto wszelkie moje racjonalne odruchy, i nie wiem, czemu tak jest. Jeśli mam być szczerą — a w tym akurat nie jestem najlepsza — co on mi właściwie zrobił takiego złego? Po prostu sprawdził, czy jestem

odpowiednich rozmiarów i okazało się, że mu nie odpowiadam (i nawzajem zresztą). Jego kruche ego musiało w końcu się złamać, i tak się stało. Powinnam być na to przygotowana, ale nie jestem. Jestem przerażona. Znowu. Mała, spłoszona myszka. Powinnam się cieszyć z odzyskanej wolności, ale nie potrafię. Może i mieszkanie z Marcusem to piekło, jednak znacznie bezpieczniejsze niż kroczenie samemu. Mieszkać z Marcusem, to jak utknąć w znienawidzonej pracy. Niby wiesz, że powinnaś przestać psioczyć, zrezygnować i znaleźć sobie coś lepszego, ale paraliżuje cię stracił przed tym, co cię czeka na wolności. Ale teraz Marcus przeprowadził redukcję zatrudnienia i nie mam wyjścia.

Dzwonię do Toma.

Nie zamierzałam. Przemysłałam nasze wczorajsze spotkanie i doszłam do wniosku, że mój strach jest instynktowny. To ostrzeżenie. Bo widzicie, ja lubię Toma. Ciągnie mnie do niego jak żeglarza w kierunku latami. Macha na mnie tą srebrną płetwą, spogląda tymi swoimi oczami, które mówią „pieprzmy się”, a ja powoli zaczynam tonąć przez te jego sztuczki. Czeką na mnie z taką uczciwością, jakże mogłabym się oprzeć? Chodzi o to, że nie jestem pewna, czy wkurzyłyby mnie bardziej, gdyby ta jego uczciwość była prawdziwa czy udawana. Z takimi jak Jasper przynajmniej wiem, czego się spodziewać. Żadnego udawania. Faceci ochoczy, szczerzy i twoi na zawsze to mit. Może i chcę być oszukiwana? Ale zawahałam się i Tom uciekł. Wymknął mi się w oceanie Soho i zniknął. I to ma być na zawsze?

Myślę o tym wszystkim, a potem myślę, pieprzyć to, i tak do niego dzwonię.

I nie ma łajdaka w domu!

Więc zamiast, tego dzwonię do mamy.

— Babcia Flo chce zamienić z tobą słówko! — mówi mama, zanim zdołam wydusić jedną sylabę. Chcę nawet zapytać po co, ale babcia przejmuję słuchawkę w okolicach „p”.

— Halo? — woła babcia.

— Cześć, babciu, co tam u ciebie?

— Dziękuję, dobrze. Oglądałam wczoraj bardzo interesujący program w telewizji.

Hm. Do czego dążymy?

— Tak? — pytam grzecznie.

— O jajnikach — mówi babcia. Dziwne. Przecież nie ma jamnika, ani ja nie mam. Babcia nie lubi nawet Fatboya.

— O jamnikach? — ciągnę uprzejmie.

— O jajnikach! O tym, że można zamrażać komórki jajowe! Nie masz chłopaka! Nie chcesz się ustatkować! A czas nie stoi w miejscu! Twoje komórki jajowe umierają! A zamrażanie to bardzo proste rozwiązanie!

Dziękuję babci za troskę, mówię, że to przemyślę, i proszę do telefonu mamę. Pierwsze słowa mamy brzmią:

— Nie mam z tym nic wspólnego! — Oprócz namawiania i podżegania, myślę sobie. Ale puszczam to wszystko mimo uszu, bo mam ważniejsze problemy do omówienia.

To jest moją zbliżającą się bezdomność.

— To zamieszkaj z nami — woła mama. Już sobie to wyobrażam. Trzy wiedźmy i rudy kot. To by było jak w blaszanym bębenu. Mówię jej, że jest kochana, ale nie, dzięki. Potem do piątej marudzę, rozpaczam i szczotkuję Fatboya — który próbuje uciec i drapie w drzwi — a tymczasem liczę na to, że zjawi się dobra wróżka i uratuje mnie jakoś przed wylądowaniem na ulicy lub przed (co gorsza) mieszkaniem z Psychomamušką i Kobieta-Jajnikiem.

Pięć po piątej dochodzi mnie głośny klakson z parkingu. Wyglądam przez okno i widzę, jak z czerwonego golfa wylania się Ivana Trump. Jej fryzura jest wielka jak stodoła. Pewnie dziś z Marcusem wybiera się do jakiejś szykownej knajpy, na przykład do „Hard Rock Cafe”. Jak on mógł? Wybrać ją? I wkurza mnie to, mimo że go teraz nienawidzę i nie pieprzyłabym się z nim nawet dla sportu. W porównaniu z tym zdrada Michelle to nic. Ocieram łzę i z braku innych pomysłów przeglądam się mo-

jemu brzuchowi w lustrze. Jest przeogromny — jakbym była w ósmym miesiącu ciąży, niepokalane poczęcie!

Głazczę się po brzuchu z fascynacją i przypominam sobie, jak kiedyś, zanim się stałam mądrzejsza, powiedziałam Marcu-sowi, że nie jestem pewna, ale chyba przytyłam w nogach. Po-wiedziałam o tym ze zdziwieniem, jakby to był „cud świata”, a on rzucił tylko; „Jesz gównno, to wyglądasz jak gównno!”. Zawijam się z powrotem w szlafrok i rzucam na łóżko. Musiałam chy-ba usnąć, bo nagle Luke trzęsie mną niemiłosiernie i wciska mi w twarz słuchawkę.

— Telefon — wrzeszczy niepotrzebnie.

— Kto? — pytam cichutko.

— Tom! — drze się.

Wyrrywam mu słuchawkę.

— Dzięki, Luke.

Tom jest bardzo miły, ale nic nie mówi o wczorajszej nocy, tylko że dobrze się bawił. Tak? I co to ma niby znaczyć? Że sma-kował mu kebab? Pyta, co u mnie. Zaczynam nonszalancko i wy-zywająco, ale wypływa ze mnie nagle cała zazdrość, i konsternacja, i rozpacz, i ku mojemu przerażeniu głos mi się łamie.

— De facto — pociągam nosem, z zasady nie używam tego zwrotu — nie mamy się z Fatboyem gdzie podziąć!

Tom milczy, a potem pyta:

— A co robicie z Fatboyem dziś wieczorem?

Zastanawiam się nawet, czy nie wcisnąć mu sakramenckiego kitu.

— Nic — chlipię.

— To może bym do was wpadł? — pyta Tom.

Wiem, że powinnam powiedzieć nie, żeby zachować przy-najmniej resztki godności. Ale, jak już wspominałam, nienawidzę słowa „powinnam”.

— Tak!

— Nie ruszajcie się. Będę u was za kilka godzin — mówi Tom.

Przez pikosekundę stoję oszołomiona, a potem rzucam się

w wir działań. Pierwsze, co robię, to lecę do lodówki, gdzie czeka na mnie wiemy ogórek, z naklejką „własność Marcusa”. Odcinam dwa grube plasterki, żeby ułożyć je na moich opuchniętych oczach, a potem pozostały kawałek ogórka wtykam do śmietnika — w geście symbolicznym.

ROZDZIAŁ XXVI

Zawsze miałam ochotę przewidywać przyszłość —jeśli tylko pominąć kryształową kulę i te spódnice z frędzelkami, to jest naprawdę wspaniała rzecz. A przecież mogłabym schować Fatboya w kredensie, a nabyć birmańską kotkę o złotych oczach i czekoladowym futerku, żeby podkreślić mój tajemniczy image. Ale ponieważ wciąż nie udaje mi się przewidzieć pogody, ani tego jakie buty włoży tym razem Michelle, musiałam pożegnać się z moimi snami o wielkich kolczykach i wrócić do banalnej rzeczywistości. A zresztą, prędzej bym się dała spalić na stosie, niż zamieniłabym mojego rudego dachowca na rasowe zwierzę. Ale nadzieja nigdy nie umiera, więc kiedy dzwoni telefon, gdy właśnie latam w kółko i próbuję zmienić mój pokój ze speluny w buduar, zgaduję: Tina.

Dzwoni Lizzy.

Więc pytam, jak tam świąteczne zakupy.

— Zrobione! — cieszy się Lizzy.

— Jesteś niesamowita — mówię jej. — Niesamowita. Co kupiłaś?

Lizzy recytuje listę pomysłowych i doskonałych prezentów. Zachwycam się, jak należy.

— Ja to nigdy nie mam pomysłu, co kupić! Przynajmniej — i tu mówię „uff, żeby dać do zrozumienia, że to dowcip — w tym roku nie będę musiała się martwić prezentem dla taty. To był zawsze koszmar! Nawet jak mu kupiłam książkę o golfie, też jej nie przeczytała!

Lizzy cmoka.

— Na pewno się mylisz! Choć to fakt: święta i urodziny są najgorsze! Jak sobie z tym wszystkim radzisz, Helen? Nigdy o nim nie mówisz.

Jestem wzruszona, ale czuję się w obowiązku wyprowadzić ją z błędu:

— Lizzy, jesteś taka kochana, ale przestań mnie ciągle wypytywać! Wszystko w porządku. Mamie bardzo się spodobały te chorały gregoriańskie. Poza tym Vivienne opowiedziała dosłownie wszystkim tę drastyczną historię o tym, jak sama jedna uratowała mamę od strasznej śmierci, więc upiorne przyjaciółki mojej mamy poświęcają teraz masę uwagi. A co do babci Flo, ruszyć się nie może, żeby zaraz ktoś się na nią nie rzucał. Jest naprawdę super.

Lizzy milczy.

— No tak, ale jak ty się z tym czujesz? — pyta uparcie.

Marszczę brwi.

— Czy ty przypadkiem nie rozmawiałaś znowu z tym swoim znajomym psychiatrą?

— Nie! — mówi Lizzy tak szybko, że od razu wiem, że kłamie.

— Liz, ja wiem, że trudno ci to zrozumieć, ale myśmy z tatą naprawdę nie byli ze sobą zbyt blisko. Wiem, że chcesz dobrze, i nie zrozum mnie źle, ale jak mam być szczerą, to nie myślę już o tym za dużo, więc trochę się głupio czuję, kiedy mnie tak ciągle wypytujesz. Rozumiesz?

Po drugiej stronie zapada cisza, więc domyślam się, że kiwa głową.

— Dobra — mówi w końcu z oporem. — Ale proszę cię, jak tylko będziesz chciała z kimś o tym pogadać, to pamiętaj o mnie.

— Jasne, jasne — mówię i dodaję: — Przecież nie będę wyciągać Adriana z łóżka!

Lizzy chichocze.

— Jeśli o mnie chodzi, to bardziej mi się podobał Tom.

— Naprawdę? — Jestem zachwycona.

— Tak, zdecydowanie tak. Widać, że jest w tobie bardzo zakochany.

Błogosławiona niech będzie Lizzy. Tylko ona ma odwagę powiedzieć „zakochany” i to bez ironii. Uwielbiam Lizzy, ale zażewia mnie to, jak udaje jej się funkcjonować bez szwanku w twardej rzeczywistości, i więcej, wciąż odnosić w niej sukcesy. Jest jak żywcem wyjęta z powieści Jane Austen, naprawdę.

Więc opowiadam jej, co się stało. Trochę dlatego, że wysłuchiwanie jej komentarzy działa na mnie kojąco. Jej świat jest taki piękny i usłany różami, a mój brzydki i do dupy. Przedstawia mi swoją teorię: Może Tom chce poczekać, aż będzie miał pewność, że i ty tego chcesz. Bez kitów.

— Ale to facet! — ryczę. — Jak się im podobasz, to cię przełatują!

— Co?! — krzyczy Lizzy bardzo głośno. Wygląda na mocno zaferowaną. — Czy naprawdę uważasz, że jako kobieta nie masz nic do powiedzenia? Że jesteś tylko biernym przedmiotem? Że wszyscy faceci to brutale? Albo że powinni nimi być?

Brutale! Chwileczkę, z nas dwóch to ona jest bardziej dziewczęca. Ja nie płakałam na *Bezsenności w Seattle*.

— Nie — próbuję się bronić. — Przekręcasz moje słowa. Próbujesz się bronić.

(To mój niezawodny sposób na wytrącenie przeciwnika z równowagi. Wzięłam go z maila od kogoś z działu reklamy. Inne wskazówki z tego samego źródła: wymyślaj cytaty. Powiedz: „Sama sobie przeczysz”. Albo: „Podobne przekonania miał Adolf Hitler”).

Lizzy mnie wkurza, bo wcale nie daje się złapać na moje sztuczki. Zupełnie spokojnie mówi:

— Masz alergię na ludzi, którzy traktują cię z szacunkiem, na jaki zasługujesz.

Żeby jej udowodnić, że się myli, mówię, że za jakieś dwadzieścia minut przyjeżdża do mnie Tom.

— No to może lepiej przestańmy gadać o bzdurach i odłóż słuchawkę — mówi uroczo i żegna się ze mną. Odkładam słuchaw-

kę i nagle myślę, chwileczkęto ona zadzwoniła do mnie. Robi postępy.

Ktoś dzwoni do drzwi i zamieram. Nie może być tak wcześnie. To nieuczciwe! Przygryzam wargę w nadziei, że spuchnie mi w uroczą, kapryśną minkę i z nastawieniem kamikadze otwieram drzwi na oścież.

— A kuku! — woła mama i rozkłada ręce szeroko jak młoda Shirley Tempie. Babcia Flo czai się za jej plecami z kwaśną miną.

— Możemy wejść? — krzyczy mama ślepa na fakt, że twarz jej córki wyraża bezbrzeżną rozpacz.

— Oczywiście! — mówię, bo przypomina mi się obietnica złożona doktorowi Collinsowi i zmuszam się do uśmiechu. — Chodźcie do kuchni. Babciu, może herbaty?

(W chwilach zwątpienia odwołuję się do wytartych frazesów. Dają mi czas do namyśli. Ale tym razem, choć łamię sobie głowę nad tym, jak wybrnąć z tej sytuacji, mój umysł uciał sobie drzemkę i nie chce, żeby mu przeszkadzano). Zdażyłam nalać babci herbaty, mamie rumianku i znaleźć w pokoju pół paczki ciasteczek, gdy znów ktoś dzwoni do drzwi:

— A któż to może być! — świergoce moja mama, która najwyraźniej wciąż bierze te swoje tabletki.

— To może być mój kolega, Tom — mruczę.

Gdy jestem w przedpokoju, słyszę jak mama krzyczy:

— Tom! Tom? Czy ja go znam? — A babcia warczy:

— Tim! Tom! Kto ich tam wszystkich policzy?

Ściskam nos opuszkami palców, przyklejam sobie do twarzy uśmiech i otwieram drzwi. Tom wymachuje mi przed nosem wędnącym bukietem jaskrawoniebieskich nagietków owiniętych czymś, co kiedyś było chyba serwetką.

— Kradzione! Takie są najlepsze — oświadcza.

Wzdycham z zachwytu i wołam:

— Rzadkie i bezcenne turkusowe nagietki! Nie trzeba było!

śmieje się i mówi:

— Dałem w zastaw moje ferrari.

— chyba nie swój plakat z ferrari? — odpowiadam słodko.

Kiwa głową i mówi:

— Ale nie martw się, porsche 911 wciąż wisi na ścianie!

Czuję niewytłumaczalny przypływ radości i — zanim mam czas, żeby się nad tym zastanowić — podchodzę bliżej i całuję go w usta. Już mam się odsunąć, gdy przytula mnie mocniej i całuje, więc zamykam oczy, i pozwalam się całować, a moje serce zaczyna wykonywać jakieś szalone tańce, i czuję ciepło jego ciała, i nagle słyszę:

— Hop! Hop! Jest tam kto? — Całą chwilę psuje do szczętu belferski ton mamy, a Tom odskakuje przerażony.

— Mama z babcią zrobiły mi niespodziankę i wpadły — tłumaczę pośpiesznie. Tom pochyła się szybko, liże mnie delikatnie i prędko w górną wargę i powoduje tym samym mocny skurcz w mojej pochwie. Muszę się go przytrzymać, żeby nie stracić równowagi. Boże drogi! Co to było!

— No, to na co czekasz? — szepcze Tom. — Przedstaw mnie.

Półprzytomna, podśmiewając się jak wiejski głupek, prowadzę Toma do kuchni i przedstawiam.

— Nie śpieszyło wam się — zrzędzi babcia.

— Jakie piękne kwiaty! — woła mama. Modłę się, żeby nie zadała pytania w stylu: „Czy to twój chłopiec?”.

— Czy to twój chłopiec? — pyta mama i otwiera szeroko oczęta.

— Tom i ja jesteśmy tylko dobrymi przyjaciółmi — mówię, próbując nie okazać paniki.

— Jestem weterynarzem Fatboya — dodaje Tom pomocnie.

Mama rzuca mu pożądliwe spojrzenie i mówi:

— Rozumiem.

— I po co to komu? Za moich czasów pies to był pies i tyle — mówi babcia Flo nieco opryskliwie.

— Rozumiem, co pani ma na myśli — odpowiada Tom uprzejmie.

— Dobrze, że chociaż ktoś — mówię pod nosem, a głośno:
— Tom, może chciałbyś herbaty i są ciasteczka...

Mama, która nie odrywa od Toma wzroku, pokrzykuje na mnie na pokaz:

— Helen, nie masz niczego konkretniejszego? — Mam ochotę spytać: „Może moje ciało?”, żeby się zamknęła, ale jej pytanie jest retoryczne. Dodaje jeszcze: — Nie możesz wymagać od młodego mężczyzny, żeby żył na samych ciasteczkach.

Tu do boju staje też babcia Flo.

— Mężczyźnie trzeba porządnego posiłku!

A kobieta, jak rozumiem, może żyć samymi słodyczami i powietrzem. W mojej głowie rodzi się pewien plan. I choć moim najszerszym życzeniem jest, żeby ta upiorna dwójka znikła w dymie siarki (przynajmniej do jutra), mówię zwyczajnym tonem:

— Mamuś, babciu, a gdybym tak skoczyła do sklepu i kupiła coś dobrego dla Toma, czy zostałybyście z nim, z nami na kolacji?

Babcia Flo odpowiada tak szybko, że jej sztuczne zęby prawie wypadają na stół:

— Skoro nalegasz, ale nami się zupełnie nie przejmuj!

Mama zaś mówi:

— Czemu nie! Tylko żadnej cebuli i czerwonej papryki. Bo od cebuli i papryki dostaję migreny.

„Dostajesz jej raczej od tego swojego ciągłego nawijania”, myślę w duchu, ale nic nie mówię. Odwracam się w stronę Toma, który, tu należą mu się brawa, jeszcze nie uciekł.

— Tom — mówię i nie mam odwagi spojrzeć mu w oczy. — Byłbyś tak miły i poszedłbyś ze mną do sklepu?

Bo nie mogę go przecież zostawić tu na pastwę tych potworów.

Widzę błysk w jego oku, gdy mówi:

— Nie, nie, nie, to ja pójde do sklepu, a ty zostaniesz tu i dotrzymasz towarzystwa mamie i babci. Przecież nie można pań zostawić samych.

Babcia Flo kiwa głową.

— Racja, racja!

— Odprowadzę cię do drzwi — zgadzam się z przekąsem.

Gdy tylko wychodzimy z kuchni, próbuję go rąbnąć, ale robi unik i gdy zamyka za sobą drzwi, posyła mi szyderczy, małąpi uśmiech.

— Dobrze wychowany młodzieniec! — zauważa babcia, gdy wracam do kuchni i spogląda na mnie, jakby chciała dodać „w przeciwieństwie do ciebie”. „Błagam, mówię sobie w duchu, tylko mnie do niego nie zniechęcaj”.

— A gdzie ten przeiły chłopiec, Luke? — woła mama. Ona jest nienasycona!

— Chyba w pracy — mówię.

— W sobotę wieczorem? — dziwi się mama.

— Pracuje w pubie — tłumaczę. Babcia Flo zaciska usta z pogardą. — Luke bardzo ciężko pracuje — dodają zirytowana.

— Zapewne — mówi babcia.

— Ja tam lubię Luke'a — woła moja mama. — Jest uroczy.

W jej stanie hormonalnym pewnie i Frankensteina uznałaby za urocze. Zaczynam się zastanawiać, czy udałoby mi się namówić Luke'a, żeby pomalował sobie twarz na szaro i przykleił śrubę do szyi, żeby sprawdzić tę moją hipotezę, gdy nagle do kuchni wpada Marcus.

Ma na sobie eleganckie, kremowe, drelichowe spodnie, koszulę żółtą jak kurze żółtko, a włosy ma tak natapirowane, że są aż sprężyste jak idealnie wypieczony suflet. (A wiercie mi, że się już trochę na tym znam). Na widok mojej rodziny jego wyniosłość zmienia się w niepokój.

— Dobry wieczór — mówi zakłopotany.

Babcia Flo przygląda mu się uważnie.

— Czy to ten? — pyta głośno. Widzę na twarzy Marcusa przerażenie odbite z mojej.

— Nie, Luke jest blondynem — rzucam w desperacji.

Ale babci nie powstrzymają takie tanie chwytły.

— Nie! — wyje. — Czy to ten, który cię wyrzucił z domu?

— Nie wyrzucił mnie z domu! Bardzo się cieszę, że się stąd wyprowadzam! — rzucam popiesźnie.

Mama zaczyna się gubić.

— Tak? — pyta. — Wydawało mi się że mówiłaś...

Postanawiam jej przerwać pierwszą błażostką, jaka mi przyjdzie do głowy.

— Marcus jest chłopakiem Michelle, mamó. Pamiętasz Michelle?

Moja mama wzrusza ramionami i bez zainteresowania przyznaje:

— Jak przez mgłę.

Ponieważ mama zna Michelle od jakichś dwudziestu lat, takie stwierdzenie ma być w jej mniemaniu zniewagą. Nie mówiłam mamie nic o perfidii Marcusa i Michelle, więc wiem, że mama osobiście nic do niej nie ma. Po prostu entuzjazm Cecelii względem młodych kobiet jest znacznie mniejszy niż względem młodych mężczyzn. Rzuca okiem na Marcusa, mruży oczy, przygląda mu się uważniej. Patrzy na niego jak skąpiec na garnek pełen złota.

Marcus nerwowo poprawia włosy i drapie się czubkiem mokasy.

— To ja już lepiej... — zaczyna, ale mama mu przerywa.

— Siadaj! — rozkazuje. Patrzę na nią z wściekłością, ale nie zauważa. Marcus siada z kamienną twarzą. Mama przysuwa sobie bliżej krzeselko i nagle pyta:

— Florence, czy nie wydaje ci się, że on jest podobny do Maurice'a?

— Ani trochę! — wrzeszczy babcia. Przyspila Marcusa spojrzeniem, odwraca wzrok, potem znów mu się przygląda i dodaje cichutko: — Bzdura. — Ale nie odrywa już od niego spojrzenia.

— Nie gadajcie głupot! — krzyczy jakiś głos, który okazuje się, co ciekawe, moim głosem. Dzwoni dzwonek i lecę otworzyć drzwi.

Tom podnosi plastikową torbę i mówi:

— Kupiłem jajka, bo tak pomyślałem o zębach twojej babci.

— Świetnie — przytakuję żałośnie.

Tom marszczy brwi i szeptem pyta:

— Co jest grane?

Łapię się za głowę, wznoszę oczy ku niebu i równie cicho mówię:

— Szkoda gadać.

Drepczemy do kuchni, gdzie Marcus i jego fryzura wciąż nie mogą się wydostać z pułapki.

Mama trzyma go za rękę i woła:

— Usta i oczy są dosłownie te same, te same! Helen! To niesamowite!

Z trudem panuję nad sobą.

— To wcale nie jest niesamowite — zauważam. — Bardzo cię proszę. — Mój głos wypada jakoś ostro i pobrzmiwa w nim panika. Oszalała. Już dosłownie wszyscy przypominają jej ojca. Następny będzie Fatboy („Ma dokładnie taki sam apetyt, choć przyznaję — tu dziewczęcy śmiech — twój ojciec nie miał ogona!”).

Już mam jej kazać wypuścić Marcusa, gdy do kuchni wkracza Ivana:

— Markee! Gdzie ty... O, dobry wieczór, pani Bradshaw! I pani Bradshaw starsza! — krzyczy.

— Dobry wieczór — odpowiada moja mama powściągliwie. Babcia aż się wzdryga.

— A ty co za jedna? — pyta niegrzecznie.

— Jestem Michelle — mówi Michelle. — Pamięta mnie pani? Babcia chmurzy się i stwierdza;

— Wszystkie młode kobiety wyglądają tak samo.

Michelle obrzuca Toma automatycznie zalotnym uśmiechem.

— Czy my się znamy? — pyta, opuszczając powieki.

— Tom — mówi Tom krótko. — Jestem z Helen.

Uśmiech zamiera na jej ustach, ale szybko zmartwychwstaje, bo zauważa niebieskie nagietki.

— Jakie urocze! — woła śpiewnie. — Więc kwiaty są pewnie od ciebie! Zawsze powtarzam Marcusowi, że taki właśnie bukietek ze stacji benzynowej by mi wystarczył, ale on się upiera przy zamawianiu ich u Pauli Pryke! — Bierze oddech i: — Marcusiku, kochanie, proszę o czarną herbatę, zanim wyjdziemy.

Tom rzuca mi zachwycone spojrzenie. Marcus podskakuje z wdzięcznością.

— Dobra — mówię. — Robię jajecznicę. Jecie to albo nic. Mama z nadaśaną minką:

— Nie mogę jeść jajecznicy — zawodzi. — Przecież wiesz! To zbyt bolesne!

Pośpiesznie ratuję sytuację.

— Przepraszam, mamusiu, zrobię omlety, jeśli tak będzie lepiej.

Mama przytakuje po królewsku.

Oczy Michelle świecą w nadziei na jakiś skandal.

— Dlaczego? — pyta.

— Jajecznica zabiła mojego ojca — objaśniam bezbarwnym głosem.

— O! — zachwyca się Michelle. Jej mózg próbuje przetrwać zagadkę, ale kapituluje. — Jak?

W mojej mamie chęć pozostawania w centrum uwagi zwycięża nad brakiem sympatii do Michelle i zaczyna snuć swą tragiczną opowieść. Wyciągam patelnię z szafki, a Tom proponuje:

— Może ty sobie siadź, a ja przygotuję omlety.

Marcus zauważa lodowatym tonem:

— My dziękujemy. Jemy dziś w tej nowej restauracji „Conrana”.

Tom wbija jajka do miski. Tom był już w nowej restauracji „Conrana”, co doprowadza Marcusa do szału.

— Ale ty jesteś weterynarzem! — woła Marcus. Szczęka mi opada.

Tom zachowuje powagę i mówi:

— Tak, wiem! I nie uwierzycie! Ale mój płaszcz był tam jednym z bardziej eleganckich!

Marcus obraża się.

Opadam na krzesło.

— Na którą macie rezerwację? Nie powinniście już wychodzić? — pytam Michelle.

Rzuca okiem na swój malutki, złoty zegarek.

— Nie ma pośpiechu — mówi do mnie, a do mamy: — Tak?
I co było dalej?

Powstrzymuję westchnienie. Mam tak spięty kark, że aż boli. Zanim Tom zdąży rozłożyć omlety na nasze talerze, to bolesne napięcie rozchodzi się też po moich ramionach i szczęce.

Marcus pochyła się nad stołem.

— Michelle — mówi z naciskiem. — Powinniśmy się zbierać.

Michelle wydyma górną wargę i mówi;

— Tylko pięć sekundek, kochanie! Pani Bradshaw opowiada takie interesujące rzeczy!

Marcus rzuca się na krzesło obok Toma. Widzę, że babcia nie spuszcza z niego oka.

— Ten sam wzrost — zauważa. — To muszę przyznać.

Marcus uśmiecha się z rozpaczą. Zaciskam zęby.

Tom puszcza do mnie oko.

— Chce ktoś keczupu?

— Fuu! — oburza się mama.

Babcia kręci głową.

— Ja dziękuję, serdeńko.

No bardzo przepraszam. Nie chcę się czepiać, ale ja, jej własna wnuczka, tylko z rzadka doświadczam tego zaszczytu, że zwraca się do mnie po imieniu, a tymczasem Tom, człowiek którego poznała ledwie godzinę temu, już jest jej „serdeńkiem”?

— Helen! — woła Tom. — Keczupu?

Kręcę głową.

— Znaczy tylko ja — cieszy się Tom. Przekręca butelkę do góry nogami, uderza w denko z całej siły i kawał czerwonej mazi wylatuje w powietrze i ląduje z pluskiem na żółciutkiej koszuli Marcusa.

— Ojej, przepraszam — mówi Tom wesoło, gdy Marcus podrywa się z głośnym jękiem rozpaczy. — Ja to mam dwie lewe ręce.

Zatykam sobie usta dłonią i połykam kawałek omleta o wiele szybciej, niż zamierzałam. Usta Michelle układają się w idealne, purpurowe „O” rozpaczy. Mama i babcia patrzą na Marcusa jak zahipnotyzowane, a on wrzeszczy:

— Ty idioto!

Michelle eskortuje go do łazienki, żeby się przebrał.

— Tak strasznie się przez ciebie spóźniliśmy — syczy w stronę Toma, gdy go mija.

Babcia Flo klepie Toma po dłoni — nie mówcie mi, że i ona nie wykorzystuje okazji.

— Coś ci powiem, chłopcze, wiele hałasu o nic! — rzuca.

Uśmiecham się do Toma niemrawo. Choć za tę jego sztuczkę z keczupem najchętniej bym go uściskała, nie jestem w stanie się ruszyć. Bo, gdy oczy Marcusa posyłały mi wściekłe spojrzenia, nagle zrozumiałam. Jak? Dlaczego nie zobaczyłam tego wcześniej? Nie ma wątpliwości. Nie tyle same rysy, co sylwetka, temperament, wybuchowość. Kropka w kropkę Maurice Bradshaw.

Biegnę do ubikacji i pluję omletem. Zdażyłam zjeść ledwie dwa kęsy, ale nie mogę przestać wymiotować.

ROZDZIAŁ XXVII

Lizy wzrusza mnie różnymi swoimi opowieściami, ale najśłodsza — moim zdaniem — jest ta, jak usnęła w samym środku romantycznego wieczoru ze swoim ówczesnym chłopakiem, jeszcze zanim doszło do seksu. Wróciła właśnie z wakacji u rodziny we Francji i ten biedny facet strasznie chciał ją przywitać, jak to ujął, „w tradycyjny sposób”.

„To mnie naprawdę do niego zniechęciło”, zwierzyła mi się potem Lizy. Ugotował wegetariańską kolację, zapalił zapachowe świece, kupił butelkę bezalkoholowego wina, wyprał pościel i — skumajcie! — obsypał łóżko płatkami róż! Zaniósł Lizy na górę, skoczył do łazienki umyć zęby i pędem wrócił do sypialni, a tam jego ukochana już sobie smacznie spała.

— Byłam tak zmęczona, że nawet nie zmyłam makijażu! — opowiadała Lizy, oczekując, że powiem:

— O kurczę, aż tak?

— Tak się potem na mnie za to obraził! To był po prostu koniec! A poza tym nie lubię ludzi, którzy drą kwiaty.

Jak już mówiłam: biedny facet. Ale bardzo mi zaimponowało to, że Lizy tak zupełnie się nie stresowała z powodu seksu, że zdołała kimnąć, zanim jej luby zdążył się choćby rozebrać. Ja zwykle zupełnie szaleję na samą myśl, że ktoś mnie uzna za kobietę Martini — i to zawsze i wszędzie. A może prędzej za batonik Bounty?

W każdym razie niedługo po tym, jak wyrzygałam mój omlet, Michelle i Marcus odjechali swoim rav 4 na wystawną kolację.

a mama i babcia udały się peugeotem do domu, żeby zdążyć na film z chntem Eastwoodem na Channel Five. Przed wyjściem mama mówi mi jeszcze:

— Nie musisz jutro do mnie przychodzić, bo wybieramy się z Vivvy na zakupy!

A moja babka grozi mi palcem i poucza:

— Jesteś przemęczona! Najlepiej zaraz kładź się spać.

Kiwam głową.

— Dobrze, mamusiu. — Oraz: — Tak, tak, babciu.

Gdy już wreszcie wychodzą, opieram się o drzwi i wzruszam ramionami w stronę Toma. A ten zdrajca mówi:

— Popieram babcię Flo!

Co? Zmówili się czy jak?

— Nic mi nie jest — kłamię. Muszę się przecież pozbierać. Czuję przez skórę, że dzisiejsza noc będzie ciekawa! Muszę umyć zęby i użyć nitki dentystycznej. Tom namawia mnie, żebym się położyła na pięć minut na sofie, a on w tym czasie załaduje zmywarkę.

— Niech ci będzie — mówię. — Ale tylko dla twojej przyjemności.

Budzę się cztery godziny później, gdy niesie mnie do łóżka.

W życiu bym nie przypuszczała, że wyczerpanie może zwyciężyć nad moim libido. Jestem nieprzytomna. Nie mam siły ruszyć ani ręką, ani nogą.

— Zostań — mruczę sennie, gdy Tom kładzie mnie na łóżku.

— Tu? — pyta szeptem.

— Uhm — mamroczę.

Leżę beznadziejnie bezsilna, a Tom męczy się nad zdjęciem mi butów. W mojej głowie pojawia się cień niepokoju — a jak jej powącha? — ale jestem zbyt otumaniona, żeby się tym przejmować. Pochyliła się nade mną i szepcze:

— Mogę cię rozebrać?

A ja odpowiadam, a przysięgam, że gdybym była przytomna, w życiu bym tak nie powiedziała:

— No.

I tym sposobem w sobotę rano budzę się o 10.22 golusienka i wtulona w gołą — powiem to jeszcze raz — gołą klatkę Toma.

Otwieram oczy ze zdumienia i z zachwytem przyglądam mu się, jak śpi. Włosy ma jeszcze bardziej potargane niż zwykle, policzki zarumienione i oddycha głęboko. Co za szerokie ramiona. Podnoszę trochę kołdrę, żeby lepiej zobaczyć i, o kurczę, widywało się gorsze klatki piersiowe. Nie jest zbyt umięśniona, ale na pewno solidna. I żadnego paskudnego dywanika jak u Marcusa. Zaczynam się zastanawiać, czy jest całkiem goły. I czy nie udałoby mi się wymknąć do łazienki i umyć zębów. Ale to by wymagało przejścia po nim w samych majtkach. Przesuwam językiem po zębach. Jakby były z zamszu. Czy powinnam zaryzykować?

Spoglądam na Toma, żeby sprawdzić, czy się nie obudził, ale pochrapuje delikatnie przez nos, więc chyba bezpieczna droga. Podnoszę jeszcze troszeczkę kołdrę, żeby zobaczyć też niżej, ale momentalnie jego ręka łapie moją, a Tom wrzeszczy:

— Mam cię! — A ja krzyczę z przerażenia. Chwyta moją drugą rękę, wskakuje na mnie (i uświadamiam sobie, że jednak ma bokserki) i trzyma mnie mocno. — Co to? — mówi, a jego błękitne oczy wwiercają się w moje. — Co to za podglądanie?!

Wiję się i piszczę, trochę z szoku, trochę z przerażenia, a przede wszystkim dlatego, że moje piersi są już zupełnie na widoku, a przecież jeszcze nawet ze sobą nie spaliśmy. W znaczeniu wulgarnym, oczywiście. To jakaś pomyłka! Miał być powolny, kuszący striptiz, mój piękny, koronkowy *push up* zdejmowany powoli, jego ręce drżące i pieszczące moją skórę, potem rozpinanie jego koszuli i odsłanianie jego pięknego, opalonego torsu, jego naprężonych, umięśnionych ramion, powolne odpinanie sprzączki jego paska, wyczuwanie, jak pod Calvinem Kleinem (najlepiej proste, szare bokserki) robi się twardo. Niech to wszystko szlag trafi!

— Pozwolisz, że cię opuszczę! — wołam skromnie, próbując zakryć piersi rękoma. „Nie ma się co łudzić — to fizycznie niemożliwe”. — Muszę umyć zęby! Są brudne!

Tom wybucha śmiechem i mruczy:

— Uwielbiam brudne zęby i myśli. — Pochyla się i ustami muska mój lewy sutek, przeszywa mnie pożądanie, wyginam się w jego stronę, całujemy się i mówię:

— Wrr! — Żeby jakoś usprawiedliwić to, że mi z ust śmierdzi jak psu z pyska, a on mówi:

— Helen, jesteś boska, kurczę, ty to jesteś seksy.

A ja myślę tylko: „Ja? Czy ty do mnie mówisz? Bo nie widzę tu nikogo innego...”.

I wiecie co? Czuję się seksy, bardzo seksy, czuję się najbardziej seksowną kobietą w całym pokoju i nagle rzucam się na niego, i całuję, i ssę, i liżę, i on mnie całuje, i ssie, i liże — nie byłam w takiej ekstazie, odkąd odkryłam, że czekoladki Dime występują też w wersji mini — i napadam na Toma z tą samą zachłannością, muszę go mieć, a i on jest głodny, i spragniony, i jest wszędzie wokół mnie, a kiedy ciągnę go za włosy i gryzę w szyję, jęczy i jego dłoń biegnie nagle po moich plecach, i po brzuchu, i niżej, i o Boże, to się wydaje obiecujące, słyszę, że krzyczą: „zdejmuje!”, a on ściera moje czarne majtki, a ja chwytam za jego bokserki — granatowe, ale nawet gdyby były pomarańczowe, wcale by mnie to nie wzruszyło, no może przez ułamek sekundy, ale nie — ojej!

I nie ma wytłumaczenia dla naszego żalostnego braku oryginalności, gdy mówię: „O Boże, jaki duży!”, a on uśmiecha się i mówi: „Helen, jesteś wspaniała!”. I jest wspaniale. I mam nadzieję, że mój ojciec nas nie podsłuchuje. I już tak się śpieszymy, że jest — jak, obawiam się, mówię na głos — „już do środka”, że jego penis objima się o moje uda, i śmiejemy się. I Tom mówi: „ojej”, a ja chichoczę: „prawie trafiony”, a potem — o mój Boże! — to jest niesamowite, niesamowicie przepyszne i jestem w samych ochach i achach, i już mam wybuchnąć, i całujemy się, i poruszamy razem, i jesteśmy tak blisko, że nie chcę, żeby to się skończyło, i nawet gdy puszczam głośnego, śmiesznego bąka, i umieram ze wstydu, Tom się śmieje i woła: „Chodź tu!”, i całuje mnie mocniej, i myślę sobie, nigdy, choć tyle próbowałam tu

i tam, i tyle ćwiczyłam sama (a zanim zmarł ojciec, ćwiczyłam dość sumiennie) — nigdy nawet nie myślałam, że to może tak być.

Więc oczywiście muszę wszystko zepsuć.

Kończę pierwsza — „panie przodem!” — żartuje Tom i dołącza do mnie pięć sekund później, a mój szalony zachwyt zmienia się nagle w falę ogromnej, niewytłumaczalnej rozpacz. Przygryzam wargę, żeby powstrzymać się od szlochu. Tom opada jak rozgwieżdża z jedną gorącą dłonią tulącą się do mojego brzucha i pyta płaczącym głosem:

— Możemy jeszcze raz?

Więc zaczynam się śmiać i mówię:

— Tylko że ja już chyba nie mam żadnych kości! — Więc on się śmieje, i tuli, i całuje najbliższy kawałek mojego ciała — wypada, że brodę — i mówi:

— Boska Helen!

Patrzy mi w oczy i powala mnie nie jego pożądanie, tylko, no, tego, nie cierpię tego słowa — c z u ł o ś ć — która jest czymś nowym i ogłupiającym, i aż się wzdrygam, jestem odsłonięta jak otwarta rana. I wtedy wraca ta płacliwość, i przestaję panować nad łzami, które toczą mi się po policzkach, i głupia, głupia dziewczyna, zaczynam coś mamrotać i kwilić, i pojękiwać jak duży niemowlak, a Tom wygląda na przerażonego i pyta:

— Było aż tak źle?

Więc się śmieję, ale ciągle płacę. Płacę tak mocno, że zaczynam szcząkać zębami. Przytula mnie i kołysze, i mówi:

— Helen, powiedz, powiedz mi, co się dzieje, proszę.

Nie powinien był o to prosić, naprawdę nie powinien był. To nie ma z nim nic wspólnego. Ale prosi i wszystko się ze mnie wylewa. Rzeczy, o których nawet nie wiedziałam, że we mnie są. Wypływa wszystko jak ścieki, które rozsadziły rurę. A on na to pozwala. Tylko słucha, a ja wyję:

— Odszedł i nie wróci, o Boże!, ja nie umiem w to uwierzyć i nikt mnie nie rozumie a jestem z tym taka sama już nie wiem kim jestem kim jestem w tym całym świecie i czemu to wszystko

tak jest bo przecież nawet nie byliśmy ze sobą blisko nigdy go nie rozumiałam on mnie ledwie znał kim byłam a teraz już za późno za późno żeby to naprawić a myśmy nigdy nawet nie rozmawiali nigdy nie spytałam nawet czemu ci nie zależy po prostu nie mogłam i nie wiem czemu ja się tak czuję i nikt mnie nie rozumie i wszystko ona wszystko dla niej i jak ona się ma a ona nigdy nawet o mnie nie pomyśli a ja myślałam że już doszłam do siebie nie płakałam na pogrzebie i byłam jak martwa i nic nie czułam jakby mnie tam nie było a nawet Lizzy płakała a ja nie mogłam nie mam prawa płakać zawiodłam go nie byłam wystarczająco dobra a on już umarł i nie powiedziałam mu że go kocham a on czemu nazywał mnie Grinch, o Boże!, nie dam rady chcę żeby wrócił dlaczego on nie wróci ma wrócić bo go nienawidzę nienawidzę jak się przez niego czuję tak się źle czuję znoszona przez prąd to jest takie straszne to jest gorsze niż sobie mogłam wyobrazić a ja oszukuję jestem taka wściekła ta złość nie przechodzi dlaczego tak się czuję nawet nie wiem jak się powinnam czuć i tak się boję tak się boję że mamusia też umrze i babcia ona już długo nie żyje i Tina i Lizzy i Luke i Fatboy i teraz jeszcze ty i tak się boję że umrzecie i nikomu nie mogę powiedzieć bo nikt nie rozumie i, o Boże!, nie umiem w to wszystko uwierzyć to mój tatuś to niesprawiedliwe mam już tak dość nawet nie umiem o nim śnić inni ludzie mają chociaż sny o zmarłych i oni im mówią że wszystko w porządku że bądźcie szczęśliwi i kochamy was i są w tym pieprzonym białym pokoiku a ja nie umiem nawet tego i on nie przyszedł do mnie w ani jednym śnie nawet się do mnie nie odezwie żeby mi powiedzieć co tam u niego już na wszystko za późno to dla niego cholera ty-powe nigdy mu na mnie nie zależało nigdy nie był przy mnie gdy go potrzebowałam więc czemu za nim tęsknię, o Boże!, pomóż mi wszystko moja wina...

Czy ktoś z was narobił sobie kiedykolwiek większego wstydu?

ROZDZIAŁ XXVIII

Jestem w takiej rozpaczce, że nie dostrzegam beznadziei mojego zachowania. Słowa wypływają ze mnie, a Tom kołyszze mnie i tuli. Nie mówi, żebym się uspokoiła, tylko głaszcze mnie po plecach i słucha. Mówi tylko:

— Helen, nie wydaje ci się, że powinnaś, hm, to jakoś rozwiązać?

Kręcę głową, bo sama nie wiem. Jest mi wstyd.

— Podaj mi, proszę, ubranie — mówię sztywno. Tom schyla się, podnosi z podłogi szeroką koszulę i pomaga mi ją włożyć. Jestem ledwo żywa. — Przepraszam — mamrocze. — Nie wiem, co mi się stało.

— Nic nie szkodzi. Ale Helen... ja... tylko że... może Lizzy... Tina... ja... może to nie wystarczy. A ty nie możesz myśleć, że nie jesteś wystarczająco dobra. Nie wiem, co powiedzieć... jesteś taka wspiana i... — Głos Toma staje się mocniejszy. — A twój tata powinien był ci to powtarzać.

To miłe z jego strony. Choć nie jestem pewna, czy mi się podoba to, że najeżdża na mojego ojca. Czuję się zmęczona i znów chce mi się płakać, więc pytam:

— Nie będzie ci przeszkadzało, jak się trochę zdrzemnę?

Tom daje mi buzi i zwijam się w kłębek. Gdy tylko pomyślę o tym, co wygadywałam, moje serce wyskakuje na powierzchnię jak mewa na wzburzonym morzu. Przy moim ojcu byłam nikim, i jestem nikim bez niego. Po co mam żyć? Nie jestem bohaterem pozytywnym. Jaki w ogóle to wszystko ma sens? Chcę wyschnąć

zupełnie i zniknąć. Mogłabym jeszcze płakać, gdyby nie to, że na całym świecie nie ma tylu łez, żeby wypłakać moje cierpienie. Zwijam się w najmniejszy kłębek, jaki potrafię i zapadam w otępiający sen.

Budzę się dwadzieścia po drugiej i umieram z głodu. I z bólu głowy. Przelatuje mi przed oczami cały wczorajszy zwariowany dzień i aż mi się słabo robi. Nawet nie mogę pomyśleć o seksie, bo od razu przypomina mi się całe to moje gadanie od rzeczy. Wolałabym zachować swoje najgłębsze instynkty tylko dla siebie. Łącznie z ciemnymi emocjami związanymi z tatą. Są zbyt osobiste, zbyt intymne, zbyt piekielne, żeby o nich opowiadać. Jak mogłam pozwolić, żeby Tom je ze mnie wyciągnął? Czuję się, jakbym wyrzygała całą moją duszę.

Leżę cicho przez dłuższą chwilę. W pokoju nie ma nikogo poza Fatboyem, który przyczał się na parapecie. Słyszy, że się obudziłam, mruczy głośno i przybiega do mnie. Pewnie czegoś chce. Leżę na plecach, głaszczę Fatboya i myślę: „O Boże, co ja mu takiego nagadałam?”. Czuję się słaba, jakbym wypita za dużo wina, i dziwnie płaska. Zastanawiam się, czy Tom już sobie poszedł i prawie mam nadzieję, że tak. Ale nie. Z salonu dochodzą mnie wybuchy śmiechu. Podchodzę do drzwi na palcach, uchylam je i widzę, że rozmawia z Lukiem. Rozmowa dotyczy tego, jak długo wytrzymali kiedykolwiek za kierownicą z zamkniętymi oczyma.

Tom wytrzymał trzy sekundy, zanim „się spietrał”. Luke aż siedem. Z tego, co rozumiem, byli wtedy nastolatkami, ale mimo wszystko! Wciągam jakiś dół od dresu, wychodzę na paluszkach z pokoju i mówię:

— Jak mogłeś?! — krzyczę, aż obaj podskakują i zaczynają się tłumaczyć, że „był środek nocy”, „było zupełnie pusto”, „jechałem ze trzydzieści na godzinę”, aż podnoszę dłoń i mówię wściekła: — Nie chcę o tym więcej słyszeć. Mogliście kogoś zabić!

Nie mam odwagi spojrzeć Tomowi w oczy. Nie dlatego, że postąpił nieodpowiedzialnie za kierownicą, ale dlatego, że dziś rano poznał o mnie całą nagą prawdę, i to jest okropne. Więc za-

miast tego skupiam się na Luke'u. A to błąd, bo on natychmiast przygląda mi się uważniej i pyta:

— A czemu ty masz takie opuchnięte oczy?

— A temu! — irytuję się i żeby zapobiec dalszym pytaniom, rzucam: — Jest coś do jedzenia?

Tom staje na równe nogi i woła:

— Chodźmy coś kupić!

Patrzę na niego z niedowierzaniem:

— Że co? Ze mną? W tym stanie?

Wyciąga dłoń, przekrzywia moją brodę i mówi:

— Ależ Panno Bradshaw, wygląda pani pieeenknie! — I poważniejszym tonem: — No, naprawdę tak wyglądasz.

Marszczę nos.

— Dobra, to czekaj, znajdę jakieś buty i okulary przeciwsłoneczne.

Dziesięć minut później (po rozpaczliwej walce w łazience o to, żeby jakoś mniej przypominać gargulca) jestem gotowa.

— Mogę iść z wami? — pyta Luke.

— Nie — mówi Tom podle. — Idziemy na randkę.

Oczy Luke'a robią się jak spodki:

— Co? — wybucha. — Ty i Helen?!

Nie wiem, czy mam się czuć urażona czy wyróżniona. Tom nie powiedział Luke'owi, że mnie przeleciał! Więc żartuję:

— Czemu to cię tak dziwi, Luke? Czy to dla mnie za wysokie progi?

Luke kręci głową jak szalony i mówi:

— Nie, chłopie, to dla niego za wysokie progi!

Ten uroczy komplement psuje trochę zwrot „chłopie”. Nie chcę tu odwoływać feminizmu, ale wołałabym już, żeby mówił na mnie „złotko”. Ale odpowiadam uprzejmie:

— To miłe, co mówisz, Luke. — Choć z głodu zupełnie nie czuję się w nastroju na takie żarciki.

Tom wesoło mnie papuguje:

— Luke, to doprawdy miłe, co mówisz. — Luke pokazuje

mu środkowym palcem, co o nim myśli. Na szczęście Tom pyta:

— Gotowa?

Jest mroźny, zimowy dzień, ale lecimy na Golders Green, kupujemy bajgle z serkiem śmietankowym i wędzonym łososiem i jedziemy na wrzosowisko. Pierwszego bajgla zjadam już w starej, zardzewiałej hondzie civic Toma.

— Czy ona ma imię? — pytam podejrzliwie.

— Nie, nie ma i nie będzie miała! — woła Tom. — To tak, jakbym miał nadawać imię własnemu ptaszкови!

Chichoczę i zaczynamy rozmawiać o samochodach idealnych.

— Nie znam się za bardzo na samochodach — mówię. — Ale gdybym miała pieniądze, kupiłabym chyba jaguara S-type. Samochód z wystającymi kośćmi policzkowymi. Tylko że one z kolei wyglądają nieco klaustrofobicznie.

— Więc nie należysz do specjalnie wymagających osób, tak? — Tomowi też się podobają jaguary, ale trochę się do nich zraził, gdy jego trzydziestodwuletni kuzyn kupił sobie XJ8.

— Co to jest? — pytam.

— No wiesz, ten model z luksusowym, drewnianym wnętrzem. Coś tam się chwalił „zawieszeniem”, a moja siostra powiedziała nagle z rozmarzeniem: „Ooojciec jeździ jaaaguarem!” Ona jest przezabawna! Zawsze powie coś w tym stylu! Kuzyn zamilkł. Obawiam się, że to była dla niego porażka.

Znowu chichoczę i mówię:

— Czyli to jednak samochód dla pięćdziesięciolatek, tak? Tom zastanawia się i mówi:

— Niby tak, ale jednak ma klasę.

Zapada chwila ciszy. Kontemplujemy wielkie nieosiągalne.

— Co twoim zdaniem jest gorsze — pytam — honda civic czy toyota corolla?

Tom wzrusza ramionami:

— To dwa szczurzyśka jedzące z tej samej paczki chipsów! — Umieramy ze śmiechu, choć na wszelki wypadek czule poklepuję deskę rozdzielczą hondy i mówię: „Biedny samochodzik!”, a Tom parkuje.

Wrzosowisko to tak naprawdę beładny kawał zielonego pola wciśnięty w sam środek eleganckiego, północno-zachodniego Londynu. Uwielbiam je, bo jest okropnie niechlujne i zarośnięte, i zdecydowanie mniej komercyjne niż park Hampstead Heath. Idziemy w stronę drewnianej ławeczki, podjadamy bajgle i wciąż dyskutujemy o swoich samochodach idealnych. Na bladoniebieskim niebie pałają się kłęбки chmur, a nasze oddechy parują w mroźnym powietrzu. Na ścieżce pozamarzały kałuże i przebijam je obcasem. Potem siadamy na ławce, zajadamy bajgle, gapiemy się na ludzi i psy — jeden pies doprowadza nas do łez, bo ciągnie swój tyłek po trawie, choć jego właściciel najpierw krzyczy: „Brandy!”, a potem udaje, że wcale go nie zna.

— Jak tu spokojnie! — wzdycham.

— Aha — przytakuje Tom z pełnymi ustami. — Buzi proszę. — Całuję go skromnie w policzek.

— Masz zupełnie różowy nos — mówię,

— Jest mi w niego tak zimno, że już go w ogóle nie czuję.

Kończę swojego bajgla, a Tom przytula mnie do siebie. Patrzymy na park. Białe niebo, nagie drzewa, zamarznęta ziemia, cisza. Spokój. Wzdycham. Ulotna chwila szczęścia. Zaczynam nawet wierzyć, że może powinnam była opowiedzieć komuś o tacie i właśnie zachwycam się w duchu tym, że tak łatwo jest być z Tomem, jakie to nie wymagające wysiłku, i tym, jak cholernie genialny jest w łóżku, kiedy on psuje wszystko i mówi:

— Helen, tak myślałem o tym wszystkim, co mi powiedziałeś o tacie. Wiem, że trudno ci rozmawiać o tym, co przeżywasz, ale ty byłaś, jesteś, byłaś w takiej rozpacz, i pomyślałem sobie, że może ty próbujesz się ukarać za coś, co nie jest twoją winą, i że może powinnaś...

„Nie! Nie! Nie! Nie! Nie!”

— Nie, przestań — rzucam ostrzej, niż zamierzałam. Tom przestaje, a ja się waham. Potem mówię: — To miłe z twojej strony, ale...

Tym razem to Tom mi przerywa. Jest wkurzony.

— Helen, to nie jest jakiś pieprzony akt miłosierdzia, to nie

jakieś świętoszkowate ćwiczenie, żebym się poczuł lepszym człowiekiem! Może to ci się wyda głupie albo nieprawdopodobne, ale ja cię po prostu lubię i chcę, żeby wszystko u ciebie było w porządku, ale boję się, że już zawsze będziesz taką kupką nieszczęścia, jeśli nie przestaniesz udawać, że nic nie czujesz, że nie tęsknisz za ojcem, że nie wkurza cię to, jak między wami było, i wciąż będziesz się wozić z takim palantami jak Marcus, to nie ma sensu, po co się umartwiać, po co...

Skaczą na równe nogi i wrzeszczą:

— Przestań! Przestań! Ty nic nie rozumiesz!

I skąd on, do cholery, wie o mnie i o Marcusie? Tom się zamyka, ale jest wściekły. Biorę głęboki wdech, siadam na ławce i poklepuję go po nodze.

— Przepraszam — mówię. I gburowato dodaję: — Skąd wiesz o Marcusie?

— Głupi byłbym, gdybym się nie domyślił — odszczekuje mi Tom. Przygryzam wargę.

— To było całe wieki temu i tylko raz. Pomyłka. Przepraszam, że na ciebie nakrzyczałam. Nie gniewaj się. Już w porządku. Nie wiem, co we mnie wstąpiło, znaczy, nie wiem, czemu się tym wszystkim tak dzisiaj rano przejęłam, znaczy, tego — i tu wyrywam sobie serce i podsuwam mu pod nos, żeby poznał rozmiar mojej szczerości — jestem smutna, bo mój ojciec umarł i to jest dziwne, ale głównie dlatego, że, jestem o tym przekonana, że to dlatego, że, no, Marcus wyrzucił mnie z domu i nie mam się gdzie podziąć. I to mnie już po prostu przerosło.

Przyznaję, że to jeden z moich złych nawyków. Nie mówię, czego chcę, tak wprost jak Laetitia. Sugeruję. Sugestia to może rzeczywiście nie jest najodważniejszy sposób na mówienie o czymś. Ale przynajmniej gdy już zasugerujesz i zostaniesz odrzucona, to odrzucenie nie jest do końca jasne, nie aż takie druzgocące. A gdy się już poprosi o coś wprost i człowieka spotka odmowa, to upokorzenie jest ewidentne i bardziej rzucające się w oczy niż golas biegający po boisku w czasie meczu. Przecież Tom zrozumie moją sugestię, o ile nie jest skończonym imbecylem i o ile

rzeczywiście lubi mnie tak bardzo, jak twierdzi, i rzuci się mi na ratunek jak Anioł Stróż i poprosi, żebyśmy z Fatboyem natychmiast wprowadzili się do jego mieszkania. Zawieszam głos. Tom milczy. Co jest — głupi czy co? Potem mówi — a ja wyraźnie czuję w jego słowach chłód.

— Przecież twoja mama powiedziała, że możesz mieszkać u niej, póki sobie czegoś nie znajdziesz, prawda?

— Tak — odpowiadam z irytacją. — Ale widziałeś ją, to kozmar! Ja mam dwadzieścia sześć lat! Nie mogę, u licha, mieszkać z mamą i babcią!

Oczekuję od Toma zrozumienia, ale on postanawia zgrywać idiotę.

— Lepsze to niż nic. Nie możesz poszukać sobie czegoś do wynajęcia?

Na te słowa tracę panowanie nad sobą.

— Zawieź mnie z powrotem do mieszkania! — wrzeszczę.

— Skoro tego sobie życzysz — warczy. W milczeniu maszerujemy do samochodu. Wstawiał mi taki bajer, a kiedy przychodzi co do czego, palcem dla mnie nie ruszy. Wie przecież, co miałam na myśli. Milczymy całą drogę, tylko raz Tom rzuca jeszcze:

— Jeśli chcesz wiedzieć, co ja o tym myślę, to pomieszkanie z twoją matką dobrze by ci zrobiło. Mogłabyś wreszcie porozmawiać z nią poważnie i wyznać jej to, co cię gnębi.

— Nie powiedziałam wcale, że chcę wiedzieć, co myślisz — ryczę. Tom zatrzymuje się z piskiem opon przed mieszkaniem Marcusa. Wyskakuję z samochodu, rzucam mu „cześć” przez ramię i trzaskam drzwiami. Tom zaciska zęby i odjeżdża tak wyniośle i szybko, jak tylko honda civic potrafi. Czyli niezbyt szybko, co zauważam ze złośliwą przyjemnością.

Wbiegam do mieszkania, trzaskam drzwiami, wołam; „Kretyn!” i widzę, jak Marcus kroczy w moją stronę.

— Mam dość! — wyje. — Mam już ciebie serdecznie dość!

Z obojętnością patrzę, jak zbliża się do mnie w walecznej postawie. To jest naprawdę, myślę sobie, jeden z tych dni, które trudno potem zapomnieć. Zupełnie nic nie czuję. Krzyczę najgłośniej, jak potrafię, a pod tym względem jestem córeczką mamusi.

— O co ci znowu chodzi, ty skończony, podniecony idioto?!

Marcus robi się purpurowy na twarzy i wyje:

— Jak śmiesz do mnie tak mówić, ty mała, podła krowo! Twój cholerny futrzak przyniósł gołębia. Wielkiego, pieprzonego gołębia! Takiego, co lata po mojej kuchni i sra na wszystko!

Choć nie cierpię Fatboyowego zwyczaju przynoszenia ptaków, ryczę:

— Czy ty naprawdę nic nie rozumiesz, ty wielki, gruby durniu! Gołąb od kota to taki prezent! Kupił ci prezent!

Marcus wrzeszczy już tak głośno, że jego głos załamuje się:

— Dwie godziny latałem za nim jak głupi, nim go złapałem! Dwie godziny! Dawno powinienem być już w klubie!

— I po co? Żeby twoja klata była jeszcze większa, a ptaszek jeszcze mniejszy?! — To mnie tak rozśmiesza, że wybucham chichotem.

Marcus wygraża mi pięścią i syczy:

— Nie chcę cię tu więcej widzieć! Wynoś się, już dzisiaj! Słyszysz? I zabieraj tego swojego futrzaka, bo jak go dorwę, to wiesz, co z nim zrobię? Roztrzaskam ten jego rudy łeb na miazgę!

Odpowiadam mu głosem ociekającym sarkazmem:

— No, no, to się nazywa prawdziwy mężczyzna! — A już zwykłym tonem dodaje: — Zgadnij, Marcus. Nie boję się ciebie. Ciebie i tych twoich pogrózek. Krzycz sobie, ile chcesz. Jesteś zupełnie bezsilny. Jesteś impotentem.

Mam rację i on o tym wie. Już mi nic nie może zrobić. Mijam go ostentacyjnie. Wyciągam Fatboya z szafy Luke'a — jego ulubionej kryjówki pełnej ciepłych, mięciutkich, brudnych ciuchów — i zanoszę go do mojego pokoju.

— Co, aniołku? — pytam. — Pakujemy manatki i znikamy stąd, prawda?

Fatboy widzi swoje odbicie w lustrze i syczy. To okropne, ale muszę przyznać, że jest głupi jak but. Podejrzewam, że ma być ostrzeżeniem dla mnie, żebym nigdy nie zdecydowała się na dziecko.

Dzwonię do mamy i pytam, czy nie będzie miała nic przeciwko, jeśli wprowadzę się jeszcze dzisiaj.

— O! — mówi mama. — No dobrze. Tylko nie wiem, gdzie będziesz spała. W pracowni nie ma łóżka, a w pokoju dla gości śpi Florence.

— Mogę spać w salonie, na sofie.

Chwila milczenia. Potem mówi:

— Ale my z Florence oglądamy dziś *Zaklinacza koni*.

Wzdycham i stwierdzam:

— No, to pójdę spać dopiero jak skończycie, prawda?

— No tak, jasne — odpowiada ugodowo.

Odkładam słuchawkę. Chowam głowę w dłoniach i myślę sobie: „Gdyby tylko moja mama miała kota, oszczędziłoby nam to wiele udręki”.

ROZDZIAŁ XXIX

A co, jeśli cały mój nekrolog sprowadzi się do krótkiej wzmianki o tym, że miałam talent do psucia wszystkiego, do czego się tylko wzięłam? Zaczynam się tym martwić, gdy trafiam na historię pana Cane'a w „Daily Express”. „Prokurator uznał, że pan Cane, którego zaginięcie zgłoszono, był nieśmiałym, samotnym introwertykiem, który miał jakby talent do psucia wszystkiego, do czego się wzięłam...” Siedzę w metrze i nie mogę się uwolnić od tego zdania. Talent do psucia wszystkiego. Co za potworna scheda. Przeraża mnie ta opowieść, bo czuję, że skończę tak samo.

Mieszkam teraz z moją mamą i babcią. Obydwie wolą towarzystwo Roberta Redforda. Ale jestem zbyt słaba, żeby mieszkać sama. Wciąż tkwię na stanowisku Znawcy Dezodorantów. A Tom mnie nienawidzi. Nigdy nie będę miała porządku w szafie. No i jest jeszcze dziura ozonowa. Na brzuchu mam taką małą swędzącą plamkę, która może być ugryzieniem muchy, ale nie musi. Pożary lasu gdzieś w tropikach właśnie spaliły miliony drzew. I nie pomogło to, że w zeszłym tygodniu wszystkie moje gazety oddałam na recykling. Przypuszczalnie niedługo walnie w ziemię jakiś meteoryt. I nienawidzę swoich ciuchów. Ktoś truje delfiny. Boję się panicznie pośredników nieruchomości, więc jestem skazana na mieszkanie u matki już na wieki. Moje włosy są tak oklapnięte, jakbym je przykleiła do głowy. I nawet nikt nigdy nie zauważył, że pan Cane zaginał. Zanim do-

jeżdżam do pracy, cierpię już na chandrę, dodupizm i ogólne poczucie klęski.

I wcale mi nie pomaga, gdy wychodzę z toalety, a Laetitia wrzeszczy na całe biuro głośniejsz niż startujący concorde:

— Helen! Prywatny telefon do ciebie! Dzwoni twoja psychiatryczna pielęgniarka środowiskowa! — Zamieram i gapię się, jak zresztą i wszyscy z biura, a Laetitia ciągnie słodko: — Przełączyć ci go na biurko?

Spoglądam na nią z konsternacją i mówię:

— Skoro musisz.

Uśmiecha się z wyższością. Obiecuję sobie, że postaram się przechwycić jej zaproszenie na Doroczny Bal Byłych Debiutantów i w rubryce „obowiązujące stroje” poprawię „stroje wieczorowe” na „kostiumy pszczelarskie”.

Łapię za słuchawkę.

— Słucham? — syczę, zasłaniając sobie usta, żeby nikt z biura nie słyszał.

— Helen Bradshaw? — pyta ktoś ciepłym głosem. — Przepraszam, że zawracam pani głowę w pracy. chff Meacham, pepeeś pani mamy. Mam nadzieję, że mama powiedziała pani, że zadzwonię! — Przełykam ślinę. Mało się nie duszę z wściekłości na jego brak dyskrecji, kiedy facet dodaje: — Pani koleżanka z pracy powiedziała, że nie zawoła pani do telefonu, jeśli się dokładnie nie przedstawię. Ale jeśli woli pani, możemy przełożyć tę rozmowę na kiedy indziej.

Wybaczam mu i postanawiam w duchu, że zaproszenie dla Laetitii będzie też miało dopisek: „Prosimy przynieść własne ule!”. Wzdycham i mówię:

— Czy mógłby pan zadzwonić w przerwie na lunch? — Co gorsza, owszem, może. I dzwoni.

Na szczęście Laetitia wychodzi na służbowy lunch do Ivy, więc biuro pustoszeje. Przypuszczam, że chff szybko zrezygnu-

je z tych uprzejmości i przejdzie do sedna sprawy, ale on z uporem stara się prowadzić miłą pogawędkę o niczym.

— Więc jest pani dziennikarką! — zaczyna. — Jakie to ekscytujące! Czy robiła pani wywiady z wieloma sławnymi ludźmi?

— Setkami — odpowiadam i staram się go nie wyśmiać.

chff jest tak przejęty swoją cudowną wizją mojej pracy, że z miejsca wymyślał trzy słowa, żeby go nie zawieść. Jego zainteresowanie jest tak zniewalające, że zaczynam opowiadać mu, jak to Demi uznała, że musi, po prostu musi mi się zwierzyć ze swoich kłopotów małżeńskich na długo przedtem, zanim porozmawiała o tym z Bruce'em i wtedy uświadamiam sobie, że zabmęłam nieco za daleko, i muszę się jakoś z tego wykręcić.

— Zresztą mniejsza z tym. Tak naprawdę Demi jest bardzo skrytą osobą. W czym mogę panu pomóc? — pytam uprzejmie.

chff wraca do szarej rzeczywistości i mówi mi, że to dla niego bardzo ważne, żeby zrozumieć moją matkę, jej stosunek do ojca i to, jak się zmieniła, odkąd ojciec nie żyje.

— Ale przecież już ją pan o to wszystko pytał? — dziwię się, a on tłumaczy mi, że wolałby poznać także moją ocenę tej sytuacji. Z powściągliwością godną lepszej sprawy stwierdzam: — Była tym nieco przybita. — A ponieważ nic mi na to nie odpowiada, dodaję: — Starałam się nią dobrze opiekować, ale ona tęskni za tatą. — Milknę. Nic.

Potem chff mówi po prostu:

— A w jaki sposób się nią opiekowałaś?

Więc opowiadam mu o gotowaniu, o wycieczkach do galerii, o reiki, o kolacji, o wysłuchiwanie jej i o tym, jak zmusiłam Vivienne, żeby ją zaprosiła na obiad.

— O kurczę! — mówi chff

Ledwo już żyję od tego gadania, ale chff tego nie zauważa i zadaje mi jeszcze z jakieś dziewięćdziesiąt dodatkowych pytań. Chce wiedzieć, która z nas, moim zdaniem, jest tą silniejszą stroną w naszym związku. Chce wiedzieć, czyje potrzeby są dla mnie najważniejsze. Chce wiedzieć wszystko, czego wolałabym mu nie mówić.

— A co się dzieje, kiedy to ty wymagasz opieki? — pyta nagle. Zatyka mnie.

— Chyba nie chwytam — mówię zgodnie z prawdą.

— No, kiedy to ty potrzebujesz matki, co się dzieje wtedy?

Takie pytanie miałoby może sens, gdybym miała cztery latka.

Więc odpowiadam szorstko:

— To się nie zdarza.

Słyszę, że chff zaciąga się swoim papierosem domowej roboty.

— Rozumiem — mówi tonem trudnym do określenia. Kaszle, przeprasza mnie za to i oświadcza, że od jutra moja matka będzie miała co tydzień spotkania w klinice i że najlepiej by było, gdybym przyszła z nią na co najmniej jedno spotkanie.

— Bardzo bym chciała — kłamię. — Ale obawiam się, że nie mogę. — chff milczy. — Praca — tłumaczę. chff sugeruje, żebym to przemyślała. — Jasne, jasne — zgadzam się z werwą. — Mogę panu jeszcze jakoś pomóc? — mówię to, żeby mu dać do zrozumienia, że mam już dość, ale nie chwytą. Tłumaczy mi, że to bardzo pomaga, gdy psychoterapeuta może zrozumieć rodzinę „jako całość”.

Kiwam głową, mrużę „yhm, yhm” i zaczynam się zastanawiać, co taki chff robi w wolnym czasie, kiedy on postanawia mnie spytać, jak moje życie zmieniło się od śmierci ojca. W głowie mam istne spaghetti. Przypomina mi się mój wybuch po orgazmie, moje napady paniki. Mam ochotę rzucić słuchawką i uciec. Po jakiejś minucie chff mówi:

— Wyczuwam, że masz problemy z mówieniem o swoich uczuciach. — Musi mieć rozłożony *Podręcznik do psychiatrii* na kolanach.

Odpowiadam cierpko:

— Po prostu nic nie czuję. — To prawie prawda. chff milczy z niedowierzaniem. Dodaje: — Jestem zbyt zajęta pracą i opieką nad mamą. — chff wciąż milczy. Jakbym mówiła do skały. Hej, a może on nie bez powodu nazywa się chff, klif... — Ona jest naprawdę zrozpaczona, odkąd, no wie pan.

— Odkąd co?

— Od śmierci mojego ojca! — wściekam się. A on myślał, że o czym mówię? O przeniesieniu jej drużyny do trzeciej ligi? — Podcięła sobie żyły! — dodaję. chff oczekuje chyba, że mu jeszcze raz o wszystkim opowiem, więc mówię mu, co się stało, choć jestem stuprocentowo pewna, że mama opowiedziała mu wszystko ze szczegółami. Daję mu jasno do zrozumienia, że tamten poniedziałkowy wieczór był naprawdę jedynym, kiedy do niej nie wpadłam, i oczywiście potem już byłam u niej w każdy poniedziałek. Nie chcę, żeby mnie drugi raz posadzono o zaniebdania rodzicielskie.

Ale kiedy wreszcie kończę, chff mówi:

— Poświęcasz swojej matce bardzo dużo czasu.

Kiwam głową i uświadamiam sobie, że przecież nie widzi, jak kiwam.

— No, przecież mnie potrzebuje — mówię. Znowu zapada cisza. Jezu, współczuję dziewczynie tego faceta. Żartuję: — Wystarczy, że się na moment odwrócę i już, ciach, podcina sobie żyły! — Nie jest to mój najlepszy dowcip i rzeczywiście chff się nie śmieje. Mówi, że wygląda na to, że mama próbowała mnie zmusić do opiekowania się sobą. — Ale ja się nią opiekowałam! — krzyczę. Wiedziałam, cholera, że w końcu do tego sprowadzi się nasza rozmowa.

Wtedy on mówi, że sądzi, iż mama próbowała mnie ukarać, bo nie było mnie przy niej.

— No, dobrze to ująłeś — mówię gorzko.

— Ale, Helen, co z twoim życiem?

Mam już serdecznie dość tej rozmowy. Jest jak naprawdę nudny teleturniej bez żadnej motywującej nagrody pieniężnej.

— Co z nim? — pytam ostro.

— Nie możesz żyć tylko dla matki — odpowiada chff

— Nie, ale... — zaczynam i urywam. — Ale to nie tak. Ona mnie potrzebuje. Zresztą i tak nie mam niczego lepszego do roboty. A ona nie ma nikogo — mówię już mocno wkurzona.

— Ma samą siebie.

Już mam skomentować tę głupią uwagę, kiedy chff dodaje, że to nie jest ani zdrowe, ani normalne, żeby matka tak polegała na swoim dziecku — d z i e c k u! Jestem przecież od niego starsza, młody doktorzek jeden! chff mówi też, że im wyżej skaczą za każdym razem, gdy ona podnosi poprzeczkę, tym gorzej się dzieje.

— To po prostu nie pomaga — konkluduje.

Ach tak, więc może to wszystko moja wina.

— Nie, to nie jest twoja wina — mówi chff cicho. — Nie możesz odpowiadać za czyny swojej matki. Tylko za swoje. Najlepsze, co możesz zrobić dla siebie i dla swojej matki (w tej kolejności), to pozwolić jej się nauczyć, jak ma sobie sama radzić z tą rozpaczą.

Łatwo powiedzieć komuś, kto siedzi sobie w klinice, popala śmierdzące papierosy i nie wie, co to gniew Cecelii Bradshaw, która sobie nie radzi.

— Więc co? Mam ją po prostu zignorować i czekać, aż skoczy z okna? — pytam sarkastycznie.

chff— który okazał się równie uroczy, co jego cuchnący oddech — przyznaje, że opieranie się mojej matce to rzeczywiście ryzykowne przedsięwzięcie. Jednak jeśli zawsze będę przy niej, żeby ją wyciągać z kłopotów, żadna z nas nie „dojdzie do siebie”. Nie jestem pewna, czy mi się podoba to ostatnie uogólnienie.

— Co masz na myśli? — pytam z wyniosłością.

chff odchrząkuje i mówi:

— Gdy nie można sobie poradzić z bólem, najłatwiej zapakować go z powrotem do pudełeczka. Jeśli ktoś cały czas zajmuje się cudzym bólem, nie ma szans zająć się swoim własnym.

Czuję się niepewnie, więc odpowiadam sztywno:

— Nie wiem, o czym mówisz.

chff waha się, ale jednak zmienia temat.

— Spoko-spoko — rzuca. Głowę dam, że do swoich lewicujących znajomych na pewno tak nie mówi. — Helen, opowiedz mi trochę o swoim związku z ojcem — mówi przesłodzonym tonem.

— Co tu opowiadać — odpowiadam kwaśno.
chff milczy. Czy to kwalifikuje się do określenia milczy jak skała?

— No, na przykład, co robiliście razem? — podpowiada mi.

— Niewiele — mówię. No, i teraz sobie to analizuj do woli. Jestem już tak pochylona nad biurkiem, że ramiona mam na wysokości oczu. Rzucam okiem na zegar. Chryste! Gadam z tym facetem już pół godziny! Czy on nie ma żadnych ludzi do poprowadzenia właściwą drogą? Zaczynam wydłubywać spod paznokcia na lewym kciuku jakąś dziwną zieloną farbę i mówię:

— Przepraszam, ale muszę już iść. Kupić sobie kanapkę. Zresztą myślałam, że mamy rozmawiać o mamie.

chff milczy. Słyszę jakby syk zapalniczki. Obawiam się, że zaraz powie coś pompatycznego. Intuicja nie zawodzi mnie.

— Helen — mówi. — Gdy ktoś umiera, otwierają się drzwi do pokoju pełnego bólu. Tych pokoi może być więcej. Jeśli masz odwagę, możesz zajrzeć także do nich. Ale niektórzy ludzie od razu zamykają wszystkie drzwi.

I zaczyna głądzić o tym „zamykaniu” i pyta, czy może jest jeszcze coś, o czym chciałabym mu powiedzieć — ale nie ma niczego takiego.

Gapię się przez dziesięć minut tępo przed siebie, a potem zaczynam dzwonić po pośrednikach nieruchomości.

ROZDZIAŁ XXX

Dziś rano podsumowałam wszystkie moje ukochane wspomnienia. I wszystkie mają pewną cechę wspólną — dotyczą jedzenia. Raz byłam na przyjęciu dla dorosłych i poprosiłam panią domu o sałatkę owocową, „ale z samych wiśni”, i dostałam ją. Innym razem, na promie, jadłam jajko na twardo i nie dałam rady zjeść całego — to było magiczne jajko bez dna. Kiedyś babcia Michelle kupowała nam po komiksie i czekoladce Curly Wurly dla każdej. A w Hiszpanii jadłam raz brzoskwinę wielką jak piłka, w słońcu moja skóra pachniała karmelem. Na pudełku z serkiem mojej mamy przeczytałam: „Ser o niskiej zawartości tłuszczu”, więc spytałam mamę: „Mamusiu, jak to jest, że ser może być niski?”, a ona wybuchła śmiechem. Pyszności.

Ale moje najmilsze wspomnienia są związane ze świętami. Jak pomagałam mamie przy cieście z rodzynkami, które robiła dla swoich uczniów, i czyściłam miskę. Jak piekłam piernikowe ludziki w szkole. Jak napychałam się czekoladkami Quality Street (z wyjątkiem tych czerwonych), aż mi się zrobiło niedobrze. Jak poprosiłam o aż sześć pieczonych ziemniaków i zostawiłam na talerzu trzy, a tata był zbyt wesoły, żeby zagrzmieć: „Masz większy apetyt niż możliwości!”.

W święta mój tata był wspaniały. W noc wigilijną wślizgiwał się do mojego pokoju i wrzucał mi do skarpety pomarańcze w gorzkiej czekoladzie (wolę mleczną, ale skąd miał wiedzieć). Potem jechaliśmy razem i wybieraliśmy choinkę, ja wdychałam zapach świeżych drzewek, a on mówił: Kradzież w biały dzień!”

albo „Dziwaczny kształt!” Kupował sobie cygaro, a mi paczkę czekoladowych papierosów i w drodze powrotnej paliliśmy je w samochodzie. Oczywiście ta tradycja zakończyła się, gdy skończyłam siedem lat, ale kiedy myślę o tym dzisiaj, mam ochotę wyciągnąć go z powrotem z grobu.

Panicznie boję się tych świąt bez niego, tak samo zresztą jak mama.

Ze zrozumiałych względów gościnność Vivienne ma swoje granice i nie rozciąga się na zaproszenie mamy na świąteczny obiad. Tym bardziej że teraz mama przyszłaby ze swoim cieniem — babcia Flo, która tak reaguje na wszelkie przyjęcia, jak myksomatoza na króliki. Mama odbiera to jako zniewagę i rano przy śniadaniu obwieszcza:

— Nie robię w tym roku żadnych świąt. Zostaję w łóżku. Więc nie oczekujcie żadnych prezentów!

Aż przestaję karmić Fatboya jego papką z indyka i podrobów i wołam:

— Ale, mamuś, nie możemy nie robić świąt! Nawet Michelle obchodzi święta!

— Ojciec Michelle jest wciąż żywy! — odszczekuje mi mama.

Już chcę powiedzieć: „Mamuś, wiem, że to dla ciebie ciężki okres...”, ale przypominam sobie Cliffa i jego zapalniczkę, więc mówię spokojnie:

— Ale ja jeszcze żyję i żyje babcia. Prawda? Więc co ty na to, żebyśmy zrobiły jakieś ciasto?

Mam wali o stół swoją filiżanką z herbatą.

— Nic mnie nie obchodzą jakieś tam ciasta! — jęczy. — Bez męzczyzny w domu to nie to samo!

No rzeczywiście. W żadnych portkach nie kryje się ponętny ptaszek.

— Oj, mamuś — mówię smutno. — Wiem, że to nie to samo. Ale czemu nie miałybyśmy urządzić takich cichych świąt? Tylko we trzy?

Wydyma dolną wargę. Musiała się tego nauczyć od jakiegoś

swojego ucznia. To przeżabawne — mina czterolatki na twarzy pięćdziesięciopięciolatki — muszę się ugryźć w język, żeby nie ryknąć śmiechem.

— Proszę mnie tym nie niepokoić — mówi bezczelnie.

— Mamuś — pytam — czy to dlatego, że musisz dziś iść do kliniki?

Mam prycha i mówi:

— Nie. To dlatego, że nie chcę mieć nic wspólnego ze świętami i nie pójdę na świąteczne zakupy. Nie ma mowy.

No i dobrze.

— No i dobrze, pani Scrooge! — mówię urażona. — Więc będziemy z babcią świętować same. Prawda, babciu?

Babcia Flo, która właśnie wkroczyła ze swoją butelką gorącej wody, wzrusza ramionami i mruczy:

— Nie ma czego świętować.

Czuję się głupio, że miałam nadzieję na pomoc ze strony babci Flo. Ona nie zaprzęta sobie głowy takimi rzeczami jak pomaganie innym. Nie pomaga nawet sobie samej. Pamiętam, jak w zeszłe święta w akcie hojności kupiła nam bilety na *Nędzników*. Nie miałam pojęcia, o czym to jest, ale tytuł brzmiał idealnie. A poza tym miałam wyrzuty sumienia, bo nie odwiedziłam babci przez ostatnie pół roku. Ponieważ tego dnia pracowałam, zaproponowałam, żebyśmy spotkały się w foyer. Zadzwoiła do mnie o 17.45 i oświadczyła, że nie przyjedzie, bo „skoro nie miałas nawet czasu, żeby podjechać i mnie zabrać, to jaki to wszystko ma sens?”. I to od kobiety, która podróżuje autobusami, odkąd tylko zostały one wynalezione!

Patrzę na babcię Flo, na jej paskudne, czarne buty, na beżowe rajstopy, szaroburą sukienkę, broszkę z opalem na szyi i zaczynam się zastanawiać, czy kiedykolwiek była szczęśliwa. I nie tylko tak myślę. Naprawdę chciałabym wiedzieć.

— Babciu — pytam. — Kiedy... jak myślisz, kiedy byłaś najszczęśliwsza?

Wynędzniała twarz babci staje się chyba jeszcze bledsza niż zwykle.

- W dniu mojego ślubu — mówi.
- No tak — mamrocze. — Dobra, to lecę do pracy. Do zobaczenia potem.

Uciekam szybko i klnę się w duchu za moją bezdenną głupotę. Babcia Flo wyszła za dziadka Geralda w swoje osiemnaste urodziny, dzień później Hitler napadł na Polskę. Tydzień po wypowiedzeniu wojny dziadek Gerald został powołany. Dwa miesiące później, podczas ćwiczeń wojskowych przypadkowy pocisk rozsadził dziadka na kawałeczki.

Myślę, że babcia Flo zamknęła swój ból w pudełeczku.

Wciąż jeszcze dumam nad tym, jak moją babkę los okradł z miłości jej życia, i to nim dziadek miał szansę zasłużyć się na polu chwały, gdy dzwoni do mnie Michelle, żeby mi powiedzieć, że się zaręczyła z Marcusem. Cytuję: „Tak więc przypuszczam, że byłaś jego ostatnią przygodą!”. A ja przypuszczam z kolei, że wciąż myślę jeszcze o resztkach mojego dziadka rozrzuconych po poligonie, bo — gdy już odzyskuję głos — zamiast spytać: „Czy dzwonicz, żebym ci poleciła jakiegoś konowała specjalizującego się w powiększaniu penisów?”, mówię jej, że bardzo się cieszę i mam nadzieję, że będą razem bardzo szczęśliwi. Mój głos jest wysoki i dość cienki, ale chyba na szczęście nie brzmi histerycznie. Michelle, która najwyraźniej gotowała się na zjadłą walkę, wydaje się zszokowana.

— O! — Po czym dodaje przybitym tonem: — O, jasne! Dzięki. A ja, no, mam nadzieję, że będziesz szczęśliwa z tamtym facetem, mimo że to totalny kretyn. Przez niego koszula mojego narzeczonego jest już do niczego. A to był Armani!

Zanim zdążę to przemyśleć, już mówię:

— Michelle, wiem, co to była za koszula i Marcus dostał ją od matki, która kupiła ją w najzwyklejszym sklepie Bhs. A Tom nie jest kretynem, zresztą już z nim nie jestem.

Michelle nadstawia uszu jak pies dingo:

— O! A dlaczego?

Ja i mój chlapiący dziób. Odpowiadam krótko:

— Nie pasowaliśmy do siebie. — Zwłoki mojego bezna-
dzijnego romansu nie będą teraz szargane przez Ivanę Groźną.

— No coś ty? Czemu? — dopytuje się Michaile.

— Michelle! — wrzeszczę. — Nie chcę o tym rozmawiać.
Michelle wdycha do słuchawki.

— Dobra, uspokój się! — A potem szeptem dodaje: — Czy
on cię przypadkiem nie uderzył?

— Uderzył mnie? — drę się. — Oszalałaś? On jest wetery-
narzem!

Michelle jest zdezorientowana.

— No to co takiego się stało? — draży temat. Co za uparte
babsko! Jak pies węszący w kroku.

— Jak już mówiłam — mówię twardo. — Nie chcę o tym
rozmawiać.

— Najwyraźniej jest coś, o czym nie chcesz mi powiedzieć
— zauważa Michelle bystrze.

Krzywię się i pytam podstępnie:

— Więc Marcus dał ci już pierścionek zaręczynowy?

— Zabieram go... — odpowiada wesoło. — Znaczą, on za-
biera mnie do Tiffany'ego dziś po południu.

Uśmiecham się na myśl o tej katastrofie dla Marcusowego
portfela.

— O! — mówię. — Ty to masz szczęście.

To mi przypomina ulubiony dowcip ojca: ten, w którym pani
Goldblatt leci samolotem, a siedzący obok mężczyzna podziwia
jej olbrzymi pierścień z diamentem. Tak, to rzeczywiście piękny
pierścień, mówi pani Goldblatt, ale niestety ten piękny diament jest
przeklęty. Pani Goldblatt. Właściwie nigdy nie uważałam, żeby ten
dowcip był szczególnie śmieszny, ale w tej sytuacji wydaje mi się
trafny. Wiem, że Michelle źle mnie zrozumie, a jednak pytam:

— Michelle, czy ty kochasz Marcusa?

Cisza. Potem krótki, radosny śmiech i triumfalny głos.

— Jesteś zazdrosna!

— Nie bardzo — odpowiadam spokojnie. Ale Michelle się

upiera, a mi jest wszystko jedno i nie chce mi się kłócić, więc tak to zostawiam.

— Zawsze przecież możesz wrócić do Jasona — zauważyła Michelle uprzejmie.

— Jaspera! — krzyczę, w końcu rzeczywiście wkurzona. — Michelle, nie ma mowy, żebym wróciła w to bagno. No daj mi spokój! Zresztą jest dobrze tak, jak jest!

Michelle nazywa mnie kłamczucha i dodaje, że ich ślub będzie tylko „dla wybranych”, więc jeśli nie dostanę zaproszenia, mam się nie czuć urażona.

— Michelle — mówię, nim pozbędę się tego ciężaru raz na zawsze — nie ciągnijmy tego dłużej.

Po tej czystce wypijam podwójne espresso.

Żaden z czterech pośredników nieruchomości, do których zadzwoniłam, nie oddzwonił. Co mnie zresztą specjalnie nie dziwi. Gdy zadzwoniłam do „Cholera i Synowie” w Kentish Town, jakiś prymityw po drugiej stronie spytał:

— To czego pani szuka? — Powiedziałam mu, a on spytał tylko: — A próbowała już pani w naszym biurze w Surrey?

W „Pośrednictwie Kombinatorów” odpowiedź brzmiała:

— W tej chwili najtańsze mieszkanie, jakie mamy, kosztuje dwieście tysięcy.

A w „Dupnych Nieruchomościach” spytano mnie:

— Chce pani tyle zapłacić za tydzień wynajmu, tak? Nie? Chodzi o kupno?

Jak dotąd najgrzeczniej zareagowali „Złodzieje i Spółka”, gdzie pan powiedział:

— Zaraz przełączę panią do mojego kolegi, który zajmuje się mieszkaniami. Ja pośredniczę tylko w sprzedaży własności powyżej trzystu tysięcy. — Potem tak mnie przełączył, że czekałam i czekałam, aż usłyszałam w słuchawce ciszę.

Więc kiedy Lizzy, która wczoraj była na sesji zdjęciowej i „umiera” z chęci usłyszenia „nowinek”, proponuje wspólny

lunch, łapię się tej propozycji, żeby tylko odwlec polowanie na mieszkanie. Dopiero gdy już przyjmuję jej zaproszenie, uświadamiam sobie, że nie jestem zupełnie w nastroju na pogaduszki.

— Opowiadaj! — woła Lizzy radośnie. — Mów wszystko.

Przygryzam wargę.

— To ci się nie spodoba — mówię.

Lizzy z miejsca popada w rozpacz.

— Ale dlaczego? — jęczy i jest bardzo zaniepokojona.

— Pokłóciliśmy się z Tomem. Nawrzeszczałam na niego. Naprawdę nawrzeszczałam — mówię, ale aż mi się słabo robi, jak sobie przypomnę moją szaloną wściekłość.

— O! Nie! Dlaczego? O co? — wykrzykuje Lizzy.

Więc jej mówię. A raczej przekazuję tylko te fragmenty, które się nadają do powtórzenia. Nie mówię jej o tej żalostnej mazi, która wypłynęła ze mnie jak krew z rozciętej tętnicy. Sama wolałabym nie wierzyć, że to się w ogóle wydarzyło. Więc tak patroszę i przygotowuję prawdę, że Lizzy dostają się tylko okruchy. Lizzy jest zdruzgotana. Po części dlatego, że nie może znieść mówienia źle o kimkolwiek. Ale także z powodu chałowej recenzji, jaką wystawiam Tomowi.

W końcu mówi z żalem:

— To po prostu okropne. A wydawał się taki miły. Może wcale nie chciał się wtrącać? Choć muszę przyznać, że to bardzo nieładnie krytykować nie swoich rodziców. Szczególnie że twój tata był t a k i m miłym człowiekiem.

Moje sumienie — które większość swego żywota śpi — dźga mnie w tym momencie łokciem, więc mamrocze:

— To nie była tylko jego wina. Trochę mu narzekałam na ojca. To niezbyt lojalne z mojej strony, co?

Na moje wyrzuty sumienia Lizzy macha z lekceważeniem:

— Bądź dla siebie bardziej wyrozumiała! Każdemu się czasem zdarzy ponarzekać na rodziców. Coś o tym wiem, bo sama ciągle gderam na moich!

Lizzy bardzo rzadko w ogóle mówi o matce i ojcu, ale jeśli to tylko we wspaniałych, imponujących superlatywach.

— Masz rację — mówię. — Nie mówi się ludziom, co mają robić. To jest wtrącanie się w nie swoje sprawy.

Lizzy, która rozpaczliwie stara się doszukać jakiegoś happy endu, pyta:

— Jesteś pewna, że nie robił tego w dobrej wierze?

Przypominam sobie jego afront na temat mieszkania i jestem zbyt załamana, żeby zwierzyć się przyjaciółce.

— Na pewno nie! — mruczę.

Lizzy milczy.

— Jesteś pewna, że tego się już nie da naprawić?

— Lizzy, to nie była jakaś głupiutka, mała sprzeczka. To była poważna kłótnia.

— To może najlepiej będzie odpocząć od siebie przez jakiś czas — zauważa Lizzy ponuro.

Przytakuje, szczęśliwa, że wreszcie zmienimy temat, zanim Lizzy znów zacznie mnie dręczyć pytaniami. Ale o jakimkolwiek temacie pomyślę, widzę wielki znak: „wstęp wzbroniony”. Nie chcę rozmawiać o mieszkaniu na Muswell Hill, bo to może prowadzić do dziadka roztrzaskanego w kawałeczki albo do pielęgniarki psychiatrycznej. Nie mam ochoty pytać o Briana, bo tym sposobem możemy wrócić do Toma. Nie chcę wspominać o Michelle, bo dostaję gęsiej skórki na samą myśl o Marcusie i syndromie urojonego ojca. Moja głowa jest jak jedna wielka blokada drogowa.

— Liz, czy myślisz, że rozpieszczam mamę? — rzucam pytanie.

Ale zamiast odpowiedzieć, Lizzy łapie mnie za ramię — żeby, jak sądzę, dać mi do zrozumienia, że chwyciła moje pytanie i zaraz je przemyśli — i woła:

— Tina! Tina! — Podążam za jej spojrzeniem i widzę, że Tina znika w obuwicznym. — Chodź! Zaprosimy ją na lunch! — krzyczy Lizzy i rzuca się w pogoń.

Gdybyż tylko Nibylandia naprawdę istniała, marzę w duchu. Wróżka Lizzy tak by tam pasowała.

— Poczekam na zewnątrz — mówię. Kilka sekund później wraca Lizzy z Tiną w żelaznym uścisku.

— Jezu! Co ci się stało w nos? — pytam.

Lizzy odpowiada za nią:

— chciała zdjąć puszkę z fasolką z górnej półki i na nią spadła. Biedactwo!

— Bardzo boli? — pytam.

Tina kręci głową. Czuję, że nie jest zachwycona perspektywą lunchu z nami. Nawet Lizzy czuje się niepewnie, bo próbuje poprawić nam nastrój dowcipem.

— To ostatecznie dowodzi, że jedzenie z puszek szkodzi!

Nikt się nie śmieje. I od tego momentu następuje już tylko stopniowe pogarszanie się naszego nastroju. Tina najwyraźniej ślubowała milczenie, a ja boję się spytać Lizzy, jak tam jej weekend, bo zawsze możemy wtedy wrócić do omawiania mojego. Więc — z głupoty — chwytam kawałeczek buraka z talerza Lizzy, przyklejam sobie do nosa i wołam:

— A to kto?

Lizzy milczy. Tina spogląda na mnie. Patrzę na nią i jestem przerażona jej nienawistnym spojrzeniem. Zdejmuję buraka z nosa i mamroczę:

— Przepraszam, to był głupi dowcip.

Tina lodowatym tonem mówi:

— Zawsze tak mówisz, ale nigdy się nie zmienisz, prawda? Jesteś jak jakaś cholerna, zacięta płyta gramofonowa.

Szczęka mi opada ze zdumienia.

— No, kurwa mać! — piszczę. — Nie chciałam nic złego powiedzieć, tak? Co się z tobą dzieje? Jesteś taka agresywna. Nie mogę słowa powiedzieć, bo mi od razu skaczesz do gardła. — Na twarz Tyny wypływa wściekłość, ale ja wciąż gderam: — Odkąd tylko na scenie pojawił się boski Adrian, Adrian! Adrian!, już nie dla ciebie takie idiotki jak my!

Tina wali pięścią w nasz metalowy stół, aż podskakują talerzyki moje i Lizzy.

— Przesadziłaś, dziewczyno, przesadziłaś! — prycha. — Podła! I co tym razem masz na swoje usprawiedliwienie? Toma? Jaspersa? Marcusa? Przepraszam, bo już naprawdę tracę orientację.

Aż mi się robi gorąco.

— Nie, tym razem nie chodzi o faceta. Chodzi o mojego ojca — choć raz w życiu mówię szczerą prawdę.

Oczekuję, że to ją uciszy, ale mnie wyśmiewa;

— I co jeszcze? — Potem staje na równe nogi i syczy: — Nie używaj swojego ojca jako emocjonalnego łożu! Nie ze mną te numery, Helen. Nawet go nie lubiłaś! To już się ciągnie zbyt długo! Odrobinę przyzwoitości, pozwól facetowi odejść w spokoju!

Jest to bez wątpienia najpodlejsze, co kiedykolwiek od kogoś usłyszałam. Michelle nie powiedziała by czegoś takiego nawet w swych najdziwniejszych marzeniach. Marcus, który nazwał mnie „szmata” — to było nic! Jestem tak wściekła, że mam ochotę trzasnąć Tinę po twarzy. Szczęściem dla niej znika z kafeтерии, nim mam czas zacisnąć pięść. Jestem tak przerażona, że nie mam odwagi spojrzeć na Lizzy. Siedzę i czuję, że się cała trzęsę. Zgniatam serwetkę w malutką kuleczkę i zastanawiam się, jak się to wszystko stało. Wsysam w siebie olbrzymie hausty powietrza, ale wciąż nie mogę złapać tchu. W końcu czuję, że ktoś dotyka mnie delikatnie i Lizzy mówi cichutko:

— W porządku?

Kiwam głową i strząsam jej dłoń.

— Tina nie chciała tego powiedzieć — szepcze Lizzy, To sprawia, że otrząsam się z tego odrętwienia i rzucam:

— Właśnie, że chciała. I jeśli myśli, że znowu będą za nią gonić, to się, kurwa mać, myli. Nie chcę jej znać.

W mojej głowie pojawia się na chwilę niemiła myśl, że pozbywam się znajomych i przyjaciół w tempie czterech na tydzień, jak na razie, bo do końca tygodnia jeszcze środa, czwartek, piątek i sobota.

Lizzy bierze głęboki oddech i mówi:

— Myślę, że Tina nie czuje się szczęśliwa. Mimo Adriana. Inaczej nie powiedziała by czegoś takiego.

Wzdrygam się.

— To nie ma znaczenia.

Ale Lizzy upiera się.

— A co do tego, co powiedziała o twoim ojcu, to po pierwsze, masz prawo głęboko przeżywać jego śmierć. Nawet jeśli nie byliście ze sobą zbyt blisko, w co nie wierzę. A poza tym, hm, może reiki mogłoby tu coś pomóc?

Chichoczę. I tak sobie myślę: „Czy gdyby jakiś szaleniec odraǳał mi nogę siekierą, Lizzy nie zaproponowałaby, żeby pocałować, to się zagoi?”. Zmuszam się do pogodnego tonu i mówię:

— Lizzy, wiesz, że nie lubię, jak ktoś coś przy mnie grzebie.

— No, ale nie wiem, czy...

Ona mi przypomina mnie samą, gdy za pomocą miseczki pełnej sosu z tuńczyka próbuję wyciągnąć Fatboya z dziury za bojlerem. I muszę przyznać, że to działa. Czuję się odrobinę spokojniejsza. Mruczę:

— To o tacie powiedziałam tylko, żeby wkurzyć Tinę. Ona ma rację. Jestem w podłym nastroju.

— Ale dlaczego? Jeśli to nie chodzi o twojego tatę, to o co? O Toma? — pyta Lizzy.

Wiedziałam, że ten lunch to nie był najlepszy pomysł. Rzucaam serwetkę na stół i mówię:

— Tom grzebie w psich tyłkach i ma gorszy samochód niż ja. Nie, to nie przez Toma.

— Helen, ale przecież ty masz w nosie samochody! A jemu płacą za to, żeby grzebał w psich tyłkach! — złości się Lizzy.

— I co? To ma mnie pocieszyć? — mruczę pod nosem.

Lizzy zaciska usta, a potem mówi:

— Może dobrze ci zrobi, jak przez jakiś czas pobędziesz sama.

Cmokam głośno i znudzonym tonem pytam:

— Niby czemu?

Lizzy wyciera usta serwetką, jej doskonała szminka pozostaje doskonałą, i jak arcybiskup wygłaszający puentę transmitowanego przez telewizję kazania oświadcza:

— Nigdy nie będziesz z nikim szczęśliwa, jeśli sama nie nauczysz się, jak żyć szczęśliwie.

Odchylam się na krzesło, krzyżuję ręce na piersi i staram się wyglądać na niewzruszoną.

- Liz, czy ty przypadkiem nie przeczytałaś tego w „Girltime”?
- Być może — mówi Lizzy wyniośle. — I co z tego?
- Ja to napisałam — odpowiadam ostro.

ROZDZIAŁ XXXI

żeby na twoim czole pojawiła się jedna trwała zmarszczka, trzeba się zmarszczyć aż dwieście tysięcy razy. Przyglądam się głębokim bruzdom na czole mojej mamy i zastanawiam się, ile z tych dwustu tysięcy zmartwień i niepokojów było związanych ze mną. Staram się, jak mogę, być niewzruszona, więc naprawdę nie użalam się nad nią — jestem tylko ciekawa. Nie ma chyba nic bardziej stresującego niż bycie rodzicem. To musi być nawet gorsze niż bycie podwładnym Laetitii.

Być odpowiedzialnym za zdrowie i szczęście żywej istoty. Prerażające. Zanim odważyłam się nabyć moją rudą sierotkę, wydałam czterdzieści pięć funciaków na książkę o kotach i kolejne pięćdziesiąt na różne kocie pierdoły, a i tak wciąż uważam to za jakiś cud, że Fatboy w ogóle przetrwał. Wszystkie kwiatki, które kiedykolwiek sobie kupiłam, padały w ciągu dwóch tygodni, nie wyłączając kaktusów. Zresztą u mamy jest tak samo. W jej domu nie ma żadnej zieleni i nigdy nie było. Kupuje sobie czasem cięte kwiaty, ale to co innego — nie wymaga się od nich, żeby przetrwały dłużej niż tydzień. Więc nie mam pojęcia, jak ona sobie poradziła z małym, śmierdzącym i marudzącym dzieckiem. To znaczy właściwie to wiem — zatrudniła niańkę.

Isabella bała się odkurzacza i nosiła wspaniałe, białe szpilki, które robiły dziury w lśniącej, drewnianej podłodze mojej matki. Bardzo ją lubiłam. Pewnego razu, gdy byłam jeszcze pięcioletnią chudzińką, poskarżyłam się Isabelli, że jestem gruba, bo słyszałam, jak Vivienne skarżyła się tak mojej mamie. Isabella pod-

ciągnęła swoją pomarańczową bluzkę, odsłoniła zmarszczone, brązowe ciało i obwieściła radośnie:

— Ty nie gruba! To jest gruba!

Patrzyłam jak zahipnotyzowana i od tego czasu już się nie bałam, że utyję. Dzięki Bogu za Isabellę. Uratowała mnie. Myślę, że gdyby nie ta niezgrabna wylewność Isabelli — „Ja pilnować Helen, pani Bradshaw, pani zakupować!” — moja mama już dawno by się załamała. I ja pewnie razem z nią.

Tymczasem trzydzieści funtów tygodniowo i posiłki, co pewnie razem dawało z jakieś sto trzydzieści funtów, uwalniało moją mamę od tej niewolniczej pracy, jaką jest macierzyństwo, i jakoś jej się upiekło. Tak więc zachwycające są jej próby nadrobienia tych dwudziestu sześciu lat. Niech Bóg jej wybaczy, ale jest w tym zupełnie beznadziejna. Wracam z pracy, a ona napada na mnie już w przedpokoj.

— Florence chce się wyprowadzić!

Po chwili:

— Tracę całą moją rodzinę!

I w końcu:

— Zrobiłam herbaty, chcesz?

Upuszczam torebkę na podłogę i staram się nie okazać paniki. Próbuję też ustosunkować się do wszystkich jej wypowiedzi.

— Czy babcia wyprowadza się przeze mnie?

Mama wymachuje rękoma, jakby chciała odgonić taką myśl, ale mówi:

— Tak jakby.

Wiedziałam.

— Nie pomyślałam o tym! — biadolę. — Chryste! Gdzie ona? Ja jej zaraz wszystko wytłumaczę!

Mama wygląda na zdezorientowaną.

— Nie wiem, o czym ty właściwie mówisz! To przez te ukradzione sardynki!

— Ukradzione sardynki? — jęczę.

Okazuje się, że dziś rano babcia odłożyła sobie swoją ulubioną przekąskę — trzy sardynki i kromkę białego chleba —

żeby się przewietrzyła. Dziesięć minut później nakryła Fatboya, którego motto życiowe to: „znalezione, nie kradzione”, przykucniętego nad talerzykiem i żującego w najlepsze trzecią sardynkę. To upewniło babcie Flo w jej opinii na temat mieszkania pod jednym dachem ze „szkodnikami” i skłoniło do podjęcia natychmiastowej decyzji: jutro rano babcia wraca do siebie.

— Przepraszam — mamrocę. — Postaram się ją powstrzymać.

Mama kręci głową i stwierdza radośnie:

— Jest w pokoju. Pakuje się! Nie zawracaj sobie głowy! Teraz ty tu jesteś! A ja zrobiłam herbaty!

— Ale ja nie piję he... — zaczynam, gdy wchodzę do kuchni. Ku mojemu zdziwieniu i rozpaczy stół kuchenny ugina się, u g i n a pod ciężarem kanapeczek i małych ciasteczek — frykasów, o których istnieniu już zapomniałam: czekoladowe Wagon Wheels, różowe i żółte Fondant Fancies. Jest nawet Battenburg Cake.

— Przygotowałam specjalnie dla ciebie! — woła mama jak sześciolatka, która zrobiła właśnie w przedszkolu potworny pompon z kartonu i włóczki i oczekuje, że jej mama przyczepi go natychmiast do swego eleganckiego kapelusza.

— To, hm, to bardzo miłe z twojej strony — mówię i opadam na krzesło, które mi podstawia.

Siada bardzo podekscytowana i przygląda mi się jak sęp, gdy sięgam po kanapeczkę z marmite. Nie cierpię tego smarowidła. Odgryzam kawałeczek i zastanawiam się, co tu się, do cholery, dzieje.

— Ja się czujesz? — pyta mama.

— W porządku — mówię i próbuję jakoś tak przełknąć kanapkę, żeby nie zwymiotować.

Wzdycha znacząco, jakby to nie była prawidłowa odpowiedź i uściśla:

— Nie, ale jak ty się c z u j e s z?

Dochodzi do mnie to zdanie i wszystko staje się jasne. Ten nikiemnik Cliff!

— Mamuś — ryczę. — Co ci ten chff za bzdur naopowiadał?

Spogląda na mnie z poczuciem winy i nadaśana wypiera się wszystkiego:

— Nic! Zupełnie nic mi nie mówił!

Mierzę w nią palcem.

— Ale ty nigdy nie pytasz, jak się czuję! Musiał ci coś napowiadać! O czym rozmawialiście dzisiaj?

Mama wierci się na krześle bardzo urażona.

— O tym, że nie lubię chodzić do kliniki, bo wszyscy w poczekalni są szaleni!

A ja daję się zwieść z tropu.

— O! Jak to? — pytam.

Mama pochyla się nad stołem i piszczy:

— • Dziś było zupełnie jak u Kafki! W życiu czegoś takiego nie widziałam! Sami chorzy psychicznie! Całe tłumy! Nie mogłam uwierzyć, że tam jestem! To straszne! I jaki brud! To było obrzydliwe! Gorzej niż w szkole! Ta kobieta, ta kobieta miała na głowie plastikową torebkę! Mamrotała coś do siebie i krzyczała w sufit, a w torbie miała pełno marchewek i ona, ona, ona mnie poprosiła o pieniądze!

Biedactwo. Być aż tak chorym psychicznie, żeby myśleć, że moja matka — ze swoją uroczą fryzurką i mocno zaciśniętą torebką — podaruje komuś choćby piętnaście pensów bez pokwitowania, za samo uprzejme: „Proszę”!

— Pewnie była zdesperowana, mamusiu. Dałaś jej coś? — pytam.

Mama kręci głową energicznie.

— Powiedziałam jej, żeby poszła sobie i zostawiła mnie w spokoju. Tak dziwnie pachniała.

Wzdycham. I pomyśleć, że moralna edukacja łatwowiernej dziatwy spoczywa w tych oto słabych, acz brutalnych dłoniach. A oni ją uważają za swoją najlepszą nauczycielkę!

— I o czym jeszcze rozmawialiście z chffem? — wracam do tematu.

— Dzisiaj nie był miły — skarży się mama. — Wcałe mi się dzisiaj nie podobał.

Odkładam kanapkę z marmite na talerzyk.

— Mamuś, klinika to nie żadna agencja matrymonialna. Nie musisz go lubić. Więc co jeszcze powiedział?

Ale mama chyba postanowiła, że mi nie powie, i zaczyna się emocjonować.

— A jakie to ma znaczenie! — upiera się. — Powiedz mi tylko, jak się czujesz! I nie przestawaj jeść!

Łapię więc za ciasteczko zwane „Fondant Fancy”, obieram je z różowego lukru i zlizuję cały krem. Skoro mama postanowiła traktować mnie jak przedszkolaka, równie dobrze mogę korzystać z tej sytuacji.

— W jakim sensie: jak się czuję? — pytam i aż mnie zatyka, gdy cukier dotyka moich nerwów w zębach.

— Nie wiem! — krzyczy mama. — W każdym!

Biorę łyżeczek lemoniady, ją też kupiła, i staram się to przemyśleć. Co mogę powiedzieć, żeby jej nie zasmucić? Że nie mam do niej żalu o te święta? Że ciasteczka są pyszne? Żeby się nie martwiła babcią Flo? Że nie wyprowadzę się, póki nie zechce? Że cieszę się, że już w styczniu wraca do szkoły? Wszystkie te myśli są kojące, nienatoczywe i bezpieczne. Gorzej z uczuciami. Ale ona chce właśnie o uczuciach. A jeśli jej nie powiem, nigdy nie zrozumie. Nie ma ani krzty wyobraźni, więc jeśli ta herbata ma się nie zmarnować, mniejsza o zdrowy rozsądek. Dobra. Sama pytała. Uświadamiam sobie nagle, że moja mama patrzy na mnie, a ja bujam się na krześle i kiwam w przód i w tył jak jakaś staruszka. Ale mówić jest trudno. Boję się, że ból, który ja chcę traktować jak znikającego już siniaka, zostanie zdiagnozowany jako gangrena.

W końcu wyrzucam to z siebie.

— Głównie to czuję tęsknotę za tatą.

Mama klaszcze w dłonie i wykrzykuje triumfalnie:

— To dokładnie tak jak ja!

Powstrzymuję uśmiech. Moja matka ma pięćdziesiąt pięć lat i nigdy się już nie zmieni. chff spóźnił się o jakieś pół wieku. Już mam dodać: „Tak, ale ty masz prawo. Wyście się kochali!”.

i zobaczyć, co ona z tym zrobi na fali tej chwilowej empatii. Ale postanawiam sama znaleźć odpowiedź na to pytanie.

Kiedy dzwoni telefon, a po drugiej stronie słyszę głos Luke'a, niemal go ogłuszam z radości, że mnie uwolniono od ciasteczko-wo-uczuciowej herbatki.

— Cieszysz się, że dzwonię?! — pyta zachwycony Luke.

— Jasne! — wołam. — Co tam u ciebie? Stęskniłam się!

— Ja za tobą też. Bez ciebie to już nie to samo — odpowiada Luke jakby nieśmiało.

— A co? Jest czyściej? — podpowiadam.

— Dużo czyściej — śmieje się Luke.

— To co tam u ciebie?

Luke waha się.

— Wiesz już o Michelle i Marcusie? — pyta.

— No, i nie wiem, komu tu trzeba bardziej współczuć.

— Więc nie martwisz się tym? — pyta Luke zdziwiony.

— Boże! Skądże znowu! — Mój głos brzmi trochę zbyt ostro.

Przyciskam nos palcami, żeby nie urósł za długi.

W głosie Luke'a słychać uśmiech.

— To świetnie. A jak tam Tom?

Teraz to ja się waham.

— Nie widzieliśmy się od niedzieli — mówię krótko.

— Dziś jest wtorek! — woła Luke. — Daj facetowi szansę!

Czuję się w obowiązku wyprowadzić go z błędu.

— Nie jesteśmy ze sobą. Rozstaliśmy się.

— O — mówi Luke. — A mogłabyś mi podać jego numer telefonu? Wychodzimy z chłopakami w piątek wieczorem i tak sobie pomyślałem, że mogę go też wyciągnąć.

Jestem rozdarta między fascynacją, jak można się tak interesować meczami, a tak nie interesować związkami międzyludzkimi? — i podziwem (taki jest słodziutki, a jednocześnie tak absolutnie gruboskórny — to wprost szczyty instynktu samozachowawczego).

— Czekaj chwilę — mówię i wlokę się do przedpokoju, wysypuję na podłogę wszystko, co mam w torebce, i przeszukuję te

śmiesi. W końcu znajduję notatnik z telefonami. Odczytuję Luke'owi numer do Toma i staram się, by mój głos nie zdradził przejmującego smutku.

— A co tam porabiasz w święta? — pyta Luke. Ma talent do trafiania w sedno, gdy to sedno jest najbardziej bolesne.

— Bo ja wiem — odpowiadam. — A ty?

— To, co zwykle — mówi Luke. — Jadę do rodziców, gdzie będzie niewiele do picia, za to cała skłócona rodzina.

— Tobie to dobrze — mówię i naprawdę tak uważam.

Potem drepczę z powrotem do kuchni, gdzie mama ze smutkiem wpatruje się w ciasteczka.

— Zostaw to, mamusiu. Ja posprzątam.

— Prawie nic nie zjadłaś! — zauważa obrażona. — Idę umyć włosy!

— Zaniosę trochę babci! — krzyczę za nią. — Przynajmniej się nie zmarnuje!

I uświadamiam sobie, że gadam, jakbym miała dziewięćdziesiątkę na karku. Im szybciej babcia Flo się wyprowadzi, tym lepiej.

Nieśmiało pukam do drzwi.

— Kto tam? — skrzeczy babcia.

Mam ochotę jej odskrzeczeć: „Fatboy!”, ale zamiast tego wołam:

— Helen!

Babcia podchodzi do drzwi, szurając nogami i otwiera je.

— Tak? — pyta.

Macham jej przed oczyma talerzem z ciastkami.

— Przyniosłam ci ciasteczka.

Wyciąga dłoń i zabiera mi talerz.

— Dziękuję — mówi i próbuje zamknąć drzwi!

Wciskam stopę między drzwi.

— Babciu — mówię. — Wiem, że jesteś zajęta, ale czy mogę wejść na chwilę?

Wzrusza ramionami.

— Skoro koniecznie musisz. — Ale nie otwiera drzwi ani odrobinę szerzej.

Wciągam brzuch i wciskam się do środka. Nieliczne ubrania babci są starannie złożone w starej, zniszczonej walizce, która leży otwarta na łóżku. Purpurowy płaszcz wisi na oparciu krzesła. Babcia siedzi na krzeselku i pożera ciastka. Jej opuchnięte palce są suche i popękane w stawach i kiedy to zauważam, chce mi się płakać.

— Babciu — mówię pośpiesznie. — Bardzo mi przykro, że mój kot ukradł ci lunch i...

— Mówiłam twojej matce, że to niehigieniczne przechowywać w domu takie brudne zwierzę, ale czy ona mnie kiedykolwiek posłucha? — przerywa mi.

Osobiście uważam, że zwyczaj zostawiania sardynek, żeby się „wywietrzyły”, jest jednak nieco bardziej niehigieniczny niż Fatboy, ale — jako że rozumiem, że nie jest człowiekowi przyjemnie, gdy jego lunch zostanie pochłonięty przez jakąś bestię — nie dzielę się z babcią moimi przemyśleniami. Przepraszam ją jeszcze raz. I dodaję:

— Przepraszam, że przypomniałam ci o dziadku. Nie zrobiłam tego specjalnie. Mam nadzieję, że nie wyprowadzasz się dlatego.

Babcia wydaje z siebie taki odgłos, że przez paskudną chwilę mam wrażenie, że się udusi tym ciastkiem na śmierć. Kiedy uświadamiam sobie, że to odgłos wyrażający pogardę, oddycham z ulgą. To już by było naprawdę zbyt okrutne, gdyby on umarł w kawałeczkach, a ona od ciastka.

— Nie ma dnia, żebym nie myślała o moim Geraldzie — mówi babcia.

Dzięki Bogu! Więc nie przypomniałam jej o nim! Nie bardzo wiem, jak powinnam zareagować. Mam ochotę wypytać ją o niego, dowiedzieć się wszystkiego, ale boję się, że ją zasmucę. Więc jak nakręcona powtarzam tylko:

— Przykro mi, przepraszam.

— Takie jest życie — mówi babcia dość uprzejmie. — I trzeba się z tym pogodzić. Jakoś sobie z tym radzę.

Kiwa w stronę drzwi. Uznaję to za znak, że audyencja skoń-

czona i wstaje. Nie mam odwagi nic odpowiedzieć, ale zastanawiam się nad tym, co powiedziała. „Naprawdę sobie radzisz?“, myślę.

Mój sposób na radzenie sobie z życiem, to uciekanie przed nim. I guzik mnie obchodzi, co inni o tym sądzą. Uważam, że to jedno z podstawowych praw człowieka. Budzę się w środę i od razu mam to okropne wrażenie, że tonę. Przypominam sobie, że Tom i ja już się nigdy nie będziemy pieprzyć, i jest mi z tym źle. Idę do pracy i zwieram się z tego Lizzy, która mówi:

— To może do niego zadzwoń?

Ale ja mam lepszy pomysł.

— Schlejmy się! — Lizzy z miejsca robi nadaśaną minkę.

— Sokiem pomarańczowym! — dodaje, bo wiem, że szanse na to, że uda mi się zmusić Lizzy, żeby wzięła do ust alkohol, są właściwie żadne. — Będziemy aż pijane od nadmiaru witaminy C! Hurra! — wołam, żeby ją jednak skusić i przestać wreszcie upadać na duchu. Lizzy nie wygląda na przekonaną, więc mówię: — Brian jest w Hongkongu na tym kongresie tai-chi, a ty byłaś na gimnastyce wczoraj, przedwczoraj i pewnie także przed-wczoraj. Co za dużo, to niezdrowo! Nadwerężysz sobie swoje kości biodrowe! Aua! Pomyśl tylko o tym zapaleniu stawów, które ci grozi!

Krzyżuję ręce na piersi i czekam.

— A mówiłam ci już, że Michelle i Marcus zaręczyli się? — pytam, żeby w ten podły sposób popchnąć moją sprawę.

— Co? Nie! Kiedy? O mój Boże! — woła Lizzy. — No dobra — dodaje w końcu niechętnie — ale niech ci się nie wydaje, że nie wiem, że to jest szantaż.

— Może to i podłe, ale jakie skuteczne — zauważam radośnie i zaczynam układać całą intrygę.

Nadzieja na sprowadzenie Lizzy na złą drogę tak mnie podnosi na duchu, że aż dzwonię do kolejnego pośrednika nieruchomości. Ku mojemu bezbrzeżnemu zdziwieniu pan Adam ma

mi do zaoferowania aż dwa mieszkania. Oba znajdują się w Kentish Town i w zasięgu moich możliwości finansowych. Pierwsze mieszkanie określił słowami: „świetna lokalizacja względem lokalnych udogodnień”. Drugie jest „przestronne i atrakcyjnie usytuowane”. Mówię mu, że dziś wieczór jestem zajęta, ale możemy się spotkać jutro, a on od razu na mnie napada.

— Te mieszkania oglądają tłumy! — krzyczy. — Jest pani nimi poważnie zainteresowana czy nie?! W pobliżu nie ma nic innego! One znikną, nim się pani obejrzy!

Słyszę, jak strzela palcami i podejrzewam, że pan Adam należy do osób, które babcia Michelle nazwałaby „hyksum dyrdum”. Ale i tak zgadzam się obejrzeć te mieszkania jeszcze dziś wieczorem.

O szóstej przekazuję te wieści Lizzy, a ona wcale się tym nie martwi.

— To będzie całkiem zabawne! — mówi. Jedziemy metrem do biura pana Adama. Pan Adam jest zajęty telefoniczną rozmową i macha na nas, żebyśmy sobie usiadły. Cztery minuty później rzuca się w naszą stronę, mężnie macha nam przed oczami garścią kluczy i spogląda na Lizzy pożądliwie. Widzę, że jest pod wrażeniem uroku Lizzy, a nas z kolei powala odór jego zbyt mocnej i zbyt industrialnej wody po goleniu.

— To Joop! — szepcze Lizzy, gdy pan Adam idzie po swoje mondeo — ale czemu on tego wylał na siebie aż tyle?

Przecieram piekące mnie oczy i szepczę:

— Już lepiej nic nie mów.

Sekundę później podjeżdża biały gruchot z wgniecionymi drzwiczkami pasażera. Odskakujemy, żeby nam nie zmiażdżył stóp.

— Lizzy, może chciałabyś sięść z przodu? — pytam słodko, ale Lizzy wnosi sprzeciw.

Więc to ja muszę siedzieć koło pana Adama, który — ze swoją fryzurką pełną żelu, złotym sygnetem i przerośniętym ego — szybko staje się nieodparty. Żartuję. Podnoszę trochę nogi, żeby nie naruszyć delikatnego ekosystemu samochodu, na który

składają się puszki, pudełeczka i świerszczyki. **Nie** przychodzi mi nic mądrego do głowy, więc mówię:

— Ojej! Ukradli panu radio!

— No, skurwysyny, nie? — odpowiada pan Adam i zapala papierosa.

Choć jest przecież środek zimy, otwiera okno i łapie za dach. Pewnie żeby nie odleciał. Szczęśliwie dla wszystkich zakłopotanych tą sytuacją dzwoni mu telefon. Następne dziesięć minut pan Adam spędza, wykrzykując takie rzeczy:

— E, nie! Bo ja wiem! Ładna sztuka! Ano! Ma czym oddychać! Się zrobi! — A ja drzę z zimna w moim płaszczu. Mówię do Lizzy:

— Sama nie wierzę, że to robię.

— Ależ dlaczego? — grucha Lizzy. — Mieszkanie to świetny pomysł! Strasznie mi się podoba! Tylko pomysł! Cała łazienka tylko dla ciebie!

Kiwam głową.

— Pewnie masz rację — mówię, a samochód zatrzymuje się raptownie i pan Adam wyskakuje na zewnątrz.

Pięćdziesiąt dziewięć sekund później znowu tłoczmy się w samochodzie — tylko bardziej chmurni. Rzucam gniewne spojrzenie na czarne, skórzane buty pana Adama, każdy przyozdobiony metalową blaszką, i piszcze:

— Świetna lokalizacja względem lokalnych udogodnień! Przecież to jest tuż nad barem rybnym!

Pan Adam nie rozumie moich zarzutów.

— Złotko — mówi. — A czegoś się spodziewała za twoją ściakę? A przynajmniej nigdy byś tu nie była głodna, nie?

— Czy to oznacza — pytam podejrzliwie — że to drugie mieszkanie znajduje się tuż obok całodobowej stacji benzynowej?

Pan Adam jest pod wrażeniem.

— A skądżeś to wykumała, kobieto?

— W East Finchley jest ładnie — pociesza mnie Lizzy, gdy pan Adam znika. — Może powinnaś poszukać czegoś tam?

Marszczę nos.

— Za blisko mamy — mówię. — Siądźmy gdzieś na chwilę.

Piętnaście minut później siedzimy już nad butelką czerwonego wina. Ja pochłaniam trunki zachłannie, a Lizzy — która zgodziła się „ten jeden raz” — sący swój ostrożnie. Za to zachłannie słucha mojej opowieści o Marcusie i Michelle i piszczy: „Nie!”, gdy tylko próbuję pominąć jakieś szczegóły. Dziwnie szybko opróżniamy naszą butelkę. Czy — jak mówi Lizzy po swoich dwóch kieliszczykach — „sipko”. Trzeba jej przyznać, że jest ekonomiczna. Zamawiam drugą butelkę, a Lizzy dostaje czkawki i oświadcza, chichocząc:

— Ja to nigdy nie pi-eje w tygodniu!

— Przecież w weekendy też nie pijesz — zauważam uprzejmie.

Nasza rozmowa schodzi na święta. Przyznaję się, że „nie robię nic, w cholerę”, a Lizzy mówi, że pomaga w „gotowaniu zupki dla bieda-aków”. Pokładamy się ze śmiechu.

— No, no — mówię, gdy już dochodzimy do siebie. — To ładnie z twojej strony. Ale czy to cię nie zasmuca?

— Nie-e — zaprzecza Lizzy. — To je-est bardzo podnoszące na-a duchu! W końcu ta-akie rzeczy po-owinno się robić w święta!

Nalewa nam jeszcze po kieliszku.

— Znaczy co? — pytam. — Zawracać głowę bezdomnym, żeby się czuć dobrym i żeby uniknąć rodzinnych spotkań? — Widzę osłupienie Lizzy, więc pośpiesznie dodaję: — Przecież żartuję. Ale nie spotykacie się z Brianem?

Następuje godzinna gadka o Brianie, w czasie której Lizzy zamawia kolejną butelkę, a ja myślę: „Ale on jest taki stary”.

— Ale on jest taki stary! — oświadczam i zakrywam dłonią usta.

Lizzy klepie mnie wesoło po ramieniu i woła:

— Słyszałam! Słyszałam! Wcale nie jest stary! No, może i jest trochę starszy-y, ale co-o z tego?

— Ale to tak, jakbyś się umawiała z własnym ojcem! — piszczę.

Na szczęście Lizzy uznaje, że to całkiem zabawny dowcip i wcale nie trzaska mnie po głbie. Za to uderza w stół, pokłada się ze śmiechu i krzyczy;

— Nie jest ani trochę taki jak mój ojciec! Ty wariatko! Jest starszy-y, ale co-o z tego?

Przypuszczalnie poziom alkoholu jest już u mnie tak wysoki, że zalał mi zupełnie komórki mózgowo, bo jakoś nie umiem obalić tego jej stwierdzenia.

— Jasne! — przytakuję. — I co z te-ego!

Lizzy bierze potężny łyk wina, odgarnia włosy z czoła i chichocze:

— Ty to jesteś zabawna! Ty to się wypierasz! Tak powiedział mój psycholo... psychol... mój znajomy!

Jest tak zajęta odgarnianiem tych swoich lśniących włosów i zmaganiem się z wymówieniem słowa „psycholog”, że nie zauważa mojego wyrazu twarzy.

— A propos czego tak powiedział? — pytam i jakoś wcale nie jest mi już do śmiechu.

— A bo ja wiem! — ryczy Lizzy, rozwalając się na swoim krześle. — Może aparopo Toma? — chichocze.

Dołączam się do jej chichotu i wołam:

— Możebyć!

Więc śmiejemy się teraz ze słowa „możebyć”. Nie chcę przestawać się śmiać, więc wołam ochryple:

— Ale on, ale on...

Lizzy zanosi się śmiechem i szepcze:

— ...grzebie...

I kończymy chórem:

— ...w psich tyłkach!

I wtedy właśnie mówię coś, co wydaje mi się świetnym po-

mysłem, przynajmniej w chwili, gdy to mówię. Proponuję, żebyśmy poszły do ulubionej knajpy Toma.

— Mieszka tu niedaleko! Knajpa jest na tej samej ulicy!

— Sko-oro jest na tej samej ulicy — zgadza się Lizzy. —

Chodźmy-y!

Płacimy i wychodzimy chwiejnym krokiem.

— Mam no-ogi jak z... z gumy! — woła Lizzy, gdy idziemy, zataczając się i podtrzymując wzajemnie.

— Nie krzycz tak — ryczę — jestem tuż obok!

Jeśli łapiesz się na myśli: „Jestem głucha, k i e d y jestem pijana”, kiedy jesteś pijana, nie ma wątpliwości, że jesteś bardzo głucha i bardzo pijana.

— To ta knajpa! — wołam. — Zajrzyjmy przez okno!

Lizzy już podskakuje z emocji. Wygląda jak Zebedee w peruce.

— Nic nie widzę! — skarży się. — We-efdźmy do środka!

Po tych słowach otwiera drzwi na oścież i wciąga mnie do wnętrza knajpy. A moje życie rozpada się w jednej chwili. W środku jest Tom. Trzyma za rękę elegancką kobietę. Lizzy krzyczy:

— Mamy dra-ania! — I upada. Wszyscy w pubie, nie wyłączając Toma i kobiety, spoglądają w naszą stronę. Trzeźwieję natychmiast i podnoszę Lizzy z podłogi. Jedną ręką opiera się na mnie, a drugą macha oskarżycielsko w stronę Toma i ryczy:

— Helen już cie-e wca-ale nie lubi, Tom, bo ty grzebiesz w psich tyłkach!

Pociesza mnie tylko to, że gdy wypycham Lizzy za drzwi, wszyscy w knajpie gapią się na Toma.

ROZDZIAŁ XXXII

Jednym z moich najbardziej użytecznych zwyczajów jest obwinianie innych. Branie odpowiedzialności na siebie jest takie uciążliwe i dam głowę, że osłabia system immunologiczny. Niestety jednak gdy o siódmej rano budzę się na eleganckiej sofie Lizzy, nie jestem w stanie wmówić sobie, że wczorajsza katastrofa spod znaku psiego tyłka nie jest moją winą. Odłóżmy alkohol i szaleństwo na stronę, ale co właściwie we mnie wstąpiło? Co by mi właściwie przeszkadzało, gdyby Lizzy piła sobie soczek żurawinowy? Czy nie jestem wystarczająco duża, zła i brzydka, żeby pić sama? I co mi odbiło z tym myszkowaniem w okolicy pubu Toma? Co on sobie musiał o mnie pomyśleć? Po co ja to w ogóle zrobiłam? Zwariowałam czy co? Wstydu nie mam? Co za idiotka ze mnie! Będę chora.

Wyglądam przez wykuszowe okno Lizzy, gapię się na blade, zimowe słońce błyskające na Tamizie i zastanawiam się, od jak dawna spotykał się z tą kobietą. Nawet to, że potwierdziły się moje obawy, a mój cynizm znalazł potwierdzenie — nawet to mnie nie pociesza. Na jego miejscu też bym się z nią spotykała. Wyglądała na bystrą, boską i poukładaną. W przeciwieństwie do durnej, nijakiej i w rozsypce. Czuję w sobie rosnący ból, ale nie mam siły z nim walczyć. Cierpię i nic z tym nie robię. Przegrałam. Rozpatruję możliwość wyemigrowania do Nowej Zelandii, potem zaciskam zęby i syczę:

— No i co z tego?! — Równie dobrze mogę to znieść jak mężczyzna. Kiedy Lizzy wkracza do przestronnego salonu o-

dziana w biały szlafrok i z wyrazem twarzy pełnym żałości, dłubię właśnie w nosie.

Widzę, jak się przygotowuje do długich przeprosin, więc podnoszę dłoń.

— Nic nie mów — mówię. — To była moja wina. A ty byłaś bardzo zabawna.

Lizy wcale się nie uśmiecha. Wygląda, jakby się miała popłakać.

— Mogę pójść do niego do pracy i wszystko wytłumaczyć! — wybucha. — Pójdę do niego! Wszystko...

— Nigdzie nie pójdziesz! — przerywam jej. — Jezu, to by tylko pogorszyło sprawę!

Lizy przybiera pozę Madonny, i nie mam tu na myśli Material Girl, tylko Matkę Chrystusa, i dotyka dłonią swego gładkiego czoła. Jest niesamowita. Nawet z kacem jest jej do twarzy.

— Nie mogę w to wszystko uwierzyć! — jęczy. — Ja nie piję! Ja nie jestem taka! Czuję się strasznie! Muszę sobie zrobić detoksykację!

Chichoczę nerwowo — sprowadziłam Marię Pannę na złą drogę — i uspokajam ją:

— Lizy, wypijaś tylko jakieś trzy kieliszki wina i to w całym swoim życiu! Na detoks idą ludzie, którzy na śniadanie wypijają pół litra!

Lizy przysiadła na szklanym blacie stolika i cierpliwie tłumaczy mi różnicę między detoksykacją odwykową w klinice, a detoksykacją poprzez trzydniową dietę. Przy czym ta w klinice brzmi o wiele lepiej i po cichu przyrzekam sobie, że jeśli kiedykolwiek zorientuję się, że zjadam zamiast lunchu surowego kalafiora i sześć suszonych moreli „dla smaku”, to zacznę natychmiast pić, żeby podnieść sobie poczucie własnej wartości.

Lizy wlecze się do kuchni i robi sobie miętę, a mi podwójne espresso. Jest zrozpaczona, ponieważ nie jest zdolna zjeść śniadania, „najważniejszego posiłku dnia”, bo ma mdłości, ale stara się znieść to dzielnie. Dziękuję jej uprzejmie za zaproponowany mi prysznic i/lub muesli o niskiej zawartości tłuszczu, i opadam

z powrotem na moją sofę objającą tyłek. Lizzy sugeruje, że powinniśmy wyjść do pracy.

— Myślę, że powinnaś raczej wziąć dziś wolny dzień — mówię, przyglądając się jej wymizerowanej twarzy.

— Nie mogłabym zrobić czegoś takiego! — szepcze Lizzy cichutko, jakby w jej chromowanej lampce halogenowej krył się podsłuch.

Wzruszam ramionami, wyciągam komórkę i dzwonię do mamy.

— Tak? — pyta zaspanym głosem.

— Mamo? Tu Helen — mówię. — Zostałam na noc u Lizzy.

— No? — pyta zdezorientowana.

— No, nie chciałam, żebyś się niepokoiła. Bałam się, że będziesz zachodzić w głowę, gdzie się podziewam.

— A! Aha! — odpowiada mama. — Nawet nie zauważyłam. Odwoziłam wczoraj Florence. Byłam tak zmęczona, jak już wróciłam, że poszłam bardzo wcześnie spać. Właściwie to mnie obudziłaś.

W tym momencie tracę jakoś ochotę do kontynuowania tej rozmowy.

— Mamuś — mówię. — Jest już prawie południe. Czy mogłabyś nakarmić Fatboya, kiedy w końcu wstaniesz? — Mówi, że tak, i się rozłącza.

— Wszystko u niej w porządku? — pyta Lizzy.

— Po prostu jest leniwa i tyle.

Lizzy nie wie, co na to powiedzieć, więc zmienia temat.

— Ciekawe, czy będzie dziś Tina — szczebioce. Milczę, więc dodaje: — Myślisz, że u niej wszystko w porządku?

— Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi — warczę.

— Wiem, że była dla ciebie strasznie niegrzeczna, ale jestem pewna, że po prostu była czymś zdenerwowana. Nie było jej wczoraj w pracy. Jeśli dzisiaj też nie przyjdzie, to do niej zadzwonię — postanawia Lizzy.

Przytakuję. Nie wiem, co mam myśleć o Tinie. Wiem na pewno, że Tina nie jest po prostu sadystką, tak jak na przykład Michelle. Postanawiam, że jeśli będzie błagać o przebaczenie.

wybaczę jej. Jest drażliwa jak paczka drażetek, ale jest moją prawdziwą przyjaciółką i nie chcę jej stracić. To, co powiedziała, to było straszne świństwo, ale próbuję podejść do sytuacji w sposób racjonalny. Być może jestem hipokrytką. Ale nic nie poradzę, że właśnie tak się czuję. Nawet jeśli to niby nie ma sensu i nawet mnie wprawia w zdziwienie. Przynajmniej Tina powiedziała to wszystko w napadzie wściekłości — martwiłabym się o wiele bardziej, gdyby powiedziała mi to w innej sytuacji. Może też do niej później zadzwonię.

— Więc kiedy Brian wraca z Hongkongu? — pytam Lizzy, która, co widać po jej minie zbrukanej niewinności, uparła się, żeby zmyć swój wczorajszy grzech poprzez napastowanie Toma.

— Niedługo — odpowiada mi ponuro, a potem: — Proszę, pozwól mi przeprosić Toma!

Ściskam palcami skronie i mówię:

— To już nie ma znaczenia! Zresztą, jaki to miałoby sens? Sama widziałaś, że był z kimś.

— Ale to przecież mogła być tylko jego znajoma — jęczy Lizzy. — Albo siostra! Nie wiadomo!

Krzywię się i mówię tak, jakbym zwracała się do bardzo głupiutkiego dziecka:

— Liz, on ją trzymał za rękę.

— Tak, ale trzymanie za rękę mogło po prostu... — zaczyna Lizzy, ale widzi mój wyraz twarzy i milknie. Jest w ten swój specyficzny sposób — „nie widzieć żadnego zła” — bardzo mną zawiedziona. Chmurzy się i wygrzebuje z torebki małą, brązową buteleczkę. Odkręca ją, naciska pipetkę w zakrętce i wciska sobie do ust dwie krople.

— A to co? — pytam, wachając.

— Kropelki Bacha — odpowiada Lizzy krótko.

— Pachną jak whisky — warczę.

— Bo są oparte na ziołach — warczy Lizzy w **odpowiedzi**.

— Nie ma to jak klin z rana — mruczę.

— Słucham?

— Nic, nic — mówię słodko — tylko przypomnij mi, żebym nigdy więcej cię nie spała.

— Nie będę musiała ci tego przypominać — odszczekuje Lizzy.

Rzucam okiem na jej naburmuszoną twarz. Ma na sobie czerwony płaszczyk, brązowe, zamszowe rękawiczki i wygląda zupełnie jak nadażana laleczka z chińskiej porcelany. Brakuje jej tylko koronek.

— A! — mówię. — Wiesz, jaki jest najlepszy sposób na kaca?

Lizzy spogląda na mnie z nadzieją wypisaną na twarzy.

— Jaki? — szepcze.

— Smażone śniadanie — mówię słodziutko. Lizzy nic nie mówi, ale szczypie mnie mocno w rękę. — Zostaw! — piszcze i obie zaczynamy chichotać. Potem zapada męczące milczenie i trwa aż do biura.

Opadam na swoje krzesło i postanawiam, że do Tiny zadzwonię jutro. Dziś mam zdecydowanie za dużo na głowie. Muszę walczyć z pośrednikami nieruchomości, matkami i weterynarzami. Laetitia wyszła na jakieś spotkanie, więc przez bite trzydzieści minut zebrzę o szczegóły na temat spizarek u młodzieńców o nazwiskach Richard i Costas, którzy są dogłębnie urażeni wysokością sumy, jaką chcę wydać, i niechętni do marnowania swojego cennego czasu na taką płótkę jak ja.

Potem dzwonię do mamy. Tym razem już nie śpi.

— Halo? — woła wesoło.

— Mamuś, czy mogłabyś coś dla mnie zrobić?

Zapada pełna niepokoju cisza, aż w końcu moja mama z niechęcią pyta:

— Co takiego?

Wysilałam się bardzo, żeby wyprodukować jakieś trafne zdanie wprowadzające.

— Potrzebuję twojej pomocy — mówię i czekam, żeby się przekonać, czy jej neurony to podchwycą. Cisza. Więc ciągnę: — Czy mogłabyś zaprowadzić Fatboya do weterynarza?

— Do Tima? — pyta mama.
— Tak, do Toma.
— To taki uroczy chłopiec! — woła mama z entuzjazmem.
— Troszkę niezdarny, ale jednak uroczy! — A ja zastanawiam się, jak to rozegrać.

— Mamuś — mówię w końcu — z Fatboyem dzieje się coś niedobrego. Bardzo dużo śpi. Boję się, czy nie zapadł na... eee... na kocią śpiączkę. Więc Tom powinien go jak najszybciej zobaczyć, najlepiej jeszcze dziś.

Ale mama nie jest przekonana.

— Przecież koty śpią po szesnaście, siedemnaście godzin na dobę! Sześćdziesiąt sześć, nawet siedemdziesiąt procent całego swojego życia! Najpierw następuje u nich półgodzinna faza lekkiego snu, odpowiednik naszej drzemki, a potem, o ile oczywiście nie pociągnie się ich za ogon, przechodzą w fazę głębokiego uśpienia, które jest bardzo istotną życiową funkcją! Koty...

Przerywam jej ten wykład, krzycząc:

— Mamo!

Urywa w połowie zdania i mówi urażona:

— Wiem, bo w zeszłym semestrze opracowywaliśmy ten temat na zajęciach.

Ja to mam pecha.

— Z pewnością masz rację — mówię, starając się zachować uprzejmy ton — ale mimo wszystko wołałabym, żeby Tom go obejrzał.

— A czemu sama go tam nie zawieszysz? — pyta moja mama szybko.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — piszczę.

— Nie jestem głupia, Helen! — odpowiada mama. — Mogę być waszą pośredniczką, ale głupia nie jestem! — Co za niesprawiedliwe i niewygodne stwierdzenie. Kobieta, która całe życie odgrywa inspektora Clouseau, postanowiła nagle zabawić się w Sherlocka! To jedna z tych jej cech charakteru — zwana przeze mnie huśtawką IQ — która sprawia, że moja mama jest wybitnie wkurzająca.

— No dobra — mówię w końcu z niechęcią — ale przyrzeknij mi, że nie narobisz mi wstydu!

— Oczywiście, że nie narobię! — grzmi mama. — Ale powiedz mi, dlaczego sama tam nie pojedziesz?

Nie mam wyjścia. Muszę jej odpowiedzieć.

— Pokłóciliśmy się z Tomem — mówię ostrożnie. — Tom sprawił, że poczułam się źle, mimo że nie zrobiłam nic złego! W każdym razie wczoraj wieczorem poszliśmy z Lizzy na wino i spotkałyśmy go i... eee... no... Mamuś, ale nie mów tego nikomu, dobra? Bo Lizzy powiedziała mu bardzo niemiłe rzeczy, bo był z inną kobietą.

Moja mama milczy, a ja czekam na długie, zrzedliwe kazanie na temat dzisiejszej młodzieży i naszych zachowań moralnych, ale mama woła:

— No i właściwie, co w tym złego?

— Co w tym złego? — piszczę. — Mamo! Wciskał mi te wszystkie kity, a potem okazuje się, że cały czas mnie zdradzał!

— Spaliście ze sobą? — pyta mama opryskliwie.

Jej szczerość mnie powala, więc chcąc ochronić ją przed nędną prawdą, jęczę;

— E, nie.

Mama prycha głośno prosto w moje ucho i rzuca:

— Nie? Czemu nie? Coś z nim nie tak? Czy on jest gejem?

Mało się nie dławię z wrażenia (cecha nr 2 — opinie na temat wszelkich anomalii) i prawie płacząc, szepczę:

— Nie, nie jest.

Moja mama jest wyraźnie zdezorientowana.

— To, skoro nie śpicie ze sobą — mówi żwawo — to o co właściwie chodzi? Kiedy byłam w twoim wieku, spotykałam się z trzema facetami naraz i albo im się to podobało, albo do widzenia! W miłości i na wojnie wszystkie chwytły dozwolone, dopóki się nie zaręczysz!

A to ciekawe. Nie staram się polemizować.

— Chciałabym jedynie, żebyś wybadła, co Tom o mnie myśli, a jeśli to możliwe, dowiedz się też, kim jest ta kobieta. —

Szkoda, że nie mogę jej wcisnąć jakiejś broni do rąk. Dodaję tylko uroczyście; — Liczę na ciebie, mamó.

Mama wzdycha i deklaruje dumnie:

— Możesz na mnie polegać! Podaj mi adres! Czuję się jak detektyw!

Wznoszę oczy ku niebu i żartuję:

— No, to świetnie, tylko nie zapomnij Fatboya!

Zapada cisza, a ja staram się nie roześmiać.

— Fat...? — mówi mama. — A! Fatboya! No, oczywiście.

Odkładam słuchawkę i myślę sobie, że nic gorszego już chyba się stać nie może.

Przez dwie minuty jestem dość zdenerwowana, bo dzwoni pan Richard i chce, żebym obejrzała „fantastycznie elegancki apartament”.

— I co jest z nim nie tak? — pytam.

— Ależ nie! — odpowiada on urażonym głosem.

— Na pewno coś jest nie tak — upieram się.

Przyznaje wtedy, że trzeba by to mieszkanie „trochę dopracować”. Ale nie znajduje się ono nad barem rybnym, więc zgadzam się je obejrzeć. Gdy odkładam słuchawkę, słyszę, jak syczy: „Udało się!”. Skubię dolną wargę i modłę się, żeby mama nie zrobiła niczego głupiego u weterynarza. Czy przypadkiem nie dałam właśnie pistoletu do rąk szaleńcowi? Czekam i czekam, potem przez godzinę przeszukuję supermarkety w poszukiwaniu jarzyny zwanej „portulaka pospolita” na wystawny obiad u Laetitii. Gdy wracam załamana i z pustymi rękoma, Laetitia krzyczy: „Czy ty już naprawdę nic nie potrafisz załatwić? To jest warzywo egzotyczne!”. Czekam i czekam, odbieram telefon od jakiegoś zbrojnia, który prosi mnie o odczytanie nagłówek z „Girltime'u”, w tym miesiącu jeden z nich zawiera słowo „orgazm”, czekam i czekam, wklepuję artykuł o cellulitisie u sławnych ludzi. „Zawiera wskazówki, z których mogłabyś skorzystać!”, woła Laetitia, gdy rzuca mi na stół te 3000 słów. Czekam

i czekam, i kiedy już wiem, że nie jestem w stanie czekać ani minuty dłużej, dzwonię do mojej mamy.

Podnosi słuchawkę.

— Mamo! — piszczę. — Dlaczego do mnie nie dzwonisz?

— Dopiero weszłam — mówi mama zasapana. — A w poczekalni siedziałam całe godziny! Coś strasznego! Całe wieki zajęło mi znalezienie kota! Był na dworze, polował! Stałam na schodkach i wołałam go chyba ze dwadzieścia minut! I listonosz tak dziwnie na mnie spojrzął.

To pewnie dlatego, że mama z uporem nie używa właściwego imienia Fatboya i woła na niego: „Cipa-cip-cip-cipl”. Ale nic nie mówię, bo chcę, żeby powiedziała, czego się dowiedziała o Tomie.

— I co? Widziałaś się z Tomem?

— A tam! — odpowiada mama, która tak rozkoszuje się władzą, że nawet boskiego Bonda zmieniałaby już w złoczyńcę. — Ten kot waży chyba z tonę! Czekaj, niech złapię oddech! Nie, nie było go. Ktoś inny obejrzał kota. Nie ma kociej śpiączki, ale ma pchły. A Tom jest na urlopie ze swoją dziewczyną.

ROZDZIAŁ XXXIII

Jak mawiają ludzie, którym nigdy nie przytrafiło się nic złego, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Więc kiedy w sobotę wieczorem jadę do wypożyczalni wideo i widzę młodego mężczyznę przechodzącego przez ulicę z „Sunem” i czteropakiem papieru toaletowego pod pachą, uśmiecham się, bo przypominam sobie o Luke'u i o tym, jak staliśmy się sobie znacznie bliżsi w ciągu tych sześciu dni, odkąd Marcus mnie wyeksmitował. Sześć dni nie widziałam już Toma! Jakby minęły całe wieki. W każdym razie Luke jest o wiele zabawniejszy, gdy się z nim nie mieszka. Po raz pierwszy od lat spędziliśmy razem trzy godziny bez żadnych zgrzytów.

Vivienne zaprosiła moją matkę na sobotni podwieczorek. „Taki podwieczorek z litości! Chce nadrobić to, że nie zaprosiła mnie na święta! Ale to wcale nie pomoże!”. Zadzwoiłam więc do Luke'a i zaproponowałam mu, żeby wpadł. Moja wymówka była taka, że Fatboy domaga się, by Luke wykorzystał swoje prawo odwiedzin. Kłamstwo oczywiście, bo uczucia Fatboya znikają natychmiast, gdy połyka ostatni kawałeczek pasztetu.

Prawda jest taka, że wprawdzie rzeczywiście miałam ochotę spotkać się z Lukiem, ale jeszcze bardziej chciałam się dowiedzieć, czy Luke spotkał się z Tomem poprzedniego wieczoru, gdy wychodzili gdzieś tam z kumplami. Tylko tak dla pewności. Ale Luke tak się ucieszył z mojego zaproszenia — „Czy mam przynieść puszkę tuńczyków w słonej zalewie czy sardynki w pomidorach?” — że od razu zawstydziłam się swojej dwulicowości.

— Po prostu przynieś siebie! — zakrzyknęłam w poczuciu winy i poleciałam po dwie tuby Pringlesów serowo-cebulowych. Motto Luke'a: „Chipsy, chipsy! Oto pożywienie bogów!”.

Luke przyjeżdża z sardynkami oraz tuńczykiem, więc ściszam go mocno i czuję się lepiej po raz pierwszy od wielu dni. Robię kawę, stawiam chipsy na stół i wyciągam Fatboya z jego nowego legowiska, spod maski niebieskiego metalika volvo sąsiadów. Widzę, jak Luke patrzy na Fatboya pochłaniającego sos z sardynek, ziewa sobie zdrowo i odchodzi, by ułożyć się w słońcu. Dopiero wtedy pytam od niechcenia:

— I jak tam się wczoraj bawiliście?

Luke drapie się po uchu i wyciera palec w swoją wymiętą, niebieską koszulkę, zostawiając żółty ślad. Na twarz wypływa mu uśmiech rozmarzenia:

— O! Było super! Ale żeśmy się uśmiali! — I zaczyna się długa historia o pięciu litrach piwa na głowę w zwykłym pubie i o hałaśliwej uczcie w indyjskiej restauracji, gdzie kumpel Luke'a Gobbo (z opowieści wynika, że jest doprawdy uroczy, ale nie miałam przyjemności poznać go osobiście) odwraca się i mówi do gościa siedzącego przy stoliku obok: „Zamknij ryj, ty palancie, bo ci wcisnę ten stół w dupę”. A potem Gobbo trzasnął Luke'a w wątrobę i Luke chciał to przemilczeć, ale kumpel Luke'a Parky mówi: „Chyba nie pozwolisz, żeby mu to uszło na sucho, nie?”, więc Luke zastosował ten cios z filmów o Jackie Chanie i trzasnął Gobbo w głowę, i Gobbo wyładował na plecach jak jakiś żółw, a wtedy Parky mało nie umarł ze śmiechu, a Gobbo zrobił się cały czerwony i powiedział, że Luke miał tylko fuksa, ale gównem się na tym zna, i Parky znowu miał napad głupawki, a Gobbo myślał, że Parky się śmieje z jego dowcipu i...

— A Tom był z wami? — pytam po dwudziestu minutach tej gawędy.

Luke urywa w pół zdania.

— Nie — mówi i wygląda na zdziwionego moim pytaniem.

Staram się zachowywać na luzie, ale moja głowa sama wyskakuje do przodu i słowa po prostu wypływają z moich ust:

— Ale przecież miałeś go zaprosić?

W odpowiedzi Luke napycha się siedmioma chipsami i następuje krótka walka między jego stawami szczękowymi a masą serowo-cebulową, aż wreszcie Luke odzyskuje kontrolę nad sytuacją, a jego policzki odzyskują naturalny kształt. Czekam. Luke przełyka i mówi:

— Gadałem z nim, ale gdzieś wyjeżdżał.

Spogląda na mnie nerwowo.

— O? Naprawdę? A wspominał kiedy? — rzucam.

Luke kręci głową.

— Albo z kim? — Luke znów kręci głową i z taką siłą zagłębia dłoń w tubę Pringlesów, że na kilka niebezpiecznych sekund jego ramię utyka w pudełku. Gdy udaje mu się wreszcie oswobodzić, tracę resztki godności i pytam:

— Czy Tom się z kimś spotyka? Z kimś innym niż ja? — I widząc jego zakłopotany wyraz twarzy, pośpiesznie dodaję: — Nie spotyka się już ze mną, pamiętasz, nie?

— To już mu się nie podobasz? — wybucha Luke.

— Nie — mówię z wysiłkiem.

Luke chrupie głośno, uświadamia sobie nagle, że odgłos jego chrupania roznosi się po całej kuchni i próbuje chrupać ciszej. Potem zaczyna się krztusić i opluwa pół stołu masą z chipsów.

— Mogę trochę wody? — charczy. Pochłania wodę i mówi powoli: — Może i się z kimś spotyka. Nie wiem.

— Może i się spotyka! — piszczę. — A tak konkretnie? — Luke wysypuje całego węża z chipsów na stół i z zaangażowaniem połyka jednego po drugim, plaster za plasterkiem. — Luke! — mówię z zakłopotaniem. — Chodzi tylko o to, że mi na nim zależy i tak się zastanawiam. Ja to chyba wszystko spieprzyłam.

Opowiadam mu o nocy spod znaku psich tyłków w nadziei, że takie informacje rozświetlą ciemności jego pamięci.

Luke marszczy brwi, myśli intensywnie, a potem stwierdza ze smutkiem:

— Nic nie mówił. Gadaliśmy głównie o meczach.

Czuję się jak wróbelek, który dziobał w cementowy chodnik

w nadziei, że znajdzie tam robaczka. Wycieram wymyśloną plamkę ze stołu i pytam:

— I pewnie nie wspominał nic o mnie, co?

Widzę, że Luke strasznie by chciał odpowiedzieć inaczej, bo ma serce miękkie jak truskawkowy mus. Więc kiedy w końcu mówi; „Nie”, osłabia ten cios, podając mi natychmiast chipsa.

— Mniejsza z tym — mówię i dodaję: — Jak mawia matka pewnej osoby: nie jednemu psu Łysek.

Luke odwzajemnia uśmiech i zauważa:

— No, tylko kto by się chciał pieprzyć z łysym.

Po tej wymianie filozoficznych przemyśleń postanawiam nigdy, przenigdy nie wspomnieć już o Tomie, więc siedzimy w salonie na dywanie, a Luke bawi się z Fatboyem w „Czujny Waż kontra Kocia Łapa”. Fatboy może i wygląda jak zapaśnik sumo, ale z pokiereszowanej dłoni Luke'a wynika, że woli raczej kung fu. Przemywam rany Luke'a wodą, tłumacząc mu, że Fatboy nie zrobił tego ze złośliwości, ale że po prostu lubi rywalizację — taki koci Gobbo, dodaję w chwili natchnienia — a Luke rozchmurza się i zaczynamy rozmawiać o świętach.

Luke nie miał pojęcia, co kupić rodzicom, więc zadzwonił do taty i spytał, czy nie wie przypadkiem, co by tu kupić mamie, i tata powiedział, że mama napomykała coś ostatnio o sosnowej łazience, więc on kupił jej sosnową deskę sedesową, a jeśli Luke dokupi pasującą do tego klamkę, to będzie wspaniale. Tata uważa, że „mamę ucieszy wszelkie drewno”.

Prycham i śmieję się wesoło, dopóki nie zauważam, że Luke wygląda na zdezorientowanego.

— Co? — pyta mnie, nieśmiałym uśmiechem dając do zrozumienia, że nie rozumie, co w tym śmiesznego.

— Co masz na myśli przez „co?” — kwiczę. — Przecież on żartował, prawda?

Luke kręci głową, w panice wpycha sobie do ust cztery chipsy naraz, jednocześnie zapalając papierosa, i mówi, choć jego słowa są trochę niewyraźne:

— Myślisz, że się nie ucieszy?

Uderzam dłonią w stół i piszczę:

— Głoooooę dam, że się nie ucieszysz! Mój Boże, teraz dopiero rozumiem, po kim ty to masz!

Tłumaczę Luke'owi złote zasady kupowania prezentów kobietom (szybkie wprowadzenie: przedmioty tanie, funkcjonalne, zabawne i symboliczne = spadaj, ty chamie; przedmioty drogie, duże, wybierane z namysłem, ale niezbyt poważne = jesteś wspaniała, mój ukochany mężczyzno), gdy nagle dzwoni telefon.

Lizzy. Czy może wstąpić?

— Jasne! — ryczę w słuchawkę. — Luke jest u mnie.

— To wspaniale! Będę za chwileczkę!

Odkładam słuchawkę i uśmiecham się.

— Lizzy kupiła wszystkie prezenty już miesiąc temu — mówię Luke'owi, który wygląda, jakby ta sensacja o sosnowym sedesie zupełnie przewróciła mu świat do góry nogami. — Ona ci wytłumaczy, jak to się robi.

Tak się jednak składa, że Lizzy nie opowiada Luke'owi, jak należy kupować prezenty. Po prostu mu pokazuje. Wciąż próbuje jeszcze odpokutować za naszą psią noc — mimo że już z trzydzieści razy machałam na to wszystko ręką — i powtarza, że z przyjemnością wszystko „naprawi”, jak to ujmuje.

— Nie ma już nic do naprawiania, ty wariatko! — mówię, a ona podaje mi spory pakunek. — To było zupełnie niepotrzebne — mówię, bo tak trzeba mówić, gdy ktoś ci daje prezent, a ty masz już ponad dwadzieścia pięć lat — ale to bardzo miłe z twojej strony.

Lizzy aż klaszcze w dłonie i szepcze:

— Mam nadzieję, że ci się spodoba! Poprosiłam Briana, żeby przywiózł z Honkongu! Kupił to na Staunton Street, w starej części centrum.

Lizzy i Luke z zapartym tchem patrzą, jak odwijam delikatny papier i mocny zapach kadzidełka łączy się ze stęchlizną marchewki z kuchni mojej mamy.

Lizzy ściska mnie za ramię i mówi:

— Właściwie to... to, myślałam sobie, że, wiesz, to raczej taki prezent dla twojego ojca! Ale pomyślałam, że to wam dobrze zrobi, obydwójgu. — I wzrusza ramionami.

Przestaję odpakowywać prezent.

— To znaczy? — pytam podejrzliwie.

Lizzy jeszcze mocniej ściska mnie za ramię i mówi:

— Mam nadzieję, że postąpiłam słusznie! Otwórz, to ci wszystko wytłumaczę!

Odkładam papier na bok i wydaję największy przedmiot. Jest to zawinięta w celofan paczka słodyczy. Na etykiecie jest napisane: „Mieszanka kremowo-mlecznych czekoladek z mąki mieszanej”. Paczuszka jest lekka jak piórko i zawiera także ma-lutkie pudełeczka z gumą do żucia i ciasteczkami. Uśmiecham się niepewnie i nie wiem, co powiedzieć. Czy Lizzy powarowała? Jej dowcipy były zwykle zupełnie bez zarzutu. Co według niej powinnam z tym zrobić — rozsypać okruszki na grobie mo-jego ojca?

Luke wyciąga coś, co wygląda jak fałszywy banknot do zaba-wy i jest także zawinięte w celofan.

— Milion dolarów! — piszczy. — Bank Piekło zobowiązuje się do wypłacenia posiadaczowi niniejszego banknotu milion do-larów! — Spoglądam na niego, a on macha mi przed oczyma banknotem i broni się: — Tak tu jest napisane!

Odwracam się w stronę Lizzy, która wybucha na to:

— To taki obyczaj w chińskim buddyźmie! — Łapie za na-stępną plastikową torebeczkę i wciska mi ją do rąk. Jest to jakby zestaw zabaweczek: para złotych okularów, złoto-srebrny zega-rek z napisem „Rolex”, srebrna bransoletka, złota papierośnica, pióro, złoty pierścień i złoty naszyjnik, każde z zieloną ozdóbką. Wszystko to zrobione z twardego kartonika i ułożone na jasno-czerwonym papierze. — Trzeba to spalić! — cieszy się Lizzy. — To taki zestaw podarków! Pierścień z nefrytem, widzisz! I, patrz, pudełeczko z papierowymi papierosami i papierowa zapalniczka, i, spójrz tylko, papierowy mercedes! Bo nie wiedziałam, jaki sa-

mochód miał twój tata, więc powiedziałam Brianowi, żeby kupił coś eleganckiego! Wkładasz to wszystko do woreczka i adresujesz do taty, widzisz? Tu jest woreczek. — Grzebie chwilę i wy-
ciaga szarą, papierową torebeczkę z nadrukowanymi chińskimi
motywami i płonącym kadzidełkiem. — Wkładasz to wszystko
do woreczka i zawiązujesz tą żółtą wstążką, to taki znaczek nie-
biańskiej poczty, żeby duch wiedział, że to przesyłka dla niego,
i wtedy... — W tym momencie spogląda na mnie i zaczyna się
zacinać. — Można przylepić tę wst[^]ecz[^]kę klejem, to jest dozwo-
lone, a potem musisz napisać datę, kiedy to spalisz, tu, w notce
o nadawcy, którą wkładasz do woreczka, i, no, wiesz, pomy-
ślałam, że to cię trochę pocieszy. Szczególnie w święta. Nie
gniewasz się, prawda?

Wskazuje palcem na pieniążek z Banku Piekło i dodaje po-
śpiesznie:

— Wiem, że tu pisze Piekło, ale nie myśl przypadkiem, że ja
myślę, że on jest w piekle, tak jest napisane na wszystkich, na
wszystkich banknotach do spalenia, to tylko, jak mi się zdaje...
eee... chodzi o to, że ludzie mogą trafić w różne miejsca, praw-
da? I oni próbują przewidzieć wszystkie możliwości. — Przy-
gląda mi się uważnie. — Wszystko w porządku?

Przytakuję, chowam głowę w dłoniach i jęczę:

— To wszystko jest ta... ta... takie urocze, Liz, takie kocha-
ne! O Boże, jaka cudowna rzecz! — W tym momencie ktoś ude-
rza mnie tak mocno po plecach, że lecę do przodu i mało nie na-
dziewam się okiem na świecznik. — Dzięki, Luke — bełkoczę.
— Ale już lepiej mnie nie poklepuj po plecach. Już w porządku.

Lizy biegnie do kuchni, odrywa kawałek papierowego ręcz-
nika i podaje mi. Wycieram oczy i staram się nie myśleć o tym,
jak bardzo mnie tym wszystkim wzruszyła, żeby znowu nie za-
cząć ryczeć. Wycieram nos, zgniatam ręcznik i bąkam przez nos:

— Świeczka na drewnianym świeczniku.

— Tak, tak, bo czerwone świeczki symbolizują jedzenie!

Luke wyrzębuje długą, plastikową torebeczkę i woła:

— Kadzidełka! To mi przypomina studenckie czasy!

— Raczej zeszły tydzień — mówię z miażdżącą pogardą, a on uśmiecha się, szczęśliwy, że już się nie maże.

— Najpierw palisz właśnie te kadzidła, trzy z nich — mówi Lizzy — żeby zwrócić na siebie uwagę ojca.

— A nie mogę po prostu udać, że mam zamiar zrobić sobie tatuaż? — pytam.

Lizzy wybucha śmiechem.

— No, jeśli chcesz mieć absolutną pewność — mówi.

Zasłaniam ręką usta, żeby dać jej do zrozumienia, że już się zamykam, i żeby mówiła dalej. Ale wtedy zauważam jeszcze coś innego w paczuszce.

— A to co? Jakie śliczne! Luke, spójrz, jakie srebrne i złote wzorki na takim śmiesznym, cieniutkim papierze!

Patrzę na Lizzy wyczekująco. Wzdycha błogo i cierpliwie tłumaczy:

— To tradycyjne chińskie pieniądze. Je też trzeba spalić. Ale najpierw muszą zostać zwinięte w kształt złotego taela, chińskiej jednostki wagi, czy jak im tam, stosowanej do sztabki złota. Patrz, w ten sposób, zupełnie jak ciasteczko z wróżbą. O, i już gotowe! Choć rzeczywiście jest aż za ładne, żeby to spalić, ale z drugiej strony miło pomyśleć, że wyślesz tacie coś tak ślicznego, prawda?!

Przytakuję. Wstyd mi przyznać, że mój tata nigdy nie zauważał ślicznych rzeczy, nawet gdy żył. Nie lubił zóhogo, więc nie istniały dla niego słoneczniki, pola kukurydzy i żonkile. Ale może złagodniał po śmierci.

— A gdzie to trzeba spalić? — pytam.

Lizzy waha się.

— No — mówi — gdziekolwiek. W Hongkongu możesz coś takiego spalić nawet na klatce w swojej kamienicy. Nie trzeba tego robić na grobie. Albo może gdzieś na poboczu, choć może jednak w Anglii lepiej byłoby to zrobić we własnym ogródku. Pomyślałam, że twój tata ucieszy się z papierosów. Mówiłaś, że dużo palił.

— Ale przecież ty nie cierpisz palaczy!

Lizzy wzrusza ramionami i mówi:

— No tak, ale skoro i tak już nie żyje, to chyba nie zaszkodzi.

Spoglądałam na Luke'a, który przytakuje zgodnie, i wyję:

— Ale ty jeszcze żyjesz! Nie wydaje ci się, że ty mógłbyś przestać?

Luke pokazuje mi język i zapala następnego papierosa, a Lizzy ciągnie:

— Możesz też dołożyć ulubione danie czy przekąskę taty. Tylko wtedy jej nie palisz, ale zjadasz sama. Może ja ci to wszystko zapiszę, co?

— Tak, jakbyś mogła — mówię i dotykam palcem lśniącego, złotego listka. Gapię się na ten liść dobre trzy minuty, a Lizzy bazgrze z zapamiętaniem, a potem podaje mi papier. Czytam, co napisała, i uśmiecham się:

Rytuał

1. Zapal trzy kadzidełka, żeby wezwać tatę. Skoncentruj się na jego imieniu. Niech kadzidła palą się przez jakieś pięć minut. Możesz to zrobić w Chiński Nowy Rok, ale niekoniecznie.

2. Zapal czerwone świece. Powiedz kilka słów — żeby duch wiedział, co dostanie.

3. Włóż wszystko do woreczka, zapisz na nim datę i spal całość w stalowym pojemniczku, albo jeśli tak ci łatwiej, pal wszystko sztuka po sztuce. N i e używaj wody do gaszenia ognia. Musi się wypalić sam z siebie. Woda zatrzymałaby przepływający strumień dobra.

4. Jeśli chcesz, wyłóż przekąski (np. orzeszki), a potem je zjedz.

Wzdycham i mówię:

— Jesteś naprawdę kochana, Lizzy. — Lizzy kiwa głową, **ale** wygląda, jakby chciała coś powiedzieć. — Co?

Marszczy brwi i świergocze:

— Tylko bądź ostrożna z tym ogniem. To jedna z głównych przyczyn pożarów lasów w Hongkongu!

Wybucham śmiechem, a potem przyglądam jej się podejrzliwie.

— Jest jeszcze coś, o czym mi nie powiedziałaś, prawda?

Lizy przygryza wargę.

— Nie wiem, czy powinnam ci to mówić, ale... — Podnoszę brew. — No, dobra — łamię się Lizy. — Wiesz, ludzie robią to głównie z troski o zmarłych, ale też tak trochę z egoizmu. W ten sposób zdobywa się sympatię ducha. I wtedy on się tobą opiekuje i przynosi ci szczęście. Wiem, to brzmi trochę jak przekupstwo, ale przecież nie w tym przypadku. Ale pomyślałam, że powinnam ci to powiedzieć, no, wiesz, żebyś wiedziała, co robisz. Myślę, że zawsze lepiej być świadomym swoich czynów.

Ściskam rękę Lizy. Nie mam odwagi nic powiedzieć, żeby znów mi się nie załamał głos. Podnoszę paczuszkę z kadzidełkami i wdycham ich bogaty aromat, a potem lecę do kuchni zrobić Lizy bezkofeinową kawę. I nie mówię jej tego, ale ja już wiem, że gdybym spaliła te pieniądze z Banku Piekło, żeby je wysłać mojemu ojcu, to b y ł o b y to bardzo egoistyczne. Byłoby egoistyczne, bo przecież tu nie chodzi o mojego ojca. Jego to nic nie obchodzi. On nie żyje. Tu chodzi o mnie. O to, że chcę, żeby on żył. I gdybym wysłała mu tego papierowego rolexa, to tylko po to, by uwierzyć, że śmierć to nie koniec. Że on wciąż istnieje i myśli tak jak ja. Że ucieszy się z tego prezentu, tak jak ja bym się ucieszyła.

Co mi przypomina, że dzisiaj rano widziałam listonosza, który kłął jak szewc i próbował wcisnąć całkiem niemąłą przesyłkę do całkiem małej skrzynki mojej matki. Więc otworzyłam drzwi i powiedziałam:

— Mógł pan przecież zadzwonić!

Dla dobra mojego ojca, mam nadzieję, że na tamtym świecie listonosze są choć trochę bardziej cierpliwi. Można narobić niezłych szkód, jak się próbuje wcisnąć mercedesa do skrzynki na listy.

Kiedy Luke i Lizy wychodzą, zbieram mój śmiertelny zestawik i chyba po raz pierwszy w życiu zalewa mnie fala wdzięcz-

ności — dla kogo, tego nie jestem pewna — za to, że mam takich przyjaciół. Maszeruję prosto do telefonu i dzwonię do Tiny. Odbiera od razu, bardzo cichutkim głosem.

— Tina! — szepczę, dostosowując się do niej. — Co się z tobą dzieje? — Tak się cieszę, że z nią wreszcie rozmawiam i zupełnie zapominam, że jestem obrażona. — Jakie masz plany na dzisiejszy wieczór?

— Nie mam żadnych.

— To wpadnę do ciebie! — cieszę się.

— Nie, nie, proszę, nie rób tego — mówi szybko.

Coś w jej głosie łapie mnie za serce.

— Tina, przepraszam, że nagadałam takich bzdur o Adrianie, to było naprawdę świństwo z mojej strony. I masz rację, jestem czasem jak zacięta płyta. Ale, ha! Jestem już na dobrej drodze do poprawy!

Pozwolę sobie tu wtrącić, że to jedno z najszlachetniejszych kłamstw, jakie kiedykolwiek popełniłam, ale tak mnie wzruszyła dobroć Lizzy i Luke'a, że chcę być święta i wybacząca. Tina reaguje jakby zachnięciem się i mówi:

— Nie myśl o tym, Helen.

Czekam, ale dalsze słowa nie padają, więc proponuję:

— To może wezmę ze sobą *Czarną Żmiję* na wideo i bekonowe chipsy, dobra?

Tina mówi „nie” prawie szybciej, niż biegnie dźwięk.

— Nie, może nie dzisiaj, to chyba nie jest dobry pomysł, innym razem...

Ale moje pragnienie wybaczenia jest silniejsze niż pragnienie Tiny, żebym ją zostawiła w świętym spokoju, co pewnie jest także dość egoistyczne, ale co nie jest? Nie możesz czuć cudzego bólu, cierpisz tylko za siebie. Więc rzucam:

— Tobędęzajakięszterdziećminutnaradozo! — I odkładam słuchawkę. Natychmiast oddzwania, ale ją ignoruję. Na karteczce bazgrzę wiadomość dla mamy i lecę do wypożyczalni kaset wideo.

Czterdzieści osiem minut później — korki są po prostu śmiesz-

ne! — dzwonię do jej drzwi. Wiem, że jest w domu, więc dzwonię i dzwonię, a kiedy wciąż nie otwiera, siadam na schodkach i czekam. Po dwunastu minutach powolutku otwiera drzwi.

— Co się z tobą stało, ty waria... — zaczynam, ale nie muszę kończyć. Doskonale widać, co się stało. Ma przeciętą wargę i okropnego, czerwonego siniaka na brodzie. Zaczynają mnie piec oczy i nawet jeśli sobie wmówię, że to nie to, co myślę, i tak już znam prawdę.

— Jezu, nie. Powiedz, że miałaś wypadek. Czemu nic nie mówiłaś? Tina, Jezu, moje biedactwo. Tina, ja go, cholera, zabiję, zabiję drania, Boże drogi.

Zalewa mnie taka fala nienawiści, że aż boję się jej dotknąć, dotknąć tych obitych resztek mojej wspaniałej, wesołej przyjaciółki. Wyciągam ramiona, a ona przytula się do mnie i zaczyna płakać. Słyszę tylko własny jęk żalu i wściekłości, gdy ona kwili:

— Ale on mnie naprawdę kocha.

ROZDZIAŁ XXXIV

Kilka lat temu byliśmy z Lizzy na spacerze — Lizzy ma brzydki zwyczaj zmuszania ludzi do spacerów — i zobaczyłyśmy jakąś kobietę z trzema chartami. Jeden z tych psów nagle wyskoczył, przebiegł przez całe pole, dobiegł do nas i przywarł do moich nóg. Oszołomiona tym niewytłumaczalnym objawem zaufania schyliłam się i pogłaskałam go. Lizzy była zachwycona.

— Zupełnie jakby wiedział, że go obronisz! — wołała.

I choć zdecydowanie wolę koty, moje ego aż urosło dzięki temu słodko-gorzkiemu romansowi jednej chwili. Uwierzyłam, że zwierzęta wyczuwają instynktownie dobrych ludzi.

Potem zakupiłam Fatboya, a jego bezczelna niechęć do wszelkich miłych osób kazała mi uwzględnić w mojej dziwnej teorii możliwość występowania takiej głupoty u zwierząt. Byłam jednak bardzo przywiązana do mojej hipotezy i nie chciałam się z nią rozstać. Dalej uznawałam tamto zachowanie charta za jakiś znak. Być może znak, że jestem wyjątkowa. Może mam w sobie coś, co przyciąga zwierzęta? „Jasne! Taki dziwny zapaszek!”, nabijał się Marcus. W końcu poprzestałam na wnioskach, które najbardziej mi odpowiadały. Może jestem wyczulona duchowo na potrzebujące dusze i tamten chart wiedział o tym? W końcu już w wieku sześciu lat zorientowałam się, że moja mama jest bardziej potrzebującą osobą niż wszyscy potrzebujący tego świata. Tak jest! Jestem nadnaturalnie wrażliwa na innych! Naprawdę jestem!

Od czasu do czasu pozwalałam sobie na rozpatrywanie takich

banialuków, aż nastąpił dzień, gdy zobaczyłam Tinę i zrozumiałam, że jej śliczniutki cherubin, którego ja beztrudnie uznałam za uroczy, bo był przystojny i miał świetną pracę — leje ją bez pardonu. Wiercie mi, że na ten widok przestałam się uśmiechać. W mojej głowie pojawiły się absurdalne słowa: „Ale przecież Adrian nie z takich”, i zawirowały mi w głowie jak szalone.

— Tylko przyrzeknij, że nic nikomu nie powiesz — błagała w tym czasie Tina. Dopiero kiedy przysięgam „na twoją matkę... nie, na Fatboya”, zaczęła opowiadać.

Siedziała sztywno na krawędzi swojej żółtej sofy i bez przerwy rozglądała się niespokojnie po pokoju. Wyglądała jak jaszczurka zamknięta w słoiku. Słuchałam w milczeniu. Sprawilo mi nieopisaną trudność połączenie mojego nieskazitelnego obrazu Adriana z mężczyzną, którego mi opisywała. I zupełnie nie mogłam odnaleźć mojej butnej, eleganckiej i przebojowej kumpeli w tym żalonym wraku skulonym przede mną. Mówiła szepcąc, w podłogę, i musiałam się bardzo skupić, żeby usłyszeć, co mówi.

— Nie wiem, to się chyba nie liczy, bo to była po prostu sprzeczka. Sprzeczka może się zdarzyć każdemu. A potem było mu tak przykro, że aż płakał. A wiesz, że ja mogę być naprawdę podła, gdy już raz zacznę. Więc nie wiń go. Poszło o samochód. Powinnam była go zawieźć do serwisu, ale wyszło moje sknerstwo. Próbowałam zaoszczędzić trochę grosza. A przedtem byliśmy na tej kolacji u jego szefa i ja zjadłam fasolkę z talerza. Palcami, zanim innym podano ich dania. To był taki wstyd dla Adriana. Jakby związał się z kimś, kto nie wie, jak się zachować.

Mniejsza z tym. W każdym razie wyszliśmy stamtąd. I on był jakby nieobecny, i taki oschły. A ja nie zdawałam sobie sprawy, co robiłam. Wszystko byłoby dobrze, gdyby zapalił mi samochód. Myślałam, że to może akumulator. A nie wzięliśmy komórek. Adrian nie chciał już wracać do szefa, żeby od niego wołać taksówkę. Wszystko zepsułam. Zaczął na mnie krzyczeć i kopać samochód. Ja też zaczęłam krzyczeć, więc złapał mnie za włosy, żebym się uspokoiła. Wiem, że to nie było specjalnie, ale to

bolało. Wyrwał cały pęk włosów. I zaczęły mi łzawić oczy. On mówi, że to był tylko taki kuksaniec, dla żartu.

Choć też mu było strasznie przykro. I płakał. Zrobił to tylko dlatego, że nie może ścierpieć, jak robię z siebie idiotkę przy ludziach. Był tym naprawdę bardzo zmartwiony. Walnął w maskę i nagle silnik zapalił, więc mi wybaczył. Następnego dnia przyniósł mi kwiaty i podał śniadanie do łóżka. Jest taki kochany. Naprawdę mu na mnie zależy! Był taki zasmucony, że się kłócimy, więc starałam się go pocieszyć, żeby się tym nie martwił. Prawie nigdy mnie nie bije. To nie jest nic poważnego. Na pewno nie częściej jak raz na, no, na sześć tygodni. A tak zwykle to jest wspaniale, wiesz, jest taki zabawny. Tak mnie rozśmiesza. I jest taki mądry.

Nigdy jeszcze nie spotkałam nikogo takiego jak on. Ma stresową pracę. To ciężka praca. Najważniejsze, żeby robił dobre wrażenie, a ja o mało wszystkiego nie zepsułam. Więc sama rozumiesz. Potem już było dobrze. Dobrze było. Aż, aż zrobiłam coś strasznie głupiego. Powinnam była pomyśleć. Poszliśmy do tego pubu na tej ulicy. Wróciliśmy trochę wkurzeni, a ja zapomniałam, gdzie położyłam klucze. A Adrian był naprawdę wykończony. Następnego dnia miał spotkanie z klientem i najważniejsze było, żeby się położył szybko spać. A ja wszystko spieprzyłam. Więc nazwał mnie zdzirą, i skopał, i uderzyłam głową o drzwi. Zemdlałam i obudziłam się dopiero w łóżku. Znalazł ten klucz w swojej kieszeni. Tak mu było przykro. Był taki kochany. Pielęgnował mnie i przykładał mi lód i chusteczki do ran. I mówił, że nie będzie trzeba szyć, że to tylko zadrapania. I przyniósł mi tabletkę od bólu głowy i nawet pobiegł po chusteczki do całodobowej apteki. I przeze mnie się nie wyspał. A potem przez tydzień kupował mi kwiaty i czekoladki. Wydał na to fortunę. I naprawił drzwi. Jest taki hojny.

Wciąż mam czasami te bóle głowy, ale to było tylko jeden raz. Zresztą zasłużyłam sobie. On to robi tylko dlatego, że go prowokuję. A tak poza tym, jest bardzo delikatny. Trudno to zrozumieć, jeśli się go nie zna. Trudno to wytłumaczyć. Wiem, że

będzie lepiej. Wszystko będzie dobrze, jeśli tylko przestanę pić. I nauczę się zachowywać przy ludziach. Więc przepraszam, jeśli nie spotykałam się zbyt często z tobą i Liz. Ja tylko próbuję zrobić wszystko, żeby nam się udało, tak się staram, żeby nam się z Adrianem udało, bo wiem, że jestem beznadziejna. Chcę, żeby było lepiej. Więc nie mów nikomu. To moja sprawa. Zresztą to właściwie żaden problem. Wkurzam go i wszystko wymyka się spod kontroli. To jego mi żal. Biedny facet. Utknął ze mną, takim gównem...

Mówiła jeszcze wiele innych rzeczy, ale już mniej więcej rozumiecie w jakim stylu. W tym miesiącu obrażenia były spowodowane tym, że Adrian trzasnął jej w twarz telefonem. Nalała mu mleka do jego jaśminowej herbatki. Najpierw rzucił w nią filiżanką, ale nie trafił. Musiała zrobić coś naprawdę strasznego, bo zwykle nigdy, nigdy nie dotyka nawet jej twarzy. „To kochane z jego strony, myślę po cichu, bo to rzeczywiście wygląda dość wulgarnie, gdy czyjaś dziewczyna chodzi po świecie ze złamanym nosem i wszyscy widzą, zaczynają się plotki...” — o wiele gustowniej ograniczyć się do bicia do krwi po rękach, nogach i tułowi, bo wtedy można zawsze ukryć te wiele mówiące obrzęki pod eleganckim, kaszmirowym sweterkiem i wełnianymi spodniami.

Patrzę na Tinę, na jej twarz bez wyrazu i delikatnie sugeruję, że Adrian to ostatni niegodziwiec, agresywny cham, którego należy wsadzić do paki, a ona nie zrobiła nic złego, że więcej — nie jest zdolna do popełnienia zła i nie zasługuje na takie traktowanie. Nigdy. Nie ma dla niego wytłumaczenia. Żadnego. Przepraszanie i kwiaty nic tu nie pomogą. I nic się nie zmieni. Jeśli ona będzie się na to godzić, on będzie ją nadal bił. Czy ona nie rozumie? Mówię to cicho i zwykłym tonem, bo boję się, że zasłoni sobie uszy i wyrzuci mnie z mieszkania. Tina jest wyznawczynią kultu Adriana i moje słowa to bluźnierstwo. Mówi, że czuje się winna, że w ogóle ze mną rozmawia. Nielojalna. Spazmatycznie otula się ramionami i mruży, że już nie jest w stanie myśleć, zagubiła się, nie wie już, co czuje.

— Będzie lepiej — powtarza w kółko, jakby to było jakieś zaklęcie.

Próbuję podsumować same fakty w sposób jasny i wyraźny, tak żeby nie mogła niczemu zaprzeczyć. Zaprzecza. Jakby nie rozumiała, co do niej mówię. Z przerażeniem widzę, że ma urojenia. Zachowuje się tak, jakby widziała świat jego oczyma. Żyje w innej rzeczywistości. Nie mogę uwierzyć, że rozmawiam z moją Tiną. Jakby była poruszana przez jakieś niewidzialne nitki. Nagle mam wrażenie, że utraciłam ją na zawsze.

Kobieta, która przez trzy miesiące samotnie podróżowała po Afryce, która zmusiła samego wysłannika piekieł, żeby ustąpił miejsca w metrze starszej pani, która goniła złodzieja przez całą ulicę, złapała go i wymusiła oddanie sobie torebki, która oprowadzała grupę ponad trzydziestu Amerykanów po Rzymie, mimo że nigdy w życiu tam wcześniej nie była (tydzień wcześniej przeczytała po prostu trzy przewodniki), uważa, że jest niczym. Ale uważa także, że mężczyzna ma prawo trzymać głowę swojej dziewczyny pod wodą przez całe dwie minuty, gdy ona chłapie i próbuje zaczerpnąć powietrza, i że on robi to „dla żartu” — więc podejrzewam, że jej zdolności do oceny rzeczywistości są w niezłej rozsypce.

I nie pozwala mi sobie pomóc. Pytam ją, czy nie jest zła na Adriana za to, co zrobił, a ona waha się chwilę, a potem mówi, że może przez chwilę była zła, ale teraz to już jest tylko zła na samą siebie. Puls mi skacze i pytam ostro, czy Adrian wie, że ona ma trzech braci, a przede wszystkim, czy jej bracia wiedzą o Adrianie? I od razu czuję się podle, bo jest tak przerażona, że aż kwili, i ten dźwięk mrozi mi krew w żyłach, a ona błaga mnie, żebym przyrzekła, że nikomu ani słowa, bo, bo... Zaczyna zupełnie bełkotać, aż mi się robi słabo. Nie mogę tego pojąć, ale to słyszę.

Tina mówi, że wróci do pracy dopiero po Nowym Roku, ale żebym już do niej nie dzwoniła. U niej wszystko w porządku, naprawdę, może jest troszkę przybita, ale odpocznie sobie, uspokoi się. Gdy zagoi jej się twarz, pojedzie do rodziców. Adrian jedzie ze znajomymi na narty do Val dTsere. Nawet jej też proponował,

ale uprzedził ją, że to nie dla niej, więc odmówiła. Moja dyplomatyczna bańka pęka i wołam:

— Tina! Ty posłuchaj, co ty wygadujesz! Nie mogę uwierzyć, że pozwalasz mu się tak wykorzystywać!

I od razu żałuję mojego wybuchu, także dlatego, że Tina od razu na mnie napada:

— Słucham? Jasper? Marcus? Halo! Coś mi się nie wydaje, że nie masz mnie prawa pouczać, Helen, prawda?

Nie mam pojęcia, co miała na myśli, ale gdy jadę bardzo szybko do domu o trzeciej nad ranem, powtarzam tylko: „No, kurwa mać, kurwa, kurwa, kurwa mać”. Czuję się tak, jakby Adrian był moim facetem i to mnie pobił. Pędzę prosto do komputera mamy, loguję się do sieci i przeglądam bardzo długą listę książek o przemocy, wśród których znajduję także znakomitą *Przemoc w rodzinie dla początkujących*.

Zamawiam cztery pozycje. Tinie się to nie spodoba, ale właśnie kupiłam jej prezent na święta. Moje serce wali jak szalone, gdy oświadczam w cichą noc:

— Tina. Jeszcze o tym nie wiesz, ale rzucisz tego drania, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię.

W niedzielę rano dzwonię na policję i pytam, co można zrobić, jeśli kobieta jest bita przez swojego partnera. Otrzymuję chłodną odpowiedź, że nic, jeśli ofiara sama nie złoży doniesienia. Dzwonię do Tyny w niedzielę, w poniedziałek i we wtorek, bo postanawiam sobie, że ona przejrzy wreszcie na oczy i rzuci go jeszcze w tym tygodniu, ale nie odbiera moich telefonów, a nie chcę się nagrywać na sekretarkę i nagle już są święta.

24 grudnia rano otrzymujemy jednak zaproszenie na święta od Vivienne, taka specjalna oferta *last-minute*. Dziękuję jej uprzejmie, bo nie mam siły spędzić tego czasu w towarzystwie prawdziwej rodziny. Czułabym się jak niepotrzebna część, którą

być może jestem, skoro nie mam ojca. Mama także nie przyjmuje zaproszenia, ale potem zmienia zdanie, bo przecież nie będzie „siedziała w domu i się zamartwiała”. To zrozumiałe, biorąc pod uwagę to, że nawet Grinch po wejściu do naszego domu zaczęłyby błagać o jakieś świętełka. Mama ostentacyjnie obraża się na Boga. Nie ułożyła nawet kartek, które dostała — leżą w nieładzie, na kupie, na kuchennym stole. Układam pocztówki w ładny rząd przed wyjściem do pracy i sugeruję, że może byśmy tak zapaliły lampki chanukowe, cholera, no jakiegokolwiek świece — szczerze mówiąc, gotowa jestem podpalić nawet samą siebie, gdyby tylko to sprawiło, że nasz dom byłby mniej ponury — ale ją to nic nie obchodzi. Znajduje w szafie talon do salonu piękności, który dla niej kupiłam, i stwierdza obrażona, że zrobiłam to tylko jej na złość. W tym momencie kończy się moja cierpliwość i odpowiadam jej ostro, że jedyną osobą, która robi na złość Cecelii, jest sama Cecelia. I mam rację. Ona po prostu zawetowała wszelką radość. Więc wczoraj kupiłam małego indyka, siatkę ziemniaków, słoik sosu z żurawin. Chciałam też kupić mrożoną fasolkę, ale nagle zalała mnie fala apatii i pomyślałam: „Pieprzyć fasolkę”, i wpakowałam to wszystko ostentacyjnie do lodówki.

O drugiej po południu w Wigilię patrzę, jak moi koledzy z pracy krzątają się w kłębach lamety, oparach grzanego wina i dobrej woli, i czuję się jak Obcy. Zastanawiam się, co teraz porabia Tom i czy go jeszcze kiedykolwiek zobaczę. Wspominam nasze wspólnie spędzone chwile i wydaje mi się, że sobie to zmyśliłam. Wiedziałam, że to się nie może udać. Gapię się tępo przed siebie, gdy nagle coś z wielkim hukiem ląduje na moim biurku. Podskakuję z wrażenia i widzę, że pan Grouch, nasz portier, rzucił mi wielki bukiet róż. Kwiaty! Nigdy nie dostaję kwiatów! Stanowię strefę bezkwiatową.

— Dla Laetitii? — pytam z niedowierzaniem.

Pan Grouch aż marszczy brwi z niezadowolenia i mówi:

— To pani jest Helen, no nie? — I wychodzi.

Krew uderza mi do głowy i myślę: Tom? Tom! Kwiaty od Toma, żeby mi powiedzieć, że jednak mnie lubi! Rzucam spojrzenie na schody przeciwpożarowe, na wypadek gdyby miał się właśnie wdrapywać po nich jak Richard Gere, żeby mnie stąd zabrać. Ale nie wdrapuje się. Ale róże. Symbol romantycznej miłości! Jego sposób na przeproszenie, że na mnie nawrzeszczał! Jest skruszony, a ja miałam rację! Wygrzebuję karteczkę i rozrywam kopertę. Trzęsą mi się spocone dłonie, gdy czytam:

„Kochanej Helen. Już tyle czasu minęło. Całusy — Jasper, xox”.

Moje nadzieje znikają w oczach i czuję się jak James z powieści Rolanda Dahla, gdy uciekły mu wszystkie jego czarodziejskie robaczki. Cudowne i wspaniałe rzeczy mogły mi się przytrafić, ale wszystko zepsułam i już nic mi nie zostało. Wpatruję się w karteczkę i zastanawiam, czego może chcieć Jasper. Sapię lekko ze złości. Ma tupet. A jednak. Ładne te kwiaty. Uśmiecham się niechętnie. Bezczelny sukinsyn. Choć pewnie nie jest aż taki zły. Nie taki jak Adrian. Taki zwykły, tani drań. Przynajmniej nie nudzi na temat mieszkania. Wącham kwiaty. Chyba nie stanie się nic złego, jeśli pójdziemy razem na drinka. Dotykam różowego płątka. Różowe róże. Czy to oznacza, że jestem gejem?

Wdycham zapach róż, tak jak normalni ludzie wdychają tlen, gdy dzwoni mama, żeby mi powiedzieć zrzędliwym głosem, że bardzo mnie przeprasza, jeśli była zrzędliva, i że jeśli nie chcę, żeby ona szła jutro do Vivienne, to nie pójdzie. Nie chce, żebym spędzała święta w pustym domu i wie, że także Morrie nie byłby zadowolony, gdyby się dowiedział. Mimo iż był niewierzący, bardzo lubił święta. Gdy mówi to wszystko, czuję się trochę jak większość normalnych matek, gdy ich dziecko robi pierwszy samodzielny krok.

— Mamusiu — mówię — to bardzo uprzejme z twojej strony, ale czułabym się bardzo źle, gdybyś przeze mnie nie wybrała się do Vivienne. Chcę, żebyś miło spędziła czas.

Na co ona odpowiada:

— To dobrze! — I odkłada słuchawkę. Zaczynam się zastanawiać, czy może powinnam się tylko uszczyplnąć i obudzę się nagle w jakimś innym wymiarze, kiedy podbiega Lizzy i pyta, czy pomogłabym jej i Brianowi ubierać choinkę. W planie jest objeżdzenie się bożonarodzeniowymi babeczkami (z pełnego ziarna), sztuczne ognie i Pasterka. Mimo że bardzo bym chciała, czuję, że zaprasza mnie tylko z litości, a nie chcę litości, więc udaję, że jestem zajęta.

— Ale przyjdę jutro pomagać ci przy zupie dla bezdomnych — krzyczę, zanim zdołam to przemyśleć.

Dłonie Lizzy aż podskakują do szyi i krzyczą:

— O! Helen! Ale nie możesz! Dzwoniłam do nich i już mają za dużo wolontariuszy!

Strzelam buraka i mruczę:

— Nic nie szkodzi. I tak bym tylko zasmuciła tych biedaków.

Lizzy milczy przez chwilę, po czym się wycofuje, a ja widzę już siebie, jakby w komiksie, jak siedzę nad indykiem, który myślał o niedzieli, ale to ja czuję się tak, jakby mi łeb ścięli. Z ciężkim sercem dzwonię do babci sprawdzić, czy może ona nie ze chce mi towarzyszyć w tym, jak przewiduję, najbardziej przygnębiającym posiłku mojego życia.

Na szczęście babcia Flo spędza ten wieczór ze swoją przyjaciółką Norą, zaplanowały sobie oglądanie telewizji, a potem grę w bingo ze znajomymi z Towarzystwa Weteranów. Jak mówi babcia, nie ma czego świętować i nie mam się co po niej spodziewać, że będzie rzucała petardami, nie w tym roku. Będzie w domu w drugi dzień świąt, więc mogę wpaść, ale nie między drugą a trzecią trzydzieści, bo wtedy jest film z Cary Grantem. A jeśli rzeczywiście — jak twierdzi Cecelia — kupiłam jej porcelanową główkę księżnej Diany, to jej nie chce, bo ma pięć takich i nie ma już gdzie ich trzymać.

Gdy zmierzcha, czuję się jak prawdziwy Grinch i zastanawiam się, czy nie upiec tego indyka, nie zapakować do toyoty, nie zawieźć na cmentarz i nie roztrzaskać na grobie mojego ojca.

Bo w końcu jeśli cały ten bałagan to nie jego wina, to czyja?

ROZDZIAŁ XXXV

Ponieważ dużo gadam i mam problemy ze skupieniem uwagi na czymkolwiek, mało się nauczyłam w szkole, a i tak większość z tego, co się nauczyłam, już zdążyłam zapomnieć. Jednak wciąż pamiętam opowiadanie, które tłumaczyliśmy na lekcjach francuskiego, bo — jak się to mówi w baśniach — wzruszyło mnie do łez. Była to opowieść o bardzo biednym robotniku, który nawet nie miał pieniędzy na choinkę dla swojej małej córeczki. Więc przełożył święta na później. A gdy wszystkie bogate rodziny w Nowym Roku wyrzucały już swoje choinki, on podkraść się do śmietnika i wziął sobie jedną. I tak jego mała córeczka dostała choinkę i spędziła wspaniałe święta.

Nie mam wiele wspólnego z tą dziewczynką— tylko tyle, że moje święta też są spóźnione. Pierwszy dzień nie jest taki zły. Zdziwiająco spokojny. Odgrywam rolę doradcy do spraw mody dla mojej mamy, która chce za wszelką cenę przyćmić Vivienne.

— Na pewno nie chcesz pójść ze mną? — pyta podekscytowana. — Będą także osoby w twoim wieku, jacyś kuzyni, jak sądzę, i Jeremy, i jego przyjaciel Simon.

Wzdycham.

— Jeremy i jego chłopak Simon, mamo. Vivienne wciąż jeszcze nie chce w to uwierzyć?

Przez chwilę nawet się zastanawiam, czy nie pójść — Jeremy jest ciepły, miłutki i imponująco pogodny, prozac w ciele człowieka — ale potem przypominam sobie, że Vivienne jest z kolei żrącym kwasem w ciele człowieka i że wolę zostać sama. Daro-

wuję mamie talon do salonu piękności, a ona mi jedwabną, krwistoczerwoną pidżamę.

— Naprawdę nie powinnaś spać w tym niechlujnym, starym T-shircie — tłumaczy mi cierpliwie. — Mężczyźni nie lubią takich rzeczy.

Żadna z nas nie wspomina ojca. Wokół jego nieobecności chodzimy na paluszkach. Jest jak smog zanieczyszczający powietrze. Ten wysiłek mnie wykańcza i z ulgą wypycham moją wyfiokowaną mamę za drzwi. Potem zakopuję się pod kołdrą i czytam swój prezent od samej siebie — *Czarną Dahlię* Jamesa Ellroya — z włączonym telewizorem bez głosu.

Nie chce mi się piec indyka, więc robię sobie pieczone kartofle i maczam je w żurawinowym sosie. Na przemian czytam, jem i drzemię. Zastanawiam się, co robi teraz Tina. Modlę się, żeby Adrian roztrzaskał się na jakimś drzewie w tych swoich Alpach. Próbuję bez skutku zainteresować Fatboya jego nową, nakręcaną myszką. Siada sobie obok niej, podnosi nogę wysoko jak jakaś baletnica i zaczyna lizać to, co Luke określa jako jego „schówek na siusiaka”.

Równie spokojnie mija mi drugi dzień świąt. Babcia Flo dzwoni, żeby odwołać nasze spotkanie, bo boli ją żołądek. Nie zaskakuje mnie to, bo drugiego dnia świąt zawsze boli ją żołądek — świąteczny obiad babcia traktuje, jakby to była jej Ostatnia Wieczerza. Więc wyzywam mamę na pojedynek w „Monopol”, co jest błędem, bo pakuje mnie do więzienia, nie pozwala mi kupić Mayfair i defrauduje bank. Pokój zawieramy dopiero, gdy przegrywam. Potem ja czytam książkę, a mama otwiera drzwi, bo jej zdaniem może padać śnieg, i widzi, że Fatboy przyniósł nam prezent w postaci ślicznego, malutkiego, martwego rudzika. Następuje istna burza, którą udaje mi się zakończyć dopiero wtedy, gdy odkrywam, że na BBC1 zaczną się zaraz *Only fools and horses*. I na tym się kończą nasze święta.

Prawdziwa gorączka świąteczna zaczyna się dziesięć dni później.

Mama wraca do pracy. Ja znajduję mieszkanie. Michelle zmusza Marcusa do wydepilowania sobie pleców woskiem. To dla mnie aż za wiele — od czego powinnam zacząć? Właściwie to pytam tylko tak retorycznie, bo jeśli zaraz o tym nie opowiem, eksploduję z triumfalnej radości. Oto: „Historia o tym, jak Marcus poznał, co to cierpienie”. Dowiedziałam się o tym od Lizzy, która usłyszała z kolei od Briana, który dowiedział się od Sary, terapeutki w ich fitness chbie. I pomyślałam, alleluja, jest jeszcze sprawiedliwość na tym świecie.

Narieczona wysłała Marcusa na depilację woskiem, która zajęła Sarze czterdzieści pięć minut! I Sara była przerażona, bo Marcus wrzeszczał! Wrzeszczał! Słowa na k... i na ch... tak głośno, że słyszeli go ludzie w sąsiednich pokojach w czasie masażu! Gdy nałożyła wosk, on krzyczał, że go parzy! A on był ledwie ciepły! Sara powiedziała: „Teraz już pan wie, co muszą przeżywać kobiety!”, a on powiedział, że przecież to nie ma porównania z depilacją bikini, bo przy bikini to są może ze dwa paseczki! I wtedy Sara przestała odczuwać jakiegokolwiek współczucie i powiedziała tylko: „Zapewniam pana, że to jest trochę więcej niż tylko dwa paseczki!”. A Marcus był tak włochaty, że potem wyglądał, jakby miał na sobie bezrękawnik! A ona nie wiedziała, czy ma też depilować ramiona czy nie! I potem się okazało, że on pracuje w innym klubie, ale wstydził się poddać temu tam, u siebie! I że zrobił to tylko dlatego, że kazała mu narieczona!

Lizzy bardzo rzadko plotkuje, ale tym razem ucisza swoje sumienie, twierdząc, że to nie żadne przekazywanie pogłosek, tylko sztuka reportażu. Po cichu podejrzewam, że nigdy nie wybaczyła Marcusowi tego, że zmusił ją do przyznania się przy ludziach, że penis jej byłego faceta był średniej wielkości. Ten początek życia Marcusa w obozie dla rekrutów niemal wzbudza moje współczucie. Ale natychmiast mi przechodzi, gdy sobie przypominam moje własne, krótkie zmagania z Plecami Goryla i zachodzę w głowę, co — nie licząc desperacji — we mnie wtedy wstąpiło. Dzwoni telefon.

To mama. Dzwoni z pokoju nauczycielskiego. Wszyscy są tu

tacy kochani. Tęsknili za nią. Jej dzieci zrobiły jej transparent powitalny z kolorowej bibuły. I takie są grzeczne. Mama podejrzewa, że pani Armstrong trochę nad nimi pracowała. Tak się cieszy, że wróciła. A pani Armstrong kazała jej przysiąc, że gdyby kiedykolwiek odniosła wrażenie, że nie daje sobie rady, ma natychmiast o tym powiedzieć, i już pani Armstrong coś na to poradzi. Ma masę roboty, plan zajęć jest zupełnie zwariowany, ale co ją to obchodzi. Zresztą musi już lecieć, bo ma zaraz matematykę.

Gdy mama odkłada słuchawkę z hukiem, ja popadam w zadumę. Czy to działanie prozacu czy chffa? A może po prostu to mój szczęśliwy dzień? Marcus dostał za swoje, a ja dostałam historyjkę o jego cierpieniu. Wszystkie trzydzieścioro cztero-latków w klasie Cecelii Bradshaw postanowiło dzisiaj nie wymiotować, nie siusiać w majtki i nie robić kupy w czasie zajęć. To jakiś uśmiech losu. Sprawdzam swój znak zodiaku. Wierzę w horoskopy tylko wtedy, gdy mi schlebiają, gdy tylko zaczynają mnie łątać, natychmiast uznaję je za totalną bzdurę. Najwyraźniej Jupiter, „planeta płonów i możliwości” coś majstruje przy moim zodiaku, więc powinnam spodziewać się „ekscytujących zmian”.

Pochylam się nad gazetą i kiwam głową. Chodzi o to, że jeśli mieszkasz z mamą, pracujesz jako służąca, nie masz żadnego życia erotycznego ani towarzyskiego, to wszelkie szaleństwa, a nawet chwilowe zadowolenie twojej rodzicielki nabierają niesamowitych proporcji. Przygryzam wargę i zastanawiam się, czy nie powinnam dziś po południu jeszcze raz spróbować z Tiną. Od dwóch tygodni udaje jej się znakomicie mnie unikać, jak i moich poradników, ale według jej horoskopu Jupiter wpakuje się częściowo także na jej zodiak, co „podkreśli strukturę” jej egzystencji i „być może przyniesie zmiany”. Idealnie. Zadzwońię do niej po lunchu.

Jest 12.02 i właśnie zamierzam zabrać się do roboty, gdy dzwoni obłany Joopem pan Adam i twierdzi, że znalazł mieszkanie stworzone dla mnie, jest tu niedaleko, muszę je natychmiast

obejrzyć, przystępna cena, od zaraz, doskonałe wykorzystanie przestrzeni, traf w dziesiątkę, świetna lokalizacja, bardzo wygodna, jeśli chodzi o połączenia komunikacyjne, przydałoby się troszkę odnowić, setki ludzi się o nie bije, jeśli się nie pośpieszę, to przepadnie, a już, ni chuja, nie ma nic w pobliżu i będzie po mnie. Już miałam przyjemność poznać doskonale luźne interpretacje „Przepisu o niefałszowaniu danych dotyczących przedmiotu sprzedaży”, które stosuje pan Adam, więc nie wierzę w ani jedno jego słowo. Ale ponieważ Jupiter siedzi mi na karku, postanawiam zobaczyć tę (jak wnioskuję) starą, rozpadającą się norę, prawdopodobnie znajdującą się tuż pod mostem kolejowym.

— Dobra — mówię. — To może dziś za piętnaście siódma?

— Taaa? — dziwi się pan Adam, który najwyraźniej oczekiwał, że będę się bronić. — No to klawo! Mamy randkę!

— To nie jest żadna randka — protestuję.

O 18.32 jesteśmy z Lizzy w jego biurze. Pan Adam ignoruje mnie zupełnie, a pożera wzrokiem Lizzy, która ma dziś na sobie krótką spódniczkę. Nie wzrusza mnie to — trochę dlatego, że odrzucali mnie już mężczyźni z o wiele wyższą pozycją w łańcuchu pokarmowym, a trochę dlatego, że gdybym była facetem, też bym wolała wysoką, opaloną i elegancką Lizzy od bladego kurdupla. Ale moja obojętność wynika głównie z tego, że nie wiem, czy powinnam powiedzieć Lizzy o Tinie czy nie. Wiem, że obiecałam nie mówić nikomu i że od tego zależy korpulentny żywot Fatboya. Ale. Jestem pewna, że gdybym jednak mogła komuś opowiedzieć o Tinie, to Lizzy byłaby najodpowiedniejszą osobą. Bo kiedy zadzwoniłam dziś po południu do Tiny, zgodziła się niepewnie, że wpadnie do mnie, ale tylko pod warunkiem, że się jej „nie będę czepiać”. Więc teraz łamię sobie głowę nad tym, jak się doczepić tak, żeby ona tego nie zauważyła, a ponieważ Lizzy jest królową dyplomacji, a ja dyplomatycznym zerem, potrzebuję jej rady. Jednak jakkolwiek sobie to tłumaczę, wciąż słyszę w głowie słowa: „Ale obiecałaś”. W końcu — gdy pan

Adam szuka jakiegoś miejsca do zaparkowania i raptownie skręca na krawężnik — decyduję się na kompromis.

— Lizzy — mówię cicho. — Wiesz, ten Adrian, facet Tinie... Co byś powiedziała, gdybym ci powiedziała, że rozmawiałam z taką kobietą, która kiedyś z nim była, i ona powiedziała, że... tego... że zdarzało mu się czasem ją trochę poturbować?

Przyznaję, że jest to dość ogłędne przedstawienie faktów, ale jestem pewna, że każda inna osoba rozszyfrowałaby tę wiadomość w ułamku sekundy. Ale Lizzy nie wierzy, że zło istnieje (jest pod tym względem dokładnym przeciwieństwem Fatboya) i to skutecznie broni ją przed wszelkimi niemiłymi obrazami. Nawet jej do głowy nie przyjdzie, że mówię właśnie o Tinie. Jest oburzona i mówi:

— Co za bzdura! Adrian jest taki miły! Co za kłamstwo! Zdziwiona gwałtownością jej reakcji mówię łagodnie:

— No, ale tak właśnie powiedziała.

Lizzy odpowiada mi głosem pełnym niedowierzania jak dziecko, które usłyszało właśnie, że niemowląt nie przynoszą bociany:

— Czy ona jest tego pewna?

Szczerze mówiąc, jestem w szoku. Oczekiwałam przerażenia i paniki, ale nie uporu.

— Nie wydaje mi się, żeby ona to zmyśliła, Lizzy, naprawdę nie sędzę.

Ale Lizzy z kolei jest pewna, że to jakaś koszmarna bzdura.

— Adrian to taki miły chłopiec! I taki grzeczny! Musiała to sobie zmyślić! I to jest naprawdę nieładnie z jej strony, że naopowiadała ci takich potwornych rzeczy — po czym Lizzy otwiera drzwi, wychodzi z samochodu i zamyka je z głośnym trzaśnięciem. Czuję się, jakbym zaproponowała jej kupno elektrycznej szczotki do włosów.

Ze smutkiem rozglądam się wokoło. Stoimy przed schludnie uszeregowanymi wiktoriańskimi domami. Wszystkie są białe, mają piękne wykuszowe okna i jasno pomalowane drzwi. Pan Adam otwiera furtkę jedyne go wyjątku — paskudztwa otynko-

wanego kamyczkami. Jak waza ze rżniętego szkła pośród uroczych prezentów ślubnych.

— Może dałoby się usunąć te kamyczki ze ścian — szepcze Lizzy. — I tę zardzewiałą lodówkę z trawnika.

Kiwam głową i posyłam jej uśmiech. Nie ufam jeszcze sobie na tyle, żeby cokolwiek do niej powiedzieć. Więc przemawiam za to słodko do pana Adama:

— Nie jestem pewna, po co nas tu pan przywiózł, chyba tylko dla żartu, ale czy byłby pan tak miły i tym razem zadzwonił do drzwi, żeby właściciel nie musiał znowu biegać po schodach w samych majtkach?

Pan Adam odkaśluje i rzecze:

— Właściciel już tu nie mieszka.

Otwiera na oścież brudne drzwi frontowe i już rozumiem dlaczego. Prawdopodobnie tenże właściciel spojrział pewnego dnia na wystrój tego domu i umarł ze strachu. Schody są chwiejne, trzeszczące i nie ma na nich dywanu. Ściany są pokryte czymś, co można by chyba nazwać krzykliwą karykaturą tapety. Toż samo sufit. Mimo zapierającego dech w piersiach zderzenia pomarańczowych i brązowych szlaczków, efekt jest dość ponury. Lizzy mamrocze:

— Ach! Jak, hm, oryginalnie!

Biorę głęboki oddech, żeby się nie udusić.

— W tym mieszkaniu tkwi niesamowity potencjał! — woła wesoło pan Adam. Wzdycham i idę za nim do czegoś, co udaje kuchnię.

— Właściciel miał jakieś podejrzane skłonności do brązu — zauważam na widok poplamionego linoleum w kolorze błota. — I alergię na sprzątanie — dodaję, gdy naszym oczom ukazuje się zarośnięty brudem kredens.

— Cała wartość tego mieszkania polega na tym, że ono aż się prosi, by wycisnęła pani na nim piętno swojej osobowości! — odpowiada pan Adam. — A pod tym linoleum znajduje się zabytkowa podłoga z drewna!

Spoglądam na niego z nadzieją:

— Naprawdę?

— Jasne — przytakuje. — W końcu to deski podłogowe, no nie?

W tej samej chwili Lizzy wykrzykuje:

— Helen! To chyba prawdziwa, zabytkowa kuchenka gazowa! Tak, tak, tylko spójrz, ma dwie pary drzwiczek! O Boże! Zrobiłabym wszystko, żeby mieć taką kuchenkę! Musi mieć co najmniej z pięćdziesiąt lat! Panie Adamie, czy to jest w cenie mieszkania?

Pan Adam spogląda na Lizzy tęsknym wzrokiem i mówi:

— Ano, fuli wypas, no nie?

Sapię i próbuję oponować:

— Przecież to jakiś grat!

Ale Lizzy upiera się, że to „prawdziwy antyk”. Potem odkrywa jeszcze, że blat w kuchni — pod grubą warstwą brudu — jest połączoną formiką.

— Niesamowite! — piszczy. — To po prostu skarb! Nikt tego nie ruszał od czasów wojny!

— Tak, od wojny stuletniej! — ryczę.

Adam pokazuje nam łazienkę, która jest tak mała, że ledwo się tam we dwoje mieścimy. Lizzy czeka na zewnątrz.

— Stare kafelki! — szepcze. — Helen! Ty musisz to kupić!

Gapię się na nią i rzucam:

— Tę norę?

Ale potem widzę sypialnię i choć tynk się kruszy, a z wykładziny zostały resztki, choć okna są brudne, a szyby popękane, serce zaczyna mi bić szybciej.

Wyobrażam sobie, że można by zerwać wykładzinę, wyfrotrować podłogę, pomalować ściany na żółto i wymyć te wielkie okna, żeby pokój zalało słońce.

— Zobaczmy salon — mówię.

— Prawdziwy kominek — obwieszcza pan Adam, gdy wchodzimy do małego pomieszczenia zasnutego pajęczynami. — I do kupienia na pniu. Tylko kilka poprawek i może się pani wprowadzić!

— Pan chyba żartuje — mówię. — Przecież tu się nie da mieszkać!

Ale mówię to już bez przekonania. Serce mi wali i jest mi gorąco z niepokoju. Sama nie wiem czemu, ale chcę *kupić* to mieszkanie.

Następnego dnia dzwonię z rana, żeby złożyć swoją ofertę kupna. Pan Adam odpowiada mi chłodnym tonem:

— Oddzwonię do pani.

Lizzy mówi, że on tylko udaje trudnego do zdobycia i daje mi adres swojej prawniczki. A Tina dzwoni z sesji zdjęciowej i bardzo mnie przeprosza, ale nie może dzisiaj do mnie przyjść, bo „coś jej wypadło”. Próbuję ją spytać, jak się czuje, ale się rozłącza. Telefon dzwoni od razu, więc łapię za słuchawkę i wołam:

— Tina?

— Czy to piękna Helen? — pyta ktoś śpiewnie.

Dostaję gęziej skórki.

— Jasper?

— Część, złotko — mówi on. — Nie zadzwoniłaś w sprawie kwiatów. Czy to znaczy, że koniec z nami?

— Z jakimi nami? — chichoczę. — Jaki koniec?

Jasper wzdycha żałośnie, jakbym go uraziła tą uwagą.

— Och!

— Jasper, jesteś tak gruboskórny jak łapa hipopotama, więc **nie** zgrywaj się! — mówię stanowczym głosem.

Wybuchają śmiechem.

— Helen, miłości moja, jak ja się stęskniłem! Co tam u ciebie? Jak twoje mieszkanko? Co ty na to, byśmy się spotkali? Nie miałybyś ochoty na wspólną kolację?

Myślę sobie: „Tak, miałabym, o ile obiecasz, że będziesz do mnie mówił jak normalny człowiek, a nie jak średniowieczny rycerz”.

— Cóóó — mówię zamiast tego, ale mi przerywa.

— Dziś wieczorem podjadę po ciebie taksówką i wywiozę cię w nieznaną!

Zamierzam właśnie zaprotestować, jak cnotliwej dziewczynie przy-

stało, gdy nagle mam już w słuchawce tylko martwą ciszę. Więc myślę sobie, co właściwie miałabym mieć przeciwko zamienieniu wieczoru z odgrzewanym makaronem, serialem *The Bill* i rudym kocurem pierdzącym pod moim bokiem, na wystawny obiad przy świecach z Jasperem Sandersonem i jego szczupłą stopą głaszczącą moją spragnioną miłości kostkę?

Przecież to jeszcze do niczego nie zobowiązuje, prawda?

ROZDZIAŁ XXXVI

Zdarza się, że Fatboy się zapomina i okazuje mi pewne oddanie. Te pomyłki mają miejsce tylko wtedy, gdy jemu jest wygodnie, więc z zasady wtedy, gdy ja jestem bardzo zajęta. Najlepiej gdy czytam gazetę. Wskakuje wtedy na stół i rozkłada się leniwie, zasłaniając mi wszystkie nagłówki. Odkładam go na ziemię, a on wskakuje ponownie i rozwała się na dokładnie tym samym artykule.

Jedyny kompromis, na jaki się godzi w takich przypadkach, to położyć się na moich kolanach. Przysiada tam czujny, wbija pazury w moje nogi, mruczy jak mały silniczek i masuje. Efekt przypomina trochę, jak sobie wyobrażam, wbijanie igieł w czyjeś ciało i wciąż w to samo, coraz bardziej bojące miejsce. Jednocześnie czynność ta powoduje wyciąganie małych niteczek i spodnie są potem do wyrzucenia. Ale znoszę dzielnie ten ból i poświęcam nawet spodnie, bo Fatboy tak rzadko okazuje mi uczucia — podaż jest tak niska, że produkt staje się tym cenniejszy.

Obawiam się, że z podobnych powodów zgadzam się spotkać z Jasperem. I mimo wszystko miło się z nim spotkać. Wypisał się — nie śmiejcie się — Egoistem, co sprawia, że mam go ochotę ugryźć.

— Ładnie pachniesz — wymyka mi się.

— Wiem — mówi Jasper z uśmiechem. Ma coś białego między jedykami. Sprawdzam językiem swoje zęby, zasysam powietrze na wszelki wypadek, choć przecież myłam je tuż przed wyjściem. Nagle czuję się jak niezdara, a jego beztróskie i aro-

ganckie „wiem” dźwięczy mi nieprzyjemnie w uszach. Jasper jest jeszcze piękniejszy niż zwykle, ale jest też nieprzyzwoicie zadowolony z siebie. Postanawiam, że dam mu popalić. Albo przynajmniej nie będzie miał ze mną tak lekko jak zwykle. Gdy idziemy Long Acre, kładzie mi rękę na ramieniu. Zastanawiam się nawet, czy jej nie strząsnąć, ale nie chcę być zbyt niemiła. Więc leży tam nadal ciężka i niewygodna, aż wreszcie łapiemy taksówkę.

— Więc dokąd mnie zabierasz? — pytam, gdy telepiemy się przez londyńskie korki.

— Niespodzianka! I co tam u ciebie? Kopę lat, nie?

— W porządku, wszystko w porządku — rzucam i staram się nie denerwować wyrażeniem „kopę lat”. — A co u ciebie? Jak tam Louisa?

Jasper marszczy nos i z uczuciem deklaruje:

— U mnie wszystko w porządku, ale z niej jest kawał suki!

Jakoś wcale mnie to nie zaskakuje.

— O! A czemu? — pytam chłodno. Z niewyjaśnionych dla mnie powodów czuję się nagle urażona w imieniu Louisy.

Jasper wydyma nozdrza, prycha głośno i przewraca oczami. Zupełnie jak spanikowany koń.

— A! Denerwuje mnie już. Nie mogę dosłownie znieść tej kobiety! Ona — wnioskując z jego tonu, oczekuję długiego, zrzędliviego lamentu, ale Jasper waha się i zmienia nagle zamiar — ona, och!, jest w porządku. To dobra dziewczyna. Jest naprawdę w porządku, tylko nie mogę już ścierpieć jej muzycznego bezguścia.

Podnoszę brew i zauważam;

— Jasper, przecież ty nie możesz znieść niczyjzego muzycznego bezguścia. Czego ona takiego okropnego słucho?

Wzrusza ramionami i wyrzuca z siebie imię, jakby to była trucizna:

— Madonny.

— Madonny? — piszczę. — A co masz przeciw Madonnie? Przecież ona jest genialna! Uwielbiam Madonnę!

- Przecież to istna modliszka!
Wydymam wargi i z wyższością stwierdzam:
- Rozumiem. To wpływa na jej muzykę, nieprawdaż?
Jak każdy dobry polityk Jasper ignoruje moje pytanie i mówi:
— Jej muzyka to istne obrzydlistwo! — I chyba oczekuje ode mnie jakiegoś komentarza, bo kiedy milczę, mruczy w końcu. — Nie cierpię takich dziewcząt.
- Wiedziałam. Wstrząsa mną dreszcz furii i syczę:
— A ja chłopa z takimi przekonaniem!
- Potem siedzimy przez pięć minut w lodowatym milczeniu, aż w końcu Jasper się poddaje.
- Hej, ślicznotko, nie chciałem cię zdenerwować. Czy już ci mówiłem, że wyglądasz świetnie? Naprawdę dobrze.
- W moim słowniku „wyglądasz naprawdę dobrze” odczytuje się jako: „Czy ty przypadkiem nie przytyłaś?”, więc wydaję z siebie szydercze:
- Jasne.
- Nie, naprawdę — upiera się przy swoim Jasper. — Czy ty aby nie schudłaś, co?
- Wolałabym pozostać obrażona, ale uśmiecham się mimo woli.
- Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi — mrużę. — Nie ważyłam się chyba z dziesięć lat.
- Jasper wyczuwa ocieplenie stosunków i woła radośnie:
- Możesz się zważyć w mieszkaniu, jeśli chcesz.
- Otwieram oczy szeroko jak zwierzątko Disneya.
- Jakim mieszkaniu? — piszczę. — Myślałam, że zabierasz mnie na kolację.
- Pomyślałem, że ugotuję tę kolację u mnie.
- Znaczą u Louisy — ryczę. — Czy ona też tam będzie?
- Louisa jest w Chicago w interesach — odpowiada Jasper bez zająknięcia. — Będziemy mieli całe... całą kuchnię dla siebie.
- I co takiego zamierzasz mi ugotować? — pytam.
- Jasper odkasłuje, zakrywając usta dłonią, po czym z uśmiechem mówi:

— Frittata di cheddar e erbe d'estiva.

— O kurczę! — Czuję zadowolenie, że zadał sobie tyle trudu. — Brzmi świetnie! Czy to się kupuje w jakimś specjalnym sklepie?

Jasper wybucha śmiechem.

— Pewnie tak.

Tyle wysiłku — dla mnie! Jestem zachwycona. Przez resztę podróży gawędzimy o pracy Jaspera i o tym, że już niedługo otrzyma promocję. Mówię mu, że mnie już niedługo chyba zdegradują, więc tłumaczy mi, co trzeba robić, żeby „lepiej rozegrać tę grę”. Cokolwiek ma na myśli. Taksówka wjeżdża w luksusową część Kensington.

— O kurczę! — wołam. — Ale się dorobiła ta twoja Louisa!

— Tak. Niektórzy to mają szczęście.

„Ty na przykład”, myślę sobie. I bynajmniej nie zmieniam zdania, gdy widzę samo mieszkanie. Louisa ma skłonność do czerwieni. Szkarłatne ściany, na podłodze purpurowe dywany, a okna ozdobione ciężkimi, krwistymi zasłonami. Salon zagracony świecznikami, starymi, drewnianymi stolikami i krzesłami, mocno sfatygowaną sofą w kolorze lila i przeładowanym regałem na książki. Chciałabym móc powiedzieć, że jest tu paskudnie, ale niestety jest miło, przytulnie i urzekająco.

— Ale szaleństwo! — mówię.

— Jakby się mieszkało w macicy — krzyczy Jasper z kuchni. — Chcesz sherry?

— Czy ja wyglądam na stuletnią ciocię Kłocię? — odkrzykuję.

Zapada cisza, po czym Jasper mówi z werwą:

— Jak chcesz, ja się napiję.

Zaglądam do kuchni.

— A nie masz piwa? — Jasper kręci głową. — A wina? — Jasper kręci głową. — To poproszę szklankę wody.

— Może być z kranu? — odpowiada Jasper. — Zdrowie! To jak tam twoje nowe mieszkanie?

Sączę wodę i pytam:

— Jakie mieszkanie?

Jasper wygląda na zdezorientowanego:

— To nie kupujesz nowego mieszkania?

— A, tak, tak — przytakuję pośpiesznie. — Przeprowadzę się za jakieś, hm, pięć tygodni.

Nie jest to całkowitą nieprawdą, bo zanim wyszłam dziś z pracy, zadzwonił pan Adam, żeby mi powiedzieć, że wprowadzić moja oferta została odrzucona, ale tak między nami mówiąc, jeśli dołożę jakieś sześć tysięcy, mieszkanie 55b będę miała w kieszeni.

— Taka klitka to rzeczywiście zmieści się nawet w mojej kieszeni — wymamrotałam po odłożeniu słuchawki.

Tymczasem Jasper podniesieniem brwi wyznaje mi swoje zainteresowanie moimi przygodami z zakupem, więc opowiadam mu wszystko po kolei (z wyjątkiem tego, że go jeszcze nie kupiłam), a on w tym czasie przygotowuje coś, co wygląda na omlet z serem. Co to jest, że w tych postmodernistycznych czasach ja zawsze trafiam na facetów, którzy umieją usmażyć jedynie omlety?

— Nie miałeś przypadkiem ugotować czegoś bardziej skomplikowanego? — pytam zirytowana.

— To jest bardzo skomplikowane, złotko — mówi Jasper i puszcza do mnie oczko.

Jemy nasze omlety na sofie i Jasper jest wyjątkowo czuły. Próbuje mnie karmić ze swojego widelca — pozwalam mu, choć naprawdę świetnie sobie radzę z samodzielnym jedzeniem już od jakichś dwudziestu pięciu lat. Przekopuję się przez półkę z gazetami Louisy i znajduję ostatni numer „Homes & Interiors”. Przeglądamy wspólnie magazyn i, choć właściwie nie ma tam niczego, na co miałabym ochotę lub na co byłoby mnie stać, jestem wzruszona jego zainteresowaniem. Jest naprawdę miło, aż nagle wzbijają dziesiąta i Jasper zaczyna mnie całować.

— Tęsknię za tobą, złotko — mówi gdzieś w moją szyję — złotko, jak ja tęsknię.

Delikatnie, acz stanowczo popycha mnie na sofę w kolorze

lila i próbuje zdjąć mi bluzkę. Leżę bez ruchu i pozwalam mu się całować, ale odsuwam jego zbyt ruchliwe dłonie z piersi. Jasper obcałowuje mi całą twarz, wydając z siebie mlaszczące odgłosy. Robi mi się słabo z obrzydzenia i odwracam głowę. Powinnam przecież także mieć ochotę go całować i tulić się, ale nic nie czuję. Może ten omlet mi zaszkodził?

— Cóż za nieśmiałość — mamrocze Jasper, odwracając mi na siłę twarz tak, żeby znalazła się w zasięgu jego ust. — To do ciebie niepodobne.

Siadam sztywno i odsuwam się od niego.

— Co masz na myśli? — pytam lodowatym tonem.

Poprawia sobie fryzurę i mówi:

— Tak tylko żartowałem, aniołku mój, wyluzuj.

— Tak? No to zgadnij co: to nie było śmieszne.

Jasper szczypie mnie w nos i zrywa się na równe nogi.

— A jak tam, ten, no Fatuś?

— Fatuś? — piszczę ze złości. — Ma na imię Fatboy i ma się dobrze, dziękuję, że pytasz.

Jasper wybucha śmiechem i niskim, męskim głosem mówi:

— Ale jesteś seksy, jak się gniewasz.

Zdegustowana kręcę głową.

— Jesteś niemożliwy. I nie wciskaj mi takich kitów sprzed pięciu tysięcy lat. Tak mówiły do siebie dinozaury. — Jasper drapie się w czoło i uśmiecha najszerzej, jak potrafi, więc zaczynam chichotać i dodaję: — Przestań już. W zwyczajnych okolicznościach już dawno bym się na ciebie rzuciła, ale trochę boli mnie głowa.

Jasper uważnie mi się przygląda i bez większego żalu w głosie mówi:

— O! — Po czym dodaje: — Mam dla ciebie prezencik, złotko.

Grzebie w swojej teczce i rzuca w moją stronę kieszonkową książeczką w żywych kolorach: *Kocie gadanie*. Z miejsca wiem, że zwinął ją z pracy.

— Mam inne zainteresowania — mówię z obrazą w głosie.

Jasper zabiera mi *Kocie gadanie*, rzuca się na sofę, układa głowę na moich kolanach i zaczyna czytać. Jasper uwielbia koty mniej więcej tak, jak uwielbia je babcia Flo, więc doceniam to poświęcenie.

— Każde życie powinno mieć co najmniej dziewięć kotów — oświadczam z głębokim przekonaniem, a ja mięknię i zaczynam czuć, że już w duchu nawet mruczę. Zamykam oczy, słucham jego głosu i głaszczę go po głowie. Zapadam się w to ciepło naszej bliskości, gdy nagle on odrzuca książkę, chwyta mnie za rękę i mówi:

— Helen, tak za nami tęsknię. Wróć do mnie, proszę.

Nie wiem, co powiedzieć, więc mówię:

— O! — A potem, że to przemyślę. A potem wychodzę.

Zaczynam nawet podejrzewać, że mój Jupiter się pomylił i nigdy już nie nadejdą te spóźnione święta, a mnie wystrychnięto na dudka i cieszyłam się zupełnie na próżno, gdy dowiaduję się, że moja oferta na mieszkanie 55b została przyjęta. Pan Adam przekazuje mi tę radosną wieść, jak śmieciarz wrzucający torbę śmieci do śmieciarki. Potem pyta mnie, czy nie poszłabym z nim na drinka i nie zabrała ze sobą tego koteczka, z którym się trzymam? Mówię mu, że Lizzy umawia się tylko z takimi pośrednikami, którzy zajmują się nieruchomościami powyżej trzystu tysięcy. Potem przekazuję wieści Lizzy, która aż podskakuje z wrażenia i stwierdza, że powinnam natychmiast umówić się z doradcą do spraw feng-shui.

— Nie cierpię tego — syczę, odłożywszy słuchawkę po rozmowie z najlepiej migającym się specjalistą do spraw pożyczek hipotecznych pod słońcem. — Czuję, jak on mnie naciąga!

Lizzy robi swoją najlepszą minę mającą wyrażać współczucie i świergocze:

— Ale pomyśl tylko, przecież to mieszkanie jest tego warte!

— Jasne, będę teraz dumnym właścicielem zadłużonej klientki. — Przygryzam wargę i mruczę do samej siebie: — Przynajmniej Tom byłby zadowolony, świętoszkowaty dupek.

Tom jest jak dżingiel w radiu — nie da się o nim zapomnieć,

więc doprowadza człowieka do szału. Odkąd spotkałam się z Jasperem — a pewnie i przedtem — nie mogę przestać myśleć o Tomie. Obsesyjnie porównuję tych dwóch mężczyzn. Oczy, dowcipy, klatka piersiowa, głosy, inteligencja, omlety, zdolności, penisy, zainteresowania, sposoby wołania kelnerów, praca... Porównuję ich dosłownie pod każdym względem. I nie dzwonię do Jaspera.

Ale tak strasznie chciałabym się spotkać z Tomem.

Przyznaję, że to trochę dlatego, że pragnę się oderwać od tych spraw własnościowych i wszystkiego, co z tym związane. Poza tym pozostały między mną a Tomem niedokończone sprawy. I oczywiście nie miałabym nic przeciwko nocy z nim, czy dwóm, nie mówię tutaj o seksie. Bo jeśli mam sobie poradzić z moim życiem — sformułowanie, którego nie cierpię, tak jakby życie było jak zajęcia z ekonomii, przez które trzeba jakoś przebrnąć, ale ten jeden raz zrobię wyjątek i go użyję — muszę porozmawiać z Tomem.

Nie chcę, ale muszę. Wciąż mam przed oczyma jego zdziwienie w tamtą psią noc. Najśłabsza część mojego ja ma ochotę rzucić mu się pod nogi i wytłumaczyć wszystko, ale ta bardziej kłótniwa część marzy o tym, żeby drzeć się na niego tak długo, aż sam rzuci się do moich stóp. Jak on śmiał robić mi te wszystkie kazania, gdy tymczasem sam puszczał się po prostu za moimi plecami? Jak mógł mówić mi takie rzeczy i kłamać?

Jak mogłam być tak naiwna i uwierzyć, że skoro mówi, to pewnie nie kłamie? I co on sobie myślał, kiedy był taki miły? Dlaczego postąpił tak nieuczciwie? Czy on nie rozumie, że z takim świństwem nie można sobie poradzić, jeżeli się komuś wierzycie? Te podłe pytania drażnią mój umysł i nie pozwalają mi zaangażować się w szalone zamieszanie dotyczące Laetitii i jej szuflady na faktury. Więc łapię za telefon, dzwonię do Megaweterynarza, oświadczam, że Fatboy nie ma już co jeść i umawiam się na 18.45 — dzisiaj.

Mama daśa się, bo wciąż jeszcze nie pokazałam jej mieszkania — powód: nie mam odwagi — więc nikt mnie nie zatrzymuje, gdy wywabiam Fatboya spod volvo, wpycham do przenośnego pojemnika na koty i pędzę do weterynarza. Gdy stękając i grzechocząc, toyota zatrzymuje się wreszcie na Golders Green Road, zaczynam się modlić, żeby Tom nie wrócił jeszcze z wakacji. Biorę głęboki wdech, we wstecznym lusterku sprawdzam fryzurę (tak jak myślałam — przyklapła), wyciągam Fatboya z tylnego siedzenia i sunę w stronę drzwi Megaweterynarza. Napieram na nie z całej siły, otwieram tyłkiem i wpadam do recepcji tyłem naprzód. Nie jest to bynajmniej wejście pełne godności, więc odczuwam pewną ulgę, gdy widzę, że w poczekalni nie ma żadnych zwierząt czy ludzi, a Celine nie stoi za ladą. Stoi za to Tom.

Zapisuje coś w czymś, co — jak sędzę — jest księgą pacjentów. Jest potargany i wygląda na zmęczonego. Gapi się na mnie, jakby nie mógł uwierzyć, kogo tym razem koty przyniosły, po czym kłania mi się uprzejmie. Czuję, jak napinają mi się mięśnie karku, też się gapię i też kłaniam uprzejmie. Fatboy wyje i drapie rozpaczliwie.

— Więc — mówię kwaśno — znowu się spotykamy.

Tom rzuca pióro, zamyka z trzaskiem księgę i beznamiętnym tonem stwierdza:

— Jesteście następni, więc równie dobrze możecie wejść od razu.

Wnoszę Fatboya do gabinetu, Tom zatrząskuje za nami drzwiami z hukiem, a ja zaczynam się bać. Tak się boję tego, co on może powiedzieć, że zaczynam mówić, zanim Tom ma czas otworzyć usta.

— I jak tam było na wakacjach? — pytam jak lizus.

Tom wygląda na zdziwionego tą moją uprzejmością.

— Miło...

Wtedy przerywam mu, rycząc:

— Na wakacjach z twoją dziewczyną?!

Widzę, jak na jego wymizerowanej twarzy toczą walkę szok i wściekłość, a potem słyszę:

— Słucham?! — syczy Tom.

Jestem pod tym względem jak Fatboy — nienawidzę, gdy ktoś na mnie syczy. Moja wściekłość i żal wypływają w jednej chwili i zapalam się jak potarta zapałka.

— „Słucham!” — przedrzeźniam jego zdziwienie. — „Słucham!”. Nie wciskaj mi tu tych swoich „słucham”, jakbyś nie wiedział, o czym mówię! Pytam o twoją dziewczynę! Wiesz, tę, z którą byłeś na wakacjach! Tę, z którą pieprzyłeś się, kiedy pieprzyłeś się ze mną! Tylko o nią!

Tom zaciska zęby i wyje:

— Nie wiem, o czym ty w ogóle mówisz! Jaka dziewczyna?

W tym momencie łapię za swoje włosy, żeby go nie pobić i zaczynam wrzeszczeć:

— Nie okłamuj mnie! Mam już dość tych wszystkich kłamstw! A ta dziewczyna, z którą byłeś wtedy w pubie, ty kretynie?! — Tom otwiera buzię ze zdziwienia. — Co? — burczę gniewnie.

Tom patrzy na mnie spode łba i ryczy:

— Ty dumy bachorze! To była moja siostra!

To jest absolutnie niemożliwe i mam mu to nawet powiedzieć. Ale potem przypominam sobie tę przymilną uwagę Lizzy, zaraz następnego dnia po tej całej aferze w pubie powiedziała chyba coś jakby: „Ale to przecież mogła być tylko jego siostra”. Następnie uzmysławiam sobie jeszcze, że Tom rzeczywiście opowiadał mi o swojej siostrze. I nagle cały ten pomysł, że tamta dziewczyna z pubu była jego siostrą, przestaje być taki absurdalny. Jeśli to jest prawda, moja pozycja jest nie do obronienia. Ale nie poddam się bez walki.

— Mojej mamie powiedziano, że wyjechałeś na wakacje ze swoją dziewczyną! — rzucam.

Tom potrząsa głową ze zdumieniem.

— Ja nie rozumiem. Dlaczego twoja mama omawiała z kimś moje wakacje?

— Byłam bardzo zapracowana — tłumaczę pośpiesznie. — A Fatboy był chory, więc zaniósł go do weterynarza.

— Doprawdy? — zapytuje Tom chłodno.

Wzruszam ramionami.

— Zna cię, więc spytała, gdzie jesteś! Wydaje mi się, że... Celine jej powiedziała.

Gdy wymawiam to oślizgłe imię „Celine”, w głowie zaczyna formować mi się paskudna, choć dość prawdopodobna teoria. To samo dzieje się chyba w głowie Toma.

— Ach, tak! — syczy zjadliwie. — Celine powiedziała twojej matce, że wyjechałem ze swoją dziewczyną. — Urywa na sekundkę i nagle zaczyna wyć: — Dlaczego ty jesteś aż taka samolubna? Tobie się po prostu nie da dogodzić! Nie możesz spytać mnie, po prostu, tak jak rozmawiają dorośli! O, nie! To by było za proste! Musisz...

Tupię nogą tak mocno, że mało jej nie łamię. Cedzę słowa głosem drżącym z wściekłości:

— Tylko na mnie nie krzycz, ty napuszony draniu, bo tego nie zniosę! — Tak naprawdę jestem przerażona do szpiku kości tą pomyłką z dziewczyną, ale niech mnie szlag, jeśli Tom się o tym dowie. Więc skrzeczę: — Wierzyć mi się nie chce, że daję sobą tak pomiatać! Co się tak rządysz?

— O co ci w ogóle chodzi? — wydusza z siebie Tom.

Jeszcze raz tupię nogą — tym razem już nie tak mocno — i odszczekuję:

— Nie udawaj, że nie wiesz, o co chodzi! Te kazania o tym, co niby powinnam robić, co powinnam powiedzieć mamie, co mam czuć na temat taty! Gdzie powinnam mieszkać! Ty...

Tom uderza dłońią o blat stołu, że aż podskakuje, i drze się:

— Nie robiłem ci żadnych kazań, ty podły bachorze! To była tylko taka sugestia, bo sama w życiu byś na to nie wpadła! Próbowałem ci pomóc, ale mi nie pozwoliłaś! To ty uciekasz! Nie ja! Więc bądź tak miła i mnie teraz nie obwiniaj! Jesteś jak jakieś cholerne jo-jo! A ja tylko wciąż muszę się zastanawiać, co tym razem zrobiłem źle! A tak naprawdę niczego nie zrobiłem źle! Może byś tak wreszcie dorosła, dzieciaku, co?

Jestem tak oszołomiona intensywnością jego furii, że ledwo słyszę, co on w ogóle mówi. Nie po raz pierwszy już mam ochotę

go walnąć, więc przyczepiam się do tego „próbowałem ci pomóc” i dalej wrzeszczę:

— Nie, nie próbowałeś! Wiedziałeś, że nie mam się gdzie podziać! Ale niczego mi nie zaproponowałeś! Nic cię to nie obchodziło! — Tom uderza się dłonią w czoło, aż huczy. To mnie zaskakuje, więc wypalam: — A to czemu zrobiłeś?

— Bo ty mnie doprowadzasz do rozpaczy — odpowiada i wzdycha.

— Niby czemu? — naburmuszam się.

Powoli, zmęczonym głosem Tom tłumaczy mi jak dziecku:

— Nie zaproponowałem ci wtedy mieszkania, bo, owszem, obchodzisz mnie. Albo w każdym razie obchodziłaś. Ale nie jestem jakimś pieprzonym pogotowiem dla zagubionych kobiet, rozumiesz? Więc czy mogę jakoś pomóc twojemu kotu, czy też przytargałaś go tylko po to, żeby móc na mnie nawrzeszczyć? — Jak większość drobnych przestępców przyłapanych na oszustwie, gapię się na niego i nie wiem, co powiedzieć. — Tak też myślałem — mówi Tom. Jego błękitne oczy zioną chłodem. Otwiera przede mną drzwi. Wychodzę z godnością. — A kooot? — drze się za mną Tom. Więc wracam, łapię za pojemnik Fatboya i znów wychodzę z godnością. Cofam się jeszcze, żeby mu powiedzieć coś okropnego, ale Tom zatrząskuje mi drzwi przed nosem. Rozglądam się po poczekalni i widzę Jacka Russella i jego właściciela, jak z fascynacją i marsowymi minami przyglądają mi się uważnie, więc popycham tyłkiem drzwi wyjściowe i z godnością wychodzę na ulicę.

Zatrutą wisienką koronującą ten tort goryczy okazuje się Tina nagrana na mojej komórce. Ostatnio gdy tylko próbowałam podejść do niej w pracy, zawsze wołała: „Nie teraz, ślicznotko, taka jestem zajęta!”. Zignorowała też wszystkie moje maile pełne starannie dobranych słów. I nagle postanawia się do mnie odezwać właśnie dziś. Mój telefon dzwoni, gdy wnoszę Fatboya do domu. Wybieram numer moich wiadomości głosowych i aż przystaję.

gdy słyszę wysoki i wesoły głos Tyny: „Cześć, Helen! Tak pomyślałam, że ci powiem! Adrianek obiecał, że się zmieni, że sobie z tym poradzimy i że wszystko będzie dobrze! Więc możesz już się przestać zamartwiać! I wydzwaniać do mnie! Pa pa!“. Kapię w drzwi, żeby się zamknęły, wypuszczam Fatboya z jego przemośnego więzienia i szepczę z goryczą:

— Chryste! Ty jesteś jeszcze głupsza niż ja!

I nie mam nawet siły się uśmiechnąć, gdy mama krzyczy z kuchni:

— Kochanie? Czy ty mówisz do mnie?

ROZDZIAŁ XXXVII

Babcia mówi, że gdy przytrafi ci się coś złego, dowiadujesz się, kto jest twoim prawdziwym przyjacielem. Lizzy mówi, że gdy przytrafi ci się coś dobrego, dowiadujesz się, kto jest twoim przyjacielem. Skutek jest taki, że nie wiem, kto jest moim przyjacielem, a kto nie. Jasper wciąż lata za mną jak pies za kotem, Tina raz jest rozsądna, raz się zupełnie oddala, a ja nie wiem, co się właściwie stało.

Przynajmniej po tych czterech wykańczających tygodniach szukania dziury w całym i rwania włosów z głowy moja prawniczka dzwoni, żeby mi wreszcie powiedzieć, że wszystko gotowe, żeby podpisać umowę o mieszkanie nr 55b. Obwieszczam Lizzy, że w ciągu miesiąca stanę się właścicielem nieruchomości i opadam na biurko. A ona nic nie rozumie.

— Czy to nie ekscytujące? Czemu się nie cieszysz? O Boże, jak wspaniale! Musimy iść kupić farby!

Sama nie wiem, co jest bardziej żałosne — to, że cieszę się na myśl o kupowaniu farb, czy to, że teraz już jestem skazana na samotność w tym tycim wraku segmentu, w najobszerniejszej części Kentish Town. Przynajmniej toyota będzie się wreszcie czuła na miejscu. No i skończy się w końcu to piekło — awantury z bankami i pośrednikami, trwonienie kasy na szukanie, oglądanie i wzywanie rzeczoznawców, targowanie się z ludźmi o wiele za bogatymi, zmaganie się z innymi, którzy patrzą na ciebie z góry i gnoją cię na każdym kroku.

A jednak wystarczy tylko, że pomyślę o tej ruderze zwanej

mieszkaniami nr 55b, a mój żołądek zwija się jak naleśnik. Gdy zobaczyła je mama, prawie się popłakała.

— Czemu nie możesz nadal mieszkać ze mną? — wykrzyknęła. — To obrzydliwe! Zupełnie jak te, jak one się nazywają, *squaty*.

Miałam ochotę odpowiedzieć: „Na twoim miejscu nie poruszałabym tematu zapuszczonych mieszkań”, ale się powstrzymałam. Pan Adam zbladł i próbował wytłumaczyć mamie, że to mieszkanie ma wiele fantastycznych wręcz zalet, ale umilkł, gdy mama pisnęła:

— Słucham pana?!

Po raz pierwszy w moim życiu mam wrażenie, że mama nie mówi całkiem od rzeczy. Co ja, u licha, wyprawiam?

— Tak, to świetnie. — Słyszę swój głos mówiący do prawniczki. — Jutro rano, o jedenastej, w pani biurze, świetnie, to do zobaczenia, do jutra.

Od miesiąca pracuję ciężiej niż egipscy niewolnicy, żeby chociaż nie myśleć o Tomie i tych okrutnych rzeczach, które mi powiedział, więc Laetitia jest szczęśliwa, że może mnie nagrodzić jednym wolnym przedpołudniem. Mówi tylko:

— Kentish Town? Czy to nie tam zadźgali kogoś ostatnio nożem?

Wybucham nerwowym śmiechem.

Tymczasem Lizzy jest słodsza niż Kubuś Puchatek wyciągnięty z baryłki miodu — dała mi już numer do „niesamowitych” murarzy, „wspaniałego” elektryka, „hydraulika-anioła”. Łatwo jest mi więc zapomnieć, że jestem na nią zła. Nic na to nie poradzę. To takie przygnębiające. Lizzy jest tak pewna swojej wizji świata, że to może zaszkodzić i jej, i innym. Jej wizja jest jedyną słuszną wizją. Jest kochana, ale jednocześnie jest taka krótkowzroczna. Ma rację, gdy mówi, że imbir dobrze wpływa na krążenie, i pewnie także, gdy twierdzi, że mięta świetnie leczy grzybicę skóry, ale strasznie się myli co do Adriana i wkurza mnie jej pewność siebie w stylu najlepszej uczennicy w klasie.

Więc wymykam się z pracy bez pożegnania, a kiedy dzwoni

do mnie wieczorem, szepczę do mamy, żeby powiedziała jej, że wyszłam.

— Mówi, że wyszła — obwieszcza moja mama, zmuszając mnie tym samym do wyrwania jej słuchawki z rąk i zachowywania się mimo wszystko uprzejmie.

— Przepraszam za mamę — wołam fałszywie pogodnym tonem. — Cały dzień drze się na dzieci, to trochę przygłuchła. — Lizzy nie jest do końca przekonana.

— Wszystko w porządku? — pyta niepewnie. — Brzmisz jakoś nieswojo.

Ponieważ wolałabym stanąć twarzą w twarz z pędzącą ciężarówką niż ze współczuciem Lizzy, wołam wesoło:

— Tak, tak, w zupełnym porządku! Tylko troszkę się przejmuję jutrzejszym dniem, no wiesz, takie wielkie wydarzenie i w ogóle.

Zgodnie z moimi oczelciwaniami Lizzy wyśmiewa mnie do brotliwie i pociesza.

— Nic się nie martw! To wszystko jest bardzo proste! Poradzisz sobie!

Jak to bywa, Lizzy się myli. Znowu.

Dzień podpisywania umowy zaczyna się źle, gdy moja mama wylatuje do pracy bez pożegnania. Staram się tym nie przejmować, ale mi się nie udaje. Wiem, że to wszystko tylko dlatego, że chce, byśmy już zawsze mieszkały razem w tym dziwnym duecie — księżniczka i pieprzone ziarnko grochu. „Pani”, mruczę. „Ziarnko grochu zamierza dorosnąć!”. Gdy tylko wypowiadam te słowa, uświadamiam sobie, że brzmią jakoś dziwnie znajomo. Aha, to powiedział Tom.

— Phi! — mówię, włączając telewizor i opadając na sofę. — Może się odchrzanić. Od-chrza-nić! Krzyżeć na mnie w ten sposób! Też coś! — mówię to na głos, żeby to wszystko bolało choć trochę mniej, ale to nie pomaga. Mój masochistyczny umysł podrzuca mi co chwila co wspanialsze wspomnienia. Hej, Helen!

A może to z tym uśmiechem jak u wilczura? A może tamten bukiet nagietek? A dyskusja o Stephenie Kingu przy pizzy! Tamten dowcip o słońcu! I jak się tobą opiekował w Noc Tequila! Albo jak potargał Fatboyowi sierść, że wyglądał jak punk! Jak scałowywał okruszki z kącika twoich ust! Uroczę, nie?

Ale bardziej chyba chodzi nie o te drobiazgi, co o wszystko to razem wzięte. Nie umiem z tym walczyć. Próbuję czuć do Toma urazę, ale nie potrafię. Chcę czuć pogardę dla niego za to, że mnie lubi, ale nie potrafię. Albo chcę myśleć, że wszystko to powiedział mi z wyrachowania, ale nie umiem już dłużej tak udawać. Człowiek nie siedzi całe wieki nad pomarańczą i nie obiera jej powolutku, jeśli nie chce jej zjeść. Przypomina mi się jego rozpacz podczas naszego ostatniego spotkania, i czuję ból. Zraniłam go. Więc miałam rację. Jeśli ci na kimś zależy, to go tracisz. A ja nie nadaję się na kogoś, kto traci. Czuję się tak, jakbym wydarła sobie serce i je podeptała. Za karę oglądałam Shopping Channel przez całe dziewięćdziesiąt minut, żeby sobie uświadomić, że są jeszcze na tym świecie ludzie o wiele gorsi ode mnie. Potem wskakuję do toyoty i jadę do prawniczki.

Jej kancelaria znajduje się w najciemniejszej części północnego Londynu i ma szklane drzwi. Wpadam w panikę. Uczestnicy wypraw podbiegunowych i ludzie mieszkający w Kolorado ślepą od śniegu, a ja ślepnę od szklanych drzwi. Jest ich aż sześć par i gdy powoli wspinam się po schodach, zaczynam się pocić na samą myśl o tym, że te, które wybiorę, będą na pewno zamknięte i będę musiała dreptać po tych schodach w tę i z powrotem jak jakiś krab, pchając i ciągnąc, i próbując każde z tych drzwi, a portier i kurier aż się będą opierać o blat recepcji ze śmiechu i będą myśleli, że jestem tępa.

I oczywiście sprawdzają się moje przewidywania i dopiero na widok pełnych zakłopotania gestów pana Służbisty — który moim zmaganiom przygląda się z zainteresowaniem, ale nie ruszy się, żeby mi pomóc — otwieram czwarte drzwi i wkraczam zarumieniona i rozdrażniona. Potem siedzę na czarnej kanapie przez następne siedemnaście minut i słucham, jak pan pociąga

nosem. Po dwudziestym dziewiątym pociągnięciu mam ochotę wrzasnąć: „Wytrzymaj pan nos!”, ale na szczęście zostaję wezwana na moje spotkanie na drugim piętrze.

Prawniczka Lizzy nazywa się Dorothy Spence i Lizzy zawsze zachwalała ją jako „skrupulatną”. I rzeczywiście. Przez godzinę skrupulatnie brniemy przez kolejne klauzule i jeszcze to bardzo istotne zobowiązanie, i czy rozumiem na pewno, co oznacza odpowiedzialność za to, i jeszcze jedno pytanie odnośnie tego, i odnośnie tamtego, a teraz już nie ma więcej pytań i czy może ja mam jakieś, a skoro nie, to ona bardzo prosi dziewięć tysięcy funtów jako wynagrodzenie.

Mało nie spadam z mojego obrotowego krzesła.

— Co? Znaczy teraz? — bąkam.

— Tak, oczywiście — mówi Dorothy niewzruszona.

— Ale... ale ja nie wiedziałam —jąkam się ze wstydu. — Myślałam, że... że to po finalizacji umo... Nie zrozumieliśmy się. Ja tego nigdy wcześniej nie robiłam, więc myślałam...

Dorothy posyła mi spojrzenie podobne do tego, które posłał mi przed chwilą portier, i którego nie udaje mi się wytrzymać z gracją. Są takie chwile, że mam tak małą wiarę w swoje umiejętności, że z góry skazuję się na porażkę.

I to jest właśnie jedna z tych chwil. Popełniłam głupi błąd. W swojej beznadziejnej ignorancji uznałam, że dziesięcioprocentowe wynagrodzenie wypłaca się po sfinalizowaniu transakcji. Faktem jest, że Dorothy wysłała mi jakiś list z tydzień temu, w którym ze szczegółami opisywała, czego ode mnie wymaga, ale — co sobie przypominam dopiero teraz — rzuciłam nań okiem, wcisnęłam do torby, żeby przeczytać później, i zapomniałam o nim na śmierć. Zawsze zapominam o wszystkich przerażających listach, ale mój bank pomaga mi stawić czoło moim lękom i w sprawie karty kredytowej dzwoni zawsze w sobotę rano — wcześniej i podstępnie. Dorothy nie przysłała mi nawet przypomnienia! Tak więc moje pieniądze mnożą się właśnie w najlepsze na wysokooprocentowanym rachunku i nie mogę wyciągnąć nawet jednego pensa bez wcześniejszego powiadomienia. Jestem

tylko zagubionym oszustem udającym godnego zaufania dorosłego, i stało się najgorsze. Zostałam odkryta.

— Czy mogę zadzwonić? — pytam nieśmiało. Dorothy spogląda na swój chromowany zegarek, kiwa głową i odchyła się w swoim skórzanym fotelu. Dzwonię do mamy na komórkę i modlę się, żeby odebrała. Nie odbiera. Więc dzwonię do szkoły i proszę o połączenie z pokojem nauczycielskim.

— Czy jest Cecelia Bradshaw? — pytam bez tchu. — Mówi jej córka.

Odległy głos mówi:

— Chwileczkę.

Czterdzieści chwileczek później wciąż czekam, a Dorothy Spence wystukuje nogą jakiś rytm. Potem ktoś mnie rozłącza. Przygryzam wargę, uśmiecham się niemrawo do Dorothy i wykręcam numer jeszcze raz.

— Dzwoniłam minutę temu, ale mnie rozłączono — mówię głośno i mocno, żeby głos mi się nie załamał. — Muszę rozmawiać z Cecelią Bradshaw. To pilne.

Trzydzieści sekund później moja mama jest już przy telefonie. Aż mi słabo z radości. Przyciskam palcem nos, żeby się nie rozpłakać i opowiadam jej wszystko. Zalewają mnie fale upokorzenia. Gdy kończę swoją recytację, moja mama milczy.

Po chwili słodkim głosem stwierdza:

— Ależ, kochanie, to żaden problem. Zadzwonię zaraz do banku i zrobię przelew na odpowiednie konto. Daj mi do telefonu tę panią prawnik.

Zapadam w jakiś trans wdzięczności i podaję słuchawkę Dorothy.

Pięćdziesiąt koszmarnych minut później jadę do domu moją toyotą. Ponieważ każda myśl jest dla mnie bolesna, przez całą podróż powtarzam sobie: „la la la” głośnym i monotonnym głosem, żeby zagłuszyć wszelkie myśli. Wślizguję się do biura około wpół do trzeciej i od razu zaczynam wklepywać listy Laetitii odrzucające wszystkie nadesłane pomysły artykułów i wcale nie zajmuję się przedtem bzdurami przez dwie godziny, co zazwy-

czaj robię. Na szczęście Lizzy nie ma w biurze, a szansa, że Laetitia zapyta mnie, jak mi minął poranek, jest równie duża jak to, że będzie kupować buty w C&A, więc pracuję sobie w świętym spokoju aż do 18.36.

Wtedy wychodzę, nie odezwawszy się do nikogo. Siedzę w metrze i mam wrażenie, że jestem naga. Wydaje mi się, że wszyscy się na mnie gapią, obgadują mnie, szyczą ze mnie. Mam napad klaustrofobii i chce mi się wyć.

Zanim dojeżdżam do domu, jestem już tylko roztrzęsionym, zdruzgotanym wrakiem człowieka. Marzę tylko o tym, żeby zwinąć się w kłębuszek w moim łóżku i spać, ale gdy wchodzę po schodach na paluszkach, moja mama wyskakuje jak dżin z przedpokoju i krzyczy;

— Helen! Zejdź tu na dół! Porozmawiaj ze mną!

Bez słowa zawracam i schodzę na dół. Czuję się podła jak tarantula. Tymczasem mama iskrzy się i błyszczy jak nastoletnia miss piękności. Jedyne różnica polega na tym, że nie ma na sobie szarfy. Posyła mi uśmiech, poprawia sobie włosy, unosi dłoń i wesołym tonem pyta:

— I co?

Stoję przed nią i moja dolna warga zaczyna drżeć. Wgapiam się we wzorek na dywanie i chowam zaciśnięte dłonie za plecami. A na głos mówię:

— Gdyby tata tu był, wiedziałby, co robić.

Wbijam sobie paznokcie w dłonie i czekam. Nie wiem, czego się spodziewam. Psioczenia? Niezadowolonia? Ale nie śmiechu. Tymczasem moja mama wybucha chichotem i mówi:

— Tak, ale ja też całkiem nieźle sobie poradziłam, prawda?

Przytakuję i szepczę:

— Tęsknię za tatą.

Mama milczy, a ja czuję się, jakbym puściła baka na czyimś ślubie. Potem patrzy, jakby widziała mnie po raz pierwszy, i mówi z czułością:

— Wiem, kochanie, wiem, że tęsknisz, i jestem pewna, że on też za tobą tęskni.

I nagle podchodzi bliżej i przytula mnie mocno, a ja ginę w otchłani Chanel. Mam wrażenie, że zakres efektów dźwiękowych dostępnych człowiekowi jest zdecydowanie niewystarczający i chciałabym być wilkiem, żeby móc wznieść łeb i wyć, łuuuuuuuuu łuuuuuuuuu, żeby moje ciało i dusza mogły się poddać temu napływowi żalu.

Zamiast tego zamykam oczy i płaczę cichutko, wtulam się w ciepły, purpurowy sweter matki i czuję, że jej chude ramiona obejmują mnie mocno.

ROZDZIAŁ XXXVIII

Chwytam się mamy, jak uratowany alpinista chwyta się pewnie bernardyna. „O Boże, jęczę w duszy, dlaczego jest mi aż tak źle, dlaczego?”. Nikt nie mówił mi, że będzie tak źle. Jestem jak pusta skóra wypełniona żyłkami, które tną mi ciało tak długo, aż zaczynam rzygać własną krwią. Chwytam się mamy tak mocno, że zawisam na niej całym ciężarem, więc uginają się pod nią kolana i delikatnie opadamy na podłogę, gdzie mama głaszcze mnie po głowie i uspokaja, jak może.

— Nie wiem, co mam robić — kwilę. — Nie wiem zupełnie, co rooooooobić!

I gdy już wyryczałam te słowa, paraliżuje mnie myśl, że właśnie załamalam się na oczach tej jednej, jedynej osoby, dla której powinnam być niezniszczalna.

Ale mama tuli mnie i mówi:

— Wiem, że ci ciężko, kochanie i wiem, że byłam do niczego. Ale ty byłaś taka dzielna. — I nagle znów mam pięć lat, a ona pociesza mnie, bo upadłam i zraniłam kolano. Uśmiecham się niepewnie i wycieram oczy. — Płacz, płacz — rozkazuje mi mama z werwą. — Moje dzieci wciąż płaczą, a ja zawsze mówię, lepiej się wypłakać, niż się gryźć.

Po moich policzkach płyną szybko gorące łzy, a ja potrząsam głową bez słowa. Ten jej nieoczekiwany hart ducha jest jak znalezienie pięknego, lśniącego kasztana wśród gnijących jesiennych liści.

Moja mama uśmiecha się na widok mojego oszołomienia i szepcze:

— Chodź, kochanie. Zrobię ci coś ciepłego do picia. — Pozwalam jej, by podniosła mnie jak dziecko, ale ona nagle wybuchła złością: — Cholerna czekolada! Twój ojciec nie żyje, a wszystko, co mogę zrobić, to przygotować ci kubek cholernej czekolady!

Wydaję z siebie coś między chichotem a chlipnięciem:

— Gówno, nie?

Moja mama naburmusza się i nastawia wodę. Siedzimy w milczeniu, popijamy gorącą czekoladę i kontemplujemy ten fakt, że śmierć jest potwornym afrontem uczynionym żyjącym i że powinno się tego zabronić. Po dłuższej chwili mama poklepuje mnie delikatnie po ramieniu i mówi:

— Pamiętaj, kochanie, że może i tata odszedł, ale już zawsze będzie przy tobie.

Spoglądam na nią, kąciki ust mi drżą i widzę, że ona też płacze. I uświadamiam sobie, że nawet wśród tych naszych grupów udało się jednak coś ocalić.

Mama chyba też ma tę świadomość, bo przez kilka tygodni po moim wybuchu nasz związek staje się mniej napięty, a bardziej spokojny, jakby po burzy nastała wreszcie cisza. Gdy opowiada mi o sukcesach w pracy, a ja mówię: „Jesteś świetna!”, ze zdziwieniem zauważam, że się czerwieni. Jakbyśmy byli w trakcie miodowego miesiąca po szybkim romansie — przyzwyczajają się do bliskości, gdy już minie różowy szal pożądania — i robi się nagle nieśmiała, bo ma dla niej znaczenie to, co ja uważam. Wdrapuję się na górę, uśmiechając do siebie i rozważając rzecz niewyobrażalną: gdy się wyprowadzę, będę za nią tęsknić.

To dziwne. Gdy już zakończyłam podpisywanie umowy, byłam pewna, że mama będzie mnie unikać przez co najmniej dwa tygodnie, a ona tymczasem zaproponowała, że mi pomoże wybrać robotników. Podejrzewałam nawet, że to tylko po to, żeby mieć okazję poprzyglądać się bicepsom, ale mama okazała się przenikliwym i bardzo pomocnym doradcą. I jej entuzjazm nie wyparował, tak jak zwykle. Odrzuciła faceta poleconego przez

Lizzy (bo żądał gotówki) i zadzwoniła po firmę, którą wynajęła Vivienne, gdy odnawiała kuchnię i budowała oranżerię. „Vivvy nie mogła o nich złego słowa powiedzieć!”, objaśniła mi mama. Więc uznałam, że musieli być naprawdę wspaniali — bo większość ludzi, których zatrudnia Vivienne, kończy bez grosza po wszystkich procesach, które im wytacza — i ku mojej radości byli wspaniali.

W zeszłym roku Laetitia przeprowadziła się do Bames i jej robotnicy przeciągnęli dwumiesięczną robotę na pięć miesięcy, pojawiali się, kiedy im się podobało, wypili morze słodkiej herbaty (Laetitia musiała specjalnie dla nich kupić całą torbę cukru), potem wysusiali to wszystko na jej turkusową mozaikę na podłodze w toalecie, potrzaskali jej żeliwną wannę, obtłukli jej połączone, antyczne lustro ścienne, spartaczyli jej boazerię z *trompe l'oeil* w stylu szwedzkim, bojler zainstalowali tak, że w kuchni pełno było trującego gazu, wgnietli jej kuchenkę, porysowali jej *provençal armoire*, zachlępalili farbą jej dywany od Aubussona, zapomnieli wzmocnić połączenie między dwoma rurkami i tym samym mieszkaniem pod Laetitią zmienili w jedno wielkie bajero, przerwali drut z elektrycznością, zablokowali dopływ gazu, założyli wyłącznik światła w sypialni tak, że wyłącza je w salonie oraz w pracowni, oszacowali całość na 3 500 funtów, ale w końcu kazali sobie zapłacić 19 000 funtów. Laetitia wkraczała każdego dnia do biura z włosami przyprószonymi białym pyłem i mamrotała pod nosem, że czuje się, jakby „była na wojnie”.

Więc doceniam swoje szczęście początkującego właściciela mieszkania.

W ciągu sześciu katorżniczych tygodni moimi robotnicy zdolali wymienić instalację elektryczną, podłączyć do wodociągów, na nowo otynkować i w ogóle reanimować moje małe mieszkanie. Mózgiem całej roboty był Terry, który — według jego własnych słów — „trzyma wszystko silną ręką”. A my z mamą spędziłyśmy z jakiegoś trzydzieści godzin na przetrząsaniu Wielkiego Londynu w poszukiwaniu — jak to ona ujęła — „rzeczy niezbędnych”. Jako że jestem mniej więcej tak utalentowana w dziedzinie

zaopatrywania w szklane kafelki jak w rozwiązywaniu krzyżówek z „Timesa” — dobra, bez kłamstw — jak jestem utalentowana w dziedzinie rozwiązywania wszelkich krzyżówek, moja matka naprawdę mnie zdumiała. Podeszła do sprawy wyremontowania mieszkania jak do jakiegoś szkolnego projektu. Zakupiła cały stos lśniących magazynów o dekoracji wewnątrz i kazała mi je przejrzeć i zrobić notatki. Za każdym razem, gdy tylko trafiałam na coś, co mi się podobało, napełniała peugeota benzyną i zmuszała mnie do przejażdżki. Uzbrojone w miarkę i szkic wymiarów kuchni i łazienki, przebiegałyśmy przez odpowiednie sklepy i targowałyśmy się z kolejnymi sprzedawcami.

Mama ma mentalność handlarza ludzkimi organami i jeśli tylko jakiś sklep nie oferował jej upustu, wychodziła natychmiast, a ja w tym czasie już czekałam przed sklepem purpurowa ze wstydu. Osobiście nie kwestionowałabym ceny paciorków na marokańskim pchlim targu i nie walczyłabym o upust przy zakupie granitowych płytek podłogowych. Za to moja mama przekrzyczałaby samego Boga i zmusiła do obniżenia ceny aureoli.

Nie mówię, że to nie było stresujące. Szczególnie gdy Lizzy uznała, że to jej przypada rola Pierwszego Asystenta. Spacyfikowałam ją wycieczką po farby i dzięki temu — choć sprawiło jej niejaki trud zrozumienie, że musimy poprzestać na firmie Crown, a nie na Farrow&Ball — zaakceptowała fakt, że mama przejmuje resztę jako wdowią rekompensatę. Ta wymówka dla Lizzy była zresztą po części prawdziwa.

Po śmierci męża mamie została cała masa emocji, których nie ma jak rozładować. Do niedawna nie była nawet do tego zdolna. Ale kluczyczek tkwił już w zamku od jakiegoś miesiąca i chyba wreszcie został przekreślony. Tamten bankowy przelew i jego gwałtowne następstwa uświadomiły mojej mamie — w jakiś pokrętny sposób — że jeśli wciąż będzie mnie uparcie odpychać, w końcu sobie pójdę. I że zainteresowanie moim mieszkaniem leży także w jej interesie. Ale bliższe prawdy będzie, jeśli powiem, że zrozumiała, że naprawdę jej potrzebuję.

I w ten sposób po raz pierwszy od — szacując na oko — ja-

kichś dwudziestu sześciu lat to ona dogadza mnie. Kiedy cisnęłam na podłogę „Elle Decoration” i oświadczyłam, że mam dość tych drętwych bab w stylu Nicole Farhi wążających się po swoich zimnych, pustych domach i uśmiechających się z wyższością do swoich dębowych krzeseł, które kupiły „za jedyne dwa funty za sztukę w sklepie ze starociami”, moja mama naprawdę stanęła na wysokości zadania. Za trzy dni i za dwadzieścia funtów — dała mi rachunek — stałam się dumną właścicielką dwóch dębowych krzeseł. Nie kupiła więcej, bo przecież więcej nie zmieściłoby się w mieszkaniu. „Sprytna jestem, prawda?”.

Kiedy stwierdziłam nagle, że stalowa szafka kuchenna to absolutny imperatyw (miliony funtów), bo inaczej wstyd mi będzie kogokolwiek zaprosić, mama zjrzała do „Living ETC” i zaproponowała, żebyśmy odwiedziły Londyńskie Centrum Metalu. „Spójrz, kochanie, sprzedają płytki z nierdzewnej stali, pięć funtów za metr kwadratowy! Przyczepisz je do tej szafki z MFI i będzie wyglądała dokładnie tak samo!”. Przytapałam Terry'ego na tym, że chichotał sobie pod nosem, ale myślę, że tak naprawdę jemu też zaimponowała.

Jestem jej taka wdzięczna za tę szaloną energię. Staram się tylko nie myśleć o tym, jak długo to wszystko potrwa. Ale generalnie idziemy do przodu. Może i ja się zmieniłam. Czuję się spokojniejsza. Czuję się tak, jakbym dotąd przyciskała nos do abstrakcyjnego obrazu z całej siły, żeby lepiej widzieć. Ale dopiero teraz, gdy odsunęłam się odrobinę, ukazał mi się wspaniały widok. To zupełnie nieoczekiwane i niesamowite, a kiedy przypominam sobie tę absurdalną scenę — mama i Terry pochłonięci są omawianiem architektonicznych szczegółów — rozpiera mnie radość.

Wydawało mi się wciąż, że przewodniczka będzie czymś doniosłym, ale gdy już przenoszę Fatboya przez próg, wcale nie jest doniośle. Może to dlatego że jestem właścicielką zaledwie siedmiu większych przedmiotów — to jest: dwóch krzeseł.

stołu, telewizora, łóżka, tarczy do gry w strzałki i wieszaka na ubrania — więc wniesienie wszystkiego na górę po skrzypiących schodach i umeblowanie zajmuje nam z Lukiem jakieś siedem minut. Teraz, gdy nie ma już robotników, mieszkanie wygląda jakby było nagie — podobnie jak naga wygląda główka od szpilki.

— Helen — dziwi się Luke. — Tu jest tak dziwnie czysto, jak nie u ciebie.

Gdy Luke wychodzi — ma pilne spotkanie z Gobbo i jego PlayStation — obchodzę całość (zajmuje mi to dziewięć sekund), dotykając żółtych ścian, wdychając kredowy zapach świeżości, głaszcząc moje sprytne, ręcznie pokryte stalą z MDF-u szafki kuchenne. Potem nastawiam wodę w moim nowym, połyskliwym czajniku — dar od mojej matki, która wydebiła go z kolei od Johna Lewisa jako rekompensatę za zepsutą wtyczkę — robię sobie kawę, siadam na krześle i patrzę na wyfroterowaną, drewnianą podłogę. Cisza.

Potem mijają jeszcze trzy pracowite godziny, kiedy to nakładam pościel, przekładam moje cztery kubki i trzy talerze z wyższej półki na niższą, wrzucam widelce do szuflady, układam kolekcję kryminałów w rządku w sypialni, podpierając je cegłami, szoruję wannę, dezynfekuję toaletę, myję podłogę, kładę moją niebieską szczoteczkę do zębów koło umywalki i robię listę rzeczy, które są mi niezbędnie potrzebne, ale na które nie będę mogła sobie pozwolić bez nowej karty kredytowej, i wtedy nudzą mi się już te wszystkie prace domowe, więc dzwonię do Lizzy.

Minęło mi już moje rozczarowanie co do Lizzy. Wyczuła moje ochłodzenie uczuć i ewidentnie ją tym zraniłam. Tydzień temu powiedziała mi to sztywnym, wyćwiczonym głosem, który każe mi przypuszczać, że długo o tym przedtem myślała.

— Mam nadzieję, Helen, że nie uważasz, iż nie możesz już do mnie zadzwonić od czasu do czasu, tylko dlatego że spotykam się z Brianem. Nie jesteśmy jedną osobą. Nie w s z y s t k o robimy razem.

Uśmiechnęłam się w poczuciu winy i odpowiedziałam:

— Lizzy, ależ oczywiście, wiem, że tak nie jest. Po prostu byłam strasznie zabiegana przez to mieszkanie i nic poza tym.

Ale patos naszej rozmowy pozostał mi w pamięci i zaczęłam się zastanawiać, czy nie byłam wobec niej niesprawiedliwa. W końcu nie przedstawiłam jej żadnych brutalnych faktów dotyczących Tyny, więc może niesłusznie ją osądziłam. Oczywiście, że pomogłaby Tinie, gdyby tylko znała prawdę. A poza tym — mniejsza o te tysiące argumentów — po prostu stęskniłam się za Lizzy. Stęskniłam się za nią z tej samej przyczyny, dla której się na nią wkurzyłam. Brakuje mi tej małej wróżki i jej gwiazdnego pyłu. Więc następnego dnia podeszłam do niej w pracy i spytałam, czy nie chciałaby przypadkiem tej starej kuchenki gazowej, bo u mnie rdzewieje sobie pod warstwą kurzu i tylko czeka, aż ją wywalą na śmieci. Rzuciła mi się w ramiona, jakbym ofiarowała jej życie wieczne, i zabrała kuchenkę jeszcze tego samego wieczoru. Amen.

Lizzy jest zachwycona, że dzwonię i wpada natychmiast z bukietem żonkili i wazą ze lśniącego szkła. Waza jest przepiękna — błyszczący, ciepły, złoty kolor, jak uchwycone promienie słońca.

— Wspaniała! — piszczę. — I jak pasuje do pokoju!

— Cała przyjemność po mojej stronie — cieszy się Lizzy. — No, to pokaż mi wszystko! Jak tu ślicznie!

Wstyd przyznać, ale spędzamy dwie godziny, omawiając takie problemy jak farby z brokatem, mydło alkaliczne i szlifierka.

Łapię się na tym, że nawijam rozpaczliwie, bez ustanku — jakby mur ze słów mógł powstrzymać Lizzy przed wyjściem. Ale o 18.00 Lizzy wrywa się na wolność (ciocia Briana urządza małe przyjęcie) i zostajemy z Fatboyem zupełnie sami. Wieczór ciągnie się jak ciemny tunel.

Włączam telewizor, trafiam na pieśni religijne i wyłączam, zastanawiam się, czy moje mieszkanie jest większe niż domek dla lalek, opadam na łóżko, gapię się w sufit, zauważam w kącie

malutkiego pajęczka, biegnę do kuchni po miotłę, żeby go wymieść, uświadamiam sobie, że nie mam miotły, przybiegam z powrotem, nie widzę już pająka, wiem, że gdzieś łązi po pokoju, zaczynam podejrzewać, że to pajęczycza, że jest w ciąży i że wszędzie pozostawia właśnie pajęcze jajeczka, i wpadam w panikę. Już mam zadzwonić do mamy, ale przypominam sobie, że Vivienne zabrała ją na weekend na farmę zdrowia. Opadam z powrotem na łóżko i czuję się nieszczęśliwa. Gdy dzwoni telefon, mało nie mdleję z wdzięczności.

— Halo — szepczę, modląc się, żeby to nie była pomyłka.

— Cześć, ślicznotko — mówi urywany głos.

— Jasper! — piszczę. — Jak się masz?

Mam świadomość, że brzmię trochę zbyt ucieszona. Skąd Jasper ma wiedzieć, że moja radość nie ma żadnego związku z jego osobą i że tak samo, z takim samym zachwytem powitałabym telemarketera. Ale Jasper jak to Jasper — bierze to do siebie.

— Hej, spokojnie, aniołku! — woła.

Ponieważ jestem głęboko przekonana, że każdy facet, który mówi: „hej, spokojnie, aniołku!” bez ironii, powinien z miejsca popełnić samobójstwo, żeby zmyć z siebie ten wstyd, krztuszę się i milknę na chwilę, zanim odpowiem:

— Sam się uspokój, panie zarozumiański! Chcesz wpaść i zobaczyć moje mieszkanie?

Zapada cisza i zastanawiam się, czy Jasper wykręci się — jak to już bywało — wołając: „Och, aniołku! Kiedy ja jestem wykończony! Chciałbym doprawdy, ale nie jestem w stanie! (tu intonacja rosnąca, jakby zadawał mi pytanie). Bo eskortuję Monique, tę supermodelkę? Tę z doktoratem z Harvardu? Która pisze te książki o teorii Junga? Do, hm Pari? (bo zamiast Paryż, Jasper mówi „Pari”) na romantyczną noc w Georges Cinq? Ten termin wyjątkowo mi nie odpowiada!”.

Zamiast tego mówi jednak:

— Jasne, ślicznotko! Gdzie jesteś? Zaraz złapię taksówkę.

Godzinę później siedzimy z Jasperem przy moim stole, na moich dębowych krzesłach, dziubiąc resztki chińskiego zupy

wynos. Jasper ma na głowie biało-niebieską czapeczkę baseballową, czego naprawdę nie mogę pojąć. Ale mimo wszystko wygląda świetnie. Opowiadam mu właśnie, jak to ukośne ułożenie płytek podłogowych sprawi, że optycznie powiększy się przestrzeń, gdy zauważam, że Jasper z trudem powstrzymuje ziewanie.

— Przepraszam — pytam z oburzeniem — czy ja cię nudzę?

Jasper otwiera oczy szeroko.

— Hej, ślicznotko, ciebie mógłbym słuchać godzinami.

Zwracam mu uwagę, że kłamie. Wzdycha.

— Co? — pytam sama zdziwiona, że w ogóle próbuję uderzyć.

— Ech, nic, ślicznotko, *rien*. — I potrząsa głową żałośnie.

— Skoro już zaczynasz po francusku, to na pewno coś się dzieje. Co takiego? — pytam.

Jasper opiera się na łokciu i jęczy przeciągle:

— Wolałbym, żebyś nie wiedziała.

Naturalnie to mnie elektryzuje.

— Jasper, teraz to już musisz mi powiedzieć!

Nawet łamię sobie głowę na tym, jakby to powiedzieć po francusku, ale tam, gdzie powinna znajdować się wiedza, mam pustkę.

Jasper przysuwa krzesło bliżej i mruczy:

— To *nie fair*.

Chwytam się stołu, żeby nie rzucić się na niego i nie wydobyc tego siłą.

— Chodzi o pracę? — zgaduję.

— Nie! — woła Jasper gromkim głosem. — Boże, nie! Praca jest pierwsza klasa!

— Czy to przez to, że nie masz prawa jazdy? — Próbuję jeszcze raz.

Jasper wygląda na urażonego.

— Helen — skrzeczy chrapliwie — nie uważasz chyba, że dbam o takie plebejskie rzeczy, prawda?

Jako że przekopałam się kiedyś przez jego szafkę w nocnym stoliku, wiem, że oblał egzamin na prawko co najmniej sześć

razy (to dlatego ciągle jest spłukany), więc nic na ten temat nie mówię, ale drażę dalej.

— Hm. — A potem: — Czy to coś z... Louisa?

Jasper odgarnia włosy i odchyła się na krzesło. Wstrzymuje oddech:

— W pewnym sensie.

W tym momencie uświadamiam sobie, że w moich ustach zebrało się już tak dużo śliny, że jeśli zaraz jej nie przełknę, zacznę się ślinić jak basset. Połykam ślinę i piszczę:

— Co się stało?

Jasper rozciąga usta w grymasie, a ścięgną na jego szyi napięją się jak linki od namiotu. W końcu mówi:

— Ona, och, ona chce, żebyśmy znowu byli razem.

— O nie! — wołam. — I co? Co jej powiedziałeś?

Jasper znów wzdycha i mówi:

— Powiedziałem, że gdybym tylko mógł, to tak, ale nie byłbym wobec niej uczciwy. — Tu urywa. I dodaje: — Bo szaleję na punkcie — tu wzdycha — innej.

Przyglądam mu się, a on się czerwieni. I od razu wiem, że Jasper wreszcie, choć już za późno, zakochał się we mnie. Oczy mi się robią jak spodki. Staram się panować nad głosem.

— O nie! — piszczę. — I co na to powiedziała Louisa? — Jasper wygląda, jakby czuł się nieswojo. — No? — upieram się.

— Może lepiej nie będę ci tego opowiadał — mówi Jasper cicho.

Walę pięścią w stół.

— No, dawaj! — wyję. — Nie możesz teraz stchórzyć!

Siłą wyciągam z niego szczegóły. Nie wymienia mojego imienia, ale nie musi. Patrzą na jego usta, gdy mówi. A gdy on ciągnie swoją opowieść o niechcianej miłości swojej byłej dziewczyny, łapię się na tym, że mam go ochotę pocałować.

Mam to samo, gdy kupuję ciuchy. Na przykład w Warehouse dumałam kiedyś nad czarnym sweterkiem w serek, dotykałam materiału, zastanawiałam się, czy nie będzie drapał, takie tam, a tu nagle wparowała wysoka, opalona kobieta i sprzątnęła mi go

sprzed nosa. Natychmiast zaczęłam pragnąć sweterka w serek, jak nałogowiec na odwyku pragnie nikotyny. chodziłam za kobietą od sweterka po całym sklepie, nawet do przymierzalni, a gdy rzuciła mi paskudne spojrzenie i odwiesiła sweterek na wieszak, chwyciłam go natychmiast, trzęsąc się z przejęcia, i dokonałam zakupu. Jestem naiwną materialistką, o której marzą twórcy wszelkich reklam. Dany produkt czy jakiś człowiek nie robią na mnie żadnego wrażenia, póki go ktoś nie zechce. A wtedy i ja pragnę tego natychmiast.

Więc kiedy Jasper mówi, że tydzień przed świętami Louisa dała mu trzy miesiące na wyprowadzkę, bo już nie może znieść jego cierpienia na twarzy, a jednocześnie przecież nie może jej wyczuwać, wykrzykuję:

— Jass! Jass! Mam świetny pomysł! Zanim nie znajdziesz jakiegoś nowego mieszkania, może pomieszkałbyś u mnie przez kilka dni?

Jasper patrzy na mnie, jakby właśnie Fatboy przemówił ludzkim głosem:

— Chyba nie mówisz poważnie? — pyta głosem pełnym szacunku, na co ja kiwam głową energicznie. Wszystko lepsze niż życie w tej ciasnej izolacji. Jego piękną twarz rozjaśnia uśmiech z dołeczkami. Jasper chwyta moją dłoń i składa na niej pocałunek.

— Aniołku mój — mamrocze. — Jesteś gwiazdą mojego życia. — Po czym dodaje: — Wiesz co? Mam pomysł! Najlepiej zawieź mnie od razu do Kensington i przywieziemy moje rzeczy! Ale będzie zabawa!

Choć nie mam pojęcia, dlaczego właściwie wożenie Jaspera po całym Londynie i taszczenie jego paskudnych marynistycznych obrazków po moich schodach miałyby być zabawą, trudno mi teraz odmówić. Ponieważ w całym Kensington nie ma zupełnie gdzie zaparkować, czekam w toyocie, a Jasper znosi swój dobytek. Ciuchy. Obrazki. Stereo. Dwa szkaradne wiklinowe krzesła i wiklinowy stolik.

— Ale myślałam, że te paskudne meble należą do Louisy! — wyrzucam z siebie.

Jasper wybucha śmiechem i mówi:

— Ślicznotko, przecież to prawdziwe kolonialne zabytki! Zresztą nie wiem, na co miałabyś tu narzekać. W twoim salonie będą wyglądały pierwsza klasa!

Nie jestem tego taka pewna i moje przeczucia potwierdzają się, gdy krzesła lądują w mieszkaniu. Kulą się na mojej podłodze, każde jak przyczajona modliszka, a ich paskudna, skrzypiąca wiklinowatość przejmuje całe pomieszczenie pod swoje rządy. Choć to miło mieć wreszcie towarzystwo, jestem zirytowana.

A jeszcze bardziej irytuję się, gdy Jasper zachodzi mnie od tyłu, kładzie mi dłonie na biodrach i szeptem:

— Hej, ślicznotko, a może byśmy tak ochrzcili mieszkanko?

Chwytam jego dłonie mocno i z wymuszoną słodyczą mówię:

— Jasne, Jass. Tylko muszę cię uprzedzić, że mam naprawdę ciężką miesiączkę. No, mówię ci, istna powódź! Jakby mi kto wyrzynał macicę, więc ostrzegam, że może się przez to zrobić trochę bałaganu, to będzie trochę jak seks w rzeźni, ale widzę, że na szczęście wzięłeś ze sobą ten egipski kocyk, więc będzie go można położyć na łóżku, żeby wciągnął to, co ze mnie wycieknie...

Jasper śpi w salonie na podłodze i nie zawraca mi już głowy.

ROZDZIAŁ XXXIX

Miałam wtedy może czternaście lat i szłam sobie po ulicy, gdy nagle zatrzymał mnie brzuchaty pan w średnim wieku, o zmierzwionych włosach i powiedział:

— Pozwoli panienska, że zwrócę panience uwagę: ten sweter zupełnie do panienki nie pasuje.

Byłam zszokowana, pisnęłam:

— O! Eee, dziękuję, że mi pan powiedział!

I pobiegłam do domu, przyjrzałam się w lustrze moim okrągłym ramionom odzianym w sweter w biało-czerwone paseczki i pomyślałam: „No, tak, jak ty wyglądasz?!”.

Musiało minąć kilka dobrych lat, nim uświadomiłam sobie, że dorosły, który zaczepia zupełnie obcą mu, pultaśną nastolatkę na środku ulicy, żeby skrytykować jej ubiór, musi być zupełnym, szowinistycznym świrem. A jednak zapytuję się: „Co mnie, do cholery, podkusiło, żeby włożyć sweterek w biało-czerwone paseczki?”. Czy pracowałam u fryzjera? Czy byłam kapryśną sierotką w stylu Lolity, która mogła nosić ubranka dla lalek i nazywać to ironicznym kiczem? Gdy tak wyruszałam z domu przebrana za pacholek cumowy, czy pojawiła się w moim umyśle choć iskierka samoświadomości? Nie.

Gdy widzę, że moja nieskazitelnie biała wanna została zhańbiona włoskami Jaspera po goleniu, moja świeżo położona podłoga zmieniła się w basenik dla pingwinów, a moje wielkie lustro zaparowało jak drzwiczki mikrofalówki i uświadamiam sobie, że po raz czwarty w tym tygodniu nie będę miała ciepłej wody.

a jest dopiero czwartek, marszczę brwi i myślę sobie: „Czy nauczyłam się czegokolwiek w ciągu tych ostatnich lat?”. Najwyraźniej — nie.

Przyznaję, że minione cztery dni były bardzo interesujące. Jednak moje romantyczne mrzonki o mieszkaniu — jakby mógł powiedzieć Jasper — *a deux* — uległy zagładzie w ciągu kilku minut. Przez kilka durnych sekund po moim pochopnym zaproszeniu Jaspера fantazjowałam na temat mnóstwa różnych miłych rzeczy. Na przykład o zmienieniu wiadomości na mojej nowej automatycznej sekretarce na; „Helen i Jaspера nie ma w domu”. Albo o wrzucaniu do koszyka w supermarkecie różnych rzeczy dla Jaspера, wędzonej sarniny i oranżady, obok moich czekoladek Dime i pierdół dla kota. O tuleniu się na podłodze przed *Zabójczą bronią*. O wyraźnym zapachu Egoiste nadającym mojemu panięskiemu mieszkanku ducha męskości.

Co ja sobie myślałam? Gdy tylko zobaczyłam, jak na moje terytorium wkraczają te paskudne, wiklinowe krzesła, zrozumiałam, że popełniłam błąd. Podobało mi się to, że miałam całą automatyczną sekretarkę dla siebie. I nie chcę, żeby w mojej lodówce były przechowywane zwłoki Bambiego. A *Zabójczą broń* wolę oglądać sama, tym bardziej że nie mam zwyczaju — jak niektórzy — w kluczowym momencie wykrzykiwać:

— Co za niedorzeczna, płytka papka. Obejrzyjmy jakiś porządny film, na przykład *Obywatela Kane'a*.

A gdybym znowu tak naprawdę potrzebowała rzeczonoego ducha męskości, nakarmiłabym Fatboya większą dawką pasztetu z indyka i podrobów, śmierdzące efekty miałabym gwarantowane. Co mi odbiło?

— Ale przecież nie mogę mu powiedzieć, żeby sobie poszedł — biadolę Lizzy w czasie lunchu. — On nie ma się gdzie podziać.

Lizzy, która jednocześnie starannie przeszukuje swoją sałatę w poszukiwaniu ewentualnych ślimaków, mówi:

— Helen, ja naprawdę nie rozumiem, dlaczego w ogóle mu to zaproponowałam. To samolubny facet, który, jeśli już mnie py-

tasz o zdanie, cierpi na jakieś emocjonalne zaparcie i który postąpił wobec ciebie bardzo nieładnie.

Dżgam moją łazanie widelcem i myślę sobie o tym, jak potwornie dwulicowa jest jednak Lizzy. Nie tak dawno temu Lizzy mieszkała jeszcze ze swoim znajomym psychiatrą w Camden. Doktorek wyjechał na jakąś konferencję, wrócił dwa dni później i odkrył — jak tatuś misia — że ktoś spał w jego łóżeczku. Okazało się, że Lizzy zlitowała się nad młodym bezdomnym, który spał na ławce gdzieś na jej ulicy. Nie mogła pojąć, dlaczego doktorek w ogóle się denerwuje.

— Przecież nie używałeś tego łóżka — powiedziała Złoto-włosa. — A uprałabym ci oczywiście pościel, tylko myślałam, że wrócisz dopiero jutro.

Staram się zapomnieć o tym i skupić się na odpowiedzeniu na pytanie. Czemu zaproponowałam Jasperowi, żeby się wprowadził?

— Czułam się taka samotna, gdy odjechałaś na to swoje przyjęcie — mówię chmurnie. — I padał deszcz, i byłam sama jedna.

Lizzy potrząsa swoimi lokami i wykrzykuje:

— Ale to jest właśnie najlepsze! Być sobie w swoim przytulnym mieszkanku i patrzeć na deszcz! Przecież to była twoja pierwsza noc we własnym mieszkaniu! Nie byłaś podekscytowana?

Wzdycham. Potem zrzędlwym głosem gderam:

— Tak, ale zobaczyłam olbrzymiego pajaka. I było mi go żal. Znaczą Jaspera.

Lizzy wydyma usta.

— Czemu? — pyta.

Robi mi się gorąco i zaczynam być zła.

— Bo Louisa wyrzuciła go z domu!

— Przecież go uprzedzała. Nie mógł sobie **znaleźć własnego** mieszkania?

— Nie — warczę.

— O! A czemu nie?

Wzruszam ramionami.

— Chyba cienko u niego z kasą.

To nie przekonuje Lizzy.

— No to ma szczęście, że ma ciebie i że mu pomagasz. Jesteś dla niego bardzo dobra, Helen, ale myślę, że w każdej chwili możesz mu powiedzieć, żeby sobie poszedł, jeśli tylko zmienisz zdanie.

Coś w jej słowach mnie rozwściecza, więc z obrazą w głosie mówię:

— Lubimy się. Żał mi go, bo wiem, jak to jest mieszkać z kimś, z kim się było, i ten związek nie wypalił.

Lizzy wydaje z siebie eleganckie prychnięcie wielkiej damy i mówi:

— Cóż, teraz to już wiesz na pewno, jak to jest.

Cmokam i ją ignoruję.

Lizzy jest w złym humorze, bo jutro kończy dwadzieścia osiem lat. Normalnie nie byłby to żaden problem, ale wynajęła całą salę w restauracji, żeby to uczcić, a tymczasem wczoraj wieczorem Tina wysłała maila, w którym napisała, że nie jest w stanie przyjść. Nie podała nawet powodu. To zszokowało Lizzy, więc zadzwoniła do Tyny do domu, żeby spytać dlaczego. Odebrał Adrian. Mogę tylko przypuszczać, że Lizzy urzekła drania, bo on i Tina jednak przyjdą.

Mimo to Lizzy wciąż jest smutna. Uważa Tinę za jedną ze swoich najbliższych przyjaciółek i od jakiegoś czasu wymyślała niezliczone usprawiedliwienia mające wytłumaczyć ten dziwny fakt, że jedna z jej najbliższych przyjaciółek jest ostatnio równie przyjazna, co policjant z podagrą. Według Lizzy Tina jest teraz „straszenie zapracowana”, bo redaktor z działu mody przeniósł się do „Cosmopolitana” i nie ma jeszcze nikogo na jego miejsce, więc Tina „tonie w pracy”. Poza tym Tina „szaleje za Adrianem”, a „oni oboje tak dużo pracują”, więc „Tina chce spędzić z nim każdą wolną chwilkę”.

Lizzy łatwo jest uwierzyć w te jej własne hipotezy, bo należy do tych okropnie popularnych osób, które nie są zaborcze wobec swoich przyjaciół. To oni walą do niej drzwiami i oknami, i to oni do niej wydzwanają. Ale choć jest tak liberalną przyjaciółką,

jest jednocześnie urodzinową faszystką. W jej rodzinie urodziny były zawsze wielkim wydarzeniem — z wynajmowanymi salami, magikami, tortami, kłownami, balonami, przebieraniem, prezentami obwiązany wstążkami i olbrzymimi torbami słodyczy (kiedy ja skończyłam dwadzieścia sześć lat, nie dostałam ani jednej z tych rzeczy) — i Lizzy także uważa urodziny za rzecz świętą. Tak więc próba wymigania się z urodzinowego przyjęcia Lizzy to grzech śmiertelny. I nawet to, że w końcu Tina została zmuszona do przybycia, wcale nie zmazuje jej winy. Już otwieram usta, żeby spytać: „Ile osób zaprosiłaś?”, gdy Lizzy otwiera swoje odrobinę szybciej i mówi:

— Helen, czy nie będziesz się czuła urażona, jeśli nie zaproszę Jaspera? — Jestem zaskoczona. Lizzy rumieni się i dodaje pośpiesznie: — Chodzi o to, że po prostu myślę, że on się nie będzie dobrze bawił. Oj, no mam nadzieję, że cię nie uraziłam, bo wiesz...

Udaje mi się opanować i mówię:

— Nie ma sprawy, Liz, serio. Właściwie to nawet nie mógłby przyjść, bo jutro wieczorem wychodzi gdzieś z chłopakami z tej ich drużyny krykieta. Zupełnie się tym nie przejmuję.

Ale podczas gdy te słowa wypływają gładko z moich ust, w głowie aż huczy mi od tysiąca innych. Własnym uszom nie wierzę! Więc Jasper jest wykluczony z klubu, gdy tymczasem facet bijący kobietę zostaje serdecznie zaproszony! To po prostu herezja! To prawie tak, jakby Bóg obwieścił Adamowi, że na swoje *garden party* nie zaprosi Ewy, ale Węża jak najbardziej.

Zmuszam się do uśmiechu i staram się nie wyglądać na urażoną. Nie chcę wcale, żeby Jasper przychodził na urodziny Lizzy — tylko by cały czas psioczył na jedzenie, gości, muzykę i knajpę — ale to, że Lizzy nie chce go zaprosić, to coś zupełnie innego. Mam prawo dyskryminować Jaspera, bo jest moim byłym. Ale Lizzy nie ma żadnych praw własnościowych do reputacji Jaspera, więc jestem zmuszona zauważyć, czy nie za dużo sobie pozwala. Oczywiście robię to jedynie w duchu, bo w życiu bym się nie odważyła powiedzieć jej tego wprost.

— Za to zaprosiłam Luke'a. Wiem, że go uwielbiasz, a on jest taki kochany.

Przeżywam szok — już drugi raz w ciągu tych dwóch minut. Nie jestem pewna, czy mam być zadowolona (Luke nie będzie przynajmniej nawijał cały wieczór o karmicznej astrologii) czy zirytowana. Lizzy ma całe biliony przyjaciół, czemu zawłaszcza sobie moich? Mówię Lizzy, że to fajnie, ale zaraz bardzo ją przepraszam, bo muszę natychmiast zadzwonić. Wracam do biura i obrażam się. Mój nastrój się nie poprawia, gdy wchodzę do domu i widzę, że najwyraźniej Jasper zrobił sobie w kuchni kanapkę z serem i pomidorem, a zjadł ją w salonie — szuflada ze sztućcami jest otwarta, ozdobiony okruszkami talerz porzucony na stole, nóż do chleba leży przy zlewie, szypułka od pomidora (do złudzenia przypominająca pająka) wylądowała na podłodze, a resztki cheddara (nie owinięte!) zyschają na stronie.

— Ma tupet! — mówię Fatboyowi, który obgryza pazury i ma mnie w nosie. Zastanawiam się przez chwilę, czy Jasper nie zostawił mi przypadkiem wiadomości, gdzie jest. Po trzysekundowym przeszukaniu całego mieszkania dochodzę do wniosku, że nie, nie zostawił. Myję po nim talerz i nóż, zamykam szufladę, podnoszę szypułkę od pomidora i zeschnięte resztki cheddara i wyrzucam do śmieci, cały czas mruczając pod nosem przekleństwa na leniwych, chamskich współlokatorów, którzy szarogęszą się jak jakiś Henryk VIII i oczekują że ktoś będzie ciągle po nich sprzątał, jak również zostawiają torebki po Earl Greyu w nieplamiącym się, stalowym zlewie i w ten sposób — owszem — plamią go. Przez jakieś czterdzieści minut rozbijam się po domu, sprząając i gderając, aż w końcu mi się to nudzi i dzwonię do Tiny.

Wiem, że nie powinnam. Gdy ostatnio do niej zadzwoniłam i spytałam, jak tam zdrowie, powiedziała mi chłodno, że dobrze wie, że staram się tylko rozbić jej związek, i co więcej, wie, że robię to tylko dlatego, że jestem zazdrosna o „wspaniałą miłość”, jaką oni się z Adrianem wzajemnie darzą, ale że sama sobie z tego nie zdaję sprawy. Mnie bowiem — według słów Tiny —

zżera zazdrość i rozgoryczenie, bo wszyscy faceci, z którymi się spotykam, to dupki i żaden z nich nie dałby za mnie złamanego grosza (tyle że nie ujęła tego tak miło).

Choć bardzo mnie uraziła, przypomniałam sobie pośpiesznie, że jest wciąż w stanie hipnozy, w którą wprowadził ją podły czarnoksiężnik, i zakrzyknęłam wesoło:

— Masz rację, do jasnej cholery! Właśnie, że chcę rozbić wasz związek! Dużo bym dała za to, żeby cię odciągnąć od Adriana. Bo ten facet to... — Ale Tina odłożyła słuchawkę. Od tego czasu unika mnie, a podręczniki do psychologii walają się po podłodze w mojej sypialni. Nienawidzę tego, że muszę się bać nawet do niej zadzwonić, bo mogę ją w ten sposób wpakować w jakieś kłopoty. Ale może mogę udawać, że dzwonię tylko spytać, co kupuje Lizzy na urodziny. Ten jeden raz chyba nie zaszkodzi. Jej komórka nie działa, więc dzwonię na domowy.

— Halo? — szepcze.

— Tina? — pytam przerażona. — To ja, Helen. Padła ci komórka, wiesz?

Tina kaszle i mówi:

— Nie mam już komórki.

Jako że Tina jest znana — czy może raczej była znana — z tego, że jej rachunki za komórkę wynosiły średnio 300 funtów na miesiąc, nieco mnie to dziwi.

— Ale — jąkam się. — Jak ty możesz żyć bez komórki?

Tina znów kaszle, tak jakby miała chore gardło, i mówi ci-chutko:

— Komórki są niezdrowe. Wywołują raka mózgu.

— Ale czy komórka nie jest ci niezbędnie potrzebna w pracy? — pytam. Tina milczy. Zalewa mnie wściekłość i wołam; — To on, prawda? To on próbuje cię nam zabrać! Dlaczego...

— Wcale tak nie jest! To tylko dlatego, że troszczy się o mnie i nic na to nie poradzisz! Przestań się wreszcie wtrącać i zostaw mnie w spokoju! B ł a g a m! On zaraz wróci, ma klucz, a jeśli mnie przyłapie, sprawdzi, z kim rozmawiałam, i jak długo, i co mówiłyśmy, i... — Załamuje jej się głos.

Krzywię się i próbuję ją zrozumieć. Mówię, że jestem jej przyjaciółką i że tylko chcę, żeby była szczęśliwa, że musi mi zaufać. Mówię jej, ale krzyżuję palce, że szanuję jej związek z Adrianem, ale taki związek powinien czynić ją szczęśliwą, a ona nie sprawia takiego wrażenia. Pytam, czy uderzył ją ostatnio, ale ona zaprzecza, nie bije jej już od dłuższego czasu. Ale w sposobie, w jaki to mówi, jest coś, co mnie niepokoi, więc pytam ją, czy nie zrobił przypadkiem czegoś, do czego nie posunąłby się, gdybym, powiedzmy... gdybym ja była z nimi w pokoju.

I w ten sposób dowiaduję się, że wczoraj wieczorem, zaraz po telefonie od Lizzy, Adrian wziął plastikową łopatkę z kuchennej szuflady i reklamówkę M&S spod zlewu, zamknął Tinę w jej mieszkaniu (powiedział, że w każdej chwili może do niej zadzwonić, więc jeśli ona będzie do kogoś telefonować, już on się o tym dowie), udał się nieśpiesznie do pobliskiego parku, zebrał trzy świeże psie gówna i włożył do reklamówki M&S, wrócił do mieszkania, założył żółte, gumowe rękawiczki i rozsmarował to gówno na twarzy Tiny i wsadził jej do ust, sycząc:

— Oto czym jesteś!

Ale poza tym — był naprawdę kochany.

ROZDZIAŁ XL

Wychowano mnie w przekonaniu, że dobro przewycięża zło. Złe siostry Kopciuszka, Cruella de Mon, szydzące sprzedawczynie z *Pretty Woman* — wszystkie one dostały za swoje, po prostu dlatego, że im się należało. Więc kiedy słyszę o ostatniej podłości Adriana, oczekuję, że sprawiedliwości stanie się zadość. Chcę, żeby jakiś bohater wyskoczył nagle z bajki i uratował Dobrą, a ukarał Złego. Jednak kiedy błagam Tinę, żeby mi pozwoliła zadzwonić na policję, waha się przez chwilę, a potem mówi:

— Nie.

Uważa, że w prawdziwym życiu to tak nie działa. Nie wiem, jaki jest Adrian. On przechytry prawo. Gdy Tina tak mówi, czuję się bezradna, słaba i jest mi niedobrze. Odbiera mi mowę i zadowolone z samej siebie na jakieś dwadzieścia lat.

W czwartkową noc nie śpię najlepiej, a rano w piątek czuję się, jakbym miała kaca. Wlokę się do pracy i staram się po drodze obudzić. Ale nie udaje mi się. Wypijam dwa podwójne espresso, przez które serce wali mi jak młotem, ale to nie zmienia faktu, że wciąż czuję się jak naćpana. Widzę, jak Tina wślizguje się do biura z opuszczoną głową. Serce mi zamiera i wiem już, że dziś nie będzie musiała mnie unikać, bo to ja jej będę unikać. Wiem, że to strasznie dziecinne, ale jestem tak wściekła i sfrustrowana, że gdybym tylko się do niej odezwała, nie umiałabym się powstrzymać i zaczęłabym nią trząść rozpaczliwie. No i proszę — jestem warta tyle, co ten jej Adrian. Zmuszam się do uśmiechu, gdy przybiega Lizzy i świergocze:

— Nie mogę się już doczekać **wieczora, a ty? W co się ubierzesz?**

Mój uśmiech gaśnie i bąkam:

— E... no... w to?

Lizy spogląda na moją rozciągniętą, wyblakłą szarą bluzkę i marszczy brwi:

— Nie możesz wystąpić w tym na moich urodzinach! To moje urodziny!

Dorośnij wreszcie, mam ochotę powiedzieć, ale nie mówię.

— Nie mam nic innego — warczę. Lizy zagląda mi pod biurko. — Co? — piszczę.

— Chciałam tylko zobaczyć, jakie masz dziś buty — tłumaczy — i muszę się przyznać, że nie przepadam za takimi grubymi obcasami.

Prawdę powiedziawszy, nikt chyba za nimi nie przepada. Jakikolwiek czas temu, gdy Tina była jeszcze sobą, rzuciła tylko okiem i oświadczyła, że wyglądają jak jakiś aparat ortopedyczny. Ale ja je lubię.

— Już wiem! — woła Lizy radośnie. — Poproszę Tinę, żeby ci pożyczyła coś z szafki z działu mody. Na pewno to zrobi, gdy tylko zoba... na pewno pożyczycy.

Lizy znikna na chwilę, konsultuje się z Tiną i cztery minutki później wraca, wymachując parą szpileczek w paseczki i żółtą bluzką na zakładkę z fioletoworóżowym wykończeniem.

— Karramba — podsumowuję z przekąsem.

— Nie ma z czego żartować! — odszczekuje mi Lizy. — Z twoimi czarnymi spodniami całość będzie wyglądała świetnie.

— Tak, ale co, jeśli do tego dodamy jeszcze mnie?

Lizy ignoruje moje zrzędenie i zmusza mnie do przymierzenia wszystkiego. Gapię się posępnie w odbicie patrzące na mnie z lustra w toalecie, a Lizy lata wokół mnie jak jakiś szalony chochlik, to pociągnie, to szarpnie, to strzepnie coś z bluzki. Po czym stwierdza:

— Helen, wyglądasz bosko. Nie ruszaj się stąd!

Wybiega z toalety i dwie sekundy później wraca z Tiną.

— I co myślisz? — pyta, rozkładając ręce szeroko jak jakaś kabaretowa piosenkarka.

— Ekstra — wydaje werdykt Tina gdzieś w stronę mojego lewego ucha i uśmiecha się blade.

— To świetnie! Zatem to mamy już z głowy.

Pozwala mi włożyć z powrotem moją szarą bluzkę na resztę dnia, ale konfiskuje buty, „bo tobie nie można zaufać”. Tanecznym krokiem wybiega z toalety i zostawia mnie sam na sam z Tiną.

Czuję się tak dziwnie jak wtedy, gdy babcia Michelle umówiła mnie na randkę w ciemno z chłopcem, który wyprowadzał jej psa, a który był z Rosji („Pozdrowienia z Moskwy!”, zabrzmiało groźnie w telefonie) i miał w domu barwenę.

— Hej — mówię.

Przez chwilę Tina skubie paznokcie, a potem wybucha:

— Helen, dziś wieczorem nie gniewaj się na mnie ani na Adriana, bo on, on będzie coś podejrzywał...

Od razu czuję się podle i jest mi wstyd, więc delikatnie dotykam jej ramienia, głaszczę i ściskam jej dłoń. Jej oczy wypełniają się łzami, odwraca się i wychodzi.

Ponieważ nie chcę zawieść Lizzy — a poza tym skoro, po tym jak wychodzi z biura, przeszukuję całe jej biurko i nie znajduję moich butów ortopedycznych — równo wpół do ósmej wkraczam do restauracji w moich własnych czarnych spodniach, karnawałowej bluzce i paseczkowatych szpilkach. I pierwszą osobą, jaką widzę, jest Tom. Stoi w najdalszym kącie pomieszczenia i rozmawia z Brianem; ten ostatni ma na sobie ogrodniczkę, które wyglądają, jakby je kto sprzął pumeksem. Jestem przerażona (nie tymi ogrodniczkami, bo świetnie pasują do zielonej, odbłaskowej koszulki), potykam się i mało nie upuszczam prezentu dla Lizzy. Na to wyskakuje solenizantka i piszczy mi prosto w ucho:

— Niespodzianka!

Robi mi się gorąco w policzki.

— O Boże, ty wariatko! Ciszej! — szepczę, starając się powstrzymać dziwny, wewnętrzny uśmiech, który wypływa mi na twarz.

Lizzy zakrywa usta dłonią, żeby powstrzymać głośny chichot. Nagle pojawia się Luke, dźga mnie łokciem w żebra i mru-ga porozumiewawczo.

— To było wybitnie subtelne — syczę.

— Tom przyszedł z Lukiem, więc ja jestem niewinna! — tłumaczy mi Lizzy radośnie.

— I miałem z tym cholerną masę kłopotu — świergocze Luke — więc nie spieprz tego tym razem.

Gapię się na swoje szpilki z paseczków i mruczę zachwycona:

— Podła dzieciarnia!

Luke uznaje to za oznakę aprobaty i krzyczy:

— To ja pójde go zawołać, dobra?

Udaje mi się go powstrzymać tylko dzięki temu, że łapię go za koszulkę, ciągnę w swoją stronę za kark i syczę:

— Nie!

Ale Tom i tak podchodzi do nas, przygląda mi się przez sekundę i mówi odważnie:

— Cześć, wam.

I wiem na pewno, że to akt odwagi, bo gdy to mówi, rumieni się, a głos mu drży. Otwieram usta i uświadamiam sobie, że są zupełnie suche, a moje: „Cześć, Tom”, wypada cichutko i chrapliwie.

Tom znów się rumieni — może także dlatego, że Luke i Lizzy gapią się na nas jak szalone mupety — i zaczyna mówić:

— Ja... tego... no... ładnie wy... — Ale nie jest mu dane skończyć.

Luke trąca go w plecy i krzyczy:

— Nie pocałujesz jej?

Zamieram, a te potworne słowa krążą w powietrzu jak jakiś bumerang rzucony w czasie pogrzebu. Lizzy — która, jak sądzę, nie do końca zdawała sobie sprawę z tego, co oznacza współpraca z Lukiem — wygląda na spanikowaną. Przerażona twarz To-

ma nagle zmienia wyraz i z głośnym „Tyyy!” rzuca się na Luke'a, żeby go udusić.

— chodźmy już! — rozkazuje nagle Lizzy ostro jak babunia, która patrzyła sobie spokojnie na nosorożce ze swoim pięcioletnim wnuczkim, gdy te nagle zaczęły rujeć.

Zostajemy z Tomem sami. Moje ręce zwisają jakoś dziwnie i zupełnie nie wiem, co z nimi zrobić. W piersi szarpie mi się jakiś oszalały zajac, spoglądam na Toma i nie jestem zdolna wymyślić niczego rozsądniejszego od:

— I co tam u ciebie?

Tom pochyla głowę, kiwa i mruczy:

— W porządku, a u ciebie?

Też kiwam i mówię:

— W porządku, dzięki, u mnie wszystko w porządku.

U mnie wszystko w porządku! Jak ja się, u licha, zachowuję? Jak Dolly Parton? Przygryzam wargę, wzdrygam się i ponieważ zaczynam panikować, rzucam:

— Luke potrafi wygadywać niezłe bzdury, prawda?

Tom przytakuje żałośnie:

— Aha.

I nagle patrzy na mnie, jakby miał się rozpłakać, a wszystko we mnie się aż zwija z bólu, więc biorę głęboki oddech i mówię:

— Ale czasami mówi rzeczy, które też bym chciała powiedzieć, tylko nie mam odwagi.

Powiedziałam to, nie mogę uwierzyć, ale powiedziałam to, gapię się w podłogę i zaciskam oczy, i myślę, idiotka, no, idiotka, dumy bachor i idiotka! W końcu zbieram się na odwagę, żeby znów na niego spojrzeć i widzę, że wpatruje się we mnie, jakby umierał z głodu, jakbym ja była olbrzymim kebabem, nagle każde z nas robi krok do przodu, a on delikatnie przyciąga moją twarz do swojej i całujemy się. Całujemy się tak delikatnie i tak ciepłutko, aksamitnie, więc zamykam oczy i aż mi dech zapiera w piersiach z radości, a kiedy otwieram je na ułamek sekundy, widzę, że jego oczy są zamknięte, więc spoglądam, czy przypadkiem nikt na nas nie patrzy — ze dwadzieścia par

oczu wpatruje się w nas bez żenady — więc znów zamykam oczy i tonę w tym pocałunku.

— Wszyscy na nas patrzą — mamrocze.

— No to co? — szepcze Tom i przytula mnie mocniej, wtulam się w niego i patrzę w te jego błękitne oczy, czuję zapach jego włosów i nagle to wszystko wydaje mi się jakimś szaleństwem — jak mogliśmy się w ogóle rozłączać, co za głupota — i myślę sobie: „To się nie powinno powtórzyć”, i zalewa mnie ciepło, jakby wreszcie po długim deszczu wyszło słońce. Kocham cię.

To jest inne niż wszystko. Wszystko przed Tomem było bardzo miłe i zupełnie w porządku, ale to było nic. Tom to ten właściwy. Patrzę na niego i przypomina mi się ten staroświecki zwrot: „Kocham cię z całego serca” — o ile dobrze pamiętam, tak mówi zawsze przystojny książę do księżniczki o lnianych włosach — i to jest właśnie to, co teraz czuję. Całuje moją twarz, włosy i szepcze w nie:

— Przepraszam, że byłem takim dupkiem.

Podrywam głowę tak szybko, że mało nie wybijam mu zębów czołem.

— Ty przepraszasz? — piszczę. — Co ty?! Miałeś rację! We wszystkim, co mówiłeś! To ja przepraszam.

Tom kręci głową. Uśmiecha się.

— Kiedy wpadłyście wtedy do pubu z Lizzy, mimo że to, co powiedziała... — w tym momencie kiwam głową pośpiesznie, żeby go zachęcić do opuszczenia tego szczegółu — chciałem wybiec za tobą i zacałować cię na śmierć.

Rozpromieniam się i pytam:

— Naprawdę?

Przytakuje, kopie w podłogę jak małe dziecko i szorstko stwierdza:

— Bez ciebie wszystko się zmieniło w jedno wielkie gówno. Myślałem, że nie wytrzymam.

Nie mogę wprost uwierzyć, że to Tom mówi takie rzeczy — nie jakiś łysejący matoł o śmierdzącym oddechu, z tych, co zwykle się mnie czepiają — ale Tom. Tom, którego tak pragnę.

Tom, który mówi wszystko prosto z mostu. Tom, któremu się podobam ja, Helen, z moimi przyklepnietymi włosami i starą toyotą. O Boże, spraw, żeby to była prawda.

Zaryzykuję stwierdzenie, że myśli Toma biegną chyba podobnym torem, bo przez całą kolację siedzimy razem, on wciąż się do mnie uśmiecha, całuje ramię, ściska moją dłoń i prawie nie je. Ja też nie — co jest bez precedensu. Rozmawiamy.

Tom chce wiedzieć wszystko: co robiłam w święta, czy myślałam o nim choć trochę, jak tam u mnie w pracy, jak mnie traktuje Laetitia (jakbym była chłopem pańszczyźnianym), jak ma się Fatboy (jest tak rozpuszczony, że jeśli go jeszcze trochę pogłaszcę, na pewno wyskoczy mu z tyłka jakiś dzin), a jak babcia, a jak mama, i jak się nam układa — choć wcale nie muszę mu mówić — i jak znalazłam mieszkanie, jak je odnowiłam, czy za nim tęskniłam, jak dużo czasu zajął mi remont, co dokładnie robiłam, co zrobię, jeśli spotkamy Marcusa i on na mnie spojrzy jak na niewyobrażalną piękność. A ja chcę wiedzieć wszystko o nim: co porabiał, czy Celine wciąż pracuje u Megaweterynarza (nie, wyrzucili ją, bo wykazała brak kompetencji — nie dość, że upuściła chomika, to jeszcze w niego wdepnęła), czy u jego siostry wszystko w porządku (tak, świetnie, właśnie wczoraj powiedziała do swojego szefa, pana Higgenbothama: „Bo widzi pan, cały pana problem z nazwiskiem zniknąłby, gdyby tylko wymawiał je pan: «higenbutam» zamiast «higenbłota!»”), czy wciąż jeszcze zajmuje się trochę boksem (trochę, jeśli liczyć *Rocky'ego I, II i III*), jak się ma jego rodzina (dobrze, jego ojczym wygrał ostatnio troszkę w totka i zabiera mamę do Krainy Jezior), i czy wciąż boi się malować (miło, że pamiętałam), czy spał z kimś, odkąd spaliśmy ze sobą (bezcelność! a ja? czy spałam?), czy czytał już *Zapach śmierci* Kathy Reichs (tak, czytał — jest tak soczyście makabryczny jak przeciętna zupka chińska), i czy możemy znów pojechać hondą na wrzosowisko i jeść bajle?

Kiedy pytam go o te wrzosowiska, spogląda na mnie i mówi:

— Helen, dla ciebie zrobię wszystko. Naprawdę.

A ja nie odszczekuję: „Ta, ale nie pozwoliłeś mi u siebie zamieszkać!”, bo już rozumiem. Przełykam ślinę i szepczę:

— A ja dla ciebie.

Nie jestem taka wyzwolona jak Tom, bo pełne zdanie: „I ja też zrobiłabym dla ciebie wszystko”, utyka mi w gardle i choć naprawdę mam ochotę powiedzieć te słowa, one czują się bezpiecznie w mojej głowie. W każdym razie wydaje mi się, że Toma satysfakcjonuje ten skrót myślowy.

Gapię się na niego bez ustanku i uśmiecham, i myślę, on mnie lubi, co ja, u licha, wyrabiałam, czemu odrzucałam go jak kot odmawiający śmietanki. Uśmiechamy się do siebie tak długo, jak wytrzymują to nasze usta. No i dopóki nie rzucam okiem w stronę Luke'a, który gdy tylko na niego spoglądam, rozdziawia szeroko usta (bynajmniej nie zadaje sobie jednak trudu, by połknąć przedtem przeżutego już hamburgera) i wtyka sobie palec do tej mazi, żeby okazać mi swoje zdegustowanie faktem, że jego najbliższa kumpela i jeden z przyjaciół z normalnych, porządných ludzi zmienili się nagle w budzącą obrzydzenie parę gruchających gołąbków.

Na widok miny Luke'a Tom zaczyna mnie karmić frytką, usta w usta. Luke łapie się za głowę, co ma pewnie wyrażać bezbrzeżną rozpacz. Tom wzdycha i mówi:

— Masz świadomość, że on będzie mnie już teraz szantażował do grobowej deski?

Przytakuję i pytam:

— To co? Będziemy potem uprawiać seks?

Tom uśmiecha się. Wstaję pośpiesznie, szurając krzesłem. Tom patrzy na mnie, podnosi brwi, ale natychmiast też zrywa się na równe nogi — a kelner wnosi olbrzymi, różowy tort i wszyscy musimy śpiewać sto lat, sto lat, niech żyje nam. Drzemy się z Tomem na całe gardło. Wymieniamy przebiegłe spojrzenia mówiące „Czy już możemy?“, gdy nagle, sprawdzając kątem oka, czy nikt nie widział, zauważam Tinę.

I cała moja radość znika w jednej chwili. Wygląda na przerażoną. Skulona w kącie, wpatruje się w Adriana jak niewolnik, jak

głodzony pies. Pije wodę i drży jej dłoń. Nie podnosi wzroku. Osoba siedząca po jej lewej stronie już się poddała i nie próbuje więcej nawiązywać rozmowy, wybrała osobę siedzącą z drugiej strony. A winny jest cherubinek Tiny. Elegancki Adrian odziany jest dziś w jasnozieloną koszulę i świetnie skrojony ciemnoszary garnitur. Jego zęby są przebieałe, a blond włosy ułożone niedbale. Pograżony jest w rozmowie z kobietą siedzącą obok. Dotyka jej dłoni, lekko, jakby chciał podkreślić swoje racje, a ona odrzuca w tył głowę i wybucha ślicznym śmiechem. Mam ochotę ją zadźgać.

— Co się stało? — pyta Tom i podąża za moim spojrzeniem.

— Eee... tego... nic takiego — mówię. — Nie wiem, czy Lizzy nie ma nam za złe. Może lepiej na razie trochę się opanujemy.

Tom spogląda na mnie:

— Coś się stało.

Kręcę głową energicznie:

— Tylko zamienię jedno słówko z Liz, poczekasz, prawda?

W tym momencie za plecami Toma wyrasta nagle Luke i próbuje weisnąć mu fasolkę do ucha, Tom wrzeszczy i wybucha śmiechem, po czym chwyta go tak mocno, że Luke musi aż przykleknąć.

Wykorzystuję tę okazję i śpieszę do Tiny. Ledwie mówię „cześć”, a ona już jest przerażona. Próbuje zagaić rozmowę:

— Widzę, że ty i Tom znów jesteście razem.

Uśmiecham się, przytakuję i mówię:

— Chodź do nas, pogadamy sobie!

Tina wpatruje się we mnie, gdy Adrian odwraca się nagle z przymilnym uśmiezkiem na twarzy i śpiewnym głosem woła:

— Helen! Jak wspaniale cię widzieć! Wyglądasz bosko. Świetnie ci w tej bluzce, jest bardzo w twoim stylu.

Choć najchętniej naplułabym mu w twarz, widzę, że Tina się trzęsie, więc zmuszam się do uniesienia kącików ust i miłych słów:

— Tak, to ładna bluzka. — Biorę oddech i dodaję: — Nie chciałam ci przeszkadzać. Przyszłam tylko, żeby na sekundkę porwać Tinę na tamtą stronę stołu, gdzie jest Tom i Luke.

Uśmiech nie znika z twarzy Adriana, gdy mówi:

— Bardzo by nam było miło, jednak — ostentacyjnie rzuca okiem na swój zegarek Tag Heuer — moja pani cały wieczór marudzi, że jest wykończona, więc w tej chwili zabieram ją już do łóżeczka. Wstawaj, kochanie, taksówka już czeka!

Tina podnosi się jak robot i wymuszonym głosem cedzi:

— Dobranoc, Helen.

Całują Lizzy i wychodzą. Nie mogę się uspokoić. Lizzy podbiega, żeby mi powiedzieć, że idą z Brianem i kimś tam jeszcze do jakiegoś klubu i czy nie chcę iść z nimi. Ale pośpiesznie dodaje, że nie obrazi się, jeśli nie pójdę. Zaczynam ją przepraszać, ale ściska mnie za ramię, kiwa głową w stronę Toma i szepcze:

— Po prostu bądź szczęśliwa.

Tom widzi, że ludzie zaczynają się rozchodzić, odwraca się do mnie i nieśmiało pyta:

— Czy mogę zaproponować wspólną taksówkę?

— Oczywiście — odpowiadam.

Luke pakuje swój łeb między nasze głowy i woła:

— No, to świetnie! Podrzucicie mnie, nie? — Spoglądamy na niego znacząco. Luke uśmiecha się i pyta: — No, o co chodzi? Przecież możecie wyrzucić mnie najpierw!

— Żebyś wiedział, że tak właśnie zrobimy! — warczy Tom.

Wypadamy na ulicę, Tom łapie taksówkę. Luke wyciąga nogi i zapala fajkę, a Tom głaszcze moją dłoń i mówi:

— Jakoś tak milczysz.

Przytakuję. Nie mogę mówić. Niczego tak nie chcę, jak zakneblować Luke'a i wyrzucić go w Swiss Cottage, a potem popędzić z Tomem do domu, zdrzeć z niego ubranie i kochać się z nim szaleńczo i namiętnie na podłodze w przedpokoju, a potem jeszcze na stole w salonie. Potrzebuję tego. Potrzebuję jego miłości, potrzebuję tej bliskości jak powietrza.

Ale jak mogę się z nim kochać, wiedząc, że Tina pojechała właśnie do domu z Adrianem?

Jeśli to ma być nowy, cudowny początek, to chcę, żeby był

doskonały. Przypomina mi się strach w oczach mojej przyjaciółki i ta myśl zabija moje libido. Co on jej teraz zrobi? Boli mnie sama myśl o tym, co ją czeka. Nie ma innego wyjścia. Dotykam kolana Toma i mówię mu całą prawdę o Tinie i Adrianie.

Potem każę taksówkarzowi jechać do Tooting i modłę się, żeby nie było za późno.

ROZDZIAŁ XLI

Wprawdzie w bikini wyglądałam co najmniej dziwnie i zawsze spałę się na wiór, ale mimo wszystko uwielbiam plażę. Lubię gapić się na morze i myśleć sobie: „Kurczę, ile wody!” oraz: „Mój Boże!, ale to morze jest duże!”. Lubię patrzeć, jak fale biją o brzeg, pienią się i znikają. Albo zanurzać stopy w ciepłym piasku i czuć ziarenka między palcami. Uwielbiam znajdować muszelki — te poskręcane jak maleńkie rogi jednoroźców — i gładkie, szare kamyczki poprzecinane białymi pasemkami. Lubię zamknąć oczy i wsłuchiwać się w szum fali i śmiech plażowiczów. I wdychać to słone powietrze, czuć je na ustach. Ale najbardziej lubię brodzić sobie w czystej wodzie i szukać złota. Gdy tylko zobaczę jakąś błyszczącą w słońcu plamkę, próbuję ją złapać. Oczywiście — to nigdy nie jest złoto, tylko jeszcze jedno ziarenko piasku błyskające w słońcu i wodzie. Ale to mi nie przeszkadza, bo cała radość tkwi w szukaniu.

Jednak zupełnie inaczej czuję się, gdy tracę Toma. Szukałam tak długo, a kiedy trafiłam na złoto, pozwoliłam, by uciekło mi przez palce jak piasek.

Ale gdy pędzimy, by stanąć w obronie Tiny, jak szwadron czarnych rycerzy, nie mam jeszcze pojęcia, że to wszystko się tak skończy. Kiedy udaje mi się wreszcie wybełkotać tę żalostną historyjkę, Tom mówi: „Kurwa jego mać!”, i zaczyna zadawać tysiące pytań. Luke jąka się i powtarza: „Nie rozumiem, nie rozumiem”. Są wściekli, biedna, biedna Tina i już ten Adrian popamięta.

— Tylko nie róbcie z tego jakiejś draki — mówię lodowatym tonem, bo przeraża mnie perspektywa tego, co sama wywołałam.

— Helen, sprawdzimy tylko, czy wszystko w porządku — uspokaja mnie Tom. — Dobrze, że dbasz o Tinę. Słusznie postąpiłaś, że nam powiedziałaś. Przecież nie popełnimy żadnego głupstwa. — I ściska moją dłoń.

Luke przytakuje energicznie;

— Słusznie zrobiłaś. — Ale ja nie jestem taka pewna.

Szybko jednak uzyskuję tę pewność. Taksówka zatrzymuje się pod ich mieszkaniem. „Adrian ma beamera!”, wykrzykuje Luke. „Jak on śmie!”. Wybiegamy na ulicę i od razu słyszę krzyki. To jakiś paskudny cud, że w ogóle cokolwiek słyszę, bo moje serce wali tak głośno, że mogłoby mnie zupełnie ogłuszyć. Luke chce otworzyć drzwi kopniakiem, ale Tom nie chce, żeby Adrian wiedział, że tu jesteśmy. Wślizgujemy się po prostu przez drzwi, dzięki ich sąsiadce z dołu. Co dziwne — a może to właściwie wcale nie jest dziwne — kobieta nie pyta, kim jesteśmy. Ale skoro nie interesuje się wcale, dlaczego jej sąsiadka drze się jak świnia, którą właśnie podano jej kuzynowi w postaci bekonu, to może nie powinnam się znowu tak dziwić.

Wchodzimy po schodach. Tom dzwoni do drzwi. Skowyt. Jakiś szelest. Cisza. Dzwoni jeszcze raz. Stoi tyłem do drzwi, tak, żeby jeśli Adrian spojrzy przez judasza, nie zobaczył, kto tam.

— Kto tam? — warczy głos zza drzwi.

Tom zaczyna tym samym tonem:

— To pański jest ten czarny Z3 z przebitymi oponami...

Głośny krzyk i dźwięk otwieranego zamka. Adrian uchyla drzwi jednym szarpnięciem, a Tom kopie je z całej siły, aż Adrian zatacza się w tył. Rzucamy się z Tomem w stronę Tiny, która kuli się w kącie. Luke uderza w Adriana czymś, co, jak sądzę, jest podręcznikowym ciosem używanym w rugby — a może po prostu potknął się o dywan — bo nim mam czas powiedzieć: „przyłóż mu”. Luke już siedzi na nim i tak trzęsie, że głowa Adriana wali o podłogę, aż słychać miłe dla ucha łup-łup-łup.

Tom tylko spogląda na twarz Tiny i robi się błądy. Adrian pyta, co tu się, kurwa, dzieje i zaczyna biadolić, że nic nie rozumiemy, że on i Tina mieli tylko małą sprzeczkę, ale jego gderanie ucina się nagle, bo Tom ściska go w jakiś najwidoczniej czuły punkt na karku.

— Zamknij się! — syczy Tom. Adrian zamyka się. Dzwonię po policję z mojej komórki, bo telefon został wyrwany z kontaktu, a Tom leci po lód i ręcznik dla Tiny. Adrian próbuje zaczerpnąć powietrza pod dziewięćdziesięcioma pięcioma kilogramami Luke'a, więc muszę przyznać, że niezłomne, dziesięcioletnie z górą wysiłki mojego kumpla, żeby się wypaść na pizzy pepperoni, kurczaku i chipsach o smaku sera i cebuli, nie poszły na marne.

— Tina? — jodłuje Luke ze swej wyniosłej pozycji. — W porządku?

Tina ma na brzuchu siedem nowych dziur wypalonych papierosem, więc bynajmniej nic tu nie jest w porządku. Otworzyła jej się rana na głowie. Tom delikatnie odsuwa jej z twarzy włosy i próbuje zetrzeć krew ciekącą jej z czoła.

— Chryste, Tina — mówi — to potworne. Nie musisz tego znosić.

Trzęsącym się głosem Tina żartuje, że po prostu nie włoży w tym sezonie krótkiego topu, potem zaczyna płakać i wtulać się we mnie i Toma.

— Tina — szepczę, próbując się nie popłakać. — Musiałam, zrozum, nie mogłam cię z tym tak zostawić, przepraszam.

Gdy przyjeżdża policja, Tina przestaje płakać i zamiera. Policjanci chcą usłyszeć, co się stało od nas wszystkich, ale przede wszystkim od niej.

— Mów, proszę — błagam Tinę. — Bądź dzielna. Jesteśmy przy tobie.

Drży i spogląda na Adriana, który patrzy w przestrzeń przed sobą, jakby był jakimś terminatorem z Maida Yale.

Cisza. Tina milczy, ja boję się nawet oddychać. Luke robi krok w jej stronę i Tina aż podskakuje, ale on chce tylko podać

jej wymięty kawałek papieru toaletowego, żeby sobie wytarła nos.

— Użyłem go tylko raz — tłumaczy jej uprzejmie.

Jego czułość pomaga jej się zebrać w sobie. Łkając i pociągając nosem, Tina pokazuje dłonią na swojego chłopaka i mówi:

— On, Adrian, on mówi, że papierosy mi szkodzą, co jest prawdą. Więc on... on je zgasił na moim brzuchu.

Policjant — którego srogi wyraz twarzy jakoś ratuje fakt, że jest cała w piegach — zapisuje to w notesie. Tina nie mówi nic więcej, więc policjantka, kobieta o jasnożółtych włosach i stalowym spojrzeniu, prosi ją o przejście do drugiego pokoju. Piegowaty zwraca się w stronę Adriana. Adrian zaczyna swoim najbardziej afektowanym, poufałym głosem opowiadać o tym, że Tina ma problemy z alkoholem. Ku mojej wielkiej radości Piegowaty ucina to szybko:

— W tej chwili nie chcę słyszeć żadnych pana usprawiedliwień.

Mam ochotę powiedzieć Piegowatemu, że Tina ogranicza się do soczku pomarańczowego, od czasu gdy Adrian mało jej nie utopił za to, że „flirtowała” z jakimś typem w pubie (tak jakby Tinie mógł się w ogóle spodobać facet w kombinezonie). Ale nie chcę dostać reprimendy na oczach Adriana, więc odkładam to na potem. Zamiast tego pokazuję palcem na popielniczkę pełną petów, które, jak się domyślam, są upstrzone odciskami palców Adriana, mimo że on nie pali. Piegowaty uprzejmie wysypuje pety do plastikowego woreczka, a ja w przejęciem szepczę Tomowi:

— Widziałam to w telewizji, w *The Bill*. Nawet jeśli to nie jest dowód, to na pewno jest to poszlaka!

Potem idę do kuchni, bo Tina chce, żebym była przy niej. Siedzę przy kuchennym stole, a Blondyna robi polaroidem zdjęcia brzucha Tiny i jej głowy. Chyba rozumie, że Tina jest przerażona jej obecnością i wszystkim, co z tego wyniknie, bo mówi poważnie:

— Postąpiłaś słusznie, kochanie. Nie zrobiłaś nic złego. Takie rzeczy nie powinny się zdarzać w normalnym związku.

Nie wiem, czy mam się prawo odzywać, więc tylko przytakuję za plecami Blondyny i staram się powstrzymać odruchy wymiotne na widok ran Tiny. Potem Blondyna każe mi zabrać Tinę do szpitala. Dzwonię po taksówkę. Potem myślę nagle, chrząnąć to, umieram z chęci złożenia zeznań i złożę je. Nie miałam takiej ochoty na wygadanie się, odkąd usłyszałam niechęcy, jak w przerwie na lunch Laetitia szeptem zapytuje o odsysanie tłuszczu.

Blondyna zaspokaja moją zachciankę i dyktuję jej, dopóki nie zaczyna potrząsać głową, jakby miała jakiś skurcz. Jestem załamana, gdy muszę przyznać, że nie, nigdy nie widziałam, jak Adrian choćby dotknął moją przyjaciółkę.

— Ale widziałam skutki — wściekam się. — Nie zamierza pani spisać zeznań Tiny?

Mówi, że owszem, zamierza, ale jutro rano. Tina, która siedzi cichutko jak myszka, która się schowała w kapciu, przytakuje. Jeszcze Tom i Luke składają krótkie zeznania. Gdy przyjeżdża taksówka. Blondyna maszeruje na dół przesłuchać sąsiadów (co mnie niezmiernie cieszy), a Piegowaty mówi do Adriana:

— Aresztuję pana za napaść powodującą poważne uszkodzenia ciała. — I zakłada mu kajdanki.

— Uważaj pan na moje spinki do mankietu — syczy Adrian, co (ku mojej radości) nie zostaje dobrze przyjęte. Piegowaty zaczyna, delikatnie mówiąc, być bardzo nieuważnym w stosunku do spinek Adriana. Adrian rzuca mi mordercze spojrzenie, na które odpowiadam, machając mu czule dłonią na pożegnanie. Liczę trochę na to, że sprowokuję go i powie coś w stylu: „Panie władzo, kiedy ja jej nawet nie tknąłem, serio!”, ale Adrian nie jest taki głupi. Milczy z uporem. Mam też nadzieję, że usłyszę chociaż jakieś tubalne: „Mamy cię, draniu!”, ale ostatecznie ten cudny widok Adriana w kajdankach musi mi wystarczyć. On i jego garnitur z Savile Row spędzą tę noc w celi, a jutro rano pójdą na przesłuchanie. Potem Adrian stanie przed sądem.

A, że zacytuję w tym miejscu babcię Flo, już był po temu najwyższy czas.

Tom otula drżącą Tinę kocem i zanosi ją do taksówki. Całą

drogę do szpitala powtarzamy jej w kółko, że dobrze zrobiła, że jest bardzo dzielna i że już po Adrianie. Tina jakby nas nie słyszała. Zakrywa twarz dłońmi i szepcze bez końca: „Jak mi wstyd, jak mi wstyd”. Tom, Luke i ja wołamy wreszcie chórem: „To niech ci nie będzie!”, a Tina uśmiecha się, bo drzemy się jak trójka debili, ale zaraz przestaje, bo boli ją brzuch.

W szpitalu lekarz o dziecinnej twarzy patrzy na Tinę, jakby nie wierzył własnym oczom i pyta:

— To zrobił pani chłopak?

— Bo ja pałę — odpowiada Tina, jakby to wszystko tłumaczyło.

Lekarz — który ma przenikliwe, zielone oczęta i mógłby wyjść właśnie z *Ostrego dyżuru*, gdyby tylko nie był taki blady — spogląda podejrzliwie na Luke'a. Luke przedstawił się jako ochroniarz Tyny i nie odchodzi od niej na krok. Skrzyżował ramiona i patrzy na nią z pokorą buldoga.

— To nie ja! — wybucha teraz. — Ja jestem Luke! Ja się nią opiekuję!

Tina uśmiecha się do niego przez łzy, a Tom uśmiecha się do mnie. Spoglądam na zegarek i odkrywam, że jest 3.23 rano, co oznacza, że w tym piekle Dantego, przepraszam, w tym szpitalu czekamy dobre trzy godziny. Obdrapane ściany. Czuję, że ogarnia mnie fala zmęczenia. Mruczę, że na sekundę wyjdę na dwór.

Wlokę się w stronę drzwi. Mocny, słodki zapach szpitala sprawia, że nie mogę odдыchać. I te szklane, szpitalne drzwi, z tymi swoimi równiutkimi szybkami, jasne światło, piszczące dzieciaki, wrzeszczący pijacy, starsi ludzi powłóczęgający nogami po szarych korytarzach szpitala, rozbiegany personel szpitalny w białych i niebieskich, i bardzo praktycznych kapciach, wszystko to zlewa się nagle w jedno i wiruje w mojej głowie jak małe tornado, i znów patrzę na mojego umierającego ojca, monitor buczy, ktoś zaciąga zasłonę, ktoś pcha wózek, ktoś mnie odsuwa, ktoś krzyczy: „jego serce!”, moja mama wyje, mój ojciec umarł, a ja siedzę tam i nie zdążyłam, nigdy nie powiedziałam mu, że go kocham, bo nie byłam zdolna wymówić tych słów. Krew mi

odpływa z głowy, jest mi niedobrze i tracę równowagę. Muszę usiąść, a może muszę zwymiotować i nie wiem, co muszę najpierw, więc opadam na ławkę — obok faceta w łachmanach żłopiącego coś z butelki — i mruczę: „Oj, oj”, i wymiotuję na chodnik. Co rozumiały, facet przenosi się na inną ławkę.

Chwytam się kurczowo ławki, a świat wokół wiruje. Potem Tom odsuwa mi włosy z twarzy i głaszcze mnie po plecach, a ja znowu wymiotuję i pluję. Nie przestaję wymiotować. Bardzo głośno.

— Ale romantycznie — mruczę, a w uszach pobrzmiwa mi jeszcze ostatnie beknięcie. Gapię się na żółtą kałużę moich wymiocin.

— Iiii tam — odpowiada Tom wesoło — jak dla mnie bardzo. To mi przypomina naszą pierwszą randkę.

Spojrzałabym na niego i wybuchła śmiechem, gdyby nie to, że mam świadomość, że oplułam sobie brodę. Wycieram ją rękawem mojej bluzki w stylu Karrrama.

— Jak Tina? — pytam.

— Wciąż w szoku, tak myślę. Mówi, że czuje się winna wobec Adriana. Ale lekarz nie chce jej nawet słuchać. Powiedział jej, że mężczyźni tacy jak Adrian nigdy się nie zmieniają. Był uprzejmy, ale szczerzy aż do bólu. Mam nadzieję, że trochę na nią wpłynie. Biedna Tina. Aha, a Luke zakochany. Chce zostać i stać na jej straży.

Wytrzeszczam oczy.

— Luke? Zakochany? — piszczę.

Tom uśmiecha się i przytakuje.

— I to jak — mówi. Wysilam umysł, żeby pojąć to, co mił obwieścił, gdy Tom pyta: — Czy Tina ma jakąś rodzinę? Myślisz, że powinniśmy zadzwonić do jej rodziców?

— Po co? Żeby ich ostrzec przed Lukiem? — żartuję. Potem dodaje: — Chyba tak. Potrzebna jej każda pomocna dłoń. I chcę, żeby jej bracia się dowiedzieli o tym wszystkim. Ale chyba powinniśmy ją spytać, czy tego chce.

Tom kiwa głową.

— Tom. Boję się o Tinę.

Boję się, bo chciałabym, żeby to się już skończyło, ale boję się, że się to nie skończy. Boję się, bo kilka tygodni temu zadzwoniłam na niebieską linię, żeby dowiedzieć się, jak mogę pomóc Tinie. Kobieta na dyżurze opowiadała mi o takich dziewczynach jak Tina. Nie mogę zapomnieć jednej z tych historii. Historii o kobiecie, którą mąż zrzucił ze schodów, a potem nasikał na jej rany. Ten sam mężczyzna przywiązał do drzewa ich psa i przez trzy tygodnie zagłodził go na śmierć. A ją i jej dwojkę dzieci, cztero- i sześciolatka, zmusił do patrzenia. Raz czy dwa udało im się wymknąć i nakarmić psa, ale to tylko przedłużyło jego agonię. Ta kobieta złożyła skargę na męża dopiero, gdy zaczęła się bać o dzieci.

Potem cofnęła zeznania. Policja i tak wniosła oskarżenie, ale facet wyszedł za kaucją. Nie zwolniono go z pracy, bo był w swojej firmie „niezbędnym pracownikiem” i właśnie w trakcie negocjowania bardzo ważnego kontraktu, którego jego szef (płci męskiej oczywiście) nie chciał stracić. Sędzia (płci męskiej) postanowił nie wysyłać faceta do więzienia, bo — jak powiedział — nie ma w zwyczaju łamania ludziom karier. Chciał „dać mu szansę”. W końcu jego żona znów zadzwoniła na niebieską linię, a wtedy on dorwał ją i...

Ta historia jest jak trucizna. Opowiadam ją Tomowi.

— I założę się, że Adrian ma świetnego adwokata — dodaję smętnie.

— Tak. Założę się, że ma — mówi Tom. — Ale zobacz, jak to wszystko działa. Teraz wiemy już, jaki on jest. Nie może jej dłużej izolować. Wiem, że to zabrzmiało dziwnie, ale Adrian wydaje mi się facetem, który bardzo dba o swoją reputację. A poza tym nie wiemy, jaki jest jego szef A Tina ma w końcu trzech braci. T r z e c h. Myślę, że Adrian już ma kłopoty. Kurwa, gdyby ktoś zrobił coś takiego mojej siostrze... — Tom potrząsa głową. Wzdrygam się. Jestem tak przygnębiona, że już nie wierzę, że ktoś zrobi to, co trzeba.

— Słuchaj, Helen — mówi Tom. — Jest czwarta nad ranem.

Luke przyssał się do Tiny jak jakaś pijawka. Nie zatrzymają jej w szpitalu, a Luke będzie przy niej, możesz jutro rano odwiedzić ją w domu. Możesz tu zostać, ale jesteś już ledwo żywa. Może zawiozę cię do domu. Mogę spać na podłodze.

Zgadzam się niechętnie. Biegnę do Tiny, żeby spytać, czy nie ma nic przeciwko, i lecę z powrotem do Toma. Miła niespodzianka na tym podłym świecie: Tom znalazł już czarną taksówkę. Otwiera mi drzwi, a ja gramolę się do środka i opadam na tylne siedzenie jak szmaciana laleczka.

— Kurwa mać — mówię.

— Co? — pyta Tom.

— To takie straszne — bredzę. — To wszystko, co przydarzyło się Tinie jest takie potworne. Pomogłam jej o wiele, kurwa, za późno.

Tom kręci głową i tłumaczy mi:

— Helen, tylko Tina może skończyć z Adrianem. Nie mogłaś jej do tego zmusić. Ale udało ci się uratować ją od pobicia, no w każdym razie, od jeszcze gorszego pobicia. Postąpiłaś słusznie, możesz być z siebie dumna. Jesteś dobrą przyjaciółką.

Wzdrygam się na tę pochwałę, bo czuję, że to mi się nie należy, że to nie jest właściwie. Nikt nie powinien zyskać na cierpieniu Tiny. Nie chcę tego. Tom wyczuwa moją rozpacz, bo mówi:

— Wszyscy jej pomożemy.

Potem nagle chwyta moją dłoń i całuje.

Zamykam oczy. W mojej głowie buczy jakaś niejasna, nieuchwytna myśl, ale nie mam siły jej zidentyfikować i uchwycić.

— Obudź mnie, jak będziemy na miejscu — szepczę i usypiam.

Budzę się, gdy wjeżdżamy na moją ulicę.

— Który to? — pyta Tom.

— Hm, za ciemno, nic nie widzę — mruczę i trę oczy, a potem głośniej: — Niech pan staje, proszę stanąć, to tu!

Wyskakujemy i udaje nam się dojrzeć kamyczkowy tynk i na-
gle uświadamiam sobie, że moje mieszkanie jest już tu zaraz. Już mam otworzyć bramkę, gdy Tom zamiera, a ja instynktownie

przystaję. Mrużę oczy, żeby zobaczyć cokolwiek i widzę, że na moich schodkach przycupnęła jakaś postać. I dopiero kiedy ta postać podskakuje i staje na równe nogi, ta moja dziwna, nieuchwytna, bucząca myśl nagle nabiera konturów i uderza mocno, szybko i ostro w mój wciąż zaspany umysł.

Jasper.

Stoję tak skamieniała, jak jakiś wyjątkowo tępy słupek soli, a Jasper gapi się na mnie nieprzytomnie. Potem gapi się chwilę na Toma i wreszcie wyje:

— A ty co za jeden?

— Nie — odpowiada mu Tom lodowato. — Co ty za jeden?

— Ja jestem, do kurwy nędzy, jej chłopakiem, z którym mieszka, ty kutasie.

Tom wypuszcza moją dłoń z uścisku, jakby była martwa. Do Jaspera mówi tylko chłodno:

— Mój błąd.

Do mnie nie mówi nic. Potem gwizdże na odjeżdżającą taksówkę — która aż piszczy ze zdziwienia przy hamowaniu — i wsiada.

Patrzę, jak odjeżdża w noc i wiem, że straciłam go na zawsze.

ROZDZIAŁ XLII

Jako najmniej atrakcyjna dziewczynka w klasie (możecie to sobie wyobrazić) okularów w ogóle nie brałam pod uwagę. Przez całe dwa lata mrużyłam z uporem oczy, wysilając maksymalnie wzrok, aż nagle mój matematyk dopadł mamę na zebraniu i oświadczył jej, że jestem ślepa jak nietoperz na emeryturze i beznadziejna z matematyki. Następnego dnia zaciągnęła mnie do okulisty, który kazał mi przeczytać „literki” na jakiejś dziwacznej, zupełnie pustej tablicy i nie wiadomo czemu oświadczył, że mam „minus pięć i pół”.

Kiedy wkrótce potem zaprezentowano mi parę moich potwornych okularów, byłam bliska łez. Ale kiedy je włożyłam, poczułam się jak nowo narodzona. Widziałam! Świat stał się nagle do rzeczy! Miał wyraźne kontury! Drzewa nie były już rozmazane! Były zupełnie wyraźne! Rosły na nich miliony pojedynczych liści! A tablice rejestracyjne! Były na nich numerki! Zmiana była absolutna i totalna! Po długim patrzeniu na świat przez tani, podwodny aparat fotograficzny nagle stałam się szczęśliwą posiadaczką wzroku doskonałego.

Gdy Tom odjeżdża, doświadczam po raz wtóry tego doniosłego przeżycia, gdy wszystko nagle nabiera wyraźnych kształtów. Wszystko, co dotąd było zamazane, staje się jasne. Ale tym razem jest to tak bolesne, jakbym wcierała w oczy odłamki szkła. Tymczasem Jasper drze się i drze, ale jego słowa spływają po mnie i nie robią na mnie żadnego wrażenia.

— Kim był ten pacan czekam tu na ciebie od pierwszej mó-

wielem ci że zgubiłem klucz tyłek mi już odmarzł zupełnie gdzieś ty się do cholery podziewała co za szalona godzina jak śmiesz zostawiać mnie tu na całą noc to nie do pomyslenia nie zniosę tego dłużej to trzeba zmienić musiałem iść od stacji na piechotę i jakiś przyszczaty prymityw minął mnie samochodem i rzucił we mnie jajkiem jak można mieszkać w tak podłej dzielnicy to jak jakieś osiedle ten palant to kto to był jak śmiał pytać mnie kim jestem a kim on jest chcę wiedzieć nie zniosę...

Ledwie go słucham. Patrzę, jak taksówka staje się coraz mniejsza i wreszcie całkiem znika, zabierając ze sobą wszystkie moje jutra. To nie może być prawda. Tak nie wolno. Nie zasłużyłam sobie na coś takiego. Wpatruję się w horyzont i jeszcze mam nadzieję, że Tom zabawi się w harlequina i wróci zaraz z marsową miną. Ale nie wraca. Kurwa mać! Jak to się mogło zdarzyć? Przyjęłam Jaspera z litości (głównie), a ten potwór odwdzieczył mi się zniszczeniem całego życia. Raz stracić Toma — to bolało. Ale stracić go dwa razy — to już nie jest nieostrożność, to po prostu koszmar.

Jak mogłam zapomnieć o tym, że z mojej łazienki korzysta także najgorszy współlokator świata (nie licząc mnie)? Jak mój mózg jak plaster miodu mógł przesiać wszystkie istotne fakty i pozwolić precyzyjnie się samej królowej? A Jasper? Jak on mógł? Staje się już dla mnie zabójczo jasne, że o wiele bardziej podoba mu się mieszkanie za darmo niż właścicielka tego mieszkania. Gdy przedstawił się jako mój chłopak, to nie tylko z premedytacją przekroczył Ustawę o własności lokali, ale przede wszystkim — podle, podstępnie, złośliwie skłamał.

Gdy moja przyszłość zmienia się w gruzy, stoję spokojnie. Jakby każdy nagły ruch mógł wzruszyć moje zastygłe emocje, wygnać je z ich bezpiecznych kącików i wywołać chaos, jak tysiąc kuleczek rozsypanych na marmurowej posadzce.

Moja niewypowiedziana rozpacz nie wybuchnie, jeśli uporam się z jej katalizą. Powoli idę w stronę drzwi — każdy krok to jak poruszanie się w kleju — otwieram je i spoglądam Jasperowi w oczy.

— Bardzo mi przykro — mówię zupełnie spokojnie. — Ale to był nagły wypadek. Poczekaj chwilkę. Mam dla ciebie niespodziankę.

Jasper rozdziawia swoją przepastną gębę, żeby zaprotestować, a ja w tym czasie zatrzymuję za sobą drzwi. Wspinam się po schodach — jak mogłam kiedykolwiek spotykać się z facetem o paszczy velociraptora? — wchodzę do salonu, gdzie już czekają na mnie jego wiklinowe fotele. Podchodzę do półki z płytami i przerzucam je w poszukiwaniu odpowiedniego podkładu muzycznego. O, tak. Otwieram na oścież moje wykuszowe okno.

Jasper robi krok w tył, potyka się o jakiś zapomniany kabel wystający z trawnika i wrzeszczy wściekle:

— Co się tu, do cholery, dzieje?

Czuję się, jakby ktoś wcisnął we mnie guziczek z napisem „obłąd”. Połączył się we mnie szok po poparzeniach Tiny i po odejściu Toma. Wołam wesoło:

— Niespodzianka! Zaraz zobaczysz!

Rozglądam się po tym pobojuwisku, jakie jeszcze niedawno było moim nowym salonem. Po całej podłodze walają się ciuchy Jaspera. Włączam muzykę, wybieram sobie parę białych, męskich slipów i wyrzucam przez okno. Co doprawdy dziwne — w naszej drużynie siatkówki zawsze byłam tylko rezerwową — trafiam dokładnie w twarz Jaspera. Ma na tej twarzy taki wyraz zdziwienia, jak wtedy, gdy po raz pierwszy zobaczył mnie parkującą toyotę (jestem w tym po prostu świetna).

Wychyłam się przez okno, żeby zobaczyć, co zrobi. A jest na co patrzeć — z antropologicznego punktu widzenia. Jasper zdiera slipy ze swojej twarzy i wyje:

— A to za co... do cholery? Ty... — Tu milknie z niedowierzania, a ja cofam głowę do środka. — Wpuść mnie do domu, na litość boską! W co ty, u licha, grasz?! — Dowiaduje się szybko. Zaciągam na okno jego walizkę, opieram się o parapet, żeby złapać równowagę, i ciskam nią o trawnik. Łąduje w wielkiej kałuży. Jasper odskakuje z wdziękiem, żeby uratować własną głowę.

— Przestań! — krzyczy. — Co ty wyrabiasz, szalona kobieto?! Powiedz coś! Czemu to robisz?

Lata jak wariat po ogródku i zbiera buty, skarpety, spodnie, podkoszulki, majtki i koszule, próbuje je zapakować do walizki, a ja wybucham śmiechem i wołam:

— Ja-spaar! Gotowy?

Zadziera głowę i skrzeczy:

— Neeeeeee! — Gdy ja ciskam pierwszym z jego marynistycznych obrazków, który ulatuje jak frisbee na ulicę. Słysząc miły brzdęk pękającego szkła.

Nastawiam *Heart of Glass*, najgłośniej jak się da, i jak jakaś zwariowana wiedźma wyje:

— Uwielbiam odgłos tłuczonego szkła!

Jasper upuszcza z wrażenia swój szal z college'u — z tego college'u, w którym nigdy nie był — i wylatuje na ulicę, zawodząc w głos. Z czułością zbiera odłamki pozłacanej ramy i prawie robi mi się go żal. Pozostałe dwa obrazki rzucam tak, żeby spadły na grządki. Potem lecę do pokoju, kucam przy wieży, modłę się, żeby sąsiedzi mi to kiedyś wybaczyli i zmieniam płytę. Potrzeba mi czegoś, co by nie pozwoliło mi przestać pozbywać się własności Jaspera. Po jakiejś minucie — w czasie której z ogrodu dochodzą mnie wściekłe popiskiwanie — znajduję wreszcie to, czego szukam. Muzyka, która działa na Jaspera dokładnie tak, jak promienie słoneczne na wampiry. O, tak. Country!

Wiklinowe krzesła Jaspera spotyka śmierć przy dźwiękach *Let Your Love Flow*. Błaga mnie i zaklina, stojąc na chodniku, ale jestem nieugięta. Podśpiewuję sobie (mimo że wiem, że to jest wyjątkowo nieeleganckie) i gdy tylko trafiam na kolejną, porzuconą samotnie parę slipków, naciągam je na palce i wystrzelam je w przestrzeń, wyśpiewując na całe gardło słowa *Ring of Fire*. Fatboy, który dotąd mył się spokojnie na stole, przestaje liźać, zamiera z łapką w powietrzu i przygląda mi się uważnie. Gdy uderzam w wyższe tony, przerażony kładzie po sobie uszy. La! la! la! Wiklinowy stolik Jaspera wylatuje w porywającym rytmie *Stay By Your Man*.

— Przestań! — chlipie Jasper, tuląc do piersi resztki wikliny.
— Wyłącz to! Przepraszam! Proszę!

W końcu z niechęcią wyłączam muzykę.

— No kurwa, dzięki Bogu! — wzdycha Jasper jak i pewnie reszta mojej ulicy. Wychylam się przez okno i uśmiecham promiennie. Jestem Królową Śniegu i uwielbiam siebie w tej roli. Jasper wymachuje w moją stronę wiklinową nogą i krzyczy:

— Spójrz tylko, co zrobiłaś! Ty, ty... ty morderczyni wikliny!

Wybucham podłym śmiechem, aż Jasper tupie nogą:

— Zamknij się! U licha, spójrz na moje rzeczy! Helen! No przestań wreszcie! Jesteś taka dziwna! Błagam! Ja nie mam do-
kład pójść! Bądź rozsądna!

Ale mnie już nie ma w oknie, bo wyciągam właśnie jego egipski kocyk, który — jak sobie nagle przypomniałam — tkwi jeszcze w mojej pralce. Zaciągam go na parapet i zrzucam na Jaspiera.

— Ty suko! — piszczy. — Co ty wyprawiasz?

— A na co ci to wygląda, ty palancie? — wrzeszczy. Zauważam jeszcze biało-niebieską czapeczkę baseballową na krześle, chwytam natychmiast i krzyczę: — Refleks!

Jasper wyskakuje w powietrze, ale — cóż! — czapeczka ląduje na łatami. W rozpaczę łapie się za głowę i jęczy:

— OK! Dobra! Przepraszam! Błagam! Wpuść mnie! Nie mam żadnego transportu! Tylko do jutra?

Wystawiam znowu głowę i śpiewam:

— To się naucz prowadzić! Masz już swoje badziewne mebelki i beznadziejną czapeczkę, a teraz spieprzaj stąd!

Jasper robi minę a la Hugh Grant, ale bardziej żałosną.

— Ale dokąd ja pójde? — zawodzi i rozkłada ręce bezradnie.

— A co mnie to obchodzi? Żegnaj, Jasper! — wyję, zamykam okno z trzaskiem i zaciągam żaluzje. Przez chwilę rozpiesza mnie radość — jakby albatros, który przysiadł mi na ramieniu, chwycił kamień leżący na moim sercu i uniósł go w dal — i włączam *Sea of Heartbreak*. Jestem wolna. Łapię Fatboya wpół i wkuruję z nim po moim „odwikhnionym” salonie w rewolucyjnym

tańcu, ale Fatboy wyrywa się, miauczy, wbija mi pazury w pierś i ucieka. Takie jest już to moje pieskie życie.

Wyłączam wieżę i w ciszy wlokę się do sypialni. Potem siadam na łóżku i myślę o Tomie. Tom odszedł. Co ja narobiłam? Co ja najlepszego zrobiłam? Ogarnia mnie przerażenie — oto popełniłam błąd mojego życia. Mam tylko jedno życie i właśnie je spieszyłam! Aż mi wiruje w głowie od tego ironicznego obrazka: Tom i ja w taksówce pędzący od fatum Tiny w moje fatum. Jedno jest jasne — stałam na progu nowego życia i się o ten próg potknęłam. Po policzkach płyną mi łzy, chwytam się za brzuch i wrzeszczę wniebogłosy. Wrzeszczę i wrzeszczę, aż zaczyna mnie boleć gardło i aż sąsiad zaczyna walić w ścianę. Potem gapię się tępo w moje jasnożółte ściany i myślę: „Jaki to ma sens?”. Czy nie na tym właśnie polega utrata kogoś bliskiego? Na uświadomieniu sobie tego, że prawdy nie da się zaakceptować?

Siedzę tak na łóżku aż do wschodu słońca i boli mnie serce. Mówię sobie, że ból Tiny jest na pewno gorszy, ale czuję się jeszcze podlej. Zaciągam zasłony, chowam się pod kołdrą i próbuję stracić przytomność. Gdy przychodzi wreszcie sen, czuję ulgę. To nie to, że nie mogę dalej żyć. Że nie mogę żyć bez Toma. Ludzie umierają, a ci, którzy ich kochają, żyją dalej. A Tom nie umarł. Tylko umarł dla mnie. Więc gdybym powiedziała, że nie mogę bez niego żyć, to by nie była prawda. Oczywiście, że mogę żyć bez Toma.

Tyle tylko, że to nie będzie fajne.

ROZDZIAŁ XLIII

Być może, gdybym miała w palcu u nogi wmontowaną małą elektrodę, która by piszczała za każdym razem, gdybym zrobiła coś głupiego, szybciej uczyłabym się na własnych błędach. Ale jest inaczej, więc popełniam wciąż te same błędy w kółko, i w kółko, i w kółko, aż w końcu tak mnie nudzą już ich konsekwencje, że postanawiam zmienić nawyk. Na przykład wstaję w nocy do toalety i nadziewam się stopą na niemiłosiernie ostry obcas. Dopiero gdy się nadzieję z tuzin razy, podniosę nieszczęsną szpilkę z podłogi i wsadzę do szafy. Jeśli nastawiam mój budzik na 7.30, bo wymyślę sobie, że będę rano biegać, zasypiam natychmiast o 7.31 i spóźniam się do pracy, to dopiero za jakimś dziewiątym razem postanawiam dalej nie udawać, że przed 8.00 jestem zdolna zrobić cokolwiek innego, niż wtulić się z powrotem w poduszkę. W tym przypadku pomocne okazały się też ustne ostrzeżenia Laetitii.

Ale to nieplanowane spotkanie Toma z Jasperem to zupełnie co innego. Spartaczyłam sobie plany na najbliższe sześćdziesiąt lat, co zobowiązuje mnie do podjęcia pewnych kroków. Już nigdy więcej nie dam się zaskoczyć. Zacznę wreszcie porządnie zarządzać własnym życiem. Fatboy będzie karmiony o 8.15 rano oraz o 7.30 wieczorem jedzeniem polecanym przez weterynarzy. Od dziś zabronione jest w tym domu podjadanie (obowiązuje to obydwójce mieszkańców). Zakupy będę robiła raz w tygodniu w supermarkecie, zamiast przepłacać w sklepie na rogu. Wydatki będę p... ojej: pla-no-wać. Upijać się będę okazjonalnie. Będą

więcej oddawać biednym, szczególnie w przypadkach mało efektywnych. Będę odwiedzać muzea i babcię Flo. Przestaną szczytać wargę i nauczę się dbać o samochód. Codziennie będę piła dwanaście szklanek wody i utrzymywała odpowiednią ilość płynów w organizmie.

Lista była długa i imponująca, ale w tym tygodniu naprawdę byłam codziennie punktualna i przymusowo uprzejma dla Laetii, nawet gdy wykrzykiwała: „Co? Znowu? Twój pęcherz jest chyba wielkości naparstka!”. (Gryzłam się tylko w język, żeby nie powiedzieć: „Nie wiem, bo nigdy nie widziałam naparstka”). Moje mieszkanie było nieskazitelnie czyste, a w koszu na bieliznę dotarłam do warstw neolitu. Nie omawiałam niczych związków poza tym, że powiedziałam Lizzy o Tinie (a i to za pozwoleniem samej bohaterki). Codziennie wieczorem wysłuchiwałam prognozy pogody, więc byłam następnego dnia odpowiednio ubrana. Choć gdybym miała się ubierać odpowiednio do nastroju, to wkładałabym chyba włosienicę. Nie pocieszyła mnie nawet wizyta u mamy, żeby obejrzeć wspólnie *Grease*. Ani nawet to, że kupiła sobie muzykę z filmu i spytała:

— Kochanie, czy twoim zdaniem jestem już za stara, żeby się czesać w koński ogon?

Ani to, że gdy poszłyśmy razem na pizzę i opowiedziałam jej o Tinie, wykrzyknęła;

— A pomyśleć, że zawsze byłaś takim egoistycznym dzieckiem!

Jak mawia syn Vivienne, Jeremy: „I skumaj tu ja!”.

Poszłam nawet z Lizzy na ćwiczenia i spędziłam trzydzieści pięć minut w szatni, próbując zawiązać sznurowadła i słuchając, jak dwie baby zrobione z masy papierowej popiskiwały do siebie: „Ja to jestem tłusta, ale ty jesteś taka drobniutka!... Co ty, to ty jesteś drobniutka!... Nie, to ja jestem tłusta!... O, nie, nie jesteś, ty jesteś drobniuteńka!” itd. A moje serce zastanawiało się tylko, czy jest jakaś drobniuteńka szansa, że Tom mnie wysłucha, jeśli zadzwonię do niego i mu wytłumaczę, ale moja głowa uświadomiła mi, że nie, nie ma. Takie już są zasady w baseballu

— trzy *strike-out* i wypadasz z gry. Spieprzyłam to. Do piątku byłam już bardziej zrozpaczona niż najgorszy grzesznik i bardziej pochmurna niż najnudniejsza dewotka. Podarłam listę i wyrzuciłam do kosza. Ale wciąż byłam jak martwa.

A jednak w sobotę było mi już lepiej. Niewiele lepiej — z pewnością już nigdy nie będę prawdziwie szczęśliwa i najlepsze, czego się mogę spodziewać, to los zbierającego śmieci samotnika, ale zawsze jednak trochę lepiej. Ze stanu, w którym niezbędna jest pomoc psychiatry po próbie samobójczej (metaforycznie oczywiście — w rzeczywistości nikomu jakoś nie przychodzi do głowy, żeby mi pomóc), przechodzę do zwykłej, jesiennej depresji. Powodem tej zmiany nastroju jest telefon od Luke'a.

Od soboty Luke niezłomnie trwa przy boku Tiny. Gdy tymczasem ja widziałam się z nią ostatnio w szpitalu. Chciałam do niej wpaść w niedzielę, ale — jak poinformował mnie Luke — odpoczywała. Kiedy zadzwoniłam następnym razem. Luke powiedział, że był u niej policjant w cywilu, ale Tina postanowiła, że nie złoży zeznań przeciw Adrianowi.

— Ale dlaczego?!

— Bo nie chce — odpowiedział.

— Ale musi to zrobić! — krzyknęłam.

— Nie możemy jej zmuszać — powiedział Luke.

— Pewnie nie — przytaknęłam ponuro. — Mogę z nią pogadać?

— Ale nie można na nią teraz krzyczeć, więc tylko, o ile obiecasz jej nie dręczyć.

Obiecałam i dał mi Tinę do telefonu, choć trochę mnie tym uraził. Luke uważa mnie za jędzę, a przecież nigdy z nim nie chodziłam! Moja reputacja mnie przeraża. Tina poinformowała mnie, że czuje się lepiej. I że policja prawdopodobnie i tak wnie sie pozew. I powiedziała już swojej rodzinie, a jej rodzice już do niej jadą. Aha, i że jest p r a w i e pewna, że już nie chce się spotykać z Adrianem.

Marzy mi się, żeby Tina zaciągnęła Adriana przed sąd, żeby

prasa z całego kraju rzuciła się na tę sprawę, żeby nagłośniła to wszem wobec, żeby krzyczały o tym nagłówki i wielkie, policyjne zdjęcia, żeby Adrian został wygnany z Maida Yale i przeklęty przez Aquascutum. I żeby stracił pracę, nie dlatego że tego wymaga polityka firmy, ale dlatego że jego szef (płci męskiej) — o czym by z żarliwością zapewnił rozwścieczoną prasę — prędzej sam by sobie obciął premię, niż zatrudniał takiego zbrodniarza. I żeby Adrian i tak stracił pracę po prostu dlatego, że nie da się pracować jako architekt, gdy się spędzi najbliższe czterdzieści lat w zimnym i wilgotnym więzieniu.

Ale chyba rozumiem trochę Tinę, że nie chce przez to przecho-
dzić. Czego nie rozumiem, to jakim cudem Adrian został uznany za niewinnego i od razu wypuszczono go za kaucją, jakby jego wina polegała tylko na tym, że zapomniał zapłacić za parking.

— To po prostu nieprawdopodobne! — wyłam w słuchawkę, gdy Luke powiadomił mnie o tym skandalu. — Przecież ona już nigdy nie będzie bezpieczna! On pewnie przyjdzie od razu dziś w nocy i wysadzi cały dom w powietrze! Jezu! Ani się waż pozwolić jej jechać tym jej escortem bez sprawdzenia hamulców!

Choć moje ostrzeżenia miały swoje uzasadnienie, czy Adrian będzie w tym maczał swoje ręce czy nie. Luke zaprotestował zdecydowanie. Jednym z warunków, jakie otrzymał Adrian przed wypuszczeniem, był zakaz kontaktowania się z Tiną. A przecież może się zdarzyć, że zanim sprawa trafi do sądu, za te trzy czy cztery miesiące, Tina postanowi jednak zeznawać. A jeśli ja, Helen, też zgodzę się zeznawać („Niech mnie szlag, jeśli nie będę zeznawać!”, przerwałam mu wściekła), to być może sprawiedliwości stanie się zadość.

— Miejmy nadzieję — odpowiedziałam z goryczą.

Na razie on. Luke, czuwa nad Tiną.

— Luke — rzucam bardziej ze złości niż z potrzeby. — Na pewno zdajesz sobie sprawę z tego, że Tina właśnie wybrnęła z koszmarnego, pełnego przemocy związku z despotycznym tyranem. I ostatnie, czego jej teraz trzeba, to wpakowanie się w następny.

Jak łatwo się domyślić Luke był moją wypowiedzią załamany:

— Ci... cicho! — jęknął. — Jeszcze usłyszysz! To wszystko nie tak! Ona o mnie wcale tak nie myśli! Ona jest taka delikatna, Helen, ona się boi samotności. Jest przerażona. Ja jej pomagam. Staram się trzymać ją z daleka od Adriana. Opiekuję się nią, uwierz mi! Ona wciąż za nim tęskni, za tym draniem! Pomagam jej zapomnieć! Naprawdę! Ona jest taka dezorientowana! Ale mi ufa. Rozmawiamy. Mamy tyle wspólnych tematów.

Miałam ochotę powiedzieć: „Nie rozśmieszaj mnie! Ty umiesz gadać tylko o sporcie, a Gucci czytasz «guuki!»”.

Ale ponieważ staram się utrzymywać moją osobowość na niskim poziomie złośliwości (najwyżej 2%), powstrzymałam się. W końcu, jeśli Luke'owi udaje się podburzać Tinę przeciw Złemu, to nie jest już nietaktownym, gładzącym bęcwałem, tylko cudotwórcą, którego należy zostawić w spokoju, by mógł skupić się na swoim wysiłku nawracania na słuszną drogę.

Ta świadomość nie pomogła mi jednak i tak czułam się troszeczkę zazdrosna o to, że Luke z mojego platonicznego wielbiela od zawsze zmienił się nagle w wielbiciela Tiny.

Poza tym jedynym, wyjątkowym telefonem nie dzwoni już do mnie. Ja z kolei nie dzwonię do Tiny, bo —jak twierdzi jej nowy interpretator: „Jest wykończona i naprawdę nie w nastroju na pogaduszki. Ale gdy spotkasz się z Lizzy, czy mogłabyś jej podziękować za owoce i za ten, no, jak mu tam, dziurawiec czy coś i za ten olejek herbaciany”.

Robię, co mi każą, i przekazuję wiadomość. Gdy mówię to Lizzy, krzyczy:

— Oj! Czuję się tak strasznie, strasznie! Adrian był zawsze taki promienny! I te wszystkie kwiaty! I te telefony! Kto by pomyślał?! Czy uważasz, że powinnam jej jeszcze wysłać *calendarula*?

Mówię jej, że to miłe z jej strony, ale że kalendarz to Tina na pewno już ma. A poza tym, jeśli będzie czegoś potrzebować, to przecież da znać. Ale nie daje. Więc kiedy w sobotę dzwoni

Luke, błagam o wieści. I kurczę — dostaję je. choć Luke jest bardzo podekscytowany i gada jak najęty, muszę się bardzo skupić, żeby pojąć, co do mnie mówi.

— No i słuchaj, bracia Tiny: Max, Sean i Andrew dostali szału, jak się dowiedzieli o Adrianie. Krew ich zalała, najbardziej Maksa, on jest najmłodszy i chciał od razu lecieć i z miejsca go załatwić. Ale Sean mówi: „nie”, i że muszą to zrobić z głową, no bo Adrian to mu wygląda na faceta, który lubi wnosić oskarżenia, więc tego, no, Tina o niczym nie wie, ale Sean dzwoni do tego swojego kumpla, Tony’ego, który zna tego typu, Raya, a Ray to jest naprawdę podły drań, więc Tony zamienia słówko z Rayem, a Ray ma firmę ochroniarską, taką od typków do klubów i innego gówna, jest byłym wojskowym, kiedyś nieźle pakował, wielki z niego facet, ma chyba ze sto dwadzieścia kilo i jest groźny, i można mu zabulić i już on wytłumaczy komu trzeba, czego nie należy robić, no i już on to załatwi, jak trzeba, no i Sean mówi Rayowi o Adrianie, a Ray to nie znosi damskich bokserów, tacy są najgorsi, mówi o sobie Korekta, to mu zrobili korektę, dwóch ich przyszło o drugiej nad ranem, i wpadło do domu, i związało Adriana jego własnym paskiem, i Adrian zaczął krzyczeć, że zawoła policję, ale Ray mu grzecznie wytłumaczył, że Adrian ma się zamknąć, bo Ray tu decyduje, kto mówi, a kto nie, i w dupie ma policję, a co ważniejsze, policja ma w dupie jego, a poza tym chyba jasne jest, że Ray już wie, gdzie Adrian mieszka, a Adrian już będzie wiedział, że Ray do niego zawsze wpadnie, jak będzie trzeba, a na zewnątrz jest ich jeszcze dziesięciu, i wtedy Adrian już zamilkł, a oni zdarli mu dywan w salonie, no i go w niego zawinęli, a w usta mu wetknęli chusteczkę do nosa, i zabrali go, no i tego, i wywieźli go czarną furą Raya, z napędem na cztery koła, i skórzaną tapicerką, bo ludzie to ze strachu srają, że szkoda gadać, i Adrian też się zessał! Ale śmierdział! I wzięli Adriana do takich lochów, jakby piwnica, tylko gorzej, i go ostrzegli, bo Sean powiedział, nie zróbcie mu krzywdy, tylko dajcie mu ostrzeżenie, i Ray, a Ray to umie podnieść człowieka za szyję jedną ręką, ten to ma

łapy jak zwały mięsa — jak takie wielkie steki, raczej nie jak udka kurczaka, albo raczej jego kciuk to jest jak udko kurczaka, no nie wiem — mniejsza z tym, i Adrian tak z nimi spędził ze trzy godzinki, a potem go wyrzucili nago pod jego biurem, na ulicy, a Ray gadał z Tonym, który gadał z Seanem wczoraj i powiedział, że jemu to się zdaje, że Adrian raczej nie zamierza się wygadać. I że już nie będzie siostrze Seana zawracał więcej głowy.

Boże Świąty. Może Adrian powinien był posłuchać, gdy Tina go ładnie prosiła.

Nic więc dziwnego, że przez resztę tego dnia nie mogę przestać myśleć o Tinie. Tak bardzo bym chciała, żeby jakoś z tego wyszła. Może pewnego dnia spojrzy za siebie i nie będzie mogła pojąć, jak w ogóle stało się to wszystko. Być może. Jak można być tak zaślepionym i nie widzieć prawdziwej natury człowieka. Machać ręką na jego haniebne uczynki, uznawać je za popełnione niechcący pomyłki, za chwilowy napad padaczki. Jak można być takim optymistą, że gdy ta osoba morduje cię, ty uśmiechasz się, a ona dźga się nożem. Siedzę i rozmyślam nad rozmiarami szaleństwa Tiny. I nagle dochodzi do mnie. Obie opłakujemy związki, jakich chcieliśmy, ale jakich mieć nie mogliśmy.

Nie mogę pojąć, czemu Tina kochała Adriana, ale kochała.

Jeśli o mnie chodzi, to już zawsze będę kochać Toma. Ale w tej chwili nie myślę o nim. Myślę o innym mężczyźnie, którego nie ma już w moim życiu. I myślę o tym wciąż od nowa, powtarzam to jak zaklęcie. Myślę, że nigdy nie byłam córeczką tatusia i już nigdy nią nie będę.

ROZDZIAŁ XLIV

Kiedy rozpada się związek, ludzie zawsze mówią: „To nie chodziło o rzeczy wielkie, tylko o te najmniejsze”. I skoro mówilibyśmy tu o związku Marcusa i Michelle, zgodziłabym się bez wahania. Ale w moim przypadku wszystkie najmniejsze rzeczy były w porządku. Mój związek z Tomem wykończyła wielka rzecz — moja bezbrzeżna głupota. Za to mnie samą wykańczającą rzecz małe.

Na przykład otwieram „Observera”, czytam pierwsze słowa artykułu napisanego przez dziennikarza, który podróżował po Arktyce na statku Greenpeace'u, spoglądam na zamieszczone obok zdjęcie, widzę, że jest podpisane; „Wygłodzone niedźwiedzie polarne żebrzą o jedzenie ze statku”, i wybucham płaczem. Kupuję sobie paczkę najbardziej wypasionych chipsów w supermarkecie, pakuję sześć do ust i myślę: „Hm, one są jakieś mało chrupiące”, pakuję trzy następne, żeby się upewnić, myślę: „Te chipsy smakują naprawdę dziwnie”, zaglądam do torebki i widzę coś, co wygląda jak wielki połamany karaluch, ale jest raczej papką czarnych, zgniłych kartofli. Nie mogę o tym zapomnieć przez cały dzień i nie jestem nawet w stanie zjeść batonika Dime,

Albo odwiedzam mamę i zauważam, że na stole leży kartka. Wygląda jak zaproszenie do jakiegoś nocnego klubu z lat siedemdziesiątych, więc ją otwieram i mam przed sobą wyblakłe zdjęcie opalonego mężczyzny i pięknej kobiety, roześmianych, karmiących się nawzajem spaghetti — moi rodzice, dwadzieścia pięć lat temu, w jakiejś taniej restauracyjce w Portugalii. I chwy-

ta mnie ból, bo uświadamiam sobie, że mama musiała tego szukać w chwili — godzinę? cały dzień? tydzień? — samotności. Staje mi przed oczyma jej obraz, przekopującej się przez wszystkie pudła na strychu w poszukiwaniu tego śladu wspomnienia i — choć próbuję o tym zapomnieć — nie umiem.

Nie rozmawiałyśmy o ojcu już całe wieki. Jakby po wielu miesiącach walki moja matka pogrążyła się po prostu w żalu. Wiem, że rozpacz narasta w niej jak cysta, ale boję się tego dotykać, bo a nuż pęknie i skończy się histerią, której nie będę w stanie opanować.

— Może powinnaś zrobić jeszcze jedno takie przyjęcie — doradza Lizzy. — To ją rozchmurzy.

Wzdycham tylko.

— Liz, rozchmurzy się na pięć minut, a potem wróci do domu i będzie się czuła jeszcze gorzej. A poza tym nie mam już żadnych przyjaciół poza tobą. I mam tylko dwa krzesła.

— Przecież możemy siedzieć na podłodze, na poduszkach — upiera się Lizzy.

— Nic z tego — oponuję pośpiesznie. — Mam gospodarstwo jednopoduszkowe.

— Ale ty, i ja, i Tina, i Luke, i, ee... twoja mama, będzie cudownie!

— Będzie potwornie! — tłumaczę jej. — Udało się raz, bo wszyscy wiedzieli, że to będzie wyjątkowo. To by było, jak... bo ja wiem... jak próba odnowienia Beatlesów! — Lizzy nie widzi związku i mówi mi to wprost. Ignoruję tę uwagę i pytam: — A Brian byłby zmuszony do tego zlotu czy też ma zwolnienie lekarskie?

Lizzy wydyma wargi.

— Nie jesteśmy już razem — mówi bezceremonialnie. — Zerwałam z nim.

— Co? — krzyczę. — Ale dlaczego? Dlaczego mi nie powiedziałaś? Jak śmiałaś?! Znaczy; nie powiedzieć mi!

Lizzy wyjaśnia mi, że zerwanie nastąpiło właśnie wczoraj i zamierzała mi powiedzieć, ale rozmawiałyśmy o Tinie i Luke'u,

i o mnie i Tomie. „Tobie i Tomie”. O mnie i o Tomie. Sam fakt, że występujemy w jednym zdaniu, sprawia, że serce bije mi szybciej. Czy to bardzo żałosne? Wzdycham i żądam wyjaśnień.

— Czy Brian zrobił coś nie tak? — pytam.

— Tak jakby.

— Coś, co cię uraziło? — podpowiadam.

— Coś w tym stylu.

— Obraziło cię osobiście? — dopytuję się.

— Tak.

— Coś bardzo odpychającego? — warczę.

— Potwornie — wyznaje Lizzy.

— Coś, czego jego własna matka by się **wstydziała?** — **szeptę** zachwycona własnym obrzydzeniem.

— O! zdecydowanie — przytakuje Lizzy.

— Jezus! — Mój mózg przepełniają obrazy dzikich orgii w stylu tai-chi oraz bijatyk o ostatnią parę ogrodniczek. — Co on takiego zrobił, na litość boską?

Lizzy milczy chwilę.

— Tylko nie mów, że przesadziłam — mówi wreszcie z wahaniem.

— Nie powiem — obiecuję.

— Owszem, powiesz — upiera się Lizzy.

— Elizabeth! — piszczę. — Spójrz na mnie! Umieram z ciekawości! Skończ waść! Powiedz wreszcie! — Czuję kropelki potu na górnej wardze. Nie cierpię, kiedy ktoś już troszkę odchyli zasłonę swoich tajemnic, a potem nagle z powrotem ją zaciąga, bo ma jakieś dziwne podejrzenie, że go źle osądzę.

— No, dobra — mówi Lizzy niechętnie. — Ale tylko, jeśli nikomu...

— Przysięgam! — wrzeszczę. Składam dłonie jak do modlitwy i przybieram niewinny wyraz twarzy. Lizzy daje się na to nabrać i wyznaje, że rzuciła Briana — kochanego, hojnego, czułego Briana, który kupował jej figi i całował po rękach — bo irytowały ją dźwięki, jakie wydawał przy jedzeniu. A myślałam, że to ja jestem płytką.

Kiedyś takie nowiny by mnie pocieszyły. Będę żyć samotnie i w samotności umrę, ale — hurra! — nie ja jedna. Ale dziś te wiadomości w ogóle nie wpływają na moją depresję. Żal mi tylko Briana. Taka kara wydaje mi się nieproporcjonalna do winy.

— Nie mogłaś go po prostu poprosić, żeby żuł troszkę ci-
szej? — pytam.

Lizzy naburmusza się:

— To nie tylko to!

— A co jeszcze? — pytam, bo nie mogę się oprzeć.

— Sposób, w jaki przeżywał — argumentuje **Lizzy**. Poddaję się.

Później jednak już w domu próbuję pojąć sposób rozumowania Lizzy.

— Widzisz, Helen — mówię na głos w pustkę pokoju — jej to nie przeszkadza. Ona to uwielbia. Lizzy ceni sobie własne towarzystwo.

I dopiero gdy wypowiadam te słowa, uświadamiam to sobie. Mnie to też nie przeszkadza. Po wysłuchaniu pokrętnego rozumowania Lizzy spokój samotności jest ulgą.

Włączam płytę z muzyką Kate Bush i resztę wieczoru spędzam na wymazywaniu z mojego mieszkania pozostałości po Jasperze: plamy po piance do golenia na lustrze w łazience, dwa egzemplarze „Country Life” za kibelkiem, trzy żółte, obcięte paznokcie na podłodze w salonie, a — z kuchennego kredensu — kubek z nadrukiem Uniwersytetu Oksfordzkiego, kupiony w sklepie z pamiątkami na Leicester Square. Nim wybija 23.00, czuję się już trochę lepiej. Uświadamiam sobie też, że skoro nie mogę mieć Toma, to nie chcę nikogo, będę sama. Przez chwilę rozważam nawet, czy nie odłączyć sobie telefonu na znak zupełnej niezależności. Ale potem myślę sobie: „Bez przesady”. Idę wcześniej do łóżka i czytam *Z jak zwłoki*.

- Następnego dnia dzwonię do mamy i zapraszam ją na kawę.
- Już ci nie jestem potrzebna. Masz przecież własne mieszkanie — mówi mama.
 - Ależ, mamuś, wiesz, że to nieprawda — protestuję stanowczo — bo po co bym cię w takim razie zapraszała?
- Zapada cisza, po czy mama odpowiada przebiegle:
- Czy ja wiem... może chcesz mieć więcej krzesel?
- Jej upór powinien mnie wkurzyć, ale tak nie jest, bo domyślałam się, że teraz ona musi zachowywać się w ten sposób. W końcu nasz miesiąc miodowy należy kiedyś skończyć. Ale nie zamierzam też przyklaskiwać nawrotom zaburzeń. Więc paskudnie radosnym głosem mówię:
- Otóż zaprosiłam cię po prostu dlatego, że lubię twoje towarzystwo, ale bardzo bym nie chciała, żebyś czuła się w obowiązku przychodzić, więc...
 - Będę o piątej — przerywa mi mama.
- Pojawia się gotowa do walki. Wiedziałam, że to nie potrwa długo. Proponuję jej kawę („tylko o ile masz bezkofeinową” — nie mam); proponuję herbatę („o ile masz Earl Greya” — nie mam); proponuję wodę („o ile masz mineralną” — nie mam). Potem przypominam sobie, że w końcu woda z kranu też ma minerały, więc wołam: „Mam!”, i nalewam jej szklaneczkę. Podaję jej, a ona wacha podejrzliwie i odsuwa od siebie.
- Nie poczęstujesz mnie niczym do jedzenia? — pyta.
 - Tak, oczywiście — mówię urażonym tonem, starając się przypomnieć sobie, czy zjadłam już tę ostatnią czekoladkę Dime, czy jednak jeszcze leży w mojej torbie. — Poczekaj sekundkę.
- Lecę do sypialni, wysypuję całą zawartość torebki na podłogę i wygrzebuję batonik. Odwijam go z papierka (wygląda wtedy lepiej), układam centralnie na moim najlepszym talerzu (najlepszym z dwóch, jakie posiadam) i podaję mamie z rozmachem. Przygląda mu się z oddali, lekko przechylając głowę, ale poza tym ani drgnie — zupełnie tak samo Fatboy reaguje na kocie jedzenie firm supermarketowych.

— To zupełnie wyjątkowa czekoladka, to... — zaczynam żwawo.

— To batonik Dime — przerywa mi niegrzecznie. Moja widoczna konsternacja wywołuje jednak jej uśmiech, pierwszy odkąd weszła. Dodaje szorstko: — Bernadette Dickenson zawsze je taki na lunch. Ma dwanaście plomb.

Ten strzęp przyjaznej informacji biorę za próbę zawarcia pokoju i mówię:

— Nie wyglądasz na specjalnie wesołą, mamuś.

Wzdryga się, jakbym rzuciła oszczerstwo.

— „Wesoła!? — syczy. — Wesoła! Nie, nie jestem „wesoła"! Jestem wybitnie n i e w e s o ł a ! Mój mąż nie żyje! Jak mam być wesoła? Jestem wdową! Całe moje życie legło w gruzach!

Mrugam przerażona i mruczę:

— Przepraszam, może to rzeczywiście niezbyt właściwe słowo.

Mama przygląda mi się przez chwilę, po czym wybucha:

• — Były urodziny twojego ojca, a ty nawet nie zadzwoniłaś!

— Tak? A niby czemu ty do mnie nie zadzwoniłaś? — wrzeszczę i czuję, że ogarnia mnie furia.

Mama rozkłada ręce i krzyczy:

— Mnie nie można krytykować, jestem zbyt smutna!

Zaciskam zęby i syczę:

— Dzwoniłam, dwa razy, za każdym razem było zajęte. Uznałam, że gdybyś chciała ze mną pogadać, to byś oddzwoniła. No wiesz, jak to zwykle robią dorośli! — Mama aż się cofa, jakbym ją spoliczkowała. Natychmiast robi mi się głupio. Już milej mówię: — Przepraszam, mamuś. Nie chciałam cię jeszcze bardziej zasmucać. Wiem, że święta i rocznice są najgorsze.

Odpowiada ze znużeniem:

— To nie święta, i nie rocznice. To zwykłe dni są najgorsze.

— Mamuś — mówię tylko smutno. Pochyliam się i dotykam jej ręki. Zakrywa twarz dłońmi i zaczyna płakać. Krzywię się i czekam. Po jakichś sześciu minutach (czyli całych wiekach w jednostkach płaczu) płacz ustaje. Mówi mi, że spędziła trzy godziny, podsłuchując czat dla osób w żałobie.

— O! — zauważam ostrożnie. — I czy to ci pomogło?

Mama potrząsa głową jak pies, który się właśnie wynurzył z bajora.

— To było straszne! — krzyczy. — Wszyscy zostali zastrzeżeni! Wszystkie te śmierci były o wiele gorsze niż moja! — woła. — Dużo, dużo gorsze! Czułam się jak oszustka! A potem jakaś wierząca osoba powiedziała, żeby ufać Bogu, i wtedy wszyscy na nią napadli!

Coś mi mówi, że rozsądnie byłoby teraz wkroczyć, i to szybko:

— Mamo — zaczynam, rozpaczliwie szukając jakiejś mądrości, ale w tym pośpiechu przychodzi mi do głowy tylko zwykły komunał. — Rozpacz to rzecz prywatna, coś twojego. Nikt nie ma prawa oceniać i mówić, że jego rozpacz jest większa niż twoja, bo nikt tego nie wie. Może nie trzeba tego porównywać. Może lepiej porozmawiać z kimś, kto cię zna. Zawsze przecież możesz przyjść do mnie.

Mama ściska moją dłoń w ciszy, kiwa głową i pociąga nosem. Potem trochę się śmieje, a trochę charczy przez łyżę.

— Jedyna osoba, jaka mi się tam spodobała, to była Emma z Kansas. Jej nastoletnia córeczka zmarła w wypadku na farmie. Nad jej otwartą trumną jeden ze znajomych powiedział do Emmy: „Nie wygląda tak źle...”! Zupełnie jak matka Harolda Reela, która powiedziała mi, że i tak miałam szczęście, bo rozwody są o wiele gorsze!

Jestem tak zszokowana, że wybucham śmiechem i krzyczę:

— Chryste Panie!

Potem śmiejemy się już razem z głupoty niektórych ludzi.

A potem zaczynamy rozmawiać o tacie. Mama opowiada mi o ich pierwszej randce. Wziął ją do francuskiej restauracji, gdzie jedli śledzie i się struli.

— Czyściło mnie przez cały tydzień! Moja mama kazała mi już nawet wracać do domu! Musiał mnie zaprosić na jeszcze trzy randki, żeby to jakoś nadrobić! — śmieje się mama aż zarumieniona od tych wspominek. — Oczywiście moja matka nie chciała uwierzyć, że to zwykłe strucie! Była pewna, że to poranne

mdłości! Moja własna matka myślała, że jestem „łatwa"! Nie powiedziała mi tego wprost, oczywiście, że nie, ale zakradłam się i usłyszałam, jak szeptała ojcui. Morrie mawiał, że mamusia miała taki szept, że pękały bębenki w uszach. „Och! Jak on dowcipkował". choć — tu marszczy brwi, jakby mówiła do siebie, i widzę, że jest już w swoim świecie — nigdy nie udało mi się nauczyć go, żeby wkładał swoją filizankę do zlewu. Nigdy! I Boże broń, żebym zaczęła do niego mówić, gdy oglądał w telewizji golfa. A ja mu mówiłam: „No przecież nie musisz chyba s ł y s z e ć golfa, prawda?"

Mama zaczyna chichotać, a ja ciągnę dalej:

— Mamo, ale on przecież w ogóle zabraniał nam się odzywać, gdy był włączony telewizor. Był gorszy niż babcia! Pamiętasz, jak wziął sobie wolne, żeby oglądać Wimbledon, a ja wbiegłam, żeby mu pokazać kubek, który sama zrobiłam. Ile wtedy miałam? Z osiem lat? I wbiegłam, i zasłoniłam mu ekran, i nie zobaczył decydującego momentu, był na mnie taki zły, spojrzał na kubek i powiedział: „Za cholerę nie będzie z tego pożytku, przecież jest w kształcie stożka! Niby jak będziesz z tego piła?". Rzuciłam kubkiem o podłogę i pobiegłam do swojego pokoju!

Mama przechyla głowę:

— Nie pamiętam — mówi i poklepuje mnie delikatnie po ręce. — Nie bierz tego do siebie, kochanie. On potrafił być bardzo niemiły. Wciąż mu musiałam zwracać uwagę. Kiedyś powiedział Vivienne, że jej płaszcz śmierdzi — wzdycha. — Och! Helen. Tak za nim tęsknię. Ten ból. On nie przechodzi. Ty mnie rozumiesz. Czasem jest mniejszy, a potem nagle zobaczę w szafce etui na jego okulary i wraca ze zdwojoną siłą.

Przytakuję w osłupieniu, bo co innego mogę zrobić?

Mama znów wzdycha.

— No cóż — mówi i odłamuje spory kawałek czekoladki — taka już jest cena miłości.

Myślę o tym, co powiedziała, długo po jej wyjściu. Vivienne zapowiedziała się z wizytą, żeby mama doradziła jej, którą su-

kienkę ma włożyć na ostatnią premierę Jeremy'ego. „Naprawdę n.e w.em, po co”, gdera mama. „I tak wszystkie są czerwone I wyszywane cekinami”.

Ja tymczasem czuję, że płacę za miłość, która wróciła do źródła, zanim w ogóle zdążyłam jej spróbować.

ROZDZIAŁ XLV

Moja mama wcale nie zamierzała być kiepskim rodzicem, po prostu jakoś jej tak wychodziło. Jej wsparcie było nieco nieskoordynowane, delikatnie mówiąc. Gdy miałam jedenaście lat, zrobiła wielkie zamieszanie i urwała się z pracy, żeby zobaczyć, jak biorę udział w szkolnych zawodach w pływaniu. Przybyła na miejsce, a ja dopłynęłam trzecia. Wszystkich zawodników było zresztą czterech.

— Byłam pewna, że wygrasz — oświadczyła, gdy wymęczona i pokonana opadłam na siedzenie samochodu. Rozpromieniłam się na ten dowód wiary w moją osobę, a mama dodała: — Pozostałe dzieci były takie wątle. Co za wstyd, że poszło ci aż tak źle!

Od tego czasu minęło prawie dwadzieścia lat, ale ja wciąż mam się na baczności i dlatego długo się waham, czy powiedzieć jej o Tomie. Jestem zbyt delikatna, żeby radzić sobie z jej wątpliwym wsparciem. Jednak gdy w końcu się poddam i zwierzam, mama reaguje zadziwiająco optymistycznie.

— Wróci do ciebie na kolanach! — mówi. — Zawsze w końcu wracają! — I proponuje, żebyśmy zamiast tego poszły razem na zakupy. — Nie zaszkodziłyby ci jakieś bardziej kolorowe ubrania. Nic dziwnego, że tak się wciąż zamartwiasz.

Gdy jesteśmy tak blisko, niezmiennie zadziwia mnie jej zdolność ciągłego wygłaszania to pochwał, to ostrej krytyki.

W przerwach od obelg rzucanych pod moim adresem przez najbliższych tkwię w domu. Do salonu wstawiłam lampę, a na

lodowce zainstalowałam sprośne magnesy i mieszkanie staje się z każdym dniem bardziej przytulne i bardziej moje. Lubię w nim przebywać. I mam ku temu wiele okazji, bo zupełnie nie czuję się w nastroju do imprezowania. A jeśli już spotykam się z moimi przyjaciółmi, to w dzień. Oni także nie są chyba w najlepszym nastroju.

A propos — wczoraj widziałam Tinę. Wróciła do pracy i choć wygląda na zmęczoną i na granicy wytrzymałości, to pierwsze słowa, jakie usłyszałam, gdy wpadłam do pracy, brzmiały:

— No, dobra, ty stara zołzo!

Uśmiechnęłam się od ucha do ucha i odpowiedziałam wesoło:

— Witaj, zdziro!

I rzuciłyśmy się sobie w ramiona. Takie błogosławione skrzyżowanie Romford z New Jersey.

Później, gdy wymknęłyśmy się na kawę, Tina powiedziała, że czuje się już silniejsza.

— Znaczą się. Luke cały czas ci pichci — zażartowałam, patrząc na jej zabiedzoną twarz.

Ku mojemu zdziwieniu Tina odpowiedziała na to z wielką żarliwością:

— Ten facet to prawdziwy klejnot. Wszyscy byliście tacy wspaniali, szczególnie ty. I policja była dla mnie dobra. Dali mi różne ulotki. Nigdy nie zapomnę, że tyle dla mnie zrobiłaś, Helen. Bóg jeden wie, że potrzebowałam wsparcia. Ja... ojej... nie jestem jeszcze w stanie o tym mówić. Nie mogę. Zbyt boli. Może potem. Ale Luke. Nie wiem, co ja bym bez niego zrobiła. Jest takim oparciem. Bo to wszystko nie było dla mnie łatwe, Helen. To takie przerażające... być znowu w świecie. Może to brzmi jak szaleństwo, ale przy Adrianie czułam się bezpieczna. Nie wiem, co się z nim dzieje, ale boję się. Musi być na mnie wściekły jak cholera. Jestem na niego skazana. Czasami myślę sobie, przeżyłam tyle, to przeżyję, jak mnie jeszcze raz pobije. Ale Luke mówi, że już więcej nie zobaczę Adriana. Jest tego taki pewien. Prawie mu wierzę. Powinnam być szczęśliwa, ale nie wiem, co czuję. To tak, jakby zagościła pustka tam, gdzie powinno być

uczucie. Może poczuję się inaczej, gdy już będzie po rozprawie. Ale nie wiem, czy dałabym radę bez Luke'a. Mówię ci. Każda kobieta zasługuje na takiego Luke'a.

Spokorniała odpowiedziałam tylko:

— Nie, Tina. To ty zasługujesz na Luke'a. — Ale nie chcąc zabrzmieć zbyt tkliwie, dodałam zaraz: — Tylko na takiego Luke'a z większym pojęciem o higienie i ubieraniu się.

Tina zaoponowała bardzo cichutko:

— Jest w porządku.

Natychmiast zrobiło mi się głupio. Starając się, żeby to zabrzmiało jak żart, ale z nadzieją na prawdziwą informację, zakrzeczałam:

— Ach! Więc to tak!

I choć Tina upierała się, że wcale nie tak i że zamierza jeszcze długo być sama, wiedziałam już, że to tylko kwestia czasu i będzie OK. A dziś rano nad moim tostem z marmoladą pomyślałam sobie: „Dlaczego dla mnie nie może też być nadziei na OK? Mogłabym powiedzieć, że zawsze jestem tylko druhną, a nigdy nie panną młodą, ale ja nawet nigdy nie byłam druhną! Jak te druhnny w ogóle śmieją narzekać? Nawet nie wiedzą, jakiego mają fuksa w tych swoich liliowych płatkach”.

Gdy tak pograżyłam się w tych ponurych myślach o niewdzięczności pewnych osób, usłyszałam głuchy łomot. Czyli kolejny rujnujący mnie rachunek. Złazę na dół, żeby przeżyć załamanie finansowe, ale na podłodze leży wielka, biała koperta. Chwytam ją natychmiast, rozrywam i przyglądam się zawartości. Nabazgrane: „Kochanie! Spójrz tylko, co znalazłam!”. I wyblakła karteczka urodzinowa. Na rysunku mały pingwinek w wełnianej czapeczce i szaliku niesie kwiatki (jak to one). I napis: „Dla Ciebie Tatusiu na Twe urodziny”. Otwieram i zaczynają mnie szczypać oczy. „Kohanemu Tacie! — napisała mała dziewczynka jak najstaranniej. — Całuski, przytulaski i najlepsze życzenia i bardzo koham tfoja Helen xxxxxx oooooooo”.

Czekam do 9.32 i dzwonię do Laetitii.

— Halo? — szepczę i zmuszam się do słabego kaszlnięcia.

— Laetitia? Tu Helen [uhmy, yhmy] nie czuję się najlepiej. Umieram [rżenie] z bólu głowy, i [kaszel] chyba jestem chora [pociągnięcie nosem]. Chyba muszę [sapnięcie przez jakoby zatkany nos] iść do [chrząknięcie] lekarza. Czuję się [sapnięcie] naprawdę okropnie.

Czekam na wojenny okrzyk:

— Tylko mi tu nie wciskaj kitów, ty obiboku, masz tu być najdalej za minutę albo wywalę cię na zbity pysk!

Ale Laetitia mówi tylko:

— Nie przychodź, póki nie przestaniesz zarażać.

Zgadzam się potulnie, odkładam słuchawkę i wyję:

— Nagroda dla najlepszej aktorki roku trafia do rąk pani Helen Bradshaw! Za jej oszałamiające wystąpienie! Ta da da da!

Potem pakuję wszystkie potrzebne mi rzeczy, zabieram z łazienki metalowy śmietnik, wskazuję do toyoty i pędzę na cmentarz.

Już zapomniałam, jak tu jest cicho. Tylko te bezczelne samoloty latają co pięć minut. Nie jest tak wietrznie jak w dzień pogrzebu, ale niebo nie jest niebieskie, tylko szare. Patrzę na wymarły krajobraz białych nagrobków i wzdycham. Kto by pomyślał. Mam nadzieję, że nikt nie widział, jak wchodziłam tu z tym koszem. No i w spodniach. Rozglądam się, potem kucam i czytuję napis na płycie wyglądającej na bardzo starą. „Bądź wola Twoja”. To się pewnie nazywa podporządkować się komuś.

Chodzę po cmentarzu ze śmietnikiem pod pachą i gapię się na groby obcych mi ludzi. Marszczę brwi na widok: „Odeszła, ale nie na zawsze”. Cholerni optymiści. Stwierdzam, że „Bo nie znacie dnia ani godziny, gdy przyjdzie wasz Pan” to jednak trochę panikarstwo. Z przykrością czytam inskrypcję na grobie dwudziestodwuletniego Joeya Steadmana:

„Dla świata był tylko częścią.
Dla nas był całym światem”.

Mija dużo czasu, nim docieram wreszcie do grobu ojca.

W końcu stoję jednak i patrzę na imię. „Maurice Bradshaw” w granicie. Pierwsza moja myśl to, co, do kurwy nędzy, robi imię mojego ojca na cmentarzu! Wpatruję się w to „Maurice Bradshaw” i coraz bardziej mnie to irytuje. Powoli wyciągam rękę i dotykam zimnego kamienia. Czuję pod palcami każdą z tych dostojnych liter. Maurice Bradshaw. Jego rząddek jest już prawie zapełniony grobami ludzi, którzy zmarli po nim. Ale sam nagrobek wygląda bardzo świeżo. Przyglądam się jeszcze chwilę i zauważam, że tuż obok jakiś mlecz walczy o przetrwanie.

— On nie cierpi żółtego! — mruczę. Coś tu obezwładnia mnie. Czuję, że mogę tak stać i gapić się aż do nocy.

Gapię się i gapię. Potem klękam na ziemi tuż przy grobie ojca, wygrzebuję z torebki notes i pióro i zaczynam bazgrać. Kamyczki wbijają mi się w kolana mimo spodni, ale to mi nie przeszkadza. Nawet mi się podoba to uczucie. Kiedy kończę, mam spodnie mokre od błota i bolą mnie kolana. Próbuję się otrzepać — ale tylko rozmazuję błoto — i czytam, co napisałam.

Kochany Tato!

Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku.

Bo u mnie nie. Tęsknię za Tobą i jest strasznie. Przykro mi, że to wszystko tak wyszło. Oczywiście z rodziny nie było żadnego pożytku. Nie cierpię kuzyna Stephena. Jest żałosny. Był tak zachłanny podczas czytania twojej ostatniej woli, że babcia musiała mu dosłownie powiedzieć, żeby się zamknął. I miał w kącikach ust resztki majonezu. To było obrzydliwe. Nikt się nie zdobył nawet na odrobinę współczucia czy przyzwoitości. Cioteczna babka Molly nie dzwoniła do babci Flo już od wieków. Ale z babcią się dogaduję i w ogóle chyba z nią już trochę lepiej. To dzielna kobieta. Mamusia jest troszkę mniej dzielna, ale byłbyś z niej naprawdę dumny (poza tym numerem z żyłami). Była wspaniała, gdy się przeprowadzałam do

własnego mieszkania. Pewnie ucieszysz się, jak się dowiesz, że jest dobrze położone.

Kiedy umarłaś, straciłam pewność siebie. Nagle nie wiedziałam już, kim jestem. I co mam robić. I jeśli już musisz wiedzieć, dalej nie czuję się najlepiej. Być może Twoja śmierć TWOJA ŚMIERĆ TWOJA ŚMIERĆ TWOJA ŚMIERĆ TY JUŻ NIE ŻYJESZ NIE ŻYJESZ NIE MOGĘ W TO UWIERZYĆ DLACZEGO NIE MOŻESZ PO PROSTU WRÓCIĆ DLACZEGO DLACZEGO DLACZEGO DLACZEGO TO JUŻ PRAWIE ROK A WCALE NIE JEST LEPIEJ. Niewielu mnie rozumie. Myśla, że wiedza, co czuję, co powinnam czuć, co muszę czuć, w porównaniu z tym, jak źle znosi to wszystko mama... Jestem od niej o dwadzieścia dziewięć lat młodsza, więc odjąć smutek do drugiej potęgi, dodać jeden... Nie chcę narzekać. Oni chcą dobrze. Nie ma sensu ich przekonywać, że tak nie jest. To jakby przekonywać babcię Flo, że to nieprawda, że homoseksualiści tylko tak udają na złość rodzicom. Ale mama i ja coraz lepiej się dogadujemy, i to dobrze.

Szkoda, że myśmy nie umieli się dogadywać. Tato. Było mi tak przykro, że nazywałaś mnie Grinchem. Tak się starałam. Tato. Kochałam Cię. Chciałam, żebyś też mnie kochał. Przepraszam za porównanie, ale to było jak zmuszanie toyoty do jechania po stromym zboczu w górę. Chciałam Ci nawet powiedzieć, że Cię kocham, wtedy w szpitalu, i mówiłam to, ale tylko w myślach. Mam nadzieję, że umieranie nie było takie bardzo straszne, zostawienie nas i utonięcie w ciemnościach. Mam nadzieję, że grasz tam sobie z dziadkiem w golfa i żeście się w końcu poznali. To musi być dla was miłe spotkanie.

Zastanawiałam się wciąż, co ja takiego zrobiłam, że tak mało Cię obchodziłam, ale teraz już rozumiem, że obchodziłam Cię, ale na Twój sposób. Mama mówi, że czę-

sto byłeś niemiły. To dobrze wiedzieć, że nie chodziło tylko o mnie. Bez urazy, ale nie wszyscy faceci są, na szczęście, tacy jak Ty. Niektórzy bardziej się starają. I myślę, że to dobrze.

W każdym razie, mam nadzieję, że nie jesteś zły, że Ci to wszystko mówię; to był już najwyższy czas. Wciąż Cię kocham. I czuję się już teraz lepiej. „Całuski, przytulaski i najlepsze rzyczenia i bardzo kocham tfoja Helen xxxxxxxx ooooooooo”.

Pamiętasz?

2 Nie chcę tu przesadzić z powagą chwili, ale naprawdę czuję się, jakbym właśnie miała lewatywę.

Wzdycham głęboko i składam list. Potem sięgam po mój śmiertelny zestawik. Otwieram szary, papierowy woreczek i wkładam list do środka. Wkładam tam też mercedesa (żeby podwoził tatę do niebiańskiego klubu golfowego), złoto-srebrny zegarek z napisem „Rolex” (bo lubi być punktualny), chiński złoty listek, banknot z Banku Piekło (żeby sobie kupić jakiegoś drinka). I jeszcze pięć ostatnich stron wyrwanych z *Single and Single* Johna le Carre (bo nie zdążył doczytać). Dorzucam okulary, pióro i papierosy. Potem wypisuję jego imię na woreczku, zapisuję datę nadania na karteczce i przyczepiam ją. Zaklejам całość.

Rozglądam się wokół, czy nikt nie patrzy, ale jest zupełnie pusto. Ukradkiem zapalam trzy kadzidełka — dla pewności chwam się za nagrobkiem — i myślę: „Tata, tata, tata”. I nagle mnie oświeca, jasna cholera, przecież tak mogę wezwać jakiegoś zupełnie obcego tatę, więc szybko poprawiam to na: „Maurice Bradshaw, tata Helen, Maurice Bradshaw, tata Helen”. Po tych kilku pachnących minutach gaszę kadzidełka w ziemi i zapalam czerwoną świeczkę.

— Dobra, tatuś — szepczę, czując się tylko odrobinę głupio. — Wysyłam ci forszę, fajki i merca, bo może i to ci się spodoba, choć wiem, że to nie jest za bardzo zen. Wysyłam ci też

Johna le Carre, ale proszę, przeczytaj najpierw mój list. No, dobra, to wysłałam.

Wciskam świeczkę w ziemię zaraz za nagrobkiem, żeby nie zgasła. Potem zaczynam się zastanawiać, czy powinnam podpalić wszystko razem jak jakiś piroman, czy raczej postąpić jak umiarkowany dziwoląg i spalić każdą rzecz pojedynczo. W końcu równie dobrze mogę postąpić w sposób zorganizowany. Jestem to winna tej mojej głupiej liście. Wysypuję wszystko na ziemię. Najpierw podpalam woreczek, żeby wszystko, co potem wyślę, miało w czym lecieć. Składam chiński pieniązek tak, jak mnie nauczyła Lizzy, wrzucam do mojego metalowego kosza i pocieram zapałkę.

Pieniązek j>łonie i kurczy się, pomarańczowe płomienie wiją się jak robaczki i oddają papier popiołom. Wpatruję się oczarowana. Roznosi się słodki, uderzający do głowy, niemal mdlący zapach. Boję się, że dym sprowadzi mi na kark jakichś grobostrażników (jakkolwiek by się nazywali), i co chwila wyglądam zza nagrobka, żeby sprawdzić, czy nie leci w moją stronę jakiś funkcjonariusz i nie wymachuje pięściami. Ale nie leci. Potem zapalam banknoty z Piekła. Patrzą, jak zmieniają się w popiół, po czym zapalam papierosy (mam nadzieję, że nie będzie tak, że ojcu dostaną się już same pety). Potem po kolei pióro, zegarek, okulary, bo nie chcę przecież, żeby ogień wymknął mi się spod kontroli. Tata byłby przerażony. Potem przychodzi czas na spalanie merca, co zajmuje mi dobre trzy godziny — nie tego bym się spodziewała po szybkim samochodzie. Potem jeszcze John le Carre. I w końcu mój list.

— Zatraskuję drzwi za tym karawanem — żartuję w szumiącą pustkę. Mam oczy pełne łez od tego dymu i innych rzeczy, więc wycieram je dłonią, a dopiero potem uświadamiam sobie, że jest brudna. Spoglądam w dół i widzę, że w ogóle cała jestem niezbyt czysta. Wyglądam jak zwęglony ziemniak. Twarz pali mnie i piecze od pochylania się nad koszem, boli mnie gardło, a nogi mam mokre i przemarznięte. Ale nic mnie to nie obchodzi.

Serce wali mi jak szalone, gdy patrzę na unoszący przez wiatr popiół.

ROZDZIAŁ XLVI

Wracam do domu jak w transie, przed oczami wciąż tańczą mi płomienie, dłonie mam czarne od sadzy. Pędzę ulicami niezwyknięta. Nie mam w głowie żadnych konkretnych myśli, tylko obraz popiołu unoszącego się w powietrzu, jakby ktoś wypuścił tysiąc białych motyli. Wbiegam na górę, spoglądam do lustra, żeby zobaczyć, czy wyglądam jakoś inaczej, i zamiast własnego odbicia widzę brudnego łobuziaka. Gdy próbuję wziąć głębszy wdech, odnoszę wrażenie, że mam na sobie gorset ze stali. Powoli kładę dłonie na klatce piersiowej i czuję, jak mi wali serce. Stoję nieruchomo. I ból straty, rozdzierający mnie, jakby diabeł szarpał mnie za duszę, staje się powoli mniejszy.

Później, gdy już śpię, nie gonią mnie po schodach żadni prześladowcy.

Ale los postanawia jakoś nadrobić ten brak koszmarów. Otwieram rano oczy i natychmiast czuję się nie najlepiej. Najpierw przychodzi mi do głowy, że może zaraziłam się czymś na cmentarzu. Wszystkie te zarazki unoszące się nad ziemią. Potem zastanawiam się, czy jednak nie jest to kara za to, że skłamałam Laetitii, ale jeśli tak, to Bóg nie ma za grosz poczucia sprawiedliwości i beznadziejny gust, jeśli chodzi o kobiety. No i przecież, skoro zrobiłam tak wielki krok w stronę „wyegzorczyzmowania” ducha — w końcu poświęciłam nawet mercedesa — to powinienam czuć się lekka, pełna energii i wigoru.

Tymczasem mam w sobie tyle energii, co martwy kangur. Unoszę się na łóżku i próbuję wydać z siebie ciche „hhu hh”.

Tak, jak myślałam. Moje gardło płonie, w mojej głowie huczy, a oczy ktoś mi chyba przetaił amoniakiem.

Opadam na poduszkę i gapię się w sufit. Świetnie. A więc dzień po tym, jak odwiedziłam grób mojego ojca, nawiedza mnie nudny morał z bajki o chłopcu, który krzyczał „Wilk!”, mimo że wilka nie było. Jestem już na to za stara, myślę sobie, gdy krzywiąc się z bólu, próbuję usiąść. Już się nauczyłam z bajek wszystkiego, czego trzeba. Dzięki *Czerwonemu Kapturkowi* i *Trzem kozłom na moście* nabawiłam się panicznego strachu przed babcią Flo i przed mostami.

— Jestem słaba jak kociak — użalam się, gdy Fatboy rzuca się na moje łóżko z siłą małej torpedy. Drepczę do kuchni i mało nie wymiotuję, gdy próbuję otworzyć mu puszkę. Potem dzwonię do pracy i zostawiam zachrypniętą wiadomość. Dzwonię też do lekarza i domagam się, żeby mnie natychmiast przyjął.

— Jest na urlopie — szczebiocze podstarzała recepcjonistka. — Będzie się pani musiała udać do dyżurującego aktualnie lekarza, doktora Sandsa. Może być dziesięć po jedenastej?

Całą minutę opieram się ciężko na ladzie recepcji, zanim jedna z trzech siedzących za nią kobiet przestaje ziewać i raczy mnie zauważyć. Już mam powiedzieć słodko: „Przepraszam, pani Cerber, że przeszkadzam, ale zaraz tu wyzionę ducha”, kiedy jednak otwiera usta i mówi:

— Tak, słucham panią.

Przedstawiam się i zostaję odmeldowana do poczekalni. Siedzę tak daleko od wszystkich chorych, jak to tylko możliwe. Na stoliku leży „Hello”, ale obawiam się, że to by było dla mnie zbyt duże wyzwanie intelektualne. Przełykam ślinę ostrożnie — zupełnie jakbym połykała piłeczkę do golfa — i zamykam oczy.

Mija wiek i jakiś szorstki głos woła:

— Helen Bradshaw!

Skaczę na równe nogi i truchtam do gabinetu. Dyżurujący lekarz spogląda na mnie, ja spoglądam na niego i upadam na duchu. Doktor Sands ma około dziewięćdziesięciu trzech lat, gdzieś niedługo kępkę żółtosiwych włosów, garb i postawę pełną pogar-

dy. Zaczynam mu opisywać symptomy mojej choroby, ale mi przerywa, jakbym była po prostu zbyt tępa i głupia, żeby mnie w ogóle słuchać. Zagląda mi w gardło i mruczy:

— Nic tu nie widzę.

Mam ochotę krzyknąć: „Co pan? A przełyk w ogóle pan widzi?“, ale opuszczają mnie resztki sił. Jego lekceważenie odbiera mi mowę.

Zbieram się w sobie i mówię pewnym siebie głosem:

— Niedawno zmarł mój ojciec, była zestresowana i smutna, być może...

— Kiedy? — pyta lekarz.

Zaciskam pięści i odpowiadam:

— W lipcu. — I dodaję: — Jestem po prostu przemęczona, nie miałam czasu tego przemyśleć. Może gdybym miała tydzień urlopu...

Doktor Sands znów mi przerywa.

— Tydzień nic tu nie pomoże — szydzi. — Mogę przepisać pani leki antydepresyjne.

Teraz moja kolej, żeby przerywać:

— Nie chcę leków antydepresyjnych! — warczę. — Chcę sobie z tym poradzić, a nie to zagłuszyć! — Spoglądam na jego twarz, widzę bezbrzeżne znużenie i dochodzi do mnie, że tracę czas. — Dobra, jakoś sobie poradzę — mówię i wychodzę.

Wściekam się i gotuję ze złości całą drogę do toyoty, a potem pędzę do domu z prędkością dźwięku. Protekcyjny, stary cap. A gdybym tak miała raka gardła? Pewnie by mi poradził, żeby sobie possała cukierka. Myślę sobie złośliwie, że doktor Sands może zawsze wylecieć z pracy i umrzeć w niedalekiej przyszłości.

— Już właściwie stoi nad grobem — przekonuję w swej podłości kierownicę — i po prostu chce zabrać ze sobą, kogo tylko się da. — Nim docieram do domu, wypala się moja agresja. Opadam na łóżko i usypiam.

Budzę się o 15.00 i czuję się nieco oszołomiona. Przełykam, żeby sprawdzić, co z gardłem. Nie najgorzej. Gdybym tylko była

w stanie zebrać myśli. Nie mogę wrócić do pracy, po prostu nie mogę. Nie dam rady nic r o b i ć. Nie zniosę rzeczywistości: biegania po pranie Laetitii i tak dalej. Chcę po prostu być. Leżę na plecach i znów widzę płomień spalające banknoty z Piekła. Mam wrażenie, że tylko to sobie wymyśliłam. Podnoszę z podłogi wczorajszą bluzkę i wącham. Jest brudna od błota, śmierdzi dymem i kadzidłami. Zastanawiam się, czy ojciec otrzymał przesyłkę. Nie mogę się powstrzymać od śmiechu, gdy sobie wyobrażę jego minę. Może powinnam była wysłać też coś dla dziadka Geralda? Nie. Zawsze może się podzielić z tatą. Nie można przesadzać. To jak karmienie gołębi w Regent's Parku. Jak nakarmisz jednego, to jest to przyjemnie brytyjskie. Jak nakarmisz dwa, to już zaczynasz lekko szaleć, a zanim się obejrzyysz, już masz na głowie ptasie gównno.

Po jakimś czasie dzwonię do pracy. Starannie dobieram słowa. Nie naciagam faktów. Prawie ich nawet nie ulepszam.

— Laetitia — oświadczam ponuro. — Byłam u lekarza i on się upiera, że mam brać leki przeciwdepresyjne. Chodzi o to, że to by oznaczało urlop zdrowotny, a ja nie chcę cię zostawiać na lodzie. Szczególnie, że mamy teraz tak mało ludzi. Ale jestem pewna, że jeśli wezmę sobie tydzień urlopu, to jakoś sobie poradzę. Czy takie rozwiązanie wydaje ci się rozsądne?

Laetitia bez słowa skargi nagradza mnie tym tygodniem oraz następnym.

Pierwsza dzwoni Lizzy.

— Helen! — huczy. — Co się stało?

Przeżrana jej tonem, który wyraźnie sugeruje, że moja śmierć jest bliska, odpowiadam:

— Nic się nie stało, a dlaczego pytasz?

— Laetitia powiedziała naczelnemu, który powiedział redaktor do spraw zdrowia i urody, a ten powiedział mi, że jesteś nie-zrównoważona i że trzeba cię izolować dla bezpieczeństwa pozostałych pracowników! — wybucha Lizzy.

Jako że przewidywałam taki obrót sprawy, odpowiadam wesoło:

— Laetitia jest wielką, ryczącą krową, która mogłaby się wreszcie nauczyć trzymać mordę na kłódkę.

Cisza.

— Czyli to prawda? — szepcze Lizzy.

— Nie! — piszczy. — To nie jest prawda! Wszystko ze mną w porządku! Tyle że jestem zmęczona. Wczoraj spaliłam twój śmiertelny zestawik. Pomogło.

W słuchawce Lizzy niemal wybucha z radości:

— To cudownie! — wrzeszczy. — Czy było wspaniałe?, mistycznie?, intensywnie?, wielka ulga?

Lizzy — wśród swoich licznych talentów — do mistrzostwa opanowała zdolność posługiwania się superlatywami, więc od razu panikuję. A co jeśli cały mój wysyłkowy rytuał nie był wystarczająco emocjonalnie ekstremalny?

— To było dość intensywne — mówię ostrożnie — ale wciąż się bałam, że przyłapie mnie jakiś strażnik grobów. — Wiem, że Lizzy zaraz zacznie pytać: „Kto?“, a ja naprawdę nie czuję się na siłach, by rozpocząć z nią taką rozmowę, więc dodaję szybko: — To było wspaniałe. Czuję się o wiele lepiej, w moim wnętrzu, ale jestem chora, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Ból gardła. Pewnie od dymu. Więc biorę kilka dni wolnego.

W Lizzy budzą się geny Błyton i wzdycha:

— Och! Tobie to dobrze. A ból jest pewnie pochodzenia psychosomatycznego. Jestem pewna, że spadł ci z serca wielki ciężar.

Tak się składa, że jest to wyrażenie, którego nienawidzę, więc rzucam:

— Mam nadzieję, że nie. Przy mojej figurze nie mogę sobie na coś takiego pozwolić.

Lizzy puszcza tę uwagę mimo uszu i kontynuuje:

— Po prostu odpoczywaj i umocnij się w tym, co osiągnęłaś.

To z kolei sprawia, że staje mi przed oczami obraz mnie samej jako kokoszącej się kwoki. Ziewam i stwierdzam:

— Tak, będę dużo spać.

Lizzy — która jest dzisiaj jeszcze bardziej żarliwa niż zwykle — mówi:

— Dobrze, ale nie powinnaś spać więcej niż dziewięć godzin dziennie. Jeśli mimo to będziesz ospała, być może brakuje ci żelaza. Tom się odzywał?

— Nie — odpowiadam chłodno. — A Brian?

— E, nie! — woła Lizzy, która nigdy nie patrzy wstecz.

W następnych dniach dzwoni do mnie mama („Świeże powietrze, kochanie, i pij mleko”), Tina („Przyjadę na rowerze z chipsami”), Luke („Widziałem się wczoraj wieczorem z Tomem, ale nie mówił nic o tobie, a czy Tina mówiła coś o mnie?”) i babcia Flo.

— Cecelia mówi, że kiepsko się czujesz. Czy to miesiączka?

Gdyby nie to, że leżę, gdy odbieram ten telefon, padłabym z wrażenia. Mam ochotę zapaść się pod ziemię jak jakiś kret.

— Nie — mówię ponuro. — Nie. Bolało mnie tylko gardło, ale już mi lepiej, babciu. Wzięłam sobie tydzień wolnego. — Ale niestety nie od krewnych, dodaję po cichu. Zapada cisza, więc po chwili dodaję: — Chciałabym do ciebie wpaść. Mogę, jak wyzdrowieję?

— Ja się stąd nie ruszam — odpowiada babcia krótko.

Po rozmowie z babcią zostaję ze sobą sam na sam na dziesięć dni. Przystaję już czekać na telefon od Toma, co oznacza, że przestaję podnosić słuchawkę i sprawdzać, czy nie zepsuł się telefon. Śpię po dziesięć godzin w każdą noc plus poobiednia drzemka (głównie na złość Lizzy) oraz — po raz pierwszy od nie wiem kiedy — robię sobie manicure. Jest mi okropnie nudno.

Spędzam dużo czasu na wrzosowisku. Zabieram ze sobą *A Taste for Death*, koc, bajgle i spray do włosów (na złoczyńców), siedzę na drewnianej ławce, jem, czytam, gapię się na ludzi i psy. I dużo też na niebo. Wiezorami gram w rzutki w pokoju — mam do tego talent — i słucham Sandpipersów. Co dziwne, piosenka *Guantanamo* przypomina mi ojca. Mogę sobie tylko wyobrazić, że ją lubił. Najpierw chce mi się przez to płakać, ale włączam ją dwadzieścia razy pod rząd i przestaję już na mnie ro-

bić wrażenie. Wsłuchiwanie się w tekst też pomaga. Dwa dni przed moim terminem powrotu do pracy nudzi mi się wrzeszczenie „Sto osiemdziesiąt!!!”, więc postanawiam spędzać czas bardziej aktywnie. Dzwonię do Tiny i pytam, czy nie poszłaby na łyżwy.

— Na łyżwy? — upewnia się Tina takim głosem, że zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem nie powiedziałam niechcący „połączyć po jaskiniach”. Więc mówię jej, że widziałam to w telewizji i że będzie świetnie. Poddaje się, ale „tylko dlatego, że siedziałas tak sama przez całe dwa tygodnie”. Dwie godziny później ślizgamy się po lodowisku na miękkich nogach i co chwila podcinają nas jakieś ośmiolatki.

— Już chwytam, o co tu chodzi! — krzyczy Tina, machając rękoma jak mały wiatraczek.

— Jestem wykończona, umieram z gorąca i zmęczenia — sapię po dziewięciu minutach potykania się. — Muszę natychmiast zjeść miętowe ciasteczko. Chyba mają je tu w barze. — Drepczemy do barierki, żeby odetchnąć, dzięki czemu odkrywam coś niebywałego: — Patrz! Umieję jeździć do tyłu! — wyję, trzymając się kurczowo bandy i uderzając w nią nieco.

— Też tak chcę! — oświadcza Tina, pokazując mi palcem nastoletnią piękność w iskrzącej się spódniczce i białych łyżwach, która wjechała na sam środek lodowiska i wiruje tam jak jakiś bączek.

— No to już — mówię.

— No to już — zgadza się Tina.

— Ale — oponuję. — Ona ma białe łyżwy, a ja mam takie niebieskie, tępe, jak nie wiadomo co. Ona ma najlepszy kawałek lodu. Mój jest zupełnie wyjeżdżony. A poza tym mam puchową kurtkę i pikowane spodnie. Jestem zupełnie nieprzygotowana.

— To, że jesteś ubrana jak pączek — nabzdycza się Tina — nie ma tu nic do rzeczy. To tylko wymówka.

— Dobra! — krzyczę. — Dobra! Sama tego chciałaś! Tylko spójrz!

Mniej więcej trzy sekundy później ciągnę się do szafek na

buty z obitym ego i mokrym, zmarzniętym tyłkiem. Tina, potykając się, ciągnie za mną jak małe yeti.

— Ha! ha! ha! Twoje nogi dosłownie ha! ha! ha! wyleciały ci ha ha ha spod tyłka — ryczy i zanosi się śmiechem. — Wyglądałaś jak ostatni głupol!

Najbardziej napuszonym tonem, na jaki mnie stać, odpowiadam, że nie jestem przecież pingwinem i że w związku z powyższym udam się teraz do domu w celu przebrania się w jakieś bardziej cywilizowane odzienie tudzież żeby wypić gorącą czekoladę i przechadzać się po kuchni jak normalny człowiek, a ona, jeśli już naprawdę nie ma niczego mądrego do powiedzenia, niech już się lepiej nie odzywa.

Ale, jeśli mam być szczerą, świetnie się bawiłam.

ROZDZIAŁ XLVII

Wczoraj wróciłam do „Girltime”, zapłaciłam rachunek za prąd, zadzwoniłam do babci Flo, żeby sprawdzić, czy żyje, dziewczynę, która jest u nas na stażu, wzięłam na kawę, po tym jak Laetitia doprowadziła ją do płaczu, poprosiłam bank o powiększenie mi debetu (odmówili), kupiłam wybielacz i taśmę klejącą, przekopałam trzy sklepy w poszukiwaniu zestawu głośnomówiącego do mojej komórki, umówiłam się do okulisty (tablice rejestracyjne znowu się zrobiły jakieś niewyraźne), uczestniczyłam w spotkaniu redakcyjnym (przedstawiłam Laetiti piętnaście nowych pomysłów), zapisałam toyotę na przegląd techniczny (w warsztacie mieli mnie już dość), i zrozumiałam, dlaczego tata zawsze powtarzał: „Skoła to najpiękniejszy okres twojego życia”.

Dumałam nad tym, jak to okropnie jest być dorosłym i wróciłam myślami do szkolnych lat. Jak czytałam na głos fragment z *Henryka IV* i cała klasa pokładała się ze śmiechu, bo zamiast „zdrada” przeczytałam „zadra”. Albo ta znieawidzona siatkówka. I pomyślałam sobie — dawajcie wszelkie rachunki i psujące się samochody. Robię długi i jeżdżę przynajmniej tak, jak mi się podoba. I już nigdy nie będę musiała zdawać żadnych egzaminów. W college’u mój nauczyciel mawiał: „Kiedy dostaniecie formularze z pytaniami, chcę, żebyście rozejrzeli się po sali z dumnym uśmiechem. To wystraszy całą konkurencję!”. Zrobiłam, jak radził, i jestem pewna, że wystraszyłabym całą konkurencję, gdyby nie to, że wszyscy właśnie rozglądali się po sali, żałośnie próbując się uśmiechnąć. To mnie dopiero wystraszyło. Dostałam 2.

Nigdy więcej! Na szczęście zignorowałam rady ojca i nawet nie próbowałam zostać prawnikiem. (Ich reputacja jest już i tak wystarczająco zła).

Biorę wielki łyk espresso i czuję się spokojniejsza. Jakbym pozwoliła czemuś odejść.

Laetitia jest bezpiecznie pogrążona w „Tatlerze”, więc zaczynam sporządzać listę osób, które mi rozkazywały, gdy miałam dziesięć lat (matka, ojciec, sowa z podręczników dla dzieci, dziewiciu nauczycieli, Michelle, razem trzynaście osób) oraz listę osób, które rozkazują mi, gdy mam dwadzieścia siedem (Fatboy, Laetitia, bank, warsztat samochodowy, Lizzy — czasami, razem cztery i pół, ale wydaje się, że jest ich z osiemdziesiąt cztery i pół). Co oznacza, że z formalnego punktu widzenia jestem o dwie trzecie mniej uciskana niż siedemnaście lat temu. Mam prawie dwa razy więcej władzy. Nie, trzy razy więcej! Zawsze byłam cienka z ułamków — kolejny plus dla terażniejszości. Muszę częściej chodzić do teatru.

Pakuję listę do szuflady i wracam do załamywania się pierwszym poważnym artykułem, jaki Laetitia była zmuszona mi zlecić. Zrobiła to z wielkimi oporami i była w tym trochę podobna do spaniela, którego kiedyś na moich oczach wciągano do gabinetu Toma. Tina zobaczyła, że wychodzimy ze spotkania, i wysłała mi maila donoszącego, że Morticia wróciła ze śladami krwi na kłach i pazurach, więc czy to przypadkiem nie oznacza, że zapomniała o swoim szczepieniu przeciw wścieklicznie? Odpowiedziałam: „Szczepionka przeciw wścieklicznie traci swoją skuteczność, gdy siła jadu szczepionego osobnika jest zbyt wielka. Morticia wściekła się, bo po latach wiernego poddaństwa odwraca się dla mnie moniterek dezodorantu”.

Tina na to: „To mi się podoba. Ale zwierzęta na uwięzi chętnie atakują, więc uważaj. Podaję numer do Wsparcia Ofiar, jeśli nadarzy się potrzeba”.

W napadzie ekstrawagancji stworzyłam taką ripostę: „Będzie potrzebna Morticii. Nawala jej miotła! Już po niej!”.

Była to tak boska myśl (aczkolwiek niewiele miała wspólnie-

go z prawdą), że w „enter” uderzyłam z głośnym „łup”, aż Laetitia podniosła wzrok.

— Co ty wyrabiasz? — warknęła.

— Pracuję nad moim raportem o przemocę — odpowiedziałam wesoło. Laetitia nadeła się jak żmija cierpiąca na napięcie przedmiesiączkowe, ale bez słowa wróciła do lektury „Tatlera”.

Po pracy poszłyśmy z Tiną się napić, żeby, jak powiedziała, uczcić mój sukces. Nie jestem go taka pewna. Laetitia wolałaby opublikować artykuł napisany przez czepiaka czarnego peruwiańskiego, niż cokolwiek stworzonego przeze mnie, więc obawiam się, że moje nazwisko i zdjęcie jeszcze długo nie pojawi się przy żadnym tekście.

— Ale od kiedy obchodzą cię takie rzeczy? — pyta Tina. Wzruszam ramionami.

— Odkąd zdruzziło mi się przebieranie się za tampon.

Tina kiwa głową ze zrozumieniem i mówi:

— Coś w tym jest.

— I potrzebna mi podwyżka — dodaję ponuro. — Mam już serdecznie dość tego, że wciąż muszę żyć ponad stan.

— No, ale bądź pewna, że jeden artykuł tego akurat nie zmieni — prychna Tina.

— Tina! — jęczę. — Staram się robić dobrą minę do złej gry. A ty mi w tym nie pomagasz!

— Przepraszam — mówi Tina. — Tak naprawdę chciałam powiedzieć: To do roboty, kobieto! Nie szczędź wysiłków, a być może za jakiś rok otrzymasz taką podwyżkę, że stać cię będzie na zmianę dezodorantu.

Krzywię się i mówię:

— Nigdy nic nie wiadomo. Być może, gdy już wydrukują mój artykuł, dorwie mnie jakiś łowca głów.

— Takie rzeczy się nie zdarzają — mówi Tina. To znaczy właściwie mówi: „To by było miłe”, ale takim tonem, że znaczy: „Takie rzeczy się nie zdarzają”.

Opadam na krzesło — krzesła w naszym barze są dosłownie zrobione dla kobiet opadłych.

— A co z Adrianem? — zaczynam, ale Tina tylko potrząsa głową i głośno zgrzyta kawałkiem lodu.

— Nie chcę o tym myśleć — mówi.

Widzę, jak jej szczęka się napina, więc pośpiesznie pytam:

— A Luke się odzywał?

Uśmiecha się lekko.

— Opieram się. Jest niesamowity, ale muszę trochę odpocząć.

Wzdycham i mówię:

— To jednak musi być miłe, jak ktoś cię tak dręczy. — Potem uświadamiam sobie, co powiedziałam, i jąkam się: — Znaczy, tego, jak cię dręczy miły facet.

Tina kopie mnie żartobliwie, co — dzięki jej szpilkom od Prady podbitym metalem — jest mniej więcej tak żartobliwe jak przestrzelenie kolana.

— Aua! — wołam, a Tina krzyczy:

— Ciebie też dręczył miły facet. Nie czaję, dlaczego nie jesteście razem. Wydawało mi się, że to trochę przeżyłaś. Już ci całkiem przeszło?

Na myśl o Tomie czuję skurcz serca.

— Nie — warczę. — Nie przeszło mi! Zdycham. Za to nie jem batoników Dime, nie zauważyłaś? Już ich nie mogę jeść, bo się nimi zupełnie przejadłam od tej depresji. Nie jęczę tylko dlatego, że już nawet ja mam dość.

— O jasna cholera! Nie wiedziałam! Czemu nic nie mówiłaś?

Moja brawura gdzieś znika i odpowiadam już tylko żałością:

— A po co? Jak on na mnie spojrzał, gdy Jasper powiedział, że jest moim facetem. Nie życzyłybyś czegoś takiego nikomu, nawet Laetitii. To było gorsze niż próba zjedzenia plastikowych winogron z tacy z owocami u Vivienne.

Tina wygląda na urażoną.

— Ale Jasper przecież tylko koczował na twojej podłodze! Nie zadzwoniłaś do Toma i nie wytłumaczyłaś mu tego?

Znowu wzdycham i mówię:

— Już miliony razy umierałam z chęci zadzwonienia. Ale nie ma co mu tłumaczyć.

Tina tak mocno uderza swoją butelką o stół, że wylatuje trochę piwa.

— Ale oczywiście, że jest!

— Nie, nie ma! — krzyczę. — To, czyśmy się z Jasperem pieprzyli czy nie, nie ma tu nic do rzeczy. Chodzi o to, że w ogóle pozwoliłam mu u siebie zamieszkać.

Tina marszczy brwi.

— Ale dlaczego?

— Bo potrzebowałam go przy sobie. A to było głupie.

— Na litość boską! — irytuje się Tina. — Tom to rozsądny facet. Wybaczy ci jedną...

— Nie, to nie o to chodzi — przerywam jej. — To nie o to. Mój błąd miał z łą o ż o n ą naturę. Wiem, że jest rozsądny, ale nie o to chodzi. Bo tu chodzi o — szukam odpowiedniego słowa — o zaufanie. — Tina milknie. A ja dodaję, czując się tylko odrobinę harlequinowa i żalując trochę, że nie mam na sobie czegoś bardziej odpowiedniego, na przykład pelerynki. — To nawet nie chodzi o to, że on już nie będzie w stanie mi zaufać. Ale o to, że ja sama sobie nie ufam.

Tina wygląda, jakby miała zwymiotować i mówi:

— Przestań, bo się wzruszę. — Ale nie mówi tego złośliwie.

Potem stara się, jak może, zmienić temat dyskusji, co z kolei sprawia, że czuję się jak rozpłakany maluch, którego rozpaczliwie podrzuca się na kolanie, żeby się uspokoił. Tina oglądała wczoraj na wideo *Facetów w czerni* i, nie mówcie Luke'owi, ale zdecydowanie porzucą Roba Lowe'a na rzecz Willa Smitha, który jest po prostu uosobieniem męskości. To, jak obie doskonale wiemy, jest tylko sygnałem dla mnie, żebym powiedziała to, co powtarzam od jakichś dziesięciu lat: To ja odkryłam Willa Smitha jeszcze wtedy, gdy udawał księcia w serialu *The Fresh Prince of Bel Air*, i to ja mówiłam o tym już całe wieki temu, na długo nim stał się ultrapopulamy i wszelkie rozkapryszone pannenki rzuciły się na niego podstępnie, więc jeśli ktokolwiek może mieć prawa do doskonałości Willa Smitha, to ja i tylko ja.

— Mówiłam ci to już i to z milion razy — konkluduję

skromnie. — A poza tym. Rob jest jak escort. To byłoby niegodne opuścić go teraz, po tylu latach, tylko dlatego że pojawił się porsche boxer.

— Tak tylko cię sprawdzam — uśmiecha się Tina.

Gdy wychodzi, siedzę na krześle przy barze i zastanawiam się, czy nie powinnam jednak zadzwonić do Toma. Jako fantazja prezentuje się to bosko. Już widzę ten powrót pełen łez: ja pędzę do niego przez pole pełne jaskrów, moje włosy — może blond, na tę okazję? — powiewają unoszone delikatnym wietrzykiem, słońce oświetla nas złociście, Tom powalony miłością, uśmiechnięty i wysoki, ja zgrabnie wymijam wszelkie krowie placki, a wokół ani jednego turysty. Ale jeśli to rzeczywiście zrobię, sen pryśnie. Pomijając już te jaskry i wietrzyk, nie chcę się oświadczyć i zostać odrzuconą. Ale nie do omdlałych dam dzielni rycerze należą. Dobra, zwykle należeli, ale w dzisiejszych czasach dzielni rycerze są znacznie bardziej leniwi i damy muszą być aktywniejszą stroną w związku. Jeśli do niego zadzwonię, przynajmniej się dowiem. Może już lepiej wiedzieć i umierać, mając pewność. Zadzwonię do niego.

Za jakiś czas.

Jeśli teraz wrócę do domu, będę się czuła moralnie zobowiązana do zadzwonienia do Toma. Więc trzeba zająć się czymś innym. Ale czym? Iść na spacer? Lepiej nie — mogę skrócić kostkę. Do teatru — ta, jasne, już się wszystko dawno zaczęło. Do babci Flo? Nawet mój masochizm ma swoje granice. Po pięciu minutach, w czasie których uświadamiam sobie, że nie mam za grosz wyobraźni, postanawiam zrobić coś, czego jeszcze nigdy nie robiłam. Zjem obiad w restauracji — sama. I, w przeciwieństwie do tych osamotnionych mężczyzn, którzy zawsze zamawiają paellę, a potem brudzą nią sobie swój szary garnitur, nie zabiorę ze sobą żadnej powieści, żeby odgrodzić się od przerażonych spojrzeń osób sparowanych.

I to nie może być żaden fast food. Musi być elegancko. I najlepiej modnie. Muszę się afiszować z moją samotnością. Pójdę do „Garfunkelsa” z wysoko uniesioną głową i zażądam stolika na

samym środku! Nie — nawet lepiej — stolika przy oknie! Niech tylko spróbują upchnąć mnie w jakimś ciemnym kącie, a pozwę ich za dyskryminację! Potęga Aleksa Simpkinsona spadnie na nich z siłą tony sądowych papierów! I zjem trzy dania! I będę to przeciągać, żując każdy kęs pięćdziesiąt razy! I będę się głośno śmiać z własnych myśli, jeśli tylko uznam je za zabawne! Helen Bradshaw na barykady w imię samotnie jadających kobiet!

Kiedy jakiś przysadzisty typ, przechodząc obok, potraça mnie i rozlewa mi drinka, uświadamiam sobie, że wciąż siedzę na tym potwornie niewygodnym krześle przy barze i mam rozpalone policzki (wszystkie cztery, jak sądzę) i spocone dłonie. „Zjadłam ten obiad wirtualnie”, myślę sobie. To równie dobre, jak zrobienie tego w rzeczywistości! Więc mogę już wracać do domu.

Zmuszam się jednak, żeby wejść do pierwszej knajpy, jaka się napatoczyła, i wypada, że to bar z kluskami. Wpadam do środka, trzęsąc się i rozglądając się wokół, ze złością rzucam się na krzesło przy oknie jak wielki, różowy manekin. Zamawiam najprostsze kluchy u podejrzanego uprzejmego kelnera, ignoruję całe otoczenie, wpatruję się z uporem w komórkę, aż wreszcie pojawia się jedzenie; pochłaniam kluski w minutę ze wrokiem utkwionym w fascynujące menu i czuję się jak największy palant w całym wszechświecie, płacę rachunek i znikam.

„Zwycięstwo!”, myślę, sapiąc z wysiłku, gdy biegnę z baru z kluskami szybciej, niż biegłam kiedykolwiek w całym moim życiu. T e r a z mogę zadzwonić do Toma.

Robię kilka wdęeechów, żeby uspokoić oddech. Kręcę głową na wszystkie strony, aż w końcu czuję, że mój kark staje się jakby mniej napięty. Śpiewam „la la la”, żeby się upewnić, czy nie straciłam przypadkiem głosu. Fuu, śmierdzą czosnkiem. Z palającymi policzkami drżącymi dłońmi szukam w notesie numeru Toma.

— No, już! — gderam na samą siebie. — Przecież dopiero co zjadłaś sama w restauracji! To po prostu betka!

Układam notes na sofie. Siadam na poręczy. Wybieram numer.

Dryn — dryn — dryn — dryn — dryn -

Uśmiecham się ze strachu.

— Halo?

Nagle słuchawka robi się śliska.

— Halo, Tom? — rzucam.

— Kto mówi?

Przełykam ślinę i zamykam oczy. Nigdy nie skakałam na spadochronie, ale to musi być podobne uczucie.

— Nie pamiętasz mnie — żartuję niemrawo. — To ja, Helen.
Cisza.

— Tom? — szepczę.

— Tak? — Jego głos jest lodowaty.

— To nie było to, co myślisz z Ja... — zaczynam. Słyszę, że mój głos wypada desperacko.

— Ja... — mówi Tom.

— Wysłuchaj mnie, proszę! — błagam go. Błaganie. Zawsze działa.

— Helen — mówi Tom.

— Jasper i ja nie byliśmy... — próbuję. Wymówił moje imię. Zawsze jakiś początek.

— Helen — mówi znowu.

— Tak? — Wstrzymuję oddech, pełna nadziei.

— Nie — mówi Tom.

— Nie co? — pytam cichutko.

— Przykro mi — mówi Tom.

— Co? — krzyczę. On chyba nie rozumie. Powinnam była wyrażać się ściślej.

— Ja... — zaczyna Tom.

— Chciałabym cię zaprosić na randkę! — wrzeszczę.

Cisza.

— Tom? — pytam szeptem.

— Dzięki — mówi Tom. — Ale trochę się spóźniłaś.

Łup!

ROZDZIAŁ XLVIII

Odkąd zajęłam się kiedyś dzieckiem sąsiadów, a ono **mnie** ugryzło, jestem głęboko przekonana, że żaden dobry uczynek **nie** ujdzie bez kary. Ta sadystyczna prawda potwierdza się wciąż na nowo. Ostatnio zauważyłam, że Fatboy zainteresował się ma-lutką, szarą koteczką w prążki, która mieszka u sąsiadów. Niestety jego rudy brzuch przeraża ją. Więc dziś rano próbowałam go wykapać, żeby zwiększyć jego szanse w zalotach, ale on miauczał, wrywał się i drapał.

— Jestem twoją właścicielką! — pisnęłam za jego znikającym tyłkiem. — Nie zniosę traktowania mojej osoby jak naj-zwyklejszego nieznajomego!

A dziś wieczorem dostaję za swoje — nie trzeba było być miłym dla Vivienne. Mama dzwoni do mnie do pracy, gdy do-pracowuję szczegóły mojego *Jak walczyć z przemocą (w wieku lat dwudziestu czterech)*. Aktualnie artykuł ma jakieś 8 236 słów, więc wymaga jeszcze małej korekty. Laetitia już gdera, że brakuje jej miejsca w tym numerze.

— Kochanie? — zaczyna moja mama głosem oznaczającym kadzenie.

— Tak? — pytam podejrzliwie.

— Kochanie, chcę cię prosić o przysługę. Ale to będzie mi i-ła przysługa.

Moje niedowierzanie okazuje się bardzo trudne do powstrzy-mania, ale jednak mówię tylko:

— Doprawdy?

Moja mama przechodzi do czegoś, co jest bez wątpienia starannie przygotowanym wstępem.

— W tę niedzielę Vivienne robi małe przyjęcie.

Słowa „małe przyjęcie” tłumaczą dziwny ton mamy. Małe przyjęcia Vivienne to już legenda. Vivienne uwielbia wydawać małe przyjęcia. To pozwala jej wdziwiać swoje nowe czerwone sukienki z cekinami. Jej mąż zapada natychmiast w drzemkę na swoim fotelu ze skóry o łososiowym odcieniu, pewnie wykończony wydatkami ponad stan. Vivienne flirtuje ze swoim aktualnym zastępem chłoptasiów, zaopatrując w ten sposób każdego gościa w materiał do plotek na dobry tydzień. I sprowadza tłumy młodych kobiet, które nadałyby się na męża dla jej synka.

I tu właśnie łączą się małe przyjęcia Vivienne z moją osobą. Nie żeby Vivienne choćby i w najgorszych koszmarach śniła o tym, żeby to m n i e zeswatać z Jeremym — moja mama usłyszała kiedyś od znajomej ich wspólnej przyjaciółki, że Vivienne uważa mnie za nieodpowiednią kandydatkę na żonę, bo jestem zbyt „nieprzewidywalna”. To dogłębnie uraziło moją mamę, ale mnie wcale nie przeszkadza, ponieważ tak się akurat składa, iż sądzę, że Jeremy jako kandydat na męża odpada, bo jest zbyt „gejem”. Ale mama Jeremy’ego nie chce tego pojąć, a ja wciąż jestem zapraszana na jej małe przyjęcia, bo nawet te najbardziej nieprzewidywalne mają jakieś znajome.

— Będzie zamówione jedzenie — dodaje moja mama niepotrzebnie.

— Mamuś! Zawsze jest zamawiane jedzenie. Jeśli kiedykolwiek Vivienne cokolwiek piekła, to siebie na słońcu. Daj spokój.

Cisza. Po czym mama rzuca:

— Zimny i ciepły bufet.

Wzdycham.

— To miłe. A jaka będzie tym razem niespodzianka?

Vivienne zawsze się upiera, żeby był też jakiś zupełnie niepotrzebny element. W zeszłym roku były to tradycyjne tańce angielskie i wszyscy goście poniżej wieku emerytalnego wyszli wcześniej. Dwa lata temu trupa Jeremy’ego robiła improwizację.

Wciąż mam przed oczyma duszy mojej ojca, który mówi jakiemuś typowi w leopardziej skórze, żeby „się odpieprzył”.

Moja mama zauważa cierpko:

— Żadna niespodzianka. Będziemy malować palcami. J a t o wymyśliłam! — Zastanawiam się, jak słodko typowy i potworny jest to pomysł, gdy tymczasem moja mama nawija: — Ivi-viennebyłobybardzomiłogdybyśprzyszłaimożeszprzyprowadzićprzyjaciółalboprzyjaciółkiboviennebardzoluźnimiećwokółsiebiemłodzież.

Jest to tak bezwstydne kłamstwo, że aż wydaję z siebie szyderczy skowyt, nim mam czas, żeby się powstrzymać:

— Mamuś!, przecież wiesz, że to nieprawda! Vivienne nie cierpi młodzieży, bo przy młodych osobach ona wypada staro! No chyba, że akurat z nią śpiją. Potrzebuje nas tam tylko dlatego, że chce, by Jeremy się wreszcie ożenił, choć on wolałby przecież wyjść za mąż.

— Kochanie — mówi moja matka. — Vivienne nie wierzy w nic z tych rzeczy. Bardzo zależy jej na ślubie. I była b a r d z o pomocna, gdy szukałaś robotników, prawda? A ja byłam wręcz niezastąpiona, sama tak powiedziałaś! — Rzeczywiście tak powiedziałam i dopiero po fakcie zdałam sobie sprawę z tego, że moja pochwała będzie bronią przeciwko mnie już do końca świata i okolic. — A Vivvy była dla mnie taka kochana. A w ten sposób możemy się jej jakoś odwdzięczyć. A poza tym, będzie miło pójść sobie na przyjęcie, a ja nie chcę iść sama, żeby mnie ci wszyscy pożenieni ludzie pytali: „Jeszcze sobie nikogo nie znalazłaś?”, a Lizzy, Tiny i Luke’a nie widziałam całe wieki, i nie chcę być zdana na towarzystwo babci Flo, chcę tam pójść z jakąś miłą dupą! — Przepracowuję się chyba i padło mi już na słuch.

— Słucham? Co proszę? Z kim chcesz pójść? — Nie mogę pojąć.

— Z trupą! — wyje moja mama.

— Z trupem? — pytam oniemiała. — Z czym trupem, na Boga?

— Nie! — piszczy mama. — Z trupą! Z grupą!

— A, z grupą — upewniam się ponuro.
— Tak właśnie mówiłam — potwierdza moja mama wyniośle. — To przyjdziecie?

— No dobrze — poddaję się. — Będę miła dla Jeremy'ego. Ale nie wiem, czy reszta ma czas. Oddzwonię do ciebie.

— Nie, w porządku, ja do ciebie zadzwonię.

A skoro to mówi, wiem już, że naprawdę bardzo chce, żebyśmy poszli na to małe przyjęcie Vivienne.

— Malowanie palcami! — cieszy się Lizzy. — Jakie to twórcze! Brzmi wspaniale. Miałam mieć wprawdzie przedłużoną sesję z moim kręgarzem, ale zawsze mogę to przełożyć.

— O! Pani droga! Nie robiłabym tego na pani miejscu! — mówi Tina, a potem obie wybuchamy śmiechem na widok zdziwionej miny Lizzy.

— Przyjdźcie, proszę — błagam. — Nie wybaczą mi, jak was nie przyprowadzę.

— Ja idę! — szczebiocze Lizzy. — Uwielbiam takie zabawy!
Na to odpowiadam:

— Jakoś wątpię. — Ale tylko w mojej głowie, bo na głos mówię: — To wspaniale, Lizzy. A ty, Tino?

Tina marszczy nos, przypomina sobie o obecności Lizzy i odmarszcza go, nim Lizzy zdoła ją zganić.

— Będzie żarcie za darmo — dodaję bezwstydnie.

— Nie jestem studentką! — warczy Tina.

— O wybacz! — mówię prędko. — Zrób to dla mnie! Dla mnie! Proszę! Prooooooooooszę! Tak cię pro...

— Do jasnej cholery, niech ci będzie! — wrzeszczy Tina.

— Hurrrrra! — wyję i próbuję przybić piątkę z Lizzy, która nie wie, co ma robić, więc nasze ręce się rozmijają i obie wypadamy dość głupio. — Nie tak, głupolu! — gderam, łapiąc ją za dłoń i pokazując jak.

Tina zakrywa sobie oczy i błaga:

— Przestańcie! Jesteście *tak passe*, że aż nie mogę uwierzyć, iż się z wami zadaję.

Też coś!

— Ja nie jestem *passee!* — wołam święcie oburzona — To ona! Ja wiem, jak się przybija piątkę...

Tina piorunuje mnie wzrokiem spod swych rzęs:

— Złotko, sam fakt, że nazywasz to „piątką”, jest żałosny. To jest tak beznadziejne, że na twoim miejscu nie drażyłabym tematu.

Jedyne, co mi pozostaje, to zaprosić jeszcze Luke'a. Oto, jak moim zdaniem potoczy się nasza rozmowa:

Ja: Cześć, dzwonię zaprosić cię na małe przyjęcie, które w niedzielę organizuje znajoma mojej mamy.

Luke: Kpisz sobie?

Ja: Tina przyjdzie.

Luke: Podaj mi adres.

Kiedy wreszcie dzwonię, nasza konwersacja przebiega tak, jak przypuszczałam. Co sprawia, że znów zaczynam się zamartwiać tym, że nie przewidziałam tego, że Tom ma nową dziewczynę, zanim zjadłam te koszarne kluski i zadzwoniłam do niego.

Tina i Lizzy oczywiście wspierają mnie duchowo, a na Tomie wieszają psy. Nieprawda. Lizzy była raczej „rozczarowana” jego zachowaniem, ale przecież jest bardzo prawdopodobne, że umawia się z kimś tylko „dla żartu”. A Tina była jeszcze mniej chętna do potępienia go. Chyba wciąż pamięta, jak słodko zachował się po tym, jak włamał się do jej mieszkania. Powiedziała mi:

— Złamałaś mu serce, Helen. — Już się chciałam zjeżyć, kiedy na szczęście dodała: — Ale i tak zachował się jak gówniarz.

Rezultat jest taki, że jestem w oficjalnej żałobie. To ma swoje plusy — jestem pod ochroną. Nie jestem aż taka głupia. Gdyby nie Tom, w życiu by się nie zgodziły na to przyjęcie u Vivienne. Choćby i nawet wśród gości mieli się znaleźć Will Smith oraz cały klasztor rozśpiewanych gregoriańskich mnichów.

W niedzielę o zmierzchu dzwoni Tina, żeby odwołać swoje przyjęcie. Nie może spędzić jednej czwartej swojego weekendu

w towarzystwie dżinu z katatonikiem, to jest zupełnie nie rock'n'-rollowe.

— To tylko jedna ósma, jeśli policzysz nocę — upieram się.
— A Luke będzie zupełnie załamany — dodaję. — I ja też.

Tina milknie, więc mówię jeszcze, a mój głos brzmi jak bzycanie komara w ciemnym, hotelowym pokoju:

— Spędzimy tam ze dwadzieścia minut, a potem uciekniemy do jakiegoś pubu.

— Bradshaw, twoja rodzona matka nie jest z ciebie dumna. I tym bardziej nie jestem ja — mówi Tina.

Lizzy pojawia się pierwsza w luźnej, czarnej, bawełnianej koszuli.

— Można ją prać, gdybym przypadkiem się ubrudziła farbami — woła uradowana. — One są rozpuszczalne w wodzie, prawda?

— Nie wiem — odpowiadam zrezygnowana. — I nic mnie to nie obchodzi.

Tina pojawia się o wpół do czwartej, marudząc na północny Londyn. O czwartej dzwonię do Luke'a na komórkę. Ma podeńnerwowany głos, a w tle słyszę jakieś skrzekliwe głosy.

— Coś mnie zatrzymało, ale już prawie jestem u was! — mówi.

— A kto jest z tobą? — dopytuję się.

Głos Luke'a wlatuje dumnie jak dziki orzeł:

— Marcus i Michelle — woła. — Michelle chciała się z tobą zobaczyć. I powiedziała, że ty też się na pewno ucieszysz. Pomyślałem, że to będzie taka miła niespo... o kurwa!

— Co za miła niespodzianka! — jęczę. — Nie ma to jak spotkać faceta, który wyrzucił mnie z domu na bruk i swoją byłą przyjaciółkę!

Luke milknie, a potem mówi:

— Nie mogę powiedzieć o nich nic złego, bo są tuż obok. — Na co skrzeczające głosy stają się jeszcze bardziej skrzeczające.

— I dobrze ci tak! — krzyczę i wyłączam telefon. Tina i Lizzy rzucają się mnie pocieszać: „może potrzebne ci jakieś wyższe

obcasy i ostrzejszy makijaż?", „musisz zanucić upewniającą siebie mantrę”, „jak spyta o Toma, to powiedz, że go rzuciłaś”, „albo powiedz: jako narzeczona pewnie boisz się samotnych kobiet, bo mają ze swej natury większą władzę nad mężczyznami” — na co pod dom zajeżdża fiesta Luke'a.

Michelle wypakowuje się z fiesty cała w obłokach perfum i falbanach jak wielka wata cukrowa.

— Helen, serdeńko, sto lat! — piszczy, a jej fryz i biust podskakują zgodnie. — Tak zdrowo wyglądasz, zaokrągliłaś się!

Staram się zdobyć na jakąś bystrzejszą ripostę niż „pewnie tak”, ale uprzedza mnie Lizzy szybka jak dobrze wychowany pocisk:

— Chyba sobie żartujesz! Nasza Helen dosłownie niknie w oczach!

A Tina przytakuje tylko:

— Ale, ale, za to ty, Michelle, nieźle przytyłaś! Tak to jest, odrobina rozkoszy i spójrz, co się z tobą stało!

Puchaty, różowy płaszcz Michelle zaczyna się trząść, jakby miał zaraz wybuchnąć, a jego zawartość warczy:

— Nawet nie tykam niczego, co daje rozkosz!

Tina spogląda wymownie na narzeczonego Michelle, który stoi za swoją przyszłą żoną jak bardzo posłuszne lub bardzo ogłuszone jagniątko, i śpiewnie woła:

— Biedny Marcus!

Dla bezpieczeństwa fizycznego i psychicznego wszystkich zaangażowanych do domu Vivienne udajemy się w dwóch oddzielnych samochodach.

— No, miejcie litość — krzyczę na samochód posuwający się przede mną z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę — normalnie jakby powoziła karawanem!

— Ale damy radę, nie? — pyta Tina.

— Powiedziałam mamie, że spotkamy się przed domem o czwartej — biadolę. — Będzie szaleć.

I rzeczywiście, gdy już zbliżamy się do naszej arkadii, widzę, że na chodniku jakiś wściekły krasnal odprawia taniec wojenny.

z bliska krasnal okazuje się moją mamą w ciemnozielonym swetrze i takichże spodniach. Babcia Flo siedzi tymczasem w peugeotcie, żując coś, co wygląda jak przekleństwa, ale jest pewnie miętą. Macham do nich, gramolę się z toyoty i wołam:

— Wszystko przez Luke'a.

— Pośpieszcie się — ryczy mama mocno zarumieniona pod warstwami podkładu. — Zjedzą nam wszystkie paluszki rybne! O! Dzień dobry. Luke! Tina! Lizzy! O, i wy! Mój Boże! Są dosłownie wszyscy! A gdzie Tom?

Moja twarz i serce zamierają, a uszy Michélie rosną jak paker na koksie.

— Pilnuje kota Helen — mówi Tina.

— Medytuje — mówi Lizzy.

— Rzuciłam go — mówię ja.

— Myślałem, że to on rzucił ciebie! — mówi Luke.

— Rzucił cię! — mówi Michélie. — Kurczę! To musi być dla ciebie straszne.

— To musi być straszne — mruczy Marcus, odżywając nagle w postaci cichutkiego echa.

Jedyne, co mi pozostaje, to roześmiać się lekko i powtarzać sobie pod nosem: „malutki kutasik”. Wskazuję ręką arkadię, zatykam sobie nos i przez ten nos wołam:

— Dobra, chłopaki. Ja wchodzę!

Następuje zbiorowy szok, gdy Vivienne otwiera drzwi wbita w mocno naciągniętą czerwoną suknię.

— O kurczę, ale obcisła! — woła Luke w podziwie. Tina z impetem nadeptuje mu na stopę.

— Jaka boska suknia! — krzyczy Michélie w uniesieniu. Vivienne natychmiast rozpoznaje w niej pokrewną duszę i uśmiecha się szeroko.

— Vivvy, kochanie, masz szminkę na zębach — mówi moja mama troskliwie.

— Versace — mruczy Tina. — Szóstka, nic trudnego.

Babcia Flo zaczyna szurać nogami:

— Będziemy tu tak długo stać? Nogi 'mnie bołą.

Przywołana do porządku Vivienne zagania nas do holu, gdzie natychmiast nagabuje nas kelnerka w fartuszkach z tacą pełną szampana.

— Chodźcie do ogrodu, moi drodzy, a Zak — tu wskazuje nam zupełnie brązowe stworzenie z odblaskowymi zębami — Zak weźmie wasze płaszcze.

Mama jest już chyba dość wkurzona, bo robi za plecami Vivienne gest picia.

— Czy ma pani może sok z żurawin? — pyta Lizzy grzecznie.

— A w życiu — odpowiada Vivienne lodowato.

— Vivienne stara się być Raquel Welch wśród teściowych — wyjaśniam Lizzy, gdy wchodzimy do ogrodu. — Właśnie straciłaś szansę na poślubienie Jeremy'ego. Jesteś zbyt urocza.

Pokazuję jej Jeremy'ego, który właśnie plotkuje w najlepsze z kelnerem.

— Jeremy jest boski — mówi Lizzy z podziwem.

— I dość miły — przytakuję posępnie. Uciekamy z Lizzy w zacieniony kącik i rozkoszujemy się widowiskiem.

Vivienne strzepuje jakiś paproch z opalonego ramienia Zaka — paproch depcze z zaciętością na tupiących szpilkach, żeby znaleźć pocieszenie w wódce. Michelle i Marcus posykurają na siebie groźnie przy stole na kozłach. Mama z uporem flirtuje z Lukiem, który trzyma się rękawa Tyny tak kurczowo, jak wesz czystego włosa. Babcia Flo połyka potężny kawał bezy, po czym przechodzi do biszkoptu z owocami i bitą śmietaną.

— To może zacniemy malować? — chichocze Lizzy po dwudziestu minutach tych fascynujących obserwacji.

— Czemu nie? — wzdycham i idę za nią w stronę wielkiego, białego płótna umieszczonego na tyłach ogrodu w bezpiecznej odległości od oranżerii.

Organizator przyjęcia Vivienne rozlał farbę w małe, plastikowe pojemniczki i ułożył je w równy, tęczyowy rząd na trawniku. Jest też wiaderko pełne pieniącej się wody z mydłem i papierowe ręczniki.

— Myślisz, że możemy? — szepcze Lizzy.

— Vivienne będzie zachwycona — zapewniam ją. — Mama mówi, że Vivienne chce, żeby każdy gość podarował jej odbicie swojej dłoni i powstanie kolaż. Potem ona to oprawi albo sprzeda do Tate Gallery.

Lizzy ostrożnie zanurza palec w czerwonej farbie, przyciska go w samym środku płótna i maluje serce.

— Ale fajnie! — uśmiecha się kokieteryjnie. — Maluj, Helen! Przecież nie mogę malować sama!

Spoglądam na serduszko Lizzy i mówię:

— Tom kiedyś malował.

Lizzy uśmiecha się ze współczuciem. Wzdycham głęboko, zanurzam palec w niebieskiej farbcie i domalowuję sztylet do serca.

— Helen! — złości się Lizzy. — Nie psuj!

Naburmuszam się i zauważam:

— Myślałam, że sztuka polega na wyrażaniu uczuć.

Lizzy zanurza w farbie obie dłonie i maluje dość dziwnego motylka nad sercem.

— Zupełnie nie wiecie, czym jest sztuka! — słyszę wesoły głos. — Ja wam pokażę, jak to się robi.

Przewracam oczami, żeby dać Luke'owi do zrozumienia, co o nim myślę i mówię:

— Miejsce dla Leonarda!

Luke — wniebowzięty, bo udało mu się wreszcie uciec mojej mamie — zanurza prawą rękę w czarnej farbie i wielkimi kulfonami, które zajmują co najmniej z połowę całego płótna, pisze:

Luke + Tina = WNM

Rzucam okiem na Tinę, która zasłania twarz ze wstydu.

— Luke — jęczy. — Nie jesteśmy w szkole.

Ale jednocześnie uśmiecha się jak kobieta, która wie, że jest uwielbiana. Coś łapie mnie za gardło. I pojawia mi się w głowie myśl: „Kiedyś Luke lubił m n i e”. Patrzę na Luke'a, który kręci

się wkoło, czekając na oklaski. Ma na czole czarną plamę. Ma wymiętą koszulę, a w okolicach rozporka podejrzaną plamę. Patrzę na mojego ukochanego ludzkiego labradora, ale on mnie nie widzi, bo nieśmiało mruga w stronę Tiny. I nagle dociera do mnie ta mrożąca krew w żyłach prawda.

Kocham Luke'a.

ROZDZIAŁ XLIX

O ile dobrze pamiętam, a pewnie wcale nie, pies ogrodnika to ktoś, kto nie może mieć z czegoś pożytku, ale i tak nie chce, żeby ktokolwiek inny miał. To chyba z Biblii — w mówiłam to Jasperowi, po tym jak nazwałam go psem ogrodnika, bo nie chciał mi pożyczyć swoich rękawiczek dla kierowcy.

— Ale przecież ty nawet nie masz prawa jazdy! — jęczałam. — A ja chciałabym się wreszcie dowiedzieć, jak to jest jechać samochodem w odpowiednich rękawiczkach!

Jasper upierał się, że będą na mnie za duże.

— I co z tego? — spytałam. — Przecież przejadę tylko jedną przecznicę i wrócę.

Jasper poradził mi, żebym sobie kupiła.

— Chyba zgłupiałeś — warknęłam. — Trzeba być skończonym durniem, żeby sobie kupić rękawiczkę...

Jasper tylko na mnie spojrział i rzekł:

— Nie pożyczę ci ich, więc mnie więcej nie proś.

Więc okrzyknęłam go psem ogrodnika, a on powiedział:

— A co to, do cholery, takiego?

Więc mu powiedziałam, że dokładnie nie wiem, ale chyba chodzi o to, że jak Józef i Maryja szukali żłóbka dla Jezusa, to pies ogrodnika nie dopuścił ich do żłóbka, w którym siedział.

Jasper sugerował, że nawet nie wiem w ogóle, o czym mówię, i że to wszystko na pewno było symboliczne — że Jezus jest w tej przypowieści owieczką, pies psem, a owieczka powinna leżeć w żłobie, a pies w budzie, i czy jestem pewna, że to pies spał

w żłobie, i czy to przypadkiem nie było tak, że to pies nie chciał wpuścić Maryi i Józefa do swojej budy? Do tego czasu zdążyłam już tak się wściec, że zaczęłam wrzeszczeć:

— Jasper! Wszystko mi jedno! Przecież w końcu dostali jakiś żłobek, to mogę pożyczyć te rękawiczki czy nie?

Wspominam tę kłótnię bardzo niechętnie, a wspominam dlatego, że zastanawiam się, czy nie jestem takim psem ogrodnika. Być może jestem nawet największym psem (w przenośni oczywiście) w największym żłobie na całym świecie. Na przykład, czy nie było tak, że Toma pragnęłam tylko dlatego, że lubię być w centrum uwagi i egoistycznie nie chciałam dzielić go z nikim innym? Czy nie było to zwykłe zauroczenie? Czy nie miałam obsesji na jego punkcie, gdy tymczasem podświadomie kochałam Luke'a?

To ma sens. Masa kobiet zakochuje się w swoich starych kumplach. Po części dlatego, że dobrze się z nimi dogadują, a po części dlatego, że prawo do puszczenia bąków, kiedy się chce, jest jednak kuszące. Przy zwykłym chłopaku musisz się z tym kontrolować przez co najmniej pierwsze sześć miesięcy.

Tuląc do mej piersi to sekretne poczucie winy, jak i „Daily Mail”, lecę do pracy w poniedziałek rano i mam nadzieję, że uda mi się uniknąć spotkania z Tiną. Nie będę w stanie oddychać tym samym powietrzem, co ona. Na szczęście okazuje się, że jest dziś poza biurem. A Lizzy jest na sesji zdjęciowej. Siedzę przy biurku i bezlitośnie tnę swój artykuł o przemocy. Do lunchu zostaje z niego marne 1200 słów. Takie rzeczy przychodzą lżej, gdy się siebie nienawidzi. W zeszłym tygodniu, zanim jeszcze odkryłam, że kocham faceta Tiny, z bólem serca przycięłam go o dwadzieścia trzy wyrazy, ale Laetitia rzuciła mi go z powrotem i zagroziła, że zamorduje go zupełnie, jeśli go sama nie przytnę do rozmiarów, „które uczynią go czytelnym”.

Kładę jej na biurku wydruk i mówię beznamiętnym tonem:

— Jeszcze dziś po południu zacznę pracować nad moim tekstem pod tytułem: „Jak żyć, gdy twój szef cię nienawidzi?” Czy przynieść ci coś ze sklepu?

Laetitia posyła mi zabójcze spojrzenie i warczy:

— Sama sobie przyniosę, nie jestem jakąś pieprzoną kaleką.

Z przerażeniem dopiero teraz zauważam naczelnego, którego ośmioletni synek cierpi na stwardnienie rozsiane. Laetitia podąża za moim wzrokiem i widzi, że naczelny stoi przy fotokopiarce z założonymi rękoma i robi się bardzo blady. „Hasta la vista, baby”, myślę, macham Laetitii i wychodzę. Nie mówi ani słowa. „Powiedziała już i tak za dużo”, myślę ponuro, gdy wychodzę z dusznego budynku na zimne powietrze.

Snuję się po Covent Garden jak — bym chciała — zagubiona dusza, ale pewnie raczej jak zagubiony turysta. Po dziesięciu minutach takiego snucia się nie mogę już znieść własnego przygnębienia, więc wymazuję Luke'a z pamięci i dziarskim krokiem maszeruję na Broadwick w Soho. Wślizguję się do pierwszego sklepu dla artystów i zaczynam grasować. Akwamaryna, ciemny fiolet, kobaltowa czerń — nazwy farb brzmią tak ponętnie, ale wiem o sztuce tyle, co nic, więc nawet nie umiałabym wybrać. Nostalgiczne akwarele czy namiętne oleje? Wielka przestrzeń płótna czy mały szkicownik? Duży, najeżony pędzel czy ołówek? Sprawdziłam, jaka jest cena płótna i — zapomniałam nawet zemdleć — mało nie wyszłam.

„Małe jest piękne”, upominam się ostro — choć tak naprawdę głęboko wierzę, że co duże, to jednak duże — i sięgam po małą paletę farbek i kwadratowe płótno. Potem pędzę z powrotem do pracy. Laetitii nie ma i nie wraca całe popołudnie, więc nie muszę czynić tysiąca zwykłych poprawek i zabieram się porządnie do roboty. Skromnie licząc, wygląda na to, że „Jak żyć, gdy twój szef cię nienawidzi?” lekko dobieje do 9000 słów. Jest 18.02 i zaczynam się właśnie zastanawiać, czy nie powinnam dziś zostać dłużej — powiedzmy do dziesięć po szóstej? — żeby jeszcze trochę nad nim popracować, gdy dzwoni telefon.

— Tak? — pytam smętnie.

— Helen? — niepokoi się mój rozmówca. — Czy wszystko w porządku? Masz głos jak jakaś staruszczyca.

Radość i irytacja łączą się w mojej głowie w wielką, wirującą kulę.

— Luke! — wołam. — Co tam u ciebie?

Luke mówi, że u niego wszystko w porządku, ale słyszę, że jest tak spięty, jakby miał pięty pod prądem.

— Co się dzieje? — pytam.

— Muszę się z tobą zobaczyć — mówi Luke. — To pilne. Możemy się spotkać?

Krew napływa mi do twarzy i piszczę:

— Jasne, jasne, ale co? Dzisiaj?

— Będę po ciebie pod biurem za piętnaście minut — rzuca Luke.

Mówię mu „to do zobaczenia” i pracuję jeszcze przez całe trzy minuty. Pilne. Co to ma znaczyć? Czyżby Luke zdał sobie sprawę z tego, że to ja jestem tą Jedyłą i zamierza mi wyznaczyć miłość na wieki? Chce pożyczyć piąta? Jeśli jego serce znów skłania się ku mojej osobie, musi się czuć podle względem Tiny.

Nagle przypominam sobie, że świeci mi się nos i mam niewyównane brwi, więc spędzam jeszcze dziewięć minut na ekspresowej chirurgii kosmetycznej. O 18.17 odsuwam się od lustra, żeby zobaczyć rezultaty i widzę, że wyglądam dokładnie tak samo, tyle że jestem bardziej matowa. Wylatuję na ulicę, klnąc pod nosem i wpadam z rozpędu na Luke'a.

— Aua! — krzyczy on. — Bo ci makijaż odpadnie! Nadchodzi pan i władca, Punch! — Potem sam śmieje się z tego wspańskiego dowcipu. — To musimy koniecznie pójść do „Punch & Judy” — ciągnie. — Ha, ha, ha!

„Czy ja na pewno kocham tego faceta?”, zastanawiam się zdezorientowana. Tom nie byłby taki chamski. Nie żeby chamstwo było czymś złym. A zresztą Tom ma pewne uzdolnienia w tym kierunku. Tamten trik z keczupem nie był zbyt wyszukany. A jednak chamstwo Toma przyprawia mnie o śmiech do łez i zawsze wyzwala chęć całowania go, gdy tymczasem chamstwo Luke'a nie ma takiego działania. Pewnie Tom zna mnie na tyle, że wie, że wspańałowmyślnie zniosę chamstwo wymierzone w innych, ale za nic nie przebaczę chamstwa względem mojej osoby.

Zanurzamy się z Lukiem w miejski gwar baru „Punch &

Judy" w Covent Garden i jestem już tak przerażona, że zupełnie mnie zatyka. Luke uśmiecha się jak szalony i mówi:

— Mam dla ciebie wieści, które przypadną ci do gustu.

O Boże! Jestem tą Jedyłą. Drepcze kupić mi drinka, a ja czuję, że coś chwytą mnie za gardło.

Patrzę, jak Luke przepycha się do baru i drapie po pupie (chyba podwinęły mu się slipy) i myślę sobie: „Nie. Nie mogę tego zrobić Tinie. Nie teraz. Nigdy”. Są pewne zasady, których nie wolno łamać, i nie chodzi tu o to, że nie nosi się getrów w miejscach publicznych. Oczywiście, że z dziką radością wysłuchałabym wyznań Luke'a, bo jestem kobietą której jeszcze nigdy się nie oświadczone, nawet przez pomyłkę. Żaden mężczyzna nie powiedział mi jeszcze, że mnie kocha, a wszystkie walentynki, jakie w życiu dostałam, mogę policzyć na kciuku jednej ręki. (Dostałam ją od mojej mamy, gdy skończyłam szesnaście lat i postanowiłam, że w tym roku w lutym zrobię to, co robią przecież wszystkie dziewczęta — tylko że ja musiałam ją sama kupić, nakleić znaczek i zaadresować). A jednak. Skoro tyle przeżyłam bez jednego nawet „kocham cię”, to jakoś dam sobie radę. Nie pozwolę, żeby Luke się tu przede mną zbłaźnił — to by było miłe, ale niesprawiedliwe.

Luke macha mi piwem przed nosem i siada, wciąż uśmiechając się jak szaleniec. W Londynie nie wypada się uśmiechać! Gdy tylko Luke siada, ja podskakuję w górę jak łosoś, którego tyłek został właśnie obmacany przez pstrąga i nawijam:

— Luke, wiem, co zamierzasz powiedzieć, ale myślę, że najlepiej będzie, jeśli tego nie usłyszę. To, co zrobiłeś dla Tiny na przyjęciu u Vivienne, było bardzo miłe, choć trochę w złym guście, i ja bym się na twoim miejscu jej trzymała, bo ty się jej podobasz, tyle że jej potrzeba jeszcze trochę czasu, dobra, to tyle, cześć!

Kiedy przedzieram się przez tłum garniturów, rzucam okiem za siebie, tylko raz, na Luke'a i widzę, że cały czas trzyma w dłoniach dwie butelki piwa. Na jego twarzy widzę totalnie niezrozumienie sytuacji.

Ale, co dziwne, nie widzę śladów załamania.

Opadam na siedzenie taksówki, wciąż ściskając kurczowo pudełko z farbami, które kupiłam wcześniej. Trzymam mocno torbę ze sklepu dla artystów i myślę: „Nie, dzięki, nie chcę piwa, poproszę tylko krwawą mękę z lodem”. Równie dobrze mogłabym się od razu spalić na stosie. Hej, a może gdybym tak spłonęła w worku, mój tata mógłby mnie odebrać tam po drugiej stronie.

— Tak, panie Bradshaw, przesyłka dla pana, musieliśmy rozpakować, żeby sprawdzić zawartość, tu jest napisane „córka”, ale to mi wygląda na zupełnie bezużyteczną stertę popiołu, czy mamy zwrócić nadawcy?

Wyobrażam sobie, jakby się ojciec zirytował, że go coś takiego oderwało od niebiańskich dołków, i zapadam się w siedzenie. Ach, u mnie i u taty już wszystko w porządku, ale to nie zmienia faktu, że nadal jestem wyrzutkiem społeczeństwa. Odrzuciłam zaloty Luke'a mniej więcej tak elegancko, jak balerina w kaloszach. Byłam tylko o moje małe ego od zdradzenia swojej najlepszej przyjaciółki. No trudno, przynajmniej wszyscy poza mną będą mieli miłe życie. Czuję tak silną potrzebę podzielenia się z kimś moją tragedią, że proszę taksówkarza, żeby jednak jechał gdzie indziej.

— Co za niespodzianka — wita mnie babcia Flo drżącym głosem i zdejmuje ciężki łańcuch ze swoich cieniutkich drzwi. — I w czym ci mogę pomóc? — pytanie retoryczne.

— Nie miałyśmy zupełnie okazji pogadać wczoraj u Vivienne — przekrzykuję telewizor. — Więc pomyślałam, że wpadnę.

Babcia Flo spogląda tęsknie na ekran i w końcu mówi, że nastawi wideo.

— Może zrobię herbaty? — pytam, licząc na to, że powie „nie”. Mój głos wypada dość dziwnie, bo staram się oddychać przez usta. Babcia nie wierzy w takie fanaberie, jak otwieranie okien, i jej mieszkanie cuchnie nawet według standardów Luke'a.

— Dzbanek do herbaty stoi tam z boku — mówi babcia. Jej kolana wydają cichy zgrzyt, gdy kuca przed *TV Times* i kłęka z bólem na dywanie.

— Może ja nastawię? — pytam niepewnie, ale zostaję wygnana do kuchni. Pięć minut później babcia znów siedzi w swoim fotelu, a ja trwam przycupnięta na brzegu sofy jak jakaś spalizowana papuga.

Ale już wiem, po co tu przyjechałam. Chcę porozmawiać z babcią o dziadku i nie mogę dłużej z tym zwlekać.

Może jestem tylko pasożytem, który chce załagodzić swój ból przez przyssanie się do jej. Może zrozumienie choć ułamka jej cierpienia zniweczy moje. A może po prostu chcę wreszcie porozmawiać z moją własną babcią, bo mam dość milczenia w tej rodzinie.

Co zrozumiałe, babcia jest zdziwiona moim zainteresowaniem. Chce wiedzieć, dlaczego mnie to interesuje. Opowiadam jej mglistą acz pikantną historię o tym, jak straciłam miłość swojego życia. (Historia jest mglista głównie dlatego, że nie wiem, czy tą miłością mojego życia jest Tom czy Luke, ale schemat pasuje ładnie do obydwu). Mam niejasne podejrzenie, że babcia mi nie wierzy — poszlaką jest tu jej głośne prychnięcie — ale to ją przynajmniej prowokuje do mówienia.

Florence i Gerald poznali się na przystanku autobusowym. Powiedział jej, że jest zatwardziałym starym kawalerem, a trzy dni później spojrzął w jej wielkie, błękitne oczy i poprosił o rękę. Byli narzeczonymi przez dziesięć miesięcy, bo ojciec Florence nie zgodził się, by ślub nastąpił wcześniej, a na miesiąc miodowy pojechali do Torquay.

— Morze było odgrodzone drutem kolczastym, ale i tak się przemknęłam i weszłam do wody. Byłam tak zakochana, że aż podskakiwałam z radości — mówi babcia, sącząc herbatkę. Ten obraz jest tak nieprawdopodobny, że wpatruję się w jej chudą, pomarszczoną twarz i próbuję wyobrazić sobie moją babkę jako młodą dziewczynę podskakującą sobie z miłości. Po śmierci Geralda wiedziała, że nie wyjdzie powtórnie za męża.

— Dlaczego nie, babciu? — pytam i pociagam nosem.

— Był takim wspaniałym mężem przez ten krótki czas, gdy go miałam — odpowiada. Potem bez jednej łzy w oku spogląda

na mnie chlapiącą na jej sofie i mówi cichutko: — Nie mogłam go nikim zastępować.

Babcia jest bardziej bystra, niż mi się zdaje. Dobrze wie, że po części płaczę też nad sobą.

— No, to co się stało? — pyta niezbyt grzecznie, momentalnie zmieniając się w babcię, jaką znam. Zawstydzona obecnością kobiety, która miała odwagę, której mi brak, opowiadam jej o Tomie i opowiadam o Luke'u.

— Luke? — wykrzykuje swoim piskliwym głosikiem tak wysoko, że moja porcelanowa filiżanka aż się trzęsie na spodeczku. — Bzdura! Ten długowłosey baran! On nie jest dla ciebie! Jesteś zazdrosna i tyle! To miły chłopiec, ale takich nieudaczników jak on rozpoznaję na pierwszy rzut oka!

Gdy taksówka wiezie mnie do domu, zastanawiam się tylko, dlaczego — nawet gdybym miała szkła minus sto dwadzieścia — zawsze jako ostatnia dostrzegam rzeczy oczywiste. No, naprawdę. I kto tu jest palantem?

ROZDZIAŁ L

Nadchodzi w życiu taki czas, kiedy musisz wreszcie przestać spoglądać za siebie i zacząć patrzeć przed siebie, bo inaczej pewnego dnia, gdy będziesz iść sobie spokojnie ulicą, wpadniesz na latarnię. Ale to wszystko nie jest takie proste. Kiedy umarł ojciec, miałam wrażenie, że gładki dywan mojej egzystencji został starannie ułożony na wielkiej dziurze. Dotąd skakałam sobie beztrudnie dookoła, nic nie wiedząc o jej przeklętej obecności.

Ale pewnego podłego dnia wdepnęłam w nią i zaczęłam spadać, i spadać, i spadać, jak Alicja w bezlitosnej Krainie Czarów, ciągnąc za sobą wszystko, w cały ten chaos, przewracając, roztrzaskując, lecąc i tak pochłonęło mnie szaleństwo, irracjonalny wir uczuć nie wiadomo skąd, wyrwano mnie z bezpieczeństwa mojego papierowego domku, pochłonęła mnie zwariowana fala, która wyłoniła się bez ostrzeżenia ze szklanego morza, niszcząc wszystko, w co dotąd wierzyłam, i zmuszając mnie, żebym zaczęła wszystko od początku. Jak miałam sobie z tym poradzić bez spoglądania wstecz?

Ale kiedy spojrzałam, zobaczyłam, że rozpacz to ponure bajoro bez dna i że przez ten rok pławienia się w nim zanurzyłam może ledwie jeden palec u nogi. Bałam się, że utonę. Powoli uczyłam się, jak w tym bajorze pływać, i nadal się uczę. Bo dziś już wiem, że czasem jesteś w stanie iść naprzód, tylko jeśli spoglądasz za siebie. Ale to nie może trwać wiecznie. Po rozmowie z babcią Flo uświadomiłam sobie, że przeszłość może człowieka sparaliżować i pozostawić rozgoryczonego na dobre sto lat. Więc

tęgo wieczoru, po naszej rozmowie, postanowiłam, że pozwolę sobie na ostatnie spojrzanie za siebie, a potem już potruchtam do przodu jak leniwy osiołek (przeciwieństwo durnego osła).

Do domu wróciłam pełna życia. Laetitia wciąż jest w niełasce i ostentacyjnie opowiada o możliwościach rozwoju w innych firmach. Nagle biuro przestało być takim gwałgiem. A dziś wieczorem mam randkę z Tomem. Prawdę powiedziawszy, to on jeszcze o tym nie wie, a ponieważ nie chcę, by ktokolwiek wylewał na mnie wiadro zimnej pogardy, nie chcę, żeby wiedział. Zamierzam przyjść do niego i zniknąć, jak dobra wróżka na jedną noc. Życzę mu szczęścia i chcę, żeby o tym wiedział. Choć nie za bardzo umiem się zmusić do tego, żeby życzyć szczęścia jego dziewczynie. Staram się być wspaniałomyślna, skoro i tak przegrałam, ale wciąż mam nadzieję, że ta flądra wyłysieje. Chyba życzę Tomowi szczęścia, tylko o ile będzie żył jak trapista. Ale może zatrzymać swoje mieszkanie i cywilne ciuchy. Naprawdę nie może przecież wymagać ode mnie więcej — i tak powinien wiedzieć, że ma szczęście. Przecież inna kobieta na moim miejscu już by mu tknęła szatę Dejaniry! Tylko że ja nigdy nie nauczyłam się szyć.

Czekam, aż się ściemni. Potem zwiążuję włosy, podkreślam rzęsy (nie, nie zobaczy mnie, ale nie popełnię znowu błędu w stylu: „dziś mogę chyba włożyć moje potworne, szare majtadały”) i ubieram się na czarno. Wyglądam jak młoda, włoska wdowa. Nie. Potem lecę do samochodu z artystycznym papierem pod pachą. Jako że jest to tajne zadanie, przez chwilę zastanawiam się nawet, czy nie włożyć okularów przeciwsłonecznych i strasznie ubolewam nad tym, że toyota zawsze wygląda jak najzwyklejsza taksówka w cywilu. Okularów nie zakładam, a z toyotą i tak nic się już nie da zrobić. Jadę do Toma tak szybko, że piszczą wszystkie cztery opony i jeden napotkany przechodzień. Gdy jestem już blisko, zwalniam i gaszę światła. To jest tak ekscytujące, że w jednej chwili postanawiam sobie, że jeśli nie odniosę natychmiastowego sukcesu w „Girltime” na wiosnę, po nieuchronnym odejściu Laetitii, to przekwalifikuję się na prywatnego detektywa. W końcu czytałam o tym wystarczająco dużo.

Rozglądam się, żeby się upewnić, że nie ma nikogo na ulicy, wyslizguję się z samochodu, zamykam cichutko drzwi i na paluszkach podkradam się do mieszkania Toma, na parterze. Z jego okien rozlewa się na świat ciepłe, żółte światło, ale zasłony są zaciągnięte. Wstrzymując dech, powoli otwieram bramę. Skrzeczy jak mysz u mysiego dentysty. Aż przymykam oczy, a potem przebiegam po ścieżce w ogrodzie. Znowu czuję tego zająca, jak tupie mi w piersi i nie wiem, czy twarz mam mokrą od mżawki czy od potu.

Delikatnie układam torbę z farbami i płótnem przy zielonych drzwiach frontowych mieszkania Toma. Do środka wcisnęłam wcześniej kopertę z listem. Czy powinnam zadzwonić i uciec? Zostawić to tak po prostu to jednak ryzyko — a co jeśli listonosz też się nazywa Tom? Podejmę tę decyzję, jak poznam fakty. Najpierw namierzę położenie obserwowanego i ocenię, ile mam czasu na ewakuację. Zaglądam przez szparkę przy zasłonach i zaczynam się wściekać na Toma, że w ogóle ma te zasłony. Myśli, że jest taki interesujący dla świata zewnętrznego, czy co? Ma jakąś obsesję, że ktoś go będzie śledził?

W tym momencie zaczynam się martwić, czy nie powinnam była włożyć jakichś rozsądnych butów. Z miejsca odrzucam jednak tę myśl. O rozsądnych butach mam mniej więcej to samo zdanie, co o damskich piterkach. Wytwarzają wokół ciebie atmosferę powagi. Ja jestem wystarczająco poważna i bez tej atmosfery. A jednak dobre buty przydają się, gdy zamierzasz się wdrapać na metalowy kosz na śmieci, żeby zajrzeć ponad zasłonami do mieszkania twojego byłego kochanka. Upewniam się, czy kosz jest w miarę stabilny i włożę nań, podtrzymując się ręką za ramę okienną. Kucam na śliskiej powierzchni przykrywy i, trzęsąc się jak galaretką, próbuję stanąć.

Pokrywa zapada się natychmiast, a śmietnik wali o ziemię z hukiem, który roznosi się echem po całym Kentish Town na tyle głośno, że sąsiedzi mają już prawo wnosić wszelkie skargi.

Leżę przerażona na trawie, na moim brzuchu zaś leżą zwłoki jakiegoś kurczaczka, a na włosach śmierząca skorupka po jajku.

Leżę tak może ze trzy sekundy, po czym otwierają się drzwi i z domu wylatuje Tom. Nie wiem, co wypada powiedzieć, gdy cię przyłapią na włamaniu, śledzeniu, a do tego całą przystrojoną śmieciami, więc mówię:

— Cześć.

Tom gapi się na mnie, jakbym była naga, i już mam mu powiedzieć, że to bardzo niegrzeczne z jego strony, gdy wykrzykuje:

— Co ty wyprawiasz?

— Taki projekt ekologiczny, a co, nie widać? — złoszczy się, poruszając nogą, żeby sprawdzić, czy nie złamałam kostki.

— Żyjesz? — pyta Tom i pochyla się nade mną. Ma dość dziwny wyraz twarzy i nie wiem, czy się uśmiecha. Kiwam głową. Tom usuwa mi z brzucha zwłoki kurczaka i kopie je w głąb ogrodu. Po kurczaku zostaje mi na bluzce ślad z tłuszczu i kawałków skóry. Hm, dzięki Bogu, że przynajmniej podkreśliłam te rzęsy.

— Czemu nie zadzwoniłaś? — pyta Tom i przykuca przy mnie.

— Zadzwoniłam — zauważam wyniośle. — Powiedziałeś mi, że mam się od ciebie odpięrzyć.

Tom wygląda na zawstydzonego. Z uporem wpatruje się w swoje buty i mruczy:

— Nie, mam na myśli, czemu nie zadzwoniłaś do drzwi. — Moja wścikłość musi być dość widoczna, bo dodaje jeszcze: — Luke ci nie powiedział!

— Czego nie powiedział? — pytam, starając się jednocześnie tak jakoś wytrzeć okulary, żeby żółtko nie wpadło mi do oka. Miałam nadzieję, że zauważy chociaż mój prezent, ale niestety minął go i nawet nie rzucił okiem. Co oznacza, że nie odkryje go już romantycznie i nie popłacze się nostalgicznie, a będę go musiała mu wskazać, co jest równie beznadziejne jak seks w wannie. Brzuch marszczy ci się zupełnie i wartości estetyczne spadają do zera. — Czego mi nie powiedział? — pytam raz jeszcze, bo Tom stracił jakby zdolność mowy.

Ale odzyskuje ją nagle i mruczy:

— Miałem ci powiedzieć, zamierzałem ci powiedzieć, ale nie wiedziałem, jak zareagujesz, więc poprosiłem wczoraj Luke'a, a on powiedział, że lepiej nie ryzykować, już on ci to powie, a potem zniknął jak jakiś palant i nie wiedziałem, czy w końcu ci powiedział czy nie, i nie mogłem go nigdzie dorwać, i już ci chciałem sam powiedzieć, i...

— Co mi powiedzieć? — krzyczę, starając się przypomnieć sobie, co dokładnie powiedział mi Luke.

Tom zdejmuje mi z ramienia pieczoną fasolkę i pyta:

— Ale, skoro nie wiesz, to co ty tu robisz?

No to świetnie.

— Kupiłam coś dla ciebie — mamroczę. — Leży przy drzwiach.

Tom patrzy na mnie, jakbym go właśnie strzeliła po głowie razową bułką. Staje na równe nogi, zauważa wreszcie moją torbę i rozrywa kopertę z moim listem. Czyta go na głos:

Już najwyższy czas, żebyś znów zaczął malować. Kocham Cię.

Helen

I ku mojemu przerażeniu — choć wiedziałam, że tak się to skończy; przeklinam w duchu dzień, w którym Tom kupił taki dziadowski śmietnik — usta zaczynają mu drżeć i jak szalony mruga oczami. To z kolei sprawia, że chce mi się płakać.

— Cieknie ci z nosa — zwracam mu uwagę ostro, żeby rozładować atmosferę — możesz wytrzeć w mój rękaw, jak chcesz.

Moje śmietnikowe maniery wymagają zdaje się lekkiego dopracowania, bo Tom zasłania oczy rękoma i trzęsie głową. Spoglądam tęsknie na jego potężne ramiona i zmierzwione włosy, ale uznaję, że trzeba to wszystko jakoś przeczekać. Czując się jak jakiś goryl, staram się zetrzeć jakoś resztki kurczaka z bluzki i wytrzeć skorupki z włosów. Potem delikatnie dotykam ramienia Toma i mówię:

— Nie chciałam cię zasmucić.

Tom spogląda na mnie i uśmiecha się tak, że aż mnie przeszywa dreszcz.

— To było miłe — mówi.

Choć cała jestem przemoczona do suchej nitki, nagle zasycha mi w gardle. Boże mój! Nie zdejmujesz pieczonej fasolki z ramienia kogoś, kogo nienawidzisz, ani nie uśmiechasz się tak, że tę osobę przeszywa dreszcz (chyba że właśnie mijasz ją w jej mini swoją nową testarossą) — czy to możliwe, że po miesiącach na wygnaniu z królestwa miłości zostają oto znów zaproszona w jego boskie progi? Przełykam ślinę i wpatruję się w Toma, żeby coś wreszcie powiedział. I rzeczywiście mówi.

Mówi mianowicie:

— Helen, muszę z tobą pomówić o mojej dziewczynie.

Koniec.

Ckliwy uśmiech, który już pojawiał się na mojej twarzy, znika w ułamku sekundy, a ja sama z furją zrywam się na nogi.

— Nie, dzięki — syczę. — Nie chcę nic wiedzieć.

— Nie, Helen, czekaj — woła Tom i próbuje chwycić mnie za rękę, ale odtrącam go i kuśtykam do bramki. Moje teatralne odejście jest nieco zepsute przez to, że potykam się na tych kurczakowych zwłokach, ale odzyskuję równowagę i lecę do toyoty.

— Helen, proszę! — krzyczy za mną Tom, gdy próbuję wpakować kluczyk do zamka. Po co ja ją w ogóle zamykam? „Przeć się chcę, żeby mi ją ktoś ukradł, zrobiłby mi wielką przysługę”, rozmyślam ponuro.

— No, wchodźże! — drę się na klucz. Tom dogania mnie, gdy otwieram drzwi, które uderzają go tym samym po kolanach. I dobrze mu tak.

Zatrząskuję je za sobą.

— Helen — sapie Tom, gdy włączam silnik. — Ja ją zmyśliłem!

Co?

Otwieram okno.

— Co?! — wrzeszczę.

Tom przybiera wyraz twarzy szczeniaczka, który właśnie nakał na sofę.

— chciałem ci o tym powiedzieć, ale było mi wstyd — mamrocze pod nosem.

— No ja myślę — mówię stanowczym tonem.

— Jestem zupełnym palantem — dodaje.

— Ty to powiedziałaś! — triumfuję.

— Więc Luke ci nie powiedział, nie? — mamrocze Tom.

— Nie, zdecydowanie nie — mówię i robi mi się gorąco.

Tom przygryza wargę i mówi ze skrucą:

— Byłem zazdrosny. — Po czym spuszcza wzrok.

— Doprawdy? — pytam sztywno.

— O Jaspera — mówi.

— Ale Jasper... — zaczynam.

— Już teraz wiem — przerywa mi.

Wyłączam silnik.

— Dzięki — mówi Tom. — Bo już się tu trochę dusiłem. — Uśmiecham się. — Przepraszam — mówi Tom.

Kiwam głową po królewsku.

— Wybaczysz mi?

Unoszę brew. No, w każdym razie próbuję, bo nigdy nie opanovałam tej sztuki w zadowalającym stopniu i magia sceny traci trochę przez to, że muszę się bardzo skupiać na tym, żeby nie podniosła się też druga brew.

— To zależy — mówię.

Tom pochyla się w stronę mojej twarzy.

— Od czego? — szepcze.

— Od tego, ile jeszcze innych kłamstw nawymyślałaś — mówię zgrzyliwie.

— To było jedyne! — krzyczy Tom. — Ja jestem bardzo prawdomównym człowiekiem!

— Na pewno? Bo to jest bardzo ważne.

Tom milknie na chwilę.

— Jak miałem dwadzieścia lat, no, tego, mówiłem kobietom, że jestem nurkiem marynarki wojennej. Czy to się liczy? — pyta.

— Odejść czy zostać — mruczę pod nosem.

Tom opiera ramię na drzwiczkach toyoty. Potem pochyła się jeszcze bardziej, łapie mnie i wyciąga przez okno!

— To już szczyt lenistwa — mówię i trzymam się go kurczowo.

— Śmierdzisz zgniłymi jajami — zauważa uprzejmie Tom i zacieśnia uścisk.

— Jesteś zbyt prawdomówny — stwierdzam i próbuję się uwolnić.

Spoglądam na Toma, Tom spogląda na mnie i oboje się rumienimy. Zapada cisza, a ja zaciskam mocno pięści w nadziei, że to mi doda odwagi.

— Tom — mówię powolutku — nigdy ci nie mówiłam...

— Czego mi nie mówiłaś?

— O moim ojcu. — Uśmiecham się lekko i kiwam głową bardziej do swoich myśli niż do Toma. — Pomogłeś mi. Bardzo mi pomogłeś.

Tom wygląda na zszokowanego.

— A co ja takiego zrobiłem? Przecież to ty sama sobie pomogłaś.

Przygryzam wargę.

— Tak czy inaczej, powiedziałeś mi rzeczy, które pomogły.

Tom odpowiada mi tak cichym szeptem, że ledwie go słyszę:

— Byłem zupełnie zagubiony.

— Tak jak i ja — odpowiadam drżącym głosem.

— Chciałem ci pomóc. I wiedziałem, że nie jestem w stanie] — głos mu się załamuje — ale tak bardzo chciałem pomóc.

Na sekundę tracę głos. W końcu mówię:

— Nie próbowałeś, nie próbowałeś odwrócić mojej uwagi.

Tom przełyka ślinę.

— Było w tobie tyle bólu, który próbował się wydostać —] mówi.

— Lepiej wypłakać, niż się gryźć — mruczę pod nosem.

— Helen, jesteś silniejsza, niż myślisz.

Kręcę głową.

— Nie, nie umiałam zmierzyć się z tym i stanąć twarzą w twarz — mówię łamiącym się głosem. — Długo, długo. Za mało odwagi.

Tom patrzy mi prosto w oczy.

— Mówię, że jesteś silna. Odwaga to zupełnie co innego. Jest przereklamowana.

Podnosi dłoń i głaszcze mnie po twarzy. Potem robi gest w stronę drzwi.

— Helen, czy nie zechciałabyś wejść do środka, a ja, hm, zrobię nam kawy? — mówi w końcu.

— Tak, dziękuję uprzejmie.

— A jak noga?

— Nie najlepiej.

— Jako lekarz — mówi Tom nagle — stwierdzam, że nie powinnaś prowadzić z kostką w tym stanie.

— Przepraszam, ale czy ja ci wyglądam na szynszylę? — pytam.

Ale uśmiecham się przy tym pytaniu.